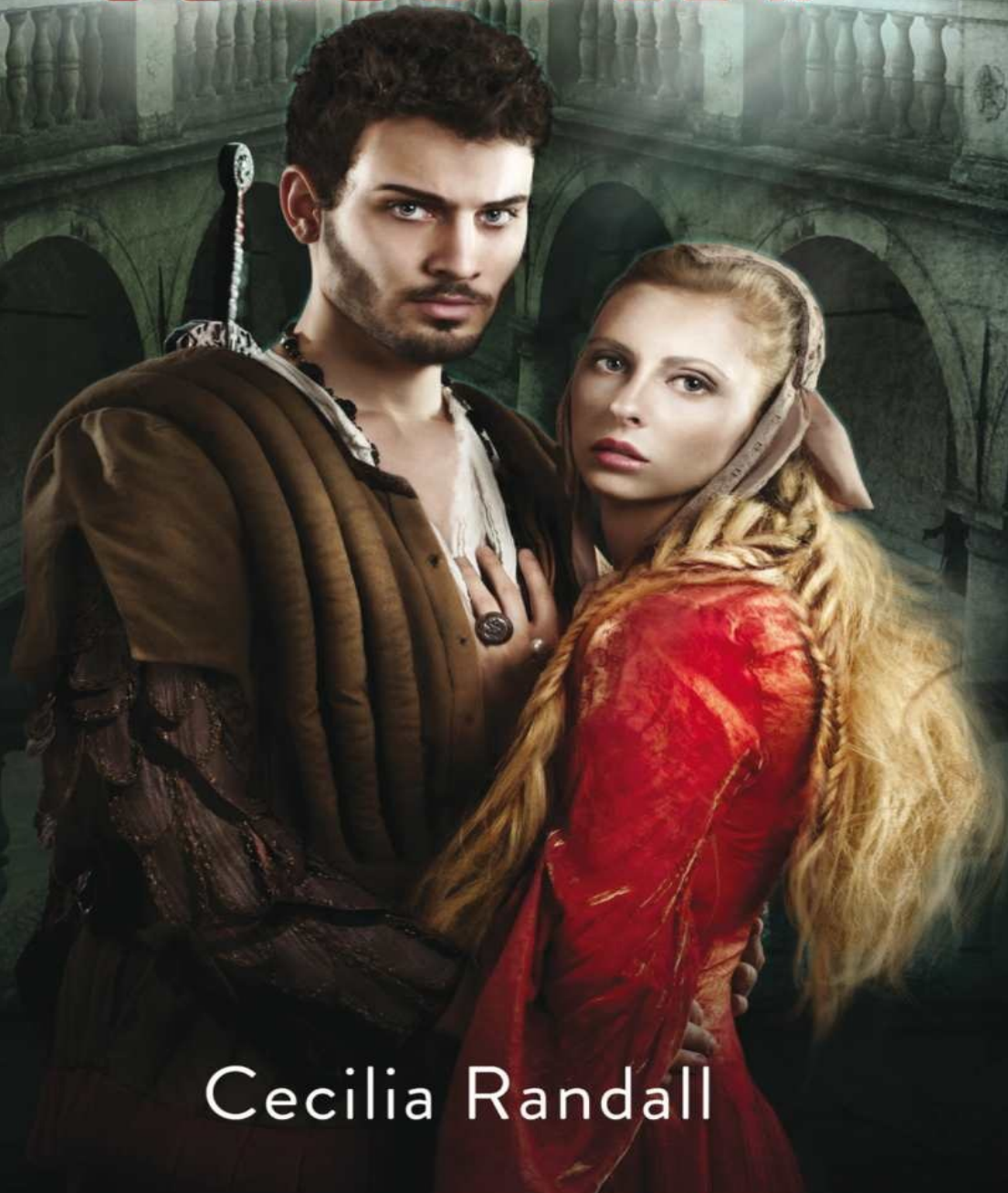


HYPER VERSUM

SOKÓŁ I LEW

esprit

επ εΡΙΚΑ



Cecilia Randall

Cecilia Randall

HYPER VERSUM

SOKÓŁ I LEW

tłumaczyła
Agata Pryciak

Wydawnictwo Esprit



Originally published as *Hyperversum. Il Falco e il Leone*
by Cecilia Randall

Copyright © 2014 by Giunti Editore S.p.A.,
Firenze – Milano
www.giunti.it

Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo Esprit 2014

All rights reserved

Projekt okładki i ilustracje:
Dorothea Bylica

Redakcja:
Monika Nowecka,
Dorota Trzcinka, Aleksandra Motyka

ISBN 978-83-63621-98-8

Wydanie I, Kraków 2014

Wydawnictwo Esprit SC
ul. św. Kingi 4, 30-528 Kraków

tel./fax 12 267 05 69, 12 264 37 09,
12 264 37 19, 12 262 35 51

E-MAIL: sprzedaz@esprit.com.pl

ksiegarnia@esprit.com.pl

biuro@wydawnictwoesprit.com.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA: www.esprit.com.pl

www.hyperversum.pl

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

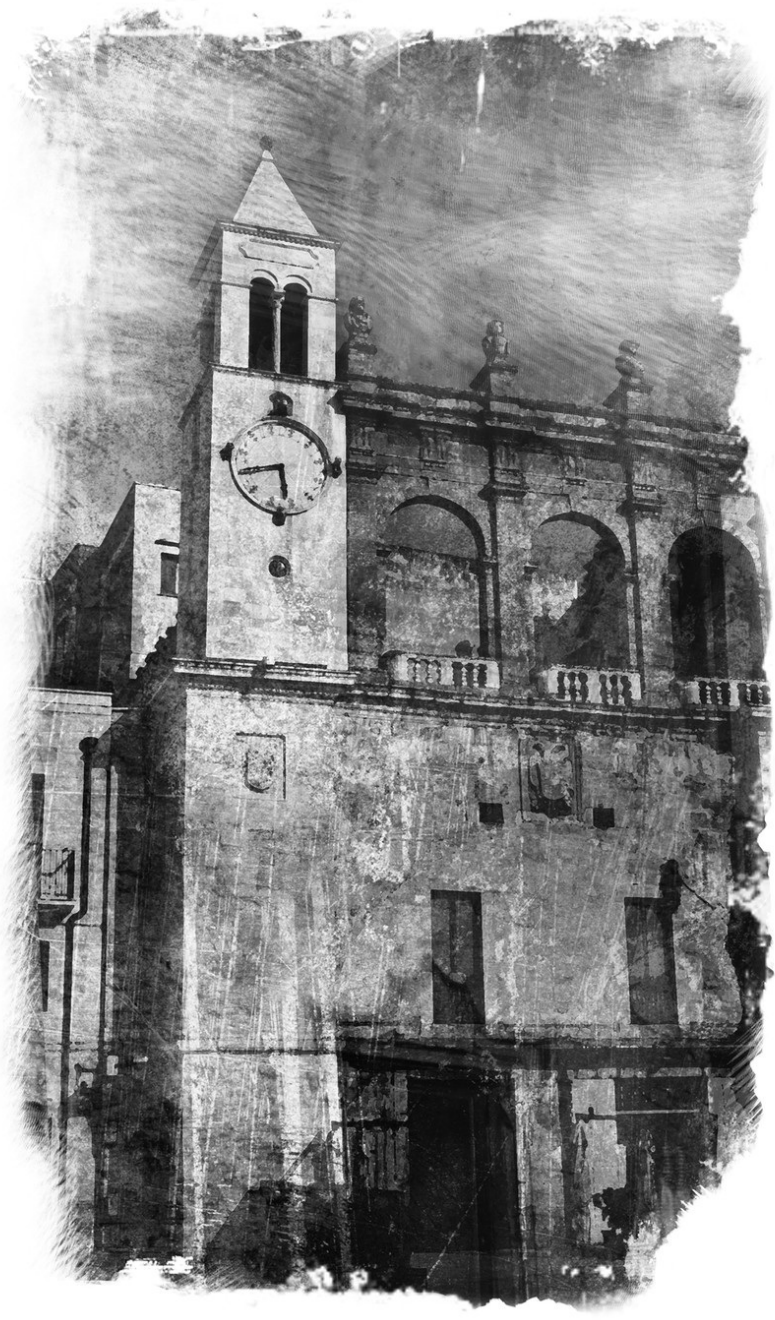
[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

Rozdział 45

*Moim rodzicom,
dla Lorenza,
z całego mojego serca*



Rozdział 1



Daniel odgarnął z czoła blond włosy i odwrócił się.

– Jesteś gotowy? – zapytał cicho.

Ian Maayrkas, siedzący na pluszowej kanapie po przeciwległej stronie sypialni, tuż obok komputera, podniósł głowę i przytaknął.

– Gotowy – odrzekł bez wahania. W jego niebieskich oczach malowała się mieszanka niepokoju i poruszenia, jednak chęć, by zacząć grę, przeważała. Na jaśniejącym ekranie komputera stojącego na biurku wyświetlił się napis:

HYPERVERSUM

System is loading – 54 %

Please wait...

– Nie ma pewności, że zadziała, zdajesz sobie z tego sprawę? – przypomniał Daniel. – Przez cały ten czas próbowałem tysiące razy i nigdy nic się nie wydarzyło.

– Tym razem zadziała – odparł sucho Ian. – Prędzej czy później zadziała – mruknął właściwie sam do siebie. W jego głosie dało się wyczuć obawę.

Daniel podszedł do komputera, mimochodem rzucając Ianowi baczne spojrzenie.

Hyperversum było symulatorem wirtualnych przygód w wybranej epoce historycznej, w prosty sposób pozwalającym graczom na znalezienie się w dowolnym punkcie w przeszłości za pomocą wizjera 3D, słuchawek, mikrofonu i rękawiczek z włókna optycznego. Na samym początku ulubioną rozrywką Daniela było wcielanie się w postać trzynastowiecznego złodzieja. Pewnego dnia jednak gra komputerowa wystrzeliła go w sam środek prawdziwego średniowiecza, a wraz z nim jego dziewczynę Jodie, młodszego brata Martina i trójkę ich przyjaciół – Iana Maayrkasa, Donnę Barrat i Carla White'a – wszystkich tych, którzy tamtego popołudnia zasiedli do rozgrywki *Hyperversum*. Jak mogło do tego dojść?

To wciąż pozostawało tajemnicą.

Zaraz po ukończeniu studiów Daniel rozpoczął pracę w Narodowym Centrum Badawczym Fizyki i Elektromagnetyki. Od kiedy przytrafiła im się ta absurdalna przygoda, grał dalej bez wytchnienia, wciąż mając nadzieję, że uda mu się zrozumieć, w jaki sposób i dlaczego *Hyperversum* przerzuciło ich osiem wieków wstecz.

Odpowiedź nie nadchodziła.

Wydarzyło się, i tyle.

Cud, magiczna sztuczka, czary.

Bez wytłumaczenia, bez naukowego uzasadnienia, bez podstaw logicznych.

Zbiorowa halucynacja? Z całą pewnością nie, zwłaszcza że pozostały po tej grze namacalne dowody.

Przygoda szczególnie naznaczyła Iana, nie tylko w sensie duchowym. Ślady okrutnych razów, które nosił na plecach, były pamiątką po spotkaniu z bezlitosnym angielskim rycerzem, Jerome'em Derangale'em; miał też blizny po ranach, które odniósł na polu walki. Mimo to, podobnie jak Donna, Ian postanowił pozostać w przeszłości. Stało się jednak inaczej – został zmuszony do powrotu, a przyczynił się do tego (choć nieświadomie) ten sam wróg, który skazał go na publiczną chłostę.

Od samego początku Ian z większą swobodą niż inni poruszał się w średniowiecznym świecie – ukończył studia na wydziale historii, nieobce więc były mu zwyczaje z epoki, a isticie rycerską odwagą zyskał sobie szacunek i uznanie możnych panów.

Francuski książę Guillaume de Ponthieu, człowiek o wielkich wpływach, pan na Pikardii i wierny poddany króla Filipa Augusta, przedstawił go na dworze jako swojego brata. Było to możliwe między innymi dzięki doskonałej francuszczyźnie Iana. Książę ofiarował mu również rękę pięknej panny, z miłości do której Ian nieomal postradał zmysły: Isabeau de Montmayeur.

Tym sposobem Ian, przyjmując imię Jeana Marca, stał się dla wszystkich młodszym księciem domu de Ponthieu, rycerzem Srebrnego Sokoła. I pewnie mógłby wieść szczęśliwe życie u boku ukochanej, gdyby jego największy wróg (który później zginął w bitwie) nie wydał rozkazu uśmiercenia go.

Rany Iana okazały się niemal śmiertelne, średniowieczni medycy mogli tylko rozłożyć bezradnie ręce. Ian musiał zostać przeniesiony poza rzeczywistość *Hyperversum*, do świata współczesnego, w czym pomógł mu Daniel. Natychmiastowa interwencja chirurgiczna uratowała Ianowi życie. Niewiarygodna rozgrywka, która przeniosła wszystkich w przeszłość, została przerwana. Gdy przyjaciele wrócili do domu, *Hyperversum* działało już zwyczajnie, jak każda normalna gra komputerowa. Nie znali sposobu, by odtworzyć ten wybryk techniki i powtórzyć skok w czasie.

Zdawało się, że Ian pozostanie na zawsze uwięziony w dwudziestym pierwszym wieku i już nigdy nie ujrzy swej ukochanej Isabeau.

Jeszcze trzy dni temu wszyscy byli o tym przekonani.

Daniel założył wizjer 3D, po czym naciągnął rękawiczki.

– Gdzie zaczynamy? – zwrócił się do Iana zajętego przygotowaniami.

– Tam, gdzie nam przerwano. Klasztor Saint Michel, wieczór, w którym wpadliśmy w zasadzkę – odpowiedział.

Sesja gry miała rozpocząć się za chwilę. Daniel wybrał miejsce i datę

w ustawieniach. Na ekranie i wewnątrz wizjerów pojawił się świetlisty komunikat, pełen cyfr i nazw:

miasto: Saint Michel – lenno rodziny Montmayeur

provincia: Pikardia – Artois / Francja północno-zachodnia

państwo: Francja

data: 16 sierpnia 1214

godzina: 22:30:00

– Skąd mam wiedzieć, która dokładnie była godzina? – zapytał nerwowo Daniel. – Nie mieliśmy przy sobie zegarków, a pamięć może nas zawodzić.

W słuchawkach przymocowanych do wizjera niewyraźnie słyszał słowa Iana:

– Dzwonili już na nieszpory, robiło się ciemno. W lecie w tej części Francji nie mogło być wcześniej niż dwudziesta druga. Sprawdziłem w Internecie.

– A jeśli zjawimy się tam za wcześnie? No wiesz, te klasyczne historyjki fantastyczno-naukowe o podróżach w czasie... Zakładając, że portal rzeczywiście działa, wrócimy w złym momencie, niechcący spotkamy tych nas z przeszłości, pozabijamy siebie samych i tak dalej...

– Chcesz sam zdecydować? – prychnął Ian. – Nic takiego nie może się zdarzyć, poza tym i tak na wszelki wypadek dodałem jakieś pół godziny. Zresztą, jeśli przejście nie zadziała, to cały problem mamy z głowy.

Wzburzenie i niepokój w głosie przyjaciela wystarczyły, by Daniel zrezygnował z dalszego dzielenia się wątpliwościami.

– Załaduj ustawienia gry – rzucił polecenie w stronę komputera.

Coraz głośniejszy szum wskazywał, że sprzęt puścił w ruch płytę, na której Ian zapisał scenariusz rozgrywki, opierając się na wspomnieniach z wizyty w średniowieczu i wiedzy wyniesionej ze studiów.

Cóż, na studiach nauczył się bardzo wiele, wspomnień miał jeszcze więcej. Było jednak coś jeszcze, coś o wiele ważniejszego i właśnie ta jedna rzecz dawała mu nadzieję.

Mimo że dopiero co ukończył trzydzieści lat, Ian był znanym mediewistą i popularnym wykładowcą uniwersyteckim; jednak dopiero niedawno odważył się rozpocząć poszukiwania i spróbował dowiedzieć się czegoś o tym, co pozostawił w odległej przeszłości. Przewertował stopy kronik, by odkryć, co stało się z jego żoną – Isabeau. Wynik okazał się zdumiewający. Kiedy ją opuścił, była brzemienna i miała urodzić mu syna. Co więcej, zaledwie kilka lat później miała powić kolejnego potomka. Podobizny Marca i Michela de Ponthieu widniały na stronicach niezwykle cennego iluminowanego manuskryptu – ich podobieństwo do Iana nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości.

W ten sposób Ian zyskał pewność, że w jakiś sposób uda mu się powrócić do

swego zamku, i postanowił ponownie zabrać się do gry w *Hyperversum*.

Jego pierwsza rozgrywka miała się właśnie rozpocząć.

Wizjer rozświetliły cyfry, trwało odliczanie.

– Wyczytałeś cokolwiek w tej swojej książce? – dopytywał Daniel, podczas gdy numery na liczniku spieszyły w kierunku zera. – Czułbym się lepiej, gdybyś miał jakieś potwierdzenie, że twój opisany w kronice powrót do domu pójdzie zgodnie z naszymi przewidywaniami.

Ian rozpuścił długie czarne włosy, związane dotychczas w kucyk, i odłożył gumkę do torby.

– Nie chcę zaglądać ponownie do tej książki, już ci to mówiłem. Nie chcę znać mojej przyszłości, nie w większym stopniu, niż znam ją już teraz. To mogłoby mi zaszkodzić.

– Gdybyś już nie odkrył części swojej przyszłości, nigdy byś się nie dowiedział, że powrót będzie możliwy, i teraz by cię tu nie było – odparł.

– Daniel, p r o s z ę c i ę. Boję się, w porządku? Średniowieczne kroniki to nie dziennik telewizyjny. Nie zawsze zachowują porządek chronologiczny, a czasem oprócz imion i dat są tam opisy i mnóstwo szczegółów. Nie chcę przez przypadek przeczytać czegoś, czego wolałbym nie wiedzieć.

– Ale...

– Plan mojego powrotu jest tak prosty, jak tylko się da: zaczynamy tam, gdzie zniknęliśmy, udajemy, że skrytobójcy nie zranili mnie tak poważnie, jak mogłoby się wydawać, i wszystko będzie w porządku. Postaram się o nową ranę, kiedy będę już na miejscu, i w ten sposób nasza historia stanie się wiarygodna.

Daniel wzdrygnął się na samą myśl.

– Serio, byłbyś do tego zdolny?

– By móc ponownie wziąć Isabeau w ramiona, byłbym zdolny do wszystkiego – odrzekł Ian zdecydowanie.

Odliczanie dobiegło końca i cyfry zniknęły.

– Wczytaj postaci – zarządził Daniel i kolejny licznik błysnął na ekranie. – Pewny jesteś, że nasz pomysł na usprawiedliwienie zniknięcia Jodie, Martina i Carla zadziała? – zapytał.

– Skrytobójcy podłożyli ogień w klasztorze, żeby odwrócić uwagę od swojej ucieczki, prawda? Będzie mnóstwo zamieszania i wszyscy będą się o mnie niepokoić. W całym tym bałaganie musisz udawać, że prowadzisz ich w jakieś bezpieczne miejsce, a potem się zmyjesz. Robiło się ciemno, każdy uciekał w innym kierunku – w takich warunkach nikt nie zauważy oszustwa... O zatartych śladach pomyślę ja.

P o t e m s i ę z m y j e s z. To właśnie była ta smutna część przygody. Daniel poczuł w piersi rosnący ciężar: jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie towarzyszył Ianowi w podróży do średniowiecza, aby później go tam zostawić

i wrócić do domu.

– Nie boisz się, że Anglicy zaatakują ponownie, gdy tylko dowiedzą się, że jednak żyjesz? – spytał.

– Zachowam wszelką ostrożność, chociaż nie wydaje mi się, żeby po śmierci Jerome’a Derangale’a skrytobójcy ponownie podjęli się zadania.

– Cóż, skoro tak twierdzisz...

W wizjerach zapadła ciemność, po czym rozświetlił je napis:

System loaded

Game ready

W tle pobrzmiwała średniowieczna muzyka, nieco zbyt natarczywa.

Daniel, krzywiąc się, ściszył dźwięk. Po chwili powiedział z wahaniem:

– A jak wytłumaczę twoje zniknięcie naszym bliskim? O tym jeszcze nie pomyśleliśmy.

Ian zamilkł na długo. Od kiedy skończył szesnaście lat, należał do rodziny Daniela i jego nagłe zniknięcie byłoby prawdziwym wstrząsem dla Freelandów, wciąż nieświadomych tego, co zaszło dwa i pół roku temu.

– Nie wiemy, czy zadziała dzisiaj, jutro czy za tysięcznym razem... Nie miałem pomysłu, jak przygotować grunt pod moje odejście – Ian usprawiedliwiał się z bólem serca. – Jeśli *Hyperversum* naprawdę zadziała, jeśli przeniesiemy się za chwilę, to kiedy wrócisz, możesz powiedzieć, że musiałem nagle wyjechać do Francji, że to przez moją pracę naukową, a później... – urwał i zamilkł, nie wiedząc, co mógłby powiedzieć.

– A później coś wymyślę – odparł Daniel, ucinając nieprzyjemny temat. – Tata nieźle się wkurzy, a mama... cóż, nie chcę nawet o tym myśleć. Przynajmniej pożegnałeś się z Jodie i Martinem. Oni są przygotowani na to, co się stanie.

Cisza trwała jeszcze przez chwilę.

– Ewentualnie możemy jeszcze spróbować powiedzieć prawdę – rzekł Daniel, ale widać było, że zupełnie nie jest do tego przekonany.

Ian potrząsnął głową.

– Już o tym rozmawialiśmy: jak zdołamy wytłumaczyć coś takiego bez wzbudzania sensacji? Jeśli gra nie zadziała, nikt nam nie uwierzy, a gdyby jednak miało się nam powieść... Twój ojciec z całą pewnością chciałby to dokładnie zbadać, zrozumieć, co się dzieje i w jaki sposób, wypytać naukowców i ekspertów. Jest w końcu pułkownikiem, znam go dobrze i wiem, co mógłby sobie pomyśleć. Ty też jesteś tego świadomy. Nie chcę ryzykować, że koniec końców całą sprawą zainteresuje się wojsko. Konsekwencje mogłyby być niewyobrażalne, w ogromnym stopniu

wpłynęłoby to również na twoje życie. Wolę już niczego nie wyjaśniać, zgrywać przed twoimi rodzicami ostatniego niewdzięcznika, wyjechać bez pożegnania i nie dać więcej znaku życia.

Ostatnie zdanie sprawiło, że cisza, która zapadła, wydawała się jeszcze głębsza i bardziej bolesna.

– A więc żegnamy się na zawsze – rzekł Daniel.

– Nie jest powiedziane, że przejście zadziała tylko raz i na tym koniec. Być może za jakiś czas uda się je uruchomić ponownie – rzucił Ian prawie szeptem.

Daniel z goryczą potrząsnął głową.

– Kiedy grałem sam, nigdy nie zadziałało. Jeśli teraz nam się uda, będzie to oznaczało, że to ty jesteś kluczem do wszystkiego. A skoro tam zostaniesz, to już nigdy nie pomożesz mi otworzyć przejścia.

Ian spuścił głowę i nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Chcę wrócić do domu, Daniel – wyszeptał w końcu.

Przyjaciel wyciągnął ręce i po bratersku go uściskał.

– Start – rzucił w kierunku komputera.

Napisy zniknęły, ustępując miejsca dokładnej mapie kuli ziemskiej, Europy i wreszcie Francji.

Obraz w wizjerach przybliżał się szybko, jak gdyby spadali z nieba. W końcu ograniczył się do widoku lasów i zielonych łąk, pośród których rozciągało się niewielkie skupisko niskich zabudowań wyraźnie odcinających się od tła. Pas z ceglanego muru, kościół, krużganek, refektarz, biblioteka, komnaty sypialne... Samotny klasztor wśród lasów oświetlony był z lewej strony dziwną luną, odznaczającą się na tle słabnącego blasku zachodzącego słońca.

Obraz zniknął na chwilę, a przed ich oczyma pojawił się ostatni już napis:

Saint Michel

Lenno rodu Montmayeur

Pikardia

Rozpoczęło się ostateczne odliczanie.

Coraz szybsze bicie serca sprawiało, że Daniel prawie nie zwracał uwagi na pojawiające się i znikające napisy. Skupił natomiast całą uwagę na scenie, która pokazała się w wizjerze tuż przed jego oczyma: opuszczony i mroczny plac otoczony był niskimi, skromnymi budowlami wzniesionymi z kamienia i drewna.

Daniel znieruchomiał i zeszywniał, wstrzymując oddech.

Miejsce, w którym się znalazł, nie było mu znane. Musiał to być zakątek klasztoru, w którym nigdy wcześniej nie był.

Szczegóły odtworzono z maksymalną precyzją, wszystko jednak nosiło znamiona lekkiej patyny sztuczności cyfrowych krajobrazów.

„Nic się nie wydarzyło” – pomyślał Daniel, czując jednocześnie rozczarowanie i ulgę. Z trudem panował nad nerwami. Zerknął w dół przez szkła wizjera i spostrzegł, że ma na sobie identyczny strój jak w dniu zamachu: tunikę w ciemnym kolorze, jasne nogawice, zamszowe cizmy. Najwyraźniej *Hyperversum* zrekonstruowało najdrobniejsze detale z parametrów starannie przygotowanego przez Iana scenariusza. Oczywiście wszystko to było wyłącznie iluzją, złudzeniem. Na dłoniach Daniel wciąż wyraźnie czuł rękawiczki z włókna optycznego, zmysły zaś podpowiadały mu, że siedzi na krześle przed ekranem komputera, a nie stoi, jak symulowała to gra.

– Nie działa, to wyłącznie kolejna rozgrywka – powiedział w końcu głośno, spoglądając przeciągle na własne ręce. W słuchawkach wybrzmiewały jedynie przytłumione dźwięki tła. „Głośność” – przypomniał sobie Daniel i wydał odpowiednie polecenie.

Dźwięk wybuchnął w słuchawkach i sprawił, że Daniel podskoczył, zwłaszcza że nerwy miał ciągle napięte jak postronki. Gwałtowny zawrót głowy sprawił, że zmiął w ustach przekleństwo. Nieoczekiwanie przygniótł go ciężar własnego ciała – zachwiał się na nogach i stracił równowagę.

Krzyknął z zaskoczenia, czując, że ląduje na ziemi, z twarzą w kurzu.

Bolesny kontakt z szorstką powierzchnią był jak wyładowanie elektryczne. Zaczął kaszleć.

Przerażony i oszołomiony, choć świadomy tego, co wydarzyło się przed chwilą, Daniel podniósł się na kolana.

Dotknął swojej twarzy, rąk, ubrań. Wizjer zniknął, zniknęły też rękawiczki z optycznego włókna...

– Dokładnie tak jak wtedy... – wymamrotał do siebie Daniel i nagły dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Tym razem *Hyperversum* potrzebowało mniej niż pięciu minut, by przekształcić się we wrota do przeszłości.

W tym samym momencie usłyszał wołanie Iana. Głos przyjaciela drżał z emocji.

Daniel odwrócił się i ujrzał go siedzącego na ziemi w niewielkiej odległości od niego. Był blady i rzucał dookoła niespokojne spojrzenia, w jego oczach odbijało się wiele uczuć, których nie sposób wyrazić słowami.

Również Ian miał na sobie średniowieczny strój, nieco bardziej wykwintny niż ten Daniela: ubrany był w szaty w ciemnych barwach, godne księcia Jeana Marca de Ponthieu, herbu Srebrnego Sokoła, odtworzone przez komputer, jednak sprawiające realistyczne wrażenie.

Bardzo realistyczne: błękitna tunika przedarta była na wysokości brzucha, trochę ponad paskiem.

Daniel poczuł, że robi mu się zimno.

Ian w końcu zrozumiał jego spojrzenie i zerknął w dół. Instynktownie chwycił strzęp tuniki dokładnie tam, gdzie sztylet skrytobójcy dosięgnął go dwa i pół roku temu, lecz kiedy odjął rękę, nie było na niej krwi.

Daniel odetchnął z ulgą.

„Ty kretynie” – zganił się po chwili za uczucie paniki, które go ogarnęło. „To oczywiste, że nie jest ranny. Minęło dwa i pół roku...”

Szok powoli mijał. Do jego uszu dotarł hałas. Daniel i Ian odwrócili się jednocześnie w stronę drugiego końca placu, tam gdzie przestrzeń między zabudowaniami pozwalała zobaczyć resztę podwórza i klasztor.

Tuż przed nimi czerwone języki ognia odcinały się wyraźnie od czerni zapadającej nocy.

Rozdział 2



Klasztor Saint Michel płonął, w powietrze wznosiły się kłęby dymu, popiołu i iskier. Drewniane dachy pękały i zapadały się w głąb z ogłuszającym hukiem, który mieszał się z rozpaczliwymi krzykami mnichów i służby. Kościelne dzwony nieustannie biły na alarm.

Ian i Daniel wciąż tkwili nieruchomo, obserwując ze strachem pożar. Na tle łuny wyraźnie widać było czarne sylwetki tych, którzy przy pomocy wody i mioteł na darmo usiłowali zdusić płomień. Inni przyciągali gałgany, sprzęty domowe i wszystko, co mogło się okazać użyteczne.

Tej piekielnej scenie towarzyszył ostry, niesiony przez wiatr zapach dymu.

– Mój Boże... – wymamrotał Ian z przerażeniem.

Był wstrząśnięty, oddychał szybko z nadmiaru emocji. Po tak długim czasie był znowu tu i teraz, w średniowieczu, by raz jeszcze ujrzeć dzień, w którym miał umrzeć.

Dzień, w którym wszystko się skończyło – dotąd był o tym przekonany.

Teraz jednak wszystko rozpoczynało się od nowa.

Jean Marc de Ponthieu wracał do domu.

Daniel przerwał milczenie.

– Zadziało – wydusił z siebie w końcu. – Naprawdę zadziało...

Powoli się podniósł i wycofał, aby skryć się w cieniu rzucanym przez dach na jedną ze ścian stajni. Ian podążył jego śladem, wciąż zbyt oszołomiony, by zrobić cokolwiek innego.

Było to coś niewiarygodnego, nieprawdopodobnego, chociaż mur znajdujący się za ich plecami był namacalny, a intensywny swąd dymu drażnił płuca i pozostawiał gorzki posmak w ustach.

Wszystko, co ich otaczało, nie było już tylko komputerową grafiką. Było rzeczywiste.

– To niesprawiedliwe – zaprotestował Daniel półgłosem. – Próbowałem sam mnóstwo razy i nigdy nic się nie wydarzyło. Wystarczyło, że pojawiłeś się ty i... – urwał i potrząsnął głową. – Nie ma na to naukowego, logicznego czy jakiegokolwiek innego wyjaśnienia – jęknął.

Odwrócił się ku Ianowi, który wciąż milczał, i zobaczył, że jego przyjaciel wpatruje się, niczym zahipnotyzowany, w płomienie pożaru.

– Musimy się stąd zmywać – wyszeptał w końcu.

Ian przytaknął mechanicznie.

Ich uwagę przyciągnął nagle jakiś ruch. Zerwali się na równe nogi. Wstrzymując oddech, przyczaili się w ciemności.

Trzech mężczyzn w strojach mnichów uciekało przed pożarem. Cała trójka zdawała się doskonale obojętna na to, co dzieje się dookoła nich. Ian i Daniel ujrzeli, jak tamci w pośpiechu zrzucają habity, pod którymi nosili ciemne szaty. Przy ich bokach błyszczały metaliczne sprzączki pasków, za które zatknięte były ostrza sztyletów. Osłaniali się wzajemnie, oddalając się w pośpiechu, niezauważeni w ogólnym zamieszaniu.

Ian poczuł przypływ złości.

– Oto i oni, zdrajcy – syknął, zaciskając pięści.

Od razu ich rozpoznał. Opuszczali pole walki, pewni sukcesu zleconej im misji. Usiłowali go zabić, na oczach Isabeau rzucając się na niego ze sztyletami. To oni sprawili, że spędził dwa i pół roku na wygnaniu.

Dwa i pół roku... Przez cały ten czas – dzień po dniu – trawiła go rozpacz. Wciąż poszukiwał nadziei, która pozwoliłaby mu przetrwać. Uwierzył już prawie, że wszystko przepadło.

Nagły atak wściekłości przytłumił wszelkie inne uczucia; Ian w jednej chwili zapomniał o ostrożności.

„Teraz mi za to zapłacicie” – pomyślał i ruszył gwałtownie do przodu. „Srebrny sokół zmartwychwstał i ci łajdacy wkrótce się o tym przekonają”.

Następnego kroku już nie zrobił. Daniel chwycił go mocno za ramię i mimo że Ian był większy i silniejszy, przyjaciel wciągnął go do bramy stajni. Zwierzęta wewnątrz poruszały się niespokojnie, przerażone niedalekim pożarem. Hałas wywołany przez dwóch Amerykanów ginał wśród rżenia zdenerwowanych koni.

Odciągnięty wbrew swojej woli, Ian usiłował protestować, lecz Daniel gestem nakazał mu milczenie. Ian nie odważył się z nim szarpać, choć instynkt podpowiadał mu, by się uwolnić.

Obaj pozostali w bezruchu przez dłuższą chwilę, czujnie nadstawiając uszu, by móc wychwycić każdy najmniejszy hałas. Gdy Daniel wysunął głowę na zewnątrz, nie zobaczył już nikogo – skrytobójcy zniknęli.

Wzburzony odwrócił się w stronę Iana.

– Coś ty chciał zrobić, bałwanie? Nie mamy przy sobie żadnej broni, a ich było trzech!

– Próbowali mnie zamordować, a teraz uciekają – zaprotestował przyjaciel.

– A jak konkretnie chciałeś ich powstrzymać? Użyć siły perswazji? A może wolisz,

żeby dokończyli robotę? Pozwól im odejść, przecież nie możesz ich pojmać! Zajmiesz się tym później, teraz musisz myśleć o Isabeau.

Iana powoli ogarniało zmęczenie. Odetchnął głęboko w ciemnościach. Zdał sobie sprawę, jak bardzo ryzykował i jak niebezpieczny mógł się okazać jego pomysł również dla Daniela.

– Masz rację – przyznał. Zaciśnął zęby, zmuszając się, by choć na chwilę zapomnieć o uciekających mężczyznach. Przeształ przez próg stajni i odwrócił się w stronę stojących w płomieniach budynków.

– Chodźmy – powiedział, świadomy, że w tym samym momencie jego zabójcy znikają w oddali, bezkarni, prawdopodobnie na zawsze.

Ramię w ramię przemierzyli podwórze, kryjąc się pod osłoną mroku i wśród rozproszonych cieni rzucanych na budynki przez płomienie. Nie było to trudno przejść niezauważonym, bo wszyscy mieszkańcy klasztoru stłoczyli się wokół płonących zabudowań. Niebezpieczeństwo pożaru skutecznie odciągnęło ich uwagę.

Ian skradał się wzdłuż najdłuższego boku podwórza, po czym skierował się w stronę kompleksu gościnnego przeznaczonego dla przyjezdnych najwyższej rangi. Znał dobrze drogę, był bowiem w klasztorze już dwukrotnie, a za pierwszym razem spędził tu wiele dni.

Myśli o pożarze i uciekających skrytobójcach szybko go opuściły. Serce zabiło mu mocniej.

Miał ponownie ujrzeć Isabeau. Po nieskończone długim rozstaniu miał znów wziąć ją w ramiona.

Z każdym krokiem jego serce waliło coraz mocniej, miał wrażenie, że zaraz eksploduje.

Portyk krużganka wyrósł przed nim nagle, tuż za rogiem budynku.

Ian się zatrzymał.

Przed nim rozciągał się dziedziniec otoczony kolumnami z delikatnie zdobionego białego marmuru. To tu został zaatakowany. Pamiętał każdy szczegół tamtego dnia, obraz w jego głowie był całkowicie zgodny z rzeczywistością. Tak często widywał dziedziniec w swych najgorszych koszmarach, że teraz mógłby go narysować z zamkniętymi oczyma. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy był tu po raz ostatni.

Ian szedł, wolno stawiając kroki. Drżał. Miał wrażenie, że zapada w sen – w zły sen. Poruszał się niepewnie jak lunatyk, w końcu się zatrzymał. Dotarł do miejsca, które szczególnie zapisało się w jego pamięci.

Coś przyciągnęło jego wzrok i Ian utkwił spojrzenie w ziemi. Pożar dotarł aż tutaj, pożerając część komnat położonych pod portykiem. Płomienie rzucały dziwne światło na trawę. Mimo unoszącego się wszędzie odoru dymu w jego nozdrza uderzył zapach krwi.

Daniel ostrożnie podązał za Ianem, nie widząc, że ten przystanął w połowie

dziecińca. Był zbyt przejęty, by się rozglądać. Oprócz nich na miejscu nie było żywego ducha, a mimo to uczucie zagrożenia nie ustępowało.

„Dlaczego klasztor płonie z tej strony?” – zastanawiał się z niepokojem Daniel, przyglądając się bacznie językom ognia, które z jednej komnaty przechodziły do drugiej; drewniane drzwi dawno strawił ogień.

Krużganek jednak nie sąsadował z zabudowaniami, które stały w płomieniach, nie płonęły dachy, a ogień przenosił się w dole. Skoro to nie wiatr go zaproszył, to jak mogło do tego dojść?

Epicentrum pożaru była jedna jedyna komnata i Daniel doskonale pamiętał która.

„Czy ktoś podłożył ogień także tutaj?” – dopadły go podejrzenia, pogłębiając jego niepokój. Ruszył w kierunku Iana, aby podzielić się swoimi obawami. Wtedy dostrzegł, że jego przyjaciel tkwi nieruchomo z oczami utkwionym w ziemi.

Ian dopiero po chwili zwrócił uwagę na Daniela. Przyglądał się ciemnej plamie u swych stóp, szeroko rozlanej na ziemi i trawie. Była to jego własna krew, wciąż jeszcze świeża, która trysnęła, gdy został ugodzony sztyletem. Ostatnie, co zapamiętał ze średniowiecznego świata, to zapach ziemi i trawy mokrej od krwi. I ciemność, która powoli połykała wszystko dookoła.

Daniel zbliżył się w milczeniu i chwycił przyjaciela za ramię.

– Ian... – zaczął.

– Wszystko w porządku – przerwał mu cicho, próbując opanować burzę uczuć. – Wszystko dobrze.

– Ogień... tam – powiedział Daniel, wskazując na komnaty pod krużgankiem, które stały w płomieniach.

Ian ocknął się z transu i spojrzał w górę.

– To była moja komnata... Moja i Isabeau. Mieliśmy tam spać w noc zasadzki.

Do płonącej kolumnady zbliżała się jakaś wąła postać. Dotarłszy do komnat w płomieniach, zatrzymała się i obserwowała je nieruchomo. Ten nienaturalny bezruch zdradzał jednak ogromne poruszenie i bezradność.

– Donna...! – zawołał Ian.

Cień spod krużganków podskoczył przerażony, jak gdyby został przyłapany na przestępstwie. Postać spojrzała w ich kierunku, cofnęła się o krok ze zduszonym okrzykiem, po czym rzuciła naprzód.

– Ian! Daniel! – krzyknęła dziewczyna.

Donna Barrat przemierzyła dziedziniec w jednej chwili, podtrzymując długą suknię. Zmierzwiłone rude włosy opadały strąkami na jej bladą, błyszczącą od potu twarz. Przesiąknięta zapachem dymu strojna suknia upstrzona była plamami krwi, widocznymi nawet w półmroku. Tej samej krwi, w której skąpana była trawa.

Wpadli sobie w ramiona z impetem, jak trójka rozbitków, która odnalazła się po morskiej katastrofie. Donna była bliska płaczu. Powtarzała w kółko imiona przyjaciół,

jakby chciała sama się przekonać, że widzi ich naprawdę. Odsunęła się o krok i z niedowierzaniem wpatrywała się w Iana. Chwyciła jego tunikę, dotknęła ramion i szerokiej klatki piersiowej, jakby chcąc się upewnić, że jest prawdziwy. Dotknęła ostrożnie jego brzucha na wysokości rany, z obawą, że sprawi mu ból. Pod porwanym ubraniem wyczuła bliznę.

– Ty żyjesz...! – wyszeptała.

Dygotała z przejęcia.

– To... to ja podpaliłam twoją komnatę, chciałam, by wszyscy uwierzyli, że to sprawka skrytobójców – wyrzucała z siebie naprędce. – Myślałam, że jeśli wszystko spłonie, nikt nie nabierze podejrzeń co do zniknięcia twojego ciała, później jednak zorientowałam się, że zwłoki nie spłonęłyby przecież w całości, a mogliby zacząć coś podejrzewać, gdyby nie znaleźli żadnych śladów, dlatego wróciłam tutaj i tak całkiem szczerze, to nie bardzo wiedziałam, co robić, i...

– Donna, uspokój się. U s p o k ó j s i ę – rzekł Ian, przerywając potok jej słów. Chwycił ją za ramiona i pochylił się, by spojrzeć jej w oczy, w których odbijał się blask płomieni. – Miałas i tak wystarczająco dużo rozumu, by ocalić mi życie. Gdyby nie twój pomysł, by przenieść mnie poza rzeczywistość *Hyperversum*, byłbym teraz martwy – ciągnął, a głos łamał mu się ze wzruszenia. – Już o nic nie musisz się martwić, jestem tutaj, wróciłem. Gdzie Isabeau?

Donna chwyciła jego twarz w dłonie. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których widać było napięcie. Przyglądała mu się z niedowierzaniem, jak gdyby ujrzała coś, czego wcześniej nie zauważyła.

– Ile... ile czasu minęło? – szepnęła pytająco.

– Dwa i pół roku – przyznał Ian z trudem.

Donna była oszołomiona.

– Dwa i pół roku – powtórzyła. – Rozłączyliście się, a teraz znowu tu jesteście... dla was minęło dwa i pół roku!

– Nie udało się nam wcześniej uruchomić przejścia. Obawialiśmy się, że powrót będzie niemożliwy. To cud, że tu jesteśmy – wyjaśnił Daniel.

– Gdzie jest Isabeau? – nalegał Ian, lecz Donna ze zdumieniem wciąż zerknęła to na niego, to na Daniela.

– To dlatego tak bardzo się zmieniliście – powiedziała w końcu.

Daniel i Ian spojrzeli na siebie nawzajem, zaskoczeni.

Zmienili się? Niemożliwe, przecież żaden z nich się nie zmienił, tego byli pewni. W końcu ani oni, ani nikt z rodziny nie zauważył jakichkolwiek przemian. Odmienne nastroje – być może, trochę inne zachowanie – owszem, ale nigdy nie było mowy o zmianach w wyglądzie.

Pewna myśl jednak uderzyła Iana i sprawiła, że poczuł się nieswojo: po powrocie do współczesnego świata rytm jego życia był w istocie o wiele bardziej nerwowy,

bardziej pospieszny. Częste podróże samolotami, absurdalne godziny snu, posiłki, których nie miał czasu zjeść... i te bezsenne noce spędzone na zadreczaniu się myślami o tym, co było.

Taki styl życia mógł rzeczywiście wpłynąć na jego wygląd, ale chyba powinien zdawać sobie z tego sprawę?

Daniel instynktownie odgarnął włosy z czoła. Stały się bardzo nieposłuszne, zwłaszcza ostatnio.

– Dla was minęło dwa i pół roku, dla mnie mniej niż pół godziny – nalegała Donna, spostrzegłszy wątpliwości w spojrzeniach przyjaciół. – Jeśli nawet przez chwilę nie straciliście się z oczu, nie mogliście dostrzec zmian, ale ja je widzę! Nagle postarzelicie się o dwa i pół roku!

– P o s t a r z e l i ś c i e s i ę... Dobrze, chodźmy już, a ty, Donna, nie bądź taka okrutna... – zaczął Daniel.

– Chcę zobaczyć Isabeau – rzekł Ian, czując, jak narasta w nim złe przeczucie.

Rozważania Donny kierowały rozmowę na niebezpieczne i nieprzyjemne tematy, a on nie zamierzał na to pozwolić. Spojrzał w kierunku, z którego przysła jego przyjaciółka, dziewczyna jednak mocno złapała go za ramię, jakby przeczuwając, co chce zrobić.

– Czekaj! Nie możesz jej się tak pokazać na oczy! Jesteś wychudzony, jesteś inny! Co jej powiesz, żeby to jakoś wyjaśnić? Koniec końców, ona widziała cię chwilę temu!

– Zorganizuję sobie nową ranę w miejsce tej starej i powiemy jej, że nie była aż tak poważna, na jaką wyglądała. Jeśli mi pomożesz, uwierzy nam.

– Ale to nie wystarczy, żeby usprawiedliwić całą resztę!

– Ja... ja jej wszystko wyjaśnię, Isabeau zrozumie. Teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym ją zobaczyć! – wykrzyknął Ian, z trudem powstrzymując się, by nie wyszarpnąć brutalnie ramienia z uścisku Donny.

– Nie możesz jej narażać na tego rodzaju szok – sprzeciwiła się dziewczyna.

– Przez dwa lata każdego dnia przechodziłem piekło, sądząc, że nigdy już jej nie zobaczę, więc nie trzymaj mnie teraz z dala od niej ani minuty dłużej! – uciął Ian ze złością.

Daniel próbował uspokoić przyjaciela.

– Nie chcę trzymać cię z dala od niej, ale nie mogę pozwolić, żebyś narażał nasze życie na niebezpieczeństwo! – wykrzyknęła Donna i dopiero ten argument sprawił, że Ian zatrzymał się na kilka sekund.

– Pomyśl, proszę cię... – nalegała dziewczyna. – W porządku, na pewno wytłumaczysz wszystko Isabeau i ona ci uwierzy, ale co opowiesz księciu de Ponthieu? I innym rycerzom? Jak im wytłumaczysz swoją nagłą metamorfozę?

Ian się zawahał. Nie spodziewał się takiej sytuacji, nie był na to przygotowany.

Poczuł, że wpadł w pułapkę.

Co mógłby powiedzieć Guillaume'owi de Ponthieu? Książę był zbyt spostrzegawczy, zbyt podejrzliwy, by uwierzyć w proste wytłumaczenie, zwłaszcza takie, które nie byłoby w pełni prawdopodobne i konkretne.

„Przecież nie mogę powiedzieć mu prawdy” – dotarło do Iana.

Ani jemu, ani wszystkim innym, którzy tak jak Donna dostrzegliby różnicę.

Gdyby cokolwiek rzuciło się cieniem na wiarygodność jego osoby – księcia Jeana Marca de Ponthieu – konsekwencje byłyby prawdopodobnie tragiczne, nie tylko dla niego, ale również dla Donny, która wspólnie z nim dźwigała brzemię tej tajemnicy.

Daniel podszedł do Iana, widząc jego rozterkę.

– Ejże! – zawołał. – Uspokój się, spróbujmy się nad tym zastanowić. Ty przecież wiesz, co ma się wydarzyć, prawda? Wiesz, że wszystko pójdzie dobrze, widziałeś w końcu swoich synów. To znaczy, że musi być jakieś wyjście!

Ian skinął głową i spróbował uporządkować niespokojne myśli.

– Jakich synów? – zapytała Donna, robiąc wielkie oczy.

– Isabeau jest w ciąży – zdradził Ian. – Ja... widziałem moich synów w kronice, która opisuje historię rodu. Pierwszy urodzi się za jakieś sześć miesięcy.

Donna ze zdumienia zakryła dłonią usta.

– Ktoś idzie! – zawołał nagle Daniel.

– Tutaj, szybko! – krzyknęła Donna i rzuciła się naprzód, prowadząc przyjaciół w gęstą ciemność arkad krużganków. Gdy dotarli do drzwi komnaty, Donna otworzyła je w pośpiechu i wpuściła ich do środka, po czym zaryglowała wrota i zamarła w oczekiwaniu, wstrzymując oddech.

– Ale to jest przecież... – wydusił Daniel i nie dokończył zdania, rozpoznając wielką komnatę, w której mnisi gościli jego, Jodie i Martina, gdy byli w klasztorze po raz ostatni.

Na zewnątrz ktoś przemierzał biegiem dziedziniec, wołając donośnie. Głosy wzywały desperacko księcia Jeana Marca de Ponthieu i wkrótce dołączyły do nich odgłosy uderzeń pięścią w sąsiednie drzwi.

– To twoi słudzy, ci, którzy byli z tobą prawie do końca. Poszukują swego pana, nie wiedzą jeszcze, co tak naprawdę się wydarzyło – wyszeptała Donna, nasłuchując krzyków z zewnątrz.

Daniel przytaknął i sam zaczął słuchać.

Ian natomiast wcale nie zwracał uwagi na hałasy dochodzące zza drzwi. Zamarł, wpatrując się w stojące na środku komnaty łoże, na którym spoczywała nieruchoma postać, ledwo widoczna w świetle płonącej pochodni.

Wstrzymał oddech.

Isabeau wyglądała jak delikatny anioł wyrzeźbiony z wosku. Leżała bez zmysłów, długie włosy w nieładzie opadały jej na twarz. Jej dłoń, która zwiisała poza krawędź

łóżka, nosiła ślady krwi, widoczne również na sukni.

Chociaż Ian nie był w stanie przypomnieć sobie ukochanej schylającej się nad nim jeszcze długo po zamachu, wiedział, że to musiała być jego krew. Ścisnęło mu się serce na myśl, że dziewczyna była przy tej koszarnej scenie.

Podszedł do niej powoli i klęknął obok łóżka, czując przemożną chęć, by chwycić Isabeau w ramiona. Mimo to zawahał się i nawet jej nie dotknął.

A gdyby obudziła się właśnie w tym momencie? Jaka byłaby jej reakcja, gdyby ujrziała swego małżonka uzdrowionego i tak bardzo odmienionego?

Ian przełknął ślinę. Donna miała rację – nie może narażać Isabeau na taki szok. Był kretyńcem, myśląc, że sprawa rozwiąże się sama, w prosty sposób. To tak, jakby wierzył, że z łatwością można wytłumaczyć, czym jest *Hyperversum*.

Jak wyjaśnić coś takiego? Nawet on nie rozumiał, dlaczego *Hyperversum* zagrało z ich życiem w taki sposób... Jak niby miałyby wyjaśnić to komuś, kto urodził się w średniowieczu?

Sztuczka technologiczna? A może jednak czary?

Dla Isabeau, tak jak dla księcia de Ponthieu i nielicznych mieszkańców średniowiecznej rzeczywistości, Ian Maayrkas był cudzoziemcem pochodzącym z odległych krain. Księżę wykorzystał go, by zataić śmierć młodszego brata i ocalić ród od groźby intryg knutych przez wrogów politycznych.

Żadne z nich nawet w najśmielszych domysłach nie wyobrażało sobie prawdy o rzeczywistym pochodzeniu Iana, zresztą, jakim cudem mieliby być do tego zdolni? Idea podróży w czasie była absolutnie poza zasięgiem ich umysłów, równie dobrze mógłby stanąć przed nimi przybysz z obcej planety. W wersji najbardziej optymistycznej pomyśleliby, że to cud, w najgorszej – że czarna magia.

Iana ogarnął nagle strach. Zadrżał. Wprawdzie z księgi wynikało, że miał wrócić do średniowiecza, by ujrzeć narodziny swego pierworodnego i drugiego syna, jednak te kilka przypadkiem przeczytanych wersów milczało na temat stanowiska dworu wobec książęcego potomstwa...

Zrozumiał teraz w pełni, jak wielką wagę ma kwestia jego powrotu. W zależności od tego, jak bardzo wiarygodny lub traumatyczny będzie jego przebieg, może wpłynąć nieodwracalnie na dalsze losy Iana. Jeśli jego reputacja miałaby w jakimś stopniu zostać podana w wątpliwość, jeśli miano by mu złorzeczyć czy kwestionować w jakikolwiek sposób jego wiarygodność, niewątpliwie dotknęłoby to Isabeau.

Nie mógł na to pozwolić. Musiał za wszelką cenę znaleźć sposób, by nie zaszkodzić jej swoim nagłym powrotem i nie przysporzyć dalszych cierpień.

Z bólem zdał sobie sprawę, że jedynie czas mógł mu pomóc. Zmiany w wyglądzie mogły zostać zaakceptowane wyłącznie po jego dłuższej nieobecności.

Poczuł, że oczy ma pełne łez. Splótł palce z palcami Isabeau, zimnymi i wilgotnymi od krwi, która wciąż jeszcze na nich nie zaschła.

– Przykro mi, ukochana – wymamrotał, ściskając je jak najdelikatniejszy skarb.

Daniel spoglądał na nich wzruszony.

Poruszył się, gdy nagle rozległo się gwałtowne pukanie. Te same zrozpaczone głosy, które chwilę wcześniej dobiegały z daleka, teraz dały się słyszeć zza ściany.

– *Messieurs! Où êtes-vous?*¹

– *Repondez-nous, pour l'amour de Dieu!*²

– *Mesdames! Répondez! Vous êtes en danger!*³

– Uciekajcie stąd – nakazała cicho Donna przyjaciółom.

Daniel podbiegł do Iana i pociągnął go za rękę, by ten podniósł się z klęczek. Popchnął go w stronę okna naprzeciwko drzwi i zmusił do wspięcia się na parapet.

Zanim do Iana dotarło, co tak naprawdę się dzieje, siedział już na ziemi, wsparty o ścianę pod oknem. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał hałasów dochodzących z komnaty.

Daniel natomiast ledwo zdążył się odwrócić, gdy służący wbiegli do komnaty, której Donna nie zamknęła na klucz.

– *Monsieur*, dzięki niebiosom, jesteście tutaj! – wykrzyknął jeden z nich na jego widok.

Reszta wydawała z siebie okrzyki przerażenia, widząc zakrwawioną Isabeau leżącą nieprzytomnie na łożu.

– Zaatakowali księcia Jeana! – wykrzyknął Daniel, uprzedzając jakiegokolwiek pytania, i wskazał palcem dziedziniec za drzwiami. Po tak długim czasie dziwnie się czuł, używając francuskiego; miał wrażenie, że jego głos brzmi całkiem obco. – Zabrali go! Musimy ich ścigać! – dodał. Rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek pretekstu, by zmusić tych ludzi do oddalenia się. W duchu podziękował losowi, że migotliwe i wątle światło pochodni oraz przestraszonych sług uniemożliwia komukolwiek dostrzeżenie zmian, które zaszły w jego wyglądzie.

Jego słowa wywołały jeszcze większą wrzawę. Rozemocjonowani mężczyźni krzyczeli, niektórzy wybiegli na zewnątrz.

– Zaprowadźcie damy w bezpieczne miejsce! – nakazał Daniel służącym, którzy tłoczyli się obok łóżka Isabeau. Donna rzuciła mu się w ramiona i zdawało się, że szuka u niego pomocy.

– Wyślij ich na poszukiwania Jodie, Martina i Carla, musimy jakoś wyjaśnić ich zniknięcie – krzyknęła, korzystając z faktu, że nikt poza nimi nie rozumiał angielskiego. – Powiedz im, że Carl się wymknął, że widziałam go, gdy uciekał.

Daniel otworzył szeroko oczy.

– Uciekł? Dokąd? – zapytał.

– Nie wiem, coś wymyślę. Z drugiej strony, ten tchórz Carl byłby zdolny do ucieczki, nawet gdyby nie wiedział, dokąd wiać, choćby dlatego, że spanikował. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy mu się to przytrafia.

Daniela uderzyła złość, którą dało się słyszeć w głosie Donny. Było to zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że dla niej nie minęło tak wiele czasu jak dla niego. Jej uczucia względem pierwszej przygody wewnątrz *Hyperversum* były wciąż żywe i silne. Czowała wstręt do Carla, który porzucił ją na pastwę losu w obcym świecie średniowiecza.

– Teraz i ty stąd spadaj – zarządziła Donna, chwytając go za szaty. – Zajmij się Ianem i znajdźcie jakiś sposób, by zniknąć. Nie daj mu wrócić wcześniej niż za kilka miesięcy. Wymyśliłeś, że porwali go skrytobójcy – dobrze! Powiemy wszystkim, że pojмали go jako zakładnika.

– Ale kim byli ci porywacze i dokąd go zabrali? Musimy opracować jakiś plan, nie możemy tak całkiem improwizować. Jeśli teraz nie ustalimy jednej wersji, to co powiemy po powrocie? – zaprotestował Daniel z niepokojem.

– Nie ma teraz czasu na gadanie! Za chwilę zjawią się tu tłumy. Z każdą minutą wzrasta ryzyko, że nas nakryją – uciszyła go Donna. – Jeśli w księdze Iana naprawdę zapisane jest wszystko to, co ma się wydarzyć, znajdziecie tam również wyjaśnienie jego nieobecności. Teraz już idźcie!

Daniel przytaknął i odsunął się od niej. W głowie miał mętlik, czuł, że serce podchodzi mu do gardła.

– Pomóżcie mi odnaleźć innych! No już! Szybko! – nakazał po francusku przerażonym sługom, którzy nie zrozumieli ani słowa z jego rozmowy z Donną. – A wy zaprowadźcie panią de Montmayeur w bezpieczne miejsce! – zawołał do dwóch, którzy stali najbliżej.

Mężczyźni pospiesznie wykonali rozkaz: owinęli Isabeau prześcieradłem i wzięli ją ostrożnie na ręce.

Daniel ujął dłoń Donny.

– Do zobaczenia za kilka miesięcy – szepnął do niej w napięciu.

– Wróćcie tutaj, do klasztoru. Znajdę sposób, by informować was na bieżąco o tym, co będzie się tu działo przez ten czas – odpowiedziała.

Daniel odsunął się na bok, by przepuścić służących niosących Isabeau. Nie mógł powstrzymać się od zerkania w stronę otwartego okna, świadomy, że Ian jest z drugiej strony i pewnie słyszał rozmowę w komnacie.

– Powiedz mu, że będę się troszczyć o Isabeau aż do jego powrotu – poprosiła Donna i skinęła głową, by dodać mu odwagi.

Daniel zdecydował się w końcu i wyszedł.

Po drugiej stronie okna Ian wciąż siedział skulony pod parapetem, z kolanami podciągniętymi wysoko pod brodę i plecami opartymi o ścianę. Chęć powrotu do komnaty walczyła w nim z głosem rozsądku. Słyszał, jak słudzy wynoszą Isabeau, i choć czuł w piersi ołowiany ciężar, nie odważył się podnieść.

Złapał się rękami za głowę i trwał nieruchomo, nasłuchując hałasów zza ściany, które stopniowo cichły. Po chwili ustały zupełnie i do jego uszu docierały już tylko

dalekie odgłosy pożaru.

Daniel wrócił po niego jakiś czas później. Minęła godzina, może trochę więcej, Ian nie potrafił tego ocenić. Kiedy przyjaciel usadowił się na trawie u jego boku, Ian skulony tkwił wciąż w tym samym miejscu. Daniel dyszał, jak po dłuższym biegu.

– Pozbyłem się ich – wykrztusił, nabierając powietrza. – Wysłałem ich na poszukiwania we wszystkich kierunkach, a sam się stamtąd zmyłem. Myślą, że wciąż jestem na tropie skrytobójców. Mnisi z klasztoru znaleźli ślady krwi na łące, niektórzy się obawiają, że ludzie Derangale’a nie zabrali cię ze sobą, tylko wrzucili twoje zwłoki w płomienie dla jeszcze większej hańby. Te wszystkie domniemania przydadzą się nam, żeby trochę zbić ich z tropu, dopóki nie wrócimy.

Zamilkł, by zwilżyć sobie usta, po czym dodał:

– Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak się z tego wszystkiego wyplątać. Serio, liczę na to, że ta twoja księga podpowie nam, jak to wytłumaczyć. Potrzebujemy żelaznego alibi.

– Ja się stąd nie ruszam – rzekł Ian głucho, nie podnosząc głowy.

– Co takiego? – Daniel wytrzeszczył oczy.

– Nie ruszam się stąd – powtórzył Ian. – Nie chcę.

– Oszalałeś? Wiesz, że to dla nas jedyne wyjście.

Ian nie odpowiedział. Wciąż skrywał twarz w dłoniach.

Daniel poczuł przypływ współczucia dla przyjaciela, ale szybko się opanował.

– Idziemy, nie zachowuj się jak dziecko. Ogień jest coraz bliżej i prędzej czy później ktoś się zjawi, by spróbować go ugasić. Jeśli tu zostaniemy, nakryją nas i wtedy dopiero będzie trudno to wszystko wyjaśnić – powiedział i podniósł rękę na wysokość twarzy. – Help – zarządził.

Na jego dłoni pojawiło się zielone pulsujące jabłko. Wirtualne jabłko. Ikona *Hyperversum*.

Na jej widok Ian podskoczył i gwałtownie podniósł głowę.

– Dotknij go – powiedział Daniel, przesuwając świetlistą ikonę w stronę Iana. – Tak to działa, chyba o tym wiedziałeś? Tłumaczyłem ci już: żeby skończyć grę, oboje musimy dotknąć ikony, potem ja mogę zamknąć całość.

Ian przywarł instynktownie do ściany, nie odzywał się. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Jeśli sam się nie ruszysz, wyciągnę cię z gry siłą – zagroził Daniel. – Już raz to zrobiłem i mogę zrobić ponownie. Nie zachowuj się więc jak idiota i nie zmuszaj mnie do tego.

Ian rzucił mu urażone spojrzenie. Uprzedzając wybuch pretensji, Daniel położył

mu rękę na ramieniu w braterskim geście.

– Wiem, że nie jest ci łatwo, ale pomyśl, że robisz to dla Isabeau.

Zapadła cisza. W końcu Ian ustąpił.

– I tak będzie cierpiała, jak ja cierpiałem, dzień po dniu, sama w pustej komnacie – powiedział cicho. Ta myśl była dla niego nie do zniesienia.

– Ale Isabeau będzie miała nadzieję na twój powrót, Donna nie pozwoli jej zwątpić. Pomyśl raczej, że zostając tutaj, narażasz na niebezpieczeństwo nie tylko swoje życie. Narażasz też ją! To, co teraz zrobisz, będzie miało wpływ na waszą przyszłość.

Mimo że Ian powtórzył powoli te słowa, by przekonać sam siebie, Daniel musiał podnieść jego rękę, by sięgnęła ikony *Hyperversum*.

– Odwagi, rycerzu. Przechodziłeś przez dużo cięższe próby, sprostasz i tej.

Ian zamknął oczy. Gwałtowny zawrót głowy na chwilę pozbawił go czucia. Chwycił się najbliższej rzeczy i zrozumiał, że dotyka oparcia pluszowej kanapy, tej samej, na której siedział przed rozpoczęciem gry.

Wrócił.

– Zakończ rozgrywkę – usłyszał głos Daniela.

Byli w tym samym pokoju, z którego wyruszyli. Zegar na ekranie komputera wskazywał kilka minut od momentu rozpoczęcia gry.

Daniel w pośpiechu zdjął wizjer i rękawiczki, prawie jakby go parzyły. Próbując uspokoić bicie serca, przez kilka chwil wpatrywał się w monitor, na którym kolejno zamykały się wszystkie okna gry, po czym odwrócił się do Iana.

Przyjaciel leżał wycieńczony na kanapie, głowa opadła mu na bok. Zdążył zdjąć wizjer i teraz trzymał go w dłoni. Wpatrywał się w sufit i oddychał pospiesznie, jak po ogromnym wysiłku.

– Wszystko w porządku? – zapytał Daniel.

Ian wskazał na komputer.

– Zaprogramujmy nową rozgrywkę. Przesuniemy datę w przód i zaczniemy od początku.

Daniel podniósł się, czując, że czeka go niezwykle trudna dyskusja.

– Nie teraz – odpowiedział.

Ian rzucił mu ciężkie spojrzenie.

– A niby kiedy?

– Tym razem musimy się lepiej przygotować. Przede wszystkim musimy przeczytać dokładnie tę iluminowaną kronikę i za dzień albo dwa...

– Dzień lub dwa to zbyt długo! – wybuchnął Ian niespodziewanie. – Dość tego

czekania, chcę rozpocząć nową rozgrywkę. W tej chwili!

– Nie – sprzeciwił się Daniel. – Tym razem zrobimy tak, jak ja mówię. W tym momencie nie jesteś w stanie podjąć racjonalnej decyzji. Rozumiem cię, ale musimy zaplanować w każdym szczególe to, co powiemy i zrobimy, kiedy zjawimy się tam ponownie. A poza tym – dodał w pośpiechu, widząc, że Ian już otwiera usta, by zaprotestować – teraz, kiedy już wiemy, że przejście rzeczywiście działa, pomożesz mi uporządkować parę spraw, zanim znikniesz na zawsze. Ty odchodzisz, ale ja tu zostaję. Nie możesz zwalić na mnie wyjaśniania wszystkiego moim rodzicom. Ja ci pomogłem, zrobiłem wszystko, co mogłem, by twój brat, księżę Guillaume, nie nabrał jakichkolwiek podejrzeń.

Poważny ton Daniela sprawił, że wszelkie słowa sprzeciwu zamarły Ianowi na wargach.

Młodzieniec milczał przez dłuższą chwilę, po czym szepnął:

– Dobrze – poddał się. – Masz rację. Nie wiem, gdzie podziałem swój rozum w całej tej historii.

– No, głowa do góry! – Daniel dodał mu otuchy. – Zobaczysz, jakoś to zorganizujemy.

Ian uśmiechnął się blado.

Rozdział 3



Niełatwo było przeprowadzić w rodzinie dyskusję na ten temat, zwłaszcza z pułkownikiem Johnem Freelandem, ojcem Daniela. Ian nie mógł jednak i nie chciał zawrócić z raz obranej drogi. Rozstawał się w niezgodzie z człowiekiem, który opiekował się nim, od kiedy Ian skończył siedemnaście lat, i sprawa ta raniła go do głębi.

Był bardzo zdenerwowany, kiedy ponownie usiedli do gry. Przyjaciel szanował jego milczenie i nie zadawał pytań odnośnie do drażliwej kwestii.

Tego piątkowego wieczoru rodzice Daniela towarzyszyli Martinowi w jego pierwszym wyjazdowym meczu baseballu i nie planowali powrotu przed niedzielnym popołudniem. Ian miał być wtedy już bardzo daleko. Miał bilet tylko w jedną stronę, a rysa, która powstała między nim a pułkownikiem Freelandem, miała pozostać niezatarta.

Również Daniel czuł się nieswojo ze względu na kłótnię, która pierwszy raz od wielu lat zburzyła rodzinny spokój. Już same łzy Jodie, skwapliwie ukrywane, i smutek Martina na myśl o pożegnaniu Iana na zawsze były wyjątkowo posępnym widokiem.

– Masz już gotowy scenariusz gry? – Daniel w końcu zapytał.

Ian nic nie odpowiedział, tylko podsunął mu krążek CD.

Daniel ostrożnie zaczął zmieniać ustawienia gry.

– O ile mam przesunąć datę? Sześć miesięcy w przód?

– Dwa miesiące wystarczą w zupełności – odparł sucho Ian.

Daniel rzucił przyjacielowi ponure spojrzenie.

– To niemożliwe, żebyś w tak krótkim czasie tak bardzo się zmienił.

– Chcę tylko być przy narodzinach mojego syna – upierał się Ian.

Przez chwilę spoglądali na siebie pogrążeni we własnych myślach.

– Co piszą na ten temat w kronice? – Daniel zapytał w końcu.

Ian niedbale machnął ręką.

– Nie ma wskazanej konkretnej daty. Napisali tylko, że książe Jean Marc de Ponthieu pozostał więźniem swych nieprzyjaciół przez wiele miesięcy i że powrócił do domu wraz z rozpoczęciem zimy.

– Zimy, tak? Okej, przyjmujemy więc początek nowego roku jako datę twojego

powrotu do domu. Dziesiąty stycznia, zgadzasz się? W ten sposób upłynie pięć miesięcy od zamachu. Nie za dużo, nie za mało.

Ian westchnął, chcąc zaprotestować, ale się powstrzymał. Mimo że pragnął maksymalnie skrócić czas, który Isabeau miałyby spędzić sama, czekając na jego powrót, wiedział, że nie może tego zrobić, jeśli chce zachować wiarygodność swego alibi. – W porządku – odrzekł w końcu. – A jeśli chodzi o całą resztę, wszystko ustalone?

– Nauczyłem się na pamięć wszystkich instrukcji, które wysłałeś mi w mailu. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, byle tylko ci nie zaszkodzić – odpowiedział Daniel.

Ian przytaknął. Wciąż wydawał się bardzo spięty.

– Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze – rzucił niepewnie.

Daniel nie odebrał tego jako znaku braku wiary w swoje umiejętności: sam byłby równie zaniepokojony, gdyby musiał opowiedzieć wymyśloną historyjkę księciu de Ponthieu. Nawet gdyby znał ją w najdrobniejszych szczegółach.

Guillaume de Ponthieu od zawsze wzbudzał w nim przytłaczający respekt, graniczący w zasadzie z trwogą, i Daniel wątpił, by kiedykolwiek uległo to zmianie. Jego książęca wysokość, w całej swej przenikliwości, na pewno zauważyłby każdy najdrobniejszy zgrzyt w przedstawieniu przygotowanym przez Iana: i był to kolejny powód, dla którego ich alibi musiało być absolutnie niezbite.

– Jesteś pewien, że dobrze zinterpretowałeś zapisy w kronice? – zapytał nerwowo Daniel.

– Myślę, że tak. Mimo że nie ma zbyt wielu szczegółów.

– Ani słowa o mnie?

– Nie, już ci to mówiłem. – Ian przemilczał fakt, że nawet nie próbował czytać dalszego opisu swego powrotu do klasztoru Saint Michel. Wiedział, co jego przyjaciel sądzi na temat wiedzy zaczerpniętej z manuskryptu, i zdawał sobie sprawę, że w tej kwestii nie dojdą do porozumienia. Daniel przestudiowałby każdą stronicę kroniki, aby uwzględnić wszystkie informacje dotyczące wyprawy, którą usiłowali rozpocząć. Ian natomiast nie chciał czytać ani jednej linijki dalej, usiłując uniknąć spoilerów na temat swego przeznaczenia. Było to coś, co przerażało go dużo bardziej niż opowiadanie kłamstw Guillaume'owi de Ponthieu.

W końcu podszedł do tego na swój sposób: przeczytał tyle, ile było konieczne, żeby poznać bieg wypadków. I to mu wystarczyło. Wolał poznawać swoją przyszłość wraz z kolejnymi wydarzeniami, tak jak zazwyczaj przydarza się to normalnym ludziom.

– Mógłbyś powiedzieć tym swoim zakonnym kopistom, żeby byli bardziej wylewni, kiedy już piszą te kroniki – prychnął Daniel.

– I tak wszystko pójdzie po naszej myśli, zobaczysz – uciął krótko Ian. – W gruncie

rzeczy w kronice jest tylko zapis tego, co właśnie mam zamiar im opowiedzieć, więc siłą rzeczy musi się zgadzać z tym, co sobie teraz wymyśliłem.

Daniel próbował udawać przekonanego. Tymczasem komputer skończył ładować wszystkie ustawienia gry.

– Zaczyna się – oznajmił Daniel.

Stali na zboczu góry, w ciemnym i zimnym lesie. Ian nie chciał ryzykować, pojawiając się znikąd w biały dzień, nawet w odległym i bezludnym miejscu poza terenem klasztoru. Wybrali moment tuż przed świtem, kiedy z całą pewnością wszyscy mieszkańcy okolicy – mnisi, chłopci, łowcy, pasterze i wędrowcy – siedzieli skryci za murami osady, czekając na poranek, by rozpocząć swe zwykłe zajęcia.

Wiatr hulał między czarnymi konarami drzew, wyjąc złowieszczo. Wśród suchych zarośli nie było śladu po leśnej zwierzynie. Ogołoczone z liści drzewa sprawiały upiorne wrażenie: tylko rzadkie kępki igieł tworzyły plamy zieleni w tym opustoszałym krajobrazie, przesiąkniętym zapachem mokrej ziemi i gnijących liści. Przysłonięty chmurami księżyc dawał bardzo niewiele światła.

Daniela przeszył dreszcz.

– Ale tu zimno! – zawołał.

Przesunął się w stronę wyłomu w skale, który choć trochę chronił przed wiatrem, ale nawet tam temperatura była niewiele wyższa. Z każdym oddechem z ich ust wydobywały się małe obłoczki pary.

– I właśnie dlatego tym razem, decydując o strojach, wybrałem dla ciebie gruby płaszcz – odpowiedział Ian, rozcierając sobie ręce, żeby się ogrzać. Na próżno. W przeciwieństwie do przyjaciela miał na sobie to samo ubranie, co w poprzedniej rozgrywce, tyle że o wiele bardziej zużyte. Niebieska tunika była zacerowana na wysokości brzucha.

– Mogłeś wybrać taki sam również dla siebie – zauważył Daniel.

– Ja, w przeciwieństwie do ciebie, aż do dzisiaj byłem więźniem. Dlatego zmieniłem twój strój, a swojego nie. Ciesz się, że jest ci wygodnie, ja muszę zachować pozory.

Daniel gwizdnął półgłosem.

– Doskonała robota, Sherlocku. Pomyślałeś o każdym szczególe.

– Musiałem, jeśli nie chcę wzbudzić podejrzeń. Najgorsze jest to, że *Hyperversum* nie wyposaża nas w nic innego oprócz ubrań, i przez to nie wiedziałem, co wymyślić, żeby usprawiedliwić twoją ewentualną obecność – nie masz ze sobą broni ani nawet konia. Nie mogę więc zabrać cię teraz ze sobą. Musisz maksymalnie uważać, żeby nikt cię nie spostrzegł, gdy będę szedł w stronę klasztoru. Później wyrecytuję swoją

rolę i wrócę po ciebie.

– Nieważne. Rób to, co do ciebie należy, przedstawienie jest w tej chwili najważniejsze.

Ian wyglądał na zmartwionego.

– Byłoby ci o wiele łatwiej, gdybyś nie naciskał tak bardzo, żeby towarzyszyć mi aż do Châtel-Argent. Mógłbyś zwyczajnie pomóc mi się tu dostać i wrócić. W sumie możesz to jeszcze zrobić.

Daniel, poirytowany, potrząsnął głową.

– Już o tym rozmawialiśmy i nie mam najmniejszego zamiaru do tego wracać. Będę się ciebie trzymał jak cień aż do chwili, gdy przekroczysz zwodzony most Châtel-Argent. I zamiast zapuszczać tu korzenie, czekając na ciebie, potowarzyszę ci w tej wycieczce.

Zdał sobie sprawę, że nie odpowiedział zbyt grzecznie, ale nie mógł nic na to poradzić. Sam pomysł pożegnania Iana na zawsze budził w nim złość pomieszaną z bólem. Chciał zrobić wszystko, żeby odwlec ten moment w czasie tak bardzo, jak tylko się da.

– Dotarcie do zamku zajmie nam prawie dwa dni. Jak masz zamiar wytłumaczyć swoją nieobecność w domu? – zapytał Ian i widać było, że unikał powrotu do poprzednich kwestii, żeby już bardziej nie denerwować przyjaciela.

– Czas płynie inaczej tutaj i poza *Hyperversum*, zdałem sobie z tego sprawę już przy poprzedniej rozgrywce. Byliśmy w grze ponad godzinę, a zegar komputera odliczył dosłownie kilka minut. Zresztą za pierwszym razem, gdy tu trafiliśmy, było tak samo. Spędziliśmy tu parę dobrych miesięcy, a na komputerze minęło zaledwie kilka godzin. Zdamę się stąd wydostać, zanim wrócą Martin i rodzice. Zresztą, cała trójka jest poza domem aż do niedzieli wieczorem.

Ian znieruchomiał, wpatrując się w las i obejmując się ramionami, żeby odzyskać choć trochę ciepła.

– Czyli pomyśleliśmy o wszystkim.

– Owszem, zdaje się, że tak – Daniel zamilkł na chwilę, zbierając się w sobie. Postarał się, aby jego głos zabrzmiał stanowczo: – Odwagi, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby książe Jean Marc de Ponthieu wrócił do domu!

Ian wyraził całą swoją wdzięczność, uśmiechając się ze wzruszeniem.

– Pójdę i zaraz będę z powrotem. Postaram się załatwić to jak najszybciej.

– A ja, jak tylko się rozjaśni, zejdę w stronę drogi. Ukryję się tam i będę na ciebie czekał – odparł Daniel. – Jesteś pewien, że dasz radę?

– Nie pierwszy raz będę sam podróżował przez mroki średniowiecza! Bądź spokojny, poradzę sobie.

– Jeśli tylko coś pójdzie nie tak, wrócisz od razu do domu przez *Hyperversum*, obiecuję mi.

– Obiecuję. Nie bój się.

Ian nie czuł się całkowicie spokojny, ale usiłował to zamaskować.

– Nie powinienes już wyruszać? – upomniał go Daniel. – Jeśli naprawdę tak bardzo się o mnie martwisz, lepiej się pospiesz. Szybciej pójdziesz, szybciej wrócisz, krócej będę musiał się kryć w tej zimnej dziupli! Pewnie gdyby tylko ł a s k a w y k s i ą ż ę zdecydował się zorganizować swój powrót na wiosnę, wszystko byłoby odrobinę łatwiejsze.

– Gdyby to zależało ode mnie, przyjechałbym tu jeszcze zeszłej jesieni, skoro już nie mogłem zostać przez całe lato. To ty nalegałeś, żeby poczekać parę miesięcy i patrz, nagle mamy zimę – odparł Ian, odchodząc kilka kroków od skały i zmierzając w stronę zejścia w kierunku klasztoru. – A tak w ogóle to przestań narzekać. Jest tylko trochę zimno i nawet nie pada ci na głowę. Mogło być gorzej – za pierwszym razem, kiedy się tu znaleźliśmy, byliśmy przemoczeni do suchej nitki.

W tym samym momencie, ku jego zaskoczeniu, wiatr przybrał na sile, a powietrze stało się bardziej wilgotne. Coś zaszeleściło w bezlistnych gałęziach i wysokich koronach sosen. Zaczęło lać.

Daniel zerknął na Iana z wnętrza niewielkiej jaskini. Jego ubrania błyskawicznie nasiąkały wodą. Milczał i ze spuszczoną głową rozglądał się za szlakiem, który wyprowadziłby go z lasu.

Daniel patrzył, jak przyjaciel znika między drzewami. Wychylił się z jaskini, żeby spojrzeć na ciemne niebo i rześście padające krople.

– Ta gra ewidentnie nas nie lubi – wyszeptał.

Wsunął się do swojej kryjówki, żeby nie zmoknąć. Usiadł na ziemi, owijając się płaszczem. Czuł się paskudnie, i nie była to tylko kwestia zimna.

Sam, w ciemnościach, w samym środku średniowiecza, nie był tak pewny siebie, jak mogłoby się wydawać. Starał się tylko zachować pozory. Ale lepiej, by Ian się o tym nie dowiedział.

Zejsście ze zbocza i dotarcie do drogi prowadzącej do klasztoru zajęło Ianowi dłuższą chwilę. Deszcz sprawił, że ziemia zrobiła się dość śliska. Po kilku ryzykownych akrobacjach grożących upadkiem chłopak postanowił zwolnić, żeby nie zrobić sobie krzywdy.

Całkowicie przemoczony stanął wreszcie u bram klasztornych, zamkniętych jeszcze po nocy. Deszcz nie ustawał, a ciemność wciąż była gęsta. W oknach można było jednak dostrzec słabe światło. Krótkie uderzenie dzwonu oznajmiło, że zakon przygotowuje się do pierwszych modlitw, odmawianych jeszcze przed wschodem słońca.

Ian zapukał kilkakrotnie do bram i moknąc w deszczu, ze stoickim spokojem oczekiwał, aż pojawi się ktoś, kto mógłby mu otworzyć.

Lufcik w bramie uchylił się: stary strażnik uniósł latarnię, której blask oświetlił przemarzniętego chłopaka.

– Czego chcą? – zapytał podejrzliwie. – Nie wydajemy posiłków do południa, a brat zielarz został wczoraj wezwany do pobliskiego miasta. Nie mamy nikogo, kto mógłby pomóc chorym czy rannym.

Ian zrobił krok w stronę starca, żeby dać się rozpoznać w świetle lampy.

– Na miłość boską, wpuście mnie – zażądał. – Jestem Jean Marc de Ponthieu i nie macie pojęcia, przez co przeszedłem, zanim tu dotarłem. Udzielcie mi schronienia, opat mnie zna i może za mnie poręczyć.

Stary stróż wytrzeszczył oczy i wstrzymał oddech. Podniósł wyżej latarnię i spojrzał na roslą sylwetkę swojego rozmówcy. Ian przypomniał sobie, że wzrost w tym świecie był jego znakiem rozpoznawczym, i odruchowo wyprostował plecy. Osiągnął zamierzony efekt bez większego wysiłku.

– Mości książę...! Toż to cud...! – wymamrotał w końcu stary strażnik i usiłując w pośpiechu otworzyć bramę, przeżegnał się kilkakrotnie.

Ian poczuł ulgę.

Wystarczyło, że strażnik krzyknął, i w całym klasztorze nagle zawrzało jak w ulu, do którego ktoś wrzucił kamień. Pierwszy nadbiegł wikariusz, zaraz za nim przeor, niosąc kolejne latarnie, a później sam opat. Z okien kościoła i nisz portyków wyglądały twarze mnichów i sług, którzy nie próbowali nawet ukrywać ciekawości wywołanej tak niezwykłymi wieściami.

– Mości książę! Jakaż to ulga widzieć was żywym! Składamy dzięki niebiosom za ten cud! – wykrzyknął opat, wyciągając ręce w kierunku Iana w geście powitania. Był szczerze wzruszony. – Modliliśmy się za was cały ten czas i Pan, w swym nieskończonym miłosierdziu, wreszcie nas wysłuchał!

Mnisi szeptali poruszeni, kiedy ich przełożony potwierdził tożsamość nieoczekiwanego przybysza, który zjawił się w klasztorze w samym środku mroźnej zimowej nocy. Była to prawda: książę de Ponthieu był wciąż żywy i wiadomość ta szybko dotarła w każdy zakamarek opactwa. Wszyscy już wyobrażali sobie nadchodzące zamieszanie i uroczystości.

Ian bezwiednie pozwolił, by opat ścisnął mu dłonie. Był ogromnie poruszony tym spotkaniem. Witał go człowiek, którego nie widział od dwóch i pół roku.

Naprawdę wrócił do domu. Teraz wiedział to już z pewnością.

– Wielebny ojciec, nie wiecie, jaka to radość dla mnie przybyć tu ponownie po tak długim czasie – odrzekł, bez cienia fałszu w głosie. – Prawie straciłem wszelką nadzieję.

W czujnym spojrzeniu opata można było jednak dostrzec troskę.

– Myśleliśmy, że przepadliście, że zginęliście w pożarze. Minęło tak wiele czasu... Co wam się przytrafiło? Tacyście bladzi i wychudli... cóż oni wam uczynili?

Ian w myślach podziękował Donnie i jej przezorności, która skłoniła go do opóźnienia powrotu o kilka miesięcy. Dziewczyna nie przesadzała: zmiany były tak widoczne, że nie pozostawały niezauważone nawet dla obcego oka.

– To długa historia – wyszeptał Ian. „A teraz okaże się, czy wiarygodna” – przeszło mu przez myśl. Poczł napięcie i wahanie.

Opat musiał z kolei pomyśleć, że ksiązę nie ma ochoty mówić w obecności tłumu gapiów. Niezwłocznie wydał rozkaz przygotowania komnaty na uboczu, w której gość mógłby w spokoju osuszyć się, posilić i odpocząć. – Podążajcie za mną – dodał, i wskazując gestem drogę, poprowadził Iana w głąb klasztornego kompleksu.

Chłopak spoglądał z głębokim smutkiem na szerniałe mury, otoczone przez rusztowania, na których murarze i stolarze intensywnie pracowali, by przywrócić im dawny wygląd. Niewiele budynków się zachowało – tylko kościół pozostał całkowicie nietknięty. W pozostałej części kompleksu widać było przypadkowo połatanie dachy, zreperowane w miarę możliwości okna i posklecane prowizorycznie obwarowania, oczekujące prawdziwej renowacji.

„Katastrofa... Jestem w stanie uwierzyć, że myśleli, że zginąłem w pożarze” – Ian zadreślał się ponurą myślą. – Ile było ofiar? – zapytał nieoczekiwanie opata.

Duchowny przeżegnał się.

– Jedenaście – odpowiedział z bólem. – W dwóch przypadkach ciał nie odnaleziono w zgliszczach i popiołach. Myśleliśmy, że i was spotkał ten straszliwy los, mości ksiązę.

„Jedenaście ofiar” – powtórzył Ian w duchu. Był wstrząśnięty. Jedenaście osób zginęło wskutek spisku wymierzonego przeciwko niemu. „Winni za to zapłacą” – przysięgł sobie. „Zapłacą wysoką cenę”.

Słudzy oświetlali mu drogę. W końcu Ian dotarł do przestronnej komnaty. Była mniej zniszczona od pozostałych.

Młodzieniec mógł wreszcie ściągnąć z siebie przemoczoną koszulę i tunikę i osuszyć się przy ogniu. Gorliwi mnisi zadbali o to, by otrzymał koc, którym mógł się otulić. Przygotowano też stół, na którym została zaimprovizowana szybka kolacja.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział Ian do służących, którzy zaczęli szykować mu łóżko. – Nie chcę spać, moim życzeniem jest wyruszyć jak najszybciej do Châtel-Argent.

– Nie chcecie wypocząć choćby przez kilka godzin? – zapytał zmartwiony opat.

– Tak, byle do świtu, ale wystarczy mi najzwyczajniejsza prycza. Chcę jak najszybciej wrócić do mojej rodziny – odrzekł Ian, jednocześnie przypominając sobie o Danielu, który czekał na niego w zimnym lesie.

Opat ze zrozumieniem przyjął jego chęć szybkiego powrotu do domu i kiedy tylko komnata została uporządkowana, odesłał gestem mnichów i służących. Przeor i wikariusz oddalili się wraz z pozostałymi, nieudolnie ukrywając rozczarowanie.

Ian wiedział, że właśnie nadszedł moment wyjaśnień. Usiłując jednak zyskać nieco na czasie, udał, że niezmiernie zajmuje go posiłek. Chciał zrozumieć, co wydarzyło się w czasie jego nieobecności, i zastanawiał się, jak uzyskać potrzebne mu informacje, by nie wzbudzić podejrzeń. Usadowił się przy stole i nalał sobie kielich wina. Opat odmówił trunku, towarzyszył mu jednak i z szacunkiem znosił milczenie gościa. Nie zadawał pytań, odezwał się jednak jako pierwszy:

– Wasz powrót jest błogosławieństwem dla waszej rodziny, mości książe. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebują waszej obecności.

– Czy coś się stało? – Ian poczuł nagły przypływ niepokoju, odprężył się jednak na widok uśmiechu na twarzy opata, który potrząsnął głową.

– Nie musicie się obawiać o nikogo z waszych najbliższych. Pan chciał im wynagrodzić te wszystkie cierpienia, przez które przeszli. Oczekują przyjscia na świat waszego potomka. Wasza żona jest bardzo bliska rozwiązania.

– Dziecko! – wykrzyknął Ian, symulując zaskoczenie. Był jednak bardzo poruszony.

„Mój syn Marc” – pomyślał ze wzruszeniem i przypomniał sobie portret młodego kawalera, który widział na kartach iluminowanej kroniki. Znał dokładnie datę jego urodzin. Brakowało już bardzo niewiele.

– Wasza małżonka modliła się gorliwie o syna, aby móc dać mu wasze imię – ciągnął opat. Był szczęśliwy, że mógł podzielić się tak wspaniałą nowiną ze swoim rozmówcą. – Jestem pewny, że jej modlitwy zostaną wysłuchane – tak się stało, kiedy prosiła o wasz powrót. Pan nagradza szczerze swoich wiernych o tak wielkiej wierze.

– Ja też jestem o tym przekonany – odrzekł Ian cicho, nie spuszczać wzroku z czarki stojącej na stole, na której zaciskał z całej siły dłoń, by nie dać się porwać emocjom. Zorientował się, że opat patrzy na niego w milczeniu, być może oczekując, że ten powie coś jeszcze. Nie potrafił jednak oderwać spojrzenia utkwionego w jednym punkcie. Emocje były zbyt silne. – Jakie jeszcze macie informacje na temat mej rodziny? – zapytał w końcu.

– Dwórka waszej małżonki przyjeżdża tu co miesiąc, żeby modlić się za was do Pana, w ten sposób wyręczając swoją panią, która zważywszy na stan, w jakim się znajduje, nie może podróżować. I to od niej wszystko wiemy – odpowiedział kapłan.

„Donna dochowała obietnicy, że będzie dawać mi znać na bieżąco” – pomyślał Ian. „Naprawdę znalazła sprytny sposób, który kompletnie nie wzbudza podejrzeń”.

– Brat wasz cieszy się doskonałym zdrowiem – ciągnął opat. – Trzy miesiące temu pojął za żonę panią Alinor de Dreux. Wasza rodzina związała się z rodem

królewskim.

Ian w ciszy skinął głową. Słuchał, nie podnosząc wzroku i zastanawiając się nad każdym słowem opata. Nie było to dla niego nowiną – wiedział o tym od lat, jeszcze zanim pierwszy raz pojawił się w średniowieczu. Guillaume zasłużył sobie na wielki szacunek ze strony króla Filipa Augusta. Szacunek, który zdobył dzięki niezwyklej i niezachwianej wierności, okazanej francuskiemu monarsze.

– Książę de Ponthieu zarządza okolicą od momentu waszego zaginięcia – dodał opat, a w tonie jego głosu dało się słyszeć powagę. – Ani przez chwilę nie ustawał w polowaniu na skrytobójców i w końcu udało mu się ich dopaść. A przynajmniej dwóch z nich. Wymierzono im sprawiedliwość na oczach wszystkich, niech niebiosa zlitują się nad ich duszami – powiedział mężczyzna i przeżegnał się po raz kolejny.

Tym razem Ian podniósł wzrok, wyraźnie zdenerwowany. Była to wiadomość, której się nie spodziewał.

– Opowiedzcie mi, co dokładnie się wydarzyło.

Opat machnął w roztargnieniu ręką.

– Nie znam dokładnie wszystkich szczegółów, wiem tylko, że jeden ze skazańców był Anglikiem, drugi zaś Flamandczykiem. Zostali schwytani i byli przesłuchiwanie niezależnie od siebie. Złapali ich najemnicy waszego brata, później poddano ich procesowi w zamku Auxi.

„Nieoficjalna rezydencja Guillaume’a” – pomyślał Ian.

– Anglik do samego końca bezczelnie twierdził, że zostaliście zgładzeni w klasztorze na rozkaz szeryfa Jerome’a Derangale’a. Flamandczyk z kolei, w obliczu grożącej mu egzekucji, opowiedział zgoła inną historię. Przysiągł, że przekonał pozostałych, by oszczędzili wam życia, po czym zbiegł, czując się winny przez swój udział w niecnym spisku. Jeśli mu wierzyć, pozostawił was w rękach reszty współników, nie potrafił jednak podać żadnych wskazówek na temat miejsca, gdzie was przetrzymywano. Najemnicy zorganizowali poszukiwania, lecz cały ich trud okazał się daremny – ciągnął dalej opat.

„Żeby ocalić własny kark, niektórzy naprawdę potrafią wymyślić niezłą historyjkę” – rzekł w duchu Ian.

– Zresztą, brat wasz był przekonany, że ów człowiek usiłuje tylko wymigać się od stryczka tą naciąganą opowieścią, wykorzystując fakt, że nikt nie widział waszych zwłok. My wszyscy, tak jak i sam książę, byliśmy pewni, że skazaniec kłamie. Wszyscy, prócz waszej małżonki i jej dwórki. Obie utrzymywały w dalszym ciągu, żeście żywi, i modliły się o wasz powrót, mimo iż próbowaliśmy je przekonać, że zginęliście w pożarze, który pochłonął wszelkie ślady. Wydawało się to najbardziej prawdopodobne. – Opat nieznacznie przechylił się w przód, tak jakby chciał przekazać jakiś sekret. – Wy jednak naprawdę uszliście z życiem.

Ian zaczerpnął powietrza, zanim w końcu wykrztusił:

– Tak, jak widzicie, naprawdę uszedłem z życiem. – W sercu podziękował losowi, który sprawił, że jeden z zabójców wymyślił historyjkę pomocną w uwiarygodnieniu jego alibi na miesiące nieobecności. Obrócił w dłoniach kielich wina. – Nie pamiętam zbyt wiele z wieczoru, w którym spisek wyszedł na jaw – ciągnął, ostrożnie dobierając słowa. Powtarzał sobie tę opowieść tysiące razy, analizując ją w każdym najdrobniejszym szczególe, aby wyeliminować wszystkie mało przekonujące momenty. Sądził, że brzmi wiarygodnie. Teraz jednak, w obliczu konfrontacji z rzeczywistością, miał nadzieję, że nie pomylił się w swojej ocenie.

– Zbliżyło się do mnie trzech mężczyzn. Przebrani byli za mnichów i zdradziecko ugodzili mnie sztyletem. Chyba musiałem zemdleć, jedyne, co pamiętam, to ciemność. Zranili mnie, ale widocznie nie aż tak poważnie, jak początkowo myślałem; albo jakiś cud musiał mnie ocalić – inaczej tego nie potrafię wytłumaczyć. Ocknąłem się w zamkniętym, obskurnym miejscu, o kamiennych ścianach. Dopiero kilka dni temu udało mi się stamtąd uwolnić. Ci, którzy mnie pilnowali, co jakiś czas dawali mi coś do jedzenia. Pytałem ich, dlaczego mnie więżą, nigdy jednak nikt mi nie odpowiedział. Koniec końców wywnioskowałem z ich rozmów, że ci ludzie nie działają już na niczyj rozkaz. Mój nieprzyjaciel posłał ich, by mnie zamordowali, oni jednak sądzili, że i z uwięzienia mnie mogą mieć pewne zyski. Zdaje się, że mogli żądać okupu od mego brata, ale musieli ukrywać się przed pogonią. Być może nawet pokłócili się między sobą, tego nie wiem. W każdym razie było ich niewielu. Możliwe, że kiedy ich wspólnicy stanęli przed obliczem sprawiedliwości, tych zabobonnych obleciał strach. Jedyne, co wiadomo na pewno, to że odstąpili od swych planów, a w mej sprawie nikt nie chciał interweniować. Pragnęli zwyczajnie się mnie pozbyć i czmychnąć, mi zaś udało się ich przekonać, by darowali mi życie w zamian za słowo, że brat mój będzie ich chronił, gdyby zostali schwytani.

– A więc ludzie ci nie czują za grosz skruchy za swe zbrodnie i śmieją się w twarz prawu – zasepił się opat.

– Zagwarantowałem im nietykalność. Nie jestem z tego dumny, nie miałem jednak innego wyboru – rzekł Ian.

– Wybraliście mniejsze zło, mości książę – opat pospieszył z odpowiedzią. – Ocaliliście życie, i wyłącznie to się liczy. Ci złoczyńcy być może zbiegli przed ludzkim prawem, boska sprawiedliwość jednak, która czeka na nich u kresu ich żywota, dosięgnie ich, jeśli nie okażą skruchy.

Ian przytaknął i ciągnął dalej. – Moi strażnicy wyprowadzili mnie poza to dziwne więzienie, ale zawiązali mi oczy, abym nie mógł rozpoznać drogi. Wieźli mnie konno przez dłuższą chwilę, po czym zostawili w samym środku lasu i uciekli. Po całym dniu wędrówki spotkałem przyjazną duszę, która udzieliła mi pomocy. Stary pasterz pozwolił mi odpocząć w swojej szopie, dał coś do jedzenia i pozwolił się obmyć. W końcu znów przypominałem ludzką istotę. – Ian przejechał dłonią po twarzy.

Specjalnie nie golił się od dwóch dni.

– Dzięki rozmowie z nim zorientowałem się, dokąd prowadzi droga, i jeszcze jeden dzień wędrówki pozwolił mi dotrzeć tutaj.

– Długa podróż konno i jeszcze dłuższa wędrówka – to oznacza, że wasi strażnicy daleko was musieli zabrać!

– Poza granicę mojego lenna. To też jest przyczyna, dla której brat mój nie był w stanie odnaleźć po mnie śladu, przypuszczam.

Opat był szczerze zdumiony. – Cóż za potworne doświadczenie – skomentował.

– Dzięki składajmy niebiosom, że skończyło się dobrze, przynajmniej dla was.

– Co macie na myśli? – zapytał Ian, ponownie zaniepokojony.

– Niestety, nie mieliśmy wieści od waszego przyjaciela, *monsieur* Daniela – wyznał opat z wielkim smutkiem w głosie. – Również i on przepadł w noc pożaru. Obawiamy się o jego los, o życie jego brata oraz jego narzeczonej. Nie wiecie jeszcze o innych straszliwych zajściach z nocy, w której zostaliście zaatakowani. *Madame* Donna była świadkiem tych wydarzeń i może wam o nich opowiedzieć: człowiek, który wam towarzyszył, przyjaciel wasz i *monsieur* Daniela był szpiegiem, który doprowadził skrytobójców aż tutaj. Kiedy dokonał zbrodni, zbiegł, porywając ze sobą młodego Martina i *madame* Jodie jako zakładników. Oczywiście, *monsieur* Daniel rzucił się za nim w pościg, lecz nie powrócił.

Ian był w głębokim szoku. Donna zwała całą winę na Carla White'a... i z całą pewnością był to świetny sposób, żeby zemścić się na nim za wszystko, co musiała przez niego przejść.

– Przykro mi, że muszę oznajmić wam tak przykre wieści – rzekł opat, widząc przekonujące osłupienie malujące się na twarzy jego rozmówcy.

Ian otrząsnął się, wiedząc, że musi coś odpowiedzieć.

– Zostały przeprowadzone poszukiwania? – zapytał.

Opat przytaknął.

– Wasz brat nie szczędził starań, wszystko bezskutecznie. Więźniów przesłuchiowano kilkakrotnie odnośnie do tej sprawy, za każdym razem jednak zaprzeczali, jakoby mieli znać informatora. Być może obawiali się, że gdyby został schwytany, mógłby obalić ich zeznania.

– Jestem pewien, że Daniel ma się dobrze, tak samo jak jego brat Martin i *madame* Jodie – odpowiedział Ian, przykazując sobie w duchu, że przed przyjazdem do Châtel-Argent musi ustalić kilka szczegółów, aby uwiarygodnić również i tę część historii. – Bez względu na środki zrobię wszystko, aby wyjaśnić to zajście. Zajmie to miesiące albo i lata, ale w końcu ustalę, co naprawdę się wydarzyło.

– Wasz brat na pewno zrobi, co tylko w jego mocy, by wam pomóc – zapewnił go opat.

„I właśnie tego chciałbym uniknąć” – pomyślał Ian.

W tej samej chwili dwóch służących zapukało dyskretnie do drzwi komnaty, aby przekazać nowe szaty dla gościa oraz miednicę z ciepłą wodą, by mógł się obmyć.

– Możemy ofiarować wam jedynie proste stroje, są jednak praktyczne i czyste. Mam nadzieję, że przypadną wam do gustu – rzekł opat i wykorzystał moment, by opuścić gościa i pozwolić mu odpocząć. – Zajrzę do was o świcie. Jesteście ogromnie zmęczeni, a ja zająłem wam i tak zbyt wiele czasu – powiedział, zanim skierował się do wyjścia. – Jeśli mi pozwolicie, przygotuję wszystko, czego wam będzie trzeba w drodze powrotnej.

Ian wstał, żeby złożyć duchownemu pokłon i odprowadzić go do drzwi.

– Dziękuję za waszą pomoc, wielebny ojcze.

– Spełniłem swoją powinność, pomóc wam to dla mnie zaszczyt.

Uśmiechnęli się do siebie na pożegnanie.

– Czy myślicie, że *madame* Donna wróci w najbliższych dniach do klasztoru? – zapytał Ian na odchodne.

Opat potrząsnął głową.

– Była tutaj w zeszłym tygodniu, nie wróci wcześniej niż za miesiąc. Co więcej, zdaje mi się, że chwilowo nie będzie zajeżdżać tu zbyt często: jedźcie jak najszybciej do zamku, tak by wasza obecność była żywym dowodem na to, że jej modły zostały wysłuchane.

Ian odczuł radość na myśl o niespodziance, jaką sprawi jego powrót do Châtel-Argent.

– Wrócimy w przyszłym miesiącu, aby złożyć dzięki za wszystko to, co się wydarzyło. Osobiście dotrzymam towarzystwa *madame* – powiedział wzruszony. – I co rok będę przekazywał datek na rzecz zakonu, by upamiętnić dzisiejszy dzień – dodał.

– Jesteście niezwykle szczerzy, mości książę – powiedział opat, pochylając głowę w geście podziękowania. – Proszę pozdrowić ode mnie *madame* Donnę i proszę jej przekazać, że z radością ujrzymy ją w dniu, w którym wrócicie. Pozdrówcie również pana de Sancerre’a, który ostatnio zawsze wiernie jej towarzyszył.

Zamknąwszy drzwi, Ian ciężko opadł na krzesło. Odetchnął z głęboką ulgą. Czuł, że spadł z niego ogromny ciężar, który nieskończenie długo nosił na swych barkach. Mimo to był bardzo zmęczony.

Wszystko poszło dobrze, wymyślona historyjka pomyślnie przeszła pierwszą próbę. Teraz rzeczywiście czuł, że wrócił do domu.

Wciąż oszołomiony tym, co się właśnie wydarzyło, zaczął myśleć o Donnie i jej towarzyszu – księciu Etienne de Sancerre – człowieku, w którym była zakochana.

Był szczęśliwy, że opat mu o tym wspomniał – oznaczało to, że sprawy ułożyły się tak, jak Donna tego oczekiwała, i że jej marzenia powoli się spełniały.

„I moje niebawem się spełnią” – pomyślał nagle.

W ciszy powtarzał to zdanie, ledwo mogąc w nie uwierzyć.

Rozdział 4



Ledwie nastał świt, a Ian już był na klasztorным podwórzu, obserwując wędrówkę słońca na porannym niebie. Przestało padać, a słabe światło przebijało się przez szare chmury i rzucało blask na odległy horyzont. Ian był gotowy do drogi. Czuł, że przepętnia go energia, której nie odczuwał już od wielu miesięcy, od lat.

Jeden tylko dzień dzielił go od spotkania z Isabeau i rozpoczęcia nowego życia – nie mógł się doczekać chwili, w której to się wydarzy.

Umył się, ogolił i przebrał, zjadł kilka kęsów – nie dlatego, że był głodny, lecz żeby skrócić oczekiwanie. Powtórzył w myślach przygotowaną opowieść więźnia, któremu udało się uwolnić z kajdan. Odczuwał niepokój związany z rozpoczęciem wędrówki.

Przede wszystkim musiał dołączyć do Daniela, który już powinien być w drodze. Rozdzielili się ponad trzy godziny temu.

Na myśl o tym poczuł lekki dreszcz trwogi. Jak poradził sobie jego przyjaciel sam, w samym środku lasu? Czy wszystko poszło dobrze?

Ian siłą woli zdławił wszystkie obawy, powtarzając sobie, że Daniel mógł wrócić w każdym momencie dzięki opcjom *Hyperversum*, poza tym było raczej mało prawdopodobne, by w tak krótkim czasie zagroziło mu jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

„W każdym razie najlepiej dołączyć do niego jak najszybciej” – zdecydował, żeby zupełnie się uspokoić.

Opat przygotował dla niego konia, który czekał już na klasztorным podwórzu. Duchowny wyposażył Iana go we wszystko, czego ten mógł potrzebować w tej krótkiej podróży. Do siodła przytroczony był również nieco staroświecki miecz i sztylet.

– Wiele lat temu kilku rycerzy zrezygnowało ze świeckiego życia i poświęciło się Bogu. Ich oręż pozostał w klasztorze po dziś dzień – wytłumaczył opat swemu gościowi. – Koniec końców okazał się przydatny.

Ian sięgnął od razu po miecz i przypiął go sobie do pasa – nie mógł się oprzeć pokusie. W tym samym momencie poczuł, że ponownie staje się rycerzem.

Opat wręczył mu niewielką sakiewkę z kilkoma monetami wewnątrz.

– To zbyt wiele, wielebny ojcie, nie ma takiej potrzeby... – powiedział chłopak,

usiłując zwrócić dar. Kapłan nie chciał jednak słyszeć o odmowie.

– To minimum, które mogę wam ofiarować. Przynajmniej tyle, by ostatnia część waszego powrotu do domu upłynęła spokojnie. W ten sposób możecie zatrzymać się w drodze, żeby zjeść coś ciepłego. Nie musicie trudzić się ponad własne siły, rzucając się w podróż bez wytchnienia i bez odpoczynku.

– Dziękuję za ten kolejny wyraz waszej troski – odrzekł Ian. – Krótko mówiąc, mam wobec was ogromny dług wdzięczności.

Minęło dwa i pół roku, od kiedy ostatni raz siedział na koniu. Tyle samo, jeśli chodzi o jakiegokolwiek ćwiczenia siłowe. Jego studia na uniwersytecie oraz nieprzerwane przeloty z kraju do kraju pochłaniały go w zbyt wielkim stopniu. Dobrze wiedział, że cały dzień w drodze z pewnością by go wykończył. Daniel zresztą też był w niewiele lepszej kondycji. Wygodniej było zrobić choć jedną przerwę w podróży, tak jak radził opat, zjeść coś i dojechać w dobrej formie do Châtel-Argent.

– Po drodze natraficie na oberżę, na krótko przed niewielką miejsciną Lunes – uprzedził opat. – Radzę wam jednak ją minąć i jechać dalej. Warunki w oberży są, delikatnie mówiąc, spartańskie. Lepiej wam będzie zatrzymać się w miasteczku.

Ian znał Lunes. Przejeżdżał przez nie kilkakrotnie, nigdy jednak nie zatrzymał się tam na dłużej, mimo to pamiętał, że było ono mniej więcej w połowie drogi do zamku. Przytaknął, w myśli kalkulując, ile godzin zajmie mu cały przejazd. Wyliczył, że od zamku dzieli go mniej więcej dzień drogi, a więc w miejsce, w którym mógłby się posilić, w miasteczku lub poza nim, powinien dotrzeć mniej więcej w okolicach obiadu.

– Dziękuję wam za rady – odrzekł w końcu, wsiadając na konia.

Opat skinął głową w geście pozdrowienia.

– *Dominus vobiscum*⁴ – życzył mu, czyniąc ręką znak błogosławieństwa.

Ian przeżegnał się.

– *Et cum spiritu tuo*⁵ – odrzekł z wdzięcznością. – Do zobaczenia wkrótce – dodał.

Chwilę później był już daleko.

Na widok Iana wyłaniającego się zza zakrętu Daniel wybiegł z gęstych zarośli wprost na trakt. Widok przyjaciela, całego i zdrowego, spowodował u Iana nagły przypływ radości. Wszystkie jego obawy zniknęły, ustępując miejsca szczęściu w czystej postaci. Odwzajemniając szeroki uśmiech, Daniel podbiegł na skraj drogi, wyciągając rękę z kciukiem skierowanym w górę, dla żartu udając, że łapie stopa.

– Nie podwieźlibyście mnie, mości książę? – zawołał z daleka.

Ian zatrzymał konia.

– Zależy dokąd się udajecie, wielmożny panie.

Daniel spojrział na przyjaciela dumnie wyprostowanego w siodle i poczuł, jak ściska mu się serce. Ian trzymał w dłoniach wodze, z boku, pod ciemnym płaszczem, miał przyczepiony miecz, który dostał od mnichów. Jego strój i postawa sprawiały, że wyglądał jak prawdziwy rycerz, jeszcze prawdziwszy niż wcześniej. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, stał się znowu Jeanem Markiem de Ponthieu.

Daniel zdusił bolesną myśl, którą wywołał ten widok. Oto Ian powrócił do swojego życia, do świata, do którego przynależał od dawna i w którym postanowił pozostać. Moment ostatecznego pożegnania miał nadejść już wkrótce.

Młodzieniec postanowił baczniej przyjrzeć się wierzchowcowi przyjaciela, chcąc odciągnąć uwagę od smutnych myśli.

– Wyszukowali ci niezłą sztukę – zauważył.

– Mamy też trochę pieniędzy, będziemy mogli zatrzymać się w drodze na obiad – odrzekł Ian, nie zauważając poruszenia, które jego widok wywołał u przyjaciela.

– Doskonale, ja już jestem głodny – odpowiedział Daniel.

Ian zeskoczył z siodła, aby łatwiej im się rozmawiało. Prowadził konia za wodze.

– Jak było w lesie? – spytał.

– Fantastycznie. Trochę zimno, ale płaszczyk spisał się na medal. – Daniel przemilczał, że przez cały czas oczekiwania każdy najmniejszy szmer w ciemnościach sprawiał, że podskakiwał. Grał pewnego siebie jak umiał najlepiej. – A tobie jak poszło?

– Wszystko okej. Historyjka zdała egzamin, udało mi się wszystkim nabrać – mówiąc to, Ian był naprawdę podekscytowany.

„Zdaje się, że mu ulżyło” – zauważył w myślach Daniel. Cieszył się szczęściem przyjaciela. Chwila jego spotkania z Isabeau była coraz bliższa.

Szli przed siebie. Ian powtórzył Danielowi rozmowę, którą odbył z opatem. Wspomniał o Donnie, jej doniesieniach na temat Carla White’a i jego domniemanej roli w zniknięciu Martina i Jodie.

Historia poruszyła Daniela tak samo, jak wcześniej Iana.

– No... Sam bym na to nie wpadł – skomentował w końcu. – Tylko co teraz zrobimy, żeby wszyscy się uspokoili i przestali wreszcie mnie szukać? W pierwszej wersji naszej historyjki miałeś po prostu ich przekonać, że w noc pożaru zadbałem o to, żeby wszyscy znaleźli się w bezpiecznym miejscu.

– Myślałem o tym i skorzystam teraz z twojej obecności, żebyśmy mogli dorzucić kilka szczegółów do naszego przedstawienia, o ile nie masz nic przeciwko – odrzekł Ian. – Moim zdaniem jeden list wystarczy, żeby wszystko wyjaśnić. Jeśli napiszesz im ze dwie linijki, zanim dotrzemy do zamku, będziesz mógł udawać wędrowca, który przekazuje wieści przez kogoś, kto zmierza w kierunku Auxi-le-Château. W ten sposób za jakiś czas wiadomość dotrze do zamku de Ponthieu. Uspokoisz w ten

sposób Guillaume'a i mam nadzieję, że wreszcie cała sprawa zostanie zamknięta.

– List, po tak wielu miesiącach? – zawahał się Daniel.

– Wystarczy, że datujesz go na parę miesięcy wstecz. Napiszesz, że zadbałeś o to, by Martin i Jodie znaleźli się w bezpiecznym miejscu, a później trochę ci zeszło na pościgu za Carlem – na przykład dwa miesiące. Nauczka mu się należała. W końcu go dopadłeś i sprawa załatwiona. Wyrównałeś swoje rachunki i napisałeś list.

– Słusznie, zwłaszcza że Ponthieu wie, że moje rodzinne strony są na drugim końcu świata, i nie zdziwi go list, który dociera po dwóch miesiącach – zauważył Daniel. – Zatwierdzam. Skąd mam wziąć kawałek papieru i jakieś pióro, żeby napisać do księcia?

– W miasteczku Lunes na pewno znajdziemy kogoś, kto da nam wszystko, czego potrzebujemy. Myślę, że znajdzie się też jakiś kupiec, któremu przekazemy twoją wiadomość. Wystarczy, żebyśmy nie pokazywali się we dwójkę, a z pewnością nikt nie zwróci na ciebie uwagi ani cię nie rozpozna.

Daniel pozwolił sobie na drwiący uśmiezek.

– Przez te wszystkie intrygi czuję się jak jakiś tajny agent.

Ian również się uśmiechnął.

– Potraktuj to jako RPG.

– *Hyperversum* to jest RPG – powiedział z naciskiem Daniel. – A my mamy wreszcie zakończyć rozgrywkę, która ciągnie się od dłuższego czasu. Carl miałby niezłego pietra, gdyby się dowiedział, że mimo upływu czasu wciąż tu o nim pamiętają.

Podśmiewali się w dalszym ciągu, kiedy Ian wskakiwał na siodło. Wyciągnął rękę, żeby pomóc przyjacielowi usadowić się za nim.

Koń ruszył kłusem po ubitej drodze.

– Żałuję tylko, że przez to przedstawienie nie będziesz mógł spotkać się po raz ostatni z Guillaume'em i z Isabeau. Na pewno bardzo by chcieli cię jeszcze zobaczyć – odezwał się Ian po chwili. Był całkiem poważny.

– I ja chciałbym ich zobaczyć, ale sam wiesz... – szepnął Daniel.

Ian nie odpowiedział, przez chwilę milczał ze smutkiem.

Ponure myśli towarzyszyły im jeszcze przez jakiś czas.

– Kto wie, co Donna naopowiadała Isabeau, żeby ją uspokoić przez te kilka miesięcy. W końcu wiedziała, że mordercy cię ze sobą nie zabrali, kiedy zostałeś napadnięty. Zanim zemdlą, widziała nas wszystkich razem.

– Nie wiem. – Ian nie miał w istocie pojęcia, co na ten temat myśleć. Pocieszała go jedna rzecz: to, że z opowieści opata wynikało, że jego żona dzięki Donnie, wierzyła w jego powrót do domu, że modliła się gorliwie o jego ocalenie i że postanowiła nadać jego imię ich dziecku.

Cokolwiek Donna ujawniła Isabeau de Montmayeur, było to wiarygodne. Isabeau

się nie ulękła. Pomyślał o niej z wdzięcznością, nie mogąc doczekać się chwili, w której będzie mógł okazać jej ją osobiście. Chwili, która miała nadejść jeszcze tego wieczoru.

– Odwagi, pospieszmy się – pogonił go Daniel, tak jakby czytał mu w myślach. – Twój zamek na ciebie czeka.

Pomimo słońca wychodzącego zza chmur powietrze robiło się coraz bardziej wilgotne. Zapowiadała się kolejna ulewa, jednak dwójka kompanów podróży nie zwracała najmniejszej uwagi na warunki atmosferyczne. Ich myśli były już daleko, na samym końcu drogi, w zamku zbudowanym ze srebrzystego kamienia.

Galopowali przez kilka godzin z wielką werwą. Milcząc, rozkoszowali się wywołanym szybką jazdą dreszczykiem emocji. Droga wiodła przez las i nie spotkali na niej nikogo. Kiedy ich mięśnie zaczęły w końcu sygnalizować zmęczenie, a koń osłabł, zdecydowali się nieco zwolnić. Od tej chwili podążali traktem wydeptanym pośród traw i napawali się każdą chwilą podróży.

Przestrzeń otwartych łąk zaczęła przeplatać się z gęstymi zaroślami. Między drzewami migał horyzont.

Widok był piękny, mimo panującej zimy. Nad wilgotnymi łąkami krążyły stada poszukujących pożywienia ptaków. Na bezlistnych gałęziach osiadała delikatna mgła, a wzgórze za drzewami zdawały się utkane ze zwiewnych pajęczyn, które odcinały się na tle szarego nieba.

Ian liczył odległość dzielącą go od zamku, mila po mili, czując coraz większą lekkość w sercu. Châtel-Argent był coraz bliżej. Tego samego wieczoru miał w końcu ponownie chwycić Isabeau w ramiona.

– Ej, Romeo! – zawołał Daniel, klepiąc go w ramię. – Ty żyjesz miłością, ale ja jestem głodny! Co powiesz na to, żebyśmy się zatrzymali coś przekąsić?

Ian się roześmiał.

– Masz rację, przepraszam. Opat mi mówił, że po drodze do miasteczka Lunes jest jakaś oberża – odrzekł, wskazując drogę, która ginęła w lesie po kilku zakrętach. – Radził mi jednak się tam nie zatrzymywać, wspominał coś o spartańskich warunkach. Ale myślę, że rozsądniej będzie nie pokazywać się razem w miasteczku, bo więcej tam ludzi.

– Tak będzie lepiej, zwłaszcza że mój kręgosłup może nie wytrzymać do samego Lunes, nie wspominając o żołądku – jęknął Daniel.

– Od kiedy taki z ciebie zrzęda? – przedrzeźniał go Ian.

– Już ty się ze mnie nie nabijaj. Sam jesteś zmęczony, przecież widzę – uciszył go kolega.

Ian musiał przyznać, że Daniel miał rację. Po całym poranku w siodle czuł każdy mięsień kręgosłupa. Z nogami było podobnie.

„Świetny sposób, żeby oduczyć się wreszcie siedzieć cały dzień za biurkiem i od czasu do czasu przejść się na siłownię” – wyrzucił sobie w duchu.

– Miejmy nadzieję, że dają tam porządnie zjeść, wbrew temu, co mówił opat – powiedział na głos.

– Obojętnie, starczy, że wrzucimy cokolwiek na ząb! Obiecuję nie narzekać.

– Zamiast myśleć o jedzeniu, sprawdź się może, czy *Hyperversum* działa? – skomentował Ian. – Trochę niepokoi mnie to, że dalej ciągnę cię ze sobą. Na dobrą sprawę mógłbyś być już w domu.

Daniel uniósł prawą dłoń.

– Help! – zawołał.

Świecące jabłko pojawiło się posłusznie na jego wezwanie na odległość wyciągniętej ręki. Powoli pulsowało, wisząc w powietrzu. Przemieszczało się leniwie, podążając śladem ich wierzchowca.

– Widzisz? Wszystko w porządku, nie ma powodów do obaw – powiedział Daniel, wyłączając świecącą ikonę. Przez chwilę oddał się myślom, po czym dodał: – Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ja mogę to zrobić, a ty nie.

– Kto to może wiedzieć? – Ian wyprostował się w siodle. – Kolejna zagadka, której pewnie nigdy nie uda nam się rozwiązać.

Dotarli do oberży po godzinie. Miejsce było małe i znajdowało się na zupełnym odludziu, kawałek przed miasteczkiem Lunes, tak jak mówił opat. Bardziej niż gospodą wydawało się niewielkim zakładem rzemieślniczym, przyklejonym do traktu, wybudowanym na polance, z której wydzielono podwórze, zagrodę dla kóz i krów, niewielkie pastwisko, grajdoł z wodą dla zwierzyny i rząd pali, do których goście mogli przywiązać swoje wierzchowce.

Obecnie było tam uwiązanych dziesięcioro zwierząt, w niewielkiej odległości od baraku, który najprawdopodobniej miał pełnić funkcję oberży.

Dwójka przyjaciół spojrzała na budynek z dystansu, uważając, by trzymać się z dala od okien.

– Są tam jacyś ludzie. To znaczy, że jedzenie nie może być aż tak podłe – skomentował Daniel wesoło, zeskakując z siodła.

– W tym momencie będę zadowolony, jeśli tylko będę mógł zwyczajnie usiąść – odrzekł Ian i kiedy tylko stanął na ziemi, zaczął masować sobie kręgosłup.

– Jesteś pewny, że nie potrzebujesz sztyletu? Pieniądze na jedzenie ci dałem – rzekł, wskazując przyjacielowi, który już się oddalał w stronę budynku, broń

przyczepioną w dalszym ciągu do siodła.

Daniel zareagował nerwowym gestem.

– Nie, już ci to mówiłem. Nie jest mi potrzebny. Idę tylko coś zjeść, nic mi się nie przydarzy.

W rzeczywistości nie miał najmniejszej ochoty posiadać przy sobie jakiegokolwiek rodzaju broni, niechby nawet tylko dyndała mu u pasa. Miał już okazję dzierżyć w dłoni miecz podczas walk pod Bouvines, a wspomnienie tych krwawych dni wciąż spędzało mu sen z powiek.

– Do zobaczenia na obiedzie – powiedział, maszerując w kierunku oberży.

Budynek karczmy był surowy, zrobiony z drewna i ciosanych kamieni. Wewnątrz znajdowało się przestronne pomieszczenie, wyposażone w ogromny kominek, ławę, na której stały butle z winem, i cztery byle jak sklecone stoły.

Wchodząc, Daniel spostrzegł grupkę mężczyzn w podróżnych strojach. Siedzieli przy trzech stołach obok siebie. Jedli, pili i zdawali się pochłonięci rozmową. Musieli podróżować w pośpiechu, niektórzy nie ściągnęli z siebie nawet płaszczy, jeden siedział w kapturze naciągniętym na głowę. Większość była uzbrojona, co, zważywszy na okoliczności, nie było niczym niezwykłym.

Daniel usadowił się przy wolnym stoliku, który był mniejszy i stał nieco z boku. Cieszył się, że może rozluźnić mięśnie, zmęczone po wielu godzinach spędzonych w siodle. On też naciągnął na głowę kaptur, zanim przekroczył próg karczmy, w ramach dodatkowych środków bezpieczeństwa, i widząc, że jeden z podróżnych wyglądał podobnie, postanowił go nie zdejmować. Usiadł w najbardziej oddalonym kącie sali i czekał.

Ian wkroczył po kilku minutach, sprawiając wrażenie osoby, która trafiła do oberży przypadkiem. Rozejrzał się dookoła, zobaczył, że trzy pozostałe stoliki są zajęte i podszedł w stronę przyjaciela. Usiadł po przeciwnej stronie jego ławy, udawał jednak, że się nie znają. Wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami, bezgłośnie komentując przedstawienie, które musieli odgrywać przed innymi.

Oberża nie wydawała się szczególnie wykwintnym miejscem i rzeczywiście trochę czasu minęło, zanim ospały chłopaczyna zza barowej ławy zdecydował się ruszyć w ich stronę powolnym krokiem. Karczmarz i karczmarka, małżeństwo pod pięćdziesiątkę, krzątało się, biegając pomiędzy kuchnią, barem a stolikami i rzucając podejrzliwe spojrzenia w stronę gości zasiadających przy większych stołach.

Wewnątrz panowało przyjemne ciepło, choć z wielkiego komina nie unosił się dym. Ian i Daniel niespiesznie rozkoszowali się chwilą odpoczynku, oczekując na posiłek i wino, o które poprosili, każdy z osobna. Chłopak służebny zaczął sprawiać o wiele bardziej przyjazne wrażenie, gdy tylko Ian zwrócił się do niego z uprzejmym słowem, pokazując jednocześnie sporą srebrną monetę, którą miał zapłacić za posiłek

i obsługę.

– Sympatyczny, co? – szepnął Daniel sarkastycznie, starając się, by nikt go nie zauważył. W stosunku do niego chłopak nie silił się na uprzejmości.

– Opat ostrzegał, że lepiej było jechać dalej – odparł Ian półgłosem.

Rozglądali się dookoła, czekając na posiłek. Zdali sobie sprawę, że atmosfera panująca przy sąsiednich stolikach nie należy do najweselszych. Teraz mężczyźni rzadko się do siebie odzywali, siedzieli ze wzrokiem wbitym w stół. Ten, który zajmował miejsce u szczytu stołu, z kapturem naciągniętym na głowę, pił w milczeniu i opierał się o ścianę w taki sposób, że widział całe wnętrze karczmy. Zdawał się bardzo zmęczony, wręcz wyczerpany, co można było wywnioskować z jego przygarbionych pleców. Cała reszta, zgromadzona wokół niego, osłaniała go i oddzielała od chłopaka i karczmarzy, którzy na zmianę pojawiali się z dymiącymi talerzami. Rozmawiał z nim uzbrojony człowiek, zajmujący sąsiednie krzesło: surowe rysy twarzy i przypruszone siwizną włosy nadawały mu wygląd doświadczonego wojownika. Mógł być rycerzem, sądząc po insygniach przypiętych u pasa obok miecza.

– Chyba z pogrzebu wracają – zauważył Daniel, wskazując Ianowi rozgrywającą się scenkę.

Przyjaciel przytaknął i nadstawił ucha, żeby usłyszeć cichą rozmowę, która toczyła się w ponurym towarzystwie.

– To obcokrajowcy – zauważył w końcu. – Mówią z dziwnym akcentem.

Zamilkli, kiedy do ich stolika podszedł chłopak służebny, niosąc przygotowany dla nich posiłek.

– To Flamandczycy – powiedział do Iana z wyraźną odrazą, wskazując na pozostałych gości i rzucając jednocześnie podejrzliwe spojrzenie w kierunku Daniela. – Coraz więcej się ich tutaj włóczy, mimo że wojna skończyła się już jakiś czas temu.

W jego głosie słyhać było pogardę. Nie zdawał sobie sprawy, że człowiek, z którym rozmawia, również jest obcokrajowcem – Ian, w przeciwieństwie do Daniela, władał językiem francuskim bez zarzutu. Na samo wspomnienie Flamandczyków – wrogów podczas wojny, która dopiero co się zakończyła – dwójka przyjaciół wymieniła ukradkiem porozumiewawcze i nerwowe spojrzenia.

– Ciekaw jestem, ilu ich jeszcze czmychnie z naszych więzień – burknął chłopak, pewny aprobaty swojego rozmówcy. – Chociaż, z drugiej strony, te żebraki nie mają grosza przy duszy, żeby spłacić okup za wydanie swych więźniów. Nasi zrobili dość kiepski interes, przetrzymując przegranych jako jeńców – teraz będą musieli łożyć na ich utrzymanie przez najbliższe dwadzieścia lat, zanim zwrócą im wolność.

Kiedy tylko chłopak się oddalił, Daniel zerknął znacząco na Iana.

– Chcesz trochę chleba, przyjacielu? – zapytał ten drugi, na poczekaniu

wymyślając pretekst, żeby rozpocząć rozmowę z domniemanym nieznanym, towarzyszącym mu przy posiłku. Podał mu tacę z pokrojonym w pajdy bochnem.

– O czym on gadał? – zapytał Daniel półgłosem, wyczekując chwili, w której nie będzie wzbudzał podejrzeń. – Jacy więźniowie? Jaki okup?

– Jeńcy wojenni – wyjaśnił Ian, jednocześnie taksując wzrokiem mężczyzn zasiadających przy pozostałych stołach. – Tak to działa w średniowieczu. Wygrani mają prawo uwięzić przegranych i zażądać okupu w zamian za ich uwolnienie. Więźniowie wyższej rangi oczywiście warci są więcej, zwykli żołnierze o wiele mniej, ale i jedni, i drudzy mogą odzyskać wolność dopiero po zapłacie w złocie lub w innych dobrach albo po odsłużeniu jakiegoś czasu u wygranych.

– A więc ci tutaj...

– Można podejrzewać, że to byli więźniowie. Może nie wszyscy – niektórzy z nich przyjechali pewnie uiszczyć opłaty za swoich towarzyszy. Teraz pewnie wracają, dlatego się tu zatrzymali. Droga prowadząca z Saint Michel do Châtel-Argent łączy się z traktami wiodącymi do Flandrii, jeśliby jechać w przeciwnym kierunku.

Daniel pociągnął łyk ze swej czarki.

– To wyjaśnia te pogrzebowe miny. Od końca wojny minęły miesiące, to nie mógł być dla nich najprzyjemniejszy czas.

Ian przytaknął, zajęty swoim posiłkiem.

Czas spędzony we francuskim lochu dla nikogo nie mógł być przyjemny, zwłaszcza po klęsce tak haniebnej jak ta, do której doszło w lipcu pod Bouvines. Zwieńczyła ona długie lata nienawiści pomiędzy Francją a Flandrią, Cesarstwem i Anglią po drugiej stronie barykady.

„Wielu jeńców wojennych odzyskuje teraz pewnie wolność i przemieszcza się po francuskich traktach” – przeszło Ianowi przez myśl. O ile pamiętał ze źródeł historycznych, Jan bez Ziemi na dobre opuścił Francję w październiku, uciekając wraz z garstką ocalałych żołnierzy z jego pokonanej armii. Prawie wszyscy jego wojowie i rycerze, którzy dostali się w ręce wroga, musieli wciąż czekać na uwolnienie, w zamian za pieniądze z okupu, które miały nadejść z Flandrii i z Anglii. Wielu z nich, prawdopodobnie, w dalszym ciągu pokutowało we francuskich więzieniach.

Trudno było odgadnąć, z którego zamku mogli być mężczyźni siedzący przy stolikach i który feudał więził ich w ciemnościach swoich lochów. Ian przypomniał sobie, że w zamku Ponthieu–Montmayeur po bitwie pod Bouvines nie było jeńców wojennych, a więc obecni tu podróżni mieli za sobą dłuższą wędrówkę. Ciężka droga była dodatkiem do miesięcy w okowach.

Być może wojenna tragedia pozbawiła ich rodziny resztek pieniędzy, być może haracz zażądany przez feudała przewyższał ich możliwości finansowe: tak czy siak, musiał istnieć powód, dla którego spędzili tak dużo czasu w więziennej celi. Trudno

było dziwić się ich ponurym twarzom i chłodnemu nastawieniu, zważywszy choćby na dyskusyjną uprzejmość, z jaką byli traktowani przez karczmarzy.

Nawet Iana irytował sposób, w jaki Francuzi obsługiwali Flamandczyków. Bez wątplenia wycierpieli wystarczająco dużo – nie potrzebowali dodatkowych upokorzeń, tym bardziej zupełnie nieuzasadnionych. W pierwszym odruchu chciał zareagować, powstrzymał się jednak, aby nie wyjawiać swojej tożsamości. Ponadto nie chciał ryzykować wmieszania Daniela w awanturę. Jadł przez chwilę w ciszy, obserwując rozwój wydarzeń z największym dystansem, na jaki potrafił się zdobyć.

– Nie myślałem, że po drogach włości się jeszcze tylu wrogów. I w ogóle mi się to nie podoba – powiedział Daniel, przerywając swoje zamyślenie.

– Nie są już wrogami. Chcesz, to nazywaj ich ekswrogami – poprawił go Ian. – Wojna się skończyła i nie ma już powodów do nienawiści między Anglikami, Francuzami i Flamandczykami.

– Jasne, tylko czy oni o tym wiedzą? Mam wrażenie, że teraz stosunki są jeszcze bardziej napięte – zawahał się Daniel.

– Ciężko jest sprawić, żeby wszystkie zadry zniknęły od razu – szepnął Ian. – Niestety, jeszcze chwilę to potrwa – wojny między Anglią a Francją będą się ciągnęły bez przerwy. Musimy poczekać parę stuleci na ostateczny pokój między tymi dwoma narodami.

Nagły huk sprawił, że podskoczyli na krzesłach. Odwrócili się równocześnie.

Jeden z Flamandczyków wstał. Wyciągnął miecz i gwałtownie cisnął go w stół. Ostrze wbiło się w drewniany blat i dookoła rozprysnęły się drzazgi.

Chłopak służebny, który właśnie podawał do stołu, zachwiał się, wylewając na siebie zawartość trzymanej w rękach miski.

– Wystarczy tych bezczelności! – warknął jeden z Flamandczyków po francusku, z ostrym, północnym akcentem. – Nie będziesz nas dłużej obrażał.

Chłopak, przerażony, cofnął się o krok, nie wiedząc, jak odpowiedzieć uzbrojonemu mężczyźnie, którego ton nie należał do najbardziej przyjaznych.

– Co tu się dzieje? – wykrzyknął gospodarz, wynurzając się z kuchni w asyście żony. – Nie chcemy żadnych awantur, żeby było jasne.

– Wynocha stąd, jeśli macie ochotę na bijatyki – zawtórowała mu karczmarka.

Stracili arogancką pewność siebie w chwili, gdy poderwał się drugi Flamandczyk, sięgając po miecz. Za nim wstało dwóch kolejnych.

– Żeby było jasne, nie pozwolimy, by traktowano nas jak psy – powiedział ten, który zareagował jako pierwszy. – Co wy sobie myślicie? Wydaje się wam, że możecie bezkarnie obrażać żołnierzy tylko dlatego, że macie się za zwycięzców wojny?

– Nędzni wieśniacy, tacy jak wy, którzy nigdy nie widzieli prawdziwego pola bitwy i którym się zdaje, że mogą nas poniżyć – dodał jego towarzysz ze złością. –

Dość już się naoglądaliśmy francuskiej gościnności w więzieniach Soissons. Ale już nie jesteśmy więźniami, wy zaś nie jesteście wielmożnym państwem. I teraz nauczymy was szacunku.

Karczmarza schowała się pospiesznie za swojego męża, który zbladł jak ściana.

– A-ależ moi państwo... – usiłował wykrztusić mężczyzna, uciszyło go jednak ostrze miecza, które zatrzymało się tuż przed jego nosem.

– Teraz plebs nazywa nas „moim państwem”! – powiedział jeden z żołnierzy, parskając sarkastycznie. – Gardzą nami, bośmy Flamandczycy, zawsze jednak mają szacunek dla naszych mieczy.

– I dla naszych pieniędzy – dodał jego towarzysz. – Pieniądze Francuzom nigdy nie śmierdziały. – Zbliżył się jeszcze bardziej do karczmarza, drżącego jak trzcina na wietrze, i podjął: – Gdy ci płaciliśmy z góry za posiłek, nie wydawałeś się taki wyniosły. Teraz mam ochotę zapłacić ci raczej żelazem niż srebrem.

Ian zrozumiał, że sprawy przybierają zły obrót i może zrobić się nieprzyjemnie dla wszystkich, łącznie z nim i z Danielem. Nie mógł na to pozwolić i przez chwilę zastanawiał się nad najlepszym sposobem rozładowania konfliktu. Oceniał wszystkie możliwe wyjścia i zrozumiał, że nie będzie łatwo wskórać cokolwiek bez powołania się na swój tytuł. Postanowił jednak spróbować.

– Panowie, proszę, odłóżcie broń – powiedział donośnym głosem. – Nie ma sensu doprowadzać do rozlewu krwi przez taką błahostkę. Jestem pewien, że od teraz właściciele tej oberży potraktują was z należnym szacunkiem.

Daniel zerknął z niepokojem na przyjaciela, ale postanowił siedzieć cicho i nie reagować w żaden sposób. Wiedział, że Ian by tego nie chciał.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku oddalonemu stolikowi i zatrzymały się na Ianie. Karczmarze sprawiali wrażenie wziętych w dwa ognie, sami Flamandczycy zaś nie wydawali się szczególnie udobruchani.

– Nie twój interes, Francuzie – burknął jeden z nich, zwracając się do Iana. – Zajmij się swoim jedzeniem i zamilcz. Jak nie, to i ciebie weźmiemy na ostrze, jeśli nas zdenerwujesz.

Dobre intencje na niewiele się zdały. Ian odetchnął głęboko, nie chcąc uciekać się do innych rozwiązań, ale świadomy, że nie ma wyboru. Teraz nadchodził dla niego trudniejszy moment, zwłaszcza że pod żadnym pozorem nie mógł wmieszać w awanturę Daniela. Na szczęście zgrywali nieznanym od momentu, kiedy przekroczyli próg karczmy.

„Nie rób tego!” – pomyślał odruchowo Daniel, wyczuwając, co może się zaraz wydarzyć. Wiedział jednak, że Ian nie stchórzy w obliczu tego, co miał za swój rycerski obowiązek.

Czując na sobie coraz bardziej intensywne spojrzenie przyjaciela, Ian zerwał się na

równe nogi.

– Obawiam się, mój panie, że wszystko, co się tu dzieje, leży w moim interesie – ciągnął zdecydowanym tonem. – Wliczając w to ewentualną, choć niepotrzebną burdę. Nie szukam awantury, nie mogę jednak pozwolić, by odbyła się w mojej obecności, z tego też powodu radzę wam raz jeszcze, byście odłożyli broń, zanim sprawa skończy się dla was źle. Jako żołnierze nie powinniście się zniżać do poziomu pierwszych lepszych zbirów.

Flamandczycy wzdrygnęli się na dźwięk słów nagany. Dwóch z nich wstało od stołu. Z ich oczu wyzierała wrogość.

– Jakim prawem ośmielasz się nas łajać, wieśniaku?

– Z mocy nadanej mi przez króla – odrzekł Ian bez wahania. – Jestem księżę Jean Marc de Ponthieu i moja władza obejmuje te ziemie.

Oświadczenie wywarło stosowny efekt i cała grupa zamarła. Część żołnierzy wymieniła zaskoczone spojrzenia, inni spoglądali na Iana z mniejszą już butą. Karczmarze i sługa podskoczyli. Daniel miał nerwy napięte jak postronki, lecz w dalszym ciągu nie wychodził z roli przypadkowego świadka, czując, że taka jest wola Iana.

– To niemożliwe – powiedział w końcu jeden ze stojących żołnierzy. – Księżę Jean Marc de Ponthieu nie żyje, wszyscy to wiedzą. Jeszcze chwilę temu dwór był w żałobie.

– Jesteś podłym kłamcą – orzekł rycerz o włosach przyprószonych siwizną, jednocześnie rzucając spojrzenie w stronę zakapturzonego mężczyzny siedzącego obok, u szczytu stołu, który milczał niewzruszony. Zaciskał obie dłonie na czarce wina.

Ian znosił spojrzenia wszystkich mężczyzn ze spokojem, który zdawał się niezachwiany.

– Nie kłamie, mój panie, wy zaś baczcie na wasze słowa, zanim powiecie o jedno za dużo.

– Skoroś jest tym, za kogo się podajesz, dlaczego podróżujesz bez eskorty? Samotny księżę w trasie, bez sług i żołnierzy, to rzadki widok – zapytał jeden z uzbrojonych mężczyzn, wymachując mieczem w sposób daleki od przyjaznego.

– Mam swoje powody i nic wam do tego. Mogę wam jednak rzec, że nie będę tolerował nieposłuszeństwa na mych ziemiach. Dlatego też radzę złożyć broń, w innym przypadku zmuszony będę wezwać żołnierzy z Lunes, którzy z pewnością mnie rozpoznają. Wtedy zobaczymy, ile warte było wasze kwestionowanie moich słów.

Flamandczycy rzucali nerwowe spojrzenia, to na Iana, to na ich towarzysza siedzącego w milczeniu u szczytu stołu. Ian i Daniel bez trudu zgadli, że był najważniejszą osobą w ich grupie, mimo że dotychczas trzymał się z boku.

– Skończcie się posilać w spokoju, wracajcie na swój szlak. W ten sposób unikniemy innych nieporozumień, obiecuję – nalegał Ian w nadziei, że go przekona. – Nie chcę przemocy, dość krwi już wsiąkło w te ziemie. Odejdźcie w pokoju i zapomnijmy o całym wypadku.

Mężczyzna taksował go wzrokiem spod naciągniętego na oczy kaptura. Nie odzywał się jeszcze przez kilka chwil. W końcu odepchnął od siebie czarę, przesuwając ją na skraj stołu.

Jego siwy kompan odczytał gest jako jasny sygnał i zerwał się na nogi.

Nagły ruch przestraszył chłopca służebnego, który wypuścił z rąk miskę wprost na głowę mężczyzny znajdującego się obok. Odwrócił się i próbował ratować się ucieczką w stronę otwartych wrót. Nie dotarł zbyt daleko: wysmarowany jedzeniem Flamandczyk dopadł go jednym susem i zatopił mu miecz w kręgosłupie.

– Sam się prosiłeś, nędzny robaku! – warknął z odrazą.

Karczmarze wydali okrzyk przerażenia. Daniel zerwał się z siedzenia.

– Stójcie! – wykrzyknął Ian, wstrząśnięty. Widok krwi chłopaka, która zbierała się w coraz większą kałużę na podłodze, zmroził go i sprawił, że nie mógł wydobyć miecza.

Ten sam rozkaz zabrzmiał jak echo, powtórzony w tym samym momencie przez dowódcę Flamandczyków, którzy zamarli w zupełnym bezruchu.

Człowiek, który odebrał życie słudze, cofnął się posłusznie, czując na sobie rozłoszczone spojrzenie swego pana.

Zdawało się, że mężczyzna chciał uniknąć zajścia.

– Zamknijcie ich w kuchni i upewnijcie się, że nie mają jak uciec – nakazał swoim ludziom, wskazując gestem rozdygotanych karczmarzy. – Nie chcę żadnych wieśniaków płaczących się pod nogami. Jeśli tylko spróbują się opierać, możecie ich zabić.

Karczmarza pisnęła, widząc dwóch żołnierzy zbliżających się do niej z obnażonymi mieczami. Jej mąż nie zdążył nic powiedzieć, kiedy z impetem został wyrzucony za drzwi.

– Nie macie prawa ich tknąć! – zaprotestował Ian, lecz pozostali Flamandzycy wymierzili w niego broń, uniemożliwiając mu wyciągnięcie miecza. Ustawili się tak, by odciąć mu drogę ucieczki.

Widząc, jak komnata zmienia się w śmiertelną pułapkę, Daniel odskoczył, chwycił za stołek i cisnął go w stronę Flamandczyków. W tym samym momencie zobaczył wymierzone w siebie ostrza. Ze strachem zorientował się, że nie ma w tym starciu żadnych szans, przeklinając się w duchu, że nie chciał przyjąć sztyletu, który wcześniej oferował mu Ian.

Ian również zrozumiał, że skazani są na porażkę.

– Co chcecie zrobić, łotry?! – wykrzyknął, drżąc z przerażenia.

Żołnierze wyszli z kuchni, zamykając ze szczękiem zasuwę na drzwiach. Zapadła cisza mrożąca krew w żyłach.

Daniel poczuł, jak trzęsą mu się ręce. Ian zbladł.

Dowódca Flamandczyków wycelował w niego palec.

– Brać go – rozkazał.

– Nie!!! – wykrzyknął Daniel. W następnej sekundzie został jednak uciszony przez nagły cios, który cisnął nim o ścianę. Ze zduszonym jękiem osunął się bezwładnie na ziemię. Znieruchomiał – z góry celowały w niego ostrza mieczy.

Pozostali Flamandczycy zajęli się Ianem. Unieruchomili go i rozbroili, podczas gdy ich wódz podniósł się ze swego miejsca. Zakapturzony mężczyzna powolnym krokiem zbliżył się do Iana i bez ostrzeżenia chwycił go za szaty. Gwałtownie rozerwał materiał tuniki na wysokości brzucha i przyglądał się jego piersi, jakby czegoś szukał. Szybko dostrzegł bliznę pozostawioną przez cios zadany sztyletem po lewej stronie od pępka. Rozluźnił uchwyt.

– Twarzą do ściany – zarządził.

Jego ludzie zmusili Iana, by się odwrócił, popychając go w kierunku ściany. Miecz wycelowany w szyję nie pozwalał mu na jakikolwiek ruch.

Ian poczuł, jak ktoś podnosi mu tunikę i koszulę, odsłaniając jego plecy. Przycisnął pięści do ściany, nie mogąc ruszyć się w żaden inny sposób.

Z tyłu zapadła cisza.

Danielem wstrząsnął dreszcz na widok śladów po chłóście na plecach przyjaciela. Nie widział ich od ponad dwóch lat. Jednocześnie zauważył, że Flamandczycy spoglądają poważnie na swojego dowódcę.

– To on – przyznał w końcu zakapturzony mężczyzna. Gestem ręki nakazał swym ludziom, by zmusili Iana do odwrócenia się. Uczynili to, w dalszym ciągu nie opuszczając broni.

Na twarzy Iana malowała się wściekłość.

– Jesteście usatysfakcjonowani? Wiecie, kim jestem, odłóżcie więc broń, a sprawię, że tylko morderca zapłaci za zbrodnię, którą popełnił.

Mężczyzna nie odpowiedział mu od razu. Obrócił się i patrzył w oczy Danielowi przez kilka sekund, po czym zsunął kaptur z głowy i podszedł do Iana na tyle blisko, by stanąć z nim twarzą w twarz.

Ian pomyślał, że musi być prawie jego rówieśnikiem: wojownik mógł mieć najwyżej kilka lat mniej i był nieco niższy, w jego posturze widać było jednak ślady solidnego wojskowego przygotowania. W jego twarzy, bladej i o wyostrzonych rysach – co z pewnością było świadectwem ciężkich miesięcy więzienia – świeciło lodowate spojrzenie jasnych oczu. Cienka blizna przecinała poziomo jego lewy łuk brwiowy, by po chwili zniknąć w kasztanowych włosach, obciętych niedbale, być może w czasie niewoli.

– Pamiątka z turnieju – powiedział młodzieniec do Iana, czując na sobie jego wzrok. Wypowiedział te słowa w nienagannym angielskim, z akcentem prawdziwego Anglosasa. – Możesz pogratulować twojemu przyjacielowi Sancerre’owi – dodał.

Ian wytrzeszczył oczy, zaskoczony niespodziewanym wyznaniem.

– Kim jesteś? Nie znam cię.

Daniel wstrzymał oddech, tknięty potwornym przecuciem.

– Mnie też się zdawało, że cię nie znam, kiedy cię widziałem jakiś czas temu. Myliłem się. Chociaż, z drugiej strony, nie spotkaliśmy się nigdy bez hełmu i zbroi – odparł Anglik. – Po Bouvines zaś byłem pewien, że nie będę miał już okazji cię ujrzeć. Cóż, byłem przekonany, że jedni czy drudzy zdołali cię zabić. Chodziły słuchy, że cię zasztyletowano, a twoje szczątki spłonęły razem z klasztorem Saint Michel.

Ian prawie przestał oddychać.

– A więc to ty nasłałeś zabójców...

– Nie, ale byłem obecny w momencie, kiedy ten rozkaz został wydany. Byłem na miejscu, gdy Jerome, umierając, wyraził swą ostatnią wolę – skazał cię na śmierć.

Na dźwięk znienawidzonego imienia Iana przebiegł gwałtowny dreszcz.

Jerome.

Derangale.

W jednej chwili zrozumiał, kto przed nim stoi.

– Geoffrey Martewall... – wymamrotał, gdy tylko uderzyło go wspomnienie świetnie wyszkolonego rycerza w czerni, który pod herbem Lwa walczył u boku angielskiego szeryfa – najpierw na turnieju w Béarne, a później pod Bouvines.

W tym samym momencie Daniel zrozumiał, że rycerz rozpoznał i jego w chwili, gdy rzucił mu dłuższe spojrzenie.

– ...baron Dunchester – dokończył wódz Flamandczyków, potwierdzając swoją tożsamość. – Spotykamy się po raz kolejny, Srebrny Sokole. Nie marzyłem nigdy, że wyjdę z więzienia tylko po to, by spotkać cię na mej drodze. – Pochylił się i zniżył ton głosu tak, by tylko Ian mógł usłyszeć jego szept: – A teraz jestem wielce ciekaw, który z was ma rację. Czy ty, który podajesz się za księcia Jeana Marka de Ponthieu, czy Jerome, który twierdził, że nim nie jesteś.

Rozdział 5



Koła bryczki ukradzonej z karczmy podskakiwały na wyboistej, leśnej drodze. Daniel i Ian, ze związanymi rękoma i nogami oraz z workami naciągniętymi na głowy, zostali wrzuceni na wóz niczym dwa snopki siana. Liny, którymi ich skrupowano, zostały przywiązane do przeciwległych boków pojazdu tak, żeby więźniowie nie mieli możliwości wzajemnego uwolnienia się z pęt. Dłuższe boki bryczki osłonięto stalowymi zasuwami, tak aby nikt nie mógł zajrzeć do środka.

Daniel zaklął, kiedy kolejny wstrząs sprawił, że dotkliwie zaboląły go plecy, które były już pewnie całe pokryte sińcami. Bezskutecznie usiłował ściągnąć sobie worek z głowy, ale udało mu się wyłącznie stoczyć się w głąb wozu. Zaczynały boleć go ręce, które skrupowano mu za plecami, unieruchamiając go w wyjątkowo niewygodnej pozycji.

– Właśnie mi się przypomniało, za co nienawidzę *Hyperversum* – poskarżył się, przerywając zdanie atakiem kaszlu wywołanym przez kurz, którym pokryty był worek. – Dlaczego za każdym razem, kiedy tu trafiamy, musi się nam przytrafić coś takiego?

W rzeczywistości był bardzo wystraszony, mimo że z całych sił usiłował udawać, że tak nie jest. Sceny, które przed chwilą rozegrały się w karczmie, uświadomiły mu po raz kolejny, jak okrutny potrafił być średniowieczny świat. Powracał koszmar, który miał się definitywnie zakończyć dwa i pół roku temu. To, co miało być tylko grą, znów stało się mrożącą krew w żyłach przygodą. Potencjalnie śmiertelną.

– Przeklęta gierka komputerowa! – powtarzał co chwila ze złością i niepokojem.

Niedaleko, w niewiele lepszym nastroju, Ian usiłował rozluźnić sznur krępujący mu nadgarstki. Poddał się, czując, jak linka przecina mu skórę. Zrezygnowany, skulił się na boku, wsłuchując się w turkot bryczki podskakującej na kamieniach. Z zewnątrz dochodził go stukot końskich podków na trakcie i niewyraźny szmer głosów Flamandczyków, którzy od czasu do czasu wymieniali uwagi na temat kierunku jazdy. Być może padał deszcz – od dłuższej chwili z płóciennego zadaszania wozu skapywały krople wody.

„Gdzie nas zabierają?” – Ian powtarzał w duchu pytanie. Od kiedy zostali schwytani, wóz sunął szybko przed siebie. Przejechali już spory kawałek w nieznanym kierunku.

Niestety, odpowiedzi, które przychodziły Ianowi do głowy, nie należały do optymistycznych: lenno Montmayeur graniczyło z Cesarstwem i z Flandrią, a mimo że wojnę wygrali Francuzi, było całkiem prawdopodobne, że Martewall liczył na solidne wsparcie tuż zza granicy, w szczególności po stronie flamandzkiej. Zważywszy zwłaszcza na narodowość jego żołnierzy.

– Czego może chcieć od ciebie ten czubek? – odezwał się Daniel, wypowiadając na głos pytanie, które od dłuższej chwili zaprzętało myśli Iana. – Co takiego szeptał ci do ucha tam w karczmie?

Ian usiłował się obrócić, żeby móc odpowiedzieć mu jak najciszej.

– W pierwszej kolejności: chce prawdy.

Danielowi zajęło kilka sekund, żeby zrozumieć, co ma na myśli.

– Prawdy w kwes...? – zaczął pytającym tonem i przerwał w pół słowa. Zaklął donośnie. – A ten to skąd do diabła wie o całej sprawie?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak dużo wie. Na pewno nie wie wszystkiego, w przeciwnym razie nie zadawałby mi pytań. Ale z całą pewnością Derangale podzielił się z nim swoimi podejrzeniami. Teraz Martewall chce albo dowodów, albo sprostowania.

Daniel zamilkł, wstrząśnięty nagłym dreszczem, który przebiegł mu po kręgosłupie. Usiłował nie zastanawiać się, w jaki sposób angielski rycerz ma zamiar wydobyć z nich stosowne informacje, jak tylko znajdą się w miejscu, gdzie nikt nie będzie zwracał mu głowy i gdzie będzie mógł działać w spokoju.

– Co teraz robimy? – zapytał nerwowo.

– Dasz radę wejść w opcje *Hyperversum*? – Ian odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie, nic nie widzę. Nawet jeśli wywołam ikonę gry, nie uda mi się jej dotknąć i nie uruchomię ustawień.

– Spróbuj.

Daniel przekręcił się na bok.

– Help! – zawołał. Do stukotu kół bryczki nie dołączył żaden inny dźwięk. Nie poczuli, żeby wydarzyło się cokolwiek.

– Poczuleś coś? – zapytał Daniel Iana.

– Nie – przyznał z trudem jego przyjaciel.

– Wyjście awaryjne – Daniel spróbował raz jeszcze.

Nic.

W ciemnościach worka zarzuconego na głowę Daniel wyciągnął ręce po omacku na tyle, na ile umożliwiły mu to pęta i nienaturalna pozycja. Jego palce natrafiły tylko na powietrze. „Ta przeklęta ikona pewnie gdzieś tu jest, ale nie mam jak jej wyczuć” – pomyślał i bezgłośnie posłał *Hyperversum* i jego wirtualne jabłuszka do wszystkich diabłów.

– Nie odważę się wypowiadać jakichkolwiek innych poleceń tak na ślepo –

wymamrotał w końcu. – Nie widząc tego, co robię, mógłbym zablokować grę, wyłączyć wszystko albo załadować przypadkiem jakiś inny scenariusz.

– Wolałbym nie skończyć w jakiejś pierwszej lepszej epoce, wielkie dzięki – odpowiedział Ian szeptem.

– Wydaje mi się, że czasy barbarzyńców byłyby niewiele gorsze niż te, w których jesteśmy w tej chwili – jęknął Daniel i raz jeszcze spróbował ruszyć rękami. – Nie wspominając o tym, że to cholerne jabłko gdzieś tu wisi, a ja nie jestem w stanie go dotrzeć. „A jeśli go nie dotkniemy, to nigdy się stąd nie wydostaniemy” – pomyślał.

Stęknął, czując, jak z wysiłku łapie go skurcz w ramionach, i opadł na bok, zwijając się z bólu.

– Anuluj – zarządził na wszelki wypadek. Ostatnią rzeczą, której potrzebowali, byli Flamandczycy zastający ich w towarzystwie fluorescencyjnego jabłka unoszącego się nad ich głowami. Tak, tak, prędziutko wzniesliby im zgrabny stosik za czarną magię. Wtedy przynajmniej Martewall byłby ich najmniejszym problemem.

Odwrócił się na plecy, usiłując ułożyć się w wygodnej pozycji. Z rękoma związanymi na wysokości nerek nie było to jednak możliwe.

– Muszę spróbować jeszcze raz, kiedy ściągną nam te worki z głów – wyszeptał w końcu. – Trzeba poczekać na odpowiedni moment. Mam nadzieję, że taki nadejdzie, zanim ten świr zdecyduje, co chce z nami zrobić.

Ian nie odpowiedział. Chwilowo jego nadzieja na aktywację ustawień *Hyperversum* zniknęła, a wraz z nią możliwość ucieczki bez większego uszczerbku na zdrowiu. Ian zastanawiał się też, jakie mogą być plany Martewalla względem jego osoby. Jeśli nawet chciał udowodnić jego fałszywą tożsamość, przetrzymywanie ich dwójki jako więźniów nie przysłużyłoby mu się w niczym. Chyba że w ten sposób chciałby podważyć pozycję Guillaume'a de Ponthieu przed francuskim królem. W jakim stopniu mogłoby mu się to opłacać? Co chciałby tym osiągnąć?

Z drugiej strony, jeśli Anglik był przekonany, że Ian w rzeczywistości jest bratem de Ponthieu, musiał zdawać sobie sprawę z konsekwencji uwięzienia księcia, człowieka o wyższej pozycji niż jego własna. Rycerz nie mógł być przetrzymywany jako zakładnik bez naprawdę istotnego powodu, zwłaszcza że porwanie nie nastąpiło na polu bitwy. Jeśli Martewall planował wystąpić o okup, musiałby właściwie uzasadnić swoje żądanie, chcąc uniknąć odwetu ze strony Francuzów. Ponthieu mógł zgłosić się bezpośrednio do króla Filipa Augusta, Martewall zaś miałby sporo problemów z obroną swojego stanowiska.

Jedna myśl sprawiła, że Ian zadrżał: Anglik wyraźnie nie chciał, by rozpoznali go właściciele karczmy. Dzięki temu nawet jeśli wieści o napadzie na zmartwychwstałego Jeana Marca de Ponthieu dotarłyby do przyjaznych uszu, nikt nie wyruszy w pościg za czarnym rycerzem. Ponadto Ian nie miał pewności co do losu

karczmarzy, jedynych świadków przykrych zdarzeń.

W każdym razie, jeśli Martewall chciałby zachować wszystko w tajemnicy, oczywiście było, że nikt nie zgłosi się po więźniów. I tego angielski rycerz z pewnością był świadomy.

Czy cel działania Martewalla mógł być tak banalny? Żadnych okupów czy gier politycznych? Zwyczajne, sekretne przetrzymywanie więźnia odpowiedzialnego za śmierć jego przyjaciela Derangale'a po to, by móc zrobić z nim, co mu się żywnie podoba? Czy to była zemsta, której chciał dokonać?

Ian nagle przypomniał sobie enigmatyczne wersy manuskryptu dotyczące jego zniknięcia. Miał być więziony przez bliżej nieokreśloną liczbę miesięcy, zanim zdoła powrócić do domu. Zaczął się obawiać, że nie było to jego własne kłamstwo wymyślane i spisane po to, by usprawiedliwić jego nieobecność. A jeśli tak miała wyglądać prawda? Jeśli naprawdę miał przebywać jeszcze jakiś czas w więzieniu?

Taka wersja wydarzeń przeraziła Iana do szpiku kości. Zgodnie z historią, Jean Marc de Ponthieu miał żyć na tyle długo, by móc spłodzić drugiego syna, następcę swego pierworodnego. Jednak spędzenie najbliższych miesięcy w lochach jakiegoś zamku, w towarzystwie Bóg wie jakich oprawców, było w istocie potworną perspektywą.

Poza tym Martewall mógł go zwyczajnie zdemaskować: coś podejrzewał, mógł więc przeprowadzić dochodzenie lub usiłować wyciągnąć z niego informacje w jak najbrutalniejszy sposób, aby dostać się do kompromitujących dowodów.

Jean Marc de Ponthieu miał jednak przeżyć i tę próbę. Pytanie brzmiało, jaką cenę za nią zapłaci.

Było coś jeszcze gorszego – co prawda Ian miał pewność, że nie umrze, zanim nie spłodzi drugiego syna, który miał się narodzić w lipcu 1218 roku, ale nie miał jednak żadnych informacji co do losów Daniela.

Co miało się stać z jego przyjacielem, kompanem, współwięźniem? Czy przeżyje lochy Martewalla? Ian nie mógł tego wiedzieć i teraz wypominał sobie, że postanowił nie czytać do końca kroniki, w której znajdowały się odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Zadowolił się paroma linijkami potwierdzającymi jego powrót do klasztoru Saint Michel.

Jeśli przewróciłby kilka stron więcej, byłby przygotowany na to, co miało się stać... Mógłby temu zapobiec.

W tej chwili zdecydował, że musi pomóc Danielowi w ucieczce. Cena, jaką mógł za to zapłacić, nie grała roli.

Szkoda tylko, że nie ma bladego pojęcia, jak zrealizować swoje postanowienie w praktyce.

Ponure myśli towarzyszyły mu przez nieokreślony czas, długie godziny, podczas których bryczka wciąż zmierzała w nieznanym kierunku.

Również Daniel milczał przez dłuższą chwilę. W sercu czuł przejmujący niepokój. I tym razem cała wina leżała po jego stronie. Nie potrafił przestać się tym zamartwiać.

Dwa lata temu to on zaraził swoich przyjaciół miłością do *Hyperversum*, to on zaciągnął ich w podróż, której nieomal nie przypłacili życiem. Teraz, jeśli miało spotkać ich coś złego z ręki Martewalla, znów byłby za to odpowiedzialny.

To Daniel wybrał datę, którą wpisali w ustawienia rozgrywki. Gdyby to Ian miał wybierać, zjawiliby się w średniowieczu innego dnia i nie spotkaliby swego nieprzyjaciela.

– Niech mnie szlag, mnie i moje durne pomysły! – zaklął Daniel z rozpaczą.

Milczeli przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w stukot kół wozu i próbując znieść ból, który narastał w ich nienaturalnie wykręconych ramionach. Obaj pogrążali się w coraz czarniejszych myślach.

W końcu bryczka przystanąła. Ian odruchowo wstrzymał oddech i podniósł głowę. Daniel drgnął, wyraźnie zdenerwowany. Przyjaciele nadstawili uszu – Flamandzycy rozmawiali między sobą półgłosem. Prawdopodobnie zsiadali z koni.

Minęło kilka chwil i z wozu zostały zdjęte osłony. Czyjeś ręce brutalnie szarpnęły za sznury przytroczone do dyszla, wyciągając siłą Daniela na zewnątrz. Ian nie zdążył wydać z siebie nawet okrzyku protestu, ponieważ i jego wywleczono z wozu bez większych ceregieli. Flamandzycy poprowadzili go daleko od pojazdu, zmusili, by ukląkł na trawie, po czym ściągnęli mu z głowy worek. Ian zdławił jęk – zdrętwiałe mięśnie w tej pozycji nieznośnie bolały. Usiłując odgarnąć włosy z twarzy, ujrzał przed sobą Geoffreya Martewalla, który rozsiadł się na obalonym pniu drzewa.

Ian rozejrzał się dookoła. Daniela nie było – oprawcy musieli zawlec go gdzieś indziej.

Zapadał zmierzch.

Znajdowali się w gęstym lesie przeciętym pojedynczą nitką ubitej drogi. Stała na niej bryczka, którą podróżowali więźniowie, a także konie rycerza i jego ludzi. Gałęzie drzew i zarośla lśniły kroplami lekkiego deszczu, który ustał chwilę temu. Roślinność tonęła w ciszy i bezruchu.

Żołdacy Martewalla zeskoczyli z siodeł, żeby rozprostować nogi. Niektórzy gdzieś zniknęli. Ian domyślał się, że mogli towarzyszyć Danielowi, ukryci wśród gęsto rosnących drzew. Skupił całą swoją uwagę na siedzącym przed nim rycerzu.

– Dokąd nas zabieracie? To porwanie, wiesz o tym, prawda? Nie ujdzie ci to na sucho – zagroził, zwracając się do niego w dalszym ciągu po francusku.

Geoffrey Martewall skinął ręką w kierunku swoich ludzi, nakazując im się oddalić.

– Och, czyżby podróżowało ci się niewygodnie? Powinieneś się przyzwyczajać, zwłaszcza że przed nami jeszcze spory kawał drogi – odrzekł. Gdy tylko został sam na sam ze swoim więźniem, zwracał się do niego po angielsku. Umościł się wygodnie na pieńku, okrywając się płaszczem. Robiło się coraz chłodniej. Włosy rycerza,

mokre od deszczu, posklejane były w ciemne strąki. Jego twarz wyrażała zmęczenie, wciąż jednak rysowała się na niej zaciętość.

– Chcę wiedzieć, dokąd nas zabieracie! – powtórzył Ian ze złością.

– Ja też chciałbym się dowiedzieć od ciebie paru rzeczy – odpowiedział lodowato Martewall. – Porozmawiamy sobie o tym na szlaku. Tylko musimy wybrać, w jakim języku.

Ian zdecydował się przejść na angielski. Wiedział, że we własnym języku nie umkną mu w dialogu żadne aluzje.

– O czym chcesz rozmawiać? Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Ale ja mam kilka pytań...

– Równie bezużytecznych jak pytanie o to, kim jestem? Na próżno strzępisz język. Znasz moją odpowiedź.

– Nie wydaje mi się szczególnie satysfakcjonująca.

– Czy ci się to podoba czy nie, innej nie otrzymasz.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem we wrogim milczeniu.

– Jean Marc de Ponthieu – wycedził w końcu Martewall, jakby porównując dźwięk imienia z twarzą człowieka znajdującego się przed nim. – Wciąż zadaję sobie pytanie, czy twój brak manier sprawi, że będę musiał użyć wobec ciebie innych metod.

Ian zacisnął pięści unieruchomione za plecami.

– Przemocą możesz wpłynąć na człowieka, ale nie masz wpływu na to, jaka jest prawda. Nie zmienisz tego, kim jestem, choćbyś nie wiem do czego się posunął.

Angielski rycerz nie odpowiadał. Mierzył swego więźnia zimnym spojrzeniem.

– Jeśli naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz, dlaczego wszyscy mają cię za martwego? Od zamachu minęły miesiące, a na tych ziemiach wciąż oplakują twe imię.

Ian poczuł dreszcz na myśl o tym, jak bardzo musiała cierpieć Isabeau.

– Prawie straciłem życie – odrzekł. – Ocalałem cudem.

– Pewnie. I co jeszcze? Tak długo dochodziłeś do siebie? Nie dając znaku życia nawet swemu rodzonemu bratu? – rzucił Anglik ze sceptycznym uśmiechem. – Gdzieś się podziewał aż do teraz?

– Spróbuj się domyślić. Nie mam zamiaru się przed tobą tłumaczyć.

– Ale to zrobisz. I być może będzie to ostatnia rzecz, którą zrobisz. Ewentualnie, mogę zapytać twojego przyjaciela.

Rozjuszony, Ian zwrócił się do Martewalla:

– On nie ma ci nic do powiedzenia! Tknij go, a się z tobą rozprawię!

Rycerz nie odpowiedział, lecz Ian zauważył z przestraszeniem, jak zareagował na jego nagły wybuch. Martewall odkrył słaby punkt swojego więźnia i pewnie zechce to wykorzystać.

Ian zaklął w duchu. Fałszywy krok. Zamilkł, żeby nie pogarszać dodatkowo swojej

sytuacji.

– Rozpoznałem go, kiedy mu się lepiej przyjrzałem – ciągnął Martewall. – Zaciekawilo mnie, czemu udawaliście, że się nie znacie. Pod Bouvines służył ci za giermka, a ja pamiętam, jak groźny był jego łuk.

„Naprawdę szkoda, że na groźbie się skończyło” – pomyślał Ian w pierwszej chwili, lecz zdecydował się nie powtarzać tego na głos. – Teraz jest rycerzem – odrzekł. – Nie jest Francuzem. Puść go wolno, nie jest niczemu winien.

Martewall wzruszył ramionami.

– Francuz czy nie, jakie to ma znaczenie? Jeśli chciał uniknąć kłopotów, to mógł się za tobą nie włączyć. Sam wybrał swój los. Szkoda tylko, że nie był to najtrafniejszy wybór.

Ian czuł narastającą nienawiść do swego rozmówcy. W jego spojrzeniu, prócz okrucieństwa, zdołał jednak wyczytać wielką ciekawość.

– Czemu tak bardzo chcesz mnie zniszczyć? Co na tym zyskasz? – nalegał. – Twój plan, jakkolwiek by był, nic ci nie da.

– Zyskać? Masz mnie za najzwyczajszego zbira? – oburzył się Martewall.

– Jesteś nim. Czyż nie zostałem najzwyczajniej porwany?

Angielski rycerz zerwał się na równe nogi w nagłym uniesieniu.

– Chcę prawdy! Chcę zrozumieć!

Ian patrzył, jak Martewall się zbliża. Był na wyciągnięcie ręki.

Rycerz spoglądał na niego z góry ze złością.

– Jerome był wplątany w zagadkę, do której ty jesteś kluczem. Będiesz zdany na moją łaskę aż do chwili, gdy wszystko zrozumiem. Użyję każdego z możliwych sposobów, żeby dociec prawdy. Słyszysz? Każdego z możliwych sposobów. Nie jest powiedziane, że musisz pozostać przy życiu, i w rzeczywistości naprawdę niewiele mnie to obchodzi. Zwłaszcza że nikt nie zainteresuje się twoim losem.

Ian przysiadł lekko na piętach. Usiłował nie spuszczać oczu z Anglika. Nie przerywał mu.

– Jakaż to zagadka? – zapytał cicho i z napięciem.

Martewall odczytał ton jego głosu jako oznakę przerażenia. Zadowolony ze swego wystąpienia zadarł brodę do góry.

– Dlaczego Jerome miał na twoim punkcie obsesję? Nie baczył na własny honor, wydając na ciebie wyrok śmierci. Doszło do tego, że oskarżył cię o uzurpowanie tytułu przed samym królem Francji. Nie wymyśliłby sobie tak absurdalnego zarzutu, gdyby nie był pewny tego, co mówił.

„Martewall nie ma pojęcia o intrydze, którą uknuł Derangale z Dammartinem i prawdziwym Jeanem de Ponthieu” – Iana olśniło. Powstrzymał westchnienie ulgi. Teraz miał w zanadrzu dodatkowy atut.

– Być może twój szlachetny przyjaciel nie wiedział, jak usprawiedliwić próbę

porwania mej przyszłej oblubienicy i sposób, w jaki bezzasadnie potraktował mnie w Cairns. Nie pomyślałeś o tym? Nie potrafił wyjaśnić pręgów, które zdobią moje plecy, nie uciekając się do kłamstwa. Noszę je ja – księżę Francji.

Błade oblicze Martewalla znieruchomiało na moment.

– Jerome nie był kłamcą.

– Ale był porywaczem, prawda? I okrutnym mordercą, który oprócz wydania na mnie wyroku śmierci usiłował zabić hrabię Grandprégo na turnieju w Béarne, tylko dlatego że walczyliśmy pod jednym sztandarem.

– Nie pozwolę ci w ten sposób obrażać angielskiego rycerza! – wybuchnął Martewall. – Był moim przyjacielem, a ty... ty jesteś sprawcą jego śmierci. Nie waż się oczerniać pamięci o nim!

– Ty też tam byłeś. Nie możesz zaprzeczyć temu, co zdarzyło się w Béarne. Jeśli to uczynisz, jesteś takim samym mordercą jak Derangale – odparł Ian twardo. Uciszył go policzek wymierzony z taką siłą, że prawie upadł na ziemię, dusząc okrzyk bólu. Po chwili jednak podniósł wzrok, w którym malowała się furia. – Zrób to raz jeszcze, a pożałujesz.

Zdawało się, że Martewall zareaguje jeszcze gwałtowniej, lecz powstrzymał się. Wycelował w niego palec z cichą groźbą – jego ostatni gest zwrócił uwagę ludzi znajdujących się niedaleko.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – powiedział, dygocząc ze złości, po czym wezwał swoich wojów. – Dajcie mu jeść i załadujcie go na wóz – rozkazał sucho, wskazując na więźnia.

Daniel był już na miejscu, związany i z zakrytą głową, kiedy Ian, również skępowany sznurem, został wrzucony do środka bryczki.

– Hej! – wykrzyknął, słysząc jęk przyjaciela, pchniętego w głąb wozu. – Co ci zrobili? – zapytał z niepokojem, gdy tylko ludzie Martewalla oddalili się, a wóz ruszył w dalszą drogę.

Ian zaniósł się kaszlem pod workiem, który szczelnie zakrywał mu głowę. Bolała go twarz w miejscu, w którym uderzył go Anglik.

– Nic. Przynajmniej jak dotąd. A ty, jak się masz? – odpowiedział.

Daniel usiłował ułożyć się w jak najwygodniejszej pozycji.

– W porządku, nic mi nie zrobili. Dali mi jeść i pić, i... tego, pozwolili mi załatwić moje potrzeby.

Ian westchnął.

– To samo. Ale wcześniej zamieniłem dwa słowa z Martewallem.

– Co ci powiedział?

– Przede wszystkim mi groził. Obawiam się, że nas nie wypuści, zanim nie dowie się całej prawdy. Jest gotowy posunąć się do ostateczności, żeby uzyskać odpowiedzi.

– Przecież nie może tego zrobić! W końcu jesteśmy u ciebie, na twoich ziemiach! Nikt nie ważyłby się tknąć cię w tym miejscu!

– Przeciwnie: wystarczy po prostu zatrzeć dokładnie ślady zbrodni.

Daniela przeszył dreszcz. Wiedział, że jego przyjaciel ma rację.

– I właśnie dlatego tak bardzo troszczą się o to, by trzymać nas w ukryciu – ciągnął Ian. – Nikt nie wie, że to właśnie Martewall nas schwycił. Dopóki uda mu się utrzymać to w tajemnicy, może robić, co mu się żywnie podoba, i nikt mu w tym nie przeszkodzi. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: –Możemy spodziewać się wszystkiego, co najgorsze. Nie potrafi knuć na chłodno intrygi, tak jak Derangale. Improwizuje, nie ma jeszcze żadnego planu. Jedyne, czego chce, to wziąć odwet za śmierć przyjaciela.

– A niech go... – wymamrotał Daniel.

Ian spróbował odwrócić się w jego stronę.

– Słuchaj, następnym razem, kiedy się zatrzymają i ściągną ci ten worek z głowy, musisz spróbować włączyć ustawienia *Hyperversum* i stąd zwać.

– Bez ciebie? Po moim trupie!

– Posłuchaj mnie, Daniel. Musisz stąd spadać, zanim będzie za późno.

– Nie zostawię cię w rękach tego rzeźnika!

– Uda mi się przeżyć, tak jest zapisane w kronikach. A ty ryzykujesz własną głową! Chcę, żebyś stąd zniknął, i to jak najszybciej.

– Jeśli odejdę stąd bez ciebie, nie będę mógł wrócić! *Hyperversum* działa tylko wtedy, kiedy zaczynamy rozgrywkę razem: jeśli teraz opuszczę grę w pojedynkę, nie uruchomimy już nigdy żadnej następnej! I już nigdy więcej się nie zobaczymy!

Ian poczuł, jak ściska mu się serce.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział cicho. – Jedyne, która się teraz liczy, to twoje życie. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później będziemy musieli się rozdzielić. Wystarczy mi, że będziesz bezpieczny. Tobie też to powinno wystarczyć.

Daniel nie odpowiedział. Czuł się rozgoryczony.

Wóz toczył się dalej wzdłuż drogi.

W nocy zrobiło się zimno. Dwóch więźniów na wozie spędziło ją na wpół świadomie – co chwila zapadając w półsen z wyczerpania i budząc się nagle z każdym podskokiem bryczki. Martewall nie zatrzymywał się już: najwyraźniej chciał jak najszybciej dojechać do swego celu, gdziekolwiek by się on znajdował. Na zewnątrz pewnie już świtało, gdy dwójka więźniów zasnęła wreszcie ze zmęczenia.

Obudzili się po jakimś czasie. Z daleka do ich uszu dochodziła mieszanina różnych dźwięków, w tym głosów ludzi.

– Co jest? – zapytał Daniel półgłosem.

Ian w napięciu nasłuchiwał każdego dźwięku. Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał, dokąd się zbliżają.

– To wioska! Jesteśmy w wiosce, a może w mieście!

Nie zdążył powiedzieć nic więcej – jeden z żołnierzy wdrapał się na wóz i usadowił obok nich. Ian usłyszał metaliczny dźwięk sztyletu wyciąganego z pochwy i chwilę później poczuł zimny dotyk ostrza na szyi.

– Spróbujcie krzyczeć, a poderżnę wam gardło – zagroził mężczyzna cicho, upewniając się, że usłyszy go również Daniel.

„Niech ich szlag! Boją się, że Francuzi nas odkryją” – pomyślał Daniel ze złością.

Czuł narastającą wściekłość na myśl o tym, że na zewnątrz, w zasięgu głosu jest ktoś, kto mógłby im pomóc. Wiedział, że nie może zawołać. Nie mógł pozwolić sobie nawet na najmniejszy ruch – uzbrojony żołnierz siedział tuż obok i był gotowy na wszystko.

Przez dłuższą chwilę wóz powoli przemierzał ruchliwe ulice osady. Kiedy wreszcie się zatrzymali, do uszu Iana dotarł nowy odgłos, początkowo niejasny. W końcu zrozumiał.

Dźwięk sprawił, że poczuł, jak serce zmienia mu się w sople lodu.

– Morze...! – wymamrotał młodzieniec z przerażeniem.

Daniel podniósł głowę w odruchu zaskoczenia.

– Co takiego?

– Cisza! – nakazał strażnik.

Ian przygryzł wargi, czując, jak ostrze sztyletu mocniej naciska na jego krtań. Nie powiedział nic więcej, ale myśli przelatowały mu w głowie z szybkością światła.

Dotarli nad samo morze. Ludzie Martewalla poprowadzili ich w stronę brzegu kanału La Manche. Od tej chwili kierunek ich podróży nie pozostawiał już najmniejszych wątpliwości.

„Zabierają nas do Anglii!” – na samą myśl o tym Iana przeszył dreszcz. Nie chciał się nawet zastanawiać, co może ich tam czekać, jego i Daniela – dwóch rycerzy wojska francuskiego, którzy trafiają na terytoria pokonanego króla Jana bez Ziemi. Klęska spod Bouvines była wciąż świeżą sprawą i z pewnością było za wcześnie, by ludzie o niej zapomnieli. Zwłaszcza suweren angielski i jego rycerze, których spotkało tam sromotne upokorzenie. Sam Martewall i jego kompani z Flandrii byli tego doskonałym przykładem.

Na ziemiach francuskich Ian mógł żywić minimum nadziei na pomoc i uniknięcie długich miesięcy więzienia. Teraz, kiedy przewożono ich na terytorium wroga, mógł się z tą myślą pożegnać. Jeśli trafią do Anglii, sam król francuski, Filip August,

miałby spore trudności z żądaniem uwolnienia więźniów. Z całą pewnością zniką również możliwość odsieczy ze strony Ponthieu, który nie wiedział nawet, kto jest porywaczem jego brata.

A Daniel... Daniel z każdą minutą, w miarę jak zbliżali się do Anglii, ryzykował coraz więcej. Ian gorączkowo próbował wymyślić jakąś drogę ucieczki. Nie przychodziło mu jednak nic do głowy.

Po pełnej napięcia chwili oczekiwania wóz ponownie ruszył z miejsca. Obawy Iana potwierdziły się – usłyszeli, jak koła toczą się po czymś, co musiało być drewnianym mostkiem. Szum morza nasilił się.

– O mój Boże... – wyszeptał Daniel, który doszedł do takich samych wniosków jak Ian.

Strażnik pchnął go łokciem między żebra i uciszył tym skutecznie.

Głosy francuskich robotników portowych rozbrzmiewały dookoła przez dłuższą chwilę. Wóz trząsał się jeszcze bardziej, rzenie wyprowadzanych koni mieszało się z krzykiem mew, które z góry obserwowały całą scenę.

Daniel i Ian, w pełnej niepokoju ciszy, nasłuchiwali, jak statek zrzuca cumy, by wypłynąć na głębokie wody. Po chwili głosy zaczęły cichnąć, jeden po drugim. Wóz przestał się gwałtownie chwiać, teraz kołysał się łagodnie i rytmicznie. Morze szumiało jeszcze głośniejszym dźwiękiem rozlegał się zwielokrotnionym echem, odbijając się od drewnianych osłon bryczki.

Uzbrojony Flamandczyk odsunął szyć i zeskoczył z wozu. Zanim się oddalił, rzucił ze śmiechem:

– Teraz możecie sobie krzyczeć co tchu, jeśli macie ochotę. Tutaj i tak nikt was nie usłyszy.

Rozdział 6



Droga przez otwarte morze zdawała się trwać całą wieczność. W rzeczywistości nie minął nawet jeden dzień – Daniel i Ian pojęli to, gdy zostali wyprowadzeni na pokład, by się posilić i załatwić inne potrzeby. Słońce zaczynało zniżać się nad horyzontem.

Nie mając większej ochoty podtrzymywać więźniów na każdym kroku, porywacze zdjęli im worki z głów. Ian i Daniel zrozumieli, że właśnie przepłynęli kanał La Manche – po drugiej stronie, przed dziobem statku, majaczył się zamglony ląd.

Wiatr wydymał żagle, odpychając statek od lądu i utrudniając dobiec do portu. Fale rozbijały się z rytmicznym hukiem o drewnianą konstrukcję, a ich grzbiety w starciu z rufą statku zmieniały się w góry białej morskiej piany.

Od celu dzielił ich jeszcze kawałek, ale Francja już dawno rozplynęła się w gęstniejącej mgle za ich plecami.

– Ty. Tędy – rozkazał jeden z Flamandczyków Danielowi, gestem nakazując mu przejście wzdłuż brzegu statku, do miejsca, gdzie kłębiła się pozostała część załogi. – Wy natomiast, mości książe, usiądźcie sobie. Tylko grzecznie – dodał, okraszając szlachecki tytuł wrednym uśmieszkiem.

Ian zerknął na niego z ukosa, lecz nie zareagował na kpinę. Przeszedł posłusznie we wskazanym kierunku, co sprawiło mu nieco trudu, gdyż ręce miał wciąż unieruchomione za plecami. Flamandczyk stanął obok niego, zakładając kciuki za rycerski pas, do którego przytwierdził sobie sztylet i miecz.

Daniela przejęła dwójka zbrojnych. Zanim zdążył wykrztusić z siebie chociaż słowo, został wypchnięty do przodu, jednak przynajmniej rozwiązano mu nadgarstki. Ian zrozumiał, że chcą zająć się każdym z osobna, aby nie przyciągać uwagi załogi kręcącej się po statku. „Jeśli tak dalej pójdzie, nie mamy szans na ucieczkę” – pomyślał z wściekłością, rozglądając się w poszukiwaniu jakiegokolwiek wyjścia z sytuacji.

Niestety, nie było to najłatwiejsze, zważywszy, że znajdowali się na samym środku morza. Najprościej byłoby zniknąć razem z Danielem prosto z pokładu statku, gwizdząc na to, co mogliby pomyśleć Martewall i cała reszta średniowiecznych wojów – nawet przy założeniu, że chcieliby opowiadać komukolwiek o ucieczce swoich jeńców, kto uwierzyłby w ich słowa? Jednak, żeby tego dokonać, przyjaciele

musieliby choć przez chwilę stać obok siebie, bez zbędnego towarzystwa i bez tego cholernego worka na głowie! Tylko w ten sposób można było wezwać ikonę *Hyperversum* i dotknąć jej bez przeszkód. Jak dotąd taka sposobność jeszcze się nie nadarzyła.

Problem polegał na tym, że dopóki byli na otwartym morzu, Daniel nie mógł uciec w pojedynkę. Jego ewentualne „rozpłynięcie się w powietrzu” mogłoby zdecydowanie pogorszyć sytuację Iana.

Przyjaciele dyskutowali już na ten temat podczas długich godzin spędzonych w ładowni: żeby przeprowadzić ucieczkę samego Daniela, musieli koniecznie poczekać do momentu, w którym statek zbliży się do brzegu. Takie przedstawienie zyskałoby na wiarygodności.

„Miejmy nadzieję, że ta łajba dobije szybko do portu” – powiedział sam do siebie Ian, mierząc wzrokiem horyzont i oceniając prędkość, z jaką zbliżali się do lądu. „Niedługo będziemy zsiadać, a przecież prędzej czy później będą musieli spuścić nas z oka chociaż na chwilę!”

Statek, którym podróżowali, był pękaty i krągły, nie miał więcej niż sto stóp długości i trzydzieści szerokości⁶. Sterczał z niej jeden maszt z prostokątnym żaglem, a na pokładzie nie było nawet ławki wioślarskiej. Mostek kapitański zapchano towarami, na które nie starczyło miejsca w ładowni. Ponadto statek pozbawiony był zbędnych wygód i z pewnością miał już swoje lata, ale utrzymano go w dobrym stanie.

Ze względu na brak specjalistycznej wiedzy Ian nie potrafił rozpoznać typu łodzi, ale podejrzewał, że może to być jednostka handlowa, przystosowana do niezbyt długich przepraw – ładownia nie była zbyt pojemna i nie wydzielono specjalnych kabin dla pasażerów i załogi. W kabinie bagażowej, w której umieszczono wóz, zmieściła się ledwie połowa koni należących do ludzi Martewalla; zwierzęta upchnięto obok drewnianych skrzyń z towarami. Nawet jeśli statek był wyposażony w drugą taką samą kabinę, to biorąc pod uwagę jego rozmiary, nie było miejsca na jakiegokolwiek zapasy czy wodę pitną niezbędną w dłuższych podróżach. W najlepszym wypadku między towary, bagaże i resztę zwierząt wciśnięto jakąś przypadkową pryczę.

Ian obliczył, że na pokładzie jest około trzydziestu ludzi: Anglików i Flamandczyków. Biorąc pod uwagę to, że nikogo nie zdziwił widok dwóch związanych więźniów na mostku kapitańskim, wszyscy musieli być sprzymierzeńcami Martewalla. Ze strony załogi raczej nie można było spodziewać się pomocy.

Westchnął. Nie pozostawało mu nic innego, jak wyczekiwać przybicia do brzegu, próbując się odprężyć i odzyskać utraconą energię. Spędził w ten sposób dziesięć minut, leżąc kompletnie nieruchomo. Po całym dniu z płóciennym workiem na głowie

teraz mógł przynajmniej oddychać czystym powietrzem i czuć morską bryzę na twarzy, kiedy rozglądał się dookoła.

Martewall siedział na dziobie statku na zwoju lin okrętowych, opierając się plecami o skrzynię. Był otulony w swój zimowy płaszcz i nie zwracał uwagi na innych. Tkwił nieruchomo i miał zamknięte oczy – być może spał. Na pokładzie było bardzo zimno – wskazywały na to sine usta rycerza.

„Mógł sobie znaleźć jakieś ciepłe miejsce pod dachem, choćby tam, gdzie trzymają konie” – pomyślał Ian. Rozumiał jednak, jaką ulgę musiało mu przynieść wyjście na powietrze po tak długim czasie spędzonym w zamknięciu, w zaduchu stęchlizny i smrodzie zwierząt. O ile było mu wiadomo, Martewall był przetrzymywany we francuskich lochach przez kilka miesięcy – co z całą pewnością było gorszym więzieniem niż jakakolwiek ładownia czy wóz. Biorąc to pod uwagę, trudno było się dziwić, że obecnie wolał unikać zamkniętych miejsc, nawet jeśli miało się to wiązać z ewentualnym przemarzeniem.

„Nie mam zamiaru podzielić jego losu” – obiecał sobie Ian, usiłując pozbyć się z głowy natrętnego obrazu siebie jako średniowiecznego więźnia w ciemnicy jakiegoś zamku.

Mężczyzna o siwych włosach, prawdopodobnie najwyższy rangą po Martewallu, podszedł do rycerza i nachylając się, coś do niego powiedział. Ian znajdował się za daleko, by móc go usłyszeć, jednak Martewall otworzył oczy i zerknął ponad dziób statku, w kierunku wybrzeża, które rysowało się coraz wyraźniej na horyzoncie. W tej samej chwili marynarze zaczęli krzątać się w okolicach steru i masztu z większą werwą.

Statek obracał się powoli i mając ląd po lewej burcie, płynął naprzód.

Ian obserwował uważnie cały manewr. „Skręcamy” – pomyślał. „Dokąd płyniemy?”

Był zaniepokojony i zrezygnowany. Jeśli statek miał zamiar płynąć wzdłuż wybrzeża, nie zawijając na razie do portu, czas oczekiwania na jakąkolwiek sposobność ucieczki znacznie się wydłużył.

Chłopak odwrócił się dokładnie w chwili, gdy strażnicy prowadzili Daniela w jego stronę. Jego przyjaciel znowu miał ręce związane za plecami. Spojrzał na niego z niemym pytaniem w oczach, wskazując ruchem głowy na marynarzy: „Co się dzieje?”.

– Siadać – nakazał jeden z Flamandczyków, pokazując Danielowi miejsce obok Iana, po czym przystanął, żeby zamienić kilka słów z innym wojem. Również człowiek, który dotąd pilnował Iana, odszedł parę kroków, chcąc dołączyć do współtowarzyszy.

– Zdaje się, że mijamy port w Dover – wyszeptał Ian do Daniela, wykorzystując moment, w którym znaleźli się obok siebie, a strażnicy zajęci byli rozmową. –

Kierujemy się na północ.

– To dobrze czy źle? – zapytał Daniel.

– Nie mam pojęcia. – Ian rozglądał się dookoła wyraźnie niepoczyszony. Powietrze było zimne i opadała mgła.

– Co znajduje się w północnej części wybrzeża? – zapytał znowu Daniel.

Ian zerknął na szary horyzont, bezskutecznie szukając jakiegoś punktu odniesienia.

– Zdaje się, że Londyn. Na pewno ujście Tamizy. Dalej i wyżej – nie wiem.

– Lenno Martewalla?

– To możliwe. Nie mam pojęcia, gdzie może być Dunchester.

– Powiedz mi tylko, czy to miejsce z czymś ci się kojarzy – nalegał Daniel, widząc nagłe milczenie przyjaciela.

Ian potrząsnął głową.

– Możliwe, z czymś. Nazwa brzmi dla mnie znajomo, ale nic konkretnego nie przychodzi mi teraz do głowy.

Daniel wymamrotał coś w rodzaju: „To po co było się tyle uczyć?”, ale uciszył się, widząc zbliżających się strażników. Najwyraźniej mieli dosyć pogaduszek między więźniami.

– Co to za kłapanie dziobami? – zapytał jeden z nich, nie siląc się na uprzejmości.

– Zimno jest – burknął Daniel z taką samą niechęcią.

– W lochach Dunchester będzie cieplej, ale nie wydaje mi się, żebyście umieli to docenić – mężczyzna parsknął sarkastycznym śmiechem. Skinął na Iana. – A wy, mości książę, jeśli łaska, proszę za mną. Podano do stołu, z małym opóźnieniem.

Zrezygnowany Ian usłuchał, nie próbując protestować.

Pozostała część popołudnia nie przyniosła zmian na lepsze.

Iana i Daniela zamknięto ponownie w ładowni. Tym razem oszczędzono im tortury worków na głowach, lecz musieli siedzieć daleko od siebie, rozdzieleni przez żołdaków, którzy skryli się w kajucie przed zimnem i odpoczywali wyciągnięci na podłodze.

Kiedy więźniowie byli przetrzymywani na wozie, mogli przynajmniej ze sobą rozmawiać. Teraz jednak i ta możliwość została im odebrana. Gdy tylko któryś z nich próbował otworzyć usta, wojowie uciszali go bez wahania.

O ucieczce nie mogło być mowy.

Od strony luku wpadało zimne światło, które pozwalało dostrzec kontury pomieszczenia – dwaj przyjaciele mogli przyjrzeć się miejscu, w którym ich przetrzymywano.

Wóz miał teraz odkręcone koła i dyszel. Przesunięto go kawałek od włazu, aby

zrobić miejsce na ruchomą drabinę, która umożliwiała załodze zejście do ładowni. Sześć koni zajmowało tylną część pomieszczenia. Warstwa słomy, na której stały, miała chłonać ekskrementy i można ją było wyrzucić przez bulaj wycięty w burcie. Zwierzęta zostały przywiązane za uzdy do drewnianej ściany. Parskały od czasu do czasu, zaniepokojone kołysaniem statku. Ponadto w kajucie zgromadzono drewniane skrzynie, z których jedne były wypełnione różnymi towarami, a inne puste. Każdy skrawek wolnego miejsca zajmowali żołnierze Martewalla, którzy spali rozłożeni na wiązkach czystej słomy.

„Nie ma stąd wyjścia” – pomyślał Daniel i spojrzał z rozpaczą na Iana, który pokręcił głową. Zrezygnowany, przywarł plecami do ściany. Czekał. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko czekać. Kołysanie statku w połączeniu z hipnotycznym dźwiękiem fal wprawiało w odrętwienie.

Chłopak ocknął się gwałtownie, słysząc kilka głuchych uderzeń w burtę statku.

„Co to było?” – zastanawiał się oszołomiony. Dotarło do niego, że usnął, nie wiedząc nawet kiedy. Rozejrzał się dookoła zaniepokojony.

Światło wpadające do środka przez właz było teraz tak słabe, że ledwo dało się rozróżnić kontury ładowni, lecz Daniel zdołał zauważyć, że również Ian jest czujny. Spoglądał w stronę otwartego włazu. Widoczny prostokąt nieba był już ciemny, nadszedł zmierzch. Statek kołysał się teraz łagodniej. Z dala dochodziły okrzyki marynarzy.

„Zatrzymaliśmy się?” – taka była pierwsza myśl, która wpadła Danielowi do głowy. Zachmurzone niebo zdawało się tkwić nieruchomo. Jego podejrzenia potwierdziły się – statek musiał dobić do jakiegoś lądu.

Ktoś przyniósł z góry zapaloną latarnię, oświetlając ciemne sylwetki. Drabinka zaskrzypiała, chybcząc nieznacznie. Martewall zszedł do ładowni jako pierwszy.

Daniel poczuł napięcie, jednak angielski rycerz uraczył więźniów krótkim spojrzeniem i zwrócił się do swoich ludzi, którzy na jego widok pobudzili wciąż uspiomych współtowarzyszy. Wysoki rangą żołnierz podązał za Martewallem. Latarnia, którą niósł, rzucała światło na pomieszczenie.

Martewall wymienił cztery nazwiska, po czym z miejsca zerwało się na nogi czterech wojów.

– Przygotujcie konie – nakazał rycerz, po czym odwrócił się do kapitana. – Hektor, przekazuję ci dowództwo nad statkiem, jutro dołączę do was w Dunchester.

Siwiejący mężczyzna skinął głową.

– Możecie na mnie polegać, panie.

Ludzie Martewalla zabrali się do roboty, nie zwlekając ani chwili. Dwóch z nich osiodłało konie, jeden zbierał potrzebne sprzęty, ostatni mocował się z bulajem na burcie, podczas gdy pozostali dźwigali z podłogi drewnianą kładkę.

– Podnieś się! – nakazali Danielowi, siedzącemu w przejściu.

Chłopak usłuchał w milczeniu i przeszedł na drugą stronę kabiny, gdzie usiadł obok Iana. Czuł na sobie czujne spojrzenie Martewalla i kapitana.

Kiedy bulaj został otwarty, więźniowie ujrzeni drewniany mostek tuż obok statku.

Mężczyźni zaczęli wyprowadzać na zewnątrz pięć z sześciu koni, ostrożnie wiodąc je po drewnianej kładce w obawie przed ich nagłymi i potencjalnie niebezpiecznymi ruchami. Martewall również wyszedł, zatrzymując się na chwilę, żeby zamienić dwa słowa z kapitanem. Mężczyzna pochylił głowę w ukłonie i pożegnał rycerza. Martewall przeszedł przez właz i zniknął z pola widzenia.

– Zdejmijcie kładkę i odpływamy. Musimy dostać się na głębokie wody, zanim zrobi się całkiem ciemno – nakazał kapitan, po czym przekazał latarnię na ręce jednego ze swych poddanych i wspiął się po drabinie, wychodząc na górny pokład.

– Możemy na tym skorzystać – wyszeptał Ian do Daniela, wykorzystując chwilową nieuwagę strażników i wskazując dyskretnie na otwarty bulaj w burcie statku oraz na krzątających się ludzi. – Martewall opuścił nas wraz z połową swoich żołnierzy – lepsza okazja nam się nie trafi. Bądź gotowy: spróbuję jakoś odwrócić ich uwagę, jeszcze zanim wypłyniemy na pełne morze. Jeśli nie damy rady zwać razem, uciekaj sam.

Daniel nie odpowiedział. Czuł się coraz bardziej nieswojo na myśl, że musiałby uciekać, pozostawiając Iana w szponach Martewalla. Pewnie, jak tylko łódź odbije od brzegu, mógłby zainscenizować ucieczkę, skacząc do wody przez bulaj. Wystarczyłoby zniknąć z pola widzenia na chwilę wystarczająco długą, by uruchomić opcje *Hyperversum* i dotknąć ikony, która umożliwiłaby mu powrót. Ludzie Martewalla szukaliby go na próżno, czy to w przekonaniu, że ocalał i dopłynął do brzegu, czy też mając pewność, że utonął podczas rozpaczliwej próby ucieczki.

Tak, ucieczka wydawała się możliwa, a mimo to Daniel wciąż się wahał. Zbliżał się moment podjęcia decyzji, a chłopak czuł, jak narasta w nim obawa o Iana. Co się z nim stanie, jeśli pozostawi go samego na wrogiej ziemi? Na samą myśl o tym Daniel czuł się fatalnie.

– Nie możesz się wahać – nalegał Ian, odczytując w lot myśli przyjaciela. – Obiecay mi.

Daniel ponuro skinął głową.

– Cisza, wy tam! – wrzasnął w ich kierunku mężczyzna z latarnią w dłoni. – A ty wracaj na swoje miejsce, dość już się naplotkowaliście! – ciągnął dalej, zwracając się do Daniela.

Chłopak z trudem powstrzymał się przed odpyskowaniem w podobny sposób, świadomy tego, że planując ucieczkę, nie może pozwolić sobie na żaden lekkomyślny krok. Wstał i skierował się w miejsce, w którym siedział wcześniej. Zadbął jednak o to, by znaleźć się jak najbliżej bulaju.

Ian udając, że próbuje ułożyć się w jak najwygodniejszej pozycji, przesunął się

nieznacznie w jego stronę. Pomiedzy przyjaciółmi, którzy znów siedzieli naprzeciwko siebie, stała drabina spuszczone z wjazdu do kabiny.

Mężczyzna z latarnią czekał, aż pozostali skończą pracować i oporządzą konia, który pozostał w ładowni. Skierował światło na wejście, umożliwiając towarzyszom wydostanie się z kabiny. Podał latarnię ostatniemu z nich.

– Przynies mi coś do jedzenia, gdy będziesz wracał – powiedział, po czym przycupnął na ostatnim szczeblu drabiny, rozglądając się czujnie.

Łódź była gotowa do wypłynięcia na pełne morze. Minęło dobre pół godziny, nim ucichły hałasy dochodzące z przystani, ustępując miejsca szumowi fal. Kadłub zaczął się kołysać i pasażerowie zrozumieli, że znów oddalili się od wybrzeża.

Upewniwszy się, że statek jest już na pełnym morzu, Flamandczyk wstał, odszedł kawałek i wyciągnął się wygodnie na słomie. Minęło dziesięć minut, podczas których tkwił w kompletnym bezruchu – Daniel i Ian zyskali pewność, że ich strażnik uciał sobie drzemkę.

W ładowni zapadła gęsta ciemność i Daniel wreszcie mógł ruszyć się z miejsca przez nikogo niezauważony. Ostrożnie, centymetr po centymetrze, chłopak zdołał przesunąć pod kolanami związane nadgarstki. Brakowało jeszcze małego wysiłku, żeby przełożyć je do przodu. Ian usiłował zrobić to samo. Nagły dźwięk dochodzący z górnego pokładu sprawił, że zamarł. Podniósł oczy i ujrzał światło zbliżające się do otwartego wjazdu: wracał drugi Flamandczyk z posiłkiem dla swego towarzysza.

Ian przeturlał się w pozycji pólężącej pod drabinę, znikając z pola widzenia nadchodzącego żołnierza i układając się na boku, żeby łatwiej mu było się dźwignąć.

Daniel usiłował przyspieszyć przekładanie ramion do pozycji, w której mógłby zrobić z nich użytek. Próbował nie obudzić strażnika znajdującego się nieopodal. Udało mu się w chwili, gdy drabinka zaczęła trzeszczeć pod ciężarem człowieka, który się po niej zsuwał, trzymając w dłoni latarnię, a pod pachą płócienne zawiniątko.

Ian zareagował właśnie wtedy: kopnął w podstawę drabiny, która odskoczyła tak gwałtownie, że zerwało się mocowanie jej górnej części z pokładem. Upadła z łoskotem, mijając Iana o włos. Mężczyzna, który się na niej znajdował, runął w dół z okrzykiem zaskoczenia.

Latarnia rozbiła się na podłodze, pryskając płonącym olejem na wszystkie strony. Słoma zajęła się natychmiast.

Daniel zaatakował niespodziewanie drugiego Flamandczyka i uderzył go w twarz wciąż skępowanymi rękoma. Pchnął go na ziemię i rzucił się na niego, gorączkowo poszukując sztyletu, żeby uwolnić sobie ręce.

– Pospiesz się! – wrzasnął Ian w jego kierunku, przekrzykując rzenie wierzgającego konia, przerażonego widokiem ognia, który rozprzestrzeniał się błyskawicznie, pochłaniając słomę i atakując drewniane skrzynie z towarami. Ian padł

na ziemię, w ostatniej chwili unikając morderczych ciosów kopyt. Udało mu się odczołgać poza ich zasięg.

Usiłując podnieść się na kolana, mężczyzna, który spadł z drabiny, jęczał zduszonym głosem, przyciskając sobie prawą rękę do piersi. Ian ogłuszył go kopniakiem, ale z górnego pokładu dochodził już dźwięk bieganiny i okrzyki zaalarmowanej załogi. Ktoś zaglądał przez właz do kabiny, usiłując dostrzec przez gęsty dym, co dzieje się wewnątrz.

Daniel wyeliminował z pojedynku swojego przeciwnika, rozciął sznur, który krępował mu dłonie, i podbiegł do Iana, żeby zrobić to samo. Wierzchowiec szalał z przerażenia: wierzgał i szarpał z całej siły postronek, na którym był uwiązany, aż do momentu, kiedy wyrwał metalowy pierścień z drewnianej burty statku.

– Z drogi! – wykrzyknął Daniel i odepchnął Iana na bok. Potem spróbował sam odskoczyć, ale nie był jednak wystarczająco szybki: pędzące zwierzę potrafiło go z taką siłą, że okrzyk, który z siebie wydał, odebrał mu dech. Chłopak padł na ziemię, zanosząc się kaszlem.

Koń miotał się bezładnie po całej ładowni, nie mogąc znaleźć drogi ucieczki, tratując wszystko, co napotkał na swej drodze. Przewrócił mężczyznę, który właśnie zeskoczył do ładowni, i zmusił drugiego do usunięcia się na bezpieczną odległość. Ian również musiał dźwignąć się z ziemi. W pomieszczeniu zapanował chaos.

Z mostku kapitańskiego dotarło dwóch innych żołnierzy, którzy rzucili się gasić płomień. Ogień rozprzestrzeniał się coraz bardziej. Początkowo nikt nie zwracał uwagi na więźniów w przekonaniu, że nie zdołali oni uwolnić się z krępujących ich więzów. Nowo przybyli byli najwyraźniej przekonani, że w ładowni doszło do nieszczęśliwego wypadku. Nie zdawali sobie sprawy, że mają do czynienia z próbą ucieczki. Usiłowali zatrzymać rumaka i zdławić ogień; jeden z nich otworzył boczne okienko, chcąc wyrzucić za burtę płonące przedmioty, począwszy od słomy i otwartych skrzyń, które nie zawierały żadnych cennych towarów.

Widząc coraz większą gromadkę ludzi Martewalla i załogi kłębiącą się w ładowni, Ian zrozumiał, że sytuacja zostanie wkrótce opanowana, co uniemożliwi ewentualną ucieczkę.

– Uciekaj, szybko! – krzyknął do Daniela, który znajdował się w odległości kilku kroków od niego i bez skutku usiłował się podnieść na łokcie.

Ian zaklął zrozpaczony. Wymacał leżący na ziemi sztylet, którym Daniel uwolnił go z pęt, i chwycił go pospiesznie. W tej samej chwili pozostali dostrzegli go i zrozumieli, co tak naprawdę zaszło. Jeden z nich skoczył w jego kierunku z obnażonym mieczem. Zawahał się wyraźnie, nim zdecydował się uderzyć.

„Nie chce ryzykować mojej śmierci. Martewall chce mnie żywego” – pomyślał Ian i korzystając z niespodziewanej przewagi, zaatakował pierwszy, wymierzając cios sztyletem. Żołnierz z łatwością uniknął razu.

Flamandczyk odskoczył kilka kroków do tyłu. Ian poczuł, że ktoś chwyta go z tyłu, próbując go unieruchomić. Chłopak był jednak wyższy i silniejszy – zdołał się uwolnić, pakując napastnikowi łokieć między żebra i mierząc lewym sierpowym prosto w jego twarz.

Daniel zdołał w końcu podnieść się na nogi i opanować nagły zawrót głowy. Dostrzegł mężczyznę rzucającego się na niego i zdołał odskoczyć. Znokautował go w krótkim, lecz zaciętym starciu i wreszcie mógł rozejrzeć się wokół.

Przy bocznym okienku nie było nikogo: mężczyzna, który przedtem tam znajdował, teraz jęczał z bólu, leżąc u stóp Daniela.

Droga ucieczki była wolna.

Ian w dalszym ciągu był pochłonięty pojedynkiem z uzbrojonym w miecz żołnierzem oraz jego kompanem, który nie bacząc na krew ciekącą z rozbitego nosa, usiłował wyciągnąć broń. We dwóch z całą pewnością unieszkodliwiliby przeciwnika, uzbrojonego wyłącznie w sztylet.

Inni mężczyźni, którzy nie byli ranni, zdołali już prawie schwytać szalejącego konia i ugasić większość pożaru.

Daniel błyskawicznie ocenił sytuację. Ian nakazał mu uciekać, a teraz próbował zająć przeciwników, żeby mu to umożliwić. Poświęcał się dla niego, tak jak wielokrotnie robił to w przeszłości, podczas ich pierwszej wyprawy do tego średniowiecznego świata.

„Tym razem będzie inaczej” – zdecydował Daniel.

Chwycił za pustą drewnianą skrzynię i cisnął ją w kierunku krwawiącego mężczyzny, który zamierzał zaatakować Iana, zachodząc go z boku. Trafił go i powalił na ziemię. Ian i jego drugi przeciwnik zachwiali się do tyłu i rozdzielili, zaskoczeni uderzeniem.

Daniel podbiegł do przyjaciela, podnosząc go z ziemi i ciągnąc w stronę otwartego bulaju.

– Co ty robisz!?! – zaprotestował Ian.

Daniel nie odpowiedział, ponieważ pozostali Flamandczycy przejrzeni jego misterny plan i najwyraźniej nie mieli zamiaru pozwolić mu go zrealizować. Chwycili go od tyłu, usiłując jednocześnie dosięgnąć Iana, lecz Daniel zaparł się z całych sił.

Ian nie mógł zareagować, ponieważ jego przyjaciel tkwił pomiędzy nim a Flamandczycami, usiłując uwolnić się z uchwytu przytrzymujących go rąk. Zamiast odwrócić się w stronę nieprzyjaciół, Daniel szukał wzrokiem otwartego bulaju: znajdował się dokładnie za plecami Iana, który cofał się w tamtym kierunku.

– Ja sobie poradzę, wiesz jak – powiedział do przyjaciela.

Ian wytrzeszczył oczy.

– C o t a k i e g o?

Nie zdążył dodać nic więcej. Daniel, odskakując od trzymających go

przeciwników, popchnął go w stronę otwartego okienka. Ian stracił równowagę i poczuł, że spada w pustkę.

Daniel zdążył usłyszeć głuchy plusk wody. Chwilę później przechwyciły go brutalnie ręce Flamandczyków.

Rozdział 7



Impet uderzenia i lodowata woda sprawiły, że Ianowi brakowało tchu w piersiach. Z trudem utrzymywał się na powierzchni – nie widział wyraźnie, oszołomiony zmianą temperatury. W oddali dostrzegł słaby blask statku – zaczął szybko płynąć w tamtą stronę. Pierwsza racjonalna myśl, która przemknęła mu przez głowę, była wyrazem wściekłości na Daniela.

Cholerny idiota!

Ian wynurzył się na powierzchnię, oddychając łapczywie i usiłując jednocześnie się rozejrzeć. Słona woda sprawiła, że paliły go oczy. Najpierw zauważył unoszoną przez fale wiązkę słomy; w ślad za nią dryfowało kilka pustych, drewnianych skrzyń. Statek był już daleko i oddalał się szybko. Ian zdążył dostrzec gwałtownie poruszające się cienie na mostku kapitańskim oraz czerwonawy poblask pożaru w ładowni.

Świszczące dźwięki, które dotarły do jego uszu chwilę później, sprawiły, że zadrzał. Powierzchnia wody rozprysnęła się wysoko w chwili, gdy uderzyły w nią groty strzał.

Łucznicy mierzyli na ślepo, stojąc na mostku kapitańskim – celowanie utrudniała gęsta już ciemność, Ian jednak wydał z siebie cichy okrzyk przerażenia, czując, jak jedna ze strzał mija o włos jego ucho. Zacerpnął głęboki oddech, połykając więcej wody niż powietrza, i ponownie zanurkował. Kolejny grot musnął jego w ramię, woda zmniejszyła jednak impet uderzenia.

Ian płynął na bezdechu tak długo, jak pozwoliły mu na to płuca. Usiłował zmieniać często kierunek, żeby zmylić swoich oprawców, którzy z całą pewnością wpatrywali się w morze, szukając go wzrokiem. Szybko do niego dotarło, że musi się wkrótce wynurzyć, w przeciwnym razie zabraknie mu tlenu.

Jedna z drewnianych skrzyń dryfowała niedaleko niego – wpłynął pod nią, wychylając głowę już w jej wnętrzu, i złapał się wystającej części, żeby utrzymać się na powierzchni.

Czekał w pełnej niepokoju ciszy, jednak świst strzał ucichł na dobre, podobnie jak hałasy dobiegające ze statku.

Ian ostrożnie wychylił się na zewnątrz, żeby zorientować się w sytuacji.

Światło księżyca przebijało się między chmurami i odbijało w spokojnej tafli wody. Statek Martewalla był już daleko, zakręcał jednak po szerokim łuku. Marynarze

dokładali wszelkich starań, żeby zawrócić, i Ian rozumiał, że jeśli manewr się powiedzie, dotrą do niego błyskawicznie. Musiał się pospieszyć, zwłaszcza że było mu nieznośnie zimno i nie miał pojęcia, jak długo będzie jeszcze w stanie wytrzymać w wodzie, zanim przestanie czuć cokolwiek.

Obejrzał się za siebie i uznał, że odległe światła majaczące na wybrzeżu wskazują drogę do portu.

Młodzieniec był bardzo daleko od celu i z niepokojem zastanawiał się, czy uda mu się dotrzeć tam wpław. W tej samej chwili dostrzegł po swojej lewej inne światło, zawieszane wyżej i znajdujące się o wiele bliżej od światła przystani: ogień płonął na szczycie budowli, która pewnie była wieżą.

„Latarnia morska” – przyszło mu do głowy i poczuł, jak odradza się w nim nadzieja.

W średniowieczu ogień tego rodzaju, służący przede wszystkim za sposób komunikacji na odległość z portem, informował marynarzy o niebezpieczeństwie związanym z płycizną czy wysoką i podstępą rafą rozciągającą się przy brzegu: jeśli Ian zdołałby dopłynąć tam wcześniej niż okręt Martewalla, zdobyłby przewagę – żaden ze średniowiecznych marynarzy, żeglujących na oko i pozbawionych specjalnych urządzeń do nawigacji, nie odważyłby się zbliżyć w nocy w okolice niepewnego dna morskiego.

Latarnia była kilkanaście metrów od niego i musiał się pospieszyć, jeśli nie chciał poddać się przejmującemu zimnu. Prądy znosiły go w kierunku nadbrzeża, przez co łatwiej było mu płynąć, ale ubrania, które miał na sobie, nasiąknęły wodą, zwiększając jego ciężar i utrudniając mu poruszanie się. Ian wiedział, że nie może ich zwyczajnie ściągnąć – na łądzie mogły się okazać przydatne. Nie mógł podróżować półnagi i boso, zwracając na siebie uwagę wszystkich, w tym strażników, którzy bez wątpienia przekazaliby go bezpośrednio w ręce władz portowych.

Mógł za to zrobić użytek z drewnianej skrzyni, której się uchwycił. Z niemałym wysiłkiem i połykając przy okazji sporo morskiej wody, zdołał ściągnąć z siebie buty i tunikę i wrzucić je do środka drewnianego pojemnika, który na szczęście był pusty. Popychając go przed sobą, płynął w kierunku brzegu.

Dystans nie był długi, lecz wyczerpujący – Ian ciął wodę ramionami, czując, jak serce podchodzi mu do gardła, a całe ciało drętwieje ze strachu, że jego prześladowcy znajdą sposób, by go dopaść.

Zamienił się już prawie w sopel lodu, kiedy poczuł, że skrzynia uderza w coś tuż pod powierzchnią wody. Zdażył zareagować, zanim cofająca się fala morska cisnęła go wprost na rafę – szczęśliwie z niewielką siłą. Poranił sobie dotkliwie dłonie, łokcie i kolana, ale na szczęście zdołał uchwycić się skały, zanim prąd zniósł go dalej, i nawet udało mu się utrzymać skrzynię.

Był już prawie na brzegu. Latarnia wznosiła się niedaleko, zbudowana na małym,

skalistym cyplu. Odległość na lądzie dzieląca ją od prawdziwego portu nie mogła być większa niż jakieś dwa kilometry. Wieża nie była szczególnie wysoka, ale na tle otaczających ją drzew wyróżniała się znacznie, a ogień płonący na jej szczycie był widoczny z daleka.

Ian się odwrócił: czarna sylwetka okrętu Martewalla wciąż majaczyła na horyzoncie, rzucając milczącą groźbę. Statek uporał się już prawie z manewrem zwrotu, zawijając w kierunku portu.

Wstrząsany gwałtownymi dreszczami, Ian odbił się od rafy i przepłynął na drugą stronę, ciągnąc za sobą skrzynię. Nie czuł już prawie nic, kiedy ponownie się zanurzył. Jego stopy prawie natychmiast dotknęły dna: woda za pasem rafy sięgała mu do pępka i dlatego bez trudu mógł dobrnąć aż do plaży.

Wypuścił z rąk skrzynię i upadł na piaszczysto-kamienisty brzeg w miejscu, do którego nie sięgały już fale. Tkwił tam nieruchomo przez kilka chwil, usiłując odzyskać oddech i pozbierać chaotyczne myśli. Objął się ramionami i, skulony, na próżno próbował rozetrzeć obolałe mięśnie, żeby odzyskać choć trochę ciepła.

Spoglądał na morze.

Statek ciągle znajdował się na otwartych wodach i Ian już wiedział, że mimo wszystkich wykonanych manewrów nieprzyjaciele nie zdołają do niego dotrzeć. Przynajmniej nie tej nocy.

„Zrobiłem was w konia, łajdaki!” – pomyślał w pierwszym odruchu. Chwilę później w miejsce tej myśli pojawiły się inne: wszystko poszło odwrotnie, niż się tego spodziewał. Udało mu się uciec, podczas gdy Daniel pozostał na statku. Ian poczuł strach na myśl o tym, co mogło się przydarzyć jego przyjacielowi. Świadomość, że nie ma na to wpływu, w niczym nie pomagała. Nie mógł zawrócić – był właściwie pozbawiony możliwości działania, bezbronny i sam przeciwko ludziom Martewalla.

Niestety, pozostała mu tylko nadzieja, że Daniel doprowadzi swój plan do końca i że uda mu się zniknąć za pomocą ikony *Hyperversum*.

„Da radę to zrobić” – powtórzył kilkakrotnie, żeby dodać sobie otuchy. „Wystarczy, że zostawią go samego choćby na minutę, więcej nie potrzeba, żeby przywołać ikonę i rozplynać się w powietrzu”.

Nie mógł jednak upewnić się o tym osobiście i dlatego przeżywał prawdziwe katusze.

A jeśli Flamandzcy zamordowali Daniela w akcie zemsty za ucieczkę jego towarzysza?

„Nie, to niemożliwe” – uspokajał sam siebie, próbując wybić sobie z głowy tę przerażającą ewentualność. „Martewall chciał swoich zakładników żywcem, obydwu, w przeciwnym razie mógł załatwić mnie i Daniela już w karczmie”.

Flamandzcy nie ośmieliliby się pozbyć się więźnia przed zaprowadzeniem go przed oblicze ich pana – Ian uzyskał na to dowody podczas krótkiego starcia na

pokładzie statku, gdzie żaden z wojów nie odważył się zadać śmiertelnego ciosu.

Daniela dotyczyło to w takim samym stopniu, można się więc było spodziewać, że na resztę morskiej wyprawy do Dunchester zostanie zwyczajnie zamknięty w odosobnieniu. W tym przypadku mógłby uciec w każdej chwili.

Statek, czarny i ponury jak noc, tkwił wciąż w tym samym miejscu. Łuna pożaru przygasła, nie było już widać unoszącego się dymu.

Ian spoglądał na niego z daleka, na próżno szukając jakiegokolwiek wskazówki, która mogłaby potwierdzić ucieczkę jego przyjaciela. Jednocześnie myślał o Danielu z wściekłością, zarzucając mu bezmyślność i nadmierną troskę o jego głowę.

„A mógł po prostu zwiewać, zamiast tracić czas, próbując mi pomóc. Przynajmniej byłbym teraz pewny, że mu się udało i że wrócił do domu, a tak – jestem tutaj i zżera mnie niepokój” – pomyślał ze złością.

Powiew lodowatej morskiej bryzy przypominał mu dyskretnie, że najwyższy czas pomyśleć o sobie, bo inaczej całe poświęcenie jego przyjaciela na nic się nie zda. Musiał się ratować, co oznaczało przede wszystkim znalezienie schronienia, miejsca, w którym mógłby się osuszyć, zanim złapie zapalenie płuc lub po prostu zamarznie.

Ian odwrócił się w stronę latarni.

Żeby utrzymać ogień przez całą noc, w wieży musiał przebywać strażnik, który z całą pewnością miał konia lub jakieś inne zwierzę pociągowe – w jakiś sposób dostał się tutaj z portu.

Ian potrzebował wszystkich tych rzeczy – ognia, żeby się ogrzać, strażnika, żeby zdobyć broń, jedzenia i wina, które mógłby zabrać ze sobą, oraz konia, żeby oddalić się jak najszybciej z tego miejsca.

Zaciskając zęby, podniósł się, chwycił przemoczone ciżmy i tunikę i pozostawiając na plaży drewnianą skrzynię, pomaszerował w kierunku latarni.

Flamandzcy zemścili się brutalnie za ucieczkę Iana. Związali Daniela i wrzucili go w najciemniejszy i najciaśniejszy kąt ładowni, pozbawiony jakiegokolwiek źródła światła, z wyjątkiem górnego wjazdu. Chłopak nie miał siły, żeby wstać bez niczyjej pomocy. W wyniku zamieszania w ładowni, pożaru, z winy oszalałego konia i niespodziewanej próby ucieczki wśród żołnierzy i marynarzy było sześciu rannych; jeden z mężczyzn miał złamaną rękę. Gdyby nie donośny rozkaz kapitana, pozostali żołnierze, wściekli do granic możliwości, bez większych wyrzutów sumienia roznieśliby więźnia na strzępy. Nie mogąc tego dokonać, postanowili dać chłopakowi lekcję dobrych manier – przerwana przez ich dowódcę, który rozkazał umieścić zakładnika w pilnie strzeżonym miejscu.

Daniel siedział teraz w ciemnościach w wąskim zakamarku przesiąkniętym

zaduchem pleśni. Skulił się na podłodze i tkwił nieruchomo przez długi czas, z zaciśniętymi powiekami, czując ból nawet wtedy, kiedy próbował zaczerpnąć tchu. W ustach czuł smak krwi i w pewnej chwili przestraszył się, że straci przytomność. Ze wszystkich sił starał się nie zapaść w sen.

„Dlaczego *Hyperversum* mi to robi?” – zadawał sobie pytanie. Był wykończony, ale poczuł ulgę na myśl, że przynajmniej Ian jest bezpieczny. Był tego pewny – sytuacja na statku uspokoiła się, a wrzaski żołnierzy i marynarzy ustąpiły miejsca ciszy pełnej niezadowolenia. Mogło to oznaczać, że ofiara czmychnęła przed oprawcami, mimo ich największych starań.

Teraz Daniel był sam. Zmuszając się, by zapomnieć o bólu, usiłował zebrać resztki sił. Musiał doprowadzić swój plan do końca i wydostać się z gry.

Mogło nie być łatwo wytłumaczyć w domu kontuzje i sińce, które zdobyły całe jego ciało, ale przy odrobinie szczęścia mógł spróbować ukryć te najbardziej rzucające się w oczy, zanim rodzice zaczną zadawać pytania. Na razie pocieszał się, wyobrażając sobie zdumienie na twarzach swoich oprawców, kiedy otworzą włącz po to tylko, żeby odkryć, że ich drugi zakładnik rozpułnął się w powietrzu.

„Już ja wam pokażę iluzjonistyczne sztuczki. Lepiej niż u Houdiniego!” – pomyślał, czując kolejny spazm bólu. „Bardzo chciałbym usłyszeć, jakie wymyślicie sobie usprawiedliwienie przed waszym szefem, kiedy będziecie musieli złożyć wyjaśnienia. Może będzie dla was równie miły, jak wy byliście dla mnie”.

Kilka minut zajęła mu ocena, czy starczy mu sił do działania. Musiał się pospieszyć, w przeciwnym razie mogło się nie udać. Obliznął wyschnięte wargi.

– Help – zawołał, podciągając nogi, żeby podnieść się na kolana.

Wymawiając to słowo, poczuł się jeszcze gorzej, wiedząc, że oto nadszedł moment, którego tak bardzo się obawiał. Miał rozdzielić się z Ianem, nie mając nawet sposobności, by się z nim pożegnać.

„Uważaj na siebie. Powodzenia” – życzył mu w myślach, czując nieznośny ciężar w sercu.

Podniósł głowę, szukając wzrokiem fosforyzującej ikony jabłka. W kajucie było zupełnie ciemno. Daniel rozejrzał się dookoła z niedowierzaniem, czując, że serce bije mu szybciej.

– Help! – powtórzył.

Dalej nic.

Opadł na pięty i ponownie rozejrzał się wokół siebie, tym razem z przestachem.

– Wyjście awaryjne! – krzyknął.

Nic się nie pojawiło.

Ciemność zdawała się gęstnieć. Oddychał z trudem. W skurczu paniki zrozumiał, że *Hyperversum* nie odpowiada.

„Czy dzieje się tak tylko dlatego, że Iana nie ma tutaj ze mną?” – zastanawiał się

z rosnącym niepokojem. „Nie, to niemożliwe. Za pierwszym razem, gdy trafiliśmy do tego średniowiecznego świata, wyjście z gry włączało się też wtedy, gdy Iana z nami nie było”.

A więc co się stało? Czyżby komputer był uszkodzony?

– Help! Wyjście awaryjne! No dalej, badziewie, włączaj się! – wrzasnął Daniel z wściekłością. W dalszym ciągu bez rezultatu.

Usiłował jednocześnie oswobodzić się z więzów krępujących mu nadgarstki i klatkę piersiową. Nadmierny wysiłek nasilił tylko ból mięśni.

Zaczęło kręcić mu się w głowie. Opadł na bok, dysząc z wyczerpania.

Był przerażony.

Sam. W pułapce. Ian był najprawdopodobniej całkowicie przekonany, że udało mu się uciec przez opcje *Hyperversum*. Nie mógł podejrzewać, że wszystko poszło nie tak.

W jego rodzinnym domu nikt by nie uwierzył, że za jego zniknięcie odpowiedzialna jest awaria komputera. Nawet gdyby Jodie i Martin zdołali przekonać kogokolwiek o tym, co naprawdę się stało, nie było powiedziane, że udałoby im się zrestartować *Hyperversum*. Zwłaszcza że nawet on nie dokonał tego w pojedynkę, kiedy Iana przy nim nie było.

„I co ja teraz zrobię?” – powtarzał w duchu, czując, jak narasta w nim desperacja. Drżał z bólu, strachu i bezsilności.

Statek sunął powoli przed siebie.

Latarnia morska była niewielką kamienną budowlą osadzoną na kwadratowej podstawie. Podzielono ją na trzy poziomy, koncentrycznie zmniejszające się wraz z rosnącą wysokością.

Na parterze do wnętrza prowadziły drewniane drzwi. Na wysokości pierwszego piętra cztery okna wychodziły na wszystkie strony świata. Najwyższy poziom latarni okalał rodzaj dobudowanego tarasu osłoniętego drewnianym daszkiem, chroniącym ogień przed deszczem i wiatrem. Widok z góry musiał być wspaniały.

Ian obszedł budowlę naokoło, skradając się ostrożnie. U stóp konstrukcji, tuż przy wejściu, ustawiono drewnianą szopę – była otwarta, a jej wnętrze podzielono na trzy części. Służyła za składzik drewna na opał i narzędzia; obok postawiono wóz i uwiązano konia. Innych zwierząt nie było widać i Ian miał nadzieję, że jeden wierzchowiec oznacza obecność jednego strażnika.

Podszedł bliżej i rzucił okiem na zgromadzone w szopie narzędzia. Oprócz miotły, szpadla i zwoju liny znalazł topór, który przywłaszczył sobie bez chwili zastanowienia, szybko oceniwszy jego wagę i solidność. Raz jeszcze spojrzął na

latarnię, obmyślając plan działania – jego realizacja zdawała się trudniejsza z każdą upływającą chwilą: tracił czucie w palcach, a mroźne powietrze przeszywało go do kości.

Biorąc pod uwagę okoliczności, latarnia zdawała się twierdzą nie do zdobycia. Poczul się jak prawdziwy Indianin przed wojenną wyprawą – gotów, by zaatakować fort Siódmego Pułku Kawalerii Amerykańskiej.

„Jak ja tam wejdę?” – pytał sam siebie. Po chwili do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

Rozwiązanie problemu podsunął mu wierzgający rumak, zaniepokojony obecnością obcej osoby.

Ian podszedł do konia i sprawdził, czy zwierzę jest dobrze uwiązane, żeby nie musieć gonić za nim Bóg wie gdzie. Okrążył szopę, uderzając płaską częścią ostrza toporu w jej drewniane ściany, tak aby zrobić jak najwięcej hałasu, ale nie pozostawić na nich śladów.

Łoskot uderzeń rozbrzmiewał w powietrzu, mieszając się z donośnym rżeniem przerażonego konia, który ze wszystkich sił usiłował zerwać się z postronka.

Ian przyłgnął płasko do drewnianej ściany po przeciwległej stronie latarni i spojrzął z ukrycia w górę. Tak jak się tego spodziewał, ujrzał czarną sylwetkę człowieka, który zaalarmowany hałasami z zewnątrz, wychylał się ze zwieńczonego blankami tarasu i spoglądał w dół.

Mężczyzna miał na sobie rycerski hełm. Był sam. Mimo że hałas na dole nie ustawał, na innych piętrach latarni nie pojawił się nikt inny.

„Co oznacza, że strażnik jest jeden” – pomyślał Ian z ulgą.

Wartownik zniknął z tarasu. Ian wynurzył się z ukrycia i podbiegł w kierunku wejścia do wieżyczki. Zaczaił się tuż obok drzwi, trzymając w dłoniach topór gotowy do uderzenia. Usłyszał tupot obcasów na wewnętrznych stopniach schodów latarni, po czym drzwi się otwarły i ukazało się w nich ostrze obnażonego miecza. W ślad za nim wynurzyła się głowa rycerza. Ian zamachnął się, uderzając tępą częścią topora.

Rozległo się głośnie uderzenie narzędzia o metal. Żołnierz zachwiał się i padł nieprzytomny na ziemię, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

– Przykro mi – skomentował Ian lakonicznie. Zdał sobie jednak sprawę z napięcia, czując swój przyspieszony oddech i tętno.

Pochylił się nad mężczyzną, w pierwszej kolejności kneblując go za pomocą kawałka materiału, który oderwał mu od szaty, po czym zawlókł go w stronę szopy. Przywiązał go do jednego ze słupów podtrzymujących dach, używając do tego liny, którą znalazł pośród narzędzi. Zrewidował strażnika dokładnie: odpiął mu pas ze sztyletem, pochwę miecza i sakiewkę, w której znalazł kilka srebrnych monet. Mężczyzna był dużo niższy i drobniejszy od niego, dlatego zostawił mu koszulę i skórzaną kamizelę, przywłaszczając sobie jedynie długie, wełniane i ciepłe płaszczy

z kapturem.

Czuł się fatalnie, rozbierając strażnika – mierzyła go myśl, że postępuje jak zwykły bandyta. Nie miał jednak innego wyboru. Żeby choć częściowo uciszyć swoje sumienie, narzucił na związanego mężczyznę końską derkę, którą znalazł na wozie, chcąc uchronić go przynajmniej przed przejmującym zimnem nocy.

W tej chwili jednak to on cierpiał z wyziębienia, mając wciąż na sobie przemoczone ubrania. Jego oddech zmieniał się w białe obłoczki pary rozplywające się po chwili w powietrzu.

Wierzchołek był już spokojny.

Dookoła panowała absolutna cisza.

Ian upewnił się, że jest bezpieczny, odłożył topór, podnosząc miecz porzucony na ziemi, i wślizgnął się do wnętrza latarni przez uchylone drzwi.

Wchodził ostrożnie po schodach wijących się stromo w górę. Nie spotkał nikogo. Kolejne piętra były właściwie puste: parter zagracały stosy drewna i beczki wypełnione olejem palnym, na pierwszym piętrze ujrzał pryczę i kufer. Wszędzie było pełno kurzu i pajaków.

Przecisnąwszy się przez klapę w podłodze, znalazł się na szczycie wieży. Palenisko z kutego żelaza zajmowało sporą część pomieszczenia; otoczone było przez kolejne stosy gotowego do użycia drewna opałowego. Obok stało jeszcze kilka beczek z olejem, parę pochodni i flag służących do komunikacji z marynarzami.

Chłopak rozejrzał się dookoła, usiłując uspokoić przyspieszone bicie serca. Zaczynało docierać do niego ciepło płomieni z paleniska. Poczuł, jak całkiem opada z sił. Zorientował się, że jest wykończony bardziej, niż mu się wydawało. Nie mógł opanować drżenia obolałych mięśni, ogarniętych nagłym ciepłem. Nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Czuł się jak w półśnie, kiedy ściągał z siebie przemoczone ubrania i układał je przy palenisku. Okrył się wełnianym płaszczem i aby opanować dreszcze, skulił się, obejmując kolana ramionami. Przez kilka minut nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Tkwił nieruchomo, rozkoszując się ciepłem. Jak ranne zwierzę polizał otarcia na dłoniach i ramionach, które paliły go w wyniku kontaktu ze słońcą, morską wodą.

Dotarło do niego, że siedząc bez ruchu w jednej pozycji, niepostrzeżenie zapadnie w sen – aby nie poddać się zmęczeniu, zmusił się do działania. Zaczął rozcierać rękoma włosy, żeby szybciej wyschły. Chwilę później zauważył na jednym ze stosów drewna płócienną sakwę, w której strażnik trzymał porcję chleba, sera i niedużą butelkę wina.

Nie mógł zbyt długo zabawić na wieży – ryzykował, że ktoś mógłby odkryć jego kryjówkę, mogła zaskoczyć go również ewentualna zmiana warty. Postanowił jednak nie wyjeżdżać, zanim nie odzyska choć części sił. Musiał również wysuszyć ubrania – z tego względu zajął się połową porcji posiłku, zachowując resztę na następny dzień.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na morze.

Dla bezpieczeństwa uzupełnił palenisko drewnem i wsunął weń do połowy długą gałąź, upewniając się, że jej druga część wystaje poza żelazną konstrukcję. Tym sposobem, kiedy płomień pochłonie jeden jej kraniec, stercząca część powinna upaść z hałasem na ziemię – jeszcze jeden środek ostrożności na wypadek, gdyby przegrał w walce z wyczerpaniem i sennością.

W pozycji, w której się ułożył, gzyms zasłaniał mu widok tarasu. Ian przesunął się, opierając się plecami o ścianę, do miejsca, w którym mógł zerkać pomiędzy blankami baszty, w dalszym ciągu chroniąc się przed zimnym wiatrem.

Szybko dostrzegł statek Martewalla znajdujący się mniej więcej na środku zatoki. Kołysał się na falach, z dala od rafy i wybrzeża. Było już prawie całkiem ciemno.

Ian patrzył, jak statek płynie po łagodnym łuku, dwukrotnie zmieniając kierunek – najwidoczniej nie miał dokładnie wyznaczonego kursu. Wziął to za dobrą wróżbę. Skoro na pokładzie zapanował chaos spowodowany ucieczką jednego z więźniów, rozruchy mogły przybrać na sile, zwłaszcza jeśli zniknął bez śladu również drugi z przetrzymywanych.

„Danielowi udało się nawiać” – nadzieja Iana była podszyta niepokojem. „A ludziom Martewalla wszystkie rybki wymknęły się z sieci”.

Teraz statek ciął słoń wóde, płynąc na otwarte morze. Możliwe, że załoga postanowiła przeczekać noc na wodzie i dotrzeć do portu wraz z nadejściem nowego dnia.

Z całą pewnością słudzy Martewalla byli gotowi zrobić wszystko, byle tylko nie musieć powiadamiać swego pana o zniknięciu obu zakładników, choćby miałyby się to równać z koniecznością przeszukania każdego skrawka morza i wybrzeża.

Tak, Daniel bez wątpienia zdołał uciec. Wrócił do domu. Z każdą chwilą Ian utwierdzał się w tym przekonaniu, nie zdołał jednak w pełni uspokoić lekkiego niepokoju, który zagnieździł się na dnie jego serca.

Nagle zrozumiał, że oto został tu całkiem sam.

Dokonał wyboru i wiedział, że jest to wybór ostateczny.

Nie mógł już wrócić do nowożytnego świata – wiedział, że nie zobaczy już nigdy ani Daniela, ani Jodie, Martina, Johna i Sylvii Freelandów, ani nikogo z tych, których nazywał swymi przyjaciółmi. Spalił za sobą mosty, decydując się na nowe życie w zgoła odmiennej rzeczywistości.

Nie żałował swojej decyzji, nie potrafił jednak uwolnić się od jej ciężaru.

Usiłował dodać sobie siłę myślą o Isabeau i synu, którego narodziny miał ujrzeć na własne oczy, niemniej fakt, że pożegnał się z Danielem na zawsze, sprawiał, że odczuwał w sercu bolesną pustkę. Jakby stracił brata.

Oparł głowę o kamienny gzyms.

– Pozdrów wszystkich ode mnie i przekaz, że będzie mi ich brakowało –

wymamrotał, zwracając się do przyjaciela, który nie mógł mu już odpowiedzieć. –
Będę za wami tęsknił.

Rozdział 8



Połowa nadpalonej gałęzi runęła na podłogę z suchym trzaskiem. Ian otworzył oczy. Musiało minąć około godziny, od kiedy usnął, oparłszy głowę o mur.

Wokół niego panowała uspokajająca cisza, zakłócona wyłącznie odgłosem płonącego drewna i pomrukiem morza. Chłopak ze spokojem przeciągnął się, próbując wybudzić się z sennego odrętwienia.

W pierwszym odruchu spojrzął ponad barierką tarasu.

Księżyc przesunął się na niebie, wyłaniając się zza chmur i rozjaśniając białym światłem mgłę unoszącą się nad wodą i zakrzywione grzbiety fal.

Morze było zupełnie puste.

Ian ukląkł, żeby mieć lepszy widok – omiół wzrokiem horyzont i zatokę, nie dojrzał jednak żadnych żagli. „Dokąd odpłynęli?” – ogarnął go nagły niepokój, kiedy na próżno szukał wzrokiem statku Geoffreya Martewalla.

Przez chwilę bał się, że Flamandczycy mogli wysadzić na ląd kogoś z załogi, aby ten wyruszył na poszukiwanie uciekinierów, i wypłynąć na otwarte morze, poza obszar zatoki. Pewność, że tak się nie stało, powróciła, kiedy sobie przypomniał, że nie widział na statku ani szalup ratunkowych, ani łodzi zwiadowczych, na których marynarze i żołnierze mogliby dostać się na brzeg bez konieczności zawijania statku do portu.

Nie mogli również dotrzeć na brzeg wpław, gdyż oznaczałoby to konieczność pozostawienia broni, zbroi i wszelkiego oręża na pokładzie.

A więc dokąd się wybrali?

Zastanawiało go zniknięcie statku. W sercu rodziły mu się wątpliwości. Najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że ludzie Martewalla zrezygnowali z poszukiwania zbiegów i udali się w kierunku Dunchester, gdzie mieli dołączyć do swego pana.

„Trudno jednak zaprzeczyć, że jak na żołnierzy, którym zwiąło dwóch ważnych zakładników, dość szybko zrezygnowali z jakiegokolwiek próby odkupienia swoich win” – pomyślał Ian, marszcząc czoło.

Możliwe, że Dunchester było bliżej, niż myślał, a załoga okrętu udała się tam w poszukiwaniu wsparcia, żeby jak najdokładniej przeczesać okolicę. W gruncie rzeczy na otwartym morzu nie mieli wielu możliwości działania, a wiedząc, że do

świtu nie pojawi się tam żaden inny statek, wojowie Martewalla mogli być pewni, że francuscy uciekinierzy nie wydostaną się z angielskiej ziemi przez całą noc. Już ze statku, używając w tym celu pochodni i latarni, mogli poinformować strażników swego zamku, że coś się wydarzyło. Kto wie, może dotarła do nich lekka łódź przybrzeżna, umożliwiając im wyjaśnienie zajścia komuś, kto mógł od razu rozpocząć poszukiwania.

Sygnaly świetlne – Ian nie pomyślał o tym wcześniej.

Statek mógł próbować porozumieć się z latarnią, podczas gdy on, pogrążony w śnie, nie zdawał sobie z tego sprawy. Jeśli rzeczywiście tak było, ludzie Martewalla mogli dojść do wniosku, że w wieży coś się stało. Być może wiedzieli już o tym robotnicy w porcie, gdzie musiała znajdować się identyczna latarnia, w wyjątkowych sytuacjach przejmująca obowiązki tej pierwszej.

„Być może już wiedzą, gdzie rozpocząć poszukiwania” – zaniepokoił się Ian. „A jeśli postanowią okrążyć latarnię, nadchodząc z dwóch różnych stron...”

Podniósł się pospiesznie, żeby zebrać porozrzucone ubrania. Wszystko już wyszło – dotyk ciepłej tkaniny na skórze był co najmniej przyjemny, chłopak nie mógł jednak rozkoszować się nim zbyt długo. Przypiął pas rycerski, nałożył płaszcz, a w końcu chwycił sakwę, do której włożył jedzenie i wino, po czym zbiegł po schodach.

Z szopy u stóp latarni dochodziły ciche jęki sprzeciwu związanego i zakneblowanego żołnierza, któremu najwyraźniej wróciła świadomość. Ian się nie zatrzymywał. Osiodłał konia i wyprowadził go na zewnątrz. Nie był to może wierzchowiec najwyższej klasy, zdawał się jednak silny i wytrzymały – zdolny przebiec kawał drogi bez nadmiernego zmęczenia.

W minutę później koń i rycerz byli już w drodze.

Światło księżyca było dość mocne i oświetlało wąski i praktycznie pozbawiony roślinności cypel. W jego blasku można było dojrzeć ubity trakt, przecinający wystający fragment lądu. Okolica była widmowa, otoczona z trzech stron przez morze i porośnięta rzadkimi zaroślami, ale zdawała się nie ukrywać żadnych niebezpieczeństw. Ian w pośpiechu oddalił się od latarni i w jakieś dziesięć minut dotarł do krańca cypla – miejsca, w którym niewielki półwysep wrzynający się w morze łączył się ze stałym lądem. Znalazł się na rozstaju dróg i musiał zdecydować, w którym kierunku się udać.

Droga prowadząca z cypla przechodziła w główny szlak biegnący wzdłuż wybrzeża, który również pozbawiony był drzew, mogących osłaniać ścieżkę. Gęsty las zaczynał się jakieś sto metrów dalej i ciągnął się w głąb wyspy, czarny i nieruchomy. Z drugiej strony drogi połacie ogołoconej ziemi kończyły się skarpą, łagodnie opadającą w kierunku plaży i morza.

Ian miał dwa wyjścia: albo kierować się w stronę portu, widocznego ze szczytu

latarni, wiedząc, że wysiadł w nim Geoffrey Martewall, albo iść w przeciwną stronę, prowadzącą prosto do posiadłości angielskiego barona.

Ian rozważył możliwość, że Martewall w dalszym ciągu przebywał w porcie, w którym mogła być jego twierdza. Wybór był ryzykowny i nie potrafił go obiektywnie ocenić. Liczył na to, że zdanie: „dołączę do was jutro w Dunchester” miało oznaczać, że baron po zejściu na ląd udał się bezzwłocznie w dalszą podróż.

Jakkolwiek by było, Ian musiał w pierwszej kolejności zadbać o to, by jego podróż odbywała się z dala od potencjalnych nieprzyjaciół. Powinien jednak trzymać się linii brzegu, jeśli chciał prędzej czy później dostać się na statek, który zabrałby go do Francji. Niewątpliwie wyprawa w głąb lasu niosła ze sobą ryzyko zagubienia się w ciemnej gęstwinie.

Ian nie miał pojęcia, jak może się nazywać pobliski port, mając jednak w pamięci trasę, którą przemierzał statek podczas przeprawy, wiedział, że przystań znajdowała się po drodze do Dover – miejsca, w którym kanał zwęzał się najbardziej, osiągając szerokość nieprzekraczającą dwudziestu kilometrów.

„Będą czekać na mnie albo tam, albo w jakimkolwiek innym pobliskim porcie: wiedzą, że będę chciał wrócić do domu i że potrzebuję statku” – pomyślał Ian. Nie miał jednak wyboru – kierunek, w którym musiał się udać, był jeden. Nie mógł wybrać się w stronę Dunchester, domostwa nieprzyjaciela, ryzykując napotkanie zbirów na usługach angielskiego rycerza.

Wróg na pewno zadbał o to, by zawiadomić strażę we wszystkich portach – Ian mógł być pewien, że spotka się ze wzmożoną czujnością wartowników i z kontrolą wypływających pasażerów. Jeśli dotarł do nich także rysopis uciekiniera, mógł spodziewać się najgorszego – niewielu ludzi średniowiecza było mu równych wzrostem, a trudno byłoby zamaskować taki znak szczególny.

Nie, opuszczenie Anglii z ludźmi Martewalla deptającymi mu po piętach nie mogło być proste i Ian wiedział, że ma niewiele czasu, zanim rozkaz schwytania go dotrze do wszystkich okolicznych portów.

Stukot końskich kopyt sprawił, że chłopak podskoczył. Ktoś nadjeżdżał od strony portu, wyraźnie się spiesząc – o tej nocnej godzinie mogli to być wyłącznie żołnierze lub banda rabusiów, a Ian nie miał najmniejszej ochoty spotkać ani jednych, ani drugich.

Szukając kryjówki, chłopak zawrócił konia. Droga była zupełnie pusta, a najbliższe drzewa znajdowały się zbyt daleko, by do nich dotrzeć na czas.

Ian spiął konia i ruszył w kierunku morza. Podjeżdżając bliżej, zeskoczył z siodła i nakłonił rumaka do zejścia po skarpie, opadającej w stronę plaży. Droga wiodła sporo ponad poziomem morza – po zejściu na dół Ian zaprowadził konia w miejsce, gdzie różnica wysokości była największa. Trzymając zwierzę krótko, przywarł płasko do skały.

Na szczęście księżyc rzucał cień dokładnie w tym kierunku – niebo znów zakryło się chmurami i zapadła gęsta ciemność.

Kopyta dudniły coraz to bliżej i donośniej. Ian usłyszał, jak jeźdźcy galopują tuż nad jego głową – uderzenia kopyt były tak silne, że poczuł na plecach deszcz drobnych kamyków i ziemi.

Jego rumak stąpał niespokojnie, chłopak zdołał jednak powstrzymać go od rżenia, które mogłoby zdemaskować ich kryjówkę.

Tkwili pod skałą, niezauważeni przez nieznajomych, którzy pojechali dalej.

„Nie ma ich wielu, mniej niż dziesięciu” – zawyrokował Ian, wsłuchując się w tętent kopyt. Porzucili główną drogę, skręcając w stronę latarni – nie mogli więc być bandą rabusiów, byli żołnierzami. I z całą pewnością, biorąc pod uwagę ten gwałtowny pęd, nie chcieli złożyć latarnikowi przyjacielskiej wizyty ani zmienić go w obowiązki.

Ian czekał, aż odgłosy jazdy ucichną w ciemnościach, po czym poprowadził konia z powrotem na drogę i wskoczył na jego grzbiet.

Teraz pozostało mu tylko udać się w kierunku przeciwnym do tego, który obrali jego prześladowcy.

Z impetem ruszył w stronę portu.

Miasto portowe otoczone było solidnymi kamiennymi murami. Uzbrojeni wartownicy strzegli zamkniętej bramy, przestrzeń dookoła była zaś otwarta.

Nie sposób było wjechać do miasta po kryjomu i Ian doskonale zdawał sobie z tego sprawę, zanim jeszcze zdołał zobaczyć je z bliska. Wszystkie średniowieczne miasta były w gruncie rzeczy podobne – ich bramy, zamknięte i strzeżone nocą, otwierano dopiero o wschodzie słońca, kiedy strażę i celnicy zajmowali swoje pozycje i rozpoczynali rejestrację napływających podróżnych.

Żeby umknąć uwadze wartowników, Ian zjechał z głównego traktu i ostatni odcinek przejechał lasem, usiłując nie stracić z oczu wybrzeża. Nie zamierzał się zgubić, krążyć w kółko między drzewami i skończyć w szponach swoich oprawców.

Kiedy zbliżył się do miasta, zatrzymał konia w bezpiecznej odległości i zsiadł. Ukrył się wśród bujnej roślinności i przygotował na dłuższą chwilę oczekiwania. Było zimno, więc usiłował się ogrzać, maszerując po lesie. Starał się przy tym nie przeoczyć najmniejszego dźwięku dochodzącego od strony drogi.

Był przemarznięty do szpiku kości, a księżyc przebył już większą część swojej nocnej wędrówki. Nagle ujrzał konia w galopie, gnającego w stronę miasta. Ścisnął trzymane w dłoniach wodze i przyglądał się scenie z maksymalnie wytężoną uwagą.

Żołnierz jadący na koniu został rozpoznany przez strażników i wpuszczono go do

środku. Wrota zamknęły się za jego plecami.

Ian wiedział, z jakimi wieściami przybywał do miasta. „No, proszę, niech wszyscy dowiedzą się o tym, co wydarzyło się w latarni” – rzekł do siebie z niepokojem. I chociaż pełen napięcia wyczekiwał pozostałych żołnierzy, nikt inny się nie pojawił. Ian doszedł do wniosku, że reszta drużyny rozpoczęła przeczesywanie okolicy w miejscu napaści na strażnika latarni. Z pewnością rozszerzali obszar poszukiwań w szybkim tempie.

Przy odrobinie szczęścia żołnierze nie trafią na jego ślady przed nastaniem świtu. I może zgubią je szybko w gęstwinie lasu.

Ian zdecydował jeszcze bardziej pomieszać im szyki. Prowadząc za sobą konia, ruszył naprzód wśród zarośli, szedł dookoła miejskich murów, nie wychodząc ani przez chwilę z ukrycia. Dotarł w pobliże kolejnej bramy i zatrzymał się. Zżerany niepokojem, czekał do momentu, gdy usłyszał kościelne dzwony obwieszczające poranne nabożeństwo. Była trzecia nad ranem. W jakiś czas później niebo zaczęło się przejaśniać na wschodzie.

Na drodze wszczął się ruch i Ian wzmógł ostrożność – uspokoił się, widząc zbliżające się postaci, które z pewnością nie były żołnierzami. Do miasta nadjeżdżali kupcy i rolnicy. Niektórzy podróżni nadciągali pieszo, inni, jadąc na mułach i wozach, wieźli ze sobą skrzynie z towarami na sprzedaż lub wymianę na portowym rynku, i puste kosze, które miały zostać wypełnione zamorskimi dobrami.

Na baszcie murów miejskich odbyła się zmiana warty i wkrótce bramy zostały szeroko otwarte. Przez wrota sunęły karawany i grupy wędrowców, kierując się w stronę wiejskich osad. W ślad za nimi podążali mężczyźni i kobiety wyposażeni w sierpy albo narzędzia do zbierania drewna w okolicznych lasach. Część z nich wyprawiała się poza miasto, aby się upewnić, czy zimno, deszcz lub dzikie zwierzęta nie zniszczyły upraw na niewielkich skrawkach ziemi wydartych leśnym zaroślom.

Ian czekał dalej, obserwując ludzi poruszających się po trakcie. Następnie ukrył miecz pod płaszczem, naciągnął na głowę kaptur i dołączył do tych, którzy kierowali się do miasta.

Prowadził konia za uprząż, pochylając się nieznacznie. Trzymał się blisko końskiej głowy, żeby choć trochę zamaskować swój wzrost.

Maszerował za grupą mężczyzn, którzy podróżowali wraz ze stadem mułów i koni – mieli ze sobą puste kosze. Ian udawał, że jest jednym z nich: przyjezdni zmierzali do portu, by coś w nim kupić – nie byli sprzedawcami czy podróżnikami, którzy chcieli wypłynąć z portu.

Nikt go nie zatrzymał, kiedy przechodził przez bramę. Ian zerknął nerwowo na wartowników, którzy patrzyli na drogę, zwracając w szczególności uwagę na nadjeżdżające wozy – te musiały obowiązkowo uiścić opłatę celną przy wjeździe do miasta. Z mniejszym zainteresowaniem traktowali zaś tych, którzy niczego ze sobą

nie wieźli i musieli się zarejestrować zwyczajnie, bez konieczności podchodzenia do stanowiska celników. Zerkali jednak bacznie na samotnych podróżnych, najwyraźniej wypatrując kieszonkowców, złodziejasków czy innego podejrzanego elementu.

Celnicy ustawili się obok bramy wejściowej i zatrzymywali wszystkich mających ze sobą jakiegokolwiek towary. Ian zauważył, że żołnierze ubrani byli w dwa rodzaje uniformów: ci, którzy zatrzymywali kupców zobowiązanych do zapłacenia cła, nosili stroje w biało-niebieskie pasy, tak jak strażnik latarni. Dwóch pozostałych nie miało na sobie wyróżniających kolorów. Mogli pełnić funkcję przełożonych; jeden z nich stał, obserwując przejście, drugi zapisywał skrupulatnie każdą monetę, która wpływała do państwowej kiesy.

Żołnierze nie wydawali się zbyt zadowoleni z towarzystwa znajdującego się obok, uznał Ian – w ich kontaktach dało się zauważyć otwartą wrogość, wyrażaną wyłącznie za pomocą ponurych spojrzeń.

Chłopak nabierał pewności, że jest świadkiem jakiejś kontroli. Inspektorami byli zapewne mężczyźni w uniformach bez odznaczeń.

„To muszą być agenci królewskiego skarbcza, przybyli, żeby sprawdzić, czy nie dochodzi tu do przekrętów, które mogłyby zaszkodzić królewskim finansom” – pomyślał, przechodząc obok nich. W dalszym ciągu nikt nie zwracał na niego uwagi.

Grupa, za którą podążał, zatrzymała się po jakichś trzydziestu krokach, czekając, aż jeden z nich podejdzie do biało-niebieskich strażników, żeby porozmawiać w imieniu wszystkich.

Ian zatrzymał się najpierw wraz z grupą, po czym udając, że nie chce utrudniać przejścia innym, zaczął odsuwać się na bok, krok po kroku. Wmieszał się w tłum mieszczan w tej samej chwili, gdy zniknął z pola widzenia wartowników. Przyspieszył kroku i prowadząc ostrożnie swojego rumaka, skręcił w pierwszą napotkaną uliczkę.

Nikt go nie zauważył, nikt za nim nie zawołał.

Chłopak zmieniał kierunek przynajmniej dwukrotnie, chcąc się upewnić, że nikt nie trafi na jego ślad. Poczuł nieznaczną ulgę, składając sobie serdeczne gratulacje za sprytny manewr, którego właśnie dokonał. Przeszedł przez najbardziej zatłoczone ulice, gdzie ludzka ciżba płacząca się we wszystkich kierunkach ułatwiała mu wtopienie się w tłum. Zaczął rozglądać się za drogą prowadzącą do doków.

Nie było łatwo rozeznać się w labiryncie miejskich zaułków, wzniesionych bez jakiegokolwiek planu urbanistycznego, złożonych z niezliczonej ilości jednakowych budynków mieszkalnych – drewnianych konstrukcji ze ścianami pokrytymi mieszanką gliny i trzciny. Miały one wąskie okna zasłonięte skórą owiec i kóz, a z dachów pozbawionych kominów wydobywały się kłęby szarego dymu.

Budynki rozmieszczono wzdłuż niewybrukowanych uliczek upstrzonych kałużami. Prawie w każdej kamieniczce na parterze urządzono warsztaty – witryny zastąpiono

ustawionymi w poprzek rozkładanymi okiennicami: te otwierające się w dół pełniły funkcję stołu, na którym sprzedawano towary, te podciągane w górę udawały daszek.

W ludzkim kłębowisku pełnym mężczyzn, kobiet i dzieci wszyscy wydawali się zajęci – nosili kosze, narzędzia, czy też prowadzili zwierzęta pociągowe. Nawoływania i hałasy dochodzące z warsztatów składały się w jednolite, dźwięczne tło.

Nad miastem górowała umocniona forteca, na którą Ian zerkał z niepokojem: jedna z wież była wyższa od pozostałych – unosiła się z niej solidna smuga dymu. Była to latarnia portowa, wybudowana w miejscu, z którego bez przeszkód można było obserwować drugą wieżę w zatoce.

W świetle słońca Ian dojrzał dym wydobywający się ze szczytu drugiej latarni. Zadawał sobie pytanie, czy nocą rzeczywiście ktoś się zorientował z przerwanej komunikacji pomiędzy dwiema latarniami i statkiem Martewalla. Biorąc pod uwagę konnych jeźdźców wysłanych na nocne zwiady, którzy prawie zaskoczyli Iana po drodze, wydawało się to możliwe. W porcie zauważono pewnie, że dzieje się coś dziwnego, co skłoniło ich do nasłania zbrojnych.

„Musieli znaleźć związanego strażnika z kneblem w ustach. Teraz pewnie przeszukują każdy centymetr lasu” – pomyślał Ian, rozglądając się dookoła z narastającym zdenerwowaniem. Kto wie, czy trafili na jego ślad i czy udało im się go wytropić aż tutaj.

Pocieszał się wyłącznie tym, że nigdzie, ani na uniformach żołnierzy, ani na sztandarach powiewających na wieży, nie dostrzegł barw herbowych Martewalla. Nie rzucił mu się w oczy żaden złoty lew na czarnym tle – znak angielskiego rycerza. Na szczycie latarni umieszczono prostą flagę w białobłękitne pasy. Jakkolwiek nazywałby się port, w którym się znajdował, władza barona Dunchester z pewnością tutaj nie sięgała.

„Nie żeby robiło mi to wielką różnicę w momencie pojmania” – powiedział Ian sam do siebie. „Ale przynajmniej zajmie im dłuższą chwilę, zanim się zorientują, że jestem poszukiwany”.

Musiał teraz znaleźć sposób, by dostać się na statek płynący prosto do Francji. Oceniał w ręku wagę sakiewki przypiętej do pasa pod płaszczem, zastanawiając się, czy srebrne monety wystarczą, by opłacić podróż. Mogło mu zabraknąć na przewiezienie rumaka, bez niego mógł się jednak obyć. Zostawiłby albo sprzedał konia w porcie, jeśli okazałoby się to konieczne – uzyskane w ten sposób pieniądze mogły mu się jeszcze przydać. Było tylko dotrzeć do ojczyzny – wiedział, że tam może liczyć na pomoc.

Uderzyła go myśl, że odruchowo nazwał „ojczyznę” francuską ziemię, a dokładniej – ziemię należące do rodzin de Ponthieu i Montmayeur, na których chciał się znaleźć po zejściu ze statku.

Nie spędził w średniowiecznym świecie nawet roku, a mimo to czuł, że należy do niego ciałem i duszą.

Zrozumiał, jak bardzo się zmienił. Wiedział, że ten nieodwracalny proces rozpoczął się w chwili, gdy Guillaume de Ponthieu pasował go na rycerza.

„Dzień, w którym uznał mnie za swojego brata” – dodał Ian w myślach i jak zawsze, kiedy myślał o księciu, poczuł w sercu wdzięczność.

Pogrążony w rozmyślaniach doszedł wreszcie do miejskiej studni. Zatrzymał się tam, żeby rozeznac się w sytuacji.

Od razu dostrzegł prostą ulicę prowadzącą z placu wprost na plażę. Na jej końcu malował się skrawek błękitu i Ian uznał, że doki znajdują się w pobliżu. Zauważył kilka żagli widocznych na horyzoncie. Wiele kutrów i transportowców wypłynęło już na otwarte morze – dla nich dzień pracy rozpoczynał się wraz z nastaniem świtu.

„Jeśli będę miał szczęście, uda mi się znaleźć okręt jeszcze przed południem” – przekonywał sam siebie.

Chciało mu się pić, lecz uznał, że rozsądniej jest zachować monety oraz niewielki zapas jedzenia i wina na inną okazję – w podróży musiał być gotów na każdą ewentualność. Chwilowo postanowił zadowolić się wodą ze studni – przystanął więc, oczekując na swoją kolej, by móc jej trochę zaczerpnąć.

Nadstawiał uszu, chcąc usłyszeć, o czym rozmawiają ludzie wokół niego – w większości kobiety i starcy. Ujęcie wody pitnej z całą pewnością było najlepszym miejscem, żeby poznać najnowsze wieści i plotki, które były na ustach wszystkich.

Tak jak się tego spodziewał, prawie od razu usłyszał o napaści na strażnika latarni.

– ...związany i zakneblowany w magazynie z narzędziami – mówił staruszek, który zatrzymał się na pogawędkę z grupką kobiet i innych mężczyzn w jego wieku. Wszyscy nieśli wiadra i bańki wypełnione wodą. – Zabrali mu broń, pieniądze i konia i uciekli.

Ian odruchowo spojrzał na wierzchowca, którego trzymał za uprząż. Nikt jednak nie zdawał się zwracać uwagi na zwierzę ani go rozpoznawać. Na szczęście rumak był zupełnie anonimowy i pozbawiony jakichkolwiek znaków szczególnych, które mogłyby ułatwić jego identyfikację.

– Ilu ich było? – zapytał staruszek inny mężczyzna, który rozsiadł się na ławce.

– Zdaje się, że nie więcej niż dwóch, bo jak inaczej uciekliby na jednym koniu?

– Nie wiadomo. Może byli członkami jakiejś bandy i mieli już ze sobą konie.

– To do czego byłby im potrzebny wałach strażnika? Nie, nie, ja wam mówię: było ich dwóch, albo nawet jeden.

– Jakiś wygłodniały nędzarz poszukujący kawałka chleba – dał się przekonać drugi mężczyzna. – Nie on jeden, przy takiej biedzie...

Ułga, którą odczuł Ian, słysząc wypowiedzi o napastnikach w liczbie mnogiej, szybko zniknęła i w jej miejsce pojawił się niepokój.

– Wczoraj wieczorem jakiś statek miał kłopoty w porcie, mój syn mi mówił – przerwała kobieta.

– Prawda – potwierdził staruszek. – Krążą słuchy, że na pokładzie wybuchł pożar, który później opanowali. Łajba kręciła się chwilę po zatoce, zanim odpłynęła, sygnalizowała „niebezpieczeństwo” i „człowiek za burtą”.

Ian wstrzymał oddech.

Prawie wszyscy obecni przeżegnali się bogobojnie.

– Biedaczyna...! – orzekła kobieta. – Wpaść do morza w ciemnościach... A woda teraz taka zimna!

– Skoro jego towarzysze go nie dojrżeli i nie zdołali czym prędzej wyciągnąć, to się pewnie utopił. Nasi marynarze znajdą jego ciało wyrzucone na brzeg – dodał mężczyzna. – Morze zimną nie zna litości.

– Och, nie wydaje mi się, żeby był martwy – rzekł starszy człowiek, zniżając głos jak ktoś, kto jest w posiadaniu istotnej informacji. – Mówię wam, że pożar na statku i napaść na strażnika latarni są ze sobą powiązane. Nasi wartownicy widzieli wszystko z góry: na statku najpierw opanowali pożar, później kręcili się po zatoce, jakby kogoś szukali, aż w końcu ogłosili „niebezpieczeństwo” i „człowiek za burtą”. Ale z latarni nikt nie odpowiadał. To nie może być przypadek.

Słuchacze spojrzeli na siebie z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Wy tam, usuńcie się, jeśli nie chcecie nabierać wody.

Ian odwrócił się, słysząc niegrzeczne burknięcie. Handlarka ryb, z dwoma koszami przewieszonymi przez ramię, spoglądała na niego z dołu, wyraźnie poirytowana.

Ian zorientował się, że nadeszła jego kolej, żeby zaczerpnąć wody. Pochłonięty doszczętnie przez podsłuchiwanie toczących się rozmów, nie zwracał już uwagi na kolejkę. Teraz wpatrywali się w niego wszyscy.

– Wybaczcie – powiedział grzecznie i przesunął się, ciągnąc za sobą konia.

Handlarka ryb mruknęła coś pod nosem i zabrała się do pracy, ustawiając kosze na ziemi i przesypując ich zawartość do dwóch wiader z wodą.

Ian oddalił się w pośpiechu, nie bacząc dłużej na pragnienie. Nie mógł opanować gonitwy. Wieści, które dopiero co usłyszał, wypełniły mu serce strachem, budząc wątpliwości, które z trudem zdołał uciszyć poprzedniej nocy.

Statek Martewalla zasygnalizował „człowiek za burtą”, zanim odpłynął.

Człowiek za burtą. Tylko jeden.

Jeśli Daniel zdołałby zniknąć, Flamandczycy nie mogliby dociec, co wydarzyło się naprawdę, i myśleliby, że drugi więzień w podobny sposób zdołał się uwolnić i zniknąć wśród morskich fal.

„Powinni byli zasygnalizować «dwóch ludzi za burtą»” – powtarzał sobie z niepokojem.

Chłopak nie miał pojęcia, jak funkcjonował średniowieczny system sygnalizacji

z użyciem latarni i pochodni. Być może nie obejmował kwestii takich, jak liczba mnoga, być może jedynym znakiem było „ktoś wypadł za burtę”. Myśląc w ten sposób, Ian usiłował się uspokoić.

„Ktoś” było określeniem bardzo szerokim, mogącym oznaczać jedną osobę, dwie, albo i dziesięć.

A jeśli tak wcale nie było?

A jeśli ludzie Martewalla naprawdę zasygnalizowali ucieczkę wyłącznie jednego z zakładników z prostego powodu – bo drugi nadal pozostawał na statku?

A jeśli z nieznaney przyczyny Daniel wciąż był w ich rękach?

Może zamieszanie na pokładzie sprawiło, że zemdlał, albo *Hyperversum* nie zadziało tak, jak tego oczekiwał, albo rozłoszczeni żołnierze poważnie zranili zakładnika, albo...

Ianowi przychodziły do głowy coraz to nowe teorie, jedna gorsza od drugiej. Mimo wszystkich swych wysiłków nie był w stanie się uspokoić.

Maszerował automatycznie w dół uliczki opadającej w kierunku wybrzeża. Myślami był bardzo daleko od przycumowanych tam łodzi czy rejsu, który powinien odbyć. Myślał o Danielu, o tym, co mogło mu się przytrafić, i czy rzeczywiście wciąż był więźniem ludzi Martewalla.

„Jeszcze wczoraj *Hyperversum* działało, nie ma przyczyny, dla której miałyby zawiesić się właśnie teraz” – powtarzał sobie, usiłując podnieść się na duchu. „Może Daniel nie mógł uciec od razu, może musiał chwilę poczekać. To, co sygnalizował okręt, nie ma znaczenia. Wiadomość jest zbyt ogólna, żeby ocenić, czy w rękach Flamandczyków pozostał jeszcze jeden zakładnik”.

Ian nie mógł mieć jednak pewności, że jego przyjaciel jest cały i zdrowy, i ta myśl gryzła go od środka jak robak.

„Muszę odkryć, co się tam wydarzyło” – pomyślał w pierwszym odruchu. Wiedział jednak, że nie może złożyć ludziom Martewalla wizyty osobiście, gdyż oznaczałoby to śledzenie statku barona aż do jego posiadłości. Ryzyko związane z takim planem było ogromne.

„Jeśli Daniel uciekł, a ja zostałem w Anglii na próżno, dać się złapać byłoby kompletnym idiotyzmem” – przekonywał sam siebie. „Wszystko, co dla mnie zrobił, okazałoby się próżnym wysiłkiem”.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że Daniel jest już w domu, bezpieczny. Pomyślał o awanturze, jaką z pewnością zrobiłby mu przyjaciel, gdyby się dowiedział, jak wiele ryzykował, kierując się wyłącznie podejrzeniem. Chwilę później jednak obraz ten ustąpił obawie, że Daniel jest sam, uwięziony w lochu i pozbawiony jakiegokolwiek pomocy.

W Dunchester, w rękach wroga tak zajadłego, jak Martewall.

Wątpliwości powracały obsesyjnie, podobnie jak niepewność. Ian w dalszym ciągu

miał tylko informacje zasłyszane przy studni i domysły wysnute podczas obserwacji statku z wieży latarni. Nie mógł jednak wyciągnąć z tego jednoznacznych wniosków.

Zbyt późno zauważył obecność strażników w dole ulicy. Jeden wartownik siedział na koniu, dwóch stało obok swoich wierzchowców, obserwując uważnie miejski zgiełk.

Ian zatrzymał się gwałtownie i w tym samym momencie zrozumiał, że popełnił błąd. Jego reakcja nie umknęła czujnym oczom strażnika. Teraz mężczyzna oczekiwał na jego kolejny ruch.

Ian usiłował opanować panikę i udał, że zatrzymał się, żeby rzucić okiem na towary wystawione przed najbliższym warsztatem stolarskim. Ukradkiem zerkał na wartowników: pierwszy z nich gapił się na niego w dalszym ciągu. Zmierzył spojrzeniem również konia, jego umaszczenie i siodło i Ian zobaczył, jak szepcze coś do ucha swoim kompanom. Dwójka pozostałych zbrojnych odwróciła się natychmiast, spoglądając na niego.

Wydarzenia przybierały zły obrót. Ian z udawanym spokojem odwrócił się, kierując w stronę, z której nadszedł, lecz kątem oka uchwycił ruch strażników, którzy dosiedli swoich rumaków i ruszyli stępą za nim.

Ian poczuł, że serce bije mu coraz szybciej. „Co ja teraz zrobię?”

Gdyby zaczął biec, nie pozostawiłby żołnierzom najmniejszych wątpliwości – z całą pewnością ruszyliby za nim w pogoń. Za nic w świecie nie zdołałby uciec z miasta, ścigany przez całą bandę wartowników.

Gdyby postanowił udawać zwyczajnego podróżnego i pozwolił się dogonić, strażnicy urządziliby mu przesłuchanie, odkrywając, że nie podał swego imienia przy wjeździe do miasta. Potem najprawdopodobniej zorientowałiby się, że koń, na którym przyjechał, jest identyczny z tym, który zniknął z latarni.

W ten czy inny sposób, z całą pewnością zostałby zatrzymany.

„Jeśli teraz mnie aresztują, to koniec” – pomyślał Ian z niepokojem.

Skręcił w boczny zaułek, przekonany, że strażnicy uczynią to samo.

Droga była mniej zatłoczona od innych i wnioskuje po panującym tam zaduchu, Ian odgadł, że znalazł się w uliczce rzeźników i garbarzy. Jego przypuszczenia potwierdziły się, kiedy zobaczył kilku postawnych mężczyzn, którzy wyładowywali skóry owiec i kóz z wozu stojącego naprzeciwko. Pozostałe skóry rozłożono na rusztowaniu z desek przed warsztatem znajdującym się kawałek dalej. Kapała z nich gęsta ciecz, mieszając się z błotem ulicy.

W głębi widać było inny warsztat, przed którym stało kilka mułów i dwa konie. Dostawca właśnie skończył uwiązywać swego wierzchowca, po czym zabrał kosz z wozu ciągniętego przez muły i wszedł do środka. Pomagali mu czeladnicy, z wysiłkiem dźwigając pozostałe kosze, których zawartość musiała ważyć niemało.

Ian dotarł do warsztatu, odmierzając kroki tak, by znaleźć się obok dokładnie

wtedy, kiedy zarówno dostawca, jak i czeladnicy wejdą już do środka. Rozejrzał się dookoła z niepokojem i wykorzystał chwilę, w której dostawca radził czeladnikom i ich majstrowi, jak najlepiej ułożyć kosze. Ian przywiązał swojego kasztanka obok dwóch innych koni, odwiązał siwka i poprowadził go ze sobą w dół ulicy.

Skóry schnące na rusztowaniach pomogły ukryć jego działania. Udało mu się przemknąć niezauważenie.

Ian zsunął z głowy kaptur, rozpiął płaszcz i zarzucił go na plecy, odsłaniając tunikę w kontrastującym kolorze, po czym szybkim krokiem skręcił w najbliższą boczną uliczkę.

Zanim zniknął, zdążył dostrzec śledzących go strażników: w kilka chwil trzech mężczyzn omiotło zaułek wzrokiem w poszukiwaniu zakapturzonego wędrowca. Zamiast tego dostrzegli brązowego konia uwiązanego obok warsztatu.

Ian zobaczył, że kierują się w stronę budynku, przy którym stało zwierzę – nie zwrócili na niego uwagi, podczas gdy oddalał się, prowadząc szarego konia tak, by choć częściowo się za nim ukryć.

Chłopak nie czekał do momentu, w którym mógłby się dowiedzieć, do jakich wniosków doszli strażnicy, którzy weszli do garbarni z żądaniem wyjaśnień. Znikając z ich pola widzenia, przyspieszył kroku. Nie chciał biec – wolał nie rzucać się zanadto w oczy i nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Usiłował wmieszać się w tłum.

Tym razem zmieniał kierunek kilkakrotnie, żeby zbić z tropu ewentualnych prześladowców. Chciał jak najszybciej wydostać się z miasta.

Przemaszerował spory kawałek drogi, w każdej chwili obawiając się alarmujących sygnałów za plecami czy tego, że ktoś może za nim krzyknąć. Wokół niego rozbrzmiewał jednak wyłącznie codzienny zgiełk portowego miasta.

Znajdował się na rynku. Przeszedł przez plac, rozglądając się wokół siebie.

Napotkał innego strażnika, tym razem jednak już z daleka dostrzegł biało-błękitny uniform i zachowywał się bardzo spokojnie. Żołnierz nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

Minęło pół godziny, ciągnące się jak wieczność, zanim Ian zobaczył w końcu kamienne mury górujące nad dachami domów. W chwilę później dotarł do otwartej bramy, wychodzącej na pola uprawne. Przekroczył ją z głębokim westchnieniem ulgi. Nikt go nie zatrzymywał, kiedy kierował się ku wsi.

W chwilę po tym, jak wydostał się z miasta, wskoczył na siodło i skierował wierzchowca między bezlistne drzewa tworzące sad. Chciał wrócić na trakt kawałek dalej, jak tylko zniknie z pola widzenia wartowników. Spiał konia do galopu i zatrzymał się dopiero jakiś kilometr od miasta, żeby spojrzeć na to, co zostawił za plecami.

Oddychał urywanie i czuł bolesne uderzenia serca, które uspokajało się po szaleńczym biegu.

Mało brakowało, a by go dopadli. Upływ czasu z pewnością nie wpływał korzystnie na jego położenie – wieści o poszukiwanym uciekinierze rozchodziły się błyskawicznie.

Próbując odzyskać oddech, Ian zastanawiał się, co dalej robić.

Był przekonany, że posłańcy Martewalla są już blisko. Jeśli statek barona dobił już do jakiegoś portu, żołnierze wyposażeni w rysopis Iana z pewnością wyruszyli, żeby go schwytać i rozesłać wici we wszystkich okolicznych miastach. Wkrótce mogli dotrzeć i tutaj.

Jeśli chciał uciec z Anglii, musiał ich wyprzedzić, biegnąc w stronę portu jak najbardziej odległego od jego obecnego miejsca pobytu.

Ponadto wciąż wracała do niego niedająca spokoju myśl. Spojrzał w kierunku miasta, zerknął na południe i na północ; droga prowadząca wzdłuż wybrzeża wiodła w stronę Dover lub w stronę Dunchester – prowadziła ku ocaleniu albo ku posiadłości jego wroga.

Wątpliwości przyprawiały go o zawrót głowy. Wiedział, że nie dadzą mu spokoju do końca jego dni.

Ian podjął decyzję.

„Jeśli Daniel siedzi w domu, pomyślałby, że jestem kretyńcem. I miałby stuprocentową rację” – powiedział sobie w duchu, zdecydowany rozprawić się ze swoim strachem raz na zawsze.

Drogą w stronę miasta nadjeżdżało dwóch rolników. Wlekli ze sobą wóz ciągnięty przez bydło, wyładowany drewnem i sianem.

Ian wyszedł im naprzeciw, zbliżając się niespiesznym kłusem, pozdrowił ich i zatrzymał się na chwilę obok wozu, który uczynił to samo.

– Wybaczcie mi, która droga prowadzi do Dunchester? – zapytał, nadstawiając uszu w obawie przed ewentualnym pościgiem od strony miasta.

Starszy z dwójki wieśniaków wskazał gestem w kierunku portu.

– Idziecie, panie, w złym kierunku: Dunchester jest na północy, musicie zawrócić i minąć Glenhaven. Jeśli nie życzyście sobie przejeżdżać przez miasto, możecie przeciąć trakt i przeprowić się przez las. Musicie być ostrożni – droga jest raczej pusta i kiepsko ubita, ale jednak jedzie się krócej w porównaniu z tą wiodącą wzdłuż wybrzeża.

– To doskonale, jeśli jest krótsza – odrzekł Ian, który miał średnią ochotę zawracać w kierunku portu i latarni. – Chciałbym dotrzeć tam jak najszybciej i nie lękam się przeprawy przez las.

„Zwłaszcza jeśli na tej drodze nie ma zbyt wielu podróżnych i żołnierzy” – dodał w myślach.

Rolnik wyciągnął rękę, pokazując kierunek, w którym wiała się ubita droga, odchodząca od głównego traktu i ginąca w leśnej gęstwinie. Wiodła na północ

i omijała portowe miasta.

– A więc trzymajcie się tej drogi. Będzie jakieś pół dnia podróży, aż dotrzecie do skrzyżowania przy kaplicy świętego Jerzego. Stamtąd kierujcie się w głąb wyspy. Do jutra nie dotrzecie do Dunchester. Jak ujrzycie wioskę Aversly, zatrzymajcie się tam na noc i nazajutrz zapytajcie znów o drogę. Lasy tam są jeszcze gęstsze i bardziej zdradzieckie, więc łatwo jest się zgubić, jeśli jakiś miejscowy nie objaśni wam dokładnie trasy.

Ian pozdrowił wieśniaków pokornym skinieniem głowy.

– Dziękuję, niech Bóg wam wynagrodzi za waszą pomoc.

– Niech Pan będzie z wami. Powodzenia – odpowiedzieli obaj.

– Obawiam się, że będę go bardzo potrzebował – wyszeptał do siebie Ian, spinając konia ostrogami.

Rozdział 9



Daniela wybudziło z odrętwienia uderzenie dłonią w plecy. Młodzieniec z trudem otworzył oczy, zastanawiając się, ile mogło minąć czasu, odkąd stracił przytomność. Niezbyt wiele, sądząc po tym, jak bardzo był obolały.

Czuł, że wzywając *Hyperversum*, prawie stracił głos. Najprawdopodobniej upadł albo zemdłał w chwilę po straszliwym odkryciu, że powrót do domu jest niemożliwy.

Teraz zaczynało do niego docierać, że stracił przytomność na dłużej, niż mu się wcześniej wydawało – widział wpadające przez otwarty właz statku światło dnia. W jego blasku rozpoznał kapitana, do którego Martewall zwracał się imieniem Hektor. Mężczyzna nachylał się nad Danielem.

Twarz kapitana była niezwykle pochmurna i malowało się na niej poważne zmartwienie. Nie dotyczyło raczej samego więźnia – kapitan zaszczycił go jedynie krótkim spojrzeniem, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie, po czym oddalił się, nie odezwaawszy się do niego nawet słowem.

Daniel usłyszał, jak rzuca kilka oschłych rozkazów, wychodząc na mostek kapitański. W chwilę potem do ładowni zeszło dwóch zbrojnych, aby wyciągnąć go na zewnątrz. Wykonywali oni polecenia w ciszy i zachowywali się mniej surowo niż zazwyczaj, choć nie wydawali się szczególnie zadowoleni. Podtrzymywali chłopaka, gdy ten usiłował podnieść się na nogi. Upewnili się, że więzień nie spadnie z drabinki, po której kazali mu się wspiąć, i Daniel zrozumiał, że ich dowódca kazałby im srogo zapłacić za każdego nowego siniaka na ciele zakładnika.

„Kapitan zupełnie nie docenił inicjatywy swoich kompanów” – pomyślał chłopak. „Może dlatego, że nie mógł w niej osobiście uczestniczyć” – dodał z sarkastycznym rozgoryczeniem.

Usiłując przyzwyczaić oczy do blasku słońca, Daniel zauważył, że statek przybił do nowego portu. Na końcu mola majaczyły sylwetki koni. Uświadomił sobie, że jeden z wierzchowców jest przygotowany dla niego.

Dotarli do celu.

Miasteczko portowe zdawało się niewiele większe od rybackiej wioski przyklejonej do wybrzeża – górowała nad nim surowa budowla o kwadratowej podstawie, obok której wznosiła się kamienna wieża. Płomienie na jej szczycie służyły do komunikacji

z okrętami. Daniel spojrział w stronę żołnierzy, którzy zatrzymali się w niewielkiej odległości i patrolowali port z wysokości grzbietów swych wierzchowców. Wszyscy mieli na sobie czarne szaty z wyhaftowanym na piersi złotym lwem. Zdawali się niespokojni.

Daniel nie miał już więcej możliwości, żeby rozglądać się dookoła. Strażnicy popchnęli go do przodu i poprowadzili w stronę kapitana Hektora, który rozmawiał z mężczyzną stojącym na moście. Kiedy Hektor się przesunął, słysząc kroki więźnia, Daniel stanął nagle przed Geoffreyem Martewallem.

Rycerz musiał przybyć dosłownie chwilę temu i dopiero teraz dotarły do niego wiadomości na temat tego, co wydarzyło się na pokładzie statku ubiegłej nocy. Miał na sobie te same ubrania co poprzedniego dnia i kilkudniowy zarost, a to oznaczało, że podróż łodem pozwoliła mu tylko na chwilę odpoczynku w spartańskich warunkach, przypuszczalnie pod gołym niebem.

Martewall, milcząco wymownie, zmierzył wzrokiem Daniela, po czym spojrzął na Hektora. Kapitan, wyraźnie zawstydzony, spuścił wzrok i się nie odzywał.

W jasnych oczach Martewalla malowała się furia. On również nie był zachwycony tym, co jego ludzie uczynili pod jego nieobecność – do wściekłości musiał doprowadzić go nie tylko sposób, w jaki potraktowali jedyne więźnia, lecz przede wszystkim to, że pozwolili zbiec najcenniejszej zdobyczy. Stojący u boku barona kapitan miał skruszoną minę.

– Kiedy wyruszyli pierwsi posłańcy? – Martewall zapytał go ponurym tonem.

– Kiedy dzwony biły na pierwszą mszę. Łodzie pomocnicze dotarły do nas, jeszcze zanim dopłynęliśmy do portu, tuż przed wschodem słońca – odparł kapitan. – Zasygnalizowaliśmy niebezpieczeństwo również w Glenhaven, na chwilę przed odplynięciem. Straż wybrzeża z pewnością od razu zabrała się za poszukiwania.

Angielski rycerz nie odpowiedział, spojrzął tylko posepnie na Daniela, mamrocząc coś pod nosem.

– Bardzo mi przykro. Jak mi się zdaje, będziesz się musiał zadowolić wyłącznie jednym gościem. Mam nadzieję, że mimo to nie będziemy się nudzić w swoim towarzystwie – próbował sprowokować go Amerykanin z ostentacyjną ironią. Mógł zranić nieprzyjaciela jedynie słowami, wściekłość zaś spowodowana tym, co musiał znieść aż do teraz, była tak silna, że nie pozostawiała miejsca na rozsądek, który w normalnych okolicznościach nie pozwoliłby mu na tak ryzykowne zachowanie.

Martewall nie zareagował na zaczepkę.

– Dopadniemy i jego, możesz być tego pewien – odrzekł lodowato i było jasne, kogo miał na myśli. – Anglia ma tę nieocenioną zaletę, że jest wyspą – nie jest łatwo się na nią dostać, a jeszcze trudniej ją opuścić. Chyba że twój przyjaciel byłby w stanie przepłynąć się przez kanał wąpław, jak ryba. My zaś tymczasem umilimy sobie oczekiwanie pogawędką. Obiecuję ci, że nie będziesz się nudził.

Na dźwięk tych słów Danielem wstrząsnął zimny dreszcz, który usiłował ukryć przed wzrokiem rycerza.

– Będziesz rozczarowany, nie jestem ciekawym rozmówcą, zwłaszcza gdy nie darzę kogoś zbytnią sympatią – odparł.

Martewall nie zmienił wyrazu twarzy, słysząc, jak chłopak sili się na zuchwałość.

– Nie martw się. Ja, kiedy chcę, potrafię być dociekliwy. Zobaczysz, uda mi się znaleźć argumenty, które poprawią twe zdolności oratorskie. Mamy parę kwestii do omówienia i sporo czasu na dyskusję w oczekiwaniu na moment, gdy *monsieur* Jean Marc dołączy do naszej konwersacji.

Daniel w myślach życzył mu wszystkiego, co najgorsze, lecz rycerz nie dodał ani słowa więcej. Odwrócił się, żeby zejść ze statku. Kilkoma krokami pokonał mostek łączący pokład z dokami, podszedł do swojego konia i wskoczył na siodło.

Jego ludzie poprowadzili Daniela w tym samym kierunku.

Pomogli mu wsiąść na siodło wierzchowca uwiązanego obok i w niedługim czasie kompania Martewalla przeobraziła się w dobrze zorganizowaną grupę jeźdźców. Marynarze pozostali na statku, by wykonać ostatnie prace na pokładzie.

W niewielkim porcie, pod szarym i wilgotnym niebem, każdy był zajęty swoimi sprawami. Kilkanaście chałup i tyle samo warsztatów sprawiało wrażenie zadbanej i dobrze strzeżonej. Daniel zauważył wielu żołnierzy w czarnych strojach, przemieszczających się konno i pieszo, wmieszanych w szary tłum mieszkańców – krążyli wzdłuż wybrzeża i drewnianej palisady, która okalała miasto. Ludność nie wydawała się jednak zastraszona obecnością pokaźnej liczby zbrojnych; przeciwnie – mieszkańcy pozdrawiali przyjaźnie napotkanych żołnierzy.

Teraz ludzie Martewalla nie obawiali się już, że ktoś może ich zatrzymać za przetrzymywanie zakładnika. Z dumą rozpostarli sztandar swojego pana na szczycie kopii, ludność zaś ustępowała im posłuszenie z drogi, by zrobić miejsce dla złotego lwa na czarnym tle – symbolu barona Dunchester.

Przekonani o swej nietykalności Flamandzycy nie musieli już dbać o środki ostrożności, które zachowywali we Francji, i przemieszczali się znacznie szybciej. Więzień jechał z rękoma związanymi za plecami i z pętlą z grubej liny wokół szyi – miało to zagwarantować, że nie będzie próbował zeskoczyć z siodła. Oszczędzono mu przynajmniej worka na głowie i teraz Daniel mógł rozglądać się dookoła, wypatrując na trakcie jakichkolwiek szczegółów, które mogłyby umożliwić mu ucieczkę. Tymczasem grupa uzbrojonych mężczyzn przemierzała ulice miasteczka, mieszkańcy zaś podejrzliwe obserwowali więźnia, zdumieni tym, jak pilnie go strzeżono.

Daniel westchnął głęboko i spróbował rozluźnić zdrętwiałe mięśnie szyi i pleców. Usiłował przy tym nie zwracać uwagi na wrogie spojrzenia i nie myśleć o tym, jak zareagowałaby ludność, dowiedziawszy się, że prowadzony zakładnik jest rycerzem francuskiego króla.

W centrum osady, pośrodku placu targowego upstrzonego straganami, spostrzegł szubienicę, od której pospiesznie odwrócił wzrok.

Na szczęście miejskie zabudowania szybko się skończyły i grupa jeźdźców przemieszczała się dalej wzdłuż kamienistego wybrzeża.

Krajobraz poza osadą portową składał się z niezaoranej ziemi, niekończących się wrzosowisk i rozległych lasów, ciągnących się hen po horyzont. Nad równinami unosiła się mgła. Droga, którą obrał Martewall, omijała pola uprawne – trzymali się blisko morza.

Konny oddział poruszał się wolno, zachowując absolutną ciszę.

Kiedy poranne mgły się podniosły, oczom Daniela ukazał się łagodny zakręt pasa nadmorskiego, porośniętego przez gęsty las. Zakręt, formujący zatokę, kończył się wzniesieniem i stromym urwiskiem po przeciwległej stronie, schodzącym w kierunku szarego morza. Ziemia w tym miejscu pozbawiona była roślinności, u stóp wzgórza zaś wznosiła się warownia. Daniel zauważył ciągłą linię zewnętrznych murów obronnych, która dzieliła ten skraj wybrzeża wyspy, biegnąc wzdłuż klifu i sięgając aż do półkolistego cypla.

W miejscu położonym najwyżej względem poziomu morza rysowała się budowla wciąż jeszcze skąpana w porannych mgłach. Potężny dwór na planie kamiennego prostokąta zamknięty był w kręgu utworzonym z wewnętrznych murów obronnych – wyższych niż te pierwsze.

W jego czterech narożnikach wznosiły się przysadziste kształty walcowatych wież, okna zasadniczej konstrukcji obronnej o równie grubych ścianach wychodziły na rozległe lasy. Wieżom głównym towarzyszyły wieżyczki pomocnicze, wyższe i smuklejsze, na których powiewały czarne sztandary.

„Duncheater” – zrozumiał Daniel. – „Zamek Martewalla”.

Przełknął ślinę, zaniepokojony. W zimnym świetle zimowego słońca wieże zamczyska wyglądały bez mała widmowo i mogły spokojnie uchodzić za dwór Drakuli. Z całą pewnością nie było to miejsce, z którego łatwo byłoby uciec, zwłaszcza komuś tak zupełnie bezbronnemu jak on.

Daniela tknęło przerażające przecucie – na myśl, że może już nigdy nie opuścić murów fortecy, zaczął instynktownie błagać w duchu o jakąkolwiek pomoc. Czuł się przy tym całkowicie bezsilny.

Martewall również przyglądał się odległej sylwetce zamku. Daniel zauważył jednak, że rycerz nie zdawał się szczęśliwy ani nawet poruszony tym widokiem. Nie sprawiał wrażenia człowieka wzruszonego powrotem do domu po długiej nieobecności. Można było nawet przypuszczać, że jest niemile zaskoczony. W miarę jak zbliżali się do twierdzy, która z każdym krokiem wyraźniej wyłaniała się z mgieł, twarz Martewalla stawała się coraz bardziej napięta.

Niepokój rycerza udzielił się również Danielowi, jego obawy wzrosły teraz jeszcze

bardziej.

„Co jest nie tak?” – zastanawiał się chłopak, spoglądając to na zamek, to na jego właściciela, jednak mimo że usilnie wpatrywał się w blanki wież, nie potrafił znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie.

Chociaż sama twierdza wznosiła się majestatycznie i zdawała się nietknięta, wieże i wewnętrzne mury obronne były bacznie strzeżone przez liczne oddziały strażników.

„Wartowników jest podejrzanie dużo” – dotarło do Daniela. Jego obawy rosły z każdą chwilą. „Co oni wszyscy tutaj robią?”

Żołnierze za obwarowaniami zdawali się pracować zawzięcie. „Tylko nad czym?” – zastanawiał się chłopak. Poza umocnieniami osady rozciągał się wyłącznie spokojny krajobraz, nie było widać nic niepokojącego.

Daniel zdawał sobie sprawę z tego, że nie do końca rozumie sytuację, w jakiej się znalazł. Ian z całą pewnością potrafiłby lepiej odczytać, co dzieje się na zamku niż on, zupełnie przecież do tego nieprzygotowany.

Twarz Martewalla stawała się coraz bardziej pochmurna, sam rycerz zaś tkwił nieruchomo w siodle swojego wierzchowca.

– Panie... – zawołał do niego kapitan Hektor, a w jego głosie dało się słyszeć nieme pytanie pełne trwogi.

Baron go zignorował, spiął konia ostrogami i wyprzedził jeźdźców, galopując w kierunku zamku. Jego ludzie wymienili spojrzenia, po czym ponagli swoje rumaki, chcąc dotrzymać mu kroku. Na ich twarzach malowało się takie samo zaskoczenie jak na twarzy ich pana, a im bliżej byli zamku, tym większy zdradzali niepokój.

„Tak, zdecydowanie coś tu nie gra” – pomyślał Daniel. Nie miał pojęcia, co też mogło się wydarzyć, jednak instynktownie przeczuwał, że nie chodzi o nic dobrego.

Zacisnął skrępowane pięści, obserwując zamek z rosnącą trwogą. Twierdza była coraz bliżej.

Coś mu mówiło, że właśnie wpadł z deszczu pod rynnę.

Ian pędził galopem cały poranek, trzymając się drogi wskazanej mu przez dwóch wieśniaków z wozem. Ścieżka kluczyła w leśnych zaroślach, jednak bezlistne gałęzie drzew przepuszczały słabe zimowe słońce, pozwalając dojrzeć szlak ubitej ziemi, wyszczerbiony dziurami ukrytymi w błocie roztopów i w stosach przegniłych liści.

W tym opustoszałym miejscu Ian początkowo cieszył się, że nie spotyka na swej drodze nikogo, kto mógłby stanowić dla niego potencjalne zagrożenie. Niemniej po wielu godzinach samotnej wędrówki zaczęło mu doskwierać to odosobnienie i poczucie bezbronności. Średniowieczna cywilizacja nie dotarła jeszcze do tego

miejsca. Jedynym znakiem ludzkiej obecności były rzadkie ślady kół czy końskich podków, odcisnięte na leśnej ścieżynce przez nieznaną podróżnych.

Ian nie spotkał żywej duszy przez cały poranek. Słońce wznosiło się coraz wyżej, a wspomnianego przez wieśniaków skrzyżowania wciąż nie było widać.

„Mam nadzieję, że się nie zgubiłem” – pomyślał i z przestachem zaczął się zastanawiać nad tym, co by zrobił, gdyby w lesie zastała go noc. Pomysł spędzenia jej w pojedynkę w całkowitych ciemnościach i bez jakiegokolwiek schronienia ani trochę go nie pociągał, nie wspominając o tym, że – w przeciwieństwie do przeciętnego mieszkańca średniowiecza – Ian z pewnością nie należał do ekspertów w kwestii rozpalania ognia bez użycia zapalek czy zdobywania wody i pożywienia w niezmierzonej puszczy.

Kiedy nadzieja zaczęła go już opuszczać, trakt, którym podróżował, niespodziewanie przeciął się z dróżką wyłaniającą się zniemacka zza czarnych konarów drzew. Prymitywnemu skrzyżowaniu towarzyszyła niewielka kamienna konstrukcja – rodzaj drogowskiego, którego Ian wypatrywał już od dłuższej chwili.

„Nareszcie. Kapliczka świętego Jerzego” – młodzieniec odetchnął z ulgą, zatrzymując konia, żeby choć na chwilę rozprostować kości.

Przywiązał wierzchowca do drzewa i zbliżył się do kapliczki, żeby zajrzeć do środka. Budowla była mała, prawdopodobnie bardzo stara i najwyraźniej opuszczona. Ian sięgał głową ponad łuk frontowy pozbawiony drzwi, sklepienie wewnątrz było zaś prawie w zasięgu jego wyciągniętej ręki. Tam gdzie nie docierało światło słońca, surowe kamienne ściany pokryte były mchem, a w niektórych miejscach dzikie bluszcze pięły się aż po sam szczyt kopuły.

Ian schylił się, żeby wejść do środka. Pod samym sklepieniem widniało proste i naiwne malowidło, wyblakłe, lecz wciąż rozpoznawalne: rycerz uzbrojony w pikę mierzył ostrzem w stronę zwierzęcia, które zdawało się skrzyżowaniem węża i gigantycznej jaszczurki. Poniżej wizerunku ktoś zatknął zgaszoną pochodnię, przykrytą wiekową warstwą kurzu, ziemi i suchych badyli.

Sam nie wiedząc czemu, Ian poczuł nagłą chęć ukłęknięcia przed starym malowidłem i przeżegnawszy się, tkwił nieruchomo przez kilka minut. Był zmęczony, doskwierała mu samotność i nie wiedział, kiedy uda mu się dotrzeć do Dunchester. Dotychczas jego myśli zajmowały tylko kolejne mile drogi wśród stukotu końskich kopyt i nieustająca obawa przed napotkaniem nieprzyjaciół. Działał instynktownie, improwizując, ale to już za chwilę mogło się okazać niewystarczające.

„Co mógłbym teraz zrobić?” – Ian nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie, zwrócił się więc z nim do świętego, którego podobizna tkwiła na ścianie przydrożnej świątyni może już przeszło sto lat. Obaj byli rycerzami, zarówno święty, jak i pielgrzym proszący o łaskę, jeden uchwycony w trakcie walki ze smokiem, drugi spragniony otuchy w samym środku ponurego lasu...

„Połowa twojego męstwa wystarczyłaby mi w zupełności” – pomyślał Ian, wzdychając cicho i zerkając na dumnie wyprostowanego świętego w pełnej zbroi. Czuł, że nie jest przygotowany na przygodę, której będzie musiał stawić czoło na obcej ziemi. Mimo że został pasowany na rycerza, obawiał się, że może nie sprostać zobowiązaniom, jakie ten tytuł za sobą pociągał.

„Połowa twojego męstwa wystarczyłaby mi w zupełności” – pomyślał Ian, wzdychając cicho i zerkając na dumnie wyprostowanego świętego w pełnej zbroi. Czuł, że nie jest przygotowany na przygodę, której będzie musiał stawić czoło na obcej ziemi. Mimo że został pasowany na rycerza, obawiał się, że może nie sprostać zobowiązaniom, jakie ten tytuł na niego nakładał.

Nagle coś poruszyło się w zaroślach koło kapliczki.

Ian odwrócił się i błyskawicznie chwycił za miecz, obracając się w kierunku, z którego dochodził szelest. Nagły przypływ adrenaliny przyprawił go o dreszcz.

„Jestem zmęczony i straciłem czujność” – skarcił się w myślach. Wpatrywał się uważnie w krzewy, ale hałas już się nie powtórzył. Dokoła panowała doskonała cisza.

Wciąż z mieczem w pogotowiu młodzieniec wyszedł ostrożnie z kaplicy, rozglądając się dookoła. Kiedy klęczał przed wizerunkiem świętego Jerzego, męczyło go wrażenie, że ktoś go obserwuje – teraz jednak minęło. Między drzewami nikogo nie było. Może to jakieś zwierzę przemknęło wśród zarośli.

„Wilk? Lis?” – pytał sam siebie. Ale przecież jego wierzchowiec nawet nie zarżał.

„Czyżbym sobie to wszystko wyobraził?” – myślał Ian. Zmęczenie i nieprzespane noce chyba w końcu dały o sobie znać.

Usiadł na progu kapliczki i położył ostrożnie miecz na ziemi. Potem rozsypał zawiniątko, które niósł przewieszane przez ramię, i posilił się jego zawartością. Dopił też resztę wina. Odzyskawszy siły, podniósł się z ziemi.

Wciąż miał przed sobą długą drogę i nie mógł marnować czasu. Potrzebował jednak jeszcze kilku chwil odpoczynku. W milczeniu spoglądał na rozwidlenie dróg.

Trakt, którym miał podążyć, zdawał się o wiele bardziej uczęszczany niż poprzedni: niektóre ślady kopyt wciąż były świeże i wskazywały na przejazd co najmniej kilku koni i dwóch lub trzech wozów. Ian wziął to za dobry znak – teraz był pewien, że niedaleko znajduje się jakaś osada, w której przy odrobinie szczęścia będzie mógł znaleźć schronienie na noc i kogoś, kto zna okolicę.

„Być może zdołam dotrzeć do Dunchester już jutro” – pomyślał. Zastanawiał się, gdzie jest granica lenna Martewallów. Było prawdopodobne, że już teraz znajdował się na ziemiach swego nieprzyjaciela lub bardzo niedaleko od nich. Teraz musiał jeszcze bardziej zwiększyć czujność. Z drugiej strony było mało prawdopodobne, by baron spodziewał się, że jego ofiara zmierza w stronę Dunchester.

„Może to jeszcze zadziałać na moją korzyść” – doszedł do wniosku Ian. „Martewall raczej nie będzie mnie szukać pod murami własnego zamku”.

Nadszedł czas, by na nowo wyruszyć w drogę. Młodzieniec odwiązał wierzchowca i wskoczył na siodło. Mech porastający zacienioną część kaplicy wskazał mu północ. Skierował się w tamtą stronę, podążając traktem prowadzącym w głąb wyspy.

Zwierzę było już wyraźnie zmęczone i Ian nie mógł jechać zbyt szybko. Podejrzał, że sam również wkrótce całkiem opadnie z sił i nie wytrzyma długiej jazdy kłusem czy galopem, dlatego zwolnił.

Przez dłuższą chwilę nie spotkał nikogo na drodze, kiedy jednak słońce chyliło się już ku zachodowi, przed jego oczyma zamajaczyła jakaś postać. Ian wyostrzył wzrok i dostrzegł, że w pewnej odległości przed nim biegnie chłopiec, a jeszcze dalej toczy się powoli wóz ciągnięty przez muła, na którego grzbiecie zasiada postawny mężczyzna.

Zdawało się, że wędrowcy nie podróżują razem – nie zwracali na siebie najmniejszej uwagi. Kiedy Ian podjechał bliżej, spostrzegł, że mężczyzna, odziany w siermiężne, zimowe szaty, wioził na swoim wozie świeżo porąbane drewno. Chłopiec nie miał ze sobą niczego prócz przewieszanej przez ramię torby. Był zajęty zabawą kijem, który pewnie znalazł gdzieś na drodze. Co jakiś czas odwracał się za siebie i to on jako pierwszy zauważył zbliżającego się Iana.

Nie zaniepokoił się – przeciwnie: zwolnił kroku i wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu, poczekał, aż jeździec się z nim zrówna.

Chłopiec miał ogniście rudą czuprynę, sterczącą na wszystkie strony i piegowaty nos, a na jego szczupłej buzi nawet z daleka widać było malujący się spryt. Nie mógł mieć więcej niż trzynaście lat, ocenił Ian na oko, i nietrudno było wywnioskować, że mało czasu spędza w domu – wskazywały na to zdrowa opalenizna i nieco dziki wygląd, który dodatkowo potęgowały pocerowane w wielu miejscach ubranie i zdecydowanie schodzone trzewiki.

Chłopiec przywitał go śmiało.

– Macie pięknego konia, panie – oświadczył z przejęciem.

Ian czuł się nieco zbity z tropu tą uwagą, gdyż nawet mając najlepsze intencje, trudno było nazwać „piękną” skradzioną w Glenhaven szkapę.

Zanim jeszcze młodzieniec zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna powożący furmanką odwrócił się w jego stronę i rzekł:

– Dajcie sobie spokój z tym gałganem, nie traćcie czasu! To mały złodziejaszek i łobuz. Zrobi wszystko, byle tylko wyciągnąć od was trochę grosza!

Ian spojrzał na mężczyznę, po czym przeniósł wzrok na chłopca. Ten ostatni poczuł się wyraźnie znieważony; odsunął na bok z urażoną miną i pozostał w tyle za nimi. Ian przyspieszył kroku i zrównał się z wozem toczącym się po trakcie.

– Możecie mi wierzyć, przyjacielu, to chłopaczysko to nic dobrego – powiedział mężczyzna. Miał rumianą, szczerą twarz i gęstą siwą brodę. Na głowie nosił filcowy kapelusz. Wyglądał na drwała i – w rzeczy samej – na jego wozie, obok równo

poukładanego drewna, leżała potężna siekiera.

– Znacie go? – zapytał Ian, wskazując na nadąsanego chłopca, wolno posuwającego się w ślad za nimi. – Nie wydaje się wcale rozrabiaką.

Mężczyzna otaksował go spojrzeniem.

– Jesteście cudzoziemcem? Skąd przybywacie? Mówicie inaczej, niż zwykle się słyszeć w naszych stronach.

– Pochodzę z dalekich wysp za wybrzeżami Szkocji – odpowiedział Ian, korzystając z tego samego kłamstwa, którym posługiwał się za pierwszym razem, kiedy znalazł się w średniowieczu. – Wracam do domu po pobycie na stałym lądzie.

– Byliście na wojnie? – Spojrzenie mężczyzny zatrzymało się teraz na mieczu, który Ian miał przy boku.

– Nie. Unikałem walki tak długo, jak było to możliwe – choć nie było łatwo. W każdym razie nawykłem podróżować uzbrojony – skłamał Amerykanin. – Pracowałem w wielu miejscach, ale tęsknota za domem sprawiła, że wracam w swoje strony. Na kontynencie życie i tak nie jest łatwiejsze niż tutaj. Nie mam też już więcej powodów, aby tam przebywać.

– Dobrze dla was, skoroście zdołali uniknąć wojaczki. Wojna to paskudna sprawa – skomentował mężczyzna ponuro i pogrążył się w myślach. Po chwili jednak otrząsnął się i powiedział: – Nazywam się Thomas Bull.

– Ian Maayrkas – odparł Amerykanin z uśmiechem.

– Jedziecie w stronę Aversly? To już niedaleko.

– Tak. Chciałbym zatrzymać się tam na noc, o ile to możliwe. Jutro spróbuję dotrzeć do Dunchester. Szukam mojego przyjaciela.

„Przyjaciela, którego mam nadzieję tam już nie zastać” – dodał Ian w myślach, zanim zwrócił się ponownie do Bulla:

– Stamtąd wyruszę w dalszą podróż.

– Przydałoby się wam rzeczywiście zatrzymać na noc. Do Dunchester jeszcze kawał drogi, a las jest bardzo gęsty – powiedział drwal. – Po ciemku się zgubicie, a w dodatku jest bardzo zimno. W Aversly nie znajdziecie ni gospody, ni oberży, ale mieszkają tam dobrzy ludzie. Na pewno ktoś pozwoli wam się przespać w stajni czy w stodole. Ja też jestem stamtąd i, jeśli chcecie, wskażę wam, do kogo się zwrócić.

– Dzięki, wasza pomoc to prawdziwy dar niebios – odparł Ian z wdzięcznością. Noc pod dachem była jak wybawienie po tych wszystkich godzinach trudów i znoju. Wiązka siana zaś, na której mógłby wygodnie się przespać, zdawała mu się teraz nawet bardziej zachęcająca niż najwygodniejsze z łóżek.

– Nie musicie mi dziękować, to nic wielkiego – rzekł mężczyzna dobrodusznie.

Ian raz jeszcze wskazał na chłopca, który szedł za wozem, strząsając kijem suche liście z mijanych zarośli.

– A ten, co to za jeden?

Bull wzruszył ramionami.

– Włóczy się taki po okolicy i potem tam i ówdzie znikają jajka, kury czy warzywa z grządek. Do niczego się nie nadaje i nie chce się mu pracować. Nawet nie próbował się jeszcze przyuczyć do żadnego zawodu. Kto by pomyślał, w jego wieku...

– Jak się nazywa? – zapytał Ian, zerkając znów za siebie.

Chłopiec odwzajemnił jego spojrzenie, a w zasadzie to nieprzerwanie się w niego wpatrywał.

– Nie wiem, jak ma naprawdę na imię. Wołają na niego Lisi Ogon – powiedział Bull.

„Ognista czupryna i w dodatku podkrada jajka z kurników – niewątpliwie trafnie go nazwano” – pomyślał Ian.

– Ma jakąś rodzinę? – zapytał.

– Mieszka ze swoją matką na skraju wioski Willingham, jakieś pięć mil od Aversly w stronę Dunchester. I od niej lepiej trzymać się z daleka – zasugerował mężczyzna. – Nie cieszy się najlepszą sławą – dodał lakonicznie w odpowiedzi na pytające spojrzenie Iana. – Dłubie amulety w leśnych gałęziach i zajmuje się ktoś wie jakimi jeszcze diabelstwami, a w dodatku nigdy nie miała męża. Nic dziwnego, że jej dzieciak już zszedł na złą drogę.

Ian nie zapytał już o nic więcej i jechał w ciszy obok wozu. Od czasu do czasu oglądał się za siebie i zerkał na Lisiego Ogona. Chłopiec podążał za nimi krok w krok i rozjaśnił się cały w odpowiedzi na uśmiech posłany mu przez Iana. Rzucił się biegiem, by zrównać się ze starszymi, po czym wdrapał się na wóz jednym zwinnym susem, tak jakby został oficjalnie do tego zaproszony.

– Ej, ty! – zaprotestował drwal. – Zmykaj stąd, natychmiast!

– Oj tam, jedźmy. Czego się boicie? Może tego, że wam drewno ukradnę? – roześmiał się chłopiec. – Pozwólcie mi tylko przejechać kawalek na wozie, co was to kosztuje? Biegam od samego rana i bolą mnie już nogi, a wy sobie siedzicie wygodnie jak król.

Bull wymamrotał coś pod nosem, ale kiedy spostrzegł pełne wyrzutu spojrzenie Iana, zrezygnował z dalszych protestów.

Lisi Ogon zauważył wymianę spojrzeń między mężczyznami i uśmiechnął się do swojego nieoczekiwanego poplecznika.

– Naprawdę byliście na kontynencie? – zapytał go. – We Francji też? – Najwyraźniej z całych sił nadstawiał uszu, by nie umknęło mu nic z rozmowy dorosłych.

– We Francji też – przyznał Ian, ignorując niezadowolony pomruk Bulla, który miał zniechęcić go do rozmowy z chłopcem. Poczł się niezręcznie, gdy pojął, że Lisi Ogon musiał usłyszeć również pozostałą część ich rozmowy, w tym bardzo niepochlebłą opinię drwala na temat jego i jego matki.

Chłopiec najwyraźniej jednak nie przykładał do tego większej uwagi – być może już wcześniej słyszał podobne komentarze i przestał się tym przejmować.

– Jacy są francuscy rycerze? Widzieliście ich? – ciągnął Lisi Ogon.

– Miałem taką sposobność... Spotkałem kilku z nich, tak – powiedział Ian, ostrożnie dobierając słowa. Czuł, że zaraz może się znaleźć na grząskim gruncie.

– A ty od kiedy niby interesujesz się Francuzami? – zapytał Bull chłopaka, nie odwracając się nawet.

– Nienawidzę Francuzów! – odparł szorstko Lisi Ogon.

„Świetnie się składa...” – pomyślał Ian.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy to prawda, że boją się walczyć, i czy naprawdę uciekliby z pola bitwy we Flandrii, gdyby tylko ich król nie kazał wysadzić mostu, żeby uniemożliwić im przekroczenie rzeki – mówił dalej chłopiec z ożywieniem, skupiając całą swoją uwagę na Ianie.

– Prawdę mówiąc, o ile mi wiadomo, to francuski król Filip na dzień przed bitwą poszerzył i umocnił most w Bouvines – właśnie po to, żeby wojska mogły swobodnie przejść – odpowiedział Ian uprzejmym tonem, ukrywając irytację wywołaną oskarżeniami wymierzonymi we francuskich rycerzy.

Znał na tyle dobrze średniowieczne kroniki napisane po bitwie pod Bouvines, by wiedzieć, że w całej Anglii rozpuszczono krzywdzące plotki mające na celu umniejszenie zwycięstwa nieprzyjaciela. Mimo to w dalszym ciągu czuł się osobiście dotknięty.

Wspomnienie tego krwawego dnia wciąż było żywe w jego umyśle – pamiętał aż nazbyt dobrze okrucieństwo i zamęt bitewny. Musiał użyć całej swojej odwagi, by stawić im czoło i przeżyć. Dał z siebie wszystko i teraz nie zamierzał pozwolić na bezpodstawne oskarżanie go o tchórzostwo.

– Francuzi nie spodziewali się ataku w niedzielę, kiedy to zostali zaskoczeni przez wojska cesarstwa jeszcze w drodze na pole bitwy. Szykowali się na następny dzień. Zostali zmuszeni do walki i zdołali się obronić. Kiedy cesarz zobaczył, że wróg bliski jest zwycięstwa, uciekł, porzucając wojsko i wielu swoich ludzi – opowiadał dalej. Nagle zorientował się, że rozsądniej byłoby nie opowiadać o tym zbyt szczegółowo, i dodał: – Tak przynajmniej mówią ci, którzy widzieli bitwę osobiście.

– Ach, tak... – Chłopaczek wytrzeszczył oczy w zdumieniu.

– Uwierz mi: to, z jakiego kraju pochodzi rycerz, nie ma najmniejszego znaczenia, to samo dotyczy zresztą wszystkich ludzi – ciągnął Ian, wyrażając swoje głębokie przekonanie. – Prawdziwych bohaterów i podłych tchórzy znajdziesz w każdym państwie.

– Święte słowa – przytaknął Thomas Bull.

Zapadła cisza. Zdawało się, że chłopiec zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszał. Ian zerknął na niego ukradkiem, próbując odgadnąć myśli pogrążonego

w zadumie dziecka.

– Ale prawdą jest, że Francuzi już się wycofywali – zabrał w końcu głos Lisi Ogon. – Wracali na południe do Paryża, a to znaczy, że uciekali przed wojskiem cesarskim.

– A może szukali korzystniejszego miejsca do walki? O ile mi wiadomo, tylko połowa wojsk cesarskich stanęła do boju – odparł Ian.

– Nie ma o czym mówić, tym razem żabojady zasłużyły sobie na zwycięstwo – wtrącił się nieoczekiwanie Bull. – Ten ich król to przeklęty szczwany lis. Przebiegły z niego strateg: dobrze sobie przemyślał plan działania i nie dał się łatwo wystraszyć. I nawet jeśli kierował się na południe, to na pewno nie uciekał – musiał mieć jakiś pomysł. Może chciał zastawić pułapkę, a wojska cesarskie i Flamandczycy wpadli w nią jak banda idiotów i jeszcze naszych pociągęli za sobą.

– W waszych słowach słyhać doświadczenie – zauważył zaskoczony Ian.

– I mnie wojaczka nie jest obca. Byłem żołnierzem króla Ryszarda, walczyłem we Francji aż do dnia, w którym zginął. Potem uznałem, że bez niego nie warto wojować, a i już byłem nie najmłodszy – odparł lakonicznie drwal.

– A więc stanęliście przed królem Filipem na polu bitwy?

– Tak. I ja, i wszyscy moi towarzysze broni wiedzieliśmy, że to nie byle kto. Niektórzy z dowódców brali udział w krucjacie – jeszcze kiedy król Ryszard i Francuz byli druhami i sprzymierzyli się przeciwko innowiercom – no i opowiadali nam, jak tam było. Francuz był diabelnie dzielny i tylko ktoś taki jak Lwie Serce dałby radę przyćmić jego sławę. Gdyby wciąż panował nam król Ryszard, Francuzi tonęliby teraz we łzach, a nasze flagi powiewałyby nad Paryżem. – Mężczyzna potrząsnął głową. – A z takim lebiegą jak Jan nasi przegrali wszystko; i jedyne, co znają, to smak porażki.

– Naszym wcale nie brak odwagi! – zaprotestował Lisi Ogon.

– Mamy dobrych dowódców, ale niezbyt wielu – odparł Bull z goryczą. – A Jan porozrzucał ich po dwóch różnych frontach, jakby mu rozum odebrało. Z wojskami cesarstwa był wyłącznie William de Longespée, a w pojedynkę nie miał jak zaradzić tchórzostwu cesarza.

– Książę William, lord Salisbury, to mężny wódz – przyznał Ian, przypominając sobie dowódcę, którego miał okazję ujrzeć z daleka na polu bitwy. Był jednym z nielicznych, którzy z zimną krwią oczekiwali szturmowi żądnych zemsty Francuzów i którzy zdołali utrzymać pozycje, kiedy Otton IV uciekał w popłochu, porzucając własne wojska na pastwę losu. Tylko dzięki interwencji angielskiego księcia i jego rycerzy cesarz zdołał ujść z życiem z pola bitwy. Lord Salisbury walczył do ostatniej chwili, do momentu, w którym mogła czekać go tylko niewola albo śmierć – dokładnie tak, jak flamandzki książę Ferrand wraz ze swymi ostatnimi rycerzami – wśród nich byli Jerome Derangale i Geoffrey Martewall.

– Za swą odwagę William de Longespée zapłacił niewolą w rękach Francuzów. Przynajmniej Jan zachował się, jak należy, i zapłacił za niego okup, spiesząc jednocześnie z błaganiami o pokój do Delfina Francji. Trochę inaczej postąpił wiele lat temu ze swoim rodzonym bratem Ryszardem – burknął Bull.

„Tak, to prawda. William de Longespée to przyrodni brat Jana bez Ziemi” – przypomniał sobie Ian.

Zauważył, że w trakcie całej rozmowy Thomas Bull ani razu nie nazwał Jana królem czy Jego Wysokością. Z tonu jego wypowiedzi wyraźnie wynikało, że nie darzy obecnego suwerena Anglii szczególnym szacunkiem.

Lisi Ogon tymczasem wchłaniał łączywie każdy szczegół rozmowy i nietrudno było zgadnąć, że jego wyobraźnię wypełniają sceny bitew i rycerze w lśniących zbrojach.

– I ja bym chciał któregoś dnia wyruszyć na wojnę... – powiedział w końcu. – Chciałbym mieć miecz i...

– I co? Dowodzić wojskami? – wyśmiał go Bull. – Ktoś taki jak ty może co najwyżej być gońcem dla żołnierzy.

– ...albo chciałbym chociaż poznać prawdziwego rycerza – mówił dalej chłopiec, niezrażony. – Chciałbym zobaczyć walczących i zwyciężających honorowo rycerzy – mówiąc to, podniósł wzrok na Iana.

– Ja się zadowalam widokiem rycerzy na turnieju, to o wiele lepsze niż wojenne doświadczenia – odparł Amerykanin, z cichym poparciem Bulla. – W każdym razie życzę ci, byś mógł zaspokoić swoją ciekawość bez konieczności wyprawy na pole bitwy. Jesteś młodzieńcem i masz bardzo dużo czasu. Prędzej czy później spotkasz na swojej drodze rycerza, jestem tego pewien – dodał, starając się, by zabrzmiało to naturalnie.

Chłopiec nie powiedział nic więcej i w zamyśleniu bawił się swoim kijem, ciągnąc jego koniec po błotnistej drodze.

Ian coraz wyraźniej odczuwał zmęczenie. Rytm końskich kroków kołysał go jak do snu, a milczenie pozostałych podróżnych z pewnością nie pomagało mu zachować przytomności umysłu. Jego wierzchowiec szedł powoli obok wozu, instynktownie wyczuwając kierunek. Myśli młodzieńca powędrowały ku niepokojnym rozważaniom o przyszłości.

Musiał przede wszystkim sprawdzić, czy Daniel zdołał uciec poprzez *Hyperversum* i wrócić do domu. Uzyskawszy co do tego pewność, nie musiałby dłużej pozostawać w Dunchester, gdzie groziło mu rozpoznanie i uwięzienie. Mógłby wreszcie wyruszyć do Châtel-Argent i Isabeau.

Jeśli jednak Daniel nadal był w rękach Martewalla...

Ian wciąż nie wiedział, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Przez głowę przebiegały mu najróżniejsze przypuszczenia, pogłębiając jeszcze jego zmęczenie, aż

w końcu wszystko zmieszało się w pełną lęku płataninę, z której już sam nic nie rozumiał.

Otrząsnął się z zamyślenia, kiedy nagle poczuł szczypanie w gardle i oczach. Podniósł głowę i zorientował się, że stracił rachubę czasu; zdążyli przebyć spory kawałek drogi. Spośród zarośli sączył się przenikliwy zapach.

– To dym? – zapytał zaniepokojony Ian.

Również Thomas Bull spoglądał przed siebie ze stężałą twarzą. Lisi Ogon podniósł się i wychylił z wozu, patrząc na drogę.

– Co się pali? – zapytał Amerykanin z rosnącą obawą.

– Przed nami Aversly – odpowiedział Lisi Ogon.

Las robił się coraz rzadszy i zza drzew wyłaniały się dachy domów. Wioska położona była na szerokiej polanie. Składało się na nią kilka murowanych budynków – głównie baraków z drewna i kamieni. Widać było kilka stodół i stajni, ciemne plamy ogródków warzywnych, kilka drzewek owocowych i puste, ogrodzone poletki dla owiec i kóz.

Ian zrozumiał, że to tylko mała osada drwali i myśliwych.

W samym środku wioski płonął dom, a nad nim wysoko w zimne niebo wznosił się czarny słup gęstego dymu.

Rozdział 10



Zamczysko w Dunchester przygotowywało się na oblężenie.

„Nie, nie wierzę...” – powtarzał w myślach Daniel, wstrząśnięty.

Po kilkugodzinnej konnej podróży drużyna Martewalla dotarła do umocnionego grodu, zszedłszy ze szlaku wiodącego wzdłuż wybrzeża. Okrążyli osadę, trzymając się murów obronnych, i dotarli do głównej bramy wychodzącej na lasy.

W ten sposób Daniel mógł zauważyć, że zewnętrzny pas zabudowy, tworzący rodzaj półkolistej barykady i przecinający w połowie cypel, nie był jeszcze skończony: wieże wzniesiono jedynie do połowy, ich górną część w dalszym ciągu zakrywały szkielety rusztowań. Miejsce przy miejskich murach, w którym miała powstać fosa, było ledwo widoczne. Mury z kolei niewiele przewyższały dorosłego człowieka, wrota osady zaś sklecono z kilku kamiennych bloków ułożonych w łuk. Nie było jednak widać nikogo, kto kontynuowałby prace murarskie.

Osada najwyraźniej się rozbudowywała. Wewnątrz fundamentów obwarowań było sporo wolnej przestrzeni. Oprócz ściśniętej jak stado owieczek w jednym miejscu grupki chałup widać było szerokie pasy pustych i zielonych pastwisk. Ściany domów przyklejone były do wewnętrznych murów osady, okrążających potężną bryłę zamku.

Sama twierdza była imponująca – wrażenie dostojeństwa potęgowały ciężkie i wysokie walce frontowych wież.

Tam też krzątania zdawała się bardziej ożywiona – dziesiątki mężczyzn pracowały na blankach murów i samych wieżach, dźwigając i mocując drewniane osie belek.

Daniel zrozumiał, że cała siła robocza osady skupiła się na pracy przy wewnętrznych obwarowaniach, i bez trudu uświadomił sobie, jaka była przyczyna takiej taktyki. Zewnętrzne mury były w zbyt wczesnym stadium budowy, by dało się ukończyć je przed ewentualnym najazdem nieprzyjaciela – praca przy nich nie miała większego sensu. Dunchester najwyraźniej planowało skupić się na obronie twierdzy w samym sercu osady.

„Przed kim będą się bronić?” – Daniel zadawał sobie wciąż to samo pytanie, jednak odpowiedź nie nadchodziła.

Niewielka grupa jeźdźców pod dowództwem Martewalla wkroczyła do osady, przemierzając najpierw łąki otoczone pierwszym pasem fortyfikacji, a następnie

kierując się wzdłuż głównej ulicy wioski.

Poruszenie wśród mieszkańców narastało, w miarę jak rycerze zbliżali się do twierdzy. Wieśniacy, którzy jako pierwsi rozpoznali z daleka sztandar z czarnym lwem niesiony na lancy przez jednego z Flamandczyków, natychmiast rozpuścili wici. Wieść niosła się z ust do ust i wokół grupy podróżnych szybko rozległy się nawoływania dorosłych i pisk dzieci, które wybiegły z chałup i mknęły w stronę jeźdźców. W mgnieniu oka Martewalla i jego ludzi otoczył spory tłumek, pozdrawiający z wyraźnym wzruszeniem i ulgą swego pana, który powracał do domu.

Danielowi ludzie ci wydawali się wyraźnie zaniepokojeni i przestraszeni. Wzywali imię angielskiego barona jakby w prośbie o obronę przed czyhającym w pobliżu niebezpieczeństwem.

Martewall odwzajemniał wszystkie pozdrowienia, jego oczy uciekały jednak w stronę fortu i baszt, na których w pośpiechu uwijali się stolarze i robotnicy. W jego wzroku można było wyczytać, że ze wszystkich sił próbuje zrozumieć niecodzienną sytuację.

Zamek, zamknięty wewnątrz kamiennych umocnień, górował nad osadą z wysokości naturalnego wzniesienia. Brukowany podjazd umożliwiał wdrapanie się po osuwisku. Kończył się na poziomie zamku zwodzonym mostem, łączącym go z bramą twierdzy.

Martewall poprowadził swoich ludzi przez drewnianą konstrukcję i podwójne, umocnione wrota fortu, dodatkowo chronionego przez wieżę barbakanu. Tam przywitał ich szczerzy entuzjazm żołnierzy.

Wojowie w czarnych szatach wykrzykiwali imię swojego pana, wznosząc wysoko miecze i piki i skandując słowa powitania dla tych, którzy wracali z wojny po długich miesiącach nieobecności i niewoli. Martewall nie zatrzymał się na zewnętrznym dziedzińcu – jechał dalej, w stronę drugiej bramy warownej prowadzącej bezpośrednio do twierdzy. Przekroczył próg kompleksu zamkowego z centralnie umieszczonym, kwadratowym dziedzińcem wewnętrznym. Tam też grupa jeźdźców w końcu się zatrzymała.

Kilku służących podbiegło natychmiast, żeby chwycić za wodze konia angielskiego rycerza i jego kapitana. Żołnierze zeskakiwali z siodła.

Okna i drzwi zamku wychodziły na dziedziniec – do sal i komnat można było zajrzeć wyłącznie z wewnętrznego ogrodu twierdzy, w którym znalazło się miejsce na niewielkie poletko uprawne, klomby kwiatów i studnię. Tu również słudzy się uwijali, przenosząc worki i materiały budowlane.

Kompleks pałacowy był o wiele mniejszy i skromniejszy od Châtel-Argent, jednak w równym stopniu oddawał poczucie arystokratycznej dumy, jak zauważył Daniel, rozglądając się dookoła. Od wewnątrz zamczysko nie zdawało się już tak widmowe, jednak towarzyszące mu poczucie grozy nie ustępowało.

Ludzie Martewalla zsiadli z koni i Daniel był zmuszony do nich dołączyć. Podczas gdy słudzy odprowadzali wierzchowce w stronę stajni, żołnierze nie spuszczały z niego oczu. Hektor zaś spojrzał na swego pana pytająco, oczekując rozkazów względem więźnia. Jednak gdy tylko Martewall otworzył usta, chcąc go poinstruować, usłyszał nagły hałas dochodzący gdzieś z bliska. Pospiesznym ruchem ręki odwiódł kapitana od zadawania pytań i odwrócił się w stronę postaci, które pojawiły się w drzwiach zamku, wychodząc mu na spotkanie.

Daniel podążył za jego wzrokiem i ujrzał starszego człowieka podpierającego się drewnianą laską oraz dziewczynę, na oko dwudziestoletnią. Nadchodzili w ich kierunku na tyle szybko, na ile pozwalał wiek mężczyzny. Wspierał się na ramieniu swej opiekunki, przy czym widać było, że do przodu popychają go wzruszenie i ulga, wyraźnie malujące się na jego twarzy.

Daniel nie miał najmniejszych wątpliwości co do tożsamości nadchodzącej dwójki – sposób, w jaki poruszała się mężczyzna, którego włosy i broda pokryte były gęstą siwizną, przywodził na myśl dumną postawę rannego lwa, a do jego dostojnych szat, spiętych grubym rycerskim pasem, przyczepiono potężny miecz. Dziewczyna natomiast przypominała delikatną figurkę z cennej porcelany. Zarówno starzec, jak i paniątka byli tak uderzająco podobni do Geoffreya Martewalla, że nie sposób było kwestionować łączących ich więzów krwi.

– Ojczy! Leowynn! – wykrzyknął angielski rycerz i po raz pierwszy, od kiedy Daniel go poznał, jego głos przepełniony był wzruszeniem.

Starzec puścił ramię dziewczyny, by unieść dłoń w powitalnym geście, i zrobił kilka niepewnych kroków w stronę swego syna, który biegł mu naprzeciw. Objął go z całych sił wolną ręką i przez chwilę zdawał się bliski łez.

– Dzięki Bogu, wróciłeś – rzekł, usiłując się opanować. Wciąż z dłonią na ramieniu syna, odstąpił od niego na krok, by móc spojrzeć mu w oczy. – Wróciłeś – powtórzył. – Lękałem się, że będzie mi dane ujrzeć cię martwym, tak jak to się stało z twoimi braćmi.

– Żyję, ojczy – odparł Martewall z wyraźnym poruszeniem, po czym odwrócił się do dziewczyny, która właśnie do nich podeszła. Rzuciła mu się w ramiona, gdy tylko stary ojciec umożliwił jej to, usuwając się z drogi, i wybuchnęła płaczem.

– Geoffrey, nareszcie! Tak bardzo się o ciebie bałam!

Rycerz pocałował ją w czoło i pogłaskał po długich włosach w kolorze kasztanów.

– Co oni ci zrobili? – chlpała dalej dziewczyna, gładząc dłońmi twarz Martewalla. Była poruszona do granic możliwości i chciała się upewnić, że młody mężczyzna jest cały i zdrowy.

– Nic, czego nie mógłbym znieść, siostrzyczko – odparł rycerz, próbując ją uspokoić. Zamknął jej dłonie w swoich.

Dziewczyna z trudem powstrzymywała łkanie, oczy miała wciąż pełne łez.

– Ci przekłęci Francuzi! Myślałam, że zamordowali wszystkich moich ukochanych braci... Najpierw Richard, potem Peter... Lękałam się, że i ciebie spotkał ten sam los! „Robi się gorąco...” – pomyślał Daniel, coraz bardziej zdenerwowany. Nie spodziewał się, że rodzina Martewalla straciła dwóch potomków z rąk Francuzów.

To, że rycerz będzie chciał zemścić się za wszystkie przykrości, których doświadczył od znienawidzonego narodu, zdawało się niezwykle prawdopodobne. Zwłaszcza że na dobre pożegnał się z rolą „wieźnia Francji”.

W nagłym przebłysku rozpaczy Daniel przeklął *Hyperversum*, jej wynalazców i samą przygodę, w którą *t a c h o l e r n a g r a* znowu go teleportowała.

– To już koniec, Leowynn, nie myśl o tym więcej. Wystarczy już twoich łez – zwrócił się do siostry Martewall, ściskając mocniej jej dłonie.

Kiwnęła głową, wycierając mokre policzki i usiłując jednocześnie zrobić jak najbardziej pewną siebie i dostojną minę.

Geoffrey Martewall ponownie odwrócił się do swojego ojca i spojrzał na niego ponurym wzorkiem.

– Wczoraj odwiedziłem grób Petera. Dlaczego pochowaliście go w klasztorze zagubionym pośród lasów? Jego miejsce powinno być tam, gdzie spoczywa Richard.

Starzec potrząsnął głową.

– Taka byłaby wola Petera. Wiesz o tym, że gdyby to zależało od niego, pewnie złożyłby śluby klasztorne. Kiedy Richard zginął na wojnie dwanaście lat temu, Peter musiał podjąć obowiązki następcy pierworodnego, mimo że to właśnie życie zakonne było jego powołaniem. Teraz, kiedy i jego zabrała ta przekłęta wojna, chciałem uszanować marzenie, którego sam nie mogłem spełnić. Pociesza mnie to, że będzie spoczywał w ziemi tego samego klasztoru, w którym pragnął żyć, śpiewając pieśni na chwałę Pana.

Geoffrey Martewall milczał przez chwilę w zamyśleniu.

– Mieliście trzech synów, ojczcie. Teraz zostałem wam tylko ja – rzekł w końcu.

– I ciebie mogliśmy stracić przez te bezsensowne potyczki Jana bez Ziemi – przerwała dziewczyna z zapałem, po czym umilkła, widząc zaskoczony i surowy wzrok brata, świadoma, że powiedziała zbyt wiele.

– To ty odziedziczysz Dunchester – rzekł ojciec, zwracając się do rycerza. – Będiesz dobrym władcą, mimo że nikt nie nauczył cię, jak rządzić. Skąd miałbyś wiedzieć, że pewnego dnia przejmiesz obowiązki, które miały należeć do twych braci. Kiedy mnie już zabraknie, to na tobie spoczywał będzie honor wyprowadzenia naszych włości z mroków dzisiejszych dni ku lepszym czasom.

Daniel, choć stał dość daleko, był w stanie dostrzec, że Martewall z rosnącym napięciem analizuje znaczenie słów ojca. Coś wyraźnie go niepokoiło – chłopak domyślał się, że zastanawiają się nad tą samą kwestią. Dochodzące z daleka do ich uszu uderzenia młotów i brzęk narzędzi stolarzy wznoszących umocnienia zdawały

się podkreślać słowa „mroki dzisiejszych dni”.

– Co się dzieje, ojczy? – zapytał wreszcie młody rycerz. – Z jakiej przyczyny zamek przygotowuje się do bitwy? Któż nam teraz zagraża?

Stary pan na Dunchester uczynił szeroki gest dłonią, jak gdyby chcąc pokazać wszystkie ziemie pod swym panowaniem.

– Zagraża nam zima, bieda i głód – odparł, a w jego głosie zabrzmiała gorycz. – Nasi poddani żyją w nędzy, gdyż za swe ostatnie grosze musieli opłacić podatki. Zawczasu musiałem otworzyć pałacowe spichlerze, by nie pomarli z głodu, jednak zapasy mogą nie wystarczyć do wiosny. Nie pozostało nam ich zbyt wiele, ja zaś zdecydowałem, iż nie pozwolę zmarnować tej odrobiny, by oddawać bezduszne i bezzasadne trybuty na rzecz szaleńca, który nie zasługuje na koronę.

Na dźwięk ostatnich słów starca Danielowi opadła szczęka. Flamandzycy i kapitan Hektor wymieniali zdumione spojrzenia.

Geoffrey Martewall nagle znieruchomiał.

– Na wszystkich świętych, coście zrobili? – zapytał, lękając się usłyszeć odpowiedź.

– Odmówiłem płacenia kontrybucji na rzecz Jana bez Ziemi. Od dnia święta Narodzenia Pańskiego począłem przepędzać tych, co pojawiali się na naszych ziemiach, żeby wymuszać trybut – odparł twardo stary baron. – Ostatnich, którzy mieli czelność dotrzeć aż tutaj, by grozić mi w imieniu króla, poczęstowałem chłostą na powitanie. Uciekli, zwijając się z bólu, i od tamtej pory się nie pojawiają.

– Skazaliście na baty poborców podatkowych Jego Wysokości? – wykrzyknął Martewall, wstrząśnięty. – Zdajecie sobie sprawę, co może nam teraz grozić?!

Ojciec podniósł głowę. Na jego twarzy nie było widać lęku.

– Kiedy nadjadą wojska, będziemy gotowi stawić im czoło.

Geoffrey Martewall zrobił krok do przodu.

– Toż to już rebelia!

Leowynn odruchowo wyciągnęła ręce w stronę brata, chcąc go uspokoić.

– Nie wiesz, jak wyglądało życie tutaj, kiedy ty byłeś w niewoli. Poborcy zjawiali się co miesiąc, żądając pieniędzy. Nie pozostało nam już nic, jedynie gniew – usiłowała wyjaśnić, z bólem i wyraźną odrazą wobec działań króla. – Żeby móc zapłacić okup za ciebie, potrzebowaliśmy długich miesięcy. Wiedzieliśmy o twej niewoli, lecz nie mogliśmy kupić ci wolności. Zmuszeni byliśmy sprzedać ostatnie klejnoty należące do naszej matki... – Głos dziewczyny załamał się i opanowanie, które sobie narzuciła, ponownie zaczęło przegrywać z nadmiarem emocji na jej ślicznej twarzy.

– Już zapłaciłem swój własny trybut Janowi bez Ziemi: życiem dwóch mych synów i tym, że nieomal straciłem trzeciego – przerwał jej rozgoryczony, stary baron. – Zapłaciłem cierpieniem mych ludzi, którzy musieli znosić groźby i prześladowania

wysłanników króla. Widziałem, jak plądrują moje lenno. Teraz ten monarcha, niegodny swego tytułu, nie dostanie ode mnie nic prócz stali mych mieczy i grotów mych strzał. Dunchester już dość przez niego wycierpiało.

– Ależ w ten sposób skazujecie Dunchester na zagładę! – odparował Martewall z furią. – Król przyśle tutaj całe swe wojsko!

Daniel rozejrzał się dookoła, zerkając na niewielki gmach dworu i wciąż nieskończony pas zewnętrznych murów. Poczuł, że oblewa go zimny pot.

W starciu z wojskiem nie dawał tej twierdzy wiele czasu. Młody Amerykanin nie potrafił wypędzić z wyobraźni obrazu żołnierzy Jana bez Ziemi, którzy pokonują obwarowania i wpadają do miasta, bezlitośnie wyrzynając wszystkich tych, którzy stanęli im na drodze. Łącznie z ewentualnym rycerzem francuskim, zamkniętym akurat w tutejszych lochach.

– Nie boję się jego oddziałów, nie pozostał w nich już nikt wartościowy po tym, jak nasi najdzielniejsi wojowie oddali życie w bezsensownych walkach we Francji – ciągnął angielski baron. – Tylko ci odrażający najemnicy zasilają jego szeregi. Zresztą oni także opłacani są z tego, co królowi uda się na nas wymusić. To my zapłaciliśmy za jego klęski bitewne, to my zapłaciliśmy za jego bezmyślne decyzje polityczne, a teraz płacimy zbirom, którzy przybywają, by zastraszyć naszych poddanych. Po wsiach ten, kto nie jest w stanie uiścić podatku, dostaje srogie baty. Jeśli sytuacja się powtarza, podpalają mu chałupę. Nasz autorytet na nic się nie zdaje, a nasi wojowie nie mogą w żaden sposób reagować na zbójckie procedury poborców: muszą uznać ich zwierzchnictwo. Jesteśmy sługami we własnej ojczyźnie z winy nieudolnego i tchórzliwego suwerena, który doprowadził do klęski naszych wojsk i okrył nas niesławą ucieczki.

– Starczy tych obelg, nasłuchałem się już dość! Król Jan nie jest tchórzem ani żaden z angielskich żołnierzy nie zhańbił się w bitwie! – wybuchnął Martewall. – To Cesarstwo opuściło pole bitwy, nie Anglicy! Nikt z naszych nie uciekł!

– Być może we Flandrii, bo tam to nie król wydawał rozkazy. Ale już w Anjou i wzdłuż całej południowej linii frontu to sam Jan bez Ziemi jako pierwszy nakazał opuścić broń. Zarządził odwrót przed księciem Ludwikiem i w ten sposób poświęcił życie wielu naszych rycerzy, którzy osłaniali jego ucieczkę. Brat twój, Peter, był jednym z nich. Zwrócili go nam w całości.

Martewall zamilkł na kilka chwil, przecierając dłonią twarz. Próbował się uspokoić.

– Ta historia to obłąd – powiedział w końcu drżącym głosem. – Nie możecie wystąpić przeciwko monarchii w pojedynkę. Opamiętajcie się, na miłość boską, i błagajcie króla o przebaczenie. W przeciwnym razie wszyscy zginiecie.

– Zważaj na swoje słowa: jestem twym ojcem i należy mi się szacunek – skarcił go starzec surowym tonem.

Martewall zmitygował się i powstrzymał od dalszych komentarzy.

– Nie jestem sam. Wszyscy tutaj podzielają moją opinię – ku jego zaskoczeniu ojciec ciągnął dalej. – Rozmawialiśmy o tym i podjęliśmy decyzję: albo król ograniczy swoje roszczenia, albo będziemy walczyć o to, by ustąpił.

Martewall wytrzeszczył oczy.

– Wszyscy... to znaczy kto? – zapytał ogłupiały.

– Wszyscy baronowie. Zebraliśmy się w mieście Bury Saint Edmunds jeszcze przed Bożym Narodzeniem i wysunęliśmy postulaty. Jan bez Ziemi musi udzielić nam należnych przywilejów i przestać obciążać nasze lenna podatkami, których nie sposób płacić, albo nie pozwolimy mu utrzymać się przy władzy.

– Zdrada! – wypowiedzenie tego słowa zajęło Martewallowi kilka chwil. – Odważyliście się spiskować przeciwko waszemu królowi!

Oskarżenie nawet w najmniejszym stopniu nie ubodło ojca.

– Zdrady dokonuje się pod osłoną nocy, a my działaliśmy w blasku dnia – odrzekł. – Oficjalny dokument z naszymi żądaniami został przedstawiony królowi. Domagamy się spełnienia obietnic złożonych nam przez jego poprzedników, króla Stefana i Eryka, i przywrócenia władzy i przywilejów, które odebrał nam siłą.

– A jeśli się na to nie zgodzi?

– Wtedy odbierzemy mu insygnia władzy, nawet jeśli musielibyśmy zrobić to własnymi rękoma. Jak dotąd zostaliśmy przez niego zlekceważeni, nikt z nas jednak nie przeszedł jeszcze od słów do czynów. Gdybym musiał posłużyć innym za przykład i zrobić pierwszy krok, nie ustąpię.

– N i e!!! – Martewall prawie krzyczał. – Nie pozwolę wam na nic podobnego! Złożyłem przysięgę wierności wobec króla tak samo jak i wy, w naszej rodzinie nie będzie zdrajców ani spiskowców!

Młodziutka Leowynn zadrżała, widząc gniew starszego brata, stary ojciec zwrócił się jednak do syna z niezachwianą stanowczością:

– Przysięgałem wierność wobec angielskiego tronu, a nie wobec szaleńca, który tron ten chce zrujnować i zhańbić.

Geoffrey Martewall zacisnął pięści.

– Ja, Richard i Peter walczyliśmy pod sztandarami tego króla, a wy, chcąc obalić tego, kto był nam dowódcą, sprawiacie, że śmierć mych dwóch braci i wysiłek, który włożyłem we wszystkie bitwy, może pójść na marne.

– Moi synowie nie walczyli o to, by ich ojczyznę dotknęło poniżenie, by ich dom obdarty został ze wszelkich dóbr i by ludzie, którymi mieli rządzić i których mieli chronić, zostali zakuci w łańcuchy niewolnictwa – odparł stary baron, cedząc powoli słowa. – Czy z czystym sumieniem możesz rzec, że twój król zasłużył na całe to poświęcenie, które mu ofiarowałeś? Czy śmierć twych braci i twoja niewola we francuskich okowach przysłużyła się czemukolwiek? Spójrz, jak Anglia ubożeje: Jan

roztrwonił wszystko to, co zdobyli jego brat Ryszard i ojciec jego Eryk. Teraz nasz lud umiera z głodu i jest obiektem francuskich kpin. Król nie dorównuje swym przodkom w najmniejszym stopniu i przez to nie zasługuje na wierność.

Martewall trząsał się ze wzburzenia.

– Nie odstąpię od mojej przysięgi, nawet jeśli człowiek, któremu ślubowałem, miałby na nią nie zasługiwać. Nie zdradzę mego rycerskiego honoru i nie stanę przeciwko monarchii! Jeśli zechcecie upierać się w swym nieposłuszeństwie, nie znajdziecie we mnie przyjaciela.

Wszyscy obecni, w tym Daniel, wstrzymali oddech, gdy padły słowa tej wściekłej groźby. Wszyscy z wyjątkiem pana na zamku, który z nadspodziewaną siłą uderzył końcem swej laski w zamkowy dziedziniec.

– Pozostaniesz u mego boku i będziesz mi posłuszny, gdyż jest to twój obowiązek. Pierwszą twoją przysięgą rycerską było chronić słabszych i prześladowanych: nie porzucisz swoich poddanych, żeby służyć tyranowi, który osłania się najemnym wojskiem, za które płaci chlebem odebrany od ust swojego ludu. Ich życie ma większą wartość niż twoja duma.

Wśród zgromadzonych zapadła pełna napięcia lodowata cisza – ojciec i syn, obaj zaciskając pięści, mierzyli się spojrzeniami. Wszyscy spoglądali na Geoffreya Martewalla w oczekiwaniu na jego reakcję i rycerz w końcu musiał zdać sobie sprawę z zaniepokojonego wzroku rycerzy, ponieważ odwrócił się do nich, poirytowany.

W tym właśnie momencie zrozumiał, że więzień był świadkiem całej konwersacji i nie umknęło mu z niej nawet jedno słowo. Płomienna dyskusja pochłonęła go do tego stopnia, że zupełnie o nim zapomniał, odsłaniając wszystkie swoje słabe punkty w tak bardzo niezręcznej sytuacji.

Daniel zorientował się, że na tę myśl rycerz poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg.

– Zabierzcie go stąd! – nakazał Martewall swoim ludziom, wskazując więźnia zniecierpliwionym gestem. – Ma stąd natychmiast zniknąć!

Na dźwięk słów dowódcy Flamandczycy prawie podskoczyli i natychmiast zabrali się do wykonania rozkazu. Jeden z nich złapał Daniela za ramię, ale ten wywinął się, podejmując nagłą próbę oporu. Usłyszał słowa starego barona:

– Kim jest ten człowiek, Geoffrey? Dlaczego jest twoim więźniem?

– Pozwól mi odejść, Martewall! – wykrzyknął Daniel, desperacko stawiając wszystko na jedną kartę. – Masz już wystarczająco dużo problemów, po co chcesz ściągać na siebie kolejne? Wiesz dobrze, co się stanie, kiedy mój pan powróci do domu, a później stanie przed tobą, by żądać mojego uwolnienia!

„Ian nie ma najmniejszego pojęcia, że wciąż tutaj jestem i nawet nie przyjdzie mu do głowy mnie szukać” – pomyślał jednocześnie z rozpaczą. Miał jednak nadzieję, że blefując, wyrze na rycerzu na tyle silną presję, by przekonać go do odstąpienia od

planów względem więźnia.

Martewall był jednak tak wściekły, że nie trafiały do niego żadne argumenty.

– Hektor, powiedziałem ci przecież, że masz go stąd zabrać! – warknął.

Kapitan chwycił Daniela i z pomocą drugiego żołnierza zaciągnął w kierunku bocznej ściany dziedzińca.

– Pożalujesz tego! – zagroził wleczony przez zbrojnych Amerykanin, odwracając się w kierunku Martewalla. – Pozwól mi odejść, póki jeszcze możesz to zrobić!

Jego opór nie zdał się na nic.

Martewall odwrócił się w stronę ojca i siostry i nawet z daleka Daniel zrozumiał, że stanowczo uciał niewygodne pytania dotyczące więźnia wymijającą odpowiedzią.

Amerykanina popchnięto w stronę drewnianych drzwi, a następnie poprowadzono w dół, w ciemność, po stromych schodach rozświetlonych jedynie przez drżący płomień pochodni, którą kapitan Hektor niósł przed sobą, żeby oświetlić wąski korytarzyk.

Daniel od razu zrozumiał, dokąd się kierują. Przez całą podróż przygotowywał się na chwilę, która właśnie nadeszła, a mimo to lochy zamku Dunchester zrobiły na nim ogromne wrażenie. Przypominały ciąg katakumb – czuł, że brakuje w nich powietrza, a co gorsza, po chwili znaleźli się przed imponującą konstrukcją z metalowych krat, stanowiącą jedną ze ścian przestronnej i prawie całkowicie pustej celi. Na jej środku wznosiła się kolumna, w rogu rzucono kilka wiechci słomy, w głębi zaś, dokładnie naprzeciwko wejściowej kraty, na ścianie zamocowano przerażające łańcuchy. Hektor oswobodził ręce Daniela z więzów, po czym wepchnął go do środka, nie odzywając się ani słowem.

Kiedy wrota z brzękiem zatrzasnęły się za jego plecami, a strażnicy się oddalali, zabierając ze sobą jedyne źródło światła, Daniel poczuł, że oto został pogrzebany żywcem.

Zaczerpnął w płuca powietrza, w obawie przed atakiem paniki, który mógłby odebrać mu oddech. Usiłował przyzwyczać się do mroku rozproszonego jedynie przez słabiuteńki blask sączący się przez szparę wykutą w ścianie naprzeciwko wejścia do celi, na wysokości sufitu, kilka łokci ponad nim.

Musiała być jakaś droga ucieczki z tego miejsca. Musiała.

Perspektywa czekania na śmierć w kamiennej klatce była zbyt przerażająca. Obawiał się, że popadnie w obłęd, jeśli tylko nie zajmie swoich myśli czymś innym.

Chłopak nasłuchiwał przez kilka chwil. Miejsce, w którym go zamknięto, wydawało się zupełnie opuszczone – nie dochodziły do niego żadne dźwięki, poza dalekim echem wpadającym przez szczelinę przy suficie.

– Halo, jest tu ktoś? – zawołał Daniel.

Żaden odzew nie nadszedł.

Najwyraźniej był tutaj jedynym więźniem i przez chwilę wahał się, czy wziąć to za

dobrą czy złą monetę. Z jednej strony puste lochy mogły pozostawiać nadzieję, że pan na zamku nie należał do ludzi, którzy przetrzymują zakładników dla własnej przyjemności, ale z drugiej mogło oznaczać, że z ewentualnymi więźniami rozprawiano się bez większych ceregieli. Ta druga możliwość sprawiła, iż Daniel poczuł, że konieczność obmyślenia planu ucieczki staje się coraz bardziej nagląca.

– Wyjście awaryjne – powiedział, unosząc do góry rękę. Jak mógł się spodziewać, nic się nie wydarzyło – *Hyperversum* zdawało się nie odpowiadać na polecenie.

„Naiwniaku...” – pomyślał chłopak.

W półmroku celi kilkakrotnie uważnie przestudiował każdy jej kąt – nie znalazł jednak nic, co mogłoby okazać mu się przydatne. W lochu nie było ani jednego przedmiotu, który ułatwiłby mu w jakikolwiek sposób ucieczkę. Oprócz niezbędnego minimum, służącego zaspokojeniu najbardziej prymitywnych potrzeb więźnia, nie było tam niczego.

Na jego twarzy pojawił się sarkastyczny grymas – w produkcjach kinowych bohater zawsze znajdował jakiś niesłychany sposób, by wydostać się z więzienia, w którym został zamknięty – mógł to być cudownie odnaleziony miecz lub jakieś chemikalia, które po odpowiednim zmieszaniu pozwoliłyby mu wyprodukować proch metodą chałupniczą.

„Chyba mam nadzwyczajnego pecha...” – pomyślał Daniel i jednocześnie sam się skarcił. – „Zaraz, chwileczkę! Podobno z wykształcenia jestem fizykiem, przez lata studiowałem temat pierwiastków. Może ta wiedza pomoże mi się chociaż stąd wydostać!”

Pomimo jego gniewu sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna – aż wreszcie, po sprawdzeniu każdego centymetra celi, Daniel znalazł się w punkcie wyjścia – stał uczepiony krat, czując bezsilność i przerażenie.

Dowleknął się do słomianego legowiska w kącie i usiadł, obejmując kolana ramionami. Było mu zimno.

Jego myśli błądziły daleko. Co chwila zastanawiał się, gdzie też może się znajdować Ian. Niestety, gdziekolwiek by był i cokolwiek by w tej chwili robił, nie mógł mieć pojęcia o tym, co działo się z Danielem. Być może już nigdy nie będzie mu dane poznać prawdy.

Daniel miał mimo wszystko nadzieję, że Ian jest cały i zdrow i że zdołał opuścić Anglię przez nikogo niezauważony, by móc wrócić do swej Isabeau. „Przynajmniej jeden z naszej dwójki powinien ująć z życiem z tej idiotycznej przygody” – pomyślał, lecz chwilę później, w przebłysku nagłej dumy, zmienił zdanie. „Mnie też się uda, będę walczyć, tak jak walczyłem zawsze” – dodał.

Niejeden raz przeżywał już podobny koszmar, a przecież dawał radę, mimo że był młodszy i mniej doświadczony.

„Ale wtedy nie byłem zdany sam na siebie” – dotarło do niego chwilę później

i z trudem powstrzymał się, by nie zadrzeć z przerażenia.

Czekała na niego cała rodzina, jego brat, rodzice, jego przyszła żona. Myśl o Jodie podniosła go na duchu i dodała mu sił. Postanowił się nie poddawać, wytrwać aż do końca.

Klamka zapadła. W jakiś sposób musiał się wydostać z tej klatki i miał zamiar wyjść z niej żywy. Zacisnął pięści. Coś mu podpowiadało, że przeżyje i że wcześniej czy później uda mu się uruchomić grę. Nie wiedział jak, ale był pewny, że musi mu się udać.

„Jodie, przysięgam ci, że wrócę do domu” – powtarzał sobie bezustannie. Słabe światło przedostające się przez szczelinę gasło powoli, zdławione przez nadchodzący wieczór.

Rozdział 11



Upiorny bezruch zawisł nad Aversly. W wąskich uliczkach pomiędzy domami skleconymi z pni i trzciny, bezładnie wyrosniętymi na polanie jak grzyby po deszczu, nie było śladu żywej duszy – ani ludzi, ani zwierząt. Jedynym ruchomym elementem był potężny słup dymu, który bił w niebo z budynku przysłoniętego przez inne zabudowania.

Ian momentalnie poczuł, że jego instynkt nakazuje mu ostrożność: sytuacja mogła być niebezpieczna. Coś podpowiadało mu, że pożar nie wybuchł przypadkowo.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie jego obaw, Bull wymamrotał sam do siebie półgłosem:

– Przekłęci! Znowu tu byli!

– Co się dzieje? – zapytał Ian, a jego prawa dłoń automatycznie powędrowała w stronę rękojeści miecza ukrytego pod płaszczem.

– Lepiej, żebyście nie rzucali się zbytnio w oczy – uprzedził go Bull, kątem oka zauważywszy jego gest. – Nic wam nie zrobią, jeśli będziecie trzymać się od nich z daleka.

– Przyszli po pieniądze, jak zwykle – powiedział Lisi Ogon i stanął na wozie, na próżno usiłując dojrzeć, co dzieje się w oddali. Mężczyzna uciszył go surowym gestem.

– Uważaj, dzieciaku. Taki złodziejaszek jak ty powinien teraz siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

– Ja wcale nie kradnę! – zaprotestował chłopczyk, czerwieniąc się jednocześnie od czubka nosa po same uszy.

Bull skierował wóz na jedną z bocznych uliczek, by okrążyć zabudowania i nie wjeżdżać do centrum miasteczka.

Ian podążał za nim konno, czując narastające napięcie. Zaczął docierać do niego zgiełk ludzkich głosów, dochodzący z miejsca, w którym unosił się dym – nie był jednak w stanie rozróżnić słów ani określić liczby zgromadzonych osób.

Bull jechał jeszcze chwilę przed siebie, po czym skręcił pomiędzy domostwa, aż w końcu zatrzymał wóz obok drewnianej budowli. Chałupa była prymitywna i niestarannie zbudowana – miała jedno piętro, na którym wydzielono najwyżej dwie izby, jak można było wnioskować po liczbie okien. Słomiany dach przechodził

w rodzaj ganku, pełniącego również funkcję szopy, w której składowano drewno na opał – chroniono w ten sposób równo pocięte pieńki przed deszczem. Znalazło się tam miejsce również dla muła.

Drwał zsiadł z wozu i odwiązał zwierzę. Lisi Ogon zeskoczył na ziemię i rzucił się biegiem pomiędzy domostwa, kierując się w stronę miejsca zamieszania.

Ian również zsunął się z siodła i przywiązał swego wierzchowca do pala wspierającego zadanie drewnutni. Nie przestawał spoglądać w kierunku, w którym zniknął chłopczyk.

Bull przywołał go gestem ręki.

– Zobaczmy i my, co się tam dzieje – rzekł ponuro.

Sceny, które rozgrywały się w centrum niewielkiej osady, były dla Iana ogromnym zaskoczeniem.

Zabudowania Aversly tworzyły pierścień otaczający niewybrukowany plac, na którego środku była studzienka. Od placu rozchodziły się promieniście wąskie ścieżki, umożliwiające przemieszczanie się pomiędzy chałupami.

Wszyscy mieszkańcy stłoczyli się w nieruchomy i przerażony tłum w jednym krańcu placu. Pasterze, leśnicy, myśliwi, ciżba biedaków ubranych w zgrzebne szaty i przyzwyczajonych do ciężkiej pracy – razem przynajmniej sześćdziesięcioro nieszczęśników obserwowało całe zajście.

Naprzeciwko miejsca, w którym stał Ian, płonęło obejście. Chałupa była prosta – podobna do tej, w której mieszkał Bull. Na przylegającym do niej zdeptanym podwórku widać było stertę desek, która kiedyś była pewnie kurnikiem. Martwe ptactwo, zrzucone na kupę, stygło obok fontanny.

Grupka czterech mężczyzn patrzyła na wszystko z boku ze stoickim spokojem. Chociaż nie mieli na sobie wojskowych uniformów, byli uzbrojeni – jeden z nich dzierżył w ręku obnażony miecz i spoglądał na wieśniaków z szyderym uśmiechem, jak gdyby chcąc sprowokować kogoś do wystąpienia z szeregu. Dwóch pozostałych wlekło siłą mężczyznę ubranego w samą koszulę w stronę studni – tam czekał na nich czwarty kompan.

Kilka kroków od płonącej chałupy stała kobieta. Zanosila się rozpaczliwym szlochem, a jedną ręką przytulała do siebie uczeplone jej spódnicy dziecko, na oko dziesięcioletnie.

Ian w mgnieniu oka zrozumiał, czego jest świadkiem. Jeden szczegół tej okrutnej sceny przyciągnął jego spojrzenie jak magnes: zbrojny stojący obok studni trzymał w ręku bicz.

Dreszcz przeszył jego mięśnie, a dłoń znów bezwiednie powędrowała w stronę miecza. Jego palce boleśnie zacisnęły się na rękojeści.

W ostatniej chwili z trudem się powstrzymał – przygryzł usta aż do krwi, w myślach odtwarzając klatka po klatce wspomnienie okrutnych tortur, których

doświadczył osobiście. Ten koszmar nie opuścił go ani przez chwilę, wciąż budząc go w nocy i wypełniając ślepym gniewem, który nie osłabł ani trochę pomimo upływu lat.

Ian usiłował głęboko oddychać, aby uspokoić szalone bicie serca, którego uderzenia wybrzmiewały mu w uszach jak młot. Musiał nad sobą zapanować, nie mógł sobie pozwolić na nierozważne posunięcia, nie mógł rzucać się w oczy, powtarzał to sobie raz za razem. Zrozumiał jednak, że będzie potrzebował całej siły woli, by temu sprostać.

Tłum wieśniaków patrzył na przedstawienie z lękiem, nie ważąc się na najmniejszy sprzeciw, wyraźnie zastraszone przez zbrojnych, którzy przejęli całkowitą kontrolę nad placem.

Człowiek błagał swych oprawców o litość.

– Dajcie mi tylko jeszcze jeden dzień. W tym miesiącu nie udało mi się nic zarobić, a musiałem jakoś wyżywić rodzinę – jęczał. – Przysięgam wam, że jakoś zdobędę te pieniądze, może pojutrze, zaraz po dniu targowym w Glenhaven.

– To samo mówiłeś w zeszłym miesiącu, nierobie! A teraz znowu musieliśmy się fatygować aż tutaj, żeby przypomnieć ci o zapłacie! – odparł mężczyzna z biczem. W jego angielskim słychać było wyraźnie obcy akcent. – Tym razem nauczysz się dotrzymywać terminów. Już dość nam zalazłeś za skórę.

Nieszczęśnik został popchnięty w stronę studni, po czym przywiązano go do jednego z drewnianych pali podtrzymujących konstrukcję. Towarzyszył temu zaniepokojony pomruk cizby, zmieszany z przejmującym łkaniem żony i dziecka.

– Przeklęte bandziory! – wymamrotał Thomas Bull, stojący obok Iana. W jego niskim głosie pobrzmiwała wściekłość. – Żyją za pieniądze, które wydzierają nam co miesiąc, jakbyśmy byli stadem dojnych krów! Już dość mamy problemów, a jeszcze musimy podporządkować się tym zagranicznym krwiopijcom!

Ian nie mógł oderwać oczu od zbrojnych.

Bandziory, krwiopijcy, jak nazwał ich Bull, zgraja półgłówków zdolnych panoszyć się jak stado gęsi tylko dlatego, że byli silniejsi. Łupieżców takich jak oni zawsze było pełno, niezależnie od miejsca czy epoki.

Ian czuł, jak narasta w nim złość.

– Dlaczego nikt nic nie robi? – zapytał, zmuszając się, by nie podnosić głosu.

– A co moglibyśmy zrobić? – odparł gorzko drwal. – Nikt z nas nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić za naszego kuma.

– Powinniście wezwać żołnierzy z miasta, a nie płacić haracz z opuszczoną głową! – wykrzyknął Ian zduszonym głosem.

Bull pokręcił głową.

– Żołnierze nie dotrą do tej dziury w samym środku lasu. A nawet gdyby tu dotarli, nie pomogą nam.

– To niemożliwe! – Ian czuł, że zbliża się do granicy wytrzymałości.

– Nawet gdybyśmy spróbowali się opierać albo donieść na nich, jutro zjawi się ich tu tylko więcej, żeby puścić z dymem całą wieś.

– Tak przecież nie można żyć! – odparł Ian, wzburzony.

Bull powoli przytaknął.

– Nie. Tak nie można żyć – przyznał. – To nie jest życie. To niewolnictwo.

Zbrojni obcokrajowcy skończyli tymczasem krępować więźnia, zmuszając go, by objął rękoma słup i wystawił plecy na uderzenia biczem.

– No, przestańże biadolić! – wyśmiał go ten, który trzymał narzędzie tortur, przysuwając się do niego. – Zachowuj się, jak na mężczyznę przystało, bo następnym razem przyjdziemy odebrać nasze należności od twojej żony!

Jego towarzysze parsknęli śmiechem, ruszając w stronę sterty martwego drobiu. Zebrali ptactwo leżące na ziemi, wrzucili je do płóciennych worów i umieścili na grzbiecie stojącego nieopodal jucznego muła. Zwierzę, przywiązane tuż obok czterech koni o misternie zdobionych uprzężach, było obciążone już sporą ilością dóbr – najprawdopodobniej łupem zebranych z kilku okolicznych wiosek.

Obcokrajowiec z biczem rozdarł koszulę na plecach swojej ofiary, po czym zrobił krok w tył.

Ian ujrzał biegnące wzdłuż kręgosłupa mężczyzny blizny, których nie sposób z niczym pomylić. Były świeże, dopiero co zasklepione. Przypomnienie o upływie terminu z poprzedniego miesiąca.

Dla Iana takie blizny wyglądały niezmiernie znajomo. Identyczne rany na jego plecach były świadectwem bólu i upokorzenia, które towarzyszyły ich powstaniu.

Wszystko w nim zawrzało z gniewu.

– Niech będzie to przestroga dla wszystkich tych, którzy spóźniają się z opłatą! – zwrócił się donośnym głosem w stronę tłumu uzbrojony mężczyzna, rozwijając bicz.

Jego ramię uniosło się, jednak nie opadło. Znalazł się twarzą w twarz z Ianem, który chwycił go za nadgarstek.

– Odłóż ten bat, bydlaku, albo zrobię z niego użytek i powieszę cię na pierwszym lepszym drzewie – wysyczał przez zęby Amerykanin do osłupiałego obcokrajowca i przytrzymując go za ramię, pchnął go łokciem w brzuch. Zbrojny zgiął się w pół i osunął na ziemię ze zduszonym okrzykiem bólu.

W jednej chwili Ian wyrwał mu z rąk bicz i rzucił go w błoto, po czym obrócił się wokół własnej osi i wyciągnawszy miecz zza pasa, wymierzył go w stronę trzech pozostałych poborców. Mężczyznę przy studni zasłonił własnym ciałem.

– Powiedział wam, że nie ma pieniędzy, rozumiemy się?

Cała trójka, zaskoczona nagłą odsieczą, nie była w stanie zareagować odpowiednio szybko. Najwyraźniej ostatnią rzeczą, której mogli się spodziewać, była groźba ze strony ich ofiar, dlatego zajęło im kilka sekund, nim zrozumieli, że naprawdę zostali

wyzwani na pojedynek.

– Jak śmiesz, wieśniaku? – wrzasnął jeden z nich. Zdażył już chwycić za broń i wystąpił przed pozostałych.

Ian był przygotowany na jego ruch i zrobił błyskawiczny unik. Zaatakował z boku, natarł na przeciwnika i zmusił go, żeby cofnął się o kilka kroków.

Zdawało się, że wszystkie jego rycerskie umiejętności rozbudziły się w nim na nowo i, choć przez długi czas pogrążone były w głębokim letargu, nigdy tak naprawdę nie zniknęły. Ian nie musiał myśleć o ruchu miecza, jego ciało reagowało posłusznie i zwinnie, mimo lat zaniechanych ćwiczeń. Miecz lśnił złowrogo w zimowym słońcu.

Przeciwnik Iana był od niego niższy, nieporadny, a przede wszystkim nie miał w sobie wściekłości, która przepęłniała Amerykanina. Ian dosięgnął go prawie od razu, najpierw celując w jego bok, potem w ramię. Rozbroił go i kopniakiem powalił na ziemię. Mężczyzna potoczył się prawie do stóp zgromadzonych, którzy cofnęli się o krok, szemrzając z poruszeniem.

Ian usłyszał ruch za plecami i błyskawicznie się odwrócił. Drugi z nieprzyjaciół usiłował zejść go od tyłu, widząc jednak, jak jego przeciwnik posługuje się mieczem, stracił nieco ze swojej pewności siebie. Ian z furią odparł jego cios, natarł na niego i dosięgnął go ostrzem. Ze zdławionym okrzykiem cudzoziemiec zachwiał się i odskoczył na bezpieczną odległość, by zaczerpnąć tchu.

Ian znalazł się naprzeciw kolejnego z oprawców.

– Jeszcze wam nie wystarczy?! – krzyknął mu prosto w twarz. – Znikajcie stąd i nie pokazujcie się już nigdy więcej!

Powietrze przeciął nagły świst. Nieprzyjaciel wydał z siebie okrzyk bólu i upadł na plecy. Krew z rany szybko zalewała mu twarz.

Ian spojrzał szybko przez ramię i ujrzał Lisiego Ogona skradającego się pomiędzy nogami ciżby. W rękę trzymał procę zrobioną z długiego paska skóry i szukał na ziemi kolejnego kamienia, który mógłby wykorzystać.

– Spadajcie stąd, bydlaki! – wykrzyczał zuchwale w stronę katów. – Wynocha albo jeszcze popamiętacie!

Jego okrzyk był sygnałem, na który cała wioska otrząsnęła się z pełnego przerażenia bezruchu. Mieszkańcy zaczęli wyrzaskiwać obelgi w kierunku uzbrojonych cudzoziemców, początkowo ograniczając się do wymachiwania pięściami w powietrzu. Potem posypały się kamienie.

– Cofnijcie się, żebraki! Jak śmiecie?! – rzucił jeden ze zbrojnych, potrząsając mieczem w kierunku ciżby, w jego głosie nie było już jednak wcześniejszej zuchwałości. Przestraszył się, a tłum natychmiast to wyczuł. Rzucane przekleństwa stawały się coraz groźniejsze. Mężczyzna, otaczony zewsząd złowrogimi spojrzzeniami, wymachiwał mieczem to w prawo, to w lewo, nie wiedząc, w którą

stronę się obrócić.

Ian podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

– Słyszałeś, co mówią? Macie stąd odejść i nigdy więcej nie wracać – wycedził z furią i wycelował w niego ostrze, zmuszając cudzoziemca, by dołączył do swoich kompanów.

Grupa zbrojnych wycofywała się, zachowując bezpieczny dystans od rozjuszonego tłumu, który otaczał ich coraz ciaśniejszym pierścieniem. Miesiące wyzysku doprowadziły wieśniaków na skraj wytrzymałości. Część mężczyzn chwyciła w ręce kije. Oprawcy zdawali się coraz bardziej przerażeni – dochodziło do nich, że oto wpadli w pułapkę. Jeden z nich zaczął na oślep młócić powietrze mieczem i w ataku paniki popełnił niewybaczalny błąd.

Barczysty pasterz, uzbrojony w sękaty kij, zrobił o jeden krok za dużo. Cudzoziemiec zareagował impulsywnie i zatopił w nim ostrze. Mężczyzna, przebity mieczem, zachwiał się i upadł z krzykiem; jego tunika szybko nasiąkała krwią.

– Nie! – wykrzyknął Ian, jednak jego głos przepadł w ryku wściekłości, który wydarł się z gardeł tłumu mieszkańców.

Ludzie rzucili się przed siebie. Zbrojny bronił się przez chwilę. Na próżno. Po kilku sekundach został dosłownie pochłonięty przez morze rąk, ciał i nóg, znikając pod gradem uderzeń tłumu.

– Przestańcie! – zarządził Ian. Jednocześnie stracił jednak z pola widzenia trzech pozostałych zbirów.

Zdażył jedynie kątem oka uchwycić nacierającego z boku nieprzyjaciela i zasłonić się lewym ramieniem. Poczul dotkliwy ból i zawył – bicz owinął mu się wokół ręki poniżej łokcia. Udało mu się zareagować na czas i chwycić za pas grubej, plecionej skóry, unieruchamiając nieprzyjaciela, który trzymał drugi koniec bata. Ten, widząc na twarzy Iana mieszankę obrzydzenia, gniewu i nienawiści, zadrżał ze strachu.

– Nie waż się wymierzać we mnie bata – wysyczał wściekle rycerz, po czym pociągnął za skórzany pas z taką siłą, że twarz nieprzyjaciela znalazła się przed samym ostrzem jego nagiego miecza.

W ostatniej chwili, w przebłysku zdrowego rozsądku, odsunął broń, darując mężczyźnie życie. Zamachnął się i z całą siłą wbijając miecz w stopę cudzoziemca, przygwoździł go do ziemi. Mężczyzna wrzasnął, Ian zaś schylił się nad nim, naciskając na rękojęść całym swym ciężarem.

– Macie stąd odejść, dotarło to do was wreszcie? – wydyszał. Jego przeciwnik słuchał w osłupieniu. – Wynoście się albo wszyscy zginiecie!

Wyciągnął miecz, pozostawiając swego nieprzyjaciela na ziemi, po czym odwrócił się i rzucił biegiem, by zatrzymać ludzką ciżbę, która była bliska zlinczowania pozostałych zbrojnych.

– Wystarczy! – krzyknął, usiłując wydobyć ofiarę z rąk rozwścieczonych

mieszkańców. Ktoś mu pomagał. – Ian odwrócił się i ujrzał potężną sylwetkę Thomasa Bulla.

We dwóch odciągnęli cudzoziemca, którego twarz pokrywały siniaki i krwawe ślady, i zawlekli go w miejsce, gdzie jęczał jego kompan ze zranioną nogą. Z pomocą kilku innych mieszkańców tego samego udało im się dokonać z trzecim ze zbrojnych. Dla ostatniego było już za późno.

Ian przepchnął się przez tłum i bezsilnym wzrokiem patrzył na zwłoki żołnierza rozciągnięte na ziemi. Tuż obok spoczywało ciało pasterza, który zginął od ciosu miecza kilka chwil wcześniej.

– Niech to szlag... – zaklął Ian cicho, przecierając dłonią zmęczoną twarz.

Część mieszkańców pospieszyła w stronę martwego pasterza, krzycząc rozpaczliwie. Była wśród nich kobieta i dwóch małych chłopców. Wszyscy troje zanosili się szlochom mimo próżnych prób pociechy ze strony innych wieśniaków. Ciało wyniesiono, a krzyki i płacz rozbrzmiewały jeszcze długo.

Ian czuł, że jego serce zmienia się w zimny kawałek ołowiu.

To nie miało się tak skończyć. Nie powinno. Docierała do niego odpowiedzialność za to, że dał sygnał do tej małej rebelii. Czuł się paskudnie. Konsekwencją zamieszania były dwie ofiary śmiertelne i, mimo że nie chciał tego, co się stało, czuł się za to odpowiedzialny.

– Szlag by to trafił! – powtórzył, skonsternowany i przepełniony złością na samego siebie. Przycisnął do piersi obolałe ramię.

Kiedy już minął moment zbiorowej hysterii, również ludzie z wioski zaczęli spoglądać na zwłoki uzbrojonego cudzoziemca z mieszanymi uczuciami – poczucie winy mieszało się z ogólnym rozgoryczeniem i nieustającą wściekłością. Niektórzy milczeli w przerażeniu, inni z podekscytowaniem relacjonowali zdarzenie swoim bliskim. Jednak prawie każdy z mieszkańców przynajmniej raz rzucił spojrzenie w kierunku Iana, jakby oczekując od niego decyzji.

– I jemu należy się godny pochówek – powiedział w końcu chłopak i się przeżegnał. – Oby Bóg wybaczył mu wszystkie winy.

Wszyscy zgromadzeni uczynili znak krzyża, po czym kilku mężczyzn schyliło się nad ofiarą i podniosło zwłoki.

Ian znalazł się niespodziewanie naprzeciwko kobiety, której mąż miał zostać wychłostany.

– Panie, dzięki ci! Dzięki! – wykrzyknęła, cała we łzach, chwytając ręce rycerza i ściskając je z całych sił. Była wstrząśnięta i nie mogła opanować drżenia. – Tym razem mój mąż by tego nie przeżył. Niech Pan wam wynagrodzi za to, żeście go ocalili.

Maluch uczepiony jej spódnicy wciąż płakał. Miał szeroko otwarte oczy wciąż pełne łęku. Z pewnością nigdy nie zapomni scen, których właśnie był świadkiem.

Ian nie miał pojęcia, co powiedzieć. Zdołał jedynie wydukać z siebie kilka słów, żeby uspokoić kobietę. Poglądził głowę chłopczyka, który trząsał się od łkania.

Nieszczęśnik został uwolniony przez swoich ziomków i rzucił się biegiem, by móc chwycić w ramiona żonę i syna. I on złożył stokrotne dzięki Ianowi za to, że ten stanął w jego obronie.

– Będę na zawsze winien wam wdzięczność – dodał, a w jego głosie wciąż słychać było ogromne poruszenie.

Ian zauważył, że twarz mężczyzny była upstrzona sińcami, wyraźnymi dowodami na to, że został pobity.

– Czy to był wasz dom? – zapytał ponuro, wskazując na budynek, z którego wciąż strzelały płomienie.

Człowiek przytaknął ze ściśniętym gardłem.

– Tak. To było wszystko, co mieliśmy. – Zapatrzył się na zgliszcza domu, lecz później skierował wzrok na żonę i syna, którzy stali tuż obok. – Ale wciąż żyjemy – ciągnął. – Zaczniemy wszystko od początku, gdzieś indziej.

Grupa wieśniaków podeszła do nich, żeby okazać swoją solidarność. Mężczyźni ściskali ramię męża, kobiety zagadywały żonę i dziecko, próbując ich pocieszyć. Oferowali pomoc, jedzenie i tymczasowe schronienie dla rodziny, którą dotknęło tak wielkie nieszczęście.

Ian poczuł się nieco lepiej. Odwrócił się w stronę Bulla, który dawał mu znaki z oddali. Drwał zatrzymał się, żeby porozmawiać z kilkoma roslymi chłopami uzbrojonymi w kije i pilnującymi niedoszłych oprawców, którzy wciąż byli w ich rękach, poranieni i obolali.

Ian pomaszerował w tamtym kierunku i natknął się natychmiast na Lisiego Ogonia.

W oczach chłopca wyraźnie jarzyły się iskierki entuzjazmu.

– Byliście niesamowici! – wykrzyknął, patrząc na Iana, jakby właśnie ukazał mu się sam święty Jerzy. – Gdzie się nauczyliście tak walczyć? W pojedynkę stawiliście czoło czterem i nawet nie zadrżała wam powieka!

– To wszystko przez emocje... – wymamrotał Ian, wyrzucając sobie po raz setny odpowiedzialność za wszystko, co się stało. – Tak samo jak twoje popisy z procą.

Chłopiec obracał w dłoniach swoją broń – zawołowana nagana nie zdawała się go w żaden sposób dotknąć.

– Umiem trafić zająca w biegu – pochwalił się.

Ian powstrzymał się od komentarza i podszedł do Bulla. Nie było mu do śmiechu.

Trzech więźniów siedziało na ziemi i patrzyło na niego z przestachem i niechęcią; żaden z nich nie odważył się odezwać – pozostawali wciąż w zasięgu kijów mieszkańców osady, którzy nie spuszczaali ich z oka ani na chwilę.

– Wszyscy musimy opuścić to miejsce – oznajmił Bull, gdy tylko Ian znalazł się w pobliżu. – A wy powinniście zadbać o to, by zatrzeć wasze ślady, jak tylko stąd

wyjedziecie. Nie chcemy zabijać tych łajdaków, ale jeśli pozwolimy im odejść, wrócą w towarzystwie sobie podobnych i rzuca się za wami w pogoń. I raczej nie będą mieli skrupułów.

– Możecie się bronić – sprzeciwił się Ian. – Nie musicie opuszczać waszych domów ze strachu przed tymi bandytami.

Drwal potrząsnął głową, a pozostali mieszkańcy wioski poparli go w milczeniu.

– Nie. Kości zostały rzucone i nie możemy dłużej tu mieszkać. Nie puszczą nam tego płazem. Z drugiej strony mrzonki o tym, że w Aversly można spokojnie żyć, już dawno się rozwiały. Wielu naszych odeszło stąd jeszcze na początku zimy, nie mogąc dłużej na to patrzeć. – Gestem ręki wskazał niektóre domy usytuowane wokół placu.

Ian zauważył, że są zamknięte na cztery spusty i porzucone.

– Umrzeć z głodu możemy gdziekolwiek, nic tak naprawdę nie trzyma nas w tym miejscu – dorzucił z goryczą inny mężczyzna. – Życie nie będzie już takie proste, ale może znajdziemy miejsce, w którym poborcy podatkowi króla trzymani są w większych ryzach.

Serce Iana zatrzymało się na chwilę.

– Poborcy podatkowi... króla? – powtórzył chłopak, wytrzeszczając oczy. Wiadomość zadziałała na niego jak porażenie prądem. Tamci jednak zdążyli zmienić temat rozmowy i dyskutowali nad tym, co można zrobić – nie usłyszeli go. Powoli wokół nich zaczęli się gromadzić pozostali mieszkańcy osady.

– Musimy zwołać wszystkich i spakować rzeczy jeszcze przed świtem – zarządził Bull. – Później każdy z nas zdecyduje, dokąd się udać.

– My skierujemy się na zachód – oświadczył jeden ze zgromadzonych. – Mój brat mieszka trzy dni drogi stąd. Udzieli schronienia mojej rodzinie.

– Musimy iść do Dunchester – przerwał następny mężczyzna. – Słyszałem, że potrzeba im rąk do pracy przy przebudowie grodu, a pan tamtych ziem stanie w naszej obronie. I on nie jest miłośnikiem królewskich poborców, w przeciwieństwie do barona tych ziem.

– Ależ i *sir* Murrow nie jest przychylny poborcom podatkowym; tyle że to młodzieniaszek, cóż mógłby zdziałać? – odparł trzeci.

– Z całą pewnością nas nie obroni – burknął Bull. – Tutejsi poborcy mieli wolną rękę, aż do teraz.

Spojrzenia mężczyzn skierowały się na Iana, wrywając go na chwilę z natłoku myśli szalejących w jego głowie.

– Pan na Dunchester? Macie na myśli barona Geoffreya Martewalla? – zapytał Amerykanin.

– Najmłodszego syna? Nie, o ile mi wiadomo, wciąż jest jeńcem wojennym – odparł mężczyzna, który jako pierwszy wspomniał o Dunchester. – Mówię o *sir* Haraldzie Martewallu, jego ojcu.

– Słyszałem, że ostatnio wypędził królewskich poborców podatków ze swoich ziem – zauważył Bull w zamyśleniu.

– To prawda. Posłał ich do wszystkich diabłów i jeszcze wychłostał na pożegnanie – potwierdził Lisi Ogon z dumnym uśmieszkiem. – I od tego czasu więcej się nie pokazali.

– A ty co możesz o tym wiedzieć? – zapytał go Ian.

– Wioska, w której mieszka, Willingham, należy do lenna *sir* Haralda – wyjaśnił Bull. – Jego ziemie zaczynają się parę mil stąd.

– Może powinniśmy poprosić o azyl u niego – zastanawiali się inni.

– Uciekajcie, dokąd chcecie, znajdziemy was i tak! – zagroził jeden z więźniów z nienawiścią. – Wszyscy, którzy zwracają się przeciwko nam, prędzej czy później zapłacą za swoje nieposłuszeństwo. I to samo tyczy się tego starego dumnia z Dunchester!

– To my stanowimy prawo! Wszyscy traficie na szubienice, przekłęci rebelianci! – dodał drugi, zanim został uciszony kopniakiem.

– Zabierzcie stąd te hieny! – wykrzyknął Bull, a w jego głosie zabrzmiała zgryźliwość starego żołnierza. – Przetrzymamy ich w zamknięciu, dopóki sami nie będziemy gotowi wyjechać. Przynajmniej nie zdążą poskarżyć się swoim szanownym kompanom.

Najmłodszy z mieszkańców nie kazali sobie powtarzać rozkazu drugi raz. Skrępowali poborców, używając do tego grubych sznurów, po czym kazali im wstać i popychali ich przed sobą, pomagając sobie kijami. Jednego trzeba było podtrzymywać – z trudem opierał się na zranionej nodze, przewiązanej w pośpiechu płóciennym pasem wydartym z jego własnej koszuli.

Mężczyźni rozpierzchli się, by dołączyć do grupki złożonych z pozostałych mieszkańców – starców, kobiet i dzieci, rozważających dalsze możliwe poczynania. Groźba rzucona przez więźniów uderzyła Iana, dręczonego narastającym niepokojem. Chłopak odprowadził wzrokiem trzech cudzoziemców, którzy znikali w uliczkach pomiędzy chałupami w mało życzliwym towarzystwie mieszkańców – jeszcze do niedawna ofiar ich okrucieństwa. Tak naprawdę nie rozumiał całego zajścia i jego znaczenie docierało do niego dopiero teraz. Bez zastanowienia rzucił się na pomoc, przekonany, że ma do czynienia z bandytami kpiącymi z obowiązujących praw, a tymczasem zaatakował królewskich żołnierzy.

„Mówili z obcym akcentem, nie mieli na sobie insygniów królewskich, nie mogłem wiedzieć, że ci poborcy są na usługach Jana bez Ziemi” – próbował się usprawiedliwić sam przed sobą. Jednocześnie dotarło do niego, że również w porcie Glenhaven obok celników widział kilku wysłanników króla pozbawionych oznaczeń. Już wtedy podejrzewał, że mogą być agentami królewskiego skarbcza. Teraz mógł jedynie wyzywać samego siebie od idiotów za to, że nie skojarzył ich ze zbirami,

którzy chcieli splądrować wioskę.

Jego zapalczywość w połączeniu z ignorancją sprawiła, że wystąpił przeciwko ludziom króla.

„Ta chłosta musiała pozbawić mnie resztek rozumu” – oskarżał się.

Nie żałował, że dał tym bandytom lekcję dobrych manier. Żadna koronowana głowa nie mogła usprawiedliwić prześladowania własnego ludu – prześladowania, którego dotąd nikt nie próbował ukrócić. Jednak teraz Ian wiedział już, że jego czyn skazał ludność Aversly na życie w poczuciu niebezpieczeństwa – wszystko przez to, że sprowokował ich do buntu przeciwko władzy.

Bull miał rację, mówiąc, że powinni jak najszybciej opuścić wioskę. Jeszcze zanim wojska króla zjawią się tu z posiłkami i z ogromnym ładunkiem wściekłości.

– Pokażcie mi wasz miecz. – Lisi Ogon wyrwał Iana z zamyślenia, ciągnąc go za rękaw. – Myślicie, że i ja któregoś dnia będę potrafił walczyć tak jak wy?

– Nie wystarczy ci rozlew krwi na dzisiaj? – uciął krótko Ian ze stanowczością, której się po sobie nie spodziewał. – Zmykaj swojej matki, to nie jest miejsce dla dzieciaków! Zamiast wymachiwać mieczem, naucz się porządnego zawodu!

Lisi Ogon odskoczył o krok, przestraszony, po czym rzucił Ianowi urażone spojrzenie, obrócił się na pięcie i zniknął bez słowa.

Ian szybko pożałował swojej oschłości, nie zawołał jednak chłopca. „Tak będzie lepiej” – powiedział sam do siebie. – „Powinien odejść stąd jak najdalej, zanim sytuacja się zaogni”.

Thomas Bull powtórzył na głos jego myśli:

– Któregoś dnia to chłopaczysko naprawdę wpakuje się w tarapaty. Dobrzeście zrobili, odsyłając go stąd. Te zbiry jeszcze długo będą pamiętać o kamieniu, którym oberwali. Niech tę noc dzieciak spędzi razem z matką – tam z pewnością będzie bezpieczniejszy niż tutaj.

– Ja też muszę stąd odejść – powiedział Ian, poruszony. – Przysporzyłem wam już dość kłopotów.

– Żartujecie sobie? – sprzeciwił się Bull. – Noc już ciemna, a wy nie znacie drogi. Zgubicie się w lesie i zmarzniecie na kość. Odpocznijcie, ruszycie w drogę jutro z samego rana.

– Ale...

– Nie powinniście się obwiniać. Ocaliliście rodzinę i daliście tylko przykład tego, co któryś z nas powinien zrobić już wiele miesięcy temu, zaczynając ode mnie.

– Z mojej winy jesteście teraz zmuszeni opuścić wasze domy – zawahał się Ian.

Drwał wzruszył ramionami.

– A mało to razy musieliśmy je odbudowywać? Czy to przez paskudną pogodę, czy z innych przyczyn. – Szerokim gestem wskazał zgliszcza domu podpalonego przez poborców. – To będzie po prostu kolejna przeprowadzka.

Ian spojrzął spode łba na kupę desek i popiołu, która pozostała po chałupie, ale słowa Bulla wcale nie zmniejszyły jego poczucia winy.

Nie umknęło to uwadze drwala.

– Tak czy siak, doszłoby do tego prędzej czy później, z tym że dzięki wam i waszemu mieczowi, jest mniej ofiar. Już i tak za długo byliśmy potulni jak stado owiec – nalegał Bull, usiłując przekonać swojego rozmówcę. – Nie jesteśmy zwierzętami, jesteśmy ludźmi. Nawet król nie ma prawa traktować nas w ten sposób, a zwłaszcza władca, który okrył się taką niesławą, jak Jan bez Ziemi.

Ian skinął głową w ciszy. Nie mógł się opędzić od ponurych myśli.

Dociekliwe spojrzenie Bulla wyrwało go z odrętwienia.

– Potraficie walczyć. Wojna nie jest wam obca.

– Nie – przyznał Ian, zaalarmowany. – Widziałem wszystko z bliska i wciąż dręczy mnie to jak koszmar.

W tonie jego głosu zabrzmiała nuta, która sprawiła, że Bull zaniechał dalszego drażenia tematu. Były żołnierz zdawał się zresztą zadowolony, że nie musi powracać do własnych krwawych wspomnień. Wykrzywił twarz w uśmiechu porozumienia.

– W takim razie odtąd będę wam mówił na ty – podjął z prostotą. – Mógłbyś być moim synem, a nie ma powodów do zbędnych formalności między dwoma żołnierzami. Chodź, nadeszła pora, żeby napić się piwa. Od kiedy moja żona nie żyje, a nasi synowie odeszli z domu, brakuje mi towarzystwa.

Bull znalazł Ianowi schronienie na noc – w stodole sąsiadów. Drwal próbował namówić go na nocleg we własnym domu, proponując mu nawet własne łóżko, młodzieniec był jednak głuchy na argumenty. Z wdzięcznością przyjął posiłek i trochę piwa, jednak później szybko zebrał się do spania, pozostawiając mężczyznę w towarzystwie innych mieszkańców przygotowujących się do opuszczenia osady. Chciał побыć przez chwilę sam, zastanowić się nad wszystkim tym, co się zdarzyło, i ocenić, co mogą przynieść najbliższe dni. „Przyszłość” – znał ją; wiedział już, jak potoczą się losy Anglii w kolejnych miesiącach. Przypomniały mu o tym nagle przykre zdarzenia minionego dnia.

W roku 1215 król Jan bez Ziemi miał zostać zmuszony do uznania żądań zbuntowanych baronów i zatwierdzenia dokumentu, który do historii przeszedł pod nazwą Magna Carta Libertatum – Wielka Karta Swobód. Wielu historyków widziało w niej pierwowzór współczesnych konstytucji – przyznawała możnowładctwu prawa i przywileje, gwarantowała niezależność Kościoła od władzy monarszej oraz zapowiadała istotne reformy w kwestiach sądownictwa, ograniczając władzę monarchy w tej dziedzinie.

Wydano ją w czerwcu, w przeddzień lata. Król musiał się ugiąć przed wojskami swych nieposłusznych wasali i podpisać akt, żeby zapobiec dalszym rebeliom ze strony możnowładztwa.

Anglia szykowałą się do wojny domowej, a wydarzenia w wiosce, których Ian był świadkiem, miały być tylko przedsmakiem tego, co czekało jej obywateli.

„Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Dlaczego sobie nie przypomniałem?”

Usiadł na wiechciu słomy w stodole i przetarł rękami twarz. Wciąż nie mógł uwierzyć.

Angielscy baronowie musieli się już spotkać w miejscu zwanym Bury Saint Edmunds, gdzie podjęli decyzję o stawieniu oporu królowi. Teraz zbierali siły i po kilku miesiącach walk, na wiosnę, mieli zmusić swego suwerena do wydania aktu, który stanie się kamieniem milowym w prawie konstytucyjnym.

15 czerwca 1215 roku miał być odtąd jedną z najważniejszych dat w historii Anglii.

Do tego dnia brakowało jedynie kilku miesięcy.

To właśnie była przyczyna – ludzie z osady, doprowadzeni na skraj wytrzymałości, potrzebowali naprawdę niewiele, żeby wybuchnąć z długo skrywaną wściekłością, tak jakby tylko czekali na sygnał do ataku. Rozruchy mogły zacząć się lada dzień, jeszcze w tym miesiącu. Niezadowolenie z polityki i tyranii Jana bez Ziemi miało objąć prawie połowę kraju i możnowładców, którzy, pozbawieni swych praw i władzy przez monarchę, postanowili je odzyskać, uciekając się aż do oblężenia Londynu. Mieszkańcy miasta, wyczerpani przez nieludzki ciężar podatków i prześladowania ze strony ich suwerena, przyjęli rebeliantów z otwartymi ramionami, przeganiając kijami i widłami królewskie wojsko.

Zanim jednak Londyn został zdobyty i kiedy już był w rękach buntowników, w wielu osadach, wsiach i miastach miało dojść do bitew, potyczek i zniszczeń okupionych krwią walczących.

Duncheater budziło w głowie Iana kolejne skojarzenia, o coraz bardziej złowieszczym odcieniu. Mimo to nie mógł sobie przypomnieć, co dokładnie wyczytał na temat lenna Martewalla w podręcznikach do historii.

„Jakaś bitwa? Zamach? Może jakiś traktat? Co się tam wydarzyło, do licha... Czemu nie mogę sobie przypomnieć?” – powtarzał w myślach Ian, zaciskając z całej siły dłoń. – „Czemu nie poświęciłem więcej czasu na prześledzenie historii Anglii?”

Ból w lewej ręce wyrwał go na chwilę z zamyślenia. Podwinął rękaw i korzystając ze smugi księżycowego światła, wpadającej do stodoły przez szczelinę w drzwiach, usiłował ocenić rozmiar obrażeń. Jego przedramię „zdobiła” czerwona pręga zaczynająca się tuż przy nadgarstku i wijąca się aż do łokcia. Uderzenie biczem nie rozdarło materiału ani nie przecięło skóry, opuchlizna utrzymywała się jednak, a sama kontuzja była dość bolesna.

Ian ostrożnie przesunął palcami wzdłuż nabiegłego krwią śladu, westchnął głęboko,

przymknął bramę stodoły i zagrzebał się w stercie słomy, pozwalając, by ogarnęła go gęsta, ciepła ciemność.

Myśli o lennie Dunchester wciąż snuły się w jego głowie jak ponury, uporczywy duch zwiastujący nieszczęście. Cokolwiek miało łączyć się z tym miejscem, jednego był pewien.

„Muszę jak najszybciej opuścić Anglię”.

Rozdział 12



Pierwsze promienie porannego słońca przenikające przez szparę w murze pod sufitem przecinały ciemności lochów zamczyska Dunchester. Daniel nie spał już od chwili, gdy w półmroku zajaśniał blask mocnej latarni – widok, który wywołał w nim mieszankę strachu i ulgi.

Był głodny i chciało mu się pić. Od poprzedniego popołudnia, kiedy został zamknięty w tych przygnębiających ciemnościach, zdawało mu się, że wszyscy o nim zapomnieli. W chwili kryzysu naszyły go obawy, że oto dokona swych dni w zimnej celi, konając z głodu.

Pojawienie się kogokolwiek w tamtym momencie oznaczałoby z jednej strony przerwanie przerażającego poczucia osamotnienia dręczącego chłopaka od kilku godzin, z drugiej jednak niosłoby ze sobą niepokojącą ewentualność niekorzystnego rozwoju wypadków. Ostatecznie był przecież więźniem.

Minęło trochę czasu, zanim światło latarni pokonało stromo opadające schody. Podczas gdy Daniel spoglądał na zbliżający się i rosnący cień postaci na ścianie, dobiegł go wyraźny stukot drewnianej laski na kamiennej podłodze lochów. Już wiedział, kto składa mu wizytę.

Stary baron Harald Martewall pojawił się w lochach w towarzystwie młodego sługi, który dzierżył w rękach latarnię.

Daniel podniósł się w milczeniu, z daleka spoglądając na władcę zamku.

Baron podszedł aż do samych krat celi. Ani przez chwilę nie spuszczał oczu z więźnia. Puścił ramię sługi i gestem nakazał mu się oddalić.

– Czekał na mnie u stóp schodów – powiedział.

Służący kiwnął głową i wsunął latarnię w specjalny uchwyt zawieszony na ścianie naprzeciwko celi, po czym zniknął w ciemnościach.

Harald Martewall oparł obie dłonie na swojej sękatej lasce. Nawet w tej pozycji, zdradzającej niedołętność, wzbudzał szacunek.

– Mój syn nie zechciał mi wyjaśnić, co sprawiło, że przyprowadził więźnia aż tutaj – oznajmił poważnym tonem. – Brak mu szacunku i traktuje własnego ojca jak wroga. Myśli, że wolno mu mieć przede mną tajemnice! W moim własnym domu!

Daniel nic nie odpowiedział, ograniczając się do odwzajemnienia spojrzenia. Baron taksował go przenikliwym wzrokiem.

– Jak wam na imię? – ciągnął starzec zmęczonym głosem.

Daniel nie miał powodów, by milczeć ani by ukrywać prawdę – choćby dlatego, że Geoffrey Martewall mógłby z łatwością zakwestionować każdą historyjkę, którą by wymyślił.

Przedstawił się z imienia i nazwiska, po czym dodał, nie bez obawy o konsekwencje wyznania:

– Jestem rycerzem króla Augusta Filipa z Francji.

Na dźwięk imienia suwerena, który właśnie pokonał królestwo Anglii, *sir* Haraldowi nie drgnęła nawet powieka.

– A więc nie zostaliście pojmani w pojedynku ani w bitwie? – zapytał.

– W rzeczy samej – odparł Daniel, obserwując uważnie w reakcję barona. – Zostałem wzięty do niewoli podczas mej podróży na południe. Schwytano mnie w oberży, w której pragnąłem jedynie zjeść posiłek i odpocząć.

Przez surowe czoło starca przebiegł cień.

– Być może mój syn zapomniał o zasadach honorowego kodeksu rycerza – skomentował posepnie. – Wojna może wiele zmienić w człowieku, jednak nie wszystkie zmiany można usprawiedliwić.

Zamilkł na kilka chwil, pogrążając się w myślach, po czym dorzucił:

– Dlaczego Geoffrey uważa was za swojego nieprzyjaciela?

– Wasz syn nie chciał pojmać mnie, lecz mojego pana. To jego ma za wroga. Schwytał nas, gdy byliśmy razem, jednak udało mi się pomóc w ucieczce memu panu. Wasz syn musiał zadowolić się zakładnikiem o mniejszej wartości.

– Kim jest wasz pan?

– To książę Jean Marc de Ponthieu, feudał w lennie Montmayer.

Nieoczekiwanie baron kiwnął głową i opuścił spojrzenie na swoje dłonie wsparte na drewnianej lasce.

– Jean de Ponthieu... – powtórzył powoli w zamyśleniu. – Pamiętam... Poznałem go...

Daniel znieruchomiał, zaskoczony. Obawiał się najgorszego. „Jak to możliwe?” – myślał z gorączkowym przestraszaniem.

Zdawało się jednak, że *sir* Harald odświeża dawne wspomnienia.

– Pamiętam go z pola bitwy w Ziemi Świętej. Służył królowi Filipowi, ja stałem u boku dobrego króla Ryszarda. Wspólnie walczyliśmy przeciwko niewiernym. Kiedy wyruszał na krucjatę, miał dwóch małych synów. Najmłodszy nosił jego imię, starszy natomiast...

– Guillaume de Ponthieu – Daniel pospieszył z pomocą, jednocześnie wypuszczając z ulgą powietrze z płuc. Zapomniał, że ojciec Jeana de Ponthieu miał tak samo na imię, i w pierwszej chwili przeraził się, że starzec ma na myśli mężczyznę, za którego Ian podawał się na francuskim dworze. Gdyby tak było, baron

z łatwością mógłby zdemaskować Iana się posługiwali.

„Fałszywy alarm” – pomyślał Daniel, dziękując niebiosom.

Jednocześnie określenie „dobry król Ryszard” sprawiło, że w pełni zrozumiał otwartą niechęć barona wobec Jana bez Ziemi. Chociaż nie był historykiem tak jak Ian, naoglądał się wystarczająco dużo filmów o Robin Hoodzie, żeby wiedzieć, że zagorzali zwolennicy Ryszarda Lwie Serce z całą zaciekłością nienawidzili jego młodszego brata Jana. Sam zaś fakt, że pierworodny syn barona nosił imię jego wysokości króla Ryszarda, był tylko kolejnym potwierdzeniem jego domysłów.

– Rzeczywiście, Guillaume – podjął nieoczekiwane *sir* Harald. – Jean ojciec był szlachetnym człowiekiem i dokonał żywota w Aszkelonie, poświęcając się dla wielu z nas. Mam nadzieję, że jego synowie są godni takiego ojca.

– Bardziej, niż możecie sobie to wyobrazić – odparł Daniel z pewnością w głosie. – Może poświadczyć o tym każdy, kto widział ich na polu bitewnym.

– A więc z jakiego powodu syn mój nienawidzi waszego pana do tego stopnia, że zapomina o szacunku należnym szlachetnemu przeciwnikowi?

Daniel w pośpiechu usiłował zebrać myśli. „Żadnych fałszywych kroków”.

– O to, moim zdaniem, powinniście zapytać jego samego – odparł ostrożnie. – Żadna bitwa ani żaden turniej nie zdołałyby nastawić ich do siebie wrogo, gdyż ani jeden, ani drugi nigdy nie postąpiłby niehonorowo. Poróżnił ich jednak pewien człowiek, zagorzały nieprzyjaciel mego pana, a przyjaciel waszego syna. Nazywał się Jerome Derangale.

Stary baron zmarszczył brwi.

– Pan na Hansbury? Jego też pamiętam – powiedział. – Przyjaźnił się z Geoffreyem od małego, mimo że później na kilka lat stracili się z oczu. To Derangale wezwał mego syna do Flandrii na chwilę przed wybuchem wojny. Werbował oddział konnicy dla księcia Ferdynanda Flamandczyka i chciał, by mój najmłodszy, zwycięzca turniejów, do niego dołączył.

– Te szczegóły nie są mi znane. Pierwszy raz ujrzałem waszego syna na turnieju w Béarne, kiedy wciąż byłem giermkim. Przy tamtej okazji zachowywał się godnie, w przeciwieństwie do swego towarzysza, który niejednokrotnie posuwał się do nieuczciwości.

– Nieuczciwości! – wykrzyknął baron, urażony. – Towarzysz mego syna oskarżony o oszustwo!

– Nie postępował honorowo – dorzucił Daniel. – Nie zasługiwał na tytuł rycerski, a jego ostatnie czyny przed śmiercią tylko tego dowiodły. Wydał swym najemnikom rozkaz zdradzieckiego zamordowania księcia Jeana Marca na jego własnych ziemiach. Do zamachu doszło na terenie klasztoru. Mój pan ocalał tylko dzięki pomocy niebios.

Sir Harald był pod wrażeniem.

– To bardzo poważne oskarżenie.

– Nie ja je rzucam. Powtarzam je tylko. Kilku najemników, którzy brali udział w spisku, zostało schwytanych i wyznało prawdę.

Stary baron chciał coś powiedzieć, nagły szmer sprawił jednak, że zerknął za siebie. Na schodach pojawiła się delikatna dziewczęca postać – ta sama, którą Daniel widział poprzedniego dnia na zamkowym dziedzińcu. Sługa, który wcześniej towarzyszył baronowi, teraz prowadził ją ostrożnie przez wąski korytarz lochów do ich oświetlonej części.

Leowynn Martewall otulała się płaszczem skrywającym bogato zdobioną suknię.

– Ojczy, co tutaj robicie?! – wykrzyknęła zaniepokojona. – Jest zimno, wy zaś nie powinniście się przemęczać.

– Co ty tutaj robisz, córeczko? To nie jest odpowiednie miejsce dla młodej panienki – odpowiedział ojciec. W jego głosie nie było oschłości.

Dziewczyna w istocie wydawała się przerażona ciemnym i posępnym miejscem, tak jakby widziała je pierwszy raz w życiu.

– Nie mogłam was znaleźć u góry, martwiłam się – powiedziała, usiłując ukryć odrazę. – Później zgadłam, że poszliście do tego człowieka. – Rzuciła z daleka wrogie spojrzenie zamkniętemu w celi Danielowi.

Chłopak zniósł je bez cienia zakłopotania i wreszcie to ona musiała przenieść wzrok gdzie indziej.

– Chodźcie ze mną, wracajmy do bawialni, śniadanie jest gotowe, a wy musicie wypić swój napar z ziół – powiedziała pospiesznie, kładąc dłoń na ramieniu ojca zapraszającym gestem, lecz baron potrząsnął głową.

– Ty idź, ja zaraz do ciebie dołączę. Muszę najpierw dowiedzieć się paru rzeczy od tego rycerza.

– Jest wrogiem Geoffreya, o co tu jeszcze pytać? – wybuchnęła dziewczyna, coraz bardziej zdenerwowana. W jej głosie słychać było jednak nutkę lęku. – Chodźmy, zanim zdążycie się zaziębić.

Łoskot kroków zadudnił na schodach. Leowynn odwróciła się, zaskoczona. Kroki były zdecydowane i z pewnością należały do mężczyzny. Pan zamku odwrócił się w ciszy, oczekując tego, kto nadchodził.

Daniel również wzmógł czujność. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

Geoffrey Martewall zjawił się w podziemiach w towarzystwie nieodłącznego Hektora, uzbrojonego w pochodnię, oraz dwóch flamandzkich żołnierzy. Rycerz miał teraz na sobie strój godny swego statusu. Czarny kolor jego szat mógł być związany z herbem rodu Martewallów lub był po prostu oznaką pamięci o niedawnej śmierci brata – żałobą, której nie mógł odbyć w więzieniu.

Czarny strój i miecz przypięty u pasa sprawiały, że jego postać budziła przestach.

Twarz rycerza – teraz zupełnie pozbawiona zarostu – przybrała jeszcze bardziej wrogi wyraz, blizna ciągnąca się od powieki przydawała zaś jego spojrzeniu okrucieństwa.

Uwagę Daniela przyciągnęły natychmiast sznury i pręty, które dzierżyli Flamandczycy. Do chłopaka dotarło, że oto za chwilę miał spełnić się jego największy koszmar: nadszedł moment pytań i odpowiedzi, które chcieli uzyskać bez względu na użyte środki – czy to po dobroci, czy przemocą.

Instynktownie odsunął się od krat, czując, że wpada w potrzask. Flamandczycy ustawiali się w tym czasie w lochach, czekając na rozkazy swego pana. Również Leowynn zdawała się przerażona obecnością uzbrojonych mężczyzn.

– Ojcie, nie powinno was tutaj być, chodzenie sprawia wam wiele trudności – wykrzyknął Geoffrey Martewall, słyhać było jednak, że nie jest szczególnie zaskoczony obecnością rodzica. Rzucił wymowne spojrzenie swojej siostrze i nie czekając na jej wyjaśnienia, dodał: – Odprowadź naszego ojca na górę. Powinien bardziej na siebie uważać – rzekł do niej ponurym głosem.

Leowynn skinęła głową, *sir* Harald powstrzymał ją jednak gestem. Nie miał najmniejszego zamiaru się oddalać. Patrzył na Martewalla z wyraźną naganą w oczach.

– Dowiedziałem się o wielu istotnych kwestiach, synu.

– Należy poznać lepiej okoliczności pewnych zdarzeń, zanim da się bezgraniczną wiarę słowom więźnia – przerwał mu sucho rycerz. – A ja właśnie mam zamiar poznać prawdę. Dlatego proszę, byście się oddalili.

– Wysunięto przeciwko tobie oskarżenie o trzymanie strony człowieka okrytego hańbą, a być może nawet o naśladowanie jego czynów – ciągnął ojciec niewzruszonym tonem.

Leowynn drgnęła, spoglądając na brata z niedowierzaniem, po czym przeniosła pytający wzrok na Daniela.

Martewall z kolei nie tracił swego zimnego opanowania.

– Tylko prawda może oczyścić mnie z win. Jak dotąd wszystko, co się wydarzyło, jest wyłącznie moją sprawą. Nie mieszajcie się do niej.

– Powinieneś najpierw udowodnić mi, że miałeś słuszne powody, aby schwytać tego człowieka, że nie był to tylko postępek godny ulicznego rozbójnika – odparł baron. – Jednak obawiam się, że możesz nie znaleźć dla siebie usprawiedliwienia.

– Nie może zaprzeczyć próbie zabójstwa mego pana, bo wie, że wydarzyła się naprawdę! – wtrącił się Daniel, nie dopuszczając Martewalla do słowa. – Sam przyznał, że słyszał, jak został wydany rozkaz!

Jeden z Flamandczyków z całej siły uderzył w kraty zwojem sznura, który trzymał w ręce.

– Siedź cicho! – zagroził.

Daniel wzdrygnął się i cofnął o krok.

Sir Harald patrzył na swojego syna z rosnącym niesmakiem.

– Czy to prawda? – zapytał, podczas gdy Leowynn do bólu zaciskała swoje białe dłonie.

– A nawet jeśli byłaby to prawda? – odparł twardo Geoffrey Martewall.

Ojciec zgromił go rozwścieczonym spojrzeniem. Był niższy od swojego syna, choroba zaś przygięła jego plecy do ziemi, w tej chwili jednak gniew starca sprawił, że zdawał się równy wzrostem stojącemu przed nim młodzieńcowi.

– Żaden rycerz nie może pozwolić na to, by na jego oczach wydano tak haniebny rozkaz! – zagrział.

– Była wojna, ojcze. Miałem inne sprawy na głowie, zarówno przed bitwą, jak i po niej – odparł sarkastycznie Martewall. – Na przykład: jak zachować przy życiu swoich towarzyszy, samemu nie tracąc głowy, a wreszcie: jak przetrzymać ciężar łańcuchów, w których wleczono mnie aż do Soissons. Nie mogłem zwracać uwagi na wszystko, o czym mówił Jerome.

– Teraz jednak zdaje się, że chcesz podążyć śladem jego nikczemnych czynów.

– Ojcze! – jęknęła Leowynn.

We wzroku Martewalla błysnęła stal.

– Był moim przyjacielem, a teraz jest martwy. Nie pozwolę wam obrażać jego pamięci.

– Ja tylko oceniam kierunek, w którym zmierzasz – odparł surowo *sir* Harald. – Wojna już się skończyła, a ty przetrzymujesz rycerza jako zakładnika, nie mając ku temu powodu. Jeśli prawdą jest, żeś go pojmał na drodze, nie stając z nim nawet w szranki, powinieneś pozwolić mu odejść.

Daniel poczuł przypływ nadziei.

– Albo mógłbym równie dobrze udowodnić jego winy i go powiesić – sprzeciwił się Martewall z krzywym uśmiechem. – Człowiek, będący na usługach oszusta, jak podejrzewam, sam też nim jest i w równym stopniu ponosi odpowiedzialność za fałszywe, kuglarskie występy. Należy rozprawić się z nim jak ze zbrodniarzem i wysłać go na szubienicę.

Daniel pobladł. *Sir* Harald wytrzeszczył oczy.

– Oszust?!

– Tak właśnie twierdził Jerome i dokładnie to chcę udowodnić.

– Książę Jean Marc nie jest oszustem i lepiej, żebyś przyjął to do wiadomości! – bronił się Daniel z rozpaczliwą złością. – Słowo twojego przyjaciela nic nie znaczy w obliczu świadectwa całego dworu francuskiego. Mój pan został okrzyknięty Królewskim Sokołem, wszyscy o tym wiedzą, również ty! Myślisz, że król Filip August zgodziłby się na obecność oszusta u swego boku?

Martewall odwrócił się w jego stronę.

– Myślę, że Jerome nigdy nie wymyśliłby podobnego oskarżenia, gdyby nie był

przekonany, że ma rację. Na naszych oczach rozgrywa się przedstawienie, a ja wciąż nie wiem, kto za nim stoi.

– A ja powtarzam, że Derangale rozpuścił na prawo i lewo kalumnie tylko po to, żeby usprawiedliwić swoje łajdackie postęпки!

– Uważaj na słowa – warknął jeden z Flamandczyków ostrzegawczo, jednak Martewall podniósł rękę i nakazał mu, by trzymał się z boku.

– Zobaczmy – powiedział, zwracając się ponownie do Daniela. – W naszej następnej rozmowie objaśnimy sobie dokładnie każdy szczegół.

Daniel zacisnął pięści, świadomy, że nie ma żadnej drogi ucieczki.

– Geoffrey, nie możesz przesłuchiwać tego człowieka, za podstawę oskarżeń biorąc sobie historię, w którą wierzysz tylko ty sam, i nie mając żadnych dowodów. To prywatna zemsta, a nie dociekanie prawdy.

Martewall wzruszył ramionami.

– Nie obawiajcie się, nie będę dla niego mniej uprzejmy, niż jego francuscy przyjaciele byli dla mnie przez ostatnich kilka miesięcy.

Stary baron był wstrząśnięty bezlitosnym okrucieństwem najmłodszego syna.

– Nie tego cię uczyłem. Nie tego, byś – zamiast dokonywać czynów godnych rycerza – postępował jak rzezimieszek!

Twarz Geoffreya Martewalla stężała jak kamień.

– Nie jestem już dzieckiem. Jestem mężczyzną. Czas, by mnie wychowywać, dawno już minął. W tej sprawie nie pozwolę na niczyją ingerencję.

– Odpowiesz za swoje czyny przede mną! W dalszym ciągu jesteś w moim domu! – wykrzyknął starzec, grożąc synowi laską.

Młodzieniec nie cofnął się ani o milimetr.

– Chcecie mnie stąd wyrzucić? Macie do tego pełne prawo. Zdecydujcie, panie: albo zatrzymacie mnie tutaj, bym chronił Dunchester ostrzem mojego miecza – sami przecież nie macie już sił, by to czynić – albo zwróćcie mi wolność, a ja odejdę wraz z moimi ludźmi i moim więźniem. Jeśli chcecie mnie tutaj, musicie się zgodzić na moje warunki.

Leowynn zakryła dłonią usta. Daniel wstrzymał oddech.

Sir Harald pobladł.

– Czy ty mnie szantażujesz?

– Po prostu was informuję, że zrobię to, co będę chciał, niezależnie od okoliczności. To od was zależy, czy jesteście w stanie to zaakceptować czy nie. To wy, ojcie, widzicie tu problem.

W obliczu tak niespodziewanego zachowania syna stary baron z coraz większym trudem utrzymywał się na nogach. Patrzył na Geoffreya szeroko otwartymi oczyma.

– Nie poznaję cię – powiedział w końcu cicho.

– Nic na to nie poradzę – uciął krótko Martewall i przeszedł obok ojca, kierując

kroki w stronę Hektora. Dał tym samym jasno do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

– Geoffrey! – Ojciec nie ustępował.

Martewall odwrócił się gwałtownie. W jego oczach płonął gniew.

– Czego ode mnie chcecie? Oskarżacie mnie o haniebne czyny, a jednocześnie chcecie się mną posłużyć i zmusić mnie do krzywoprzysięstwa, żeby załatwić swoje ciemne sprawy! – wykrzyknął. – Troszczycie się o moje postępowanie tylko po to, żeby się upewnić, że nie pokrzyżuję wam planów!

– Geoffrey, wystarczy, proszę cię... – błagała Leowynn, jednak brat ją zlekceważył i ponownie zwrócił się do ojca:

– Zawsze wypełniałem moje obowiązki i właśnie przez tych, którym ślubowałem wierność, straciłem swój rycerski honor! Walczyłem pod królewskim sztandarem aż do utraty sił i zapłaciłem za klęskę niewolą – tylko po to, żeby odzyskawszy wolność, odkryć, że moje imię okryto niesławą, łącząc je z imieniem przyjaciela oskarżonego o zdradę i króla okrzykniętego tchórzem. Teraz wracam do ojczyzny, żeby z waszej winy skończyć na liście zdrajców! Zmuszony jestem przyjąć dwa ostatnie zarzuty, ale co do pierwszego... przynajmniej ten ciężar chcę z siebie zrzucić i nie zawaham się użyć w tym celu wszelkich środków. I tak straciłem już godność należną rycerzowi, wy zaś jesteście ostatnią z osób, która ma prawo mi to wypomnieć, zwłaszcza że sami chcieliście zadać mi ostateczny cios!

Sir Harald zachwiał się pod ciężarem tego bezlitosnego oskarżenia.

– Nigdy nie chciałem pozbawić cię honoru ani tym bardziej cię wykorzystać...

– A jakież wybór mi pozostawiliście, jeśli nie skończyć to, co rozpoczęliście w pojedynkę, i pójść w wasze zdradzieckie ślady? Wystawiliście nasz lud na śmiertelne niebezpieczeństwo, ja zaś nie ośmieliłbym się żyć, nie mogąc poświęcić mego ostatniego tchnienia w jego obronie! I dlatego będę wam posłuszny i stanę się waszą prawą ręką uzbrojoną w miecz, który podnosi się przeciwko memu królowi. Nie pozwolę jednak na inne obelgi z waszej strony. I nigdy nie wybaczę wam tego, żeście odebrali mi ostatnią krztynę honoru, która mi pozostała.

W obliczu nieprzeniknionego muru goryczy Harald zrozumiał, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Nieoczekiwanie wydał się niezwykle stary i zmęczony, choć nawet na chwilę nie opuścił głowy.

– Jesteś ostatnim synem, który mi pozostał. Bardzo cię kocham. Nie chciałbym cię nigdy stracić w taki sposób – wyszeptał tylko, a jego głos załamał się, kiedy wypowiadał ostatnie słowa. Nie próbował nawet tego powstrzymać.

Leowynn chwyciła go pod ramię, usiłując go wesprzeć i być może szukając oparcia w nim samym, przerażona zaciekłością brata.

Martewall ostentacyjnie zignorował ból, jaki im zadał, i wezwał młodego sługę obserwującego scenę z boku. Pacholek pospiesznie podszedł.

– Ojciec mój jest chory, nie powinien się przemęczać – stwierdził rycerz stanowczo. Zdanie zabrzmiało jak wyrok rozstrzygający całą rozmowę. – Odprowadźcie go do bawialni i upewnijcie się, że usadowi się wygodnie przed kominkiem. Już dość się na dzisiaj natrudził.

– Tak, mój panie – odpowiedział natychmiast sługa.

Stary baron pozwolił się wyprowadzić, nie zdradzając najmniejszej chęci oporu.

– Ty idź razem z nim – ciągnął Martewall, zwracając się do swej siostry. – To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie i nie chcę, żebyś brała udział w tej rozmowie.

Dziewczyna spojrzała na niego oczami pełnymi przestrochu, nie odważyła się jednak nic powiedzieć. Otuliła się płaszczem i ruszyła za ojcem i sługą w kierunku schodów. Obejrzała się raz jeszcze przez ramię, zanim zniknęła w półmroku. Daniel zauważył, że nie patrzyła tylko na brata. Zerknęła również na niego.

Flamandzcy odsunęli kraty.

Daniel na ich widok cofnął się jeszcze bardziej – cela nie była jednak szersza niż kilka jego kroków.

Żołnierze chwycili go i powlekli za sobą, popychając w stronę kamiennego słupa pośrodku pomieszczenia. Przywiązali go, wykręcając mu ręce i grubymi sznurami krępując je z drugiej strony kolumny.

Zabolało. Jego wściekły protest został zignorowany. Daniel, z sercem w gardle, zamknął buzię na kłódkę, usiłując zebrać całą odwagę, którą miał w sobie. Zacisnął związane ręce w pięści. Czuł, jak chropowata powierzchnia kamiennego filara drażni jego skórę.

Jeden z Flamandczyków stał za kolumną. Daniel zorientował się, że trzymał kij wsunięty pomiędzy węzły ściskające mu nadgarstki, zwiększając napięcie sznurów i, w konsekwencji, ból, jaki powodowały.

Zagryzł usta, próbując opanować rosnący strach. Już czuł się obolały, a przesłuchanie nawet się nie rozpoczęło.

Drugi z Flamandczyków stał dwa kroki od niego, czekając na rozkazy. Hektor przekazał pochodnię słudze, który odprowadzał *sir* Haralda i Leowynn po schodach, i teraz stał nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami.

W tej samej chwili Martewall odwrócił się w stronę celi i wszedł do niej zdecydowanym krokiem, wzięwszy do ręki drąg.

Daniel przygotowywał się na najgorsze. Wiedział, że w tym momencie jego nieprzyjaciel był gorszy od rannego zwierzęcia, wobec którego nie sposób używać logicznych argumentów.

– Dajże spokój, możemy przecież porozmawiać jak cywilizowani ludzie – spróbował mimo to.

Martewall zatrzymał się tuż przed nim.

– Nagle zdecydowałeś się na współpracę? Strach cię obleciał?

– Oczywiście, że się boję! – odparł Daniel ze złością. – Masz jeszcze jakieś inteligentne pytania czy chcesz przejść do rzeczy?

– Chcę prawdy – warknął Martewall.

– Wciąż powtarzam ci, jaka jest prawda. To nie moja wina, że nie chcesz jej słuchać i że nie jest dla ciebie zbyt wygodna.

Martewall lekko przygiął drążek w dłoniach.

– Upierasz się przy twojej wersji wydarzeń?

– Księżę Jean Marc nie jest oszustem i nie ma wobec tego żadnych wątpliwości.

– I chciałbyś, żebym w to uwierzył...

– Jeśli naprawdę chcesz kłamstwa, mogę ci poopowiadać, że pan mój pochodzi z Księżyca: czy to, twoim zdaniem, jest bardziej wiarygodna wersja? – odparł Daniel sarkastycznie, nie mogąc się powstrzymać.

Ledwo skończył zdanie, zobaczył gwałtowny ruch kija, który zmierzał prosto w kierunku jego twarzy. Wyrwał mu się okrzyk zaskoczenia, kiedy usiłował jak najbardziej odsunąć głowę. Usłyszał suchy trzask tuż obok prawego ucha. Ból jednak nie nadchodził. Daniel otworzył oczy i zorientował się, że Martewall celowo uderzył w kolumnę, zaraz obok niego.

– Moja cierpliwość się skończyła. Lepiej, żebyś mnie już nie prowokował – wycedził rycerz przez zaciśnięte zęby.

Daniel zniósł jego lodowate spojrzenie.

– Jeszcze długo nam zejdzie, jeśli będziesz uparcie zaprzeczał prawdziwości moich słów – odpowiedział, usiłując opanować przyspieszony oddech. – Przyznaj od razu, że nie interesuje cię prawda, i po prostu mnie powieś. I tak już przecież osądziłeś mnie i skazałeś, nie dając mi nawet dojść do głosu.

Spodziewał się oschłej odpowiedzi lub gwałtownej reakcji, Martewall jednak tylko zbliżył się do niego i zatrzymawszy się na moment, stanął z nim twarzą w twarz. W tej samej chwili opuścił trzymany drąg.

– W porządku. Opowiedz mi swoją historię i spróbuj mnie do niej przekonać. Później porozmawiamy poważnie o prawdzie i wszystkich tych szczegółach, których nie zdołasz mi wyjaśnić. A jeśli w tym czasie pogorszy mi się humor, odpowiedzialność i konsekwencje za taki stan rzeczy spadną wyłącznie na ciebie.

Jego groźby wzbudzały strach, Daniel jednak zdecydował, że za wszelką cenę nie może go okazać. Gra toczyła się nie tylko o jego życie, lecz także o przyszłość Iana. Wziął głęboki oddech, żeby uspokoić skołataną serce i ułożyć myśli. Zaczął od samego początku, modląc się o to, by nie popełnić żadnego fałszywego ruchu.

Nie chciał się nawet zastanawiać, do czego zdolny byłby Geoffrey Martewall, gdyby zechciał wprowadzić w czyn swoje groźby. Wiedział tylko, że miałyby niewiele możliwości oporu, jakkolwiek wielka byłaby siła jego woli.

Zaczął od tego, co jakiś czas temu stało się kłamstwem oficjalnie uznanym

i puszczone w obieg przez księcia Guillaume'a i samego króla Filipa Augusta, aby ochronić ród Ponthieu i królestwo Francji przed zakusami spiskujących nieprzyjaciół. Ian był księciem Jeanem Markiem de Ponthieu, Jerome Derangale zaś nie rozpoznał go przy okazji ich pierwszego spotkania, gdyż młodzieniec sobie tego nie życzył, wiedząc, że Anglik polował na pannę Isabeau de Montmayeur – przez to właśnie ukrywał się w przebraniu.

Tak naprawdę była to jedyna bujda w tej historii – cała reszta, o dziwo, nie mijала się z prawdą.

Daniel opowiedział o pierwszej próbie porwania Isabeau, o torturach, którym został poddany Ian w miasteczku Cairns, o ucieczce przed egzekucją, której miał zostać poddany bez uprzedniego procesu, o zaplanowanym wiele miesięcy później nikczemnym zamachu, który miał się dokonać w świętym miejscu – w opactwie w Couronne – i w wyniku którego Ian i Isabeau o mało nie stracili życia. Nie wspomniał o wysłanych na terytorium Francji wspólnikach Derangale'a, którym przykazane zostało doprowadzić do skutku intrygi ich poplecznika – był wśród nich prawdziwy Jean de Ponthieu, który zginął z rąk Iana w mętliku tamtych strasznych dni. Jednak mimo że pominął ów szczegół, przedstawił czyny angielskiego rycerza z całym ich rażącym bezceństwem.

– Kiedy Derangale odkrył, że od początku miał do czynienia z księciem Jeanem Markiem, stał już przed obliczem króla Francji na prywatnej audiencji. Było zbyt późno, by wycofać oskarżenie i znaleźć usprawiedliwienie swego postępowania – wyjaśnił Daniel. – Chcąc ocalić twarz, w dalszym ciągu podtrzymywał oszczerstwo, które rzucił na mego pana.

Martewall przez cały czas tkwił w przerażającym bezruchu.

– Znałem Jerome'a. Nie był pierwszym lepszym złoczyńcą – powiedział w końcu, rozdygotany. – Uprzedzam cię: twoje słowa nie są w stanie mnie przekonać, pogarszają tylko stan mojego ducha.

Słyszając metaliczny ton w głosie swego pana, strażnik stojący za Danielem pociągnął za sznury.

Amerykanin poczuł, jak ból kąsa jego nadgarstki i wyciska łyżę z oczu. Z piersi wyrwał mu się zdławiony jęk.

– Nie było cię wtedy we Flandrii, wiem to od twojego ojca. Nie możesz zaprzeczyć prawdzie tylko dlatego, że nie widziałeś jej na własne oczy! – naciskał mimo to. – Zapytaj swoich ludzi! To Flamandzycy, zgadza się? Na pewno doszły do nich słuchy o tej historii! Niech ją potwierdzą, jeśli nie brak im odwagi!

Martewall rozejrzał się wokół. Hektor wyprostował się i potrząsnął głową.

– Służyłem w innej części kraju, zanim żeście przybyli – wyjaśnił.

Drugi Flamandczyk, stojący obok Daniela, poruszył się z zakłopotaniem.

– Masz coś do powiedzenia? – zwrócił się do niego Martewall, któremu nie

umknęła reakcja mężczyzny.

– Przez pewien czas przebywałem w garnizonie w fortecy Les Corbes, niedaleko miasteczka Cairns, i pamiętam, że pewnego dnia przyprawiono tam francuską damę – odpowiedział mężczyzna z ociąganiem. – Traktowano ją z należyтым szacunkiem i było powszechnie wiadomo, że jest ważną zakładniczką. Nic więcej nie wiem prócz tego, że któregoś dnia przybył książę de Ponthieu, żeby ją odbić, nie płacąc okupu. Musieli mu ją zwrócić, zwłaszcza że się okazało, że nie chodzi o żadną damę, lecz o zwykłą dziewczkę służebną.

– Zgadza się, wszystko to zaszło w marcu ubiegłego roku – dodał Daniel, gdy usłyszał pierwsze słowa potwierdzające jego historię. – Kobieta ta była dwórką *madame* de Montmayeur i została porwana przez pomyłkę zamiast swej pani, która w tym samym czasie ukrywała się wraz ze mną i księciem Jeanem. Nietrudno się domyślić, kto zarządzał fortecą, w której przetrzymywano zakładniczkę...

– Szeryf Jerome Derangale – przyznał Flamandczyk, niejako wbrew własnej woli.

Daniel zerknął na Martewalla wyzywająco.

– Twój przyjaciel nie miał talentu do zapamiętywania twarzy – powiedział zaczepnie, mimo narastającego bólu w ramionach. – Musiał przyznać przed samym królem Filipem, że nie poznał panny Isabeau, mimo że miał ją pod samym nosem. Czy to ci wystarczy, żeby zwątpić w jego umiejętności rozpoznawania oszustów, czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

Martewall nie odpowiedział, jednak jego pełne napięcia milczenie było aż nazbyt wymowne. Drąg, który trzymał oburącz, pękł od nieświadomego nacisku jak złamana zapalka, wyrывая go z zamyślenia.

Rycerz ze złością rzucił na ziemię połamany kij.

– Jeszcze mi tylko nie wyjaśniłeś, z jakiego powodu twój rzekomy pan wciąż jest uznawany za martwego w swych własnych ziemiach. Dlaczego tułał się jak włóczęga, zamiast siedzieć we własnym zamku – miejscu, które do niego należy? Może się ukrywał? – podjął Geoffrey szorstkim tonem, Daniel zrozumiał jednak, że zmienił temat, ponieważ zaczynało brakować mu argumentów.

– Dopiero co udało mu się uwolnić z długiej niewoli, w której spędził co najmniej tyle samo czasu, co ty – odpowiedział mu z naciskiem i przeszedł do historii, którą Ian opowiedział w klasztorze Saint Michel, by usprawiedliwić długie miesiące swej nieobecności.

Po raz kolejny Martewall nie miał sposobności, by podważyć jego słowa – nie był naocznym świadkiem wydarzeń. Cały ten czas spędził w więzieniu w Soissons i nie miał zbyt wielu możliwości kontaktowania się ze światem. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Derangale nakazał zamordować Iana i że wysłał swych płatnych zabójców w pościg za księciem.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, aż wreszcie Daniel powiedział:

– Ja zaś napotkałem mego pana po drodze do klasztoru Saint Michel, gdzie zmierzałem, by odmówić za niego modlitwę. Uznałem za cud to, że widzę go żywego – już dawno straciłem nadzieję na jego powrót. Podróżowaliśmy incognito, kiedy przecięły się nasze ścieżki. Obawialiśmy się niepotrzebnych kłopotów i, jak widać, niewiele się pomyliliśmy.

Martewall wciąż milczał, w jego oczach można było jednak wyczytać mieszankę gwałtownych uczuć, jakie wzbudziła w nim opowieść Daniela: frustracja łączyła się z oburzeniem, bezsilnością i złością. Nad nimi wszystkimi przeważało jednak wahanie.

– Jerome Derangale był zbrodniarzem. Taka jest prawda, a ja znam wszystkie fakty, które to potwierdzają – zawyrokował Amerykanin bez cienia litości. – Ty zaś upierasz się przy swoim tylko dlatego, że nie chcesz przyznać, że zostałeś oszukany i zmanipulowany przez tego człowieka.

– To nieprawda – prychnął Martewall, nieoczekiwanie czując, że został przyparty do muru.

Daniel ciągnął dalej, niewzruszony:

– Jestem w stanie zrozumieć, że chciałeś przymknąć oko na czyny tego, kogo miałeś za dobrego przyjaciela, jednak jeśli dalej będziesz zawzięcie przeczył jego winom, nawet teraz, gdy znana jest ci prawda, okażesz się zbrodniarzem, takim samym jak on.

Twarz Martewalla była blada jak woskowa świeca – zaciskał z całej siły zęby, z oczu zaś wyzierał mu niepohamowany gniew. Wyciągnął miecz gwałtownym gestem i wymierzył go w więźnia.

Daniel znieruchomiał, czekając, aż ostrze zanurzy się w jego ciele. Całą siłą woli zmusił się do patrzenia swemu nieprzyjacielowi prosto w oczy przez tych kilka przerażających sekund.

Czas rozciągał się nieznośnie w zupełnej ciszy.

Martewall wciąż groził swemu więźniowi, nie mógł jednak zdecydować się na cios – spoglądał na niego tylko, tak jakby chciał go przeszyć samym spojrzeniem. Widać było, że dręczą go wątpliwości.

– Panie... – zaczął ostrożnie Hektor, przerywając odrętwienie.

Angielski rycerz zamrugnął, otrząsając się z zimnej furii. Oddychał głęboko, poprawiając chwyt miecza w dłoni, po czym zmusił się, by opuścić ostrze.

Daniel wciąż się w niego wpatrywał, świadomy, że ten pojedynek bez słów może zdecydować o jego losie.

Również Hektor to zrozumiał i nie odważył się powiedzieć nic więcej.

Wreszcie Martewall wsunął miecz do pochwy, odwrócił się i bez słowa opuścił lochy. Nie spojrzął za siebie ani razu, pozostawiając swoich ludzi w konsternacji.

Minęła dłuższa chwila, zanim Daniel odczuł ulgę. Martewall naprawdę sobie

poszedł. Dotarło to do niego dopiero w chwili, gdy usłyszał z ust Hektora rozkaz: „Rozwiążcie go”. Po chwili Amerykanin siedział na ziemi oparty o filar, próbując odzyskać oddech, masując obolałe ramiona i poranione przez sznury nadgarstki.

Flamandczycy wyszli z celi, jeden za drugim, ignorując więźnia i wymieniając posępne spojrzenia.

Hektor opuścił pomieszczenie jako ostatni. Zasuwał za sobą kraty i zabrał pochodnię, pozostawiając Danieka samego w ciemnej, zimnej ciszy.

Rozdział 13



Kiedy Ian wyszedł ze stodoły i skierował swoje kroki na niewielki plac w centrum Aversly, słońce było już wysoko nad horyzontem, a między domami wrzała poranna krzątania. Mężczyźni i kobiety ładowali bagaże na grzbiety mułów i na wozy i zapędzali w stada bydło w zagrodach. Nawet dzieci pomagały co siłą, a te najmłodsze, razem z psami, pilnowały dobytku.

Rozglądając się dookoła, Ian wypominał sobie spóźnienie: spał zbyt długo, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Poprzedniego wieczoru zmęczenie sprawiło, że całkiem opadł z sił. Obudził się dopiero, gdy wzmógł się harmider wywołany krzątaniem mieszkańców małej osady.

Z drugiej strony nikt nie pofatygował się, żeby go obudzić. Od kiedy chwycił w dłoń miecz i bez żadnego wahania zagroził królewskiemu wysłannikom, całe miasteczko patrzyło na niego z szacunkiem, być może graniczącym z przestachem – tak czy siak, jego mieszkańcy woleli trzymać się od niego na bezpieczną odległość. Był obcokrajowcem, nie przeląkł się uzbrojonych żołnierzy, a przede wszystkim z ręcznie posługiwał się mieczem. Tyle wystarczyło, żeby nie przesadzać z wylewnością w stosunku do niego i czekać na to, by sam powziął decyzję.

„Pomyśleć tylko, co mogliby zrobić, gdyby się dowiedzieli, że jestem rycerzem znienawidzonego dworu” – pomyślał Ian. Nie umknęły mu ukradkowe spojrzenia ludzi, kiedy szedł przez środek osady. On sam nie był przyzwyczajony do pięknie brzmiących pochwał i ciężar lokalnej sławy, który nosił na barkach, sprawiał, że czuł się coraz bardziej zakłopotany, zwłaszcza gdy wszyscy dookoła traktowali go w szczególny sposób. Ta mieszanka onieśmienia, szacunku i poddaństwa, z którą średniowieczni wieśniacy odnosili się do przedstawicieli wyższych sfer, zawsze była dla niego uciążliwa – rozumiał, że tak naprawdę nic nie różni go od tamtych ludzi.

Podszedł do studni, gdzie odnalazł Bulla zajętego wydawaniem poleceń każdemu, kto się tam znajdował. Stary żołnierz wiedział, jak zorganizować oddział, i nie szczędził trudu, żeby zaprowadzić wojskowy porządek wśród mieszkańców.

– Dzień dobry – powiedział na widok Iana. – Jeśli jesteś głodny, tam znajdziesz mleko, chleb, masło i wędzony boczek – dodał, wskazując zadaszenie domostwa, w którym kilka kobiet przygotowywało coś w rodzaju publicznego śniadania dla wszystkich pracujących. – A jeśli jest ci zimno, sugeruję dorzucić do tego parę

dobrych łyków pitnego miodu.

Ian się uśmiechnął. Bull jako jedyny obchodził się z nim jak równy z równym po wydarzeniach z królewskimi wysłannikami. Wciąż czuł się żołnierzem i nie widział powodu, by odnosić się inaczej do towarzysza broni.

– Starczy mi parę kęsów jedzenia i trochę mleka, dziękuję – odparł chłopak, ubolewając, że w średniowiecznej Europie kawa jest wciąż nieosiągalna. Potarł dłonie, jedną o drugą, chcąc się ogrzać w lodowatym powietrzu poranka, i rzucił okiem na przygotowania trwające w osadzie. – Czy mogę przydać się w jakikolwiek sposób? – zapytał. – Chciałbym jakoś odwdzińczyć się za gościnę.

Bull potrząsnął głową.

– Nie ma takiej potrzeby. Mamy aż nadto rąk do pomocy. Zresztą i tak wszyscy są już prawie gotowi.

– Jesteście pewni, że chcecie wyjeżdżać?

– Długośmy o tym rozmawiali poprzedniego wieczoru i nikomu nie w smak tu zostawać. Zresztą wielu z nas już wcześniej myślało o nowym miejscu – zima robi się coraz sroższa, a tutaj naprawdę nie ma już z czego wyżyć. Można rzec, że to, co zdarzyło się wczoraj, popchnęło nas wreszcie do działania.

– Co zrobicie z poborcami?

– Zostawimy ich tutaj. Leżą związani w jednej ze stajni i tam też pozostaną. Trochę to zajmie, zanim ich towarzysze przybędą, żeby ich odnaleźć, co daje nam dzień lub dwa przewagi. W tym czasie te łachudry mogą się zająć liczeniem pajaków na ścianie.

Ian przytaknął w zamyśleniu, patrząc na wozy i muły, na które ładowano dobytek.

Nie starczyło ich dla wszystkich, mimo że wykorzystano także wierzchowce i muły poborców. Z tego względu zwierzęta i pojazdy zostały zarezerwowane wyłącznie do transportu najcięższych rzeczy, starców i małych dzieci. Mężczyźni i dorosłe kobiety mieli odbyć podróż pieszo, niosąc tobołki, sakwy i wory na własnych plecach.

Scena była niezwykle smutna i Ian spochmurniał, widząc wszystkich tych biednych ludzi zmuszonych opuścić domy w samym środku zimy. Nikt jednak nie zdawał się narzekać na swój los – wszyscy starali się pomagać sobie nawzajem.

– Zdecydowaliście, dokąd się udać? – zapytał wreszcie chłopak.

– Rozdzielamy się – powiedział Bull i uczynił szeroki gest ręką. – Kilku młodych zmierza do Glenhaven, trzy rodziny mają krewnych w okolicy, więc poszukają schronienia u nich. Reszta skieruje się do Dunchester.

– Może lepiej by było, gdybyście wszyscy zdecydowali się na Glenhaven – powiedział Ian, nieco zaniepokojony. – Dunchester nie wydaje mi się gościnnym miejscem.

– A to dlaczego? – spytał Bull ze zdumieniem.

Ian wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie podoba mi się już sama nazwa. Brzmi jakoś wrogo.

Zdał sobie sprawę, że jego wyjaśnienie zabrzmiało absurdalnie, ale nie miał pojęcia, czym uzasadnić swe ponure przeczucie. Nie mógł przecież odpowiedzieć, że prawdopodobnie czytał coś na temat tego miejsca w podręcznikach do historii, ale nie pamięta powodów, dla których twierdza została tam właśnie wspomniana. Chciał jedynie, żeby mieszkańcy Aversly nie wpadli z deszczu pod rynnę.

– Żadne miejsce w tej okolicy nie jest teraz przyjazne – skomentował ponuro Bull. – *Sir* Murrow z Glenhaven też nie byłby szczególnie uszczęśliwiony, dowiadując się, że cała wioska pod jego jurysdykcją zbuntowała się przeciwko królewskim poborcom podatkowym, a gdybyśmy przybyli tam całą grupą, natychmiast by się zorientowali, kim jesteśmy. Mielibyśmy do czynienia nie tylko z królewskimi żołnierzami, ale także z feudałem. Nie, uwierz mi, Dunchester to o wiele lepsze rozwiązanie, tam przynajmniej baron nie będzie miał powodu, żeby się z nami rozprawić. O ile pamiętam, *sir* Harald Martewall był wiernym zwolennikiem Ryszarda Lwie Serce, walczył u jego boku w Ziemi Świętej i we Francji; zdaje się, że to sam Ryszard w dowód wdzięczności za wierną służbę uhonorował jego ród herbem złotego lwa na czarnym tle. Stary baron będzie pobłażliwy wobec kogoś, kto musiał znosić prześladowania ze strony Jana bez Ziemi.

„To do młodego barona nie mam zaufania” – pomyślał Ian i była to kolejna przyczyna, dla której nie przekonywała go wyprawa do Dunchester.

– Ty też się tam udasz? – zapytał Amerykanin.

– Tak, zdaje się, że i ja obiorę ten kierunek. Zjeździłem wiele ziem w moim życiu, tam jednak jeszcze mnie nie było. Zobaczmy, może naprawdę żyje się tam inaczej.

– Wspominałeś, że masz synów; nie zastanawiałeś się, czyby do nich nie dołączyć?

Bull wykrzywił twarz w krzywym uśmiechu.

– Mam dwóch synów, obaj są murarzami z zawodu. Teraz przebywają w Londynie i budują kościoły – plac budowy w mieście to nie miejsce dla mnie. A Dunchester to jeszcze nieujarzmione ziemie, bardziej bym się tam nadawał. Wciąż jeszcze budują domy z drewnianych bali i wydzierają skrawki pól z leśnej dziczy – zawsze przyda się tam taki rębacz jak ja.

– Rozumiem. – Ian zamilkł na chwilę w zamyśleniu.

– Będziesz nam towarzyszył? – zapytał Bull. – Kierowałeś się w stronę Dunchester, prawda? – przypomniał sobie. – Dobrze będzie, jeśli się do nas przyłączysz i razem udamy się w drogę.

Ian zastanawiał się nad propozycją. Z jednej strony czuł ciężar odpowiedzialności – to przez niego mieszkańcy Aversly musieli opuścić swe domy i udać się w pieszą wędrówkę, dlatego chciał choćby eskortować ich, nim dotrą do celu, aby mieć pewność, że nie spotkają ich inne niebezpieczeństwa. Z drugiej jednak strony, jeśli wciąż chciał wysledzić łódź, zdobyć informacje o losie Daniela i uspokoić własne

sumienie, musiał niezwłocznie dotrzeć do zamku. Poza tym im więcej mijało czasu, tym większe było ryzyko, że żołnierze Martewalla i inni, którym dał się dotąd we znaki, zdołają go wytropić i schwytać.

– Ile trzeba czasu, żeby tam dotrzeć? Jak daleko stąd jest Dunchester? – Chłopak postanowił zebrać garść informacji przed podjęciem decyzji.

– Jeśli będziemy maszerować żwawym krokiem, dotrzemy do celu pod wieczór – powiedział Bull.

Ian był zniechęcony. Cały dzień pieszej wędrówki mógł pokrzyżować jego plany. Nie mógł pozwolić sobie na jakąkolwiek zwłokę. Co więcej, niebezpieczeństwo było podwójne – ze strony ludzi Martewalla, którzy mogli schwytać go wraz z obywatelami Aversly, oraz ludzi króla, ścigających wiejskich rebeliantów.

– W każdym razie powinieneś zatrzymać się tam na noc – ciągnął Bull, widząc jego wahanie. – Kierując się na północ, co najmniej przez jeden dzień wędrówki nie trafisz na nikogo.

Ian potrząsnął głową z ciężkim sercem.

– Chciałbym wam towarzyszyć, ale nie mogę. Muszę wyruszyć sam. Naprawdę. W Dunchester czeka na mnie statek, muszę dotrzeć tam jak najszybciej po tym, jak dobije do brzegu.

– Statek? Ach, to zmienia postać rzeczy! – zawołał Bull, wyraźnie zaskoczony. – A więc nasze drogi musiałyby się rozejść, tak czy inaczej.

– To port i zamek nie znajdują się w tym samym miejscu? – zdziwił się Ian. Takiej ewentualności nie brał pod uwagę.

– Nie, dzieli je kilka mil. Dam ci wskazówki, jak tam dotrzeć. Przez krótki odcinek pójdziesz tą samą trasą co my, później udasz się szlakiem w kierunku południowym, my zaś wciąż będziemy kierować się w głąb lądu, w stronę zamku.

Ian analizował sytuację. Jeśli zamek i port znajdowały się daleko od siebie, zmniejszało się znacznie prawdopodobieństwo napotkania Geoffreya Martewalla w drodze. Być może angielski rycerz od razu skierował swoje kroki w kierunku domu. W każdym razie Martewall raczej nie pozostałby w porcie, zwłaszcza że wracał do zamku po długiej nieobecności. Z tego powodu Ian mógł poczuć się bezpieczniej podczas podróży i nie musiał zachowywać daleko posuniętych środków ostrożności.

Sprawy miały się lepiej, niż mógł się tego spodziewać. Być może już w Dunchester zdołałby odnaleźć statek, który pozwoliłby mu wrócić do Francji, kiedy tylko upewni się, że Daniel na dobre opuścił średniowiecze.

– W takim razie będę wam towarzyszył aż do rozstaju dróg – zdecydował, zadowolony, że znalazł rozwiązanie, które godziło wszystkie jego plany. Mógł ochraniać mieszkańców chociaż przez część ich drogi, nie narażając się na zbytne niebezpieczeństwo.

Również Bull był usatysfakcjonowany.

– Doskonale. Czas upłynie nam raźniej i zdążymy porozmawiać jeszcze przez chwilę, zanim przyjdzie się nam pożegnać. A teraz idź, zjedz coś. Ja w tym czasie zorganizuję załadunek na kilka mułów, które nam pozostały, i będziemy gotowi do drogi. Wyjaśnię ci, jak iść, kiedy będziemy już na szlaku.

Ludność Aversly wyruszyła w podróż, uformowawszy niewielką, zorganizowaną karawanę. Pożegnali wszystkich tych, którzy udawali się w innych kierunkach, i niespiesznie, choć zdecydowanym krokiem rozpoczęli marsz w stronę Dunchester. Kilka osób odwróciło się, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na opuszczone domy. Na ten widok Ian poczuł, że ponownie odzywiają się w nim wyrzuty sumienia. Tak naprawdę jednak żaden podróżny, nawet z tych najbardziej melancholijnych, nie miał do Iana pretensji – wszyscy wręcz spodziewali się, że wraz z Bullem będzie ich prowadził, idąc na czele pochodu.

W rzeczywistości Ian pozwolił, by to drwał przewodził, sam bowiem nie znał okolicy i bał się pomylić drogę, którą się poruszali. Sam zaś obserwował leśne zarośla i upewniał się, że na szlaku nie zaskoczy ich żadna przeszkoda czy niebezpieczeństwo.

Również Bull zachowywał czujność, siedząc na wozie, na który spakował swój skromny dobytek i na którym usadził też kilkoro dzieciaków. Obserwował ścieżkę i dbał o to, by jego prywatny oddział wojska utrzymywał równe tempo. Jednocześnie, tak jak obiecał, gawędził z Ianem, opowiadając głównie o sobie, swych dorosłych już synach i żonie, która zachorowała i umarła trzy lata wcześniej. Nie wchodził w szczegóły swej żołnierskiej kariery i nie zadawał Ianowi zbyt wielu pytań, za co ten był mu niezmiernie wdzięczny.

Dzieci siedzące na wozie patrzyły nieustannie na młodzieńca, pożerając wzrokiem jego miecz i wierzchowca.

Dobiegało południe, kiedy karawana dotarła do skrzyżowania dróg, skrytego w gęstwinie leśnych chaszczów.

Bull gestem zatrzymał część pochodu.

– Jesteśmy. W tym miejscu musimy się rozdzielić – oznajmił. Pozostali podróżni powoli go wyprzedzali. – W rzeczywistości rozstaje, które prowadzi do portu, znajdują się kawałek dalej, ale ta krzyżówka pozwoli oszczędzić ci trochę czasu i drogi, chociaż być może jest nieco mniej wygodna. Nie ciągniesz jednak ze sobą wozu, a twój koń doskonale sobie poradzi na mniej ubitej drodze; wystarczy, że będziesz uważał na niskie gałęzie. Jadąc przed siebie, dotrzesz do głównej drogi do portu.

– Wszystko pójdzie dobrze – powiedział Ian. – Dla mnie liczy się tylko to, bym dojechał tam jak najszybciej, odnalazł przyjaciela i mógł wyruszyć od razu w dalszą drogę.

– Śpieszno ci do domu, co? – skomentował drwal, posyłając mu porozumiewawczy uśmiech. – Twoja piękna na ciebie czeka? I może jakiś brzdąc?

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję ujrzeć narodziny mojego pierworodnego już niedługo – odparł Ian z przejęciem i pomyślał o czekającej na niego Isabeau.

Bull wybuchnął śmiechem – czytał w nim jak w otwartej księdze.

– A więc masz pełne prawo do tego, by gnać do niej na złamanie karku!

Rozdzielili się po kilku minutach, wymieniając pozdrowienia i życząc sobie nawzajem powodzenia. Ian pożegnał ludzi z Aversly i skierował się samotnie w obranym przez siebie kierunku.

Poruszał się tak szybko, jak było to możliwe, w końcu jednak musiał zwolnić, żeby dać odpocząć zwierzęciu.

– Czempion to z ciebie nie jest, co? – powiedział do szarego ogiera, który parskał ze zmęczenia. – Miejmy nadzieję, że dasz radę mnie nieść aż do samego końca naszej trasy.

Zdawało się, że koń zrozumiał jego pytanie – potrząsnął grzywą i ruszył dalej nieco bardziej dostojnym krokiem.

Ian uśmiechnął się półgębkiem i znów zaczął uważnie rozglądać się dookoła, szukając wzrokiem punktów odniesienia, którymi miał się kierować, by nie zgubić się na szlaku.

Było zimno, lecz przynajmniej nie padało i chłopak zdołał się dość dobrze zabezpieczyć przed niską temperaturą, otulając się szczelnie płaszczem. W lesie panowała cisza, wilgotne powietrze przesiąknięte było zapachem mchu, jodeł i mokrej ziemi.

Nie było łatwo zorientować się w trasie – nitka szlaku wiła się wśród drzew i często znikwała pośród zamarznionych kałuż błota i stosów gnijących liści. Instrukcje Bulla były jednak na tyle szczegółowe, że Ian zdołał nie stracić z oczu właściwego kierunku i względnie pewnie poruszał się w coraz gęstszych zaroślach. Minęło już południe, a on wciąż nie zatrzymał się ani na chwilę. Kiedy jednak głód zaczął mu dokuczać, zdecydował się zatrzymać na krótki posiłek.

Zeskoczył z siodła i pozwolił odpocząć koniowi. Usiadł na suchym kamieniu pod drzewem, żeby zjeść to, co ze sobą zabrał: pajdę chleba, trochę solonego mięsa. Pociągnął też parę łyków wina.

Otwierając zawiniątko, w którym zapakowane było jedzenie, spojrzął w kierunku, z którego nadszedł. Droga prawie całkowicie zlewała się z leśną roślinnością.

O tej godzinie podróżni, którzy opuścili wioskę, pewnie zdążyli się już zatrzymać, by zjeść obiad i odpocząć. Nie mogli jednak marnować czasu. Bull powiedział, że

muszą sprawnie maszerować, żeby dotrzeć do Dunchester jeszcze tego samego wieczoru, i Ian był przekonany, że stary żołnierz nie pozwoli swojej spontanicznie zebranej drużynie zbyt długo leniuchować.

„Dowódca jak się patrzy” – pomyślał Ian z uśmiechem i uznał, że grupa podróżnych ma dużo szczęścia, że prowadzi ich Bull za przewodnika – były żołnierz, taki jak on, nadawał się do tego zadania idealnie.

Ian niespodziewanie przypomniał sobie o Lisim Ogonie. Kto wie, czy chłopaczek wrócił do domu i czy udało mu się uniknąć kolejnych tarapatów. Naprawdę miał taką nadzieję, wiedząc, że w Anglii nastąpiły wyjątkowo ciemne czasy.

Ian się zasepił. Wszyscy, których spotkał, od kiedy podróżował po angielskiej ziemi, mieli już niedługo stawić czoło problemom i trudom wojny domowej.

Cisza lasu tylko pogłębiała jego melancholię i stanowiła doskonałe tło dla smutnych myśli zrodzonych z dotkliwej samotności.

Żeby choć trochę otrząsnąć się z odrętwienia, Ian zaczął jeść, ale skąpy i samotny posiłek nie pomógł mu pozbyć się ciemnych myśli.

„Prędzej czy później zdołam zjeść posiłek we własnym domu” – pomyślał i oczami wyobraźni ujrzał ogromną bawialnię Châtel-Argent, znajdujący się w niej kominek, wielki stół, arraszy zdobiące ściany i okna rozlokowane tak, aby pomieszczenie było skąpane w słońcu przez większą część dnia.

Wyobrażał sobie wnętrze zamku, powiewające wysoko na jasnych wieżach biało-niebieskie sztandary, na których widniał herb ze srebrnym sokołem, i przez chwilę tęsknota uderzyła w niego z całą siłą. Rozpoczął rozgrywkę *Hyperversum*, by móc wrócić do miejsca, które nazywał domem, a tymczasem nie zdołał nawet zbliżyć się do niego na krok, tak jakby jakaś niewidzialna siła robiła wszystko, by zawrócić go z obranej drogi.

Pomyślał o Isabeau, która czekała na niego samotnie od wielu miesięcy, czując, jak rośnie ich pierwsze dziecko, nie mogąc podzielić się z nim niepokojami i nadziejami, które niosło ze sobą zbliżające się rozwiązanie.

„Nadchodzę... Błagam, poczekaj na mnie jeszcze kilka dni” – prosił Ian w myślach swą ukochaną, czując nieznośne pragnienie chwycenia jej ponownie w ramiona. – „Przysięgam ci, że będę z tobą na długo, zanim urodzi się nasz syn, a później już nigdy cię nie opuszczę”.

Złożył ostatnią przysięgę, kończąc swój skromny posiłek. Zdecydował, że nadeszła chwila, by dosiąść konia i natychmiast ruszyć w dalszą podróż.

Szlak delikatnie wznosił się ku górze i kończył się nieco dalej, przechodząc w szerszą, ubitą drogę, prowadzącą z północy. Wedle wskazówek Bulla musiał to być główny trakt do portu.

Przez niecałą godzinę jechał prosto przed siebie. Droga pięła się teraz ostro w górę i wyraźnie odznaczała na tle coraz rzadszej roślinności. Ian był zadowolony –

wreszcie mógł przyspieszyć.

Nagle do jego uszu dobiegł daleki rumor.

Był już prawie na samej górze. Z szczytu wzniesienia widać było, jak droga opada, prowadząc z powrotem na równinę. Ian zwolnił i spojrzał w górę między rzadkimi gałęziami drzew, lecz na czystym niebie nie dostrzegł ani jednej chmury, która mogłaby być zapowiedzią burzy.

Wzmógł czujność. Dźwięk nie dochodził z góry – niósł się nieprzerwanie od strony równiny.

Ian poruszał się coraz wolniej, wstrzymał oddech, żeby móc lepiej usłyszeć niepokojący odgłos. Hałas był znajomy, słyszał go już wcześniej – na samo jego wspomnienie krew zmroziła mu się w żyłach.

Zeskoczył z siodła, złapał konia za cugle i dalej ruszył piechotą. Szedł tak, aż dotarł do skraju pochyłości, kryjąc się w gęstwinie. Miał stąd dobry widok na całą okolicę. Spojrzał w dół.

Z tej perspektywy widać było morze: na krańcu półkolistej zatoki wzniesiono niewielki port. Z drugiej strony, na wzgórzu, majaczyła ciemna sylwetka zamku.

Ian zgadł, że zarówno twierdza, jak i przystań należą do lenna Dunchester, jego uwagę przyciągnął jednak ruch, który widać było w oddali z lewej strony zatoki.

Również tam szlaki przecinały gęsty las, lecz między drzewami można było dostrzec czerwone szaty zbrojnych – część z nich jechała konno, część poruszała się pieszo.

Ian dostrzegł metaliczne błyski rzucane przez kolczugi i kopie. Do jego uszu dotarło rżenie koni i skrzypienie wozów.

Przeszył go dreszcz, który nie miał nic wspólnego z panującym zimnem. W odległości kilku mil od miejsca, w którym się znajdował, maszerował gotowy do walki oddział wojska, wprost na zamek Dunchester. Żołnierze mieli na głowach czerwone hełmy z trzema złotymi lwami.

„Herb królewski!” – pomyślał Ian i dotarło do niego, że nie jest świadkiem regularnego przemarszu wojsk, lecz widzi preludium bitwy.

„No i proszę, wojna domowa...” – wymamrotał sam do siebie, czując, że narasta w nim niepokój.

Według podręczników do historii Jan bez Ziemi wysyłał swych żołnierzy, aby siłą ugiąć kolana tych, którzy ośmielili się podważyć królewski autorytet. Wyglądało na to, że stary Martewall z Dunchester był jednym z tych, którzy jako pierwsi zaczęli przeciągać strunę.

Na ten widok przypomniał sobie o grupie mieszkańców Aversly maszerującej dokładnie w tym samym kierunku, co wojsko.

„Trafią prosto w ręce żołnierzy” – dotarło do niego i przeraził się na samą myśl o tym, jaki los może spotkać tych biednych ludzi.

Zawrócił biegiem po swoich śladach, ciągnąc za sobą konia. Wskoczył na siodło, gdy tylko upewnił się, że jest niewidoczny dla tych z dołu. Rzucił się w galop tą samą drogą, którą przybył na szczyt wzgórza, modląc się o to, aby zdążyć. Musiał dotrzeć do Bulla i pozostałych i nakazać im zmianę kierunku wędrówki, zanim będzie za późno.

Koń, ponaglany ukłuciami ostróg, parskał na znak protestu, lecz Ian nie miał wyboru i wciąż zmuszał go do jak najszybszego biegu. W myślach poprosił zwierzę o przebaczenie i raz jeszcze ścisnął je obcasami.

Miał serce w gardle i gdy dotarł do rozstaju dróg, był prawie tak samo zmachany jak jego wierzchowiec. Tam zdecydował się gnać dalej główną drogą, kierując się na północ bez chwili wytchnienia. Przy odrobinie szczęścia i zachowując narzucone tempo, mógł nawet wyprzedzić pochód z Aversly, wykorzystując trójkątny układ dróg. Modlił się o to, żeby osadnicy zdecydowali się na więcej przerw na jedzenie i spoczynek, niż było to przewidziane.

Za zakrętem drogi, w samym środku lasu, powitali go żołnierze w czerwonych szatach.

Ian pociągnął za wodze w ostatniej chwili, niespodziewanie znajdując się *vis-à-vis* zbrojnych. Zamarł z osłupienia.

Żołnierze od razu go dostrzegli. Było ich może dziesięciu, wszyscy konno – grupa zwiadowcza uzbrojona po same zęby w miecze, łuki i kusze. Na dźwięk galopującego konia przeszli w stan gotowości i niektórzy mieli już w rękach broń gotową do ataku.

– Zatrzymać się – rozkazał jeden z nich, podnosząc rękę w wymownym geście groźby. Pozostali wycelowali w niego swoje kusze.

Ian zorientował się, że byłby dla nich łatwym celem, lecz mimo to wcisnął ostrogi w boki swojego wierzchowca i wziął ich z zaskoczenia. Rzucił się pomiędzy drzewa, zanim którykolwiek ze zbrojnych zdołał precyzyjnie wycelować. Uciekał co tchu, słysząc świst strzał przecinających powietrze między gałęziami. Chybiali. Dźwięk grotów wbijających się w pnie drzew sprawiał jednak, że cierpła mu skóra. Popędzał nieustannie konia, ale zmęczone zwierzę nie było w stanie umknąć silnym wierzchowcom żołnierzy, którzy błyskawicznie ruszyli w pościg.

Ian słyszał, jak zbrojni przekrzykują się wzajemnie, nawołując do przyspieszenia kroku.

– Stać!!! – wrzasnął któryś z wściekłością, ale młodzieniec nie odwrócił się za siebie ani razu.

„Za żadną cenę nie mogę dać się teraz złapać!” – powtarzał sobie cały czas z niepokojem, jednak las, który migał przed jego twarzą, nie oferował żadnej kryjówki, żołnierze zaś powoli go doganiali.

Strzały gwizdały coraz bliżej, jedna wbiła się w konar drzewa kilka łokci od niego.

Ian wiedział, że będzie musiał się zatrzymać. Był w pułapce – zbrojni prawie

deptali mu po piętach i ucieczka straciła jakikolwiek sens.

Zawrócił konia i się zatrzymał. Serce podskoczyło mu do gardła. Obnażył miecz.

Jeden z żołnierzy skoczył do przodu, usiłując nadziać go na ostrze. Ian odparł atak i sam zadał cios. Metaliczny łoskot uderzenia zlał się z zaskoczonym okrzykiem bólu żołnierza rannego w ramię. Ian pozwolił, by mężczyzna wyprzedził go popchnięty impetem ciosu, a sam usiłował poprawić chwyt rękojeści swojego miecza. Żołnierz przebył kilka metrów w galopie, zawrócił konia i zatrzymał się, patrząc na Amerykanina. Nie zaatakował ponownie.

Ian zorientował się, że pozostali zbrojni też już dotarli. Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że dwóch próbuje go podejść od tyłu. Reszta drużyny wyłaniała się spomiędzy zarośli, zatrzymując się kawałek od niego. Trzech z nich mierzyło do Iana z kusz.

– Rzuć broń i zsiadaj z konia – zarządził ten, który zdawał się ich dowódcą.

Ian zawahał się, rozglądając się dookoła.

Nie mógł ani uciec, ani się schować, a z walki nie miał najmniejszych szans wyjść zwycięsko.

„Jest ich zbyt wielu, by stawić im czoło w pojedynkę” – przemknęło mu przez myśl. Musiał więc usłuchać rozkazu – poddał się, nie okazując sprzeciwu. Nie bał się śmierci, lecz nie miał najmniejszego zamiaru skończyć gdzieś jako więzień albo dać się naszpikować strzałami.

Z niechęcią rzucił miecz przed siebie, po czym zsiadł z konia, uważając na nagłe ruchy, które mogłyby zachęcić żołnierzy do strzału. Lewą ręką ścisnął cugle konia, prawą trzymał wyraźnie na widoku.

– Ściągnij z siebie pas! – nakazał szorstko ten, którego uznał za dowódcę drużyny; być może obawiał się, że Ian ukrył za nim sztylet.

Ian usłuchał w milczeniu i pozwolił, by jego rycerski pas opadł na ziemię.

Dwóch zbrojnych zeskoczyło z siodła i zbliżyło się do niego z groźnymi minami. Jeden z nich chwycił za miecz i pas, drugi zajął się młodzieńcem, popychając go czubkiem swojego miecza w stronę swojej drużyny.

Żołnierze opuścili kusze, część z nich postąpiła parę kroków naprzód. Patrzyli na Iana wrogo i podejrzliwie, gotowi ukarać go w każdej chwili, tak jak sobie na to zasłużył, rzucając im wyzwanie.

– Ktoś ty? – rzucił kapitan.

Ian zastanawiał się gorączkowo, co powiedzieć, aby jakoś wyplątać się z tej sytuacji. Wiedział jednak, że nie jest w stanie znaleźć na tyle wiarygodnego usprawiedliwienia, by choć w niewielkim stopniu wzmocnić swoją pozycję. Zwłaszcza że zupełnie nie mógł się skupić, kiedy tak stał przed dziesiątką żołnierzy uzbrojonych po zęby, czekających tylko na to, by móc zanurzyć w nim ostrza swoich mieczy.

Kątem oka zauważył poruszenie wśród liści krzewów rosnących za miejscem, w którym stali zbrojni. Pomyślał, że musiało mu się wydawać, jednak ruch powtórzył się, i z pewnością nie byli to nowo przybyli żołnierze. Coś tajemniczego kryło się w zaroślach.

– Kim jesteś? Czemu uciekałeś? Co masz do ukrycia przed królewskimi żołnierzami? – dowódca zaczął przesłuchanie.

Ian słuchał go jednym uchem. Nie chciał, by ktokolwiek to spostrzegł, lecz jego uwagę przyciągała roślinność, która w dalszym ciągu falowała za plecami zbrojnych. Z krzaków wychynął grot strzały.

– No więc?! Głuchy jesteś czy niemowa?! – wybuchnął żołnierz, rozzłoszczony.

Żołdak za plecami Iana ukłuł go mocniej czubkiem miecza – najwyraźniej nie zauważył ruchu pomiędzy drzewami, zajęty gapieniem się na więźnia, lub zwyczajnie barczyste plecy Iana zasłaniały mu widok.

Przed oczami Amerykanina ukazał się łucznik, z precyzją celujący w żołnierzy. Drugi pojawił się za innym konarem, w ślad za nim trzeci wyjrzał zza krzaka.

Łuki całej trójki były napięte.

Chłopak wydał z siebie okrzyk i rzucił się na ziemię dokładnie w momencie, kiedy zobaczył, jak puszczają cięciwy.

Strzały dosięgły i powaliły trzech żołnierzy prawie równocześnie. Pozostali odwrócili się, zaskoczeni, lecz nim zdążyli się zorientować, z której strony nadchodzi atak, następna trójka upadła twarzą w leśne runo pod gradem strzał nieznanymi nieprzyjaciół.

Wyciągnięty na trawie Ian wymacał miecz leżący obok ciała żołnierza, który skonfiskował go chwilę wcześniej. Chwycił go bez wahania, skoczył na równe nogi i zaatakował zbrojnego, który przed nim wyrósł.

Mężczyzna usiłował bronić się przed natarciem Iana, dosięgnęły go jednak ostrza dwóch strzał i padł nieruchomo na ziemię.

Wydarzenia rozegrały się w mgnieniu oka. Po chwili Ian stał sam wśród ciał żołnierzy, podczas gdy z zarośli dookoła niego wychylały się głowy strzelców, z łukami wciąż napiętymi i gotowymi do ataku. Młodzieniec rozejrzał się dookoła, spoglądając kolejno na każdego z nieznanymi, niepewny, czy zagrożenie minęło, czy raczej powinien obawiać się najgorszego.

Podskoczył, zaalarmowany, widząc, że ktoś wyłania się z zarośli po prawej stronie i pędzi w jego kierunku. Na widok Lisiego Ogona, uzbrojonego w procę, odebrało mu mowę.

– I znów się spotykamy! – powitał go chłopiec, szczerząc zęby w uśmiechu, po czym od razu zwrócił się do łuczników: – Ja go znam! – wrzasnął, wskazując na Amerykanina. – Wczoraj w pojedynkę załatwił poborców podatkowych króla w Aversly!

Ian był oszołomiony.

– A ty co tutaj robisz? – zapytał i zaraz dodał: – Nie opowiadaj głupot, wczoraj nie dałbym rady wszystkiego zrobić sam.

Lisi Ogon nie zwrócił jednak uwagi na jego sprzeciw i w dalszym ciągu uśmiechał się z dumą do swoich przyjaciół uzbrojonych w łuki – tak jakby sama znajomość z rycerzem była swojego rodzaju przywilejem, którym można się chełpić przed przyjaciółmi.

Ian zorientował się, że chłopaczkowi nieobca jest partyzantka tego rodzaju.

– Ty zwyczajnie nie potrafisz trzymać się z dala od kłopotów, co? – westchnął.

Również pozostali łucznicy ostrożnie podeszli do przodu. Byli ubrani w proste szaty. W szarych przyodziewkach, skórach i czapach z wełny czy z filcu wyglądali na najzwyczajniejszych myśliwych. Prawie wszyscy mieli przerzucone przez ramię torby łowieckie lub uczone z boku sakwy. Z tej należącej do Lisiego Ogona wystawały pióra przynajmniej dwóch upolowanych ptaków.

Ian zrozumiał, że napotkani ludzie nie są zorganizowaną czy wyszkoloną do walki grupą, kiedy ujrzał, z jakim niepokojem i ostrożnością podchodzą do trupów żołnierzy – jakby w obawie, że mogliby się znów podnieść na nogi.

– Te łachudry są wszędzie! – wykrzyknął jeden z nich, przesuwając ciało nogą.

– No... Przynajmniej ci nigdzie już nie pójda – odparł drugi pogardliwie i zawrócił, żeby pozbierać swoje strzały. – Mam nadzieję, że wśród nich byli i ci, którzy podpalili mi dom.

Trzeci z nich zerknął na Iana.

– No, przyjacielu, niewiele brakowało – rzekł do niego. – Nie radzę zostawać w tym miejscu, zaczyna się tu robić gorąco. Wyjedźcie stąd, póki możecie.

– Kiedy on się niczego nie boi, sam jeden pokonał mieczem czterech najemników! – Lisi Ogon wypowiedział się w imieniu Iana.

– Cicho bądź. Umiem za siebie odpowiedzieć – skarcił go Amerykanin, odzyskawszy wreszcie oddech i rezon. – Kim jesteście? – zapytał.

– Włóczęgami – odparli z goryczą. – Zanim przybyły wojska króla, mieszkaliśmy w Willingham.

– Co się stało? – zaniepokoił się Ian i spojrzał najpierw na Lisiego Ogona, a potem znów na grupę mężczyzn.

– Spalili całą wioskę. Na szczęście jeden z naszych leśników dostrzegł ich z daleka i zdążył powiadomić mieszkańców na czas. Udało nam się pomóc kobietom i dzieciom w ucieczce, jeszcze zanim dotarły oddziały zbrojnych, wielu naszych zginęło jednak, usiłując ocalić zwierzęta i zapasy na zimę. Ci, którzy ocaleli, ukryli się w lasach.

Ian był pod wrażeniem tej wiadomości. Zastanawiał się, jak wojsko, które właśnie widział, mogło uderzyć na małą osadę, zniszczyć wszystko i ukarać ludność tak

dotkliwie, by mogła być przykładem dla innych.

– A tobie nic nie jest? – zwrócił się natychmiast do Lisiego Ogon.

Chłopiec rozjaśnił się z radości, zaskoczony pytaniem, w którym słycać było troskę.

– Mam się dobrze. Kiedy przybyło wojsko, byłem wciąż w drodze powrotnej z Aversly i spotkałem tam resztę uciekinierów z mojej osady. Teraz pomagam: ходzimy na polowania, żeby każdy miał co jeść, i patrolujemy las, żeby ostrzegać naszych żołnierzy, którzy są w okolicy – mówiąc to, mały wojownik zdawał się niezwykle dumny.

– A co na to twoja matka? – zapytał Ian, marszcząc brwi.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Zadowolona nie jest, ale póki co nic się nie stało, więc nie ma o co szumo robić.

„A więc śledzi łowców z ukrycia i dopóki nie wpadnie w kłopoty, jego matka się o tym nie dowie” – przełożył Ian w myślach.

– Znaleźliście więc bezpieczne schronienie dla wszystkich? – zwrócił się z pytaniem do łuczników.

– Spędziliśmy noc w lesie, a następnego poranka wróciliśmy do Willingham, choć nie mogliśmy zostać tam na dłużej – wyjaśnił jeden z nich. – Nie ostał się ani jeden z domów, nie mieliśmy zapasów jedzenia, a wokół kręciło się pełno żołnierzy. Liczyliśmy na to, że będziemy mogli zaprowadzić przynajmniej nasze rodziny do Dunchester i tam poprosić o azyl, lecz oddziały kierują się właśnie w tamtym kierunku.

– Słuchajcie, jest w pobliżu inna grupa podróżujących ludzi, z Aversly – przypomniał sobie Ian z niepokojem. – Również oni kierują się do Dunchester wraz ze swymi dziećmi i kobietami. Jeśli nikt ich nie ostrzeże, najpewniej skończą w rękach żołnierzy.

Ludzie z Willingham wymienili spojrzenia.

– My pójdziemy – powiedział jeden z nich, wskazując na siebie i dwóch towarzyszy. Z wyraźnym pośpiechem zniknęli w leśnych zaroślach.

– Do tej pory nie widzieliśmy na trasie nikogo prócz was i żołnierzy – wyjaśnili mu pozostali. – Ludzie, o których mówicie, muszą być jeszcze daleko. Zdążymy ich uprzedzić.

„Dzięki Bogu” – pomyślał Ian i przetarł dłonią twarz. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

– Wy również jesteście z Aversly? – zapytał go jeden z łowców.

– Nie, on przybył z samego kontynentu. Ledwo co wczoraj dotarł do Aversly – odpowiedział wyczerpująco Lisi Ogon, zanim Ian zdołał uciszyć go groźnym spojrzeniem.

– Wróciłem na swój szlak dzisiejszego poranka – wyjaśnił młodzieniec. – Jechałem

drogą prowadzącą do portu, ale ujrzałem wojsko i zawróciłem, by ostrzec pozostałych przed niebezpieczeństwem.

– Teraz nie musicie się już troszczyć o ich los, my zadamy o to, aby nie spotkało ich nic złego.

– Dziękuję – odparł Ian z wdzięcznością.

– Wam również lepiej będzie zmienić trasę – uprzedził go jeden z łuczników. – Port Dunchester nie jest już bezpiecznym miejscem, zbrojne oddziały kierują się również tam.

Ian, który właśnie miał wsiadać na konia, zatrzymał się i odwrócił.

– Jesteście pewni?

– Nasi ludzie ich widzieli. Cały garnizon najemników oddzielił się od reszty armii i udał na południe. Idą odzyskać kontrolę nad portem w imieniu króla.

„Niech to szlag” – zaklął w myślach Ian.

– Nie wygląda to najlepiej – ciągnął mężczyzna. – Jeśli rozpanoszą się w porcie, to sam zamek zostanie otoczony. *Sir* Harald z pewnością nie zdoła zorganizować wystarczającej obrony. Ma wielkie serce i odwagę, lecz jest już stary i schorowany. Nie uda mu się odeprzeć ataku.

– Ale jego syn powrócił, prawda? – przerwał Lisi Ogon. – Francuzi wreszcie go wypuścili.

Myśliwi skinęli głowami.

– Dzięki Bogu, *sir* Geoffrey nareszcie wrócił do domu...

– Ale...? – wtrącił Ian, widząc, że milczą w zamyśleniu. Na dźwięk imienia swego nieprzyjaciela poczuł skurcz w żołądku. Słuchał ze zdwojoną uwagą.

– Towarzyszyło mu kilku ludzi, on sam zaś jest doświadczonym rycerzem – wyjaśnił strzelec. – Widziałem go wczoraj na drodze prowadzącej do zamku. Musiało mu się coś przytrafić podczas podróży.

– Dlaczego tak myślicie? – zapytał Ian z niepokojem.

– Przynajmniej jeden z jego ludzi zdawał się poważnie ranny – miał rękę na temblaku. Inny z kolei był skrepowany, tak jakby był ich więźniem.

Ian poczuł zimny dreszcz.

– Prowadzili... więźnia?

– Tak. Nie wiadomo, co takiego mógł zrobić, że go pojмали. Zdawał się jednym z naszych.

Ian oparł się o swojego konia, porzucając zamiar wskoczenia na siodło.

– „Jednym z naszych” – z rozpaczą powtórzył sam do siebie po cichu. Nie potrzebował innych szczegółów opisu, by się domyślić, kim mógł być wspomniany więzień. Daniel był przecież blondynem i miał zdecydowanie anglosaskie rysy. W tym samym momencie wszystkie jego obawy przemieniły się w pewność: Daniel nie zdołał uciec i teraz więziono go w Dunchester, w zamku, który przygotowywał się

na oblężenie wojsk króla Jana bez Ziemi.

„I jak ja mam go stamtąd wyciągnąć?” – zadał sobie w pierwszej chwili pełne niepokoju pytanie.

Lisi Ogon chwycił go za łokieć, próbując przyciągnąć jego uwagę.

– I co wy teraz zrobicie? – wypytywał z zaciekawieniem. – Nie możecie przecież iść do portu.

Ian nie wiedział, co odpowiedzieć. „No tak, i co ja teraz zrobię?”

Nie miał jednak większego wyboru.

– Udam się w stronę zamku Dunchester – powiedział w końcu, z ociąganiem. – Mimo że nie wiem, jak dostać się do środka.

Lisi Ogon gapił się na niego z wybałuszonymi oczyma.

– To tak, jakby pchać się w sam środek wilczej paszczy – skomentował jeden z łuczników, potrząsając głową. – Dajcie spokój i zmieńcie wasze plany.

– Nie mogę – odparł Ian, niepokieszony. – Za wszelką cenę muszę odnaleźć mego przyjaciela. Podróżował z *sir* Geoffreyem na jednym statku, a jeśli młody baron powrócił już na swój zamek, to człowiek, którego szukam, jest razem z nim.

– Nie zdołacie w żaden sposób przedrzeć się przez oddziały króla – zawyrokował mężczyzna i Ian musiał przyznać mu rację.

– To prawda – wymamrotał. – Nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Spojrzał na niebo – było już po południu. Czas mijał szybko, a on czuł się całkowicie bezsilny.

Łowcy z kolei przygotowywali się do drogi powrotnej. Wracali do swoich ludzi.

– Udajcie się z nami – zaproponował jeden z nich, widząc rozterkę młodzieńca. – Nocleg w lesie w pojedynkę nie jest dobrym pomysłem, a teraz i tak nic nie zdziałacie. Jeśli prawdą jest, żeście dzielni w bitwie i nie pałacie miłością do najemników króla Jana, w Willingham zapewnimy wam godne przyjęcie.

Lisi Ogon, który nie spuszczał z Amerykanina ciekawskiego spojrzenia, zareagował na propozycję entuzjastycznym uśmiechem.

– Tak, pójdźcie z nami! – nalegał podekscytowany i złapał go za rękaw.

Jako że Ian nie miał lepszego pomysłu, zrezygnowany ruszył przez las za myśliwymi.

Rozdział 14



Ci, którzy ocalili z tragedii, poprzedniej nocy wzniesli niewielki, prowizoryczny obóz na placu wokół studni. Pozostałości fundamentów domów i wszystko to, czego nie strawił ogień, mieszkańcy wykorzystali do sklecenia jakichkolwiek schronień. Było zbyt zimno, by spędzić noc pod gołym niebem. Zwykły namiot czy palenisko nie wystarczyłyby do ochrony przed mrozem.

Mężczyźni, którzy nie udali się na polowanie i nie byli poważnie ranni, usiłowali zapewnić pozostałym jak najlepsze warunki. W powietrzu rozbrzmiewały rytmiczne uderzenia młotów i siekier. Kobiety zajmowały się dziećmi i rannymi, rozpałały ogniska, żeby przyrządzić posiłek, i szukały razem nielicznych garnków i patelni, które nadawałyby się jeszcze do użytku.

Dwa ubłocone psy włóczyły się między domami – były jedynymi zwierzętami w zasięgu wzroku. Martwą ciszę przerywały tylko stłumione odgłosy rozmów i głuchy płacz tych, którzy w nocy stracili swoich bliskich. Ian poczuł, że ściska mu się serce. Nie był w stanie nic zrobić i obserwował scenę z rosnącym współczuciem.

Również Lisi Ogon milczał i zdawało się, że jego niesłabnący entuzjazm na chwilę przygasł. Chociaż był cały spięty, trzymał głowę wysoko, idąc obok Iana.

Myśliwi zostali powitani z wyrażną ulgą, gdyż jako jedyni byli w stanie zapewnić jedzenie mieszkańcom wioski. Kobiety wyszły im na spotkanie i niektóre z nich rzuciły się w ramiona mężom wracającym z łowów. Mężczyźni opróżnili sakwy, wyciągając leśne zdobycze. Nie było tego zbyt wiele, biorąc pod uwagę liczbę osób do wykarmienia, wciąż jednak lepiej niż nic. Kobietom udało się znaleźć trochę chleba i sera wśród ocalałych z pożaru zapasów i teraz czyściły je z popiołu, chcąc przyrządzić kolację dla wszystkich mieszkańców.

– Ja też coś złapałem – oznajmił Lisi Ogon, wychodząc przed myśliwych. Wyraźnie dumny z siebie wyciągnął z torby dwa ptaki wielkości gołębi.

– Dobra robota, chłopcze – skomentowała z uznaniem starsza kobieta, układając pierzastą zdobycz pomiędzy upolowaną zwierzyną.

Lisi Ogon cały się rozjaśnił, bezgranicznie szczęśliwy z powodu otrzymanej pochwały.

„Może to dlatego, że nie jest przyzwyczajony” – pomyślał Ian, wciąż zastanawiając się nad niepocholebnią opinią na temat chłopaka, która padła z ust Bulla. „Jakoś nie

wydaje mi się najgorszym łobuzem” – rzekł sam do siebie, patrząc na niego.

To spojrzenie nie umknęło uwadze Lisiego Ogon, który nieświadomy myśli Amerykanina, poczuł się w obowiązku dodać:

– Rzecz w tym, że zimą nie ma wiewiórek. W przeciwnym razie mógłbym przynieść więcej pożywienia.

Ian udał, że przyznaje mu rację.

– Z całą pewnością – powiedział, choć tak naprawdę nie żałował, że nie będzie mu dane spróbować miejscowego specjału z wiewiórek.

Myśliwi tymczasem opowiadali, co się wydarzyło w lesie, wzbudzając powszechny niepokój. Wielu obawiało się, że zbrojni króla mogli zacząć się gdzieś niedaleko, jednak łowcy usiłowali załagodzić wybuch paniki.

– Tej nocy na zmianę będziemy obserwować okolicę – powiedział jeden ze starszych mężczyzn. – Nie wydaje mi się, żeby żołnierze zamierzali zawrócić w tym kierunku, ale nigdy nic nie wiadomo.

– A dokąd pójdziemy jutro? – pobrzmiwało z każdej strony zaniepokojone pytanie.

– Nie mamy już ani domów, ani pożywienia, a jeśli w Dunchester nie zechcą nas przyjąć, jak zdołamy przetrwać zimę?

– Wśród nas są starcy i dzieci – mamy ich skazać na śmierć?

Gwar przerażonych głosów wzrósł, jednak nikąd nie nadchodziła odpowiedź. W końcu jeden z myśliwych podniósł ręce i uciszył tłum.

– Poczekamy do kolacji, zbierzemy się wszyscy razem i zadecydujemy, co robić – oświadczył donośnym głosem. – Razem na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Słowa mężczyzny przyniosły niejaką ulgę, ludzie uciszyli się i zaniechali dalszej dyskusji, powracając do przerwanych zajęć. Zbili się w dwu-, trzyosobowe grupki i zaczęli wymieniać się ponurymi uwagami.

Część myśliwych zwróciła się w stronę Iana, który przyglądał się całej scenie w milczeniu.

– Znajdźcie sobie miejsce wedle uznania – powiedzieli. – Jeśli chcecie, możemy wam pomóc przygotować jakieś schronienie na noc, a później zasiądziemy razem do posiłku.

– Nocleg dla was już jest. Jeśli się zgodzicie, możecie zostać na noc ze mną i z moją matką – wtrącił się Lisi Ogon, zerkając na Iana z nadzieją. – Zgodzicie się? – zapytał. – Miejsca u nas jest więcej, niż trzeba.

Ian uchwycił wymowne spojrzenie mężczyzn ostrzegające przed przyjęciem zaproszenia, lecz nie chciał zawieść oczekiwań chłopca i nie miał serca, by mu odmówić.

– Najpierw musimy zapytać, co sądzi na ten temat twoja matka – powiedział wreszcie.

– Ojej, ona na pewno się zgodzi! – wykrzyknął Lisi Ogon, promieniejąc szczęściem i nie zwracając dłużej uwagi na myśliwych. Zawrócił i powiódł za sobą wierzchowca Iana.

– Widzimy się na kolacji, gdyby przyszło wam zmienić zdanie – rzucił jeden z łowców w stronę Amerykanina, po czym oddalił się wraz z grupą powracającą do swych rodzin.

Ian ruszył za Lisim Ogonem, nie zastanawiając się dłużej nad całą sprawą. W głowie kołatały mu się o wiele poważniejsze zmartwienia niż miejsce, w którym spędzi najbliższą noc – choćby to, jak dostać się do zamku Dunchester i ocalić Daniela.

„Co też mogło się wydarzyć?” – powtarzał z niepokojem i nie chodziło mu tylko o problemy z *Hyperversum*. Przede wszystkim zastanawiał się, co też Martewall mógł zrobić z jedynym zakładnikiem, który pozostał w jego rękach: czy tylko go uwięził, czy też przepytał, a może poddał torturom... albo jeszcze coś gorszego. Ian usiłował nie brać pod uwagę najgorszych ewentualności, jednak prawda była taka, że Danielowi groziło poważne niebezpieczeństwo.

„Przeklęty... zrób mu jakąś krzywdę, a przysięgam, że drogo za to zapłacisz” – przyrzekł sobie młodzieniec, ciskając gromy pod adresem nieprzyjaciela.

Oderwał się od tych myśli, dopiero kiedy Lisi Ogon zatrzymał się przed barakiem skleconym byle jak z desek. Szopa stała na uboczu, jakby celowo wzniesiona z dala od innych domów. Rzeczywiście, zdawała się wystarczająco duża, by pomieścić kilka osób, dach jednak był podziurawiony, ściany chwiały się na wszystkie strony, a w miejsce drzwi ktoś wstawił prowizoryczną kratkę zbitą z desek – całość z trudem mogła ochronić przed styczniowym mrozem.

Lisi Ogon w dalszym ciągu usiłował jednak przedstawić chałupę w jak najlepszym świetle.

– W dachu jest specjalny otwór, przez który wylatuje dym, i dlatego można rozpalić ogień nawet wtedy, kiedy jesteśmy w środku!

„Miejmy nadzieję, że ta buda nie pójdzie z dymem przez jedną przypadkową iskrę” – skomentował Ian w myślach, starając się jednocześnie nie dać po sobie poznać, jakie nachodzą go obawy. Zapal jego rozmówcy szukającego uznania był nazbyt szczery i wzbudzał zbyt dużą sympatię, by zgasić go nieprzyjemnym komentarzem.

Lisi Ogon przywiązał wierzchowca do drzewa.

– Później i jemu poszukamy schronienia na noc – powiedział i ruszył w kierunku chaty. – Moja matka jeszcze nie wróciła. Pewnie wciąż szuka ziół na kolację i drewna, żeby dokończyć budowę domu.

– Będziemy tu tak beczynnie siedzieć i czekać aż wróci? – zapytał Ian, wskazując na szopę przesadnie określoną „domem”. – Też możemy spróbować

poszukać czegoś, co mogłoby się przydać.

– Z wczorajszego pożaru udało się nam uratować kilka koców, które wypełniliśmy suchymi liśćmi i zrobiliśmy z tego posłania. Nic więcej nie mogliśmy zrobić – wyjaśnił chłopiec, siadając na kamieniu.

– Skoro tak mówisz... – powiedział Ian zrezygnowany i pogрузzył się na nowo w ponurych myślach.

– Tak naprawdę ma na imię Beau – usłyszał głos za plecami.

Odwrócił się i ku swemu zaskoczeniu ujrzał młodą kobietę, która niosła chlebak i wiązkę gałęzi. Posłała mu szeroki uśmiech. Ubrana była w zwyczajne szaty z grubych tkanin, a na ramiona zarzuciła płaszcz z szorskiej wełny, jednak bez cienia wątpliwości była piękną i zmysłową kobietą. Rude włosy, które swobodnie opadały jej na ramiona, miały ten sam odcień co u Lisiego Ogonia. Podobnie zielone oczy – i te były identyczne u matki i syna.

– Mój maluch w dzień chrztu otrzymał piękne francuskie imię, lecz się go wstydzi i się z nim kryje – ciągnęła dziewczyna. W jej delikatnym głosie pobrzmiwała ironia. – W gruncie rzeczy bardziej mu pasuje, gdy zwą go imieniem dzikiego zwierzęcia. No i zachowuje się tak, żeby na nie zasłużyć.

– Mamo! – zaprotestował chłopiec, wyraźnie urażony.

„A więc to jest jego matka?” – zdziwił się Ian, podnosząc się, by ją powitać. Podobieństwo obojga nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości.

Uderzyło go to, że kobieta nazwała swojego synka francuskim imieniem, i przez chwilę zastanwiał się, czy aby sama nie jest Francuzką. Najbardziej jednak jego uwagę przyciągnął jej młody wiek. Dziewczyna nie miała więcej niż trzydzieści lat, a więc poczęła swojego syna, będąc jeszcze nastolatką, wręcz dziewczynką.

Do Iana dotarło nagle, że skorzystanie z gościnności tej rodziny nie było najlepszym pomysłem. I to nie ze względu na nieznane powody, dla których odradzała mu to ludność Willingham, lecz dlatego, że matka – młoda i piękna – goszcząc nocą nieznanego mężczyznę, w dodatku prawie swego rówieśnika, mogła się narazić na niewybredne plotki wieśniaków.

Zdawało się, że czyta mu w myślach. Jej wzrok był tak przenikliwy, że prawie wywołał rumieniec na twarzy Iana. Mimo to nie przestawała się uśmiechać, a wręcz podeszła tak blisko, że Ian musiał odchylić głowę, by móc spojrzeć jej w oczy.

– A wy kto jesteście, młody Karol Wielki? – zapytała, wyraźnie rozbawiona. – Mówią, że był wysoki na siedem stóp⁷, a waszej posturze wiele nie brakuje.

– Nazywam się Ian Maayrkas – przedstawił się Amerykanin, schylając głowę w uprzejmym geście pozdrowienia.

– Brianna Foxworth – odpowiedziała. – Serdecznie witam w Willingham... Czy raczej tym, co po nim zostało.

– Dziękuję – odparł Ian. – To zaszczyt poznać zarówno was, jak i ciebie, Beau –

dodał, podkreślając wymownie prawdziwe imię chłopca.

Mały niepewnie kiwnął do niego głową i nie odpowiedział. Wydawało się, że obawia się czegoś ze strony swojego rozmówcy – jakiegoś komentarza czy reakcji, ale rozluźnił się, widząc, że Ian, mimo że chciał zaspokoić swoją ciekawość, nie zadawał wścibskich pytań.

Zamiast tego młody rycerz odwrócił się i śledził wzrokiem matkę chłopczyka, która właśnie go minęła, niosąc swoje zapasy w stronę szopy.

– Czy mogę wam pomóc? – zapytał i wskazał na wiązkę gałęzi.

– Matko, czy on mógłby zatrzymać się u nas na noc? Jest cudzoziemcem, który ocalił wioskę Aversly przed poborcami podatkowymi króla! – oznajmił Lisi Ogon, który już zdążył otrząsnąć się z pełnej napięcia ciszy.

– Nie. Lepiej, żebym spędził noc w innym miejscu – odparł z kolei Ian poważnym tonem. – Wasza propozycja jest niezwykle hojna, lecz nie mogę na nią przystać. Twoja matka z całą pewnością się ze mną zgodzi.

Podniósł wzrok, szukając wsparcia ze strony kobiety i chcąc zaradzić jakoś rozczarowaniu chłopca, jednak ona w dalszym ciągu uśmiechała się z rozbawieniem.

– Mówiąc szczerze, ktoś tak wysoki jak wy przydałby mi się do naprawy dachu – odpowiedziała ze spokojem w głosie. – Nienajlepsza ze mnie dekarcka, a biorąc pod uwagę to, że jestem tu sama, mogłabym liczyć na wasze silne ramię, żeby poskładać do kupy tę naszą budkę.

Ian był zaskoczony odpowiedzią i nie wiedział, jak zareagować.

– Z przyjemnością wam pomogę, jeśli sobie tego życzycie – odparł w końcu. Czuł, jak jej przebiegłe spojrzenie przeszywa go na wskroś.

– Doskonale, w takim razie odpłacicie mi za nocleg odrobiną waszej pracy – zdecydowała, wręczając mu naręczę gałęzi, a sobie pozostawiając tylko chlebak.

– Jeśli tylko nie będę wam przeszkadzał... – odparł Ian niepewnie, spoglądając jednocześnie na matkę i syna. – Od czego mam zacząć?

– Tutaj. – Brianna podała chlebak swojemu synowi i poprowadziła Amerykanina w stronę szalasu, aby wskazać mu dach. – Widzicie? Tam u góry jest to miejsce, do którego sama nie mogę dosięgnąć. Wczoraj kilku dobrych ludzi pomogło mi zamontować belki, ale przez noc klepki się przesunęły i ani ja, ani mój syn nie potrafimy przełożyć ich na miejsce.

Ian najpierw rzucił okiem na konstrukcję z zewnątrz, po czym ruszył do środka, żeby odnaleźć miejsce, w którym struktura była uszkodzona. Schronienie najwyraźniej zostało sklecone w pośpiechu i z niewielką wprawą. Składało się w większości z grubych gałęzi związanych sznurami. Część z nich stanowiła podpory dla chwiejnych ścian. Dach opierał się na dwóch równoległych belkach, które wyznaczały jego środek i do których przymocowano wiązki gałęzi, służące za jego pokrycie. Nad jego głową widniał otwór, dość duży, by mógł wychodzić przez niego

dym z paleniska, tak jak oznajmił Lisi Ogon. Można było jednak dostrzec i inne prześwity, zwłaszcza tam, gdzie gałęzie zostały przesunięte przez podmuchy wiatru.

„To nieudolnie wzniesione schronienie musiało jednak kosztować obydwój sporo trudu” – pomyślał Ian, zwracając uwagę na poranione dłonie kobiety – niezbity dowód mozolnego wiązania gałęzi.

„Ja bym pewnie nawet nie wiedział, od czego zacząć” – dodał w myślach. Zastanawiał się, w jaki sposób zabrać się do roboty, żeby nie dać plamy i dokonać napraw, o które go poproszono.

Nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na to, co znajdowało się wewnątrz szałas. Obok stosów liści służących za legowiska ułożono poskładane jeden na drugim koce, kilka kuchennych sprzętów i narzędzi, oczyszczonych w miarę możliwości z popiołu, trochę wystrzępionych szmat i w połowie osmaloną skrzynię na drewno pozbawioną wieka, w której spoczywało kilka błyszczących metalowych bibelotów i drewnianych zabawek.

„I oni stracili cały dobytek po napadzie wojska” – pomyślał Ian ze smutkiem. – „Kto wie, jak sobie teraz poradzą”.

– Wczoraj wieczorem Beau mi o was opowiadał – powiedziała nagle Brianna i Ian zdał sobie sprawę, że młoda kobieta obserwuje go uważnie od dłuższej chwili. – Muszę przyznać, że patrząc na was, bez trudu można uwierzyć, że jesteście szlachetnym człowiekiem.

– Wasz syn zwykł mnie przeceniać, i to znacznie – odpowiedział Ian, z zakłopotaniem, i wyszedł z szałas, żeby rozpocząć naprawy od zewnątrz. – To, co wydarzyło się wczoraj w Aversly, nie było żadnym bohaterstwem i niestety zostało okupione życiem dwóch ludzi.

– Ale to była wielka bitwa! – wykrzyknął Lisi Ogon, podekscytowany samym wspomnieniem zdarzenia.

– Była to wyłącznie niepotrzebna bijatyka, której można było uniknąć – Ian szybko ochłodził jego entuzjazm.

– Oszczędźcie sobie trudu – skomentowała Brianna. – W głowie mojego syna nie ma niczego innego niż marzenia o walkach, bitwach i przygodach męźnych rycerzy. Nigdy go nie przekonacie, że takie rzeczy nie dzieją się codziennie i że prędzej czy później będzie musiał pogodzić się z tym, że trzeba zacząć zarabiać na chleb i zabrać się do zwyczajnej pracy, tak jak każdy z nas.

– To nic złego trochę sobie pomarzyć – burknął Lisi Ogon, urażony.

– Tak, zwłaszcza jeśli marzy się o rzeczach niemożliwych, na przykład jak przepłynąć kanał La Manche i w pojedynkę stanąć do walki ze wszystkimi rycerzami Francji – wyszeptała Brianna ironicznym tonem.

Ian spoglądał to na matkę, to na syna, usiłując ich rozgryźć. Wyczuwało się między nimi pewien rodzaj napięcia, mimo że Brianna wciąż się uśmiechała. Nie uszło to

uwagi Amerykanina, uznał jednak, że lepiej nie drażnić tematu.

– Naprawdę nie jesteście tego ciekawi? – zapytała nagle Brianna.

Ian otrząsnął się z zaskoczenia.

– Czegóż to?

– Dlaczego mój syn nosi imię nieprzyjaciela – ciągnęła ze spokojem.

– Jeśli o to nie zapytał, to znaczy, że go to nie obchodzi – prychnął Lisi Ogon, który zastygł na chwilę w bezruchu, tak jakby się czegoś obawiał. Jego matka zupełnie go zlekceważyła, rzucając Ianowi wesołe spojrzenia w kierunku Iana.

– Nie chcę dociekać, być może to wasza prywatna sprawa – odparł Amerykanin poważnym tonem. – Jeśli o mnie chodzi, nie uznaję ludzi za wrogów czy przyjaciół ze względu na to, jakie noszą imiona, czy są cudzoziemcami, czy też nie.

– Mądre słowa – wtrąciła się kobieta. – Dobrze by było, gdyby i mój syn nauczył się myśleć w ten sposób, zamiast koncentrować całą swoją niechęć na tych, którzy mają związek z Francją, z jego własnym ojcem na czele.

Tym razem zerknęła na chłopaczka, który milczał zacięcie. Zdawało się, że odpowiedź Iana odebrała mu część argumentów.

– Zabierajmy się do pracy – zdecydowała w końcu matka, żeby przerwać niezręczną ciszę. – Ty zanieś chlebak i wszystko, co jest w środku, innym kobietom. To zioła i korzonki, które udało mi się znaleźć. Zimą nie jest łatwo, bo ziemia jest bardzo twarda.

Chłopczyk zawahał się przez chwilę i widać było, że wolałby zostać na miejscu, by upewnić się, że niezręczny temat dyskusji nie zostanie ponownie poruszony pod jego nieobecność. W tonie matki dało się jednak usłyszeć nakaz absolutnego posłuszeństwa, któremu nie mógł się sprzeciwić, więc oddalił się w milczeniu. Brianna westchnęła ponownie, tym razem jednak w jej uśmiechu pojawił się cień smutku.

– Kiedy był mały, wszystko było o wiele łatwiejsze. Teraz dorasta i powoli przestaje brakować mi pomysłów, żeby wybić mu z głowy wszystkie te pomysły.

Ian nie wiedział, czy młoda kobieta zwraca się do niego, czy raczej rozmawia sama ze sobą. Przemilczał to i wykorzystał chwilę, by zająć się naprawą dachu. Brianna nie powiedziała nic więcej. Zbliżyła się tylko, by mu pomóc, podając gałęzie, jedną po drugiej, żeby je umocować i wypełnić puste miejsca w konstrukcji.

Przez chwilę pracowali w zupełnej ciszy. Ian czuł na sobie cały czas badawczy wzrok kobiety, co sprawiało, że czuł się niepewnie, jakby ktoś oceniał efekty jego pracy. Usiłował dać z siebie wszystko i zdawało mu się, że rezultat jest zadowalający. Przynajmniej do momentu, w którym rama z gałęzi, którą sklecił – jak mu się wydawało – na wzór i podobieństwo tego, co widział wcześniej, nie rozleciała się na kawałki, wyrrywając w dachu dziurę większą od tej, którą miała przykryć. Ian zmiął

w ustach przekleństwo.

Brianna wybuchnęła śmiechem.

– Nigdyście w życiu nie wiązali gałęzi, co? – skomentowała i skierowała się do środka chałupki, żeby pozbierać porozwalane kawałki drewna i zacząć całą robotę od początku. – Ja was nauczę. Musielibyście tylko to wyciągnąć i ułożyć w odpowiednim miejscu – powiedziała do Iana, który podszedł do niej, chcąc naprawić wyrządzone szkody.

Zaczęli na nowo, ale tym razem w inny sposób. To dziewczyna wydawała rozkazy i wskazywała Ianowi, czym kolejno ma się zająć. Chłopak czuł się jak posłuszny kuchcik.

– Chcecie, byśmy spróbowali również naprawić ściany? – zapytał Ian, lecz Brianna potrząsnęła głową i otuliła się mocniej swym wełnianym płaszczem. – Nie za dużo można z nimi zrobić. Trzeba by było pozatykać szpary gliną, ale nie mam pojęcia, gdzie jej szukać o tej porze roku. W tym zimnie zresztą nie wyschłaby nigdy. Zrobimy użytek ze szmat i powtykamy je tam, gdzie się uda. Poza tym nie zostaniemy tu na długo. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Odeszła kilka kroków i usiadła na kamieniu, na którym chwilę wcześniej odpoczywał jej syn. Dołożyła drewna do ognia, żeby ogrzać zmarznięte dłonie. Robota była skończona i dopiero w tym momencie do Iana dotarło, jak bardzo jest mu zimno. I on zbliżył się do ogniska. Podniósł z ziemi płaszcz, który wcześniej zdjął, by nie krępował jego ruchów, i narzucił na ramiona zziębniętej dziewczyny.

– Już mi lepiej, dziękuję wam za troskę – odparła jednak z uśmiechem. – Wy go nałóżcie, wasza tunika to zbyt mało, by ochronić was przed zimnem.

Rzeczywiście, Ian czuł mroźne igiełki przeszywające go na wskroś. Przykrył się płaszczem i przysiadł na innym kamieniu. Podał Briannie bukłak z winem, które zostało mu jeszcze z obiadu.

– Nie ma tego zbyt wiele, ale zawsze to lepiej niż nic. Wyglądacie na zmęczoną, może trochę was wzmocni.

– Tej propozycji nie odrzucę. – Kobieta powoli wzięła kilka ostatnich łyków z dna butelki i podała pusty pojemnik Ianowi. – Chciałabym wam opowiedzieć historię moją i Beau – mówiła dalej, ku zaskoczeniu chłopaka.

– Nie musicie się przede mną tłumaczyć – odparł Ian.

Brianna wzruszyła ramionami.

– Wolę opowiedzieć wam o pewnych rzeczach osobiście, bo i tak byście się wszystkiego dowiedzieli, tyle że z pewnością spora część informacji mijałaby się z prawdą – odparła, czyniąc wyraźną aluzję do wścibskich mieszkańców wioski. – A chciałabym, żebyście ją poznali, zanim zdecydujecie się naprawdę przystać na zaproszenie mojego syna. W ten sposób będziecie mogli zdecydować, czy wolicie zostać na noc u nas, czy znaleźć sobie godniejsze schronienie.

Ian spoważaniał.

– Nie mam pojęcia, jak złośliwe ludzkie gadanie mogłoby wpłynąć na moją opinię o was, skoro już okazaliście mi tyle gościnności.

Młoda kobieta powolnym gestem dołożyła gałąź do ogniska.

– Ojciec Beau był francuskim rycerzem. Nie byliśmy małżeństwem – zaczęła, nie owijając w bawełnę. – Oboje byliśmy bardzo młodzi, ale on, nosząc szlachecki tytuł, miał o wiele wyższą pozycję niż ja, córka obwoźnego wytwórcy garnków. Ale trzymaliśmy się razem. Obiecał mi, że mnie poślubi, nawet wbrew woli swej rodziny, ale wysłali go na wojnę i zginął. A mi został nasz syn i od tego czasu wędrujemy tak z miejsca na miejsce.

Ian był wstrząśnięty.

– A więc rodzina tego rycerza nie chciała uznać jego dziecka? Mogli pomóc przynajmniej małemu, to ich obowiązek.

– Kiedy Mathieu zginął, Beau jeszcze nie było na świecie. Jego rodzina nie chciała mnie widzieć na oczy, spotkali się ze mną tylko po to, żeby podać w wątpliwość ojcostwo. A więc wróciłam do Anglii.

– I mimo wszystko na chrzcie nadaliście synowi francuskie imię.

Wzrok Brianny przez chwilę zdawał się nieco rozmarzony.

– To na cześć jego ojca, tak. To był piękny i dobry chłopak. *Il était si beau!*⁸ Tak mówili ludzie i tak było naprawdę. Kiedy był w zbroi, wyglądał jak święty Michał. – Przeniosła wzrok na Iana i w jej oczach można było wyczytać szczerłość. – I bardzo mnie kochał – dodała.

– Jestem tego pewien – odpowiedział Ian z przekonaniem.

Młoda kobieta spoglądała na niego przez kilka sekund, po czym ponownie zaczęła dorzucać gałęzie do ognia.

– Cóż, nie ma tu zbyt wielu, którzy dzielają waszą opinię. W dodatku wybuchła wojna, a więc możecie sobie wyobrazić te wszystkie komentarze na temat mój i mojego dziecka. On oczywiście najbardziej na tym cierpi.

„I z tego powodu odrzuca swoje imię i robi wszystko, żeby do cna znienawidzić to, co może kojarzyć się z Francją” – skomentował Ian w myślach. – „Chce za wszelką cenę udowodnić, że nie różni się od innych”.

– Musiałam zarabiać na chleb, mając się najróżniejszych zajęć – ciągnęła Brianna. – Mój ojciec pomagał mi tak długo, jak tylko był w stanie, nauczył mnie również swojej profesji. Jednak kiedy zostałam sama, musiałam bardzo się starać, żeby udało się nam przetrwać. Nie było łatwo i do teraz nie jest, ale pomimo wszystkich tych oszczerstw, które krążą na mój temat, nie zrobiłam niczego, co można uznać za haniebne. Mogę przysiąc na Słowo Boże.

– Zachowajcie przysięgi dla ludzi małego ducha, ja ich nie potrzebuję – odpowiedział Ian. – Mogę was tylko podziwiać za siłę, która pozwoliła wam

zaopiekować się waszym synem mimo tak wielkich trudności.

Brianna zastanowiła się nad jego słowami, po czym w końcu posłała mu uśmiech.

– Rozumiem, że dzisiejszej nocy zatrzymujecie się u nas.

– Tylko jeśli nie sprawi wam to kłopotu – upewnił się Ian.

– Nie wydaje mi się – Brianna zachichotała cicho. – Pozytywną stroną posiadania kiepskiej reputacji jest to, że można robić wszystko, na co ma się ochotę, i wyśmiewać się z konwenansów.

Ian odwzajemnił uśmiech, zadając sobie jednocześnie pytanie, jak wiele musiała wycierpieć siedząca naprzeciw niego kobieta i jak wielkiej wymagało to od niej odwagi. Samotna dziewczyna z nieślubnym dzieckiem z całą pewnością nie mogła liczyć na ludzką hojność. W tym momencie stosunek mieszkańców do Brianny i Lisiego Ogona stał się zupełnie oczywisty.

Chłopiec przybiegł właśnie w tej chwili.

– Przybyli ludzie z Aversly – oświadczył, wskazując ręką w kierunku ludzkiej zbieraniny w samym środku obozowiska.

Rozdział 15



Nic nie można było zrobić i Danielowi pozostało tylko się z tym pogodzić. Tysiąc razy przestudiował każdy pojedynczy kamień w swym więzieniu, w jego głowie nie pojawił się jednak nawet cień pomysłu, jak mógłby stąd uciec. Kraty były zbyt grube, a zasuw w drzwiach zdawała się niezniszczalna; dałyby jej radę tylko odpowiednie narzędzia. Mury były pozbawione jakichkolwiek otworów, pomijając wykutą w podłodze dziurę, która służyła za ubikację.

„Chyba tylko mysz byłaby w stanie stąd uciec!” – uznał Daniel ze złością i rzucił się na słomiane legowisko, po czym zajął się rozcieraniem obolałych ramion.

Martewall się więcej nie pojawił, mimo że od przesłuchania minął cały dzień.

Daniel nie wiedział, czy nieobecność Anglika ma go cieszyć, czy raczej powinna go zaniepokoić. On przecież mógł być przekonany, że oto popełnił poważny, nieuzasadniony występki, przetrzymując rycerza, który w rzeczywistości w niczym nie zawinił. Mógł też dojść do wniosku, że więzień nie jest mu już potrzebny, i ostatecznie zdecydować, że zostanie stracony bez dalszego przepytывania.

„Jeśli uda mi się ujść stąd z życiem, mam wielką nadzieję, że dostanę Martewalla w swoje ręce” – pomyślał Daniel z goryczą, spoglądając na ślady otarć na nadgarstkach; przypominały one dobitnie o sznurach założonych mu przez oprawców.

Gdyby Martewall chciał utrzymać go przy życiu, strażnicy przynieśliby mu przynajmniej coś do jedzenia i picia. Tymczasem po przesłuchaniu pojawił się jak dotąd tylko jeden z ludzi młodego barona. Otworzył drzwi celi tylko po to, by położyć na ziemi kawałek chleba i bukłak z wodą, który nie mieścił się pomiędzy prętami krat. Odszedł chwilę później, nie odezwawszy się do więźnia ani słowem. Dokładnie zamknął za sobą celę. Oczywiście, do posiłku nie dołączono sztućców, które mogłyby posłużyć więźniowi jako ewentualne narzędzia pomocne w ucieczce.

Daniel wyciągnął spod słomianego posłania końcówkę złamanego drąga, który Martewall cisnął na ziemię i którego zapomniał zabrać. Chłopak zdołał odłamać jego część i ukryć ją, zanim nadszedł żołnierz. Zostawił jednak jego resztki na podłodze, aby nie wzbudzić podejrzeń, gdyby ludzie Martewalla sobie o nim przypomnieli.

Rzeczywiście, mężczyzna pozbierał resztki kija, ale nie zwracał na nie szczególnej uwagi; wyrzucił je na ziemię z dala od celi i wyszedł. Nie zorientował się, że drąg

został skrócony o ładny kawałek.

Daniel zerknął na część, która pozostała w jego rękach. Miała około łokcia długości, kij zrobiono jednak z drewna zbyt miękkiego, by mogło przydać się w zmaganiach z zamkiem czy żelaznymi kratami. Niemniej było to jedyne narzędzie, którym dysponował.

„Tyle zachodu, żeby to ukryć, a teraz na co mi się to może przydać?” – zastanawiał się ponuro, obracając kawałek drewna w rękach, po czym z powrotem wsunął go pod słomę.

Zrezygnowany wyciągnął się na legowisku i utkwił wzrok w sklepieniu. Na wszelki wypadek, chociaż bez większych nadziei, raz jeszcze spróbował wezwać opcje gry *Hyperversum*, która – naturalnie – mu nie odpowiedziała.

„Bardzo chciałbym zrozumieć, dlaczego się tak dzieje” – pomyślał Daniel po raz setny i pozwolił, żeby jego ręka swobodnie opadła na słomę.

Coś sprawiło mu nagły ból. Podskoczył.

Podniósł się na łokciu i zorientował, że trafił dłonią w swój kawałek kija. Nieregularnie ułamany brzeg zranił go – skaleczenie było niewielkie, ale dosyć głębokie i bolesne.

Daniel zaklął w myślach i polizał ranę, z której powoli sączyła się krew. Potem jednak znów przyjrzał się kawałkowi drewna.

Drażek był ostro zakończony, co zauważył, przesuwając opuszkę palca wzdłuż złamanej końcówki.

Potarł dłonią czoło. W jego głowie zaczął rodzić się pewien pomysł.

Pociągnął kijek po surowej powierzchni podłogi i zauważył, że drewno ściera się nieco, ale nie kruszy. Pomysł zaczął nabierać kształtów.

„Być może, dzięki odrobinie wysiłku i sporej dokładności, mógłbym nadać kijkowi taki kształt, który byłby mi przydatny” – zastanawiał się.

Światło słońca wpadające przez szparę przy suficie słabło. Dzień chylił się ku końcowi.

Daniel zabrał się za opiłowywanie kijka o fragment chropowatej kamiennej ściany.

Wokół latarni morskiej w Willingham zapadał zmrok. W porcie widać było tylko siedzących mężczyzn, którzy dyskutowali między sobą. Kobiety ukryły się w chatkach, układając dzieci do snu i usiłując ochronić najmłodszych przed zimnem.

Przybycie ludzi z Aversly tylko pogorszyło i tak trudną sytuację – szalaszów było zbyt mało, by pomieścić większą liczbę osób w obozowisku. Przynajmniej kwestia zapasów się rozwiązała. Uciekinierzy przywieźli ze sobą żywność i teraz dzielili się nią z mieszkańcami Willingham.

Myśliwym udało się dogonić grupę podróżującą pod eskortą Bulla na czas i ostrzec ją przed kontynuowaniem podróży w stronę Dunchester. Ludność z Aversly skierowała się więc do Willingham, by dołączyć do tych, którzy również pozostali bez dachu nad głową. Wszyscy wzięli się do pracy, żeby choć trochę poprawić spartańskie warunki, w jakich mieli spędzić noc. Ich trud się opłacił – w niedługim czasie zorganizowali kilka dodatkowych szałasów i naprawili te już istniejące. Ponadto zdołali wznieść prowizoryczny barak dla zwierząt, by je także ochronić przed zimą. Trafił tam też wierzchowiec Iana.

W końcu, kiedy kobiety wraz z dziećmi zjadły już posiłek, mężczyźni zostali przy stołach, żeby dokończyć kolację i przede wszystkim zdecydować o planach na następny dzień.

Thomas Bull zajmował miejsce obok Iana. Siedzieli na kamieniach ustawionych blisko ogniska.

Drwał był niezwykle uradowany ponownym spotkaniem z Amerykaninem i przywitał go bardzo serdecznie. Był mu wdzięczny – za sprawą Iana ludziom z Aversly udało się uniknąć spotkania z żołnierzami króla.

Siedzieli ramię w ramię, spożywając kolację wraz z innymi mężczyznami pogrążonymi w niewesołej rozmowie.

Lisi Ogon, rzecz jasna, skulił się tuż obok i przysłuchiwał dyskusji, z której nie umknęło mu ani jedno słowo.

Nie był już dzieckiem, o czym zresztą przypomniał swojej matce, ostentacyjnie zajmując miejsce przy Ianie, kiedy Brianna usiłowała go przekonać, by wraz z nią poszedł spać. Nie trafiały do niego żadne argumenty. W końcu kobieta musiała się poddać. Zrezygnowała jednak z dalszego namawiania syna tylko dlatego, że Ian obiecał zadbać o to, by chłopak nie poszedł spać zbyt późno. W ten sposób Lisi Ogon zjadał w ciszy posiłek, siedząc obok pozostałych mężczyzn.

Wymiana poglądów robiła się coraz bardziej posępna i kręciła wciąż wokół tych samych kwestii: żołnierze króla, napad z poprzedniego dnia i zapowiedź bitwy w zamku Dunchester. Mężczyźni byli zmartwieni, ponieważ nie wiedzieli, w którą stronę udać się wraz z rodzinami, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Ian, zajęty jedzeniem ciepłej zupy, którą podano mu w niewielkim pucharku. Był całkowicie pogrążony we własnych myślach. Nie miał wątpliwości, gdzie się udać – nie mógł zrobić nic innego, jak tylko ruszyć w stronę Dunchester i dołączyć do Daniela, zanim stanie mu się coś złego. Najgorsze było jednak to, że jego przyjaciel został właściwie odcięty od świata – zamknięty w miejscu otoczonym przez wojsko królewskie.

„W pojedynkę nie uda mi się za nic w świecie” – podpowiadał mu rozsądek. Musiał znaleźć pomoc z zewnątrz, choć w dalszym ciągu nie wiedział, jak i gdzie jej szukać. Z zamyślenia wyrwały go słowa jednego z myśliwych:

– Ja tam mówię, żeby iść do zamku i pomóc *sir* Haraldowi w obronie.

Młodzieniec zdołał dostrzec, że zdanie leśnika podzielało kilku innych mężczyzn i że wielu mu przytakiwało, mimo że inni wyglądali na przestraszonych.

Lisi Ogon nadstawił uszu. Jego ciekawość sięgała zenitu.

– *Sir* Harald Martewall chronił nas przed poborcami podatkowymi króla tak długo, jak tylko mógł. Teraz możemy się odwdzińczyć. Powinniśmy razem stawić im czoło i obronić Dunchester – ciągnął dalej myśliwy. – Jeśli zamek ocaleje, również nasze rodziny znajdą tam schronienie i przeżyją.

– Dunchester się nie obroni – nie zgodził się drugi mężczyzna. – Jak miałyby się to udać, skoro mają przeciwko sobie armię króla?

– Wojsko króla zostało zdziesiątkowane przez Francuzów. Prawie wszyscy jego żołnierze są bezwartościowi, a nasi rycerze albo są w więzieniach na drugim brzegu kanału La Manche, albo wrócili do swych ziem po przegranej bitwie. Niewielu z nich odpowie na wezwanie Jana bez Ziemi, który jak dotąd tylko ich upokorzył.

– Z całą pewnością nie pomogą mu w walce przeciwko angielskiemu baronowi. Nie ośmiela się podnieść miecza na tego, który nosi na tarczy lwa króla Ryszarda – dodał Bull, a jego słowa sprawiły, że Lisi Ogon podskoczył ponownie. Jego oczy błyszczały w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– Mówicie to na poważnie? – zapytał podekscytowany chłopiec.

– Możemy się założyć – odparł mu były żołnierz. – Jan bez Ziemi zaatakuje Dunchester, ale uczyni to bez wsparcia innych baronów.

„To prawdopodobne, zwłaszcza że wielu z nich zdecydowało się opowiedzieć przeciwko królowi” – pomyślał Ian w ponurym milczeniu. – „Król w każdym razie ma więcej niż potrzeba sił, które mogłyby roznieść zamek w pył i dać porządną nauczkę jego obrońcom”.

– Najemni żołnierze to kanalie, którym nie można ufać – mówił kolejny z myśliwych. – Nie będą walczyć, jeśli trafią na zdecydowany opór. Dla nich istotne jest tylko to, ile dostaną monet, i nie po myśli im ryzykowanie własną skórą, jeśli mogą tego uniknąć.

– A ty, co na to powiesz? – zapytał Bull Iana, podczas gdy cała reszta przekrzykiwała się w coraz żywszej dyskusji. Lisi Ogon zaś słuchał z maksymalną uwagą, nie chcąc uronić ani słowa z rozmowy.

– Możemy spodziewać się rzezi – odparł młody Amerykanin z ponurą twarzą, zawodząc oczekiwania chłopca. – Nie macie odpowiedniej broni i nie jesteście wytrenowani do walki. Myślicie, że dacie radę stawić czoło najemnikom? Wielu z was zginie.

– Wielu z nas już zginęło – poprawił go surowo jeden z mężczyzn, którzy usłyszeli jego wypowiedź. – Dziś wieczorem zginął mój brat, a inni widzieli, jak ginie ich ojciec i przyjaciel.

Zdanie to zapoczątkowało lawinę historii, w których wspomniano bliskich i przyjaciół zamordowanych podczas wojen czy wypraw króla, a także nieskończone prześladowania po śmierci króla Ryszarda Lwie Serce. Dyskusja zaczęła zmierzać w konkretnym kierunku i stawała się coraz bardziej ożywiona. Głosy opowiadających się za wyprawą zaczęły przeważać nad tymi, którzy się jej obawiali bądź mieli nieco mniej waleczne nastawienie.

– Musimy bronić się tym, co mamy! I tak dość już wycierpieliśmy.

– Pomścimy się za tych, którzy zginęli!

– Król nie może nas dłużej traktować jak bydło!

– Lepiej umrzeć, niż prowadzić żywot niewolnika!

Ian zrozumiał, że nie jest w stanie zniechęcić ludności do wyprawy w stronę miejsca, gdzie toczyła się zbrojna rewolucja i wojna domowa. Wszyscy mieli już dość cierpień, historia zaś chciała, by podnieśli rękę na dobrze wyposażone wojsko króla Jana. Bull w dalszym ciągu przyglądał się Ianowi, czekając na jego decyzję. Lisi Ogon też wpatrywał się w niego z zapartym tchem.

– Pójdę z wami – zdecydował w końcu Ian. – I tak kierowałem się w stronę Dunchester. Mam nadzieję, że moja pomoc, jakkolwiek znikoma, może okazać się wam przydatna.

– Tak! – wykrzyknął Lisi Ogon.

Ian nie zwracał na niego uwagi. Zastanawiała go ironia losu, który zmusił go do obrony zamku swego nieprzyjaciela.

„Nie mam wyboru, jeśli chcę mieć najmniejszą nadzieję na możliwość dostania się do środka Dunchester” – powiedział sobie z goryczą. „Jeśli wmieszam się pomiędzy obywateli Aversly i Willingham, być może Martewall nie zda sobie sprawy z mojej obecności i zdołam jakoś dotrzeć do Daniela”.

Mimo to w dalszym ciągu pod znakiem zapytania stała kwestia wydostania się z zamku. Ian wolał jej na razie nie roztrząsać. Jego myśli zajmowała w tym momencie jedna kwestia: odnalezienie Daniela. Całą resztę swoich problemów zawierzył chwilowo kolejom losu i Opatrzności.

Tymczasem zebranie przekształciło się w naradę wojenną.

– Mamy niewiele mieczy: tylko te, które należały do zabitych żołnierzy. Łuków i procy z kolei jest pod dostatkiem, ale możemy zrobić jeszcze kilka dodatkowych – przypomniał Bull zgromadzonym. – Nie możemy zaatakować najemników w bezpośrednim natarciu, musimy się trzymać na odległość strzału. Nie będą się spodziewać, że ktoś może zaatakować ich z tyłu lub z boków, zwłaszcza że nie wiedzą, iż w ogóle szykujemy się do boju.

– Szybcy łucznicy z dobrym okiem mogą trzymać w szachu sporą liczbę piechoty i być niezwykle niebezpieczni dla konnicy – dodał Ian. Wiedział to z doświadczenia. Widział na własne oczy, jakie szkody potrafią wyrządzić piechocie i rycerzom

chmary dobrze wycelowanych strzał. Chociaż wtedy, pod Bouvines, chroniła go zbroja, samo wspomnienie mroziło mu krew w żyłach. Usiłował pozbyć się z głowy przerażających obrazów pełnych świszczącego dźwięku grotów przecinających niebo i przeszywających ludzi i zwierzęta dookoła niego. Ciągnął dalej: – Jeśli są wśród was tacy, którzy potrafią używać kuszy, tym lepiej. Mogą strzelać celniej i częściej, dzięki nim dosięgniemy najwyższych rangą żołnierzy i rycerzy, zwłaszcza że strzały z kuszy mogą przeszyć metalowe kolczugi.

Siedzący obok niego Bull skinął głową z uznaniem. Jako były żołnierz z całą pewnością musiał mieć sporo doświadczenia w kwestiach, które objaśniał Ian.

– Niestety liczba strzał, którą dysponujemy, jest ograniczona, i nie zdołamy przygotować ich przed bitwą wystarczająco dużo. Musimy używać rozważnie tych, które posiadamy. Żadnych zmarnowanych strzałów! A jeśli chodzi o kamienie do procy – mam nadzieję, że w tych nam nie zabraknie.

– A co z tymi, którzy nie mają ani łuków, ani kuszy, a tylko miecze i noże? – zapytał ktoś ze zgromadzonych.

– Powinni zdobyć broń miotającą albo zadowolić się pozycją na tyłach obrony i pomagać łucznikom tak długo, jak tylko będzie to możliwe – powiedział Ian. – Nie możecie stanąć do otwartej walki z uzbrojonymi żołdakami, których chronią kolczugi i napierśniki. W ten sposób wystawilibyście się wyłącznie na pewną i niepotrzebną śmierć. Pomożecie łucznikom i tym, którzy strzelają z procy. Będzie im potrzebny ktoś, kto zadba, by kamieni i strzał było pod dostatkiem. Najważniejsze, żeby nie przerywać ostrzału, ponieważ jak tylko najemnicy was spostrzegą, z całą pewnością zaatakują. Jeśli nie uda się wam utrzymać ich na dystans, możecie się spodziewać krwawej jatki.

– Musimy znaleźć sposób na to, żeby pozostać w ukryciu jak najdłużej – dodał Bull. – Czy ktoś z was zna dokładnie układ zabudowań w zamku Dunchester i na otaczających go ziemiach?

Wielu spośród mieszkańców Willingham odpowiedziało twierdząco na zadane pytanie – często udawali się do zamku w dni targowe i handlowali tam żywnością i własnymi wyrobami. Na krótko wszyscy ponownie zgromadzili się wokół największego ogniska, które dawało najwięcej światła, i za pomocą gałęzi, kamieni i kopczyków ziemi nakreślili prymitywną mapę terenu zamkowego.

Lisi Ogon podpełzł do zgromadzonych, żeby przyjrzeć się mapie z bliska. Ian również się do niej zbliżył, słuchając uważnie opisów zamkowych zakamarków.

– Czy zamek wciąż jest w budowie? – zapytał zaskoczony, kiedy usłyszał, że zewnętrzny pas murów miejskich nie został ukończony.

– Rozbudowują gród – odpowiedziano mu. – To był niewielki zamek na skale, jednak król Ryszard nadał miasteczku status portu handlowego, więc zaczęli pracować nad powiększeniem grodu oraz umocnieniem obwarowań w okolicy zamku.

Ale kiedy Lwie Serce umarł i jego brat wstąpił na tron, coraz trudniej było zdobyć wystarczająco dużo złota, żeby skończyć prace nad obwarowaniami. Koniec końców *sir* Harald wolał, żeby ludzie z miasteczka poświęcili się uprawie ziemi i hodowli zwierząt, zamiast zmuszać ich do dokończenia ostatniej linii umocnień.

„Również dlatego, że nie spodziewał się, iż pewnego dnia będzie musiał bronić się przed swoim własnym królem” – domyślił się Ian.

– W samym zamku pewnie się tym martwią, dla nas jednak taka sytuacja może się okazać korzystna – rzekł Bull. – Oddziały króla będą nacierać bezpośrednio w kierunku wież głównych, lecz i my możemy bez trudu zakraść się za nimi i zgotować im niespodziankę. Weźmiemy ich w dwa ognie i nie będą mogli tak łatwo się nam wymknąć – trochę im zajmie wydostanie się z kręgu miejskich murów, zwłaszcza konnicy.

„Pułapka” – przemknęło Ianowi przez głowę. Wciąż przyglądał się dokładnie mapie zabudowań zamkowych, usiłując wyobrazić sobie, co w takiej sytuacji mógłby zaproponować książę Guillaume de Ponthieu. Właśnie w tej chwili najbardziej potrzebował jego doświadczenia w wojskowej strategii. – W bramie wjazdowej nie ma krat ani zamków, prawda? – zapytał.

– Nie. Tak naprawdę nie ma tam nawet fosy. Od zewnętrznej strony mury ledwo przekraczają wysokość dorosłego człowieka, przy wieżach zaś są rusztowania.

– A więc wojska królewskie przejdą przez bramy miejskie i nie tracąc czasu na zdobywanie zewnętrznych obwarowań, skierują się wprost do zamku – ciągnął Ian. – My z kolei możemy wspiąć się na mury i stamtąd ostrzelać najemników. Jako że wybudowana część nie jest przesadnie wysoka, zaatakujemy z zewnątrz – rusztowania osłonią naszych strzelców. Weźmiemy żołnierzy z zaskoczenia, z boku.

– A jeśliby spróbowali odeprzeć nasz atak, to będziemy mieli dokąd uciekać – zeskoczymy z murów i umkniemy na bezpieczne pozycje w lesie, zanim piechota zdoła przesadzić umocnienia obronne i zanim konnicy uda się okrążyć pas murów i przejechać przez bramę. Nienajgorszy to pomysł. I myślę, że może okazać się skuteczny. – Bull pokiwał głową z uznaniem, w zamyśleniu drapiąc się po brodzie.

Kolejne sugestie sprawiły, że plan bitwy zaczął nabierać realnych kształtów. Mężczyźni omawiali szczegóły i przedstawiali własne propozycje, decydując, w jaki sposób podzielić się pracą i przygotować wszystko, co niezbędne do walki. Musieli się spieszyć – wojska króla bez wątplenia miały przystąpić do ataku już nazajutrz, najpewniej zaraz po zwyczajnej próbie wynegocjowania kapitulacji ze strony władców zamku.

Prace miały trwać długo w noc.

Ian pozwolił, by dyskusja toczyła się dalej już bez jego udziału, powierzając rolę głównego stratega i organizatora Bullowi, sam zaś skupił się na szczegółach planu,

który miał dotyczyć wyłącznie jego samego. Nie odrywał oczu od mapy Dunchester, zadając sobie pytanie, jakie podjąć kroki, by w bitewnym zamieszaniu zdołać przemknąć również przez zwodzony most odgradzający budynek dworu od reszty grodu. W jakiś sposób musiał dostać się do zamku. Było to jednak niemożliwe tak długo, jak długo strzeżona brama fortyfikacji pozostawała zamknięta.

Mógł jedynie liczyć na to, że jutrzejsza bitwa przyniesie najemnikom klęskę – tylko w tym wypadku obrońcy zamku mogli otworzyć bramy i rzucić się w pościg za nieprzyjaciółmi w odwrocie, a potem, co możliwe, przyjąć ludność z Aversly i Willingham.

Jego myśli powędrowały ku Danielowi. „Przysięgam, że cię stamtąd wyciągnę, w taki czy inny sposób”.

– A więc jutro będzie bitwa! – z zamyślenia wyrwał go głos Lisiego Ogon.

Ian podniósł oczy i spostrzegł, że chłopiec znów się przy nim usadowił, rzucając mu pełne przejęcia spojrzenie. To, co dojrzał w oczach dziecka, nieszczęśliwie mu się spodobało i wzmogło tylko jego czujność.

– Tak, bitwa będzie, ale ty w niej nie weźmiesz udziału – odparł Ian surowym tonem. – Zostaniesz ze swoją matką tak daleko od Dunchester, jak tylko to będzie możliwe.

Buzia Lisiego Ogon przybrała wyraz głębokiego rozczarowania.

– Ale ja jestem dobrym strzelcem, a wy to wiecie! Byłby ze mnie pożytek! – protestował.

– Nie. Nigdzie z nami nie idziesz. A teraz natychmiast do łóżka.

– Ale...

– Do łóżka, ale już. – Ian wskazał szafas nieznoszącym sprzeciwu gestem.

Lisi Ogon spojrzał najpierw na Iana, potem rzucił okiem na pozostałych mężczyzn, którzy momentalnie przerwali rozmowę, słysząc twardy ton Amerykanina.

– Dorośli muszą teraz porozmawiać, a dzieciaki idą spać – uciął Thomas Bull w odpowiedzi na niemą prośbę wyrażoną przez chłopaczka, który rozglądał się w poszukiwaniu wsparcia wśród zgromadzonych.

Wielu mężczyzn pokiwało głowami i Lisi Ogon zrozumiał, że jego argumenty do nikogo nie trafiają. Zerwał się na równe nogi, obrażony i wściekły, z całej siły zaciskając pięści.

– Jeśli nie znajdę cię w łóżku, kiedy wrócę, będziesz miał do czynienia ze mną, nie z twoją matką – zagroził Ian, gotowy na każde rozwiązanie, byle tylko zniechęcić chłopca do uczestniczenia w wioskowej radzie wojennej, która i tak podsunęła mu już zbyt wiele niebezpiecznych pomysłów.

Lisi Ogon nie odważył się odpyskować – ograniczył się do rzucenia mu rozłoszczonego spojrzenia i biegiem oddalił się od grupy mężczyzn.

– Ten mały narwaniec prędzej czy później wpakuje się w poważne tarapaty, jestem

tego pewien – skomentował Bull.

Tej samej nocy, kilka godzin później, Ian wszedł po cichu do chaty, w której miał spać. Widok Lisiego Ogoną wyciągniętego na słomianym posłaniu tuż obok swojej matki sprawił, że młodzieniec poczuł ulgę. Grymas na twarzy malca nawet we śnie daleki był od zadowolenia, jak dostrzegł Ian w przyćmionym świetle ogniska, które wciąż jarzyło się w kamiennym kręgu wzniesionym na samym środku chatki.

Amerykanin dokładnie zamknął za sobą drzwi z plecionych gałęzi i rozsiadł się na warstwie suchych liści przygotowanych dla niego do spania.

Tuż obok znalazł złożoną derkę, którą owinał się, jeszcze zanim ułożył się w wygodnej pozycji. Dołożył kilka gałęzi do ognia. Do świtu brakowało tylko paru godzin.

Temperatura wewnątrz szałasów była znośna – pozwalała na spokojny odpoczynek.

Ian przetarł dłonią zmęczoną twarz i przez kilka minut siedział w bezruchu.

Spać, musiał bezwzględnie położyć się spać, zwłaszcza że jutro czekał go ciężki dzień.

Zebranie mężczyzn dobiegło końca w chwili, gdy zapadły decyzje o zmianach warty dookoła obozowiska. Należało jeszcze przygotować dodatkowe łuki i strzały oraz zgromadzić wszystkie znalezione w zniszczonych chatkach narzędzia, które mogłyby posłużyć jako broń. Podzielono się na dwie grupy – tych, którzy mieli wyruszyć na bitwę, i tych, którzy mieli pozostać, by chronić rodziny i ludność w obozowisku. Wraz z pierwszym blaskiem świtu do Dunchester miało wyruszyć około pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn. W obozie zostali wyłącznie najstarsi i ranni.

Thomas Bull, naturalnie, był jednym z tych, którzy gotowali się do boju, i mimo że zrezygnował z żołnierskiego życia wiele lat temu, zdawało się, że nie może doczekać się momentu, w którym stawi czoło nieprzyjacielowi.

Ian z kolei wcale nie tryskał entuzjazmem.

„Jestem przecież rycerzem, powinienem być na to gotów” – rozmyślał młodzieniec, jednocześnie dziękując niebiosom za to, że wciąż nie był przyzwyczajony do widoku martwych i rannych, przemocy i krwi. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał do tego przywyknąć.

Spojrzał na śpiącego Lisiego Ogoną, który wcześniej, w naiwnej beztrosce swoich trzynastu lat, cały aż płonął z chęci udziału w wyprawie.

„Trzymaj się najdalej jak możesz od tego wszystkiego” – pomyślał Ian i wyciągnął się w stronę ogniska, żeby poprawić koc na plecach śpiącego chłopca. Zauważył, że Brianna nie śpi. Patrzyła na niego, a światło rzucane przez płomień odbijało się

w jej zielonych oczach.

– Dziękuję – poruszyła ledwo ustami, wymownie wskazując na synka u jej boku.
Ian uśmiechnął się i skinął głową, po czym ułożył się do snu.

Rozdział 16



Świt nadszedł po kilku chwilach, tak przynajmniej zdawało się Ianowi.

Ogień w palenisku powoli dogasał i wewnątrz szałasów zaczynało się robić lodowato. Młodzieniec przekręcił się na bok, żeby rozniecić słaby płomień, dokładając do niego ostatnie gałęzie. Podniósł się potem cicho, tak aby nie obudzić Brianny i Lisiego Ogonia, którzy wciąż spali wtuleni w swoje ramiona.

Cała wieś również była pogrążona w głębokim śnie i tylko kilku mężczyzn powracających z nocnej warty przemykało jak cienie pomiędzy szałasami.

Słońca na niebie wciąż nie było widać, lecz krawędzie chmur przybrały różowawy odcień, a z ciemności powoli wyłaniały się wierzchołki drzew. Temperatura zdecydowanie spadła i Ian otulił ramiona derką, którą wciąż miał na sobie, próbując zachować ostatnie resztki ciepła.

Odgarnął dłonią włosy opadające mu na twarz i potarł policzki, czując szczypanie mrozu. Miał ochotę na kąpiel, jednak szansa znalezienia rzeki, w której można by się obmyć, była dość nikła, zważywszy na panujące zimno. Przy takiej pogodzie zadowoliliby się nawet wiadrem czystej wody.

Podszedł do studni i zaczerpnął wody, którą przelał do koryta stojącego obok – dzień wcześniej służącego za poidło dla zwierząt. Obok leżała sterta szmat, wśród których zdołał odnaleźć jedną czystą, i w końcu, zebrawszy całą swoją odwagę, rozebrał się od pasa w górę.

Zimno przeszło go głębokim dreszczem na wskroś, chłopak zanurzył jednak w wodzie kawałek materiału i zaczął starannie się obmywać.

Czynność sprawiała wrażenie rytuału – w przejmującej ciszy wciąż na wpół uśpionej osady każdy gest Iana zdawał się starannie przemyślany.

Młodzieniec, pogrążony w myślach o nadchodzącej bitwie, czuł się w obowiązku dopełnić ostatnich przygotowań, by z godnością powrócić do walki. Znowu miał się stać rycerzem z krwi i kości.

Gdy tylko skończył, przez chwilę tkwił nieruchomo oparty o koryto. Spoglądał na swoje własne odbicie w tafli wody w świetle wschodzącego słońca. Choć dokuczał mu chłód, wewnątrz narastała w nim ogromna determinacja i świadomość tego, dlaczego wyruszał na bitwę.

Dzień zapowiadał się krwawo, lecz wiedział, że stawi mu czoło całą siłą swojego ducha.

„Jestem gotów” – rzekł do siebie w myślach.

– No... proszę, proszę, blizny jak się patrzy.

Ian odwrócił się błyskawicznie na dźwięk głosu, który nagle usłyszał tuż za plecami. Zobaczył Briannę, która stała z wiadrem zawieszonym na ramieniu i chytrym uśmiechem zastygłym na wargach. Przyszła zaczerpnąć wody ze studni, lecz teraz zdawała się zainteresowana czymś zupełnie innym.

Ian rzucił się w stronę swoich ubrań, kobieta jednak zastąpiła mu drogę. Odłożyła wiadro na ziemię i zbliżyła się do niego.

– Co się wam przydarzyło? – zapytała spokojnym tonem. Zdawała się zwyczajnie zaintrygowana. – Na moje oko to ślady po chłóście.

– Tak – przyznał Ian z niechęcią. – To stara sprawa – odsunął się zdecydowanym ruchem, chcąc pozbierać rozrzucone ubrania i nałożyć je na siebie.

– Czym żeście sobie na to zasłużyli? – zapytała ponownie, wciąż z błędzącym na ustach uśmiechem. – Nie wyglądacie mi na takiego, co by dopuścił się zbrodni, a mam dobre oko do ludzi.

Ian zrozumiał, że nie zdoła jej zniechęcić, zwyczajnie unikając odpowiedzi.

– Sprzeciwiłem się szeryfowi, bo chciałem ochronić pewną dziewczynę. I dostałem nauczkę – wyjaśnił zwięźle, zapinając swoją tunikę.

– Szeryf. No, no, proszę, proszę. – Brianna zauważyła, że chłopak nie patrzył jej w oczy, gdy wyjaśniał pochodzenie śladów na swoich plecach, i zrozumiała, że Ian wcale nie ma ochoty się tłumaczyć. Nie dopytywała o nazwiska, szczegóły czy miejsca, lecz nie ustąpiła. – Udało się wam przynajmniej uratować dziewczynę? Zyskaliście jej wdzięczność? Cóż, z pewnością tak było, zważywszy na to, jaki przystojny z was rycerz – zapytała i sama sobie udzieliła odpowiedzi, z pewną złośliwością w głosie.

– Ale ja nie jestem rycerzem – odparł zaniepokojony Ian, odwracając się gwałtownie.

– Ależ oczywiście, że jesteście. Nie mam najmniejszych wątpliwości. – Brianna zaśmiała się krótko. – Kim moglibyście być? Mężczyzna takiej postury jak wy... Myślicie, że ktoś weźmie was za chłopca? Kto wie, możeście jest dekarzem, skoro tak zręcznie umiecie wiązać gałęzie i deski.

– A może jestem skrybą? Co byście powiedzieli na to, że jestem historykiem?

– Tylko bym się roześmiała. Zdradziło was to, co żeście zrobili w Aversly i co zdarzyło się w lesie tuż przed waszym przybyciem do Willingham.

– W obliczu zagrożenia każdy jest zdolny do tego, by dobyć miecza i się bronić. – Ian wciąż usiłował zaprzeczać, wiedział już jednak, że Brianna nie odpuści. Była przekonana o swojej racji – spojrzenie jej jasnych oczu mówiło samo za siebie.

– A ilu mężczyzn, pomijając tych, którzy przysięgali na miecz, przyklęka do modlitwy przed wizerunkiem świętego Jerzego? – nie ustępowała kobieta.

W tym momencie Ian zrozumiał, że czyjeś czujne oczy musiały widzieć go już dwa dni temu, kiedy klęczał w przydrożnej kapliczce w lesie.

– Beau mi o tym powiedział – potwierdziła Brianna, domyślając się, dokąd powędrowały jego myśli. – Widział was, kiedyście się modlili.

Zbliżyła się do Iana, by pomóc mu w zapinaniu tuniki. Kiedy jej palce uporały się z troczkami, nie odsunęła ręki, ale pozostawiła ją na piersi Iana. Podniosła wzrok, szukając oczu młodzieńca, który był od niej znacznie wyższy. Uśmiechała się w dalszym ciągu, mrużąc oczy niczym zadowolony kot.

– Od długiego czasu nie było mi dane ujrzeć rycerza z bliska. I w dodatku tak pięknego. Przyznaję, robi to na mnie spore wrażenie.

Nastąpiła chwila niezwykle wymownej ciszy. Ian odetchnął powoli.

– Proszę was, powinniśmy przestać. Brianno...

– A dlaczegoż to? Nie uważacie mnie za odpowiednią dla was, być może? A może nie wystarczy wam moja uroda? – odparła dziewczyna. Nie była obrażona i jej zapał nie osłabł. Ciepło jej ręki czuć było nawet przez materiał tuniki, na wysokości serca chłopaka. – Nie obawiajcie się. Nie poproszę was o żadne zobowiązanie, któremu nie będziecie mogli sprostać. Nie jestem już małą dziewczynką śniącą o wielkiej miłości i zbyt dobrze mi z tą wolnością, bym chciała się z kimś wiązać. Przydałoby mi się jednak trochę towarzystwa, a ktoś taki jak wy okazałby się również bardzo cenny dla Beau.

Ian wziął ją za rękę i odsunął od siebie, z całą delikatnością, jaką w sobie znalazł.

– Zasługujecie na najlepszego z mężczyzn i jesteście piękną kobietą. Skłamałbym, mówiąc, że nie uważam was za atrakcyjną. Lecz nie mogę słuchać waszych słów. Mam żonę, którą kocham.

Brianna delikatnie odchyliła głowę na bok. Jej twarz nabrała nieprzeniknionego wyrazu.

– To ta dziewczyna, prawda?

– Tak. – Ian, jak zawsze kiedy myślał o Isabeau, poczuł silne ukłucie tęsknoty. – Nie widziałem jej od bardzo dawna.

– I jesteście pewni, że pozostała wam wierna? – zasugerowała Brianna. Nie mówiła tego złośliwie. Bawiła się, tak jak kot bawi się ze schwytaną myszą.

Ian spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

– Jakim prawem mógłbym prosić ją o dochowanie mi wierności, skoro ja sam uchylam słowom przysięgi złożonej przed ołtarzem?

Uśmiech na twarzy Brianny stał się jeszcze większy. Dziewczyna uwolniła swoją dłoń z dłoni Iana.

– Jesteście prawdziwym człowiekiem honoru. Zdaje się, że muszę się z tym

pogodzić – skomentowała rozbawiona. Przez chwilę jeszcze, w milczeniu, gładziła tunikę Amerykanina, tak jak matki wygładzają nieporadnie nałożone ubrania swoich dzieci. Jej uśmiech nabrał zamyślnego odcienia. – Wiecie co? Należy się wam moje podziękowanie. Wasze uczynki napełniają mnie nadzieją – dodała na koniec. – Jeśli wśród rycerzy są ludzie tacy jak wy, mogę uwierzyć w to, że i mój Mathieu był szczery, kiedy mówił, że na zawsze i mimo wszystko pozostanie mi wierny.

– Jestem pewien, że dotrzymał danego słowa – odpowiedział Ian.

Brianna rozjaśniła się na twarzy z wdzięcznością, po czym odwróciła się i odeszła. Zabrała swoje wiadro, napełniła je wodą ze studni i rzekła:

– Nie obawiajcie się. Możecie wmawiać wszystkim dookoła to, co wam się żywnie podoba. Ja będę trzymać buzię na kłódkę – dodała, wyprzedzając prośbę Iana.

– Dziękuję. To dla mnie niezwykle ważne – odparł z ulgą Ian.

Kobieta odwróciła się po raz ostatni i spojrzała na niego.

– Powiedzcie mi tylko jedną rzecz: jest przynajmniej martwy?

– Kto?

– Szeryf, który groził waszej ślicznotce i który pokaleczył wam plecy.

Ponury cień przemknął przez twarz Iana.

– Tak. Jest martwy. Ja go zabiłem.

Brianna ruszyła przed siebie lekkim krokiem.

– Nie miałam wątpliwości. Jesteście człowiekiem, na którego można liczyć, *sir* Ianie.

Amerykanin odprowadził ją wzrokiem, ale odwrócił się, gdy usłyszał, że ktoś skrada się między dwoma najbliższymi szalasami.

– Ależ jesteś wścibski – powiedział głośno, bez szczególnej surowości, opierając pięści na biodrach.

Zza drewnianych konstrukcji wychynęła głowa Lisiego Ogona, którego buzia była tak czerwona, że zlewała się z ognistą barwą włosów.

– I tym razem mnie śledziłeś – oskarżył go Ian.

– Nie zrobiłem tego specjalnie, przysięgam! Przechodziłem tędy przypadkiem i... – bronił się chłopiec, lecz żadne usprawiedliwienia nie mogły przejść mu przez gardło pod twardym wzrokiem Amerykanina.

– Przekładem przechodziłeś przedwczoraj obok kaplicy świętego Jerzego, z tym mogę się zgodzić – ciągnął Ian. – Dzisiaj jednak nie masz takiej wymówki.

Chłopiec poczerwieniał jeszcze bardziej. W dodatku pożerała go ciekawość, którą można było wyczytać w jego oczach.

– Jesteście najprawdziwszym rycerzem! – powiedział, nie potrafiąc ukryć chęci poznania innych szczegółów.

– Tak, ale pamiętaj o tym, co obiecała twoja matka. Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Obozowisko powoli zaczynało się budzić i między szalasami coraz częściej pojawiały się ludzkie sylwetki. Ian rozejrzał się dookoła, by się upewnić, że nikt inny nie usłyszy ich rozmowy.

– I ja nie puszcę pary z ust, przysięgam! – chłopczyk pospieszył z odpowiedzią.

– Twoje przysięgi słyszę aż nazbyt często. – Ian posłał mu ciężkie spojrzenie, po czym zarzucił na ramiona derkę, odwrócił się i pomaszerował przed siebie.

Lisi Ogon pobiegł za nim.

– A więc jesteście rycerzem i wracacie z wojny! Byliście we Francji, inaczej być nie może. To, coście opowiadali o bitwie pod Bouvines, musieliście widzieć na własne oczy!

– Starczy tych pytań – przerwał mu Ian bez chwili zastanowienia. – Nie mam zamiaru niczego więcej o sobie opowiadać. Czy wyraziłem się jasno?

Lisi Ogon, przerażony, opuścił wzrok i nie odzywał się przez kilka chwil.

– Mój ojciec też był rycerzem, ale umarł, zanim się urodziłem, i nigdy go nie widziałem – wymamrotał w końcu.

Ian pożałował swojej surowości.

– Nie poznasz swojego ojca przeze mnie, choćbyś zadał mi nieskończoną ilość pytań – ciągnął, próbując zapobiec niezręcznej sytuacji.

Lisi Ogon nie odpowiedział.

Pewna myśl uderzyła Iana: „Czy mój syn również dorastałby w takim rozgoryczeniu, gdybym nie zdołał wrócić tutaj poprzez *Hyperversum*?”.

Amerikanin zatrzymał się, by spojrzeć Lisiemu Ogonowi prosto w oczy.

– Nie wiem, kim był twój ojciec, ale nie możesz oceniać go na podstawie tego, w jakim kraju się urodził, ani tego, co mówią o Francuzach po wojnie. Był rycerzem, to powinno ci wystarczyć. Powinieneś być dumny z niego i z tego, jaką miłością darzył swoją matkę. I ona bardzo go kochała i wiedziała, jakim był człowiekiem. Powinieneś uwierzyć w to, co o nim mówi.

Chłopiec podniósł drżącą brodę do góry, usiłując przybrać niewzruszony wyraz twarzy, ale jednocześnie zagryzał usta.

– Ja też chcę być odważny i silny jak rycerze.

Ian zorientował się, dokąd może zmierzać rozmowa, i chwycił chłopczyka za ramiona.

– Stanie się tak, kiedy będziesz dość duży. Teraz jest jeszcze za wcześnie i nie musisz nikomu niczego udowadniać, rozumiesz?

– Jestem już dość duży – usiłował sprzeciwić się Lisi Ogon.

– Nie jesteś, nie masz nawet odrobiny doświadczenia ani przygotowania, żeby móc stanąć z nami ramię w ramię w bitwie. Czy naprawdę chcesz tak bardzo zmartwić swoją mamę? Ona ma teraz tylko ciebie. Jeśli ci się przytrafiło, z pewnością umarłaby ze zgrozy.

Chłopiec wpatrywał się w niego błyszczącymi oczyma. Miotły nim mieszane uczucia.

– Prawdziwy rycerz potrafi ocenić, kiedy może, a kiedy nie może stawić czoła wrogom w bitwie – nalegał Ian.

Lisi Ogon pokiwał głową i opuścił wzrok, powstrzymując się od dalszych komentarzy.

Ian usłyszał, że ktoś go woła. Był to Thomas Bull.

– Gotów do drogi?

Młodzieniec przytaknął:

– Tak. Gotowy.

– No to jeszcze coś przekąsimy i możemy wyruszać.

Ian po raz ostatni zwrócił się do Lisiego Ogona:

– Wracaj do twojej matki. Bądź jej obrońcą. To teraz twój obowiązek.

Po czym oddalił się, by przygotować swój rynsztunek.

Daniel od kilku godzin nasłuchiwał kroków więziennego strażnika. Wzmógł jednak czujność, kiedy spostrzegł, że przez szparę pod sufitem zaczyna się wlewać słaby blask przedświtu.

Nie ruszał się z miejsca w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Noc na zamku minęła niespokojnie. Mimo że spędził ją w kompletnych ciemnościach, docierały do niego przytłumione, zaniepokojone głosy wielu osób, nawołujących się i wydających sobie wzajemnie polecenia. Ludzkie okrzyki mieszały się z tupotem kopyt i rżeniem koni, hałasem pospiesznej pracy, a także ze stukotem ciężkich butów na kamiennym placu.

Całe to zamieszanie nie mogło oznaczać nic dobrego i chłopak na próżno usiłował odgadnąć, jakie wieści mogły postawić cały gród w stan pełnej gotowości.

O świcie krzątania nagle ustała.

„Cisza przed burzą?” – zastanawiał się Daniel z niepokojem, w napięciu nasłuchując jakichkolwiek szmerów z zewnątrz. Wszyscy zamilkli. Po chwili dotarł do niego odgłos kroków nadchodzącego strażnika.

Migotliwy płomień zbliżał się, rzucając blask na schody i podłogę lochów.

W zasięgu wzroku pojawił się żołnierz w czarnym stroju. W prawej ręce trzymał płonąca pochodnię, w lewej zaś, jak zwykle, bukłak z wodą, do którego przyczepiony był bochenek chleba.

Daniel patrzył na niego ze swojego miejsca, siedząc u stóp kolumny, która znajdowała się dokładnie pośrodku celi. Wybrał sobie strategiczną pozycję – wciąż pozostając w zasięgu wejścia, a jednocześnie dość daleko, by nie wzbudzać

niepotrzebnych podejrzeń.

Żołnierz musiał zaciągnąć się do wojska niedawno – najwyraźniej nie czuł się zbyt pewnie w lochach zamczyska. Uwadze Daniela nie umknęło to, jak nadstawiał ucha w kierunku szczeliny w murze, jakby oczekiwał, że ciszę może w każdej chwili przerwać niespodziewany sygnał lub niepokojący hałas. Zatknał pochodnię za uchwyt w kamiennej ścianie i podszedł do krat celi.

Daniel w dalszym ciągu obserwował go z uwagą, lecz mimo to nie ruszył się z miejsca – ani w chwili, gdy żołnierz otworzył wrota, nie spuszczał więźnia z oka nawet na chwilę, ani kiedy je przymknął, po tym jak pozostawił na ziemi bukłak z wodą oraz skromny posiłek.

Chłopak czekał, aż strażnik opuści wzrok na zasuwę, i podniósł się z kamiennej podłogi.

– Czy można wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz? – zapytał z pozornym spokojem.

Żołnierz podskoczył w miejscu i prawie upuścił klucz, którym zamykał kraty. Szybko się jednak opanował i pospiesznie wrócił do wypełniania swoich obowiązków, nie siląc się na odpowiedź.

Daniel w tym samym czasie zrobił kilka kroków w jego stronę. Nie pchał się jednak przed samego strażnika ani nie uczepił się krat. Schylił się, by lewą ręką podnieść z ziemi pozostawiony tam bukłak z wodą. Wypił łyk, przybierając zmęczony wyraz twarzy.

– No, proszę tylko o odpowiedź na jedno jedyne pytanie – nalegał, jednocześnie manipulując prawą ręką i niedbale przesuwając ją w kierunku własnych pleców, tak jakby chciał ulżyć sobie w bólu kręgosłupa czy napięciu mięśni karku. Jego palce błędziły, by w końcu pochwycić to, co trzymał potajemnie zatknięte za pasek swoich spodni. – Chciałem tylko wiedzieć, czy mam powody do zmartwień tu i czy to zamczysko nie runie mi niespodziewanie na głowę.

Na dźwięk jego słów strażnik, wyraźnie zdenerwowany, ponownie zerknął w kierunku szpary. Teraz Daniel naprawdę zaczął się niepokoić.

„Czyżby sytuacja na zewnątrz była rzeczywiście aż tak poważna?” – zastanawiał się. Wiedział też, że musi jak najlepiej wykorzystać zaistniałe okoliczności.

Rozprostował plecy i zrobił jeszcze jeden krok w przód, w dalszym ciągu trzymając w ręku bukłak z wodą. Palcami drugiej dłoni, schowanej za plecami, chwycił pewniej i wyciągnął zza pasa to, co tam ukrywał.

– Zadałem ci pytanie. Jestem rycerzem i żądam odpowiedzi! – wykrzyknął, siląc się na rozkazujący ton.

Tak jak oczekiwał, mężczyzna drgnął, zdenerwowany.

– Od więźnia rozkazów nie będę przyjmował...

Nie zdążył jednak skończyć zdania. W jednej sekundzie Daniel chlusnął mu w twarz wodą z bukłaka, po czym wyciągnął lewą rękę przez kraty celi, złapał

strażnika za odzienie i przyciągnął go z impetem do siebie. Bukłak upadł na ziemię i potoczył się z głuchym łoskotem. Mężczyzna stracił równowagę i uderzył twarzą w metalowe pręty, wydając z siebie okrzyk bólu i zaskoczenia. Usiłował odepchnąć się rękoma od krat, zamarł jednak w bezruchu w chwili, gdy Daniel przystawił mu do szyi kłujące ostrze.

– Stój albo przysięgam, że poderżnę ci gardło – zagroził Amerykanin. Miał nadzieję, że przyciśnięty do krat mężczyzna nie zorientuje się, że blefuje, a ów ostry przedmiot to nie sztylet, lecz tylko kawałek spiłowanego drewna.

Sam Daniel czuł, jak bicie jego serca przyspiesza szaleńczo wraz z rosnącym napięciem. Jego plan zdawał się naprawdę działać i nawet sztuczka z wodą osiągnęła zamierzony skutek.

Daniel podziękował niebiosom za to, że kijek nie złamał się w pół podczas tego błyskawicznego starcia.

– Słuchaj, nie chcę cię zabić – ciągnął, zwracając się do strażnika i usiłując opanować coraz krótszy i szybszy oddech. – Otwórz zasuwę krat, a nic ci się nie stanie.

Mężczyzna przełknął ślinę i nic nie odpowiedział, był przerażony do granic możliwości. Wciąż dzierżył klucze w prawej ręce i w pierwszym odruchu uniósł je, po chwili jednak się zawahał.

Daniel wyczuł, że żołnierz zamierza wyrzucić klucze i dobyć miecza, szarpnął go więc z całej siły, zmuszając, by ten spojrział mu prosto w oczy.

– Nawet nie próbuj sztuczek – wycodził. – Żarty się skończyły. Powiedziałem ci, że nie chcę cię zabić, ale to zrobię, jeśli tylko mnie sprowokujesz. Może i pozostanę tutaj, w środku, ale ty zdechniesz z całą pewnością, bo poderżnę ci gardło jak świniakowi.

Mężczyznę wstrząsnął wyraźny dreszcz i resztki jego znikomej brawury rozpląnęły się na dźwięk tej groźby. Porzucił jakąkolwiek chęć oporu i pospiesznie wetknął klucz w otwór zamka.

Daniel zawlekl żołnierza do wnętrza celi, gdy tylko zwolnił się mechanizm zasuwę i drzwi uchyliły się do środka. Popchnął go twarzą w stronę kolumny i przytrzymał. Rozbroił mężczyznę, ściągając z niego pas z przytroczonym mieczem, i dopiero wtedy rzucił na ziemię drewniany falsyfikat, zastępując go prawdziwą bronią.

– Rozbieraj się – rozkazał, celując czubkiem miecza w swojego zakładnika, dokładnie w miejsce, gdzie skórzany napierśnik odsłaniał skórę potylicy.

Żołnierz, który ze strachu prawie przestał oddychać, usłuchał w milczeniu, upuszczając na ziemię hełm i czarną szatę.

– A teraz możesz uciąć sobie drzemkę – rzucił Daniel, po czym zamachnął się i rękojeścią miecza uderzył strażnika w kark, tym brutalnym ciosem pozbawiając go przytomności.

Przez kilka chwil chłopak usiłował odzyskać oddech, prawie zdławiony przez napięcie wywołane zdenerwowaniem i przez siłę uderzenia, które osiągnęło efekt lepszy od zamierzonego.

„Ian, chyba wreszcie zdołałem ci dorównać” – pomyślał, zwracając się do przyjaciela, który pewnie znajdował się daleko stąd. Po chwili jednak dotarło do niego, że nie może marnować czasu na przemyślenia, jeśli naprawdę chce ratować swoją skórę.

Napierśnik żołnierza nie pasował na Daniela, w przeciwieństwie do czarnych szat. Amerykanin nałożył je pospiesznie, a u pasa przypasał sobie miecz. Wyszedł z celi, starannie zamykając kraty na klucz. Chwycił pochodnię i zwrócił się w kierunku schodów.

Zaczerpnął powietrza.

„A teraz najtrudniejsza część planu” – pomyślał z rosnącym lękiem.

Postawił stopę na pierwszym stopniu i nasłuchiwał czujnie. Z ciemności u szczytu schodów nie dochodziły jednak żadne niepokojące dźwięki.

Może zwyczajnie nie było tam nikogo.

„No dalej, naprzód marsz!” – dodawał sobie odwagi. Poprawił jeszcze hełm na głowie i podjął ostrożną wspinaczkę po stromych stopniach.

Minuty ciągnęły się niemiłosiernie, ale w końcu Daniel ujrzał świetlisty prostokąt drzwi otwartych na oścież.

Odruchowo opuścił pochodnię. Na ścianie tuż przy ostatnim stopniu odnalazł uchwyt, za który mógł ją zatknąć, i tam ją zostawił. Teraz miał obie ręce wolne.

Na zewnątrz światło poranka zdążyło już rozjaśnić dziedziniec i tylko kilka chmur przysłaniało szare i zimne niebo. Zapowiadał się dzień bez deszczu i słaby nawet podmuchy wiatru od morza.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by ogarnąć cały wewnętrzny plac zamkowy. Daniel dostrzegł od razu, że zwiększyła się liczba żołnierzy na murowanych obwarowaniach. Byli lepiej uzbrojeni, a z ich spojrzeń – zwróconych w stronę traktu prowadzącego do zamczyska – można było wyczytać pełne napięcia oczekiwanie.

Wnętrze dziedzińca z kolei wypełniały ruch i wrzawa. Zabiegani służący w pośpiechu napływali do środka i wybiegali przez bramę, niosąc kosze i materiały do budowy. Część z nich prowadziła do niskiego budynku stajni konie w ozdobnych, wielokolorowych czaprakach.

Daniel zrozumiał, że problem, który poderwał na równe nogi całą osadę, miał nadejść spoza Dunchester, spod samych murów, i w ciszy modlił się o to, by nie był spełnieniem jego najgorszych obaw. Budziło się w nim jednak paskudne przecucie,

że tym razem jego błagania nie zostaną wysłuchane.

Przekroczył próg prowadzący na dziedziniec, z całych sił usiłując zachowywać się jak najzwyklejszy wojak. Mimo to nie wypuszczał z dłoni rękojeści miecza.

Bliskość broni nie sprawiała jednak, że czuł się pewniej. Minęło dwa i pół roku, odkąd po raz ostatni wymachiwał ostrzem, a zresztą posługiwał się nim znacznie mniej sprawnie niż Ian. W tej chwili nie byłby w stanie stawić czoła przeciwnikowi w regularnym pojedynku, musiał więc uniknąć starcia za wszelką cenę. Nie mógł ściągnąć na siebie niczyjej uwagi, musiał trzymać się z daleka od wszelkich tarapatów, w przeciwnym razie jego próba ucieczki mogła się zakończyć, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła.

Maszerował równym krokiem, unikając środka placu i raczej trzymając się pobliskich budynków. Nie spuszczał z oczu tego, co było jego celem, a jednocześnie źródłem potencjalnego niebezpieczeństwa: otwartych wrót, które łączyły wewnętrzną i zewnętrzną część dziedzińca.

Przejście miało formę ciemnego tunelu, który biegł od frontowej części zamczyska, tuż obok głównej baszty, i kończył się w przestrzeni ograniczonej z dwóch stron kamiennymi obwarowaniami. Wejście zwieńczone było potężną bramą zbudowaną z drewnianych belek i żelaznych wsporników. Wyglądało jak gigantyczny tasak zawieszony w powietrzu na solidnych, kutych łańcuchach.

Daniel mógł się domyślać, że na przeciwnym krańcu tunelu znajduje się podobna brama – gotowa, by opaść z hukiem w najmniej spodziewanym momencie. W tej chwili nic nie przerażało go bardziej niż to, że jeśli jego eskapada zostanie odkryta, metalowe bramy zatrzasną się, a on sam wpadnie w pułapkę jak mysz w szczelnie zamkniętym pudełku. Mimo to, jeśli chciał się stąd wydostać, była to jedyna droga.

Skarcił się za tchórzostwo i zebrał w sobie resztki odwagi. Odszedł kawałek od budynku, obok którego się zatrzymał, żeby ocenić sytuację, i skierował się w stronę bramy.

W tej samej chwili niewielki oddział złożony z trzech żołnierzy nadbiegł pospiesznie od strony tunelu.

Daniel błyskawicznie usunął się na bok. Obawiał się najgorszego, zrobił kilka kroków w tył, po czym przeniósł się w cień najbliższego budynku. Żołnierze jednak nie zwrócili na niego uwagi, a jeśli nawet zdołali go dojrzeć, nie zainteresowali się nim wystarczająco, by się zorientować, że nie był jednym z nich.

Jednocześnie do uszu chłopaka dotarł donośny łoskot końskich kopyt, dochodzący z przeciwległej strony dziedzińca.

Poczuł dreszcz na widok Geoffreya Martewalla w siodle potężnego wierzchowca bitewnego. Rycerz wyposażony był w tarczę, do pasa miał przytroczony miecz, a w drugiej ręce trzymał hełm.

Zarówno jeździec, jak i koń mieli na sobie czarne barwy z haftowanym złotym

lwem. Zdobił on płaszcz Martewalla i czaprak jego rumaka. Rycerz był ubrany także w lśniącą kolczugę i kaptur kolczy.

Daniel prawie już zapomniał, jak wielkie wrażenie robią na nim średniowieczni wojacy w pełnym rynsztunku, i zastygł nieruchomo, patrząc na Anglika z mieszaniną lęku i podziwu. W tym momencie Geoffrey Martewall, odziany w czerń, zdawał się uosobieniem okrutnej siły wojny.

Jednocześnie Daniel przypomniał sobie, w jakich okolicznościach widział go na turnieju w Béarne: był zaprawiony w boju, szybki i dokładny. To przeciwnik, którego należy traktować śmiertelnie poważnie.

Tym razem jednak na stroju rycerza pojawił się nowy element – na jego piersi i herbie widniał czerwony kołnierz turniejowy, misterny wzór, który otwarcie oświadczał, że wrogowie mają do czynienia z przyszłym dziedzicem rodu, którym stał się po śmierci starszych braci. Wizerunek złotego lwa był większy, a na kolczudze i tarczy znajdowały się czerwone elementy.

Angielski rycerz nie był sam. Towarzyszyło mu trzech wojowników, w szatach różniących się kolorami. Wszyscy byli jednak podobnie uzbrojeni i gotowi do walki. Jednym z nich, w zielono-złotej zbroi, był wierny kapitan Hektor.

– Panie! – wykrzyknęli żołnierze na widok młodego barona i rzucili się do niego biegiem.

Pomimo dzielącej ich odległości Daniel usłyszał, jak mówią:

– Wysłannicy króla chcą się z wami rozmówić.

Martewall skinął głową i podniósł spojrzenie w kierunku bramy.

– Domyślam się, czego mogą ode mnie chcieć – odparł lakonicznie, spiął rumaka i ruszył powolnym krokiem w stronę wyjścia z dziedzińca. Za nim podążyli jego kompani.

Widząc, jak rycerz znika w bramie, Daniel opuścił swoją bezpieczną pozycję i udał się pospiesznie w kierunku murów. Ruch w przejściu był jednak zbyt duży – pojawiali się i znikali w nim zarówno żołnierze, jak i rycerze, chłopak musiał więc na chwilę zrezygnować z pomysłu przedostania się na drugą stronę.

Nie chciał znaleźć się na zewnętrznym dziedzińcu wraz z Martewallem. Obawiał się, że właśnie tam rycerz zbierze wszystkich swoich żołnierzy. Zanim jednak miał przystąpić do zapowiadającej się karkołomnie ucieczki, musiał się zorientować, co tak naprawdę działo się po drugiej stronie obwarowań.

Odnalazł kamienne schody wznoszące się aż do ścieżki wartowniczej, prowadzącej wzdłuż górnej części murów, i szybko się po nich wspiął.

Dzięki czarnym szatom, które miał na sobie, wyglądał jak wszyscy pozostali żołnierze i gwardia i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Mógł zatem bez żadnych przeszkód wyrzeć poza blanki murów.

To, co ujrzał na horyzoncie, zapało mu dech w piersiach.

Zaraz za nieukończonym pasem zewnętrznych fortyfikacji Dunchester kłębił się potężny tłum zbrojnych odzianych na czerwono. Nie była to regularna armia, ale oddziały były wystarczająco liczne, by rozpocząć oblężenie niewielkiej twierdzy.

Daniel spojrział w dół i zobaczył, że ciżba wypełniająca wewnętrzny dziedziniec zamku składa się nie tyle z żołnierzy, ile z przerażonych mieszkańców. Musieli opuścić swoje domy, których nie można było obronić przed wrogiem, i szukać schronienia wewnątrz zamkowych umocnień. Straże Dunchester zajęte były rozmieszczaniem ludności cywilnej po bokach i na tyłach fortecy, tak aby zapewnić jej jak najbezpieczniejsze miejsce, które nie kolidowałoby z ewentualnymi działaniami zbrojnymi w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma pasami murów okalających zamek. Głosy pełne przestachu i płacz dzieci mieszały się z krótkimi i ostrymi rozkazami wydawanymi przez żołnierzy.

Na polach po zewnętrznej stronie umocnień nie poruszało się nawet źdźbło trawy. Zamek i oddziały w królewskiej czerwieni dzieliła teraz tylko opustoszała, widmowa i nieruchoma wioska, wciąż okryta poranną mgłą.

Geoffrey Martewall przejechał przez wewnętrzny dziedziniec. Zanim wkroczył na teren pustej wioski w towarzystwie trzech kompanów, ludzie z Dunchester wykrzykiwali jego imię, żołnierze zaś oddawali mu honory. Nie asystował mu nikt więcej i Daniel zrozumiał, że pierwsze spotkanie ma charakter negocjacyjny. Z szeregów wojsk królewskich wystąpiło czterech rycerzy w czerwonych szatach i zmierzało na spotkanie z panem na zamku. Nieśli ze sobą sztandar z trzema złotymi lwami, takimi samymi jak te, które Martewall miał wyszyte na przodzie tuniki i wymalowane na tarczy.

Daniel rozpoznał herb króla Anglii – widział go już podczas bitwy pod Bouvines. Szybko przeanalizował sytuację, domyślając się, co się wydarzy w najbliższej przyszłości.

Wysłannicy króla mieli zażądać kapitulacji twierdzy, czemu Martewall z pewnością zamierzał się sprzeciwić, zgodnie z tym, co zostało mu przykazane przez ojca. Po wymianie grzeczności należało się spodziewać tylko otwartej wrogości.

Wojska króla czekały pod murami zamku tylko po to, by zdobyć go za wszelką cenę.

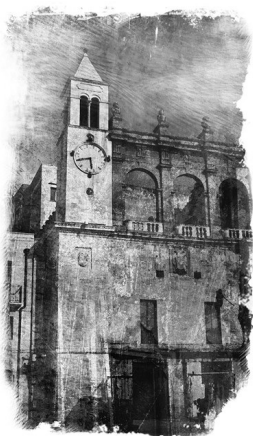
„Nie dadzą rady opierać się zbyt długo. Armia króla jest zbyt liczna” – pomyślał Daniel, oceniając skromne siły twierdzy Dunchester i porównując je z imponującym wojskiem koronnym.

Chłopak wiedział jednak, że podczas oblężenia przewaga początkowo leżała zawsze po stronie atakowanego. Ci, którzy walczyli z pozycji wewnątrz murów miejskich, potrzebowali bowiem znacznie mniej ludzi niż ci, którzy musieli przypuszczać atak z zewnątrz. Mimo to sytuacja zamku zdawała się w dalszym ciągu dość niepewna. Wewnątrz znajdowali się niewinni ludzie, których trzeba było bronić,

należało też znaleźć im miejsce do spania i ich wykarmić. Panowały styczniowe mrozy, zaś zapasy – ze względu na przyzwolenie samego *sir* Haralda Martewalla – były znacznie uszczuplone.

„Jak oni mają zamiar tutaj wytrzymać dłużej niż przez kilka dni?” – zastanawiał się Daniel. – „I jak ja zdołam się stąd wydostać?” – myślał skonsternowany.

Rozdział 17



Ian patrzył z daleka na manewry czerwonych szeregów, korzystając z osłony lasu. Z miejsca, w którym stał, widział z boku całe przyszłe pole bitwy. Po lewej stronie miał zamek i strome nadmorskie urwisko, po prawej zaś oddziały króla, gotowe, by przekroczyć pierwszy pas miejskich zabudowań – niestrzeżony przez nikogo i łatwo dostępny.

W pobliżu Amerykanina, kryjąc się za konarami drzew, zaczęli się mężczyźni z Aversly i Willingham. Jedni zdawali się bardziej, inni mniej przejęci – na ich twarzach malowała się mieszanka odwagi i strachu, w dłoniach zaś dzierżyli już broń, niecierpliwi i gotowi, by jej użyć. Mieli ze sobą łuki, kusze, proce, kilka mieczy zabranych zamordowanym poprzedniego dnia żołnierzom, prymitywne piki i oszczepy zrobione z gałęzi. Niektórzy wzięli ze sobą narzędzia pracy: topory, sierpy, widły i ciężkie młoty. Na grzbietach nielicznych mułów umieszczono zapasy strzał i kamieni.

– Musimy czekać, aż najemnicy wejdą do grodu, później zakradniemy się wzdłuż nieukończonych murów i będziemy mogli się na nie wspiąć – powiedział Thomas Bull, stojący nieruchomo obok Iana.

Młodzieniec kiwnął głową i zerknął na wysokie wieże z powiewającymi sztandarami. Wpatrywał się w nie intensywnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, w jaki sposób mógłby się dostać do wnętrza kompleksu zamkowego.

Niestety, aby zorientować się dokładniej w układzie zabudowań twierdzy, musiał najpierw przekroczyć przynajmniej pierwszy pas obwarowań. Okoliczni mieszkańcy opisali mu szczegółowo plan konstrukcji, same słowa jednak, nawet niezwykle dokładne, nie były w stanie zastąpić bezpośredniej obserwacji. Ponadto żaden z prostych chłopów nigdy nie był w części zamku zarezerwowanej wyłącznie dla feudała, jego rodziny, wojskowych i sług.

Powietrze przeszył dźwięk rogu, a mężczyźni ukryci w lesie wymienili ponure mruknięcia.

Ian zmrużył oczy i dostrzegł, że kilku rycerzy w różnokolorowych tunikach wychodziło z osady i wracało w szeregi królewskiego wojska. Byli to ci sami jeźdźcy, którzy jakieś dwadzieścia minut wcześniej udali się do zamku, niosąc ze sobą królewski sztandar. Amerykanin bez trudu zrozumiał, że wyprawa miała na celu negocjacje z władcą zamku.

Pertraktacje najwyraźniej nie zakończyły się sukcesem. Powrót rycerzy zdawał się sygnałem dla wszystkich żołnierzy i najemników, którzy zaczęli zacieśniać szeregi i przygotowywać broń.

– Zaczyna się – powiedział Ian ponuro.

Wśród oddziałów króla Jana zaczęły pobrzmiwać okrzyki i rozkazy. Na tyłach, tam gdzie stacjonowały najcięższe wozy, pojawiły się długie drewniane drabiny, poskładane z części i niesione na ramionach przez dziesiątki postawnych mężczyzn. Konie i muły, załadowane zapasami do uzupełniania broni, zostały odciągnięte na bok. Łucznicy gromadzili się w zorganizowane oddziały, gotowe do zajęcia miejsc na tyłach piechoty. Rycerze oczekiwali z pikami w dłoniach, by móc zacząć regularne starcie na otwartym polu. Niektórzy zajmowali się składaniem broni dalekiego zasięgu. Wszystkiemu towarzyszyły gorączkowa krzątanina i pośpiech. Żaden ruch jednak nie zdawał się przypadkowy, a porządek utrzymywały rytmiczne dźwięki rogu i rozkazy wykrzykiwane przez dowódców drużyn.

Ian przypatrywał się rozgrywającej się scenie z zafascynowaniem i podziwem. Widział już średniowieczne wojsko szykujące się do bitwy, nigdy wcześniej nie miał jednak okazji oglądać – poza salą kinową – przygotowań do oblężenia twierdzy i widok ten zapierał mu dech w piersiach.

Żołnierze króla zabrali się do ustawiania żelaznych kociołków wypełnionych rozżarzoną smołą do strzał i pocisków zapalnych i Ian zrozumiał, że moment ataku jest już bardzo bliski. Rzucił okiem na drugi pas murów miejskich, gdzie czarne wojsko twierdzy Dunchester uwijało się w swoich przygotowaniach, i zobaczył, jak gęsty, żywiczny dym unosi się również z tamtej strony. Smoła, zmieszana z wrzącym olejem i wodą, miała być wyrzucana z katapult wprost pod nogi nieszczęśników pod murami twierdzy. Także z wnętrza zamku rozbrzmiewały groźne sygnały rogów.

„Tak, zapowiada się naprawdę krwawy dzień” – myślał Ian. Wyciągnął miecz z pochwy i ścisnął mocno jego rękojeść, żeby dodać sobie odwagi.

Wokół niego mężczyźni z Aversly i Willingham wymieniali krótkie, nerwowe uwagi, wskazując na zamieszanie w dole i manewry najemników oraz na zamek.

Sygnal do ataku nadszedł wkrótce, tak jak się tego spodziewali. Mimo to sprawił on, że ukryci w lesie mężczyźni podskoczyli, czując, jak w miarę zbliżania się bitwy narasta w nich niepokój.

Ian odruchowo podniósł rękę w niemym rozkazie i dał znak swym kompanom, by zachowali spokój i pozostali w leśnej głuszy. Zwrócił oczy ku najemnym wojskom króla Jana bez Ziemi, które w tej samej chwili rzuciły się naprzód przy ogłuszającym łomocie bębnow.

Wpadli w nieukończony pas obwarowań, znikając z pola widzenia rebeliantów, lecz wszyscy zrozumieli, że atakujący znaleźli się w zasięgu strzału. Od strony murów Dunchester uniosła się chmura pędzących grotów, które po zatoczeniu łuku na

zimowym niebie opadały z impetem na wroga.

Krzyki tymczasem zmieniły ton i wrzaski zagrzewające do boju mieszały się z jękiem rannych i umierających.

Tak zaczynała się masakra.

Ianem wstrząsnął dreszcz, mimo że z całych sił usiłował wewnątrznie przygotować się na ten moment.

Czołowe oddziały atakujących zmieniły pozycję, przedostając się do opuszczonego grodu Dunchester. Drużyny łuczników i kuszników wybiegły naprzód wraz z piechotą i odpowiadały na ogień obrońców, ostrzeliwując mury nieprzerwanym gradem pocisków.

Ian, ponieważ nie mógł już dojrzeć królewskich łuczników, zasłoniętych przez masyw zewnętrznych fortyfikacji, skupił wzrok na punkcie, z którego wystrzelivano pociski. Zauważył, że ten przesuwa się nieubłaganie w stronę zamku. Atakujący zdobywali pole metr po metrze, zbliżając się nieustępliwie w kierunku warowni.

– Wiejskie domy działają na ich korzyść – skomentował ponuro Thomas Bull. – Mogą ukryć się pomiędzy chatami i uniknąć ostrzału ze strony zamku.

– Czy to możliwe, że w Dunchester nie pomyśleli o tym, jak odwrócić tę oczywistą przewagę na niekorzyść wroga? – dociekał Ian.

Odpowiedź nadeszła wraz z serią płonących strzał, które wylądowały wśród najeźdźców. W kilka chwil później kłęby czarnego dymu zaczęły wznosić się ponad grodem, gęstniejąc w lodowatym powietrzu.

– Podpalają domy – powiedział Bull, wychylając się do przodu najdalej, jak tylko mógł, by dostrzec szczegóły bitwy. – Zniszczą ogniem ewentualne miejsce schronienia nieprzyjaciół i uniemożliwią łucznikom skuteczne celowanie.

Domy w Dunchester, tak jak i w innych wioskach, z pewnością były wykonane z drewna i słomy. Wystarczyła iskra, by stanęły w płomieniach. Amerykanin zadawał sobie jednak pytanie, jak skuteczne będą płonące strzały w kontakcie z materiałami, których użyto do ich budowy, zawilgoconymi po mroźnej zimowej nocy.

– Nie dadzą rady – podjął w tym samym momencie Bull, odpowiadając na jego rozmyślenia. – Łucznicy z zamku nie dadzą rady strzelać wystarczająco często i celnie. Obrywają za każdym razem, kiedy zbliżają się do flank.

– No więc dalej, chodźmy im pomóc – zaproponował Ian.

– Nie mamy niczego, czym można by było skutecznie podłożyć ogień – sprzeciwił się Bull.

– Ale możemy wziąć z zaskoczenia łuczników wroga i zmusić ich, by zaprzestali ataku – odparł Ian. – Ludzie z Dunchester zrobią za nas resztę, jeśli będą mogli bez przeszkód zająć pozycje tuż za murami.

Były żołnierz zastanawiał się kilka chwil nad propozycją, po czym przyznał:

– Zgoda. Musimy jednak nieco się przybliżyć.

– Trzeba wspiąć się na zewnętrzne mury, tak jak ustaliliśmy. Jeśli zajmiemy pozycję boczną, przechodząc teraz przez las, dotrzemy na miejsce przez nikogo niezauważeni. Wszyscy żołnierze króla przedarli się już przez pierwsze obwarowania, więc nas nie zobaczą.

Bull przyznał mu rację. Odwrócił się w stronę mężczyzn, którzy znajdowali się najbliżej niego, i szeptem podzielił się z nimi planem, a ci przekazywali go pozostałym.

Wspięcie się na mury nie wydawało się najtrudniejszą częścią planu, biorąc pod uwagę niewielką wysokość nieukończonych konstrukcji. Kilku wieśniaków było słusznej postury i ci mogli podsadzić parę osób, które później pomogłyby wciągnąć całą resztę. Rusztowania porzucone przez murarzy dodatkowo ułatwiały zadanie.

Ian i Bull szli przodem przez gęsty las, starając się nie wychodzić z naturalnej osłony stworzonej przez roślinność tak długo, jak było to możliwe. Zbliżyli się maksymalnie do zamku i pasa zewnętrznych umocnień, po czym zatrzymali się, by racjonalnie ocenić sytuację. Za nimi zgromadzili się pozostali mężczyźni.

– Zdaje się, że droga wolna – powiedział Bull.

Królewskiego wojska nie było w zasięgu wzroku. W okolicy nie zdołali dojrzeć szpiegów ani wartowników. Oddziały Jana bez Ziemi były całkowicie pochłonięte atakiem na zamek i nie mogły spodziewać się uzbrojonych rebeliantów szarżujących od strony lasu.

– Weźmiemy ich z zaskoczenia. Idziemy. – Ian dał dobry przykład i opuścił leśną kryjówkę, aby stawić czoło wrogowi na otwartym polu bitwy.

Daniel przyłgnął płasko do ściany, słysząc jazgot strzał szybujących w powietrzu dookoła niego. Zaklął. Do jego uszu docierały suche uderzenia strzał, które rozpryskiwały się w tysiące drzazg, trafiając w kamienne mury zamku. Minęła dłuższa chwila, zanim odważył się wyrzeć na zewnątrz.

Najeźdźcy zbliżali się w niepokojącym tempie. W tej chwili ich pociski docierały już do kręgu wewnętrznych, najwyższych murów, przeszywając środkowe umocnienia i siejąc śmierć wewnątrz zamku – mimo iż trafiały do celu z mniejszą precyzją w porównaniu ze strzałami wymierzonymi w bliżej położone obiekty. Królewscy łucznicy nie mogli dokładnie dojrzeć obrońców zgromadzonych na wewnętrznych obwarowaniach, lecz ich strzały były jak roje os. Mierzyły w każdy centymetr murów i nieubłagane znajdowały ofiary na swej drodze. Cięższe pociski, wyrzucane przez miotaczy, dopełniały dzieła zniszczenia.

„Jeśli tak dalej pójdzie, żołnierze króla będą za chwilę pod środkowymi murami” – pomyślał Daniel, patrząc z niepokojem na ludzi z Dunchester znajdujących się przed

nim, na najbardziej wysuniętej do przodu linii walk. Pospiesznie przygotowywali kotły z wrzącym olejem, by wylać go przez wykusze w murach zamku wprost na oblegających. Wszyscy przygotowywali się do bezpośredniego ataku wymierzonego w budowlę obronne, z ich gorączkowych gestów można zaś było wyczytać, że wróg jest już prawie u bram.

Na zewnętrznym dziedzińcu, wciśniętym pomiędzy drugi a trzeci pas murów, żołnierze Dunchester zwijali się jak w ukropie, biegali z kolejnymi wiadrami wody i piasku, by ugasić lokalne pożary wywołane ognistymi pociskami nieprzyjaciela, płomienie jednak nieubłaganie rozpełzały się po drewnianych ścianach.

Z przyjętej pozycji Daniel mógł dostrzec samego Martewalla, który pozostawiwszy w dole swojego bitewnego rumaka, wspiął się na mury najbardziej wystawione na ostrzał wroga, by osobiście wydawać rozkazy obrońcom. Z godną podziwu odwagą nie baczył na strzały najeźdźców, mimo że jego kolczuga nie mogła ochronić go przed ich grotami, zwłaszcza tymi wystrzelonymi z kuszy. Niejednokrotnie rycerz musiał zasłaniać się swoją czarną tarczą. Później mieczem strącał wbite w nią groty. Nie przerażały go nawet płonące strzały, zdolne przebić drewnianą powierzchnię tarczy – i tych Martewall pozbywał się z lodowatym spokojem.

Obecność Martewalla w pierwszej linii obrony była istotnym znakiem dla jego ludzi – zagrzewała ich do walki i potęgowała odwagę konieczną do tego, by nie ustąpić przed impetem, z jakim nacierały wojska wroga.

To Martewall wydał rozkaz rozpoczęcia wyrzutu zapalnych pocisków w stronę dachów chałup w zewnętrznej części osady, tak by dymem i ogniem przeszkodzić napastnikom i spowolnić ich atak. Jednak mimo licznych prób drewniane budynki opierały się płomieniom. Mogło to wiązać się z tym, że dachy chałup zostały zapobiegawczo pokryte smołą i niepalnym olejem – tak przynajmniej można było wnioskować po kłębach dymu unoszących się z miejsc, w których strzały osiągały swój cel.

Niestety, łucznicy w czarnych szatach nie mogli zbliżyć się do blanek na dłużej niż kilka sekund, w przeciwnym razie padali ugodzeni strzałami jak szmaciane lalki.

Daniel z przerażeniem obserwował, że wielu z nich, rannych czy w agonii, spadało z wysokości umocnień obronnych po tym, jak wystawili się na strzał, usiłując wypełnić swój obowiązek wobec feudała.

W dole zewnętrznego dziedzińca gromadziły się zwłoki poległych. Ranni byli transportowani w bezpieczne miejsce.

„Co za jatka...” – pomyślał chłopak, wyobrażając sobie, że na zewnątrz murów liczba poległych jest z pewnością dwukrotnie większa.

A przecież bitwa dopiero co się rozpoczęła.

– Hej, ty! Co ty tutaj robisz?

Daniel podskoczył w miejscu, słysząc rozgniewany głos, i obrócił się w mgnieniu

oka. Jego ręka powędrowała w stronę miecza. Przed nim stał jeden ze starszych rangą wojskowych, przygarbiony, lecz przynajmniej dwukrotnie szerszy od niego w ramionach. W dłoni trzymał obnażony miecz, a na jego twarzy rysowało się oburzenie. Daniel poczuł, że właśnie wpadł w pułapkę.

Mężczyzna zauważył natychmiast obronny gest chłopaka i zamachnął się swoim mieczem, aby go zatrzymać.

– Ty przekłety durniu, co robisz z tym mieczykiem? – zwrócił się do niego, jeszcze bardziej wściekły. – Myślisz może, że nieprzyjaciel przedostał się już do nas przez mury? Ci, co nas atakują, są ciągle tam, na zewnątrz! Lepiej byś spróbował się zająć czymś pożytecznym, zamiast stać tutaj i spoglądać przez okienko, nerwowo jak panienka.

Daniel, który był już gotów bronić się rękami i nogami, zamarł w bezruchu, słysząc słowa tej nieoczekiwanej bury. Musiał użyć całego swojego opanowania, żeby się nie zdradzić.

Postanowił udawać niedoświadczonego żołnierza i opuścił głowę ze skruszoną miną.

– Tak, panie... – powiedział z zakłopotaniem.

– Tak, panie? Co ty wygadujesz? – uciszył go wojskowy. – Zdradź mi, jak dokładnie masz zamiar przydać się do czegokolwiek, stojąc tutaj sam jeden z mieczem? Chodźże, dostaniesz łuk i kołczan ze strzałami. I mam szczerą nadzieję, żeś mocniejszy w celowaniu niż w gębie! – Wskazał ręką łuczników, którzy rozstawieni wzdłuż ścieżki patrolowej na murach, przygotowywali się do walki.

– Tak, panie – powtórzył Daniel, stając na baczność, i mało brakowało, a zasalutowałby dowódcy.

– Rusz się! – wrzasnął Anglik, zniecierpliwiony.

Daniel rzucił się biegiem, w duchu składając nieskończone dzięki czarnemu strojowi, który zdobył podczas ucieczki z lochów. Do jego uszu jeszcze przez chwilę dochodziły z oddali przekleństwa żołnierza wymierzone we „wszystkich cholernych smarkaczy, co nie mają pojęcia o wojaczce i więcej z nich szkody niż pożytku”.

Nie miał odwagi obejrzeć się za siebie i modlił się, żeby pozostali łucznicy też nie rozpoznali w nim zbiega.

– Dostałem rozkaz przyłączenia się do was – zakomunikował, wskazując palcem na dowódcę, którego zostawił w tyle, przy murach. Był świadomy tego, że mężczyzna w dalszym ciągu nie spuszcza go z oka.

Reszta żołdaków zlustrowała Amerykanina od stóp do głów, ale zanim którykolwiek zdążył skomentować jego słowa, nowa chmara strzał ugodziła śmiertelnie dwójkę z nich, zmuszając pozostałych do ukrycia się w załomach murów.

Daniel zaklął soczyście, gdy jeden z grotów minął jego szyję o parę cali. Padł na ziemię, nakrywając głowę rękoma. W uszach huczał mu świst strzał zmieszany

z gorączkowym biciem jego własnego serca.

Kiedy zakończył się ostrzał, żadnemu z żołnierzy nie przyszło już do głowy silić się na jakiegokolwiek uwagi odnośnie do niezdarności nowego kompana. Przekazali Danielowi broń, o którą prosił, i wskazali mu osłonięty punkt w murze.

– Z tego miejsca – polecili mu pospiesznie.

Daniel ujrzał pustą pozycję strzelniczą – zwolnioną przez łucznika, który poległ pod atakiem nieprzyjaciela.

„Dlaczego ja mam zawsze takiego pecha?” – zapytał w duchu, wściekły na samego siebie, a przede wszystkim na *Hyperversum*.

Był zmuszony dalej odgrywać rolę żołnierza. Nie tylko dlatego, że nie chciał, by go przyłapano i wsadzono z powrotem do lochu, lecz przede wszystkim ze względu na to, że musiał się bronić, bo ci, którzy czyhali za murami, byli też jego nieprzyjaciółmi.

Jeśli wojska Jana bez Ziemi zdobyłyby Dunchester, żołnierze króla z pewnością kazaliby słono zapłacić wszystkim jego obrońcom, nie robiąc wyjątku wobec rycerza króla Filipa Augusta. Temu dostałoby się pewnie jeszcze bardziej, zwłaszcza że miał niewielką szansę na utrzymanie swej tożsamości w tajemnicy.

Musiał zrobić wszystko, co było w jego mocy, by pomóc utrzymać Dunchester, przynajmniej do chwili, gdy nie otworzy się przed nim jakakolwiek droga ucieczki.

Posyłając do wszystkich diabłów jednocześnie *Hyperversum* i króla Anglii, Daniel podbiegł na swoją pozycję, trzymając nisko głowę, by blanki osłoniły go przed gradem strzał nieprzyjaciela, który znów rozpoczął ostrzał. Skulił się we wnęce, ustawił swój kołczan w zasięgu ręki, chwycił w dłoń łuk i wybrał strzałę.

Znieruchomiał na kilka chwil, usiłując opanować drżenie, by jak najdokładniej wycelować, świadomy, że skuteczność jego strzału przekłada się na pozbawienie życia innych żołnierzy.

Koszmar, którego nie chciał już nigdy powtórzyć, właśnie powrócił.

Odruchowo zamknął oczy. Huk walki rozbrzmiewający z każdej strony przepełniał powietrze i wył w jego głowie mieszaniną jęków, metalicznych uderzeń, krzyków, przekleństw i dudnienia rogu.

„Nie mam innego wyboru” – powtarzał sobie w duchu.

Niedaleko od niego dowódca drużyny, który wcześniej go złażał, wyrzaskiwał rozkaz przygotowania się do strzału.

Daniel otworzył oczy i podniósł się na równe nogi. Padł sygnał do strzału.

Naciągnął cięciwę, wymierzył i strzelił.

Jego strzała wmiszała się w rój pozostałych, które pomknęły przez niebo i runęły nagle na szeregi przeciwnika.

Daniel zdołał dojrzeć, że mężczyźni w czerwonych strojach padają na ziemię jak rażeni gromem. Nie mógł wiedzieć, czy jego strzała dosięgnęła celu – z takiej

odległości nie sposób było wymierzyć w konkretną osobę. W tej sytuacji można tylko zawierzyć statystyce. Gęsto padające drzewce tak czy siak siały zniszczenie.

Amerikanin czuł w ustach gorzki posmak, mimo to sięgnął po kolejną strzałę i po raz drugi, na sygnał dowódcy, naciągnął cięciwę, tak jak pozostali łucznicy. Salwa oblegających zmusiła ich do szukania schronienia w kamiennych załomach.

Operacja powtórzyła się z dziesięć razy, może nawet piętnaście – Daniel nie potrafił zliczyć oddanych strzałów. Wstawał posłusznie na każdy rozkaz do ataku, celował i puszczał cięciwę.

Kiedy potworność rozgrywających się scen była już nie do wytrzymania, Daniel skulił się pod kamiennym gzymsem, żeby uspokoić urywany oddech i pomasować ramię odzwyczajone od trzymania łuku – bolało go teraz niemiłosiernie. Przede wszystkim musiał jednak odzyskać panowanie nad targającymi nim emocjami.

Ściągnął hełm, żeby wytrzeć spoconą twarz.

Odrzucił się w kierunku wewnętrznego dziedzińca twierdzy i z zaskoczeniem usłyszał dobiegający stamtąd kobiecy głos.

Spojrzał w dół i ujrzał Leowynn Martewall w towarzystwie sług. Dziewczyna stała obok siedzącego na bitewnym rumaku jeźdźca w pełnej zbroi.

Nie był to jej brat Geoffrey – herb rycerza pozbawiony był kołnierza turniejowego, ponad złotym lwem widniał zaś krzyż w tym samym kolorze.

Z niedowierzaniem Daniel rozpoznał *sir* Haralda Martewalla, gotowego do bitwy mimo swego wieku i choroby. Stary rycerz, były krzyżowiec, chciał z dumą i odwagą wziąć udział w potyczce, która mogła okazać się jego ostatnią. Z pomocą sług wspiął się na siodło wierzchowca, zapewne po to, by swobodnie poruszać się wzdłuż linii frontu, nie licząc na możliwość bezpośredniego starcia z wrogiem.

Córka usiłowała odwieść go od tego zuchwałego pomysłu, jak można było wywnioskować z gestów i tonu jej głosu, który ginął w bitewnym zamęcie.

Stary ojciec jednak zupełnie jej nie słuchał; wydał rozkaz sługom, by odprowadzili dziewczynę w bezpieczne miejsce.

Leowynn sprzeciwiła się, musiała jednak ustąpić pod naciskiem ojca i pogodzić się z jego decyzją. Zanim się oddaliła, rzuciła ostatnie, zaniepokojone spojrzenie w kierunku zamkowych murów, zza których dochodził ponury pomruk bitwy.

W tej samej chwili jej oczy skrzyżowały się ze spojrzeniem Daniela. Przeszedł go dreszcz, kiedy dotarło do niego, że dziewczyna go rozpoznała. Zdążył zobaczyć zaskoczenie malujące się na twarzy Leowynn, nie zwlekał jednak ani chwili dłużej, by dowiedzieć się, czy siostra Martewalla rozumiała, kto stoi na murach. Nałożył na głowę hełm, skoczył na równe nogi i oddalił się biegiem wzdłuż ścieżki wartowniczej, chwytając w pośpiechu broń.

Natychmiast usłyszał mrozący krew w żyłach świst strzał przecinających powietrze dookoła niego. O wiele większym niepokojem napełniało go jednak echo

wzburzonego głosu dziewczyny, które pobrzmiwało za jego plecami.

W tamtej chwili Amerykanin był pewny, że Leowynn odkryła jego ucieczkę. Rozpoczęcie pościgu za zbiegiem było kwestią minut, mimo że bitewne rozruchy przybierały na sile.

Daniel, nie wiedząc nawet, w którym kierunku biegnie, gnał przed siebie przez kilka dłuższych chwil, mijając po drodze innych żołnierzy. Ci zdawali się zaskoczeni, byli jednak zbyt zajęci obroną zamku, by się mu przyglądać.

„I co ja teraz zrobię?” – biegnąc, zadawał sobie to pytanie, i jedyny pomysł, który przychodził mu do głowy, polegał na wmieszczeniu się w tłum obrońców twierdzy, aby zyskać na czasie. Prędzej czy później, rzecz jasna, do Geoffreya Martewalla dotrze informacja o jego ucieczce i Daniel podejrzewał, że rycerz mógłby chcieć osobiście zaangażować się w jego poszukiwania, nawet gdyby musiał przetrząsnąć w pojedynkę całą obleganą twierdzę.

„Dokąd mam uciekać?” – zastanawiał się Daniel, ale ponieważ nic nie przychodziło mu do głowy, w dalszym ciągu biegł przed siebie.

W końcu zdał sobie sprawę, że oto znalazł się przed jedną z wież w rogu kompleksu zamkowego.

Środkowe i wewnętrzne mury miały w tym miejscu tę samą wysokość i zbudowano je tak blisko siebie, by można było dostać się z jednych na drugie za pomocą drewnianego mostu, który – w przypadku zdobycia przez nieprzyjaciela zewnętrznego pasa umocnień – zostałby zniszczony. Na wieży oddział uzbrojonych w kusze żołnierzy obserwował most i rozwój bitwy.

Obecnie na drewnianym przejściu panował spory ruch. Ludzie przemieszczali się w obu kierunkach: jedni nieśli pomoc żołnierzom znajdującym się w pierwszej linii obrony, inni przekazywali rozkazy i wieści obrońcom na zamku.

Daniel nie tracił czasu na zastanawianie się, czy potrzebuje specjalnego pozwolenia, żeby przekroczyć most i przeprowić się z jednej części murów na drugą. Przebiegł go w mgnieniu oka, obawiając się, że w każdej chwili może usłyszeć pełne groźby wezwanie strażników, ale szczęśliwie nikt nie zadawał mu pytań i nie miał zamiaru go zatrzymywać. Chłopak dotarł w ten sposób do środkowego pasa murów, w miejsce, gdzie te wychodziły na gęsty las dominujący w tej części grodu, i zatrzymał się na chwilę, chcąc odzyskać oddech i rozejrzeć się dookoła.

Mury nieco dalej zakręcały ostro w lewo, przechodząc w pierwszy pas umocnień obronnych, wzdłuż których wrzały zmagania walczących.

Krwawe sceny toczącej się bitwy ukazały się oczom chłopaka w całej swej przerażającej okazałości.

Wioska Dunchester była częściowo spowita dymem. Niektóre dachy płonęły, z innych unosiły się w niebo wyłącznie kłęby szarych oparów. Oddziały króla kłębiły się jak fale przyływu u podnóża zamku, tratując ciała poległych, by maksymalnie

zbliżyć się do twierdzy.

Daniel ujrzał pojawiające się drabiny: jedna po drugiej podnosiły się z ziemi, by z ciężkim trzaskiem opaść na mury. Oblegający rozpoczęli wspinaczkę, na co obrońcy odpowiedzieli wrzącym olejem i smołą, w ślad za którymi na atakujących poleciały zapalone pochodnie. Cała przednia część umocnień rozbłysnęła płomieniami jak gigantyczny stos, pożerając nieszczęśników, którzy znajdowali się w jego środku. Do zapachu spalenizny dołączyła inna woń, dużo bardziej przerażająca. Ocalali szczęściarze po stronie wroga rzucali się do ucieczki i tarzali na ziemi, usiłując ugasić płonące ubrania.

Daniel na próżno próbował przełknąć ślinę, w gardle czuł tylko nieznośną suchość.

Nad tą piekielną sceną górowała czarna sylwetka Geoffreya Martewalla, który stał wyprostowany pomiędzy kamiennymi blankami osnutymi szarym dymem. Zamarł nieruchomo, trzymając obnażony miecz i spoglądając w stronę miejsca rzezi, zaś wiatr wywołany pożarem wydymał jego ciemne szaty.

Daniel, stojący na tej samej ścieżce wartowniczej, widział go z perspektywy kilkuset kroków. Martewall zdawał mu się jeźdźcem Apokalipsy.

Drabiny nieprzyjaciela nie zostały jednak kompletnie zniszczone. Napastnicy zastępowali spalone konstrukcje nowymi. W miejsce ofiar pojawili się nowi żołnierze, a ich liczba zdawała się nieskończona.

„Nie zatrzymają się” – pomyślał Daniel, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

W jednej chwili wśród oddziałów nieprzyjaciela wybuchł zamęt. Wielu ludzi króla padło niespodziewanie na ziemię, zwłaszcza w tylnych szeregach – bez widocznej przyczyny. Ich łucznicy zostali nagle zdziesiątkowani, atak zaś nie nadszedł od strony zamku.

Wyteżywszy wzrok, Daniel dostrzegł okazałą grupę odzianych skromnie ludzi, którzy pojawili się na najbardziej oddalonym pasie murów osady, rażąc w najeźdźców strzałami, kamieniami wystrzeliwanymi z procy i oszczepami. Nie było ich przesadnie wielu – może z pięćdziesięciu, ale wymierzali strzały w nieprzerwanym, bezlitosnym ciągu i wystarczająco szybko, żeby nie pozwolić nieprzyjacielowi na otrząśnięcie się z zaskoczenia.

Kimkolwiek byli, ich dowódca musiał być doskonale wyszkolony w kwestiach wojskowych – wkroczyli do akcji w najkorzystniejszym momencie. Daniel zdołał dojrzeć mężczyznę, który wyznaczał rytm serii ostrzału gestem podniesionej ręki, nie widział go jednak wyraźnie, ponieważ widok zasłaniały rusztowania ustawione wokół niedokończonych murów.

Również obrońcy Dunchester zorientowali się, że nadeszli niespodziewani sojusznicy, i z ich gardeł wyrwał się dziki okrzyk radości. Nieprzyjaciela wciąż padali pod gradem strzał i nie byli w stanie zorganizować jakiegokolwiek kontrataku.

Minęły długie minuty krzyżowego ognia i czerwone oddziały wreszcie zdołały

zareagować na atak, choć ich odpowiedź była zdecydowanie mniej skuteczna od natarcia rebeliantów. Sojusznicy obleganych ukrywali się między szkieletami rusztowań i zakamarkami nieukończonych umocnień.

Kusze i łuki żołnierzy króla zdołały mimo to osiągnąć szeregi nowo przybyłych, łucznicy z Dunchester wykorzystali jednak okazję i w końcu zbliżyli się do blanek obwarowań. W ciągu tych kilku chwil wolnych od ostrzału mogli też przygotować pokazną serię strzał zapalnych.

Martewall wydał rozkaz, wznosząc w górę swój długi miecz, który załśnił lśniąco w zimowym powietrzu.

Dziesiątki strzał spadły z nieba jak ognisty deszcz, trafiając we wroga i w domy, które wreszcie stanęły w płomieniach.

Gęsty dym unosił się teraz wysoko, skutecznie uniemożliwiając reszcie łuczników króla skuteczne oddawanie strzałów. Żołnierze w czarnych szatach, wreszcie wychylili się zza krawędzi murów i podwoili siłę ostrzału.

Wioskowe chałupy, które płonęły najdłużej, zaczęły już chylić się ku ziemi, a ich strawione przez ogień konstrukcje powoli rozpadały się na części, zmuszając wielu najeźdźców do wyboru między ucieczką a pogrzebaniem żywcem pod płonącymi odłamkami. W ten sposób żołnierze wychodzili na odkryte pole i stawali się łatwym celem dla atakujących.

Wróg, ściśnięty pomiędzy obrońcami zamku z jednej strony a pożarem i rebeliantami z drugiej, po raz pierwszy rozluźnił szeregi i musiał ustąpić z pola. Ostatnie drabiny zostały porzucone i zniszczone, żołnierze zaś znajdujący się bezpośrednio pod murami rzucili się do ucieczki, ciągnąc za sobą rannych. Rycerze i konnica wycofywali się i szukali panicznie schronienia.

Obrońcy na murach Dunchester tryumfowali. Martewall z kolei odwrócił się w stronę dziedzińca, gdzie wciąż czekała piechota i konie. Poleciał przygotować swego rumaka, po czym rzucił się biegiem w stronę schodów prowadzących do grodu.

Daniel spoglądał na scenę z góry, wstrzymując oddech.

W kilka minut obie bramy przy barbakanie zostały otwarte, a zwodzony most opadł na drugą stronę – tam gdzie wybudowano podjazd prowadzący na wzgórze zamkowe. Niewielki, lecz uzbrojony po zęby oddział rycerzy wypadł galopem na zewnątrz, wznosząc swe piki przeciwko niedobitkom wroga.

Przewodził im sam Martewall, z czarną chorągwią zatkniętą na czubku lancy w tym samym kolorze. Obok niego cwałowali wierny kapitan Hektor i pozostali rycerze, którzy towarzyszyli mu na zamkowym dziedzińcu jeszcze przed bitwą. Za wojownikami na koniach podążali żołnierze piechoty. Obrońcy szybko wydostali się poza mury, przenosząc bitwę na obszar płonącej wioski.

Daniel zerknął na opuszczoną konstrukcję mostu i zdał sobie sprawę, że mogła to być jego jedyna droga ucieczki. Nie tracąc z oczu wydarzeń na polu walki, zaczął biec

w kierunku głównego wyjścia, przez które chwilę wcześniej wyjechał Martewall.

Ian krzyczał z radości wraz z ludźmi z Aversly i Willingham, widząc, jak bramy barbakanu Dunchester otwierają się, by wypuścić obrońców, którzy z potencjalnych ofiar zmienili się w mścicieli. Wrota prowadzące do zamku – jedyna możliwość, by wdrzeć się do miejsca, w którym przetrzymywany był Daniel – stały przed nim otworem. Chłopak zdołał zauważyć również czarnego rycerza, który przewodził swym kompanom w pościgu za pokonanym nieprzyjacielem. Rozpoznał w nim Martewalla, mimo że jego herb i szaty różniły się nieznacznie od tych, które nosił na turnieju we Francji. Zamek chwilowo był jednak pozbawiony władcy. Lepszy moment na próbę przedostania się do środka mógł się już nie nadarzyć.

– Udało się nam! – wykrzyknął Thomas Bull, stojący u boku Amerykanina.

– Tak, udało się nam – powtórzył Ian, pogrążony w swoich myślach.

– Dobra robota, dowódco. – Były żołnierz wyszczerzył do niego zęby w porozumiewawczym uśmiechu. – Twoja taktyka okazała się skuteczna.

– To nie moja zasługa, wszyscy się przyczynili – bronił się Ian.

Pozostali mężczyźni również pokrzykiwali zadowoleni. Wielu z nich zeskoczyło z muru, goniąc zajadłe nieprzyjaciela.

– Głupcy, czekajcie! – wrzasnął Bull, na próżno usiłując powstrzymać swoich towarzyszy. – Rzucają się śmierci w paszczę – wymamrotał ze złością, kiedy jego słowa trafiły w pustkę, zignorowane przez wszystkich. – Dziękuję niebiosom, że w końcu ci przekłęci najemnicy stracili trochę animuszu i przeszła im chęć do bijatyki.

Ian położył mu dłoń na ramieniu, wpatrując się wciąż w otwarte wrota barbakanu, widoczne między płonącymi domami i polem wciąż trwającej bitwy.

– Ja też muszę tam iść – oznajmił. – Walka u twego boku była dla mnie zaszczytem.

Bull wytrzeszczył oczy.

– Dokąd to?! – wykrzyknął, ale Ian zdążył już zeskoczyć z muru i puścić się biegiem przez bitewny zamęt.

Młodzieniec nie zwracał uwagi na nawoływania byłego żołnierza, które wciąż docierały do jego uszu. Musiał przedostać się na zamek i nic nie mogło go zatrzymać.

Najemnik króla wyrósł przed nim, usiłując zająć mu drogę. Ian błyskawicznie dobył miecza i zaatakował. Klingi zderzyły się ze sobą z metalicznym dźwiękiem. Amerykanin zadał kilka zaciekłych ciosów swemu przeciwnikowi. Miał wyraźną przewagę ze względu na swój wzrost i większą sprawność we władaniu mieczem. Najemnik szybko się o tym przekonał, nie zrezygnował jednak z walki. Kilkakrotnie

usiłował zranić młodzieńca, lecz nie zdołał tego dokonać. Ian sprytnie unikał jego ciosów, odparł natarcie wycelowane wprost w jego szyję i pierś, a w końcu wykorzystał moment nieuwagi przeciwnika i zatopił ostrze w jego ciele. Uderzenie pozbawiło najemnika życia – padł na ziemię, wydając z siebie zdławiony jęk.

Ian poczuł, że odzyskuje ponownie świadomość – po minutach grozy ciągnących się niemiłosiernie podczas walki. Przez kilka chwil stał nieruchomo, wpatrując się w zastygłe ciało u jego stóp i własny miecz, z którego skapywały czerwone krople, odnawiając jego chrzest krwi.

W tym momencie, podobnie jak za pierwszym razem, gdy zabił człowieka, żołądek ścisnął mu się w bolesnym skurczu.

Zmagania wojskowych tymczasem przybierały na sile i nie pozwalały nawet na chwilową nieuwagę i poświęcenie się emocjom.

Otrząsając się z przemyśleń, Ian dostrzegł, że nadbiegają kolejni napastnicy, u jego boku gromadzili się jednak uzbrojeni myśliwi, gotowi w każdej chwili do walki.

Młody Amerykanin ponownie wzniosł swój miecz do góry. Wydał okrzyk, który był jednocześnie wrzaskiem wściekłości i wezwaniem wolności. Rzucił się naprzód, w wojenny chaos.

Daniel poczuł, że serce zatrzymuje mu się na chwilę.

Przystanął i wyteńczył wzrok.

Rebelianckim oddziałom towarzyszył pewien człowiek. Walczył dzielnie jak rycerz, dzierżąc w ręku miecz. Miał ciemne włosy, a jego charakterystyczna sylwetka była Danielowi dobrze znana.

„Ian!” – pomyślał z niedowierzaniem, jednocześnie czując, że przygniata go ogrom wzruszenia.

„Przyszedł po mnie”.

Teraz Daniel już wiedział, kto dowodził grupą nieoczekiwanych sprzymierzeńców zamku i kto wpadł na pomysł, żeby z zaskoczenia zaatakować żołnierzy króla.

Nie tracił czasu na zastanawianie się, jak jego przyjaciel odkrył, że Daniel został więźniem Dunchester. Przepęniała go wdzięczność i nie był w stanie myśleć o niczym innym. Zapominając o drabinie prowadzącej w dół, chwycił w dłoń łuk, obrał cel i naciągnął cięciwę.

Jeden z najemnych żołdaków pojedynkujących się z Ianem padł na ziemię przeбитy strzałą, drugi – kilka sekund później – podzielił los swego kompana.

Daniel dostrzegł, jak jego przyjaciel rozgląda się dookoła, usiłując dociec, z której strony nadeszła pomoc, nie mógł jednak dojrzeć swego anioła stróża. Nawet jeśli wypatrzył chłopaka, nie mógł go rozpoznać – był on dla niego jednym z wielu

obrońców stojących wśród blanek murów. Strzały Daniela w połączeniu z mieczem Iana sprawiły, że szeroki pas ubitej ziemi dzielący most zwodzony od pierwszych płonących wioskowych chałup opustoszał w mgnieniu oka.

Ian zorientował się, że droga jest wolna, i puścił się biegiem w stronę zamku. Daniel odgadł zamiary swojego przyjaciela i postanowił wyjść mu naprzeciw.

Z dymu i kurzu unoszącego się nad polem bitwy wyłoniła się czarna figura. Chłopak zatrzymał się, przeszedł go dreszcz.

Geoffrey Martewall wracał do zamku w siodle swojego wierzchowca. Był sam i nie miał ze sobą kopii, dzierżył jednak obnażony miecz, czerwony od krwi aż po samą rękojeść. Być może pozwolił swemu kapitanowi i jego rycerzom kontynuować polowanie na najeźdźców i upewnić się, że opuszczą płonący gród, sam zaś wracał na swoją pozycję dowódcy twierdzy, żeby sprawdzić, czy w czasie jego nieobecności nieprzyjaciel nie przyszykował jakiejś zasadzki.

Jakikolwiek był powód jego powrotu, Daniel zobaczył, że Martewall ściąga wodze swojego konia dokładnie w chwili, gdy zobaczył samotną postać, która kieruje się w stronę opuszczonego mostu zwodzonego.

Ian dostrzegł angielskiego rycerza prawie w tej samej chwili i zatrzymał się tam, gdzie stał, przyłapany niespodziewanie.

– Nie! – krzyknął Daniel, widząc, jak Martewall ścisnął rumaka ostrogami i zawrócił w stronę swego nieprzyjaciela.

*

Rozdział 18



Geoffrey Martewall wynurzył się nagle z morza dymu i ognia. Ian zatrzymał się jak wryty. Był już niedaleko mostu zwodzonego, na otwartej przestrzeni. Nie spodziewał się, że angielski rycerz wróci tak szybko. Nie miał gdzie się ukryć, by uniknąć konfrontacji.

Martewall natychmiast go zauważył. Przytrzymał swojego wierzchowca, zamarł przez chwilę, a jego osłupienie było tak wielkie, że dało się zauważyć pomimo hełmu osłaniającego zupełnie jego twarz.

Trwało jednak tyle, ile mrugnięcie okiem.

– TY!!! – zagrzmiał Anglik i spinając bezlitośnie swojego konia, natarł wprost na Iana.

Amerykanin zablokował cios swoim ostrzem i odsunął się, aby uniknąć stratowania przez galopujące zwierzę. Zdławił w sobie krzyk bólu, kiedy odczuł siłę uderzenia w nadgarstkach i ramionach, ale obrócił się wokół własnej osi i szykował na odparcie powracającego nieprzyjaciela.

Martewall zawrócił, lecz mimo to nie przypuścił kolejnego ataku. Usiłował opanować zaskoczenie i kilka chwil zajęła mu ocena sytuacji oraz ustalenie dalszego planu.

Ian miał nerwy napięte jak postronki i był gotowy na wszystko – wiedział, że Martewall na swym koniu ma nad nim sporą przewagę. Martewall jednak zeskoczył z siodła, ściągnął hełm, zdjął kaptur kolczy i odrzucił je wraz z tarczą. Przynajmniej ze dwie strzały zaświstały obok niego w zamęcie potyczki, która wciąż wrzała dookoła. On jednak nie zwracał na to uwagi. Podszedł do przodu z wyciągniętym okrwawionym mieczem, chcąc stawić czoło swemu przeciwnikowi twarzą w twarz, jak równy z równym.

Natarł na Iana z całą furią i młodzieniec musiał zaprzeć się, używając całej siły, by przyblokować atak.

Martewall był odważny, szybki i niebezpieczny. Mógł polegać na swym rycerskim doświadczeniu, którego Amerykanin nie miał nigdy sposobności zdobyć. Walczył po to, żeby zabić. Na twarzy malowała mu się przerażająca wściekłość, zlewająca się w jedno z żądzą zemsty.

Ian ugiął się pod siłą jego natarcia i musiał zrobić krok w tył. Bronił się na tyle, na ile potrafił, jednak ostrze nieprzyjaciela poruszało się tak szybko, że zdawało się

rozpływać w powietrzu. Martewall reagował błyskawicznie na jego uniki. Celował w serce. Nie zdołał go dosięgnąć, Ian jednak zachwiał się z okrzykiem bólu, kiedy czubek miecza musnął jego pierś, rozrywając mu tunikę aż po lewy bark.

Odskoczył w tył, zasłaniając lewą ręką ranę, z której zaczynała sączyć się krew, i odsunął się na bezpieczną odległość.

– Nie uciekaj! – wrzasnął do niego Martewall, dopadając go jednym susem.

Ian ponownie odparł jego atak. Był zmęczony. Ból jednak wzmógł jego gniew i dodał mu nowych sił do walki.

– Mam cię dość! – wykrzyknął chłopak. Wykorzystał impet nieprzyjaciela, chcąc wytrącić mu miecz z dłoni. Nie udało się, lecz zyskał kilka sekund, by spróbować zatopić w nim ostrze z góry.

Martewall sparował uderzenie i zrobił unik, jednak siła, z jaką spadł na niego miecz, sprawiła, że ugięło mu się ramię. Anglik stracił równowagę i odsłonił się częściowo. Ian zaatakował, celując w niechroniony bok.

Cięcie jego miecza przeszło czarną tunikę, docierając do kolczugi. Metalowa koszula zachrzęściła, ale wytrzymała. Martewall krzyknął z bólu i musiał cofnąć się przed rywalem. Nie był ranny, oddychał jednak urywanie, gdyż silny cios zgniótł mu żebra z lewej strony.

Teraz to Ian do niego doskoczył z gwałtownym natarciem, nie dając mu chwili na złapanie tchu. Martewall zatoczył się, a nacisk ze strony Iana był tak silny, że zmusił go do przykłonienia na ubitej ziemi.

Ian zamachnął się, lecz ostrze trafiło w pustkę.

Z nadludzkim wysiłkiem Martewall zdołał zrobić unik, odsunąć się na bok i zaatakować w odpowiedzi. Na szczęście precyzja jego ciosów znacznie osłabła przez zmęczenie i nadmiar emocji. W innym przypadku trafiłby Iana na wysokości nerek, przeszycząc go na wylot.

Ian, świadomy cudem unikniętego niebezpieczeństwa, odwrócił się, żeby znaleźć się naprzeciwko swego rywala.

W tej samej chwili trzech najemników w czerwonych szatach wychynęło zza zasłony dymu i kurzu, pędząc w stronę władcy zamku, którego zdołali wytropić.

Dwóch rzuciło się na Martewalla z mieczem i kijem, trzeci usiłował zająć Iana, rozpoznawszy w nim jednego z rebeliantów, którzy przypuścili atak z boku podczas oblężenia.

Młody Amerykanin musiał bronić się przed przeciwnikiem uzbrojonym w potężny topór. Jego miecz prawie rozleciał się na kawałki pod nawałnicą uderzeń. Ledwo udało mu się uniknąć ciosu w sam czubek głowy, drugie natarcie, gdyby było celne, oderwałoby mu ramię.

Najemnik był niski, lecz całkiem dobrze zbudowany. Wprawnie wymierzał ciosy i Ian musiał użyć całej swojej siły, by dotrzymać mu kroku. Udało mu się pokonać go

tylko dzięki swej szybkości. Mieczem zmienił kierunek uderzenia topora, odwinął się i uderzył.

Najemnik upadł, nie wydając z siebie nawet jęku.

– Szykuj się! – dotarł do niego rozwścieczony okrzyk.

Ian, z urywanym oddechem, ledwo zdążył się obrócić i niezdarnie sparować uderzenie Martewalla.

Angielski rycerz pozostawił w kałuży krwi ciała dwóch najemników, którzy odważyli się go zaatakować, i znów był gotów rozstrzygnąć swój pojedynek. Jego jasne oczy rzucały błyskawice, tak jak stał jego miecza.

Dwóch przeciwników wymieniało serię śmiertelnych uderzeń przez dobrych kilka minut. Byli zdecydowani zabijać, ale ich siły okazały się wyrównane.

Ian po chwili był zmuszony znów cofnąć się o parę kroków. Brakowało mu tchu, a rana sprawiała dotkliwy ból.

Martewall dyszał tak samo ciężko, zmęczony z powodu większej liczby przeciwników, którym musiał stawić czoło, oraz ciężaru kolczugi. I on cofnął się o kilka metrów.

Dwóch rycerzy wpatrywało się w siebie z nienawiścią, próbując odzyskać dech w piersiach. Obydwaj byli niezwykle czujni.

Ianowi krew ściekała po żebrach, wypływając z rany po lewej stronie klatki piersiowej. Rozcięcie było płytkie, ale paliło go żywym ogniem.

Krew spływała również po ramieniu Martewalla, rannego w starciu z najemnikami. W dalszym ciągu przyciskał ręką bok – tam gdzie kilka chwil wcześniej dopadło go uderzenie Iana. Niewiele brakowało, a cios przeciwnika połamałby mu żebra i rycerz musiał zaciskać z całych sił zęby, żeby nie zawyc z bólu.

– Przysięgam, zabiję cię – zagroził mu mimo to, podnosząc miecz.

– Tylko spróbuj, a będziesz musiał zbierać swoją głowę z ziemi – odparł Ian gotowy na kolejne starcie.

Pojedynek przyciągnął również ludzi z Dunchester. Żołnierze w czarnych szatach, początkowo nieliczni, zaczęli gromadzić się coraz tłumniej, widząc, jak ich pan, pozbawiony konia, hełmu i tarczy, odpiera atak najemników. Wielu z nich biegło w jego stronę, chcąc mu pomóc, czy też go obronić. Rzucali się jak wilki na nieszczęsnych niedobitków w czerwonych strojach, którzy wciąż nie zdołali się wydostać z terenu osady, po czym pędzili w kierunku Martewalla i jego przeciwnika.

Ian ocenił sytuację jednym spojrzeniem i zrozumiał, że za chwilę zostanie okrążony. Zaklął, ale wiedział, że nie może próbować ucieczki. Czekał, cały spięty, na atak, który miał go całkowicie pogryźć.

– Nie wtrącajcie się! – wrzasnął Martewall w stronę swoich ludzi. – Nie jesteście mi tutaj potrzebni!

Jego żołnierze posłusznie zatrzymali się w pół kroku.

Wszyscy oprócz jednego, który wzniósł w górę łuk gotowy do strzału i wycelował w angielskiego barona ku osłupieniu pozostałych.

– Nawet nie próbuj. Już ci to kiedyś mówiłem, pod Bouvines – zagroził łucznik z nonszalancją.

Martewall zamarł z mieczem w dłoni, nie mogąc dokończyć swego ataku. Ian prawie podskoczył. Odwrócił się i zobaczył w końcu twarz tego, którego miał za jednego z wielu żołnierzy.

– Daniel! – wykrzyknął z niedowierzaniem.

„Żywy i zdrow!” – pomyślał w następnej chwili, dziękując niebiosom, mimo niebezpieczeństwa panującego wokół.

Ludzie Martewalla wymierzyli kusze w dwóch Amerykanów.

Nastąpił pełen napięcia moment. Wszyscy zamarli, pozbawieni możliwości ruchu w obawie, że przeciwnik okaże się lepszym strzelcem.

– Martewall, pozwól nam odejść!

To Ian przerwał ciszę jako pierwszy. Teraz, kiedy zdołał odnaleźć Daniela, nie chciał, by jego przyjaciel znów znalazł się w niebezpieczeństwie. Spróbował więc rozwiązania, które mogłoby zapobiec rozlewowi krwi. – Pozabijamy się nawzajem, jeśli będziemy nadal tak walczyć. Pozwól nam pójść naszą drogą, a ta historia zakończy się dobrze dla wszystkich.

Angielski rycerz wpatrywał się w niego rozognionym wzrokiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na wymierzoną w niego strzałę Daniela.

– Wróciłeś tutaj po niego! – wycedził w końcu.

– Myślałeś, że porzucę go na twoją łaskę i niełaskę? – odparł oburzony Ian.

Daniel znów poczuł, jak przepełnia go wdzięczność, ale opanował emocje.

– Dla mnie jest jak brat, chcę tylko jego bezpieczeństwa. Pozwól nam odejść, a nasze drogi już nigdy więcej się nie przetną – ciągnął Ian.

Anglik nie odpowiadał. Żołnierze w czerni trzymali broń w pogotowiu, czekając na jego rozkaz, gotowi w mgnieniu oka pozbawić życia dwóch Amerykanów. Obawiali się jednak, że za ten manewr ich pan – trzymany na celowniku przez łucznika – mógłby zapłacić życiem.

– Pomogłem ci obronić twój zamek. Zwycięstwo to zawdzięczasz przede wszystkim ludziom ze wsi, ale również i mnie – naciskał Ian, podkreślając stanowczo moment, w którym do ataku dołączyli rebelianci z Willingham i Aversly. – Teraz powinienes zwrócić wolność mi i memu towarzyszowi broni. Jeśli masz honor, jesteś mi to winien.

Martewall zamilkł na kilka dobrych chwil.

– I tobie naprawdę się wydaje, że będziesz mógł stąd tak po prostu odejść? – powiedział w końcu.

Żołnierze ścisnęli broń w rękach.

– Nie możesz nas tutaj więzić! – wykrzyknął Ian, wznosząc miecz. Docierało do niego, że jego słowa padają w pustkę.

Daniel naciągnął mocniej cięciwę łuku, gotowy do strzału, i powiedział:

– Zapewniam cię, nie pożyjesz na tyle długo, żeby nacieszyć się naszą niewolą, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobię – zagroził, zwracając się do Martewalla w bezsilnej złości, świadomy, że sytuacja nie pozostawiała żadnego wyboru ani jemu, ani Ianowi.

Angielski rycerz mimo to wpatrywał się w Daniela bez cienia strachu.

Ian zbyt późno zdał sobie sprawę, że wielu rycerzy podniosło oczy ponad plecy jego i Daniela.

– Wystarczy tego! – władczy głos przeszył nagle powietrze.

Daniel poczuł, jak zimne ostrze miecza dotyka jego karku. Zamarł w pełnym przerażenia oszołomieniu, wiedząc, że został pozbawiony jakiegokolwiek możliwości ruchu. Wróg, kimkolwiek by był, zaskoczył go i rozbroił jednym gestem.

W myślach chłopak przeklął się po tysiackroć za to, że nie usłyszał zbliżających się kroków.

Ian odwrócił się błyskawicznie. Znalazł się tuż przed wierzchowcem, który zbliżył się do niego niezauważony, wykorzystując zamęt na polu bitwy i skupienie na toczącym się pojedynku.

W siodle siedział odziany na czarno rycerz ze złotym krzyżem na hełmie i na piersi, wyszytym na czarnej tunice w miejscu, gdzie błyszczał również lew Martewallów.

Ian nie widział go wcześniej w towarzystwie Geoffreya Martewalla ani jego kompanów, zgadł mimo to, że nieznamy rycerz nadjechał od strony zamku – ze względu na otwarte wrota barbakanu. Eskortowało go co najmniej dziesięciu żołnierzy konnicy, teraz przyczajonych niedaleko i dzierżących gotowe do ciosu kopie.

Ian, oceniwszy liczebność konwoju oraz zdobny herb, zrozumiał, że ma do czynienia z ważną postacią w twierdzy Dunchester.

Sir Harald Martewall spoglądał na niego z góry przez dłuższą chwilę, po czym przeniósł spojrzenie na swoich żołnierzy.

– Opuścić broń. Wszyscy! – nakazał. Jego ton zdawał się nawykły do wydawania rozkazów i słychać to było nawet z wnętrza hełmu.

Daniel musiał go usłuchać pod groźbą miecza wycelowanego w kark. Ian, zrezygnowany, zrobił to samo.

Żołnierze Dunchester odetchnęli z ulgą i opuszczając broń, zrobili krok w przód, żeby przechwycić obu młodzieńców. *Sir* Harald Martewall ich jednak zatrzymał.

– Nie – rozkazał sucho. – Najpierw chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Daniel zdjął hełm, chociaż wiedział, że starszy baron nie ma na myśli konkretnie

jego.

Rzeczywiście *sir* Harald, w istocie, wsunął miecz do pochwy i zmusił swego konia do zrobienia kilku kroków w kierunku Iana.

Młodzieniec obserwował zbliżającego się rycerza i wytrzymał spojrzenie jego dumnych oczu.

– Jestem księżę Jean Marc de Ponthieu, pan na Montmayeur i wasal króla Francji Filipa Augusta – oznajmił.

Wieści wywołały poruszenie i wrogość w szeregach żołnierzy. Część z nich odruchowo skierowała miecze przeciwko francuskiemu wrogowi, nie odważyła się jednak ruszyć do ataku bez wyraźnego rozkazu swego pana.

W przeciwieństwie do rycerzy *sir* Harald nie wydawał się zaskoczony.

– Tak właśnie myślałem – skomentował. – Jesteście tak samo postawni i macie taki sam kolor włosów jak wasz ojciec.

– Znaliście go? – zapytał Ian, czując dreszcz strachu na dźwięk tego niespodziewanego oświadczenia.

„Ten człowiek znał ojca Guillaume’a i Jeana de Ponthieu?” – zastanawiał się zdenerwowany. Spojrzał na Daniela w poszukiwaniu wsparcia i dostrzegł dyskretny gest przyjaciela, który najwyraźniej usiłował go uspokoić.

– Braliśmy udział w jednej krucjacie, mimo że pod różnymi sztandarami – odparł z prostotą *sir* Harald.

Ian z trudem usiłował rozluźnić napięte mięśnie, mimo że z wyrazu twarzy Daniela łatwo było wyczytać, że tajemnica jego tożsamości nie była zagrożona. Teraz musiał przekonać sam siebie, że czarny rycerz nie zdaje się kwestionować ani imienia, ani tytułu, który właśnie miał okazję usłyszeć.

Sir Harald wpatrywał się w Amerykanów jeszcze przez kilka chwil, po czym spojrzał na swego syna Geoffreya, który dotąd milczał ponuro.

– Ojcze, nie powinniście wychodzić z zamku, niebezpieczeństwo jest zbyt duże – powiedział młodzieniec z chłodem, ubiegając słowa seniora.

– Ten człowiek – *sir* Harald wskazał na Iana – przybył, gotów wystawić się na niebezpieczeństwo, tylko po, by ratować swego rycerza.

– Zauważyłem – odparł Martewall z goryczą.

– I w obliczu takiej lojalności i odwagi wciąż żywisz chęć odwetu? – ciągnął wiekowy baron oskarżycielskim tonem.

Daniel i Ian wymienili spojrzenia pełne nadziei.

– Nie szukam zemsty, szukam wyłącznie prawdy – bronił się oburzony Geoffrey Martewall.

– Lecz twoimi działaniami kierują żal i uraza, które popychają cię do tego, byś przeczył najbardziej oczywistym faktom – zawyrokował starszy mężczyzna. – Choćbyś nawet chciał przeprowadzić próbę ognia, żeby osądzić słowa tego, którego

masz za swego nieprzyjaciela, nie otrzymałbyś odpowiedzi bardziej wiarygodnej niż to, co widzisz. Jacyż to oszuści tak wiele by ryzykowali, mogąc bezpiecznie się ukryć, nie zaś wyzywać śmierć na pojedynek? Mimo że niewielkie miał szanse, by nie zmierzyć się z tobą w pojedynku, ten rycerz gotów był zapłacić życiem, aby się tutaj dostać i odzyskać swego kompana, który był w niebezpieczeństwie. Jest to dla mnie tak miarodajne jak boski osąd o szczerości duszy.

– Albo o bezmyślności – odparł Martewall, rzucając wściekłe spojrzenie w stronę Iana. – Jeśli ten tutaj naprawdę myślał, że zdoła wyjść żywy z Dunchester, to zdecydowanie za bardzo zaufał swojemu szczęściu.

Ian odpowiedział mu spojrzeniem pełnym oburzenia i wściekłości.

– Nie masz prawa mi grozić.

– A już na pewno nie możesz odebrać mi wolności – dodał *sir* Harald. – Choćby dlatego, że pomógł uratować nasze domostwo. I, o ile wiem, jego towarzysz broni również nie szczędził sił w obronie zamku.

Martewall zacisnął z całych sił dłoń na rękojeści swojego miecza.

– Z całą pewnością nie zrobili tego, by nieść pomoc nam, tylko by posłużyć się tym do własnych celów: do ucieczki!

– Mimo to walczyli przeciwko tym samym wrogom co my, oszczędzając nam ofiar w bitwie, a jeśli ty nie masz dla nich ani krzty wdzięczności za to, co zrobili, to ja im ją okażę.

Żołnierze drgnęli nerwowo, słysząc ton starszego barona, w którym narastały nuty oskarżenia wobec syna.

– Nie możecie powstrzymać mego miecza z takiego powodu! – wykrzyknął Martewall.

Ojciec zgromił go wzrokiem z wysokości swego rumaka.

– To twój honor powinien powstrzymać ten miecz od popełnienia dalszych niegodziwości! Sam sobie udowodnij, że nie zdołali odebrać ci wszystkiego, że nie pozbawili cię godności. Czyny innych nie zdołają okryć cię hańbą tak, jak mogą to zrobić twoje własne postęпки.

Geoffrey Martewall po raz pierwszy zawahał się w obliczu *sir* Haralda i nie mógł znaleźć słów, żeby mu odpowiedzieć.

– Dlaczego mi to robicie? – zaprotestował, jego głos był jednak cichszy i wyraźnie drżał.

– Ponieważ jestem twoim ojcem. Oskarżasz mnie o to, że przyczyniam się do twojej niesławy, ja zaś byłem słaby i pozwoliłem ci na wszystko to, do czego skłaniały cię żal i rozgoryczenie. Teraz jednak nie mogę pozwolić, byś popełnił czyny niegodne twojej osoby, choćbym nawet miał cię powstrzymać siłą. Mój syn przez zwyczajną złość nie sprzeciwi się zasadom kodeksu rycerskiego.

Martewall zamilkł, tym razem na długą chwilę. W końcu, wciąż pod naciskiem

ciężkiego spojrzenia ojca, opuścił lekko miecz.

Ian i Daniel nadal stali nieruchomo, bojąc się przeszkodzić w konfrontacji pomiędzy dwoma Martewallami.

Nagle od strony zewnętrznej części grodu rozbrzmiał przenikliwy głos rogów. Podniosły się nowe krzyki, którym towarzyszył rytmiczny dźwięk bębnow. Echem zawyły inne rogi, sygnalizując niebezpieczeństwo.

Ian podskoczył, podobnie jak Daniel i pozostali żołnierze, którzy wbili wzrok w stronę, z której nadchodził hałas.

Nawet poprzez pył i dym unoszące się nad polem bitwy, która zmierzała już ku końcowi, dojrzeli nowe sztandary łopoczące na wietrze tuż poza pasem nieukończonych murów. Do oddziałów króla, rozproszonych i osłabionych, dołączali nowi zbrojni, powstrzymując ich odwrót i uzupełniając szeregi. Najemne wojska wkrótce zaprzestały ucieczki.

– Co tu się...? – zdołał wykrztusić Daniel, oszołomiony w obliczu tak niespodziewanego obrotu zdarzeń. Ian nie wiedział, co powiedzieć.

Tylko Martewallowie, zarówno ojciec, jak i syn, nie zdawali się zaskoczeni nagłym alarmem.

– Ogłaszajcie odwrót! – krzyczał Geoffrey Martewall do swoich ludzi. – Wszyscy za mury, szybko!

Żołnierzom nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu. Część z nich ruszyła, by przekazać dalej polecenia, i wkrótce dźwięk rogu rozbrzmiał również wewnątrz murów zamkowych. Teraz zbrojni w doszczętnie zniszczonym grodzie rzucili się do ucieczki w kierunku twierdzy.

Ian i Daniel ujrzeli galopującego konia, który niósł rycerza w zieleni i złocie. Daniel wiedział, że to Hektor, widział go bez hełmu na zamkowym dziedzińcu jeszcze przed bitwą.

– Panie mój, nadchodzą! – oznajmił Flamandczyk, zatrzymując rumaka tuż obok Geoffreya Martewalla. Dopiero po chwili zdążył zdać sobie sprawę z tożsamości dwóch Amerykanów stojących wśród pozostałych towarzyszy broni i zeszywniał z zaskoczenia.

– Jak są zorganizowani? – dociekał Martewall, nie pozostawiając mu czasu na zbędne pytania.

Hektor skupił całą uwagę na relacji z pola bitwy.

– Okrążają zewnętrzne mury, dziesięciu żołnierzy na każde sto kroków. Będą strzegli całego obwodu. Przed nami z kolei będzie jakichś czterystu ludzi, mają ze sobą tarany i balisty.

Daniel nie miał pojęcia, czym mogą być balisty, pamiętał jednak aż nazbyt dobrze, czym są tarany, i sam dźwięk tego słowa sprawił, że po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Zobaczył, jak twarz Iana robi się całkiem blada, i wywnioskował, że

sytuacja, o ile to możliwe, pogorszyła się bardziej.

Martewall przyjął wieści od swojego kapitana w żałobnej ciszy.

– Słono zapłacą za nasze życia – zdecydował w końcu.

Sir Harald powstrzymał się od komentarzy. Był zwrócony w stronę horyzontu i patrzył na zbliżające się wojsko wroga. Wyglądał, jakby ktoś przygiął jego plecy do ziemi, nakładając na nie nieznośny ciężar.

Sztandary błyskawicznie przemieszczały się w ich stronę i wkrótce można było ujrzeć je w pełnej krasie. Były niebieskie i widniało na nich sześć złotych lwów wspiętych na dwóch łapach.

Ian poczuł, jak przeszywa go lodowaty dreszcz. Rozpoznał herb, który pamiętał jeszcze z czasów wojny.

– William de Longespée – wymamrotał.

– Co takiego?! – wykrzyknął Daniel, wytrzeszczając oczy.

Martewall patrzył na jednego i drugiego z gorzkim sarkazmem.

– Nie spodziewaliście się go? Moi wartownicy wypatrzyli jego oddziały już wczoraj wieczorem. Lękałem się, że mogą nadejść w każdej chwili. Nie myśleliście chyba, że ktoś spróbowałby zdobyć mój zamek, posługując się tylko garstką tchórzliwych najemników?

„Najemnicy byli wyłącznie mięsem armatnim” – powiedział sam do siebie Ian w odpowiedzi na słowa Martewalla. Zrozumiał, że wszyscy ludzie w Willingham, a zwłaszcza on sam, popełnili karygodny błąd w ocenie, myśląc, że żaden z feudałów nie odpowie na wezwanie króla Jana, który chciał zaatakować jednego z nich. Zapomnieli, że był ktoś, kto bardziej cenił króla niż innych szlachciców – William de Longespée, książę Salisbury i przyrodni brat Jana bez Ziemi. Poważany magnat i doświadczony dowódca, który na polu bitwy pokonał niejednego dzielnego rycerza.

„Wpadliśmy w pułapkę” – pomyślał Ian z rozpaczą. Załamany zerknął na Martewalla, który wykrzywił się do niego w udawanym współczuciu.

– *Messieurs*, witamy w Dunchester. Ostrzegłem was, że niełatwo będzie się stąd oddalić. Ku waszemu rozczarowaniu wasz pobyt będzie musiał się jeszcze trochę przedłużyć – powiedział angielski rycerz, opuszczając całkowicie swój miecz.

*

Rozdział 19



Oddziały księcia Salisbury zatrzymały się na jałowych łąkach wokół pierwszego pasa murów Dunchester. Nie atakowały. William de Longespée, jako doświadczony dowódca, czekał cierpliwie, aż ogień pochłonie całą wioskę u stóp zamku, pozostawiając tylko zgliszcza, i nie posłał do walki ani jednego ze swych ludzi. Korzystał jednocześnie z ostatnich godzin blasku dnia, żeby rozłożyć się obozem poza zasięgiem pocisków ze strony obleganej twierdzy.

Ludzie z Dunchester wycofali się w pośpiechu do zamku, zabierając ze sobą rannych i usiłując zgromadzić wszystkie materiały, które mogłyby okazać się użyteczne w najbliższej przyszłości.

Most zwodzony został podniesiony, obie bramy barbakanu opadły zaś jak gilotyny z jednej i drugiej strony tunelu.

Zamek Dunchester, ucepiony kurczowo urwiska zwróconego w stronę morza, znów był odseparowany od reszty świata.

Obrońcom twierdzy nie pozostało nic innego, jak tylko spoglądać bezsilnie na sylwetki napastników, którzy przygotowywali się do przeczekania nocy i podjęcia ataku następnego dnia.

Ian i Daniel znaleźli schronienie w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Zamczysko Martewallów pomieściło wszystkich ocalałych po porannym ataku, w tym ludzi, którzy przybyli z Aversly i Willingham.

Leśni rebelianci musieli dołączyć do pozostałych obrońców ukrytych wewnątrz zamkowych murów, ponieważ drogę ucieczki odcięły im nowe oddziały króla, otaczające teraz zewnętrzny pierścień zabudowań. Ci, którzy zaryzykowali marsz w stronę najbliższych wiosek, zostali szybko schwytani przez żołnierzy Longespéego i ślad po nich zaginął.

Wśród uchodźców stłoczonych w zamczysku krążyły słuchy, że nikt nie zdołał umknąć przed wrogimi oddziałami i wrócić do rodzin koczujących w zgliszczach Willingham.

Ian i Daniel z kolei zostali natychmiast przechwyceni przez żołnierzy Martewalla i zaprowadzeni z zachowaniem wszelkich środków ostrożności do zamku. W ślad za nimi szli gospodarze. Przechodząc przez zewnętrzny dziedziniec, Ian zauważył

Thomasa Bulla między pozostałymi partyzantami i ucieszył się, że widzi go całego i zdrowego. Nie mógł się jednak zatrzymać, by zamienić z nim choćby dwa słowa.

Wszyscy usuwali się z drogi, żeby zrobić miejsce dla niewielkiego pochodu, któremu osobiście przewodził *sir* Harald. Za nim jechali stępa jego syn Geoffrey i flamandzki rycerz Hektor, dalej kroczyli pieszo żołnierze, których ponure spojrzenia trzymały z dala wszystkich gapiów.

Żołnierze bacznie obserwowali dwóch Amerykanów, dbając, by ci nie wymknęli się spod specjalnego nadzoru i nie oddalili od grupy choćby na krok.

Ian zerknął z oddali na Bulla. Twarz byłego żołnierza wyrażała wielkie oszołomienie i Ian wiedział, że wieści o jego prawdziwej tożsamości – francuskiego wroga Jeana Marca de Ponthieu – krążyły wśród zgromadzonych, przekazywane błyskawicznie pocztą pantoflową. Słyszał swe imię przekazywane szeptem z niedowierzaniem, kiedy mijał leśnych rebeliantów, i nie było mu łatwo znieść ciężar spojrzeń tłumu. Usiłował wyobrazić sobie, co też mogą myśleć ci ludzie, którzy jeszcze chwilę temu walczyli u jego boku. Wiedział, że z pewnością czują się oszukani i zdradzeni.

Nosił w sobie ciężar winy, mimo że nie chciał nikogo zwodzić, a jego zachowanie było podyktowane koniecznością.

Daniel maszerował w ciszy u jego boku, spoglądając w przód i ignorując nieprzyjazne spojrzenia, do których zdążył się już przyzwyczaić. Ścisnęło mu się serce na myśl, że ściągnął Iana w miejsce, w którym groziło mu więzienie i inne niebezpieczeństwa. Jednocześnie przygniatało go poczucie winy, ponieważ obecność przyjaciela była dla niego wielką ulgą – czuł się szczęśliwy, mając go znów obok siebie.

Szedł za żołnierzami, od czasu do czasu rzucając chyłkiem spojrzenie na Iana, którego posępny wyraz twarzy mówił sam za siebie.

Grupa zbrojnych zatrzymała się dopiero na wewnętrznym dziedzińcu zamku.

Tam też słudzy niezwłocznie podbiegli do *sir* Haralda, żeby pomóc mu zejść z siodła, po czym odprowadzili wszystkie wierzchowce.

Daniel z niepokojem zerknął na masywną bramę prowadzącą z dziedzińca do lochów, w których siedział jeszcze tego samego ranka, ale nie wydawało się, by mieli się kierować w tamtą stronę. W każdym razie nakazali mu zdjąć i oddać strój narzucony na ubranie, tak jakby to, że miał go na sobie, było dla nich zniewagą nie do zniesienia. Daniel usłuchał w milczeniu i nie sprzeciwił się, nawet gdy wraz z czarnymi szatami odebrano mu miecz.

Sir Harald tymczasem ściągnął z głowy hełm i opierając się na lasce, którą bezzwłocznie mu podano, zbliżył się powolnym krokiem do Iana.

Żołnierze drgnęli, zaniepokojeni, widząc, że Amerykanin wciąż ma miecz przypięty do pasa, lecz wiekowy baron zdawał się nie zwracać na to uwagi i bez

cienia strachu stanął naprzeciwko niego.

Ian patrzył na mężczyznę uważnie i w zupełnym milczeniu. Uderzyło go to, jak bardzo jest stary i niedołązny. Nie spodziewał się tego, zwłaszcza że chwilę przedtem widział go w pełnym uzbrojeniu i z potężnym mieczem przytroczonym do pasa. Mimo to poczuł głęboki szacunek dla człowieka tak dostojnego i doświadczonego w boju.

Stary baron odwzajemniał jego baczne spojrzenie.

– *Monsieur de Ponthieu*, czy możecie dać mi wasze słowo, że nie uczynicie niczego, co mogłoby zagrozić obronie mego domu, pomimo wrogości, która dzieli was i mego syna? – zapytał w końcu.

– W mym interesie nie leży zniszczenie Dunchester. Nie mam ku temu żadnych powodów ani nie jest to moim zamiarem, przysięgam wam na to, co dla mnie najświętsze – odparł Ian, wytrzymując ciężar poważnego spojrzenia barona. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nie mieszać nikogo innego w kwestie osobiste, które wciąż pozostają nierozstrzygnięte pomiędzy mną a waszym synem.

Mężczyzna kiwnął głową z uznaniem dla jego odpowiedzi.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Mam nadzieję, panie, że z waszej strony zadbacie o to, by wykluczyć z tego zatargu wszystkich, których on nie dotyczy – dodał Ian, spoglądając bezpośrednio na Geoffreya Martewalla, który stał nieruchomo w ciszy, oddalony od nich o kilka metrów. Aluzja do tego, co spotkało Daniela, była oczywista dla wszystkich, mimo że nie wyrażono jej wprost.

Angielski rycerz, w odpowiedzi na zawołane oskarżenie, wycelował w swego rywala wrogie spojrzenie.

– O ile znowu nie spróbujesz stąd czmychnąć, rozwiążemy to osobiście: tylko ty i ja, możesz być tego pewien – odparł z goryczą.

– Chcesz to załatwić jak mężczyzna z mężczyzną? Spróbuj stawić mi czoło sam, a nie z obstawą dziesięciu zbirów. Jestem do twojej dyspozycji w każdej chwili – rzucił Ian, a w jego głosie zabrzmiała stal.

Podeszli do siebie w ciszy. Obaj zaciskali pięści.

Daniel przyglądał się tej scenie z niepokojem.

– Wystarczy już tego na dzisiaj – zarządził *sir* Harald. Nie podniósł nawet głosu, jego słowa przerwały jednak narastający konflikt. – Obu was proszę, byście uszanowali moje życzenie i traktowali się z należyty szacunkiem, dopóki przebywacie w murach mego domu – dodał, rzucając znaczące spojrzenie zwłaszcza w kierunku swojego syna.

Ian delikatnie pochylił głowę w ukłonie na znak zgody. Zirytowany Martewall był zmuszony powtórzyć gest.

– *Monsieur de Ponthieu*, oczekuję was jako gościa dziś wieczorem na kolacji wraz

z waszym towarzyszem broni – dodał *sir* Harald. Odwrócił się do sług i nakazał im przygotowanie komnaty dla gości. – Niechaj niczego im nie zabraknie po tym wszystkim, co musieli przejść – dodał, zanim oddalił się powolnym, zmęczonym krokiem.

Słudzy pospieszyli wykonać rozkaz. Żołnierze spoglądali na siebie tak, jakby zaskoczył ich brak jakichkolwiek poleceń. Zwrócili pytające spojrzenia w stronę Geoffreya Martewalla, a rycerz gestem nakazał im wrócić na pozycje na murach, gdzie mogli okazać się bardziej przydatni. Tylko dwóch z nich pozostało na dziedzińcu – tych przywołał do siebie Hektor.

Słudzy poprosili Daniela i Iana, by udali się za nimi.

– Panie mój – zawołał jeszcze Ian, zwracając się do starego barona, który zdążył już odejść na kilka kroków. – Mężczyźni, którzy mi towarzyszyli, pozostawili w pobliskich lasach całe swoje rodziny. Jaki spotka ich teraz los?

Sir Harald odwrócił się ze zmęczonym westchnieniem.

– Nie mamy jak dostać się teraz do ich rodzin, a zresztą, możecie mi wierzyć, będą bezpieczniejsze, trzymając się z dala od tego miejsca. Uchodźcy, którzy znaleźli schronienie w tych murach, zostaną przyjęci z wszystkimi należnymi im względami, o to nie musicie się martwić. Zapewnimy im jedzenie, medyków i wszystko to, czego mogliby potrzebować – w miarę naszych możliwości.

– Dziękuję wam, panie – powiedział Ian i raz jeszcze pochylił przed nim głowę z wdzięcznością.

Stary baron, zanim odszedł, raz jeszcze rzucił mu spojrzenie z daleka.

– Jesteście wspaniałomyślnym i pokornym młodzieńcem, milordzie. Nie spodziewałem się tego po was, wciąż pamiętam dumę waszego ojca.

Te słowa i niespodziewanie wypowiedziany tytuł szlachecki przypomniły Ianowi, jaką pozycję zajmuje w arystokratycznej hierarchii. Dopiero teraz chłopak sobie uświadomił, że jest najwyżej postawioną osobą w całym Dunchester, co wprowadziło go w zakłopotanie. Nadany mu tytuł szlachecki teoretycznie był ważniejszy od godności, którą otrzymali panowie na zamku, i rzeczywiście francuski „książe” odpowiadał angielskiemu „lordowi”.

Amerykanin czuł się niezręcznie, kiedy zwrócono się do niego z tak ceremonialną nomenklaturą, zwłaszcza że zrobił to starszy Martewall, z całą pewnością bardziej godny tytułu, który mu został nadany. Wiedział jednak, że musi zaakceptować epokowy zwyczaj, i dlatego starał się nie okazywać swojego skrepowania. Zastanawiał się tylko, czy nie zdążył do tej pory zrobić czy palnąć czegoś absolutnie nieodpowiedniego dla swej arystokratycznej pozycji – roli, którą musiał odgrywać przed całą publicznością. Być może prawdziwy książę zachowywałby się inaczej w obliczu prostych baronów.

Ian nie zdołał powstrzymać się od rzucenia jeszcze jednego spojrzenia w stronę

Geoffreya Martewalla, niemego obserwatora całej sceny. Zastanawiał się, o czym może myśleć angielski rycerz.

– Tędy, mości panowie. – Słudzy wyrwali go z zamyślenia, wskazując jemu i Danielowi ten sam kierunek, w którym chwilę wcześniej udał się *sir* Harald.

Obaj Amerykanie zrozumieli, że najprawdopodobniej, z woli gospodarza, zostaną ulokowani w rezydencjalnej części zamku, i wymienili między sobą zaskoczone spojrzenie, zanim jeszcze dostrzegli reakcję Geoffreya Martewalla.

Rycerz nie powiedział ani jednego słowa, milczał zaciekle, mimo że wyraz jego twarzy był bardziej wymowny niż tysiąc komentarzy. Odwrócił się na pięcie i oddalił wraz z Hektorem w stronę zewnętrznego podwórza.

Dwóch żołnierzy, którzy zostali na dziedzińcu, powędrowało natomiast w ślad za Amerykanami w kierunku domostwa.

Nieoczekiwanych gości zaprowadzono do komnaty umieszczonej na drugim piętrze. Jej okno, tak jak okna wszystkich pomieszczeń ulokowanych na niższych piętrach kompleksu zamkowego, zwrócone było na dziedziniec.

Znaleźli tam kominek, potężny kufer i kilka taboretów, a także surowe, choć obszerne łóżko, w którym mogło spać kilka osób, tak jak zwykło się to robić w średniowieczu. Służący rozniecili ogień w palenisku i przynieśli miednice z wodą i wszystko, co było konieczne do kąpieli, a nawet czyste szaty. Następnie odeszli bez słowa. Za drzwiami dwóch żołnierzy pełniło wartę.

Kiedy przyjaciele w końcu zostali sami, uścisnęli się z niewypowiedzianą ulgą – koniec końców udało im się nawzajem odnaleźć.

– Bałem się, naprawdę się bałem – wyznał przejęty Daniel.

Ian objął go po bratersku i uścisnął mocno.

– Ja też.

Przez kilka chwil nie potrzebowali mówić nic więcej, pokonani przez wyczerpanie. Usiedli naprzeciwko siebie – jeden na kufrze, a drugi na taborecie – by opowiedzieć sobie o szczegółach tego, co wydarzyło się w dniach przymusowej rozłąki. Kiedy wreszcie skończyli historie swoich przygód i nabrali nieco sił, Ian odsłonił swoją ranę, chcąc oczyścić ją choć trochę.

– Czy to poważne? – zaniepokoił się natychmiast Daniel.

– To tylko zadrapanie – upewnił go przyjaciel, krzywiąc się w grymasie bólu. – Całe szczęście, że już przestało krwawić. – Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby zabandażować skaleczenie, nie udało mu się jednak znaleźć nic użytecznego.

W tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi i wkroczył po chwili, nie czekając

na zaproszenie. Ian zdziwił się na widok młodziutkiej dziewczyny, ubranej skromnie, lecz z elegancją godną prawdziwej damy. Towarzyszyła jej dwórka, nieco starsza. Ta niosła ze sobą koszyk i niewielką szkatułkę. Twarz dziewczęcia wyrażała otwartą wrogość, nad którą z trudem próbowała zapanować.

Daniel podniósł się ze stołka, rozpoznając Leowynn Martewall.

– Panna Leowynn jest córką naszego gospodarza – oznajmił Ianowi.

Drugi Amerykanin szybko otrząsnął się z zaskoczenia i z wielkim szacunkiem złożył dziewczynie pokłon.

– Moja pani, to dla mnie zaszczyt – pozdrowił ją.

– Powiedziano mi, że jesteście ranni – odparła lodowato i kiwnęła głową do służki, żeby ta rozłożyła na kufrze przedmioty, które ze sobą przyniosła.

Kobieta postawiła szkatułkę i uchyliła jej wieka. Oczom młodzieńców ukazały się buteleczki i słoiczki z medykamentami. W koszyku z kolei były bandaże i większa butelka, wypełniona najpewniej gorącym winem do dezynfekcji rany, tak przynajmniej wywnioskował Ian, czując zapach alkoholu, który rozszedł się w powietrzu, kiedy zawartość flaszki została przelana do najmniejszej miski.

Młodzieniec odgadł zamiary obu kobiet i zaproponował:

– Nie ma potrzeby, byście się mną zajmowały, dam sobie radę sam, zapewniam was, pani.

Leowynn rzuciła mu jeszcze surowsze spojrzenie. Widać było wyraźnie, że po tysiącokroć wolałaby być w innym miejscu niż komnata wroga, mimo to bez wahania sięgnęła po lekarstwa.

– To ja zajmuję się chorymi i rannymi w Dunchester i wy nie stanowicie tu wyjątku, mości książę. Pozwólcie mi wypełnić mój obowiązek, a szybciej będę mogła wrócić do innych potrzebujących.

W jej ustach szlachecki tytuł brzmiał jak obelga i Ian uznał, że lepiej nie irytować upartej panny. Usadowił się na stołku wskazanym mu przez dziewczynę kategoriycznym gestem i czekał w milczeniu.

Leowynn Martewall nienawidziła go z całych sił, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Było to prawdopodobnie echo uczuć jej brata, choć nie bez znaczenia pozostawała wszechobecna uraza Anglików do Francuzów, wynikająca z cierpień, które musieli znosić przegrani w dopiero co zakończonej wojnie.

Ian wiedział, że nie ma w zanadrzu żadnych argumentów, które mogłyby osłabić jej niechęć. Najlepsze, co mógł zrobić, to pozwolić jej się opatryć.

Leowynn wiedziała, co robi. Nie próbowała zadawać mu więcej bólu, niż było to konieczne, ale nie drgnęła jej nawet powieka, kiedy ranny zeszywniał podczas zakładania szwów. Przemyśla ranę, odkaziła ją i wbiła mu igłę w skórę w zupełnej ciszy. Jej ręce poruszały się szybko i zdradzały doświadczenie. Leowynn nie patrzyła w oczy swojemu pacjentowi, zupełnie tak, jakby go wcale nie było i jakby ona sama

zajmowała się najzwyklejszym cerowaniem. Daniel, który siedział w swoim kąciku, tak żeby nikomu nie zawadzać, zobaczył, jak pięknie sklepione czoło dziewczyny marszczy się i blednie w chwili, gdy jej dłonie, muskając plecy Iana przy nakładaniu maści, natrafiły na szramy pozostawione przez bicz Derangale'a.

Leowynn nie powiedziała jednak nic i w chwilę później podeszła do Daniela.

– Pokażcie mi swoje rany, *sir*.

– To tylko kilka siniaków, droga pani, nie potrzeba mi opatrunków – próbował sprzeciwić się chłopak, lecz dziewczyna złapała go za ręce, podciągając mu oba rękawy i obnażając przedramiona, na których wyraźnie widać było ślady sznurów i siniaków – pamiątki niedawnego przesłuchania.

Na ten widok Ian pociemniał na twarzy. Nie powiedział jednak nic, czekając z tym, aż zostanie z przyjacielem sam na sam.

Leowynn wciąż bez słowa przystąpiła do pracy, z pomocą służki, która podawała jej bandaż. Nie patrzyła również na Daniela, lecz jej twarz wyrażała teraz zakłopotanie, a być może, w pewnym stopniu, poczucie winy.

– Jesteście ranni w jakimś innym miejscu? – zapytała w końcu, wskazując na klatkę piersiową chłopaka, Daniel zaprzeczył jednak zdecydowanym ruchem głowy.

– Zrobiliście wszystko, co było konieczne, o pani, nie macie się już o co martwić. Idźcie pomagać tym, którzy potrzebują tego bardziej niż ja.

Spojrzała mu przez chwilę pytająco w oczy, po czym odłożyła swoje przyrządy do kuferka i starannie zatrasnęła jego wieko. Wycofała się, chyląc głowę w chłodnym pozdrowieniu.

– Do zobaczenia na kolacji – powiedziała zwyczajnie i zniknęła za drzwiami wraz ze służącą, nie czekając na odpowiedź.

Kiedy tylko kobiety zamknęły drzwi, z piersi Iana wyrwało się westchnienie.

– Jest tak samo towarzyska jak jej brat, ale trochę ją rozumiem – powiedział, mając oczywiście na myśli Leowynn.

– Zeszła do lochów wraz z Martewallem i ich ojcem. Zdawała się przerażona do szpiku kości tym, co się tam działo – odparł Daniel.

– Wyobrażam sobie. – Ian milczał przez kilka chwil. – Jesteś pewien, że nic ci nie jest? – zapytał, wskazując ponurym gestem sińce, które widać było wyraźnie na obnażonych rękach przyjaciela.

– Kilka mam jeszcze na plecach, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, ale tamte to już historia – mruknął Daniel. Podniósł się ze stołka, aby obmyć twarz w miednicy z wodą.

Kiedy ściągnął z siebie koszulę, Ian mógł zobaczyć w całej okazałości rozmiary jego obrażeń.

– Martewall słono mi zapłaci za to, co ci zrobił – obiecał Danielowi. Głos trząśł mu się z oburzenia.

– Te siniaki to nie jego sprawka. Pewnie nawet nie chciał, żeby do tego doszło – odpowiedział chłopak szczerze. – Nie było go na miejscu, a jego ludzie postanowili się zabawić. Przez chwilę się bałem, że mnie zamordują, i pewnie tak by się stało, gdyby nie zastępca Martewalla, Hektor. To on ich powstrzymał.

– Martewall zapłaci mi i tak za całą resztę – burknął Ian, odporny na argumenty przemawiające na korzyść jego przeciwnika.

Daniel nie odpowiedział i zaczął się myć, szczęśliwy, że wreszcie ma ku temu okazję.

Ian, pomimo zmęczenia, poszedł w jego ślady i po godzinie obaj, mając już na sobie czyste ubrania sprezentowane im przez gospodarza domostwa, siedzieli na ziemi przed płonąącym kominkiem.

– Zdaje się, że to był pomysł starego Martewalla. Nie wydaje mi się, żebyśmy zawdzięczali nowe fatałaszki jego synkowi – skomentował Daniel z sarkastycznym grymasem.

Ian przyznał mu rację. Wizyta panny Leowynn również z całą pewnością była wymuszona poleceniem starszego pana na zamku.

– I co się teraz będzie działo? – zapytał Daniel, spoglądając na profil przyjaciela w ciepłym świetle kominka.

– Oblężenie Dunchester, część druga. Boję się, że tym razem nie wytrzymają długo – odpowiedział Ian i przeczesał w zamyśleniu włosy. – Niestety, nie wydaje mi się, żeby inni feudałowie przybyli z pomocą Martewallom, którzy sprzeciwili się królowi. A nawet jeśli, to nieprędko.

– Przecież ty znasz już przyszłość – odgadł Daniel z lakonicznej wypowiedzi przyjaciela. – Mów, co wiesz.

– Nie jestem specjalistą w sprawie tej wojny – musiał przyznać Ian. – Kroniki mówią, że rewolta wybuchła na początku 1215 roku, czyli – z naszej obecnej perspektywy – teraz, nie wiem jednak dokładnie gdzie ani kiedy. Może za chwilę, może za miesiąc czy dwa, tutaj albo z drugiej strony wyspy, kto to wie. Wiem tylko, że baronowie dotrą aż do Londynu po miesiącach bitew, ale to będzie miało miejsce dopiero na początku lata. Prawda jest taka, że nie zabawimy tu zbyt długo.

– Żadnych wskazówek w kwestii Dunchester? Mówiłeś, że nazwa zamku coś ci mówi.

Ian potrząsnął głową.

– Myślałem o tym chyba z tysiąc razy, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Mimo to zdaje się, że gdzieś przeczytałem tę nazwę, ale mogło to być wydarzenie z innej epoki, niekoniecznie ze średniowiecza. Tyle czytałem tych ksiąg... Diabli wiedzą, gdzie widziałem jakieś informacje o Dunchester.

– A co mi powiesz na temat tego księcia Salisbury, Williama de Longespée? Pamiętam go z Bouvines, był dzielnym dowódcą.

– No jasne. Niestety, oprócz tego jest wiernym sojusznikiem Jana bez Ziemi, przynajmniej w tej chwili. Będzie walczył dla króla przez cały okres wojny domowej, mimo że bez większego przekonania. A kiedy już sytuacja zrobi się beznadziejna, pierwszy pobiegnie złożyć hołd Ludwikowi Francuskiemu.

Daniel wytrzeszczył oczy.

– Ludwikowi Francuskiemu? Masz na myśli księcia Ludwika? Syna Filipa Augusta?

Ian skinął głową.

– Tak, dokładnie tego, który trzymał w potrzasku całe wojsko angielskie na południu Francji w czasie, kiedy my walczyliśmy pod Bouvines. W przyszłości wojna domowa będzie wyglądała tak: najpierw baronowie pod przewodnictwem niejakiego *sir* Roberta Fitz-Waltera zmuszą króla Jana do złożenia podpisu pod Magna Charta Libertatum...

– Czekaj... pod czym?

– Magna Charta Libertatum, Wielka Karta Swobód – możesz ją sobie wyobrazić jako coś w rodzaju konstytucji, w której wyznacza się kolejno granice władzy królewskiej w stosunku do jego wasali – w tym przypadku baronów. Podpiszą ten dokument w czerwcu, po tym jak zbuntowani szlachcice zdobędą Londyn. Dopiero wtedy przerwana zostanie wojna domowa. Potem jednak Jan bez Ziemi wyprze się tego, co sam podpisał, i walki zostaną wznowione. Wojna będzie trwała trochę ponad rok i angielscy baronowie zwrócą się o pomoc do księcia Francji. Posuną się nawet do tego, że zaoferują mu koronę Anglii, którą zresztą książę przyjmie, bez większego wahania. Dopłynie osobiście do Dover za nieco ponad rok, w maju 1216 roku. I właśnie wtedy, kiedy król Jan będzie już całkowicie pokonany, William de Longespée przyjmie księcia Ludwika wraz z wieloma innymi angielskimi arystokratami, łącznie z królem Szkocji.

– I co, książę Francji wstąpi na angielski tron? – Daniel był nieco zdezorientowany.

– Nie. Anglicy zwrócą się przeciwko niemu w chwilę po tym, jak umrze Jan bez Ziemi. I posadzą na tronie Henryka III, dziecko, którym baronowie będą się bawić przez dłuższy czas, sterując nim tak, jak im się będzie żywnie podobało, i każąc mu wydawać prawa wedle swoich zachcianek. Angielska monarchia już nigdy nie będzie taka sama.

– Czy za tym spiskiem stoi William de Longespée?

– Wydaje mi się, że w dużej części masz rację. Jest jednym z potężniejszych ludzi w całej Anglii i z całą pewnością wie, jak poruszać pionkami na szachownicy, by zyskać na tym jak najwięcej. To jeden z tych, którzy zawsze potrafią utrzymać się na powierzchni.

– A czy król Jan nie jest przypadkiem jego bratem? Longespée miałby go tak po prostu zostawić, gdy tylko los się od niego odwróci?

– Są przyrodni braćmi i weź pod uwagę, że niekoniecznie muszą do siebie paść miłością, zwłaszcza że Jan przy pierwszej okazji próbował przywłaszczyć sobie bezpodstawnie tron należący do jego brata Ryszarda. W każdym razie William de Longespée zrobi wszystko, żeby tron pozostał w rękach angielskich. Wierny jest raczej całemu narodowi niż jednemu człowiekowi, który niezasłużenie nosi koronę na głowie.

Daniel w ciszy przetrwał nowe informacje.

– A my? Co możemy zrobić? – zapytał w końcu.

– Próbowałeś otworzyć ustawienia *Hyperversum*? – Ian odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Przez kilka ostatnich godzin nie miałem okazji.

– Spróbuj teraz. Jesteśmy razem, może przejście zadziała.

Daniel usłuchał.

– Help – wypowiedział wyraźnie polecenie, ale – tak jak się tego spodziewał – nic się nie wydarzyło.

– Nic z tego, pudło – wyszeptał chłopak po tym, jak skrupulatnie wypróbował wszystkie polecenia, które pamiętał. I w końcu pozwolił bezsilnie opaść podniesioną rękę.

Spoglądali na siebie w milczeniu, wiedząc, że bez pomocy *Hyperversum* ich szanse na ucieczkę spadają prawie do zera.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc w obronie Dunchester. Przynajmniej zyskamy trochę czasu. Miejmy też nadzieję, że ktoś nadejdzie nam z pomocą – powiedział po chwili Ian. – Jeśli skończymy w rękach Williama de Longespée, czyli właściwie w rękach króla, nasza sytuacja tylko się pogorszy. Dla nich jesteśmy Francuzami, wiesz o tym, a w dodatku rycerzami, którzy ich pokonali i upokorzyli pod Bouvines.

– Martewall zgodzi się, byśmy walczyli u boku jego ludzi? Mówię o Geoffreju, rzecz jasna. Dla niego też jesteśmy tylko i wyłącznie wrogami, którzy zwyczajnie poniżyli Anglików.

– Spróbuję przekonać jego ojca, on mnie posłucha, przynajmniej taką mam nadzieję. Gdyby się sprzeciwił, spróbuję przypomnieć mu stare czasy, kiedy wojował wraz z rodem Ponthieu.

– Zgoda – kiwnął głową Daniel.

– Chciałbym jednak, żebyś próbował w dalszym ciągu uruchomić *Hyperversum*, w każdej chwili, kiedy masz taką możliwość. Nie poddawaj się. Wiesz, co się stało ostatnim razem. Zaczęło działać ponownie w momencie, w którym nikt się tego nie spodziewał.

– Zrobię to, możesz na mnie liczyć.

Ian zastanawiał się przez kilka sekund.

– Naprawdę jestem ciekaw, dlaczego tak nagle się zawiesiło.

– A któż to może wiedzieć? – szepnął Daniel. – Staram się nie myśleć o jakiegokolwiek katastrofie, mam nadzieję, że to zwykły problem z komputerem. Może to zwyczajna przerwa w dostawie prądu, przynajmniej bardzo bym chciał, żeby tak było.

Zamilkli, pogrążeni w myślach dotyczących przyszłości.

– Przepraszam – powiedział w końcu Ian, wbijając wzrok w podłogę. – Tak bardzo cię przepraszam.

– Za co? – zdziwił się Daniel.

– Znowu wpakowałem cię w tarapaty. Nigdy sobie tego nie wybaczę. – Ian przetarł dłonią twarz. – Gdybym tylko zdołał przekonać cię do tego, żebyś uciekał, kiedy było to możliwe, teraz byłbym o ciebie spokojny.

Drugi chłopak wyciągnął się odruchowo w jego kierunku i ścisnął go za bark.

– To ja naraziłem cię na niebezpieczeństwo – przerwał mu, poruszony. – Gdybyś nie zdecydował się mnie szukać, teraz byłbyś wolny i szczęśliwy u boku Isabeau. To moja wina, że wpadłeś w pułapkę tego zamczyska.

– Nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy, gdybym nie upewnił się wcześniej, że nic ci nie grozi. Musiałem sprawdzić, czy udało ci się uciec – zaprotestował Ian.

– Tak jak ja musiałem osobiście się przekonać, czy udało ci się dotrzeć do Châtel-Argent, i przez to postanowiłem towarzyszyć ci w podróży za wszelką cenę, mimo wszystkiego tego, co mi mówiłeś – odparł przyjaciel.

Po chwili ciszy, która nastąpiła, młodzieńcy uśmiechnęli się do siebie smętnie, wiedząc, że sprawy nie mogły potoczyć się inaczej.

– Wyjdziemy stąd żywi, obaj – powiedział w końcu Daniel.

– Tak – potwierdził Ian.

Do drzwi komnaty zapukał służący. Kolacja była już gotowa.

Wejściu dwóch obcokrajowców do komnaty, w której serwowano posiłek, towarzyszyła wroga cisza. Sala ta służyła również jako miejsce spotkań i biesiadowania większości mieszkańców zamczyska.

W przeciwieństwie do Châtel-Argent i zamków, które Ian i Daniel mieli okazję zwiedzić we Francji, Dunchester nie miało głównej baszty, która służyłaby za centrum codziennego życia, lecz było złożone z przylegających, ale wciąż oddzielnych budynków, często pozbawionych jakiegokolwiek połączenia między sobą i zorganizowanych tak, by tworzyły murowany kwadrat wokół środkowej części dziedzińca. Wielka sala znajdowała się w budynku umieszczonym w rogu kwadratu i połączona była z komnatami stanowiącymi pomieszczenia kuchenne. Jej dach

opadał stromo i był podtrzymywany przez łuki i drewniane belki. Salę tę wyposażono w dwa ogromne kominki po przeciwległych stronach. Były tam też trzy wysokie okna pozbawione okiennic, wykończone „szybami” zrobionymi z płytek ze szlifowanych kości, dość przezroczystych, by przepuszczać światło dnia.

W sali płonęła ogromna liczba pochodni rzucających chybotliwe światło na drewniane stoły, przy których siedziało około stu pięćdziesięciu osób – w przeważającej części żołnierzy, rycerzy i urzędników. W głębi wydzielono salkę, w której znajdował się stół pana na zamku, ustawiony tak, by siedzący mógł ogarnąć wzrokiem wszystkich swoich gości.

Wrogie spojrzenia towarzyszyły Amerykanom również wtedy, kiedy prowadzono ich w stronę miejsca, gdzie siedział *sir* Harald. Wskazano im krzesła przeznaczone dla gości, ustawione zaraz obok miejsc rodziny barona.

Żołnierze, którzy im towarzyszyli, oddalili się wraz ze sługami, by zasiąść wśród towarzyszy broni, w rogu sali.

Geoffrey Martewall zajmował miejsce po prawej ręce swojego ojca i powitał gości zwykłym, pełnym urazy spojrzeniem. Leowynn nie podniosła nawet wzroku znad swojej czarki wina i popijała w milczeniu.

Przy tym samym stole siedzieli również Hektor i przynajmniej jeden z Flamandczyków, którzy towarzyszyli Martewallowi we Francji, a także inni wojowie w różnym wieku – razem jakieś dwanaście osób.

Ian zrozumiał, że wszyscy zasiadający najbliżej pana stanowią grupę rycerzy związaną z twierdzą Dunchester, podczas gdy pozostali zbrojni, usadowieni przy innych stołach, mają niższą rangę wśród dowództwa i straży. Ponadto na sali obecni byli zamkowi urzędnicy, niektórzy w towarzystwie swoich żon.

Służba zaczęła przynosić potrawy i piwo. Salę szybko wypełniły brzęk naczyń oraz zwykła wieczorna wrzawa. Rozmowy, pozbawione zupełnie śmiechów i lekkiego tonu, pobrzmiwały niewesołym echem. Nad całą salą ciążyła wiedza, że nieprzyjaciel czai się u bram Dunchester, cierpliwy i nieubłagany.

– Wybaczcie mi prostotę tego posiłku, lecz w zamku mamy teraz zbyt wiele osób do wykarmienia i zapasy muszą być racjonowane. Liczę na to, że mnie zrozumiecie – oznajmił *sir* Harald dwóm swoim gościom, kiedy tylko usadowili się obok niego.

– Przyzwyczajeni jesteście do skromniejszych kolacji niż ta, którą nam zaoferowaliście – odparł Ian w imieniu swoim i Daniela. – Jesteśmy wam wdzięczni za gościnę.

Słudzy podali mięsa z rusztu, chleb, piwo oraz trochę suszonych owoców. Starszemu i schorowanemu władcy zamku podsunęto również z należytym szacunkiem talerz z potrawą składającą się z jajek i masła, której smak wzbogacono ziołami i przyprawami – szafranem, tymiankiem i imbirem.

Amerykanie zaczęli jeść wraz z innymi, w milczeniu, czując się niezręcznie przy

tym właśnie stole. Oprócz *sir* Haralda nikt nie spróbował nawet powiedzieć słowa, które mogłyby zmniejszyć ich poczucie dyskomfortu. Pozostali rycerze zwyczajnie ignorowali cudzoziemców, rozmawiając półgłosem między sobą.

Były to jednak mało znaczące rozmowy, jak zauważył Daniel. Nikt nie mówił wprost o nieprzyjacielu i o bitwie, która miała się rozpocząć następnego dnia, i chłopak bez trudu odgadł przyczynę takiego zachowania. Po prostu Anglicy nie mieli do nich dość zaufania, by otwarcie dyskutować o jutrzejszej strategii. Daniel i Ian byli dla nich potencjalnymi nieprzyjaciółmi i szpiegami, którzy dziwnym zrządzeniem losu zasiadali przy ich stole.

Danielowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby podzielić się swoimi przemyśleniami z przyjacielem. Ian tylko porozumiewawczo kiwnął głową. Skończył mięso, które nałożono mu na talerz, wypił łyk piwa i w końcu zabrał głos, korzystając z momentu ciszy, która zapadła wśród zgromadzonych.

– Panie, chciałbym, byście rozważyli możliwość przyjęcia naszej pomocy w obronie zamku Dunchester – zwrócił się do *sir* Haralda.

Jego słowa wywołały osłupienie biesiadników. Cisza zmroziła ucztujących i na chwilę rozsiała się po całej sali – w miarę jak wieść docierała do uszu wszystkich zgromadzonych.

„Nie zbaranieliby tak nawet, gdyby powiedział, że bardzo chciałby podpalić teraz zamek” – pomyślał Daniel, popijając piwo ze swojego pucharka, po to tylko, żeby ukryć napięcie i udawać zupełny spokój.

– Nie! – wykrzyknął niespodziewanie jeden z angielskich rycerzy, który jako pierwszy otrząsnął się ze zdumienia, i skoczył jednocześnie na równe nogi. Pozostali pomrukiwali w odruchu sprzeciwu, umilkli jednak pod lodowatym spojrzeniem Geoffreya Martewalla, który nakazał wszystkim spokój.

– Nie – odezwał się znów ten sam rycerz, siadając sztywno na swojej ławce.

Na sali minął pierwszy moment osłupienia i gwar ponownie unosił się nad stołami.

– Nie możemy przyjąć takiej pomocy – mówił dalej mężczyzna, zwracając się do pana na zamku i nie zaszczycając Iana nawet jednym spojrzeniem.

– Dlaczego? – młodzieniec zapytał wprost, przez co zmusił rycerza, by się odwrócił i mu odpowiedział.

– Boście Francuz – padł najbardziej oczywisty argument.

– I wróg Jana bez Ziemi, dokładnie tak jak wy w tej chwili – dodał Ian z całkowitym spokojem. – Powiedzcie mi, że nie przydadzą się wam dwaj dodatkowi rycerze, by bronić twierdzy, a ja wycofam moją propozycję.

– Dwóch dodatkowych wrogów z pewnością nam nie trzeba – przerwał jeden z młodszych Anglików ze złością, zyskując uznanie kompanów. – Kto nas zapewni, że nie skorzystacie z oblężenia zamku po to, aby nas zniszczyć?

Daniel zgromił go oburzonym spojrzeniem i gwałtownie odstawił na stół swój

pucharek.

– Jeśli ja i mój towarzysz zostalibyśmy schwytani przez króla Anglii, myślicie, że spotkałby nas lepszy los od tego przewidzianego dla was? – odparł Ian, uprzedzając jego komentarz. – Czy nie jest to wystarczająca przyczyna, by życzyć sobie, żeby Dunchester wytrzymało jak najdłużej?

– To wasze animozje z naszym panem są wystarczającą przyczyną, by życzyć sobie upadku jego twierdzy – odparł młodszy rycerz przy milczącej aprobacie starszego kompana.

– *Sir Kerwick*, proszę was o spokój – przerwał surowo Harald Martewall. – I również was, *sir Ewen*. *Monsieur de Ponthieu* przysiągł na swój honor, że nie będzie szkodził w żaden sposób Dunchester. Nie powinniście oskarżać go o krzywoprzysięstwo.

Stary baron omiótł spojrzeniem wszystkich zgromadzonych, jednego po drugim, ale nikt nie odważył się wypowiedzieć otwarcie takiego zarzutu. Wielu jednak spoglądało na Geoffreya Martewalla, czekając na jego opinię w tej kwestii.

– Ja nie będę walczył u boku mości księcia, cokolwiek zadecydują ci, co siedzą przy tym stole – powiedział rycerz donośnym głosem, w którym brzmiała pogarda, po czym zwrócił się wyłącznie do Iana, żeby zakomunikować mu swoje stanowisko bez owijania w bawełnę. – Mogłaby mi przyjść do głowy myśl, że mając cię na wyciągnięcie miecza, z łatwością mógłbym cię nim przebić, a jutro nie mogę sobie pozwolić na żadne rozkojarzenia, bo będę bronić własnego domu.

Ian miał na końcu języka równie jadowitą odpowiedź, powstrzymał się jednak, aby dyskusja nie przerodziła się w bezsensowną sprzeczkę, która z pewnością nie pomogłaby w przedłożeniu jego sprawy. Poprzysiągł sobie w duchu, że starcie pomiędzy nimi jest jedynie kwestią czasu.

Anglik w lot zrozumiał jego milczącą wiadomość i odpowiedział na nią, wymierzając mu pełne nienawiści spojrzenie.

– Ja z kolei mówię, że jest nas zbyt mało, żebyśmy mogli pozwolić sobie na nonszalanckie odrzucanie propozycji pomocy dwóch ludzi – przerwał *sir Harald* i jego zdanie wywołało poruszenie wśród wszystkich rycerzy przy stole. Również Leowynn patrzyła na ojca z wytrzeszczonymi oczami, nie odważyła się jednak zabrać głosu. *Geoffrey Martewall*, ponury jak noc, pił piwo ze swego kielicha.

– Mimo to – ciągnął stary baron, podnosząc nieznacznie rękę, żeby uciszyć pierwsze głosy sprzeciwu – jestem zmuszony odrzucić waszą propozycję, *monsieur de Ponthieu*. Nie mam wątpliwości co do waszej lojalności ani waszego rycerskiego kunsztu, jednak uraza, którą wszyscy moi ludzie żywią w stosunku do was, Francuzów, tkwi zbyt głęboko, bym mógł pozwolić wam walczyć u ich boku. Wolę raczej mieć w swej armii dwóch rycerzy mniej, niż rzucać cię niezgody i poróżnienia na obronę Dunchester.

Rycerze zdawali się usatysfakcjonowani decyzją feudała. Geoffrey Martewall odstawił pucharek z lodowatym spokojem, żeby zabrać się z powrotem za posiłek, nie mówiąc ani słowa. Leowynn uśmiechnęła się nieznacznie.

– Ale... – usiłował przerwać Daniel po raz pierwszy.

– Macie moje pozwolenie, by uczestniczyć w bitwie na wałach obronnych. Nigdzie więcej – przerwał natychmiast baron. – Proszę, byście pogodzili się z moją decyzją, w przeciwnym razie zmuszony będę zamknąć was w waszej komnacie.

Daniel rzucił Ianowi bezsilne spojrzenie.

– Panie, prosicie nas, byśmy oglądali bitwę ze związanymi rękoma – bitwę, która zadecyduje również o naszym losie. Nasze życia mamy więc pozostawić w gestii tych, którzy, jak sami przyznajecie, żywią do nas nienawiść – powiedział Ian poruszony.

– Ci ludzie będą osłaniać własnymi ciałami Dunchester i tych, którzy znaleźli w nim schronienie. Z równym zaangażowaniem będą bronili i was – odparł starszy baron, powoli dobierając słowa. – Tak jak nie mam prawa wątpić w waszą lojalność, tak samo nie mogę podważyć lojalności moich ludzi, mimo że rozumiem wasz zapał do walki.

Ian zrozumiał, że dyskusja w zasadzie jest już zamknięta.

– Podczas krucjaty ród Ponthieu i Martewall zjednoczyły się, by walczyć po tej samej stronie przeciwko wspólnemu wrogowi – spróbował mimowolnie.

Sir Harald opuścił ponury wzrok na swój pucharek. Obracał go w dłoniach.

– Czasy się zmieniły – powiedział tylko.

Ian musiał pogodzić się z jego decyzją i w posepnym milczeniu kończył swoją kolację.

*

Rozdział 20



Z perspektywy zamku wojsko Williama z Salisbury wzbudzało jeszcze większą trwogę niż czerwone oddziały, które dzień wcześniej przypuściły atak na twierdzę.

Dzień wciąż jeszcze nie wstał, na ciemnym niebie nie było widać nawet księżyca, ale krajobraz wokół Dunchester był upstrzony setkami wątych światełek – pochodnie migwały z oddali, z miejsca, w którym wróg rozbił swoje obozowisko.

Obrońcy nie mogli dojrzeć tego, co działo się w dole, ale wiele pochodni poruszało się gorączkowo, co tylko dowodziło, że oddziały króla pracowały zawzięcie, przygotowując się do bitwy.

Co jakiś czas dało się zauważyć cień ukradkowego ruchu wewnątrz pierwszego pasa murów, pomiędzy zgliszczami i popiołem – tylko tyle pozostało z osady u stóp zamku. Przede wszystkim słychać było zduszone dźwięki dobiegające z dołu, z różnych miejsc pod murami zamku. Mimo to strażnicy na wieżach nie byli w stanie odgadnąć, kto czy co porusza się chyłkiem obok twierdzy, i ich strzały, oddawane prawie na ślepo, trafiały w pustkę. Z wysokości murów pochodnie nie zapewniały wystarczającego światła, by rozjaśnić teren położony kilkanaście metrów w dół. Strażnicy więc padali co jakiś czas ofiarą ukrytego w ciemnościach nocy nieprzyjaciela, który z kolei z łatwością mógł wymierzyć groty swych strzał w żywe cele, poruszające się w blasku ognia.

W ten sposób ludzie Dunchester – porażeni bezsilnością – uświadomili sobie, że wróg pod osłoną nocy przygotowuje zasadzkę, i czekali, aż blask słońca ukaże rezultaty jego pracy.

Jedyne, co mogli zrobić, to dać niegodny, lecz jedyny możliwy pochówek swoim zmarłym. Z wysokości urwiska wrzucali ciała owinięte całunami wprost do morza, ponieważ wewnątrz zamku nie było dość miejsca, by wykopać wystarczającą liczbę grobów. W martwej ciszy, która zapadła wśród wszystkich mieszkańców, starszy kapłan grodu wypowiedział słowa błogosławieństwa, zanim jeszcze zgromadzeni w twierdzy mogli zaznać kilku godzin odpoczynku, dzielących ich od ponownej próby sił z nieprzyjacielem.

Po krótkiej chwili niespokojnego snu również Ian i Daniel dotarli na najbardziej wysunięte obwarowania zamku. Pejzaż wciąż tonął w ponurych ciemnościach.

– Co takiego mogli wykombinować? – dopytywał się Daniel, na próżno wypatrując

ruchu dalekich pochodni i usiłując zrozumieć ich cel.

– Niestety nic, co poprawiłoby naszą sytuację – odparł Ian, oparty o mur pod osłoną blanek.

Z dala od nich, na tym samym pasie murowanych obwarowań, dostrzegli Geoffreya Martewalla i jego rycerzy, rozlokowanych strategicznie po to, by móc z łatwością dowodzić wszystkimi obrońcami. Nie wiedząc, skąd może nadejść pierwsza fala ataku, ustawili się wzdłuż obwodu murów, na których szczyt można było się dostać z ziemi, gotowi, by w każdej chwili, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba, zjednoczyć swoje siły. W świetle płonących pochodni ich kolczugi przebłyskiwały spod tkanych tunik.

– Wiesz co? Z jednej strony nie jest mi szczególnie przykro, że nie muszę walczyć, ale z drugiej to straszne tak po prostu tutaj stać i patrzeć na to wszystko, nie mogąc nic zrobić – ciągnął Daniel wpatrzony w sylwetki rycerzy. – Czuję się, jakbyśmy stali na skraju przepaści, czekając, aż runiemy w dół z całym osuwiskiem.

Ian przytaknął w ciszy.

Na rozkaz *sir* Haralda dwóm cudzoziemcom pozwolono poruszać się dość swobodnie wewnątrz zamku, mimo to Ian był całkowicie pewien, że każdy ich krok był śledzony przez tysiąc oczu, czujnych i podejrzliwych. Nie udostępniono im żadnej broni ani nie pozostawiono żadnego elementu zbroi, który mógłby ich ochronić – wszystko po to, by ostatecznie zniechęcić ich do ingerowania w jakikolwiek sposób w nadchodzącą bitwę.

Ian, pozbawiony miecza, czuł się zupełnie nagi i rozmyślał o tym uczuciu, które zdawało mu się niewytłumaczalne, jako że w całym swoim życiu nosił ostrze przytroczone do pasa zaledwie przez kilka miesięcy, już po pasowaniu na rycerza.

Choć miał przy sobie broń tylko przez kilka ostatnich dni, to teraz, kiedy go jej pozbawiono, odczuwał spory dyskomfort, niezwiązany jednak z uczuciem bezbronności – czy z mieczem, czy bez niego, nie robiło to wielkiej różnicy w obliczu sił, które prowadził ze sobą książę Salisbury i których chciał użyć do ataku na Dunchester.

Nie, czuł coś innego, coś, czego nie potrafił do końca rozgryźć, coś w rodzaju niewidzialnej ułomności związanej z brakiem ostrza przy boku. Uczucie to narastało zwłaszcza w obecności innych żołnierzy w pełnym rynsztunku.

Ian przyjrzał się Danielowi, ale po chłopaku nie było widać, żeby zadręczał się podobnym niemiłym wrażeniem.

– Świta – powiedział w pewnej chwili Daniel.

Ian przeniósł wzrok na wschód i ujrzał maleńki świetlisty punkcik, który wyłaniał się z morza w kolorze ołowiu, żeby przesunąć się powoli wzdłuż horyzontu.

Ruch na murach się wzmógł, słychać było różnorakie wezwania dochodzące od strony zamku, żołnierze biegiem zajmowali swoje pozycje. Martewall i jego rycerze

wyciągnęli miecze zza pasów prawie w tej samej chwili. Jakby na umówiony sygnał.

W rzednącym mroku można było dostrzec wojska Williama de Longespée stojące w równych szeregach, gotowe do ataku. Najemników królewskich podzielono na drużyny, które miały osłaniać tyły wojsk lorda Salisbury.

Coś przyciągnęło uwagę Iana. Przestał wpatrywać się we wrogie oddziały i spojrzął w dół. Zbladł jak ściana.

– Na wszystkie świętości... – wymamrotał w osłupieniu.

– Co się stało? – zaniepokoił się natychmiast Daniel, zbliżając się ostrożnie do blanek, żeby zerknąć w tym samym kierunku.

Wstrzymał oddech, widząc, że urwisko pod rampą prowadzącą do mostu zwodzonego przestało istnieć. Przez noc pochyłość została wyrównana ziemią, kamieniami i kawałkami drewna. Teraz można było uniknąć skoku w przepaść, dzielącą dotychczas rampę i zamek. W jej miejsce wznosił się łagodny pagórek o szerokim zboczu. Można było dotrzeć pieszo aż do miejsca, w którym wystarczyło sięgnąć ręką, aby dotknąć zwodzonego mostu.

Przed usypiskiem, na płaskim skrawku ziemi, na którym wśród popiołów spalonej wioski wciąż leżały ciała ofiar z poprzedniego dnia, wydzielono kawałek pustej przestrzeni. Daniel zobaczył trzy drewniane maszyny. Były poza zasięgiem łuczników z Dunchester. Wyglądały jak gigantyczne kusze na kołach, wzniesione na podstawach długości wozu konnego. Umieszczono na nich pociski zakończone hakami o tak dużej masie, że do ich transportu potrzebnych było przynajmniej dwóch ludzi. Do każdego z pocisków przymocowano długą linę łączącą oba końce. Obok maszyn kręcił się przynajmniej tuzin żołnierzy.

– A więc to są te całe balisty? – zapytał Daniel jednym tchem.

– Tak – odparł Ian smętnym tonem. – To carrobalisty, katapulty na kołach, jeśli mam być dokładny. Spróbują przebić most zwodzony i ściągnąć go w dół hakami. Później wkroczą tarany i uderzą w metalowe bramy barbakanu. Po to właśnie wyrównali spadek terenu, teraz mogą dowlec tarany aż pod same mury. Musieli nad tym harować całą noc.

– Ale było ich słychać w różnych miejscach pod murami...

– Hałasowali specjalnie, żeby odwrócić uwagę wartowników od tego, nad czym pracowali tutaj, pod mostem. Mimo że Martewall z pewnością spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Czy w ogóle jest jakaś szansa, żeby odeprzeć tak zorganizowany atak? – zapytał Daniel, mimo że odpowiedź była w zasadzie oczywista.

– Na pewno nie z tej strony – powiedział z ociąganiem Ian. – I na pewno nie bez ogromnych strat. Tarany są niezwykle dobrze chronione, a średniowieczne katapulty to mniej więcej odpowiednik nowoczesnych armat.

Przez kilka chwil Daniel milczał z wrażenia.

– Myślisz, że mają ze sobą jeszcze jakieś inne diabelstwa tego rodzaju i tylko czekają, żeby ich użyć? – zapytał w końcu.

– Nie, nie wydaje mi się. Niełatwo jest przewieźć maszyny oblężnicze w zimowe miesiące, kiedy ziemię pokrywa lód, a drogi są rozmokłe od roztopów, pełne błota i dziur. Boję się jednak, że nawet te, które ze sobą zabrali, będą bardziej niż wystarczające przy oblężeniu tak niewielkiego zameczku. – Ian zamyślił się przez chwilę i dodał: – Ale myślę, że zdążyli poskładać i ukryć gdzieś taran – pewnie za tym, co zostało ze spalonych chat.

Złowieszczy głos rogu oznajmił początek kolejnego krwawego dnia.

Pozostało im jeszcze jakieś pół godziny spokoju, podczas gdy kilku rycerzy króla wystąpiło z szeregów, aby poprowadzić dyplomatyczne negocjacje z oddziałami przeciwnika, tak jak poprzedniego dnia, wysuwając propozycję natychmiastowej kapitulacji twierdzy. Nikt z Dunchester nie pofatygował się nawet, aby wyruszyć im naprzeciw.

Geoffrey Martewall nie ruszył się ze swojego miejsca w środkowej części murów obronnych, tak jak, bez wątpienia, zostało mu to nakazane przez ojca.

Nikt, zupełnie nikt nie brał pod uwagę możliwości poddania się.

Atak wstrząsnął twierdzą niczym uderzenie młota. Raz jeszcze najemnicy w czerwonych strojach zbliżyli się do murowanych umocnień, oddając w wały obronne i żołnierzy Dunchester nieprzerwane serie strzałów. Obrońcy w pośpiechu rzucili się szukać schronienia wśród załomów muru. Wśród nich byli też Ian i Daniel.

Tym razem, w przeciwieństwie do poprzedniego dnia, nieprzyjaciel nie próbował nawet zbliżyć się do obwarowań. Katapulty zaprzęgnięto do pracy właściwie od razu, wystrzelując z nich trzy pociski zakończone hakami w stronę mostu zwodzonego. Gigantyczne strzały zatopiły swoje groty w drewnie z przerażającym łoskotem, odrywając drzazgi długości kilku łokci. Wbiły się na dobre. Żołnierze w niebieskich szatach popchnęli w przód drewniane konstrukcje przykryte skórą i futrami – proste, lecz skuteczne zadaszania chroniące przed strzałami i innym pociskami wyrzucanymi przez nieprzyjaciela. Pod nimi prowadzili bydło i konie, kierując się w stronę balisty, gdzie zwierzęta zostały zaprzęzione do końców pocisków i popędzone do przodu. Koła wozów zaczęły się obracać.

Od strony mostu zwodzonego dobiegało mrozące krew w żyłach skrzypienie – jego strukturę rozrywało ogromne napięcie materiału. Z jednej strony ciągnęły go liny, z drugiej – przytrzymywały łańcuchy, zębaki i zawiasy, blokując ruch konstrukcji.

Z wysokości murów obrońcy na próżno usiłowali zniszczyć osłony, pod którymi schronił się nieprzyjaciel. Były poza zasięgiem pocisków. Płachty zaś, celowo

przykryte warstwami błota i mokrych skór, nie zajmowały się ogniem od płonących strzał. Łucznicy, którzy chcieli atakować z góry i zbliżali się do blanek, spadali w dół jeden po drugim, martwi lub ranni od nieustającego ostrzału wroga.

– Most ustępuje! – wykrzyknął Daniel wśród grzmienia bitwy, słysząc, jak drewno wydaje agonalne jęki.

– Mam nadzieję, że nie tak szybko! – odpowiedział Ian, obserwując sytuację w dole.

Jeden z napiętych sznurów stanął w płomieniach, ugodzony przypadkowo strzałą zapalną. Ogień strawił go błyskawicznie i lina przerwała się w połowie. Jeden z haków nie wytrzymał napięcia sznura, odczepił się od drewnianej powierzchni mostu i runął z impetem w dół, wlekąc za sobą przynajmniej połowę osi stanowiącej podstawę mostu. Teraz tylko jedna lina ściągała most.

Ludzie księcia Salisbury nie tracili jednak czasu i ładowali na wyrzutnię kolejne pociski. Nowa seria strzał zmusiła wszystkich łuczników Dunchester do wycofania się z pozycji.

Daniel zaklął donośnie. Lotki strzał świstały dookoła. Powtórzył przekleństwo, słysząc bluzgi kilku angielskich łuczników wrzeszczących do niego i Iana, żeby zesłi im z drogi, gdyż tamci szukali najlepszych pozycji do strzału.

Bitwa prawie w całości była skoncentrowana na przedniej części twierdzy, wystawionej na nieprzerwany atak.

– Uciekajmy stąd, bo i tak się do niczego nie przydamy! – powiedział Ian do przyjaciela i obaj ustąpili miejsca tym, którzy, w przeciwieństwie do nich, mogli walczyć w obronie zamku.

Przenieśli się na północno-zachodni kraniec murów, pokonując tę samą drogę, którą przemierzył poprzedniego dnia Daniel, kiedy próbował dostać się z wewnętrznego pierścienia murów na środkowy pas umocnień biegnący równolegle do linii obrony.

Na tej flance ogień nieprzyjaciela był słabszy. Strzały nie docierały aż tak daleko i róg zamku od północnej strony prawie stykał się z lasem, który nie był celem ostrzału. To miejsce było zasadniczo wolne od nieprzyjaciół. Wrogowie zebrali się w przeważającej mierze we frontowej części zamku, gdy już upewnili się, że na pozostałych odcinkach jego murów nie ma żadnej bramy, którą okupowani mogliby przemknąć, czy choćby niewielkich wyjść, pozwalających na niespodziewany, zmasowany atak z linii bocznej, tak jak to się stało poprzedniego dnia.

Również obrońcy Dunchester zgromadzili się za centralną częścią murów, a bitwa przybrała najbardziej krwawy charakter właśnie przed barbakanem i po obu jego bokach.

Załoga zamku nie mogła sobie pozwolić na rozproszenie sił na szerokim odcinku pasa murów i z tego względu strefa, która nie stanowiła celu bezpośredniego ataku,

była patrolowana przez zaledwie kilku łuczników i kuszników. Wartownicy wyposażeni w rogi ostrzegawcze pozostawali przy kątach murów, gotowi, by zawiadomić o ewentualnym niebezpieczeństwie albo wezwać posiłki.

Oddaliwszy się od linii frontu, Amerykanie mogli odzyskać oddech i przybliżyć się do blanek. Angielscy strażnicy spoglądali na nich z kiepsko skrywaną nienawiścią, nie komentowali jednak ich przyjścia ani słowem. Przyjaciele, spotykając się na każdym kroku z niechęcią, zatrzymali się dopiero w miejscu względnie opustoszałym, w połowie północno-zachodniego muru, i pogrążyli w ponurym oczekiwaniu. Rozglądali się z rezygnacją.

– Jak długo jeszcze będzie trwał ten koszmar? – odezwał się Daniel, kierując pytanie bardziej do samego siebie niż do swojego przyjaciela.

Ian nie miał na to żadnej odpowiedzi. Czuł się całkowicie bezsilny, brak zaś miecza czy jakiegokolwiek innej broni u boku ciążył mu coraz bardziej. Nie miał żadnego pomysłu, jak włączyć się do bitwy, mógł tylko pozostać biernym obserwatorem. Na samą myśl o tym czuł rosnącą frustrację.

Patrzył z góry na przestrzeń dworu i skupił całą swoją uwagę na głównych wrotach do twierdzy.

Tam, w dole, kłębowisko ludzi nie ustawało w wysiłkach, żeby przygotować wszystko pod wzmocnienie obrony na samym końcu tunelu, który przechodził przez barbakan i kończył się na wysokości podniesionego szkieletu mostu zwodzonego.

Most w dalszym ciągu niepokojąco trzeszczał i mógł ustąpić w każdej chwili. To nieznośne skrzypienie drewna słychać było nawet z tej odległości.

Obrońcy zamku przygotowywali się na najgorsze – jeśli most ustąpi, będą musieli odpiierać atak nieprzyjaciela od strony zewnętrznego dziedzińca. Wybrani żołnierze kierowali pospiesznymi pracami, w roli robotników występowali jednak prości mieszkańcy zamku, wszyscy ci, którzy byli na tyle silni, by przyczynić się do obrony w strefach największego zagrożenia. Część z nich była jeszcze dziećmi.

Ian niespodziewanie przypomniał sobie Beau – Lisiego Ogonia.

„Dzięki Bogu, że jest daleko od tego piekielnego miejsca i od tych potworności” – pomyślał, przypominając sobie upór, z którym chłopiec nalegał, aby za wszelką cenę wziąć udział w bitwie.

Całe szczęście, że Ian zdołał go odwieść od pomysłu śledzenia mężczyzn z Willingham i Aversly podczas wyprawy do Dunchester – wyprawy, która okazała się śmiertelną pułapką. Teraz mógł mieć przynajmniej nadzieję, że Lisi Ogon i jego matka byli w drodze do jakiegoś bezpiecznego miejsca, daleko od okrucieństwa wojny.

„Oby los im sprzyjał” – życzył w myślach obojgu.

Cywile pod bryłą barbakanu zbierali co popadnie: kamienie, belki, piach i wiadra wody, żeby zapobiec ewentualnym załamkom pożarów, które mogły wybuchnąć

wskutek ataku nieprzyjaciela. Płonące strzały mogły nadlecieć w każdej chwili, drewniane budynki były zaś celem wysoce łatwopalnym.

Wewnętrzna krata, która zabezpieczała bramy barbakanu, była podniesiona. Żołnierze pojawiali się i znikali w tunelu, nierzadko biegiem, oceniając sytuację czy przekazując wieści o stanie mostu wystawionego na najzaciekleszy ostrzał balisty.

W tej chwili most wciąż jeszcze się trzymał, ale jak długo miało to trwać? Ian nie był w stanie w żaden sposób tego zgadnąć i czuł się coraz bardziej niepotrzebny. Daniel miał rację. Było to jak czekanie na lawinę, która prędzej czy później miała im spaść na głowę.

– Nie mogę tak dłużej stać z założonymi rękoma – powiedział nagle Daniel. – A może byśmy pomogli tam w dole? Przynajmniej to nam pozwolą robić, mam nadzieję.

– Boję się, że mogą się wkurzyć, jeśli zobaczą, że kręcimy się obok głównego wejścia – skomentował Ian szeptem. – Biorąc pod uwagę ich podejrzliwość, mogliby pomyśleć, że chcemy otworzyć wrota i zaprosić wroga do środka.

– A do diabła z nimi i z całą tą ich podejrzliwością – skrzywił się Daniel.

Ian w pełni się z nim zgadzał i raz jeszcze zapytał sam siebie, co mogliby zrobić, żeby przydać się w obronie. Przesunął wzrok wzdłuż pasa murów w stronę morza i tyłu zamku i patrzył na ubranych w zwykłe szaty mężczyzn rozproszonych na całej długości obwarowań strzegących części twierdzy, której nie atakowano tak zaciekle. Również tam każdy, kto był w stanie unieść jakąkolwiek broń, został obsadzony jako. Między przypadkowymi ludźmi w najróżniejszym wieku było kilku żołnierzy, oddalonych od siebie o jakieś pięćdziesiąt kroków; nie spuszczała ich z oka sytuacji, dbając o porządek, zwłaszcza kiedy krzyki i łoskot bitwy sprawiały, że większość spojrzeń zwracała się w kierunku centralnego frontu.

Wśród cywili Ian dostrzegł dobrze mu znaną pokaźną i krępą sylwetkę. Thomas Bull stał na murach wraz z kilkoma innymi mieszkańcami Willingham.

Młodzieniec pozdrowił go gestem dłoni, jednak prócz nieznacznego skinienia drwała nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

„Wciąż mi nie wybaczyli, że musiałem ukryć przed nimi, kim jestem” – pomyślał Ian z bólem i przeklął los, który zmuszał go do wiecznego opowiadania historyjek przeznaczonych dla różnych uszu, do przedstawienia, którego odgrywanie pożerało go od wewnątrz. Westchnął, życząc sobie, żeby jego życie było mniej skomplikowane.

Jego uwagę przyciągnął niespodziewany ruch. Zanim zdążył się zorientować, co tak naprawdę się dzieje, zobaczył, jak za blankami murów znika trzech ludzi, nie wydając z siebie ani jednego okrzyku.

Nie wszyscy wartownicy zdołali jednak to zauważyć. Iana przeszył dreszcz na widok kilku innych obrońców, których spotkał dokładnie ten sam los – spadli ze

szczytu muru przeszyci strzałami nadlatującymi z boku, od strony lasu. W pierwszej kolejności na cel wzięto żołnierzy noszących barwy Martewellów.

– Atakują z lasu! – wrzasnął Daniel.

– Thomas, uważaj! – Ian i pokazał z daleka Bullovi, by ten odwrócił się za siebie.

Były żołnierz drgnął, widząc jego gest, i odwrócił się w tym samym momencie, kiedy z gardeł pozostałych wydarł się krzyk przerażenia i zaskoczenia niespodziewanym i nagłym atakiem. Ich głosy mieszały się z pomrukiem bitwy i nie dotarły od razu do strażników na wieżach.

Wielu spośród cywilnej załogi wartowników wpadło w sidła paniki, widząc śmierć swych kompanów. Rzucili się w poszukiwaniu schronienia wśród blanek murów, inni usiłowali odpowiedzieć na atak, wystawiając się na strzały.

Ian podbiegł, aby wychylić się poza blanki, i ujrzał pod murami cały oddział zbrojnych. Żołdacy mieli ze sobą dwie długie drabiny i właśnie wychynęli z lasu, gdzie ukrywali się aż do tej pory. Chcieli wykorzystać element zaskoczenia, mając ze sobą łuczników, którzy zapewniali im ochronę nieprzerwanym i śmiertelnym ogniem. Ian zauważył ze zgrozą, że część zbrojnych nosi czarne szaty żołnierzy z Dunchester.

„Po to, żeby wmieszać się w obrońców, gdy tylko uda im się pokonać obwarowania!” – zrozumiał.

Żołnierze króla musieli ściągnąć szaty z ciał poległych poprzedniego dnia, tych, których ludzie z Dunchester nie zdołali pogrzebać i których zmuszeni byli zostawić poza polem bitwy. Sztuczka, choć podła, zdawała się skuteczna i pozwalała na to, by część z nich dotarła do samego serca zamku, niezatrzymywana przez nikogo. Prawdopodobnie od środka.

– Trzymaj się nisko, kretynie! – wrzasnął Daniel, ciągnąc Iana w bezpieczne miejsce, zanim nowa chmara strzał przeszła powietrze.

Znaleźli się na ziemi, jeden koło drugiego, słysząc świst lotek i uderzenia grotów, które rozbijały się o kamienie lub wbijały miękko w ciała ofiar.

– Korzystają z tego, że obrona skoncentrowała się na przodzie zamku! – tłumaczył Ian gorączkowo. – Jeśli uda im się wspiąć na mury, jesteśmy martwi!

Jednocześnie zdał sobie sprawę, że mężczyźni pełniący funkcję strażników po tej stronie twierdzy nie będą w stanie odeprzeć zmasowanego ataku z lasu. Nie byli przeszkoleni, a w dodatku nieprzyjaciel działał z zaskoczenia. Nie mieli pojęcia, jak zareagować na bezlitosne i zaciekle natarcie. Kilku prawdziwych żołnierzy, będących wśród nich, usiłowało uspokoić i przeorganizować szeregi, wróg działał jednak chytrze i to oni jako pierwsi padali pod grotami jego strzał. Ten sam koniec spotykał tych, którzy mijali dwóch Amerykanów, usiłując dotrzeć z pomocą do swoich towarzyszy. Kilku cywili wzięło nogi za pas w rozpaczliwej próbie ucieczki.

Ian zamarł w bezruchu na kilka chwil, obserwując zajście. Miał pustkę w głowie, oniemiał, tak jak pozostali.

Bull rozsądnie wysłał ludzi po posiłki, podczas gdy kilku zbrojnych rzuciło się biegiem w stronę wież i żołnierzy Dunchester. Strażnik, który miał zaalarmować pozostałych o niebezpieczeństwie, dmąc w swój róg, osunął się na ziemię z grotem wbitym w sam środek klatki piersiowej.

Ludzie z pobliskich osad usiłowali bronić się łukami i kuszami, jednak trwoga i oszołomienie sprawiły, że w większości przypadków chybiali. Zdołali pozbawić życia jedynie kilku atakujących.

Pierwsza drabina oparła się o mur i najeźdźcy w pośpiechu wspięli się po jej szczęblach. Cywile na linii obrony, pokonani przez strach, zaczęli się wycofywać, ich manewr zaś opóźnił tylko nadejście posiłków, gdyż na ścieżce wartowniczej nie było wystarczająco miejsca, aby umożliwić bardziej doświadczonym żołnierzom stawienie czoła atakującym – póki jeszcze na murach nie było ich tak wielu.

Odziani na czarno wrogowie mnożyli się w mgnieniu oka na szczycie obwarowań. Ian wiedział, że jeśli nikt nie zdoła zatrzymać agresorów w przebraniu, tamci dotrą bez żadnych przeszkód na zamkowy dziedziniec. Wtapiając się w tłum prawdziwych obrońców, mogliby stać się przyczyną kolosalnych strat w ludziach. Należało zatrzymać ich jak najszybciej, zanim będzie ich zbyt wielu, by można było odzyskać kontrolę nad sytuacją.

W jednej chwili chłopak podjął decyzję.

– Ty masz się schować! – nakazał Danielowi i skoczył do przodu.

– Co ty wyrabiasz!?! – wrzasnął za nim przyjaciel, jednak w następnej sekundzie musiał przylgnąć płasko do kamieni pod blankami, gdyż powietrze znów przesywały zniechęcony świst. Żołnierz stojący nieopodal runął na chłopaka, przeszyty strzałą na wysokości piersi.

Ian biegiem dotarł do miejsca, w którym drabina była oparta o mur, i skoczył na pierwszego wroga, który stanął na jego drodze. Mężczyzna nie spodziewał się ataku. Był zajęty pojedynkiem z jednym z nielicznych obrońców, którzy kontynuowali opór, i w chwilę później padł na ziemię przygnieciony przez Amerykanina, który rzucił się na niego z całym impetem. Ian pchnął go kolanem w nerki, po czym odebrał mu miecz i cisnął mężczyzną na dziedziniec poniżej muru. Upadek nieprzyjaciela osłabiły góry piasku usypane na wypadek pożaru, szybko jednak przeszył go deszcz strzał nadlatujący z wysokości górujących nad zamkiem wież. Do żołnierzy Dunchester dotarły wieści o zamieszaniu, które wybuchło na bocznych murach, i zaczęli oni celować z góry do napastników. Wielu z nich zdołało jednak wspiąć się na szczytowe części umocnień i stamtąd odpowiadali na atak seriami z kusz.

– Nie uciekajcie! Musimy się ich stąd pozbyć! – krzyknął Ian do cywilnej załogi, i prawie odruchowo przebił mieczem kolejnego wroga, który niespodziewanie przed nim wyrósł.

Na szczęście ścieżka wartownicza prowadząca wzdłuż blanków nie była dość

szeroka, by pozwolić przejść kilku atakującym naraz. Ian zdołał obserwować ją przez kilka chwil, jednak później napierający z naprzeciwka żołnierze zmusili go do wycofania się.

O mury oparto drugą drabinę i wspinaczkę zaczęła nowa fala nieprzyjaciół w czarnych szatach.

Ian przez chwilę znalazł się w krzyżowym ogniu walki i musiał bronić się jednocześnie z obu stron.

Wrodzy żołnierze, którzy się na niego rzucili, zginęli jednak pod gradem strzał Daniela.

Chłopak zdołał wyciągnąć broń z ręki żołnierza, który padł bez życia tuż obok niego, i zdążył wystrzelić przynajmniej dwie śmiertelne strzały. Chwilę później Amerykanin musiał jednak rozejrzeć się za mieczem – wróg nadciągał zbyt szybko, by można było brać go na cel łuku.

– Spadaj stąd! – krzyknął Ian, widząc, że Daniel jest pozbawiony jakiegokolwiek pomocy w obliczu grupy przeciwników, których liczba rosła nieustannie. Pozostali obrońcy usiłowali walczyć tuż za Danielem, było ich jednak zbyt mało, by ich zmagania przyniosły rezultat. Ian widział, jak padają pod uderzeniami mieczy oraz strzał nieprzyjaciół. Bojąc się o życie Daniela, próbował desperacko dostać się do przyjaciela, lecz wciąż zatrzymywały go nieustanne ataki tych, którzy rzucali się na niego z każdej strony.

Obawa o przyjaciela odciągnęła jego uwagę od walki, którą prowadził, na sekundę dłużej, niż mógł sobie na to pozwolić. Nagle znalazł się twarzą w twarz z wrogiem uzbrojonym w topór. Osłupienie pozbawiło go zdolności ruchu, kiedy przeciwnik zamachnął się, by zadać mu cios. Jednak już w następnej chwili napastnik padł przebity mieczem Thomasa Bulla.

– Zrzucać ich na dół! – krzyknął mężczyzna do swoich kamratów, walcząc dalej u boku Iana.

Przykład, który dali obaj Amerykanie i były angielski żołnierz, stał się sygnałem bojowym dla pozostałych, którzy rzucili się do przodu z dzikimi okrzykami. Uderzyli we wroga z większą zaciekłością. Cywile przestali się wycofywać i pomimo olbrzymich strat, walczyli z całych swych sił, by nie ustąpić nieprzyjacielowi ani na centymetr.

Inwazja na boczne mury przyhamowała znacznie, mimo że wrogie wojska wciąż wspinały się po dwóch drabinach, które jakimś cudem zdołali utrzymać. Ian, Bull i pozostali stworzyli barykadę, która opierała się atakom przez dobrych kilka minut, ale w tak skromnym gronie nie byli w stanie zatrzymać wszystkich wrogów. Część z nich siłą przebijała się przez ścieżkę wartowniczą w kierunku schodów prowadzących do niższego dziedzińca.

„Ilu ich jeszcze jest?!“ – pomyślał Daniel z rozpaczą, zmuszony do zrobienia paru

kroków w tył. Z trudem łapał oddech. Był przyparty do muru i nie miał już siły walczyć z niekończącymi się zastępami wroga. Za jego plecami zaczynały się schody prowadzące na dziedziniec – najprostsza droga dla każdego, kto chciał dotrzeć prosto do barbakanu.

Nieprzyjaciele byli coraz bliżej. Chociaż atakujący mogli przemieszczać się maksymalnie dwójkami, w przeblysku trwogi Daniel uświadomił sobie, że jego upadek i śmierć są tylko kwestią sekund. Ciął więc mieczem na oślep, chcąc za wszelką cenę utrzymać agresora na dystans, po chwili jednak musiał zrobić chwiejny krok w tył, żeby uniknąć ostrza, które było o włos od jego tchawicy.

Zatoczył się, tracąc równowagę. Nieprzyjaciel dopadł go jednym susem i przedarł mu tunikę wzdłuż ramienia. Nie zranił go jakimś cudem, ale Daniel znów musiał się wycofać, nie będąc w stanie dłużej utrzymać nierównej walki.

„Już jestem martwy!” – pomyślał w panice.

Nieoczekiwanie poczuł, że ktoś chwyta go za ramię i odpycha na bok. Odwracając się w oszołomieniu, zobaczył, jak wyprzedza go uzbrojony rycerz w zielono-złotym płaszczu turniejowym. Posiłki dotarły na miejsce. Przewodził im Flamandczyk Hektor.

Równocześnie z wnętrza dworu przystawiono kolejne drabiny do ścieżki wartowniczej na szczycie murów, umożliwiając obrońcom pospieszną wspinaczkę pomimo zamętu i ścisku. Jako pierwszy na szczyt dostał się *sir Kerwick*, młodszy z dwóch angielskich rycerzy, którzy poprzedniej nocy podczas wieczerzy z taką niechęcią podeszli do propozycji Iana w kwestii pomocy. Razem z nim nadciągali inni rozwścieczeni i uzbrojeni żołnierze.

Sytuacja, dzięki interwencji wojów Dunchester, odwróciła się błyskawicznie na korzyść twierdzy. Wróg został odepchnięty, drabiny runęły na ziemię, szturmujący zaś zostali zmuszeni do wycofania się do lasu, z którego nadeszli. Łucznicy króla osłaniali ich podczas odwrotu, ale tylko częściowo udało im się zmniejszyć straty w szeregach.

Ryk radości rozbrzmiał wzdłuż tego odcinka murów. Żołnierze i cywile, wstrząśnięci i wyczerpani furią walki, złorzeczyli atakującym najeźdźcom, w swoich krzykach uwalniając cały strach i wewnętrzne napięcie.

Daniel skoczył w kierunku Iana i szarpnął go ze złością za tunikę.

– Ty przekłety idioto! – wrzasnął, rozjuszony i wycieńczony jednocześnie. – Rzucić się na oślep w sam środek piekła, w dodatku bez jakiegokolwiek broni! Tak bardzo życie ci niemiłe?!

– To ty nie powinienesz za mną biec! Miałeś ukryć się w bezpiecznym miejscu, tak jak ci mówiłem! – odparował Ian, wciąż cały spięty, spocony i zdyszany.

– Przestań mnie obwiniać! To ty pakujesz się w niebezpieczeństwo, i to w dodatku bezbronny! Rzykowałaś własną głową, a ja miałem ci na to pozwolić, co?

– Nic by mi się nie stało, wiesz o tym. Moja przyszłość jest już zapisana. A poza tym ktoś musiał ich powstrzymać! Myślałem, że nie jesteś tak głupi, żeby kusić los!

– No, świetna robota, bohaterze. A czy pomyślałeś o tym, że mogą ci odrąbać nogę, rękę albo przepołowić kręgosłup!? Możesz ująć z życiem, ale jako kaleka!

Ian miał odpowiedź na końcu języka, ale zamilczał, widząc, że wielu ludzi gromadzi się wokół nich, a wolał uniknąć tego, by jakiegokolwiek informacje o przyszłości dotarły do uszu kogokolwiek ze zgromadzonych.

Kiedy minął moment największego niebezpieczeństwa, wielu mężczyzn zaczęło kłębić się wokół Iana. Wiedzieli doskonale, że to dzięki jego interwencji obrońcy rzucili się do walki i udało się odpierać atak aż do nadejścia posiłków.

Najpierw jednak do Iana podszedł Bull, rzucając mu rzeczowe spojrzenie.

– No... Może i jesteś przeklętym żabojadem, ale odwagi masz tyle, że mógłbyś nią handlować, muszę to przyznać – mruknął do niego były żołnierz, a w jego bezceremonialnej opinii wyrażały się myśli także pozostałych zgromadzonych.

Komplement sprawił, że Ian poczuł się zakłopotany, wiedział bowiem, że nie w pełni na niego zasługuje.

– Dziękuję...

– A to jest, zdaje się, ten przyjaciel, któregoś szukał – ciągnął dalej drwal, spoglądając na Daniela. – Jeśli chodzi o waleczność, to jemu też nic nie brakuje...

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości – powiedział Ian, ale wymowne spojrzenie przyjaciela wyraźnie przekazywało, że nie dał się tak łatwo udobruchać, kłótnia zaś między nimi jest przełożona tylko do czasu, gdy będą mogli porozmawiać w cztery oczy.

Ian udał, że tego nie widzi, i przedstawił przyjaciela byłemu żołnierzowi z Aversly.

– Miło mi – powiedział Daniel, gapiąc się na Bulla z taką samą uwagą, z jaką ten wpatrywał się w młodego rycerza.

Uzbrojeni cywile również wyrazili uznanie i wdzięczność obu młodzieńcom, a ci bardziej wylewni dołożyli do słów przyjacielskie poklepywanie po plecach. Grupa jednak szybko rozstała się, schodząc z drogi Hektorowi.

Flamandzki rycerz pozostawił swoich żołnierzy na murach obronnych, żeby uspokoić sytuację i odzyskać całkowitą kontrolę nad odcinkiem umocnień, sam zaś skierował się do Iana i Daniela. Jego spojrzenie zatrzymało się najpierw na zakrwawionych mieczach, które Amerykanie – tak samo jak on – trzymali wciąż kurczowo w dłoni. Następnie jednak pochylił przed nimi lekko głowę, w bezdyskusyjnym geście szacunku i uznania.

– Milordzie, *sir* Danielu, dziękuję – powiedział krótko, lecz w jego głosie brzmiała szczerść.

Przyjęli pozdrowienie z należyтым szacunkiem. *Sir* Kerwick, zajęty reorganizacją oddziałów na murach obronnych, z daleka skinął im głową na znak wdzięczności.

Tytuł lorda, wypowiedziany tak otwarcie przez rycerza Dunchester, sprawił, że wokół Iana zrobiło się pusto – tak jakby ci, którzy stali dość blisko, by to usłyszeć, zapalali do niego nagłą podejrzliwością.

Tylko Bull nie ruszył się z miejsca i nie zmienił wyrazu twarzy.

– Muszę się po prostu przyzwyczaić do tego, żeś jest cholernym księciem – powiedział, wpatrując się w Iana i wykrzywając usta w uśmiechu.

– Nie ma żadnego powodu, dla którego nasze relacje miałyby się zmienić – zaczął Ian, jednak spojrzenia wszystkich zdążyły przenieść się w kierunku dworu. Amerykanin, widząc, że wszyscy chylą głowy w czołobitnym pozdrowieniu, odwrócił się i ujrzał *sir* Haralda Martewalla, w pełnym rynsztunku, siedzącego na grzbiecie swego bitewnego wierzchowca.

Stary baron przybył skontrolować sytuację, najwyraźniej i do niego dotarły wieści o zamieszkach i alarmie na północno-zachodnich murach. Towarzyszący mu goniec przekazywał mu w pośpiechu informacje o niedawnych zajściach.

Kiedy relacja posłańca dobiegła końca, baron nie powiedział ani słowa, patrząc na Daniela i Iana. Podziękował im gestem i złożył im hołd własnym, obnażonym mieczem.

Amerykanie z namaszczeniem odwzajemnili pozdrowienie.

– Oj, ciężko będzie udawać, żeś ty nie szlachcic – powiedział Bull sarkastycznym tonem, stając u boku Iana.

*

Rozdział 21



Tego dnia wszystkim się zdawało, że wieczór nadszedł później niż zwykle. Wyczerpani obrońcy czuli, że od świtu do zapadnięcia zmroku minęła wieczność, i kiedy napór nieprzyjaciela wreszcie osłabł, nikt nie odczuł nawet najmniejszej ulgi – wszyscy zastanawiali się tylko nad tym, skąd wziąć siły, by wytrzymać kolejny dzień walki.

Ian i Daniel przez całą bitwę pozostawali na północno-zachodnich murach, gdzie wraz z Bullem, grupą nowo przybyłych żołnierzy i cywili obserwowali, czy wróg nie spróbuje ponownie uderzyć z drugiej strony. Również *sir* Kerwick był cały czas w pobliżu dwóch Amerykanów – nie dlatego jednak, by obawiał się braku lojalności z ich strony, ostatecznie wydarzenia całkowicie zmieniły jego nastawienie. Mimo że pozostawał w zasięgu ich wzroku, Daniel i Ian nie doczekali się z jego strony nieprzyjaznych gestów czy słów wymierzonych przeciwko „Francuzikom”; ramię w ramię oczekiwali ewentualnego powrotu nieprzyjaciela.

William de Longespée nie próbował już jednak uderzać na twierdzę od tyłu. Straty, które poniósł, utwierdziły go aż za dobrze w przekonaniu, że i ta część murów – wbrew pozorom – jest pilnie strzeżona.

Do obrońców na murach co jakiś czas docierali posłańcy. Wiadomości przekazywali *sir* Kerwickowi. Wysyłał ich Hektor, który wraz ze starym Haraldem Martewallem powrócił na główną linię obrony. Nadchodzące komunikaty nie różniły się znacznie od siebie przez cały dzień: nie ustawał atak katapulty na most zwodzony, ten jednak nie ustępował pod naporem wroga. Lord Salisbury w dalszym ciągu nie chciał narażać swoich żołnierzy i nie wysyłał ich do bezpośredniego natarcia. Na pierwszy ogień szli najemnicy.

– Obserwuj nas i czeka – powiedział Ian do Daniela, słysząc słowa gońca, który zdawał kolejny raport *sir* Kerwickowi.

– Oszczędza swoich ludzi. Wie, że długo nie wytrzymamy.

Daniel nie odpowiedział, pogrążony w ponurych myślach.

Kiedy z nastaniem zmierzchu bitwa została przerwana, cisza, jaka momentalnie zapadła na terenie całego zamku, zdawała się nienaturalna. Delikatne podmuchy wiatru, wzmagające się wraz z nadchodzącą ciemnością, były dla wycieńczonych wojowników jak oddech. Na tle nieba o barwie ołowiu wirowały rzadkie płatki

śniegu, które znikwały, jeszcze zanim zdążyły dotknąć ziemi.

Obrońcy twierdzy nie mieli powodów do radości. Gdyby spadł obfity śnieg, utrudniłby znacznie zadanie najeźdźcom, zmuszonym do nocowania pod prowizorycznymi namiotami w obozie za polem bitwy, podczas gdy mieszkańcy zamku mogli się schronić przed zimnem w jego solidnych, kamiennych murach. Jak dotąd jednak warunki atmosferyczne ani trochę nie zadziałały na ich korzyść, a z zimowego nieba nie spadła ani jedna kropla deszczu, który zgasiłby ogniska nieprzyjaciela i uniemożliwił mu wzniesienie namiotów na grzaskim podłożu.

Na zamku po raz kolejny zliczono poległych i rannych i raz jeszcze kapłan pobłogosławił morskie wody, w które wrzucono zawinięte w całuny ciała zmarłych.

Ian i Daniel opuścili swoje pozycje na zamkowych murach śladem *sir* Kerwicka, podczas gdy żołnierze, którzy wciąż byli na siłach, pozostali, aby trzymać pierwszą wartę.

Ian usiłował przekonać Bulla, by ten pozostał w ich towarzystwie, drwał odrzucił jednak propozycję i wrócił do swoich. Wielu spośród jego drużyny straciło tego dnia życie i mężczyzna czuł się w obowiązku odmówić modlitwę za poległych wspólnie z tymi, którzy zdołali się uratować.

– Widzimy się jutro, mości księżę. Na razie chyba się nigdzie nie wybierasz, co? – zapytał Bull z gorzkim uśmiechem, po czym wyciągnął rękę w geście pozdrowienia.

Ian klepnął go po przyjacielsku w ramię i oddalił się wraz z Danielem.

Na dworze spotkali Geoffreya Martewalla, który wracał z barbakanu w towarzystwie kapitana Hektora.

Angielski rycerz spojrzął na Amerykanów i miecze, które obaj wciąż mieli w ręku. Nie wypowiedział jednak ani słowa, mimo że z całą pewnością został poinformowany przez kapitana o wydarzeniach tamtego dnia.

Jego twarz była jeszcze bardziej blada i zmęczona niż zazwyczaj, zdradzała wycieńczenie i dojmujący niepokój. Podtrzymywał ramię, w które dzień wcześniej został zraniony.

– Balisty doszczętnie zniszczyły most. Jutro runie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości – oznajmił lakonicznie, zwracając się jednocześnie zarówno do swojego przyjaciela, jak i do byłych zakładników. – Teraz na pewno użyją tarana.

Nie powiedział nic więcej i odszedł w kierunku zamku i dziedzińca, gdzie czekał na niego jego ojciec.

Ian i Daniel poszli w tym samym kierunku, maszerując w ciszy wraz z pozostałymi rycerzami.

Również tego wieczoru oczy wszystkich skierowane były na dwóch „Francuzów”,

odkąd pojawili się oni w drzwiach wielkiej sali. W spojrzeniach zgromadzonych trudno było dopatrzeć się jednak życzliwości. Wieści o walce na północno-zachodnich murach rozeszły się błyskawicznie po całej twierdzy, wszyscy też mieli świadomość, że bez pomocy cudzoziemców dzień mógłby się skończyć dużo bardziej tragicznie. Złagodziło to nieco podejrzenia w stosunku do Iana i Daniela – uczucie urazy do Francuzów, wciąż głęboko zakorzenione w sercach wszystkich Anglików, zmieszało się z pewnym szczególnym rodzajem szacunku i uznania dla odwagi dwóch młodzieńców.

Niemniej jednak rycerze zareagowali wrogo na widok Daniela i Iana, którzy zajęli miejsca przy ich stole. Na ławach były trzy wolne miejsca, na stołach zaś ustawiono puste talerze dla upamiętnienia wojów poległych tego dnia.

Głucha cisza towarzyszyła posiłkowi, którzy wszyscy spożywali ze wzrokiem wbitym we własne porcje. Rycerze z rosnącym napięciem zdawali się czekać, by ktoś rozpoczął rozmowę na konkretny, interesujący ich temat. Jako pierwszy głos zabrał Geoffrey Martewall, odstawiając swoją pustą czarę na stół.

– Jutro William z Salisbury ponownie zwróci się do nas z propozycją poddania się.

– A niech się zwraca! Odpowiemy mu ciszą i ostrzami naszych mieczy, tak jak zrobiliśmy to dzisiaj – odparł natychmiast *sir* Harald. W jego głosie brzmiała niezachwiana pewność.

Ian zauważył spojrzenia, które rycerze wymienili między sobą.

Młody Martewall czekał na ich reakcję i nie próbował sprzeciwiać się ojcu.

– A więc powinniśmy zacząć myśleć o tym, jak wyżywić wszystkich tych, którzy i tak nie przydadzą się w boju – dorzucił. – Już niedługo stan naszych zapasów będzie krytycznie niski. Jeśli chcemy wytrzymać jak najdłużej, nie możemy karmić kobiet, starców, dzieci i wszystkich tych, którzy nie są w stanie utrzymać miecza.

– Bracie, co ty mówisz?! – wykrzyknęła oburzona Leowynn.

Również Daniel był wstrząśnięty tak bezlitosnym rozumowaniem, po czym zdał sobie sprawę, że przy stole, przy którym zasiadali, nie uderzyło ono nikogo więcej. Nawet stary baron zamilkł, a wyraz jego twarzy był jeszcze bardziej posępny niż zwykle.

– Nie jesteśmy w stanie wyprowadzić ludności z zamku. Jedyne drogi prowadzi przez wojska nieprzyjaciela – powiedział z goryczą.

Cisza, która nastąpiła po tym oświadczeniu, była straszniejsza niż jakikolwiek komentarz.

Daniel czuł, że serce podchodzi mu do gardła. Czyżby wszyscy myśleli o tym, czego on się obawiał?

– Nie powiecie mi chyba, że wojsko lorda Salisbury mogłoby zaatakować bezbronnych cywili, którzy opuszczają pole bitwy? – powiedział, nie mogąc powstrzymać się od zabrania głosu. – To przecież też Anglicy: nie mogą tak po prostu

wszystkich wykończyć!

– I nie wykończą, ale zwyczajnie nie pozwolą im przejść i odeślą ich z powrotem – odparł mu lakonicznie Geoffrey Martewall. – Wiedzą, że cywile są naszym słabym punktem. Jeśli ich odprawimy, lord Salisbury znajdzie im drogę i zmusi nas do wyboru między powtórным przyjęciem ich i szybkim zużyciem naszych zapasów jedzenia i opału a pozostawieniem ich na zewnątrz, zziębniętych i głodnych, pomiędzy wojskami nieprzyjaciela a naszą twierdzą, i przyglądaniem się ich powolnej śmierci.

Daniel słuchał tego z otwartymi ustami, zobaczył jednak, że Ian nie podnosił oczu znad swojego talerza. Zdawało się, że ciąży na nim poczucie winy.

– Nie jest to nowa taktyka, a tym bardziej nie wymyślił jej lord Salisbury – ciągnął Martewall podniesionym głosem, widząc jego oburzenie. – Wasz król też coś o tym wie.

Daniel spojrział na Iana z niemym pytaniem w oczach. Czekał na wyjaśnienia.

– Również król Filip August postąpił w ten sam sposób podczas wojny, wiele lat temu, nie pamiętam tylko, jaki to był zamek – odpowiedział cicho jego przyjaciel. – Umarło wtedy wielu cywili, z głodu i wyczerpania, ponieważ wojsko króla nie pozwoliło im na ucieczkę, obrońcy zamku zaś nie przyjęli ich na powrót do środka. Zostali więc na zewnątrz.

– Nie pozwolę na to, żeby moich ludzi spotkał taki sam koniec – powiedział *sir* Harald zdecydowanym tonem. – Zapewnię im racje żywnościowe i schronienie tak długo, jak tylko będę mógł.

– A więc nie wytrzymamy dłużej niż tydzień – zawyrokował Geoffrey Martewall. W jego głosie nie było goryczy – po prostu z całą trzeźwością stwierdzał fakt.

– Nie poddamy się w tak krótkim czasie – sprzeciwił się jego ojciec w przypływie dumy. Tym razem poparli go również niektórzy rycerze. – Będziemy wydzielać mniejsze racje i walczyć również wtedy, kiedy i tych zabraknie. Wytrzymamy tak długo, jak będzie to konieczne.

– Konieczne? – odparł jego syn. – Czego możemy oczekiwać od przyszłości? Nie ma dla nas drogi ucieczki i żadna też nagle się nie pojawi, choćbyśmy wytrzymali całą wieczność.

– Będziemy czekać na pomoc innych baronów – odrzekł zawzięcie *sir* Harald. – Wysłaliśmy gońców, zanim zamknęliśmy się w murach naszej twierdzy. Niedługo nadejdą odpowiedzi na nasze wezwanie.

Martewall potrząsnął głową.

– Inni baronowie nie nadejdą. Nie opowiedzą się otwarcie przeciwko królowi, nie pójdą w wasze ślady. Jesteście sami.

– To nieprawda. W Bury Saint Edmunds zjednoczyliśmy się wszyscy przeciwko królowi.

– Słowami łatwo jest się zjednoczyć, ojcze. Lecz kiedy słowa należy wesprzeć

czynami i walką, nawet w najbardziej zwartych szeregach nietrudno o dziury. Jak dotąd dotarła do nas tylko jedna odpowiedź na wasze prośby o wsparcie. Prawda jest taka, że jesteśmy sami, a pomoc nie nadejdzie.

Ian nie powiedział ani słowa, lecz w sekrecie przyznawał rację Geoffreyowi Martewallowi. Słowa rycerza pełne były rozczarowania i goryczy, Amerykanin wiedział jednak, że Martewall mówi prawdę. Baronowie nie zdecydowaliby się na bunt przeciwko królowi w dwa czy trzy dni i naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić, co mogłoby sprawić, by zgodzili się niezwłocznie ruszyć do boju.

Nazwa Dunchester w dalszym ciągu kołatała mu się w głowie wraz z odległymi i bladymi wspomnieniami dawnych studiów.

„Być może klęska tego zamku była ważnym wydarzeniem w czasie trwania wojny domowej?” – młodzieniec zadawał sobie w myślach pytanie. Miał nadzieję, że skrzęsana tu iskra konfliktu nie będzie przyczyną pogromu i upadku twierdzy.

Cokolwiek miałoby nastąpić, Martewall miał rację, mówiąc, że nie należy spodziewać się szybkiego nadejścia wsparcia ze strony pozostałych feudałów i że Dunchester nie jest w stanie stawiać oporu przez dłuższy czas. Niezależnie od tego, co miała przynieść przyszłość, zamek musiał upaść.

– Jutro, kiedy lord Salisbury zażąda, byśmy się poddali, możemy chociaż wysłuchać jego propozycji – w tej samej chwili zaproponował Martewall.

– I pokazać, że się go boimy, i to już po dwóch dniach walki? Nie mogę się na to zgodzić – wykrzyknął *sir* Harald.

– Racja leży po stronie naszego ojca – poparła go Leowynn, mimo iż jej twarz przybrała odcień wosku.

Rycerze podzieli się między sobą – część była tego samego zdania, co młody baron, część dzieliła opinię jego ojca.

– To nie jest strach. To zdrowy rozsądek – odparł Martewall. Był tak samo nieustępliwy jak *sir* Harald. – Jeśli naprawdę chcecie chronić naszych ludzi, mamy obowiązek przynajmniej przystąpić do negocjacji, żeby ocalić ludność cywilną. Nasza klęska jest całkowicie pewna, gdyż król nigdy nie oszczędzał zdrajców, lecz niewinni nie powinni podzielić naszego losu ani cierpień w większym stopniu, niż doświadczają ich teraz. Jeszcze kilka dni temu powiedzielibyście mi, że moja duma nie jest warta życia mych poddanych – teraz ośmielę się wam przypomnieć, że i wasza wrogość nie powinna doprowadzić do ich śmierci. Jeśli poddamy się już teraz, być może zdołamy sprawić, że nie skończą jako mięso armatnie albo na szubienicy jako zdrajcy. Być może nasze upokorzenie będzie słusznym wyborem.

– Z drugiej strony jednak lord Salisbury, widząc, jak łatwo udało mu się nas przestraszyć, nie będzie miał cienia litości dla naszych ludzi – upierał się *sir* Harald, ani myśląc odstąpić od swojego stanowiska. – Pokażmy mu raczej, że będzie zmuszony poświęcić życie ostatniego ze swoich ludzi, żeby zdobyć ten zamek,

a sprawi to, że potraktuje nas z należnym szacunkiem.

– Nie porzuci pola bitwy i się nie podda, o tym możecie zapomnieć.

– Ale, być może, przestraszy się i zaoferuje nam korzystniejsze warunki w negocjacjach, a może i inni baronowie zdecydują się wreszcie wyciągnąć miecze i podążyć za naszym przykładem.

Argument trafił do wielu rycerzy, którzy wcześniej podzielali zdanie młodego Martewalla.

Ian rozumiał ich wątpliwości. Żaden z nich nie chciał dopuścić do siebie myśli o poddaniu się i jakikolwiek cień nadziei, choćby najbardziej złudnej, która pozwoliłaby odwlec w czasie gorzki moment kapitulacji, był przyjmowany z entuzjazmem.

– Ci, którzy wczoraj i dzisiaj poświęcili własne życie, nigdy by nam nie przebaczyliby, gdybyśmy się poddali, rezygnując z walki do ostatniej kropli krwi – powiedział *sir* Kerwick, a jego słowa nadały nowy wyraz decyzji *sir* Haralda o tym, by nie ustąpić za żadną cenę.

– Sprawimy, że de Longespée poniesie takie straty, że będzie musiał potraktować nas z szacunkiem! – dodał starszy rycerz, *sir* Ewen, pozostali zaś, jeden po drugim, zaczęli wykrzykiwać coraz to bardziej bojowe hasła.

Wypowiedź Haralda Martewalla sprawiła, że teraz wszyscy wzajemnie usiłowali dodać sobie odwagi. Nadzieja i zapał do walki rozbudziły się na nowo nawet w Danielu, który również chciał jak najdłużej oddalać od siebie myśl o koszarnej perspektywie, nieubłaganie roztaczającej się przed obrońcami zamku. Nie zabrał głosu, zdawał się jednak bardziej zdeterminowany i przekonany o słuszności powziętej decyzji.

Ian z kolei zerkał na Geoffreya Martewalla, który milczał ponuro, podczas gdy pomysł negocjacji z lordem Salisbury oddalał się coraz bardziej, odrzucony przez dumnych rycerzy.

Wojenne uniesienie ogarnęło prawie wszystkich. Leowynn chwyciła swój pełny kielich i zerwała się z miejsca.

– Za naszych dzielnych wojowników, którzy stracili życie, z odwagą broniąc Dunchester! – wykrzyknęła, zachęcając wszystkich do toastu.

Rycerze i biesiadnicy w sali powstali w milczeniu, gotowi, by odpowiedzieć na ten przejmujący apel. Chociaż choroba *sir* Haralda nie pozwoliła mu się podnieść, starzec wzniosł jednak swój kielich i przyłączył się do pozostałych w tej podniosłej chwili.

Również Daniel zerwał się na równe nogi; podobnie uczynił Ian, który nie chciał odstawać od reszty zgromadzonych. Mimo to, w przeciwieństwie do przyjaciela, Ian nie odpowiedział na wezwanie dziewczyny. Wstając z miejsca, zauważył, że Geoffrey Martewall siedział obok swojego ojca ze wzrokiem wbitym we własny puchar. Ścisnął go w dłoni, nie uniósł go jednak tak, jak zrobili to jego współbiesiadnicy.

„Wie, że wszyscy tutaj karmimy się złudzeniami i że Dunchester czeka pewna porażka” – pomyślał, czując taki sam niepokój, jaki z pewnością dręczył jego nieprzyjaciela. Na samą myśl o tym, co może przytrafić się jego najbliższym w nadchodzących dniach, Martewalla ogarniał obezwładniający strach.

W przypadku Iana głównym powodem przerażenia było to, co mogło przytrafić się Danielowi, kiedy już zamek Martewallów dostanie się w ręce Williama de Longespée.

Jednocześnie bał się o Isabeau w dalekiej Francji – jeśli oblężenie zakończy się porażką, a on trafi w niewolę u króla, mogą minąć miesiące, czy nawet lata, zanim na nowo będzie mu dane ujrzeć światło słońca z dala od zamkowych lochów. Nie byłoby go przy Isabeau w dniu, w którym narodzi się ich syn Marc.

W tym samym momencie Martewall podniósł oczy znad stołu i napotkał spojrzenie Iana – tak jakby paliło mu skórę. Być może dojrzał cień współczucia we wzroku młodzieńca, ponieważ błyskawicznie zerwał się na nogi i podniósł wysoko swój puchar, w nagłym rozbłysku dumy.

– Za naszą odwagę – powtórzył głośno ku ogólnej radości obecnych, przyłączając się do toastu. Był odmiennego zdania, ale nie chciał zdradzić się ze swoimi wątpliwościami, ani tym bardziej okazać swoich uczuć przed znienawidzonym „Francuzem”, który zajmował miejsce przy tym samym stole.

Z taką samą dumą wyszedłby na spotkanie ze śmiercią, gdyby okazało się to konieczne – poprowadziłby swych rycerzy bez chwili wahania i walczyłby do ostatniej kropli krwi, tak jak chciał tego jego ojciec – mimo że nie przyznawał mu racji.

Ian uszanował jego wybór i przeniósł wzrok gdzie indziej, usiłując ukryć własne obawy pod maską zdecydowania. „Za naszą odwagę. Nie mamy innego wyboru” – powtórzył w duchu, upijając łyk ze swojego kielicha.

*

Rozdział 22



Dunchester walczyło bez wytchnienia przez kolejnych siedem dni. Siedem dni pełnych strachu, krwi, przemocy i przejmującego zimna, przynoszących poważne straty obu stronom. Każdego poranka lord Salisbury wysyłał do zamku swoich rycerzy, by apelować o jego kapitulację, i za każdym razem nikt z Dunchester nie brał takiej możliwości pod uwagę, ignorując całkowicie propozycję angielskiego lorda.

Martewall był ślepo posłuszny decyzji swojego ojca, mimo że widok ofiar, które każdego wieczoru pochłaniały morskie fale, był dla niego źródłem wielkiego cierpienia.

Zapasy wydzielano coraz bardziej oszczędnie, ogień na zamku płonął zaś wyłącznie wtedy, kiedy temperatura była już nie do wytrzymania. Na szczęście dzięki studziennie wewnątrz zamkowego dziedzińca obrońcom nie brakowało wody pitnej, ta jednak czasami zamarzała w wiadrach i trzeba było ją podgrzewać, zużywając kolejne cenne kawałki drewna przeznaczonego na opał. Starano się, by wiadra z wodą znajdowały się w pobliżu pieców, w których pieczono chleb, by nie zmarnować ani odrobiny ciepła. Wszyscy mężczyźni, którzy byli w stanie utrzymać w ręku broń, wraz z częścią rannych zostali wysłani na mury, by odpierać atak nieprzyjaciela. Ian i Daniel byli wśród nich. Nikt już nie ośmielił się podać w wątpliwość dobrej woli dwóch cudzoziemców i nikomu nie przeszło nawet przez myśl, by zrezygnować z pomocy sprawnych wojowników w tak niezwykle dramatycznym momencie.

Ian i Daniel otrzymali wreszcie broń i żelazne kolczugi, które zakładali pod ocieplane tuniki. Mogli tym samym przyłączyć się do obrońców zamku i odegrać swoją rolę w wydarzeniach, których stawką było ich własne życie.

Most upadł już trzeciego dnia oblężenia, tak jak przewidział to Martewall, i stało się to w chwili, gdy katapulty wroga zostały zastąpione przez taran, który uderzył w żelazne wrota barbakanu.

Daniel obserwował, jak machina nabiera rozpędu, podjeżdżając po zboczu zamkowego wzgórza, i odruchowo przełknął ślinę. Konstrukcja tarana opierała się na drewnianych kołach i osłonięta była dachem zrobionym ze skór przykrytych warstwą wilgotnej ziemi, chroniącej przed ogniem i strzałami przeciwnika. Spod zadaszania wystawał pokryty żelazem koniec gigantycznego pała.

Przynajmniej trzydziestu ludzi musiało popychać maszynę w stronę barbakanu. Zabezpieczały ich chmary śmiertelnych strzał, którymi ich towarzysze celowali w każdego, kto tylko odważył się zbliżyć do blank murów i wykusy w twierdzy. Taran pozostawał poza zasięgiem obrońców, ich pociski były zupełnie bezużyteczne w obliczu osłony maszyny. Płonący olej, który na rozkaz Iana i Hektora wylewali z góry na najeźdźców, nie przynosił spodziewanego rezultatu – płomienie pełzały po skórzanym dachu i gasły, jeden za drugim.

Taran uderzył w bramy murów obronnych z przerażającym rumorem, który rozgrzmiał echem w całym barbakanie. Mimo to wrota nie ustąpiły. Były solidne, wzmocnione dodatkowo belkami, deskami, obciążnikami i łańcuchami z żelaza. Metal zajęczał, ale wytrzymał impet maszyny. Chociaż pręty krat wygięły się od siły uderzenia, to się nie połamały. Zniszczone belki i roztrzaskane deski zastąpiono błyskawicznie nowymi i podwojono ilość łańcuchów. Brama wytrzymała uderzenie.

Przez dwa długie dni taran nie ustawał w zajadłych zmaganiach z żelaznymi wrotami prowadzącymi na dziedziniec. Później obrońcy podłożyli wreszcie ogień pod śmiertelną maszynę, zużywając w tym celu ostatnie zapasy materiałów palnych. Od strony barbakanu podniosły się tryumfalne okrzyki mieszkańców twierdzy, ale zgasły wraz z metalicznym zgrzytem bramy. Konstrukcja ustępowała. Choć taran został zniszczony, pierwsza krata odgradzająca obrońców od wroga była nie do naprawienia i wypadła z zawiasów.

Najeźdźcy rzucili się przez tunel prowadzący pod barbakanem w stronę drugiej kraty oddzielającej ich od zamku, przywitał ich tam jednak grad strzał i kamieni wrzuconych przez otwory wykute specjalnie w tym celu w ścianach i suficie korytarza, zwane pospolicie mordowniami.

Wielu z nich straciło tego dnia życie w zimnych murach barbakanu, krwawa ofiara zaś szybko osłabiła impet królewskich najemników. W pośpiechu opuścili twierdzę, wycofując się w kierunku tylnych linii wojsk z zamiarem ponownego przypuszczenia ataku następnego dnia.

Minął piąty dzień oblężenia i twierdza Dunchester wciąż nie ustępowała.

Ian i Daniel byli u kresu sił. Wyczerpani tak samo jak inni obrońcy, obserwowali z wysokości murów obronnych wroga, który przegrupowywał szeregi w swoim obozowisku.

Pomimo zacieklej walk nie odnieśli właściwie żadnych obrażeń – ramię Iana znaczyło jedynie zadrapanie od bełtu z kuszy, Daniel zaś zebrał pod tuniką okazałą kolekcję siniaków.

– I pomyśleć tylko... – westchnął chłopak, usiłując rozmasować obolałe mięśnie. – Żeby chociaż *Hyperversum* było dozwolone tylko dla graczy powyżej czternastego roku życia!

Ian nie odpowiedział, patrząc w milczeniu na namioty w obozowisku

nieprzyjaciela. Ich kontury rozmywały się w gasnącym świetle zmierzchu.

Następnego dnia wróg ponownie pojawił się u stóp twierdzy, siła jego ataku zdawała się już jednak mniejsza niż dotychczas.

Lord Salisbury w dalszym ciągu zwlekał z wysłaniem swoich oddziałów na linię frontu i żołnierze w biało-niebieskich barwach wciąż nie zbliżały się do murów obronnych. Zdziętkowani najemnicy stracili tymczasem całkowicie zapał do walki i atakowali z dużo mniejszym przekonaniem. Nie było łatwo utrzymać ich w ryzach i przekonać do sumiennego wypełniania swoich obowiązków – zauważyli to również obrońcy. Drużyny, które wyruszały, by walczyć w pierwszych szeregach, były coraz mniej liczne, wobec czego Salisbury musiał wysłać swoje oddziały, by utrzymać efektywność najazdu. Ferwor walki przygasł jednak szybko i oblężenie skończyło się przedwcześnie – gdy tylko przyrodni brat króla się zorientował, że barbakan wytrzyma jeszcze co najmniej jeden dzień.

– De Longespée się waha! Zaczyna się nas bać! – Twierdza Dunchester huczała od nowin przekazywanych z ust do ust z coraz większym entuzjazmem. Wszyscy mieszkańcy potrzebowali słów otuchy i chwyтали się jakiegokolwiek nadziei.

Wszyscy oprócz Geoffreya Martewalla, który ani razu nie skomentował gorączkowych pogłosek, skupiając się na liczeniu strat. Jego twarz przybierała coraz bardziej ponury wyraz.

W wielkiej sali z każdym nadchodzącym dniem zwalniało się coraz więcej krzeseł. Przy stole, przy którym zasiadali rycerze, pięć miejsc świeciło pustkami.

– A ty, co o tym myślisz? – Daniel zwrócił się do Iana z pytaniem. Zadał je półgłosem, tak aby pozostali rycerze siedzący przy tym samym stole nie mogli go usłyszeć. – Na serio uważasz, że de Longespée mógłby mieć wątpliwości co do sensu kontynuowania oblężenia?

– Nie – Ian potrząsnął głową. – Nie wiem, dlaczego lord Salisbury ociąga się z zadaniem nam ostatecznego ciosu, ale w pełni zgadzam się z Martewallem: Dunchester już długo nie wytrzyma.

– Martewall ostatnio niczego takiego nie mówił – zawahał się Daniel, wciąż nie chcąc pogodzić się z tą ewentualnością. – Walczył jak lew, bez chwili wytchnienia.

– Robi tak, bo taki jest jego obowiązek, narzucił mu go jego ojciec. Możesz mi jednak wierzyć: spośród wszystkich tu zgromadzonych to on myśli najbardziej trzeźwo i doskonale wie, co spotka za chwilę zamek, jego ojciec zaś świadomie odrzuca prawdę. Jeśli nie zdarzy się cud albo nie nadejdą posiłki, Dunchester przegra tę bitwę.

Daniel wbił z powrotem wzrok w talerz i zabrał się w milczeniu do przeżuwania skromnego posiłku.

– Słuchaj – ciągnął Ian poważnym tonem – kiedy sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót niż teraz, spróbuj wmieszać się pomiędzy ludność cywilną i rannych. Poproś

o pomoc Thomasa Bulla, on będzie cię krył, o ile zajdzie taka potrzeba. Być może uda ci się jakoś czmychnąć podczas ewakuacji zamku, już po jego zdobyciu.

– A ty? Co masz zamiar zrobić?

– Ja nie mogę przemknąć niezauważony – po prostu jestem za wysoki. Każdy, kto widział mnie z mieczem w dłoni, rozpozna mnie bez trudu nawet w tłumie. Zostanę razem z innymi rycerzami i zobaczymy, co przyniesie przyszłość. Cokolwiek miałyby się wydarzyć, wiem, że za kilka lat zdołam wrócić do Francji.

– Tylko w jakim stanie?! – zapytał Daniel, czując, jak ściska mu się serce.

Ian wytrzymał jego spojrzenie, chociaż sprawiało mu prawie fizyczny ból.

– Nie wiem – przyznał.

Daniel wytrwał w ciszy jeszcze kilka minut.

– Jesteś świadomy tego, że zostanę tutaj z tobą, cokolwiek byś zrobił czy powiedział, żeby mnie zniechęcić, prawda?

Ian przytaknął i opuścił wzrok.

– Tak, ale mimo to musiałem spróbować cię przekonać, żebyś ratował własną skórę.

Przez resztę kolacji nie odezwali się do siebie ani słowem.

Świt siódmego dnia oblężenia przyniósł jeszcze więcej niepokoju.

Kiedy wschodzące słońce rozświetliło krajobraz wokół zamku, obrońcy dostrzegli, że do oddziałów Williama de Longespée dołączyli inni żołnierze w biało-niebieskich szatach – ci sami, których Ian widział na skale w porcie w Glenhaven.

Za broń chwycił *sir* Nigel Murrow, baron, którego lenna graniczyły z ziemiami Martewallów. Nie spieszył jednak z pomocą swojemu sąsiadowi.

Wprost przeciwnie – jego oddziały ustawiły się w pierwszym szeregu tuż pod murami Dunchester i William de Longespée wydał im rozkaz ataku, sam zaś ograniczył się do osłaniania tyłów grotami strzał swych wyborowych łuczników. Znalazł godne zastępstwo dla królewskich najemników, których grono było poważnie uszczuplone. Oddziały *sir* Murrowa tymczasem walczyły dzielnie, jakby chciały popisać się przed lordem Salisbury.

Zdrada Murrowa była okrutnym ciosem dla obrońców Dunchester, którzy poczuli, że grunt usuwa im się spod nóg.

– Odrażający sprzedawczyk! Ma nadzieję, że zdoła powiększyć swoje lenno, podbijając nasze ziemie! – wykrzyknął z rozpaczliwą wściekłością *sir* Harald Martewall. – Niechaj na wieki będzie przeklęty on i jego ród za ten tchórzliwy cios w plecy!

– Zaczekał cierpliwie, żeby zobaczyć, czy lord Salisbury zdoła rzucić nas na

kolana, i wkroczył do akcji w chwili, gdy brudna robota została już wykonana – skomentował posepnie Geoffrey Martewall, nakładając na głowę hełm, by przyłączyć się do swoich żołnierzy na murach. – Teraz wszyscy jesteśmy skazani na śmierć.

Ian i Daniel wymienili spojrzenia pełne bezsilności, po czym udali się na swoje pozycje wśród broniących twierdzy.

Zamek wytrzymał jeszcze dwa kolejne dni, wspomagany nadludzkim wysiłkiem obrońców i siłą ich rozpacz. *Sir* Murrow zapłacił wysoką cenę za udział swoich wojsk w zdobywaniu Dunchester i może nawet pożałował gorzko złożenia oferty pomocy lordowi Salisbury. Dziesiątki jego ludzi umarło bowiem w męczarniach pod murami twierdzy, drugie tyle zaś zostało poważnie rannych i musiało opuścić pole bitwy.

W końcu jednak ostatnia krata ustąpiła pod naporem sił nieprzyjaciela. Nadszedł kres oporu barbakanu.

Oddziały sprzymierzeńców króla rozlały się po dziedzińcu. Nikt nie był już w stanie ich powstrzymać.

Daniel spoglądał ze ścieżki wartowniczej na uzbrojone grupy wojów, którzy wdarli się na dziedziniec, taranując każdego, kto znalazł się na ich drodze. Chłopak otworzył usta, lecz słowa modlitwy, którą usiłował wyszeptać, nigdy nie popłynęły.

– Uciekaj stąd! Natychmiast! To miejsce to pułapka! – wrzasnął do niego Ian i odwrócił się, wołając do wszystkich, którzy byli w zasięgu jego głosu. – Uciekajcie! Kierujcie się w stronę zamku!

Stojący w pobliżu Thomas Bull przekazał jego polecenie reszcie obrońców. Rozkaz powtarzali również pozostali wojskowi, świadomi, że dalszy opór na zdobytych już murach nie ma żadnego sensu. W mieszaninie krzyków i bitewnego zgiewu rozległ się dźwięk rogów dobiegający z zamku, rozpaczliwie nawołujący do odwrotu.

Obrońcy w pośpiechu opuścili swoje pozycje i popędzili w stronę trzeciego pierścienia murów okalającego już samą twierdzę, by do ostatniej kropli krwi bronić zamku przed najeżdżcą. Ciągnęli ze sobą rannych i zatrzymywali się co chwila, by ratować tych towarzyszy broni, którzy znaleźli się w tarapatkach.

Z nieba sypał się deszcz strzał, bezlitośnie pochłaniając dziesiątki ofiar.

Jeden z grotów wbił się w ziemię kilka kroków od Daniela, kolejny minął Iana o parę cali, kiedy młodzieniec zajęty był pojedynkiem z żołnierzem noszącym niebieskie barwy. Daniel, pędząc w stronę niedalekiej już bramy, potknął się o ciało, które niespodziewanie potoczyło mu się pod nogi.

Bull, biegnący tuż obok niego, wydał z siebie nagły krzyk bólu i upadł. Jedna ze strzał trafiła go w bark.

– Thomas! – wykrzyknął Ian z przerażeniem, lecz to Daniel zdołał dobiec do drwała jako pierwszy. Usiłował podnieść go z ziemi.

– Wszystko w porządku... – wymamrotał mężczyzna, wykrzywiając twarz

w grymasie bólu, i zacisnął zęby, żeby dźwignąć się na nogi. Zataczał się jednak i z całą pewnością nie udałoby mu się dostać do zamku bez pomocy.

– Zabierz go do środka! – krzyknął Ian do Daniela, sam zajęty walką z kolejnym nieprzyjacielem.

– A ty?! Co z tobą?! – wrzasnął Daniel ze strachem.

– Będę was osłaniał i zaraz do was dołączę! A teraz się pospiesz! – Ian nie zdołał dodać nic więcej: wróg atakował zajadłe i młodzieniec musiał wykrzesać z siebie resztki energii, by bronić siebie i swoich przyjaciół.

Daniel zawahał się przez moment, po czym rzucił biegiem w stronę zamkowej bramy, podtrzymując Bulla.

Ian został na polu walki wraz z resztą żołnierzy. Zobaczył Martewalla, który podobnie jak inni usiłował maksymalnie spowolnić atak nieprzyjaciela i tym samym umożliwić jak największej liczbie ludzi ucieczkę do zamku.

Wielu z nich straciło życie podczas tych potwornych zmagania. Ci, którzy zdołali się ocalić, zamknęli się wewnątrz ostatniego pierścienia murów, tam gdzie ze względów ostrożności już wcześniej przetransportowano rannych, kobiety, starców i dzieci. Teraz wszyscy tłoczyli się na wewnętrznym dziedzińcu, nie mając dość miejsca w samej twierdzy, by skryć się przed mroźnym powietrzem.

Rannych rozlokowano na każdym nadającym się do tego skrawku przestrzeni, nie wystarczyło jednak wody ani wina, by pomóc wszystkim poszkodowanym. Brakowało drewna, by rozpaść ogniska, przy których przerażeni ludzie mogliby się ogrzać.

Rycerze i żołnierze Dunchester zajadłe walczyli o każdy centymetr ziemi i wróg musiał poświęcić wielu spośród swych ludzi, by pokonać drogę do zamku. W końcu, kiedy napór nieprzyjaciela był już nie do wytrzymania, a wszyscy, którzy byli w stanie dotrzeć do twierdzy o własnych siłach, znaleźli schronienie w jej murach.

Tylko Geoffrey Martewall pozostał na zewnątrz, zaślepiiony bitewnym szaleństwem. Przez kilka minut ignorował zupełnie krzyki ludzi nawołujących go do odwrotu. Ian chwycił go za tunikę i widząc, że rycerz jest głuchy na wszelkie prośby, zaciągnął go siłą na wewnętrzny dziedzińiec za podwójną parę metalowych krat.

Zaraz za nimi żelazne wrota zatrzaśnięto z ogłuszającym łoskotem, ostatecznie odcinając drogę nieprzyjacielowi. Z dziedzińca dobiegały do obrońców próżne groźby i przekleństwa. Wrota zostały zabezpieczone dodatkowymi drewnianymi belkami osłony przed strzałami, które mogłyby prześlizgnąć się pomiędzy otworami w tunelu.

Gdy tylko obaj przekroczyli próg dziedzińca, Martewall wyrwał się gwałtownie z rąk Iana.

– Zostaw mnie! – wrzasnął i odruchowo wymierzył swój zakrwawiony miecz w Amerykanina. Ian nie cofnął się nawet krok. Stał nieruchomo, nie reagował.

– Dalej! Teraz nadszedł odpowiedni moment! – Martewall usiłował go

sprovokować. Jego zamiary były jasne. – To doskonała chwila na wyrównanie rachunków, Srebrny Sokole! Zaraz wszyscy zginiemy, lepszej okazji nie będzie!

Ian ignorował zaczepki. Martewall nie kontrolował swoich emocji, Amerykanin zaś nie miał najmniejszej ochoty marnować resztek sił na bijatykę, która w obliczu tarapatów, w jakich znalazł się zamek, była kwestią zupełnie drugorzędną.

Wśród zamętu panującego na dziedzińcu pojawił się Hektor.

– Panie! – zawołał i podbiegł do Martewalla. – Co teraz? Ludzie czekają na rozkazy!

Młody baron nie udzielił mu odpowiedzi od razu. Oddychał szybko i płytko, a w jego oczach płonął gniew, który szybko ustąpił miejsca gorzkiej świadomości, że nie mają wielu możliwości. Z nadludzkim wysiłkiem rycerz opanował miotające nim uczucia, zebrał się w sobie i opuścił wyciągnięty miecz.

– Zawiadomcie nieprzyjaciela, że to koniec. Poddajemy się – powiedział cichym, lecz wyraźnym głosem.

Hektor znieruchomiał.

– Panie mój...! – usiłował się sprzeciwić, jednak lodowate spojrzenie Martewalla sprawiło, że natychmiast ucichł.

– To koniec, Hektor. Nie mamy innego wyboru, jak tylko złożyć broń i oszczędzić przynajmniej życie tych, którzy zdołali przetrwać. Inaczej wszyscy zginą. Przekaż dalej mój rozkaz. Wywieście białą flagę, skończyły nam się wszelkie argumenty i nie możemy próbować pertraktacji. Mogliśmy zrobić to wcześniej.

– Ale my... Możemy jeszcze wytrzymać! – usiłował przekonać go kapitan.

– N i e! – ryknął Martewall, doprowadzony do ostateczności. – To bezcelowe, czy jesteście wreszcie w stanie to zrozumieć? Jeśli nadal będziemy się opierać, nieprzyjaciel prędzej czy później dostanie się do środka! I wtedy nie będzie już szansy na ocalenie kobiet ani dzieci, a dobrze wiesz, do czego zdolni są najemnicy! Musimy poddać się już teraz. Wydaję rozkaz wstrzymania walk, pozwalamy wejść lordowi Salisbury do środka bez dalszego rozlewu krwi – tylko w ten sposób możemy ochronić naszych ludzi. Nas spotka los, na który zasługują zdrajcy korony.

Ręka, w której Hektor wciąż dzierżył swój miecz, opadła bezwładnie. Był bezsilny, pokonany. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo w ciszy pełnej rozpacz. Musiał jednak ugiąć się pod decyzją Martewalla. On również wiedział, że jeśli chcą uniknąć masakry wśród niewinnych mieszkańców zamku, nie mają innego wyboru. Z resztką sił i zapasów, która jeszcze im pozostała, mogli odwlec to, co było nieuniknione, o dzień, może nawet o dwa, później jednak nieprzyjaciel zdławiłby i te ostatki oporu i z podwójnym okrucieństwem rozprawił się z każdym, kto stanąłby mu na drodze.

– Przekażę rozkazy naszym ludziom – wykrztusił w końcu flamandzki rycerz i było widać, że każde słowo sprawia mu ogromny ból.

Martewall skinął głową w milczeniu i nie zaszczyił Hektora nawet jednym

spojrzeniem. Patrzył na Iana.

– No proszę, i nawet my nie zdołaliśmy doprowadzić naszego sporu do końca – powiedział, krzywiąc się w grymasie goryczy. – Nigdy bym się nie spodziewał, że tak to się może zakończyć. Nie mam pojęcia, jaki spotka cię los, i prawdopodobnie nie dożyję dnia, w którym dane mi będzie się o tym dowiedzieć. Wierzę jednak, że przynajmniej ty zadowolisz się widokiem mojego końca.

– Jak możesz myśleć, że widok śmierci, choćby była to śmierć mojego nieprzyjaciela, mógłby być dla mnie satysfakcjonujący? – odparł Ian, oburzony.

Martewall nie odpowiedział. W jego spojrzeniu niechęć mieszała się z żalem.

– Tak czy siak, czuj się zaproszony. Będziesz świadkiem ruiny mojego domostwa i kresu mojego rodu, tylko tyle mogę dla ciebie w tym momencie zrobić.

Odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku zamku, nie oglądając się za siebie. Ręką trzymał się za obolałe i ranne ramię.

Ian poszedł w ślad za nim.

Po drodze dogonił go Daniel. Na jego twarzy rysowała się bezkresna ulga.

– Żyjesz! Nie widziałem cię przez chwilę i bardzo się bałem, że zostałeś na zewnątrz – powiedział jego przyjaciel.

– Co z Thomasem? – zapytał Ian w odpowiedzi.

– Nic mu nie grozi. Jego towarzysze wyciągnęli z niego grot i opatrzyli ranę. Da sobie radę.

– Chociaż tyle.

– Co się dzieje? – zapytał Daniel z niepokojem, wskazując na sylwetkę oddalającego się Martewalla.

– To chwila, w której powinienesz wmieszać się w tłum cywili i nie wyściubiać stamtąd nosa – odpowiedział Ian.

Chłopak podniósł wzrok w kierunku murów i zobaczył dziwne poruszenie wśród żołnierzy – tłum zawrzał, po czym zamarł w nienaturalnym odrętwieniu. Jeden po drugim, mężczyźni opuszczali broń, wstrząśnięci i oniemiałi.

Do Daniela zaczynała docierać prawda. Koniec. Odetchnął głęboko, po czym odwrócił się do Iana. Jego oczy przybrały stanowczy wyraz.

– Zgoda, zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby mnie przekonać. Nie udało ci się, musisz się z tym pogodzić. Nie opuszczę cię. Dokąd teraz?

– Chodź za mną – powiedział Ian ponuro.

Rycerze, którzy pozostali przy życiu, zabarykadowali się w części zamku przeznaczonej na prywatne komnaty Martewallów ze stanowczym postanowieniem, że za wszelką cenę, do ostatniej kropli krwi, będą bronić *sir* Haralda i Leowynn przed

siłami nieprzyjaciela. Zostało ich czterech, jeden był lekko ranny. Ostatnim bastionem ich oporu była zaś wielka sala, w której zazwyczaj odbywały się audiencje i w której *sir* Harald zajmował się zarządzaniem zamkiem. W pomieszczeniu na pierwszym piętrze twierdzy było wystarczająco dużo miejsca i łatwo było się z niego dostać do komnat sypialnych rodziny. Dostępu do niej strzegły potężne wrota, które w razie potrzeby można było zamknąć od środka. Wysokie i wąskie, pozbawione szyb i osłonięte solidnymi okiennicami okna sprawiały, że komnaty z łatwością można było bronić od wewnątrz. Na jej skromne wyposażenie składały się: kamienny kominek, mównica, stół i kilka stołków.

Pojawienie się Geoffreya Martewalla, za którym w pewnej odległości szli Ian i Daniel, wywołało nieprzyjemne reakcje.

– My nie poddamy się tak łatwo – były to pierwsze słowa, z jakimi *sir* Kerwick zwrócił się do młodego barona. Pozostali trzej rycerze znajdujący się w sali, w tym *sir* Ewen, zgodzili się z Kerwickiem.

– Zrobicie to, co wam rozkażę, ponieważ jesteście moimi wasalami i należy mi się posłuszeństwo – odparł Martewall kategorycznym tonem.

– Z całym szacunkiem, panie, ale wciąż nie jesteście władcą zamku. Nasze posłuszeństwo w pierwszej kolejności należy się waszemu ojcu – sprzeciwił się *sir* Ewen.

– A więc możecie tutaj sami poświęcać swoje życie. Zamek już się poddał, na mój rozkaz. Żołnierze wywiesili białą flagę.

– Coś podobnego! Mój syn dopuścił się takiego czynu! – wykrzyknął *sir* Harald z mieszaniną wzburzenia i rozpacz. – Jak mogłeś?!

– Taka była moja wola i mój obowiązek wobec niewinnych istot! Ilu jeszcze ludzi miało zginąć przez wasz niedorzeczny upór?! – uciszył go rozwścieczony Martewall. – Dunchester zapłaciło za waszą rebelię dziesiątkami ofiar! Nie pozwolę na to, by poświęcić jeszcze życie kobiet i dzieci! Nie chcę, żeby zginęła moja siostra! Na nas już ciąży wyrok śmierci, ale Leowynn nie musi podzielić naszego smutnego losu. Poddacie się wraz ze mną i ze wszystkimi innymi i nie dopuścimy do dalszego rozlewu krwi!

Sir Harald nie odpowiedział mu od razu. Pozostali rycerze wymieniali spojrzenia, w których zagościła niepewność.

– Nie chcę być przyczyną naszej kapitulacji! Wolę oddać życie za Dunchester! – zbuntowała się Leowynn, widząc wahanie wśród zgromadzonych.

– Lord Salisbury weźmie cię do niewoli, będziesz jego zakładniczką i nie spotka cię nic złego. To człowiek honoru, nie pozwoli na to, by spadł ci choć jeden włos z głowy – powiedział Martewall w odpowiedzi na jej protest. – Zachowasz swój honor, choć, być może, przyjdzie ci żyć daleko stąd. Jeśli jednak zmusimy nieprzyjaciela, by wtargnął tutaj przemocą, jak myślisz, co się z tobą stanie, kiedy my

wszyscy będziemy już martwi?

Leowynn wyraźnie drżała. Spoglądała na wszystkich pokolei, szukając w nich wsparcia. Jej wzrok padł nawet na Daniela i Iana, którzy w milczeniu przyglądali się wydarzeniom. Nikt nie odważył się przeciwstawić potwornym przewidywaniom jej brata.

Daniel poczuł nagły przypływ współczucia, widząc rosnącą desperację w jasnych oczach dziewczyny.

Martewall tymczasem zwrócił się ponownie do *sir* Haralda:

– Ojcie, jeśli ją kochacie, powinniście chcieć ocalić ją od tak straszego losu – nalegał. – Przynajmniej ona, ostatnia z naszego rodu, powinna wyjść cało z klęski, która nas spotkała.

Argumentacja syna zdawała się odbierać resztki sił staremu baronowi. Mężczyzna zgiął się w pół, tak jakby kolczuga zaczęła mu nagle nieznośnie ciążyć. Powoli zbliżył się do ławy stojącej pośrodku sali i na niej usiadł.

Jego rycerze zgromadzili się wokół niego, zaniepokojeni milczeniem starca.

– Panie! – wzywali go, oczekując odpowiedzi, ale *sir* Harald nie patrzył już na nikogo i mężczyźni zrozumieli, że dyskusja została zakończona, kapitulacja zaś stała się faktem.

Jeden po drugim opuszczali miecze, które dotąd dumnie dzierżyli w rękę.

– Jakie są wasze rozkazy, panie? – zapytał powoli *sir* Kerwick.

Stary baron wskazał ruchem dłoni Iana i Daniela, którzy wciąż stali z boku, nie biorąc udziału w dyskusji.

– Rozbroić *monsieur* de Ponthieu i jego towarzysza – nakazał głucho.

Ian znieruchomiał, zaskoczony.

– Panie! – sprzeciwił się.

– Dlaczego? – Daniel powtórzył za nim jak echo i był tak oszołomiony tą nagłą zmianą stanowiska barona, że nie próbował się nawet opierać, kiedy rycerze Dunchester podeszli do niego i Iana z mieczami w gotowości.

Stary baron podniósł zmęczone spojrzenie na obu młodzieńców.

– Proszę was, nie wyrażajcie sprzeciwu i pozwólcie moim rycerzom zrobić to, o co ich poprosiłem. Mój syn ma rację, mówiąc, że lord Salisbury to człowiek honoru. Daruje wam życie, jeśli oddamy was w jego ręce jako zakładników. To jedyne, co mogę zrobić, żeby w jakimkolwiek stopniu poprawić waszą sytuację.

Ian nie znalazł odpowiedzi w obliczu tak rozpaczliwej dumy. Pozwolił się rozbroić w zupełnej ciszy, podobnie jak Daniel.

Dwaj przyjaciele zostali odprowadzeni na bok przez angielskich rycerzy, podczas gdy Martewall przyglądał się scenie w milczeniu.

Sir Harald spojrział na swego syna.

– Wezwij Hektora i powiedz mu, by przyprowadził tutaj nowego pana na

Duncheater – powiedział posepnie.

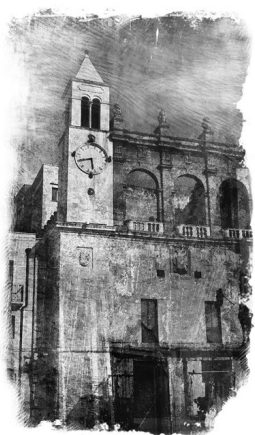
– Ojczy, co też mówicie? Co chcecie uczynić? – wykrzyknęła Leowynn, klękając przed ławą i ściskając ojca za ramię w gorączkowym błaganiu.

Starzec objął dłońmi jej rękę i uśmiechnął się gorzko.

– Przygotowuję się, by godnie przyjąć zwycięzcę tej bitwy, córeczko. Czekam na przybycie księcia Williama de Longespée, by przekazać mu zamek oraz mój miecz.

*

Rozdział 23



William de Longespée, książę Salisbury wkroczył do sali około godziny później. W ślad za nim szło pięciu rycerzy w różnokolorowych szatach. Przyprowadził ich milczący Hektor, który niósł w rękę swój hełm.

Ian wzmógł czujność i z daleka, z kąta, w którym czekał wraz z Danielem pod czujnym okiem *sir* Kerwicka, przyglądał się odzianemu w błękitno-złoty płaszcz mężczyźnie, który miał zdecydować o losach wszystkich zgromadzonych.

Lord Salisbury był rycerzem średniego wzrostu. Emanowały z niego waleczność i nieprzejednana duma. Miał długie włosy, mocno zarysowaną szczękę i ogorzałą twarz – wyraźny znak tego, że jego niewola we Francji musiała trwać krócej niż ta, która spotkała Geoffreya Martewalla. Do pasa miał przytroczony budzący postrach miecz.

Ian przypominał sobie, że widział lorda Salisbury z daleka, w dniu bitwy pod Bouvines, kiedy angielski książę wraz ze swoimi rycerzami przyszedł z pomocą cesarzowi Ottonowi IV, który został okrążony przez wojska Francji. To mistrzowskie posunięcie strategiczne umożliwiło Ottonowi ucieczkę i ocaliło go od niewoli – a może nawet śmierci.

Ian pamiętał również o szacunku, z jakim wszyscy Francuzi wyrażali się o Williamie de Longespéem i jego wyczynach na polu bitwy.

Teraz, widząc go z bliska, chłopak zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie tylko dobrze włada mieczem, lecz także równie sprawnie porusza się w meandrach średniowiecznej polityki i dyplomacji. Jego wzrok był tak samo przeszywający jak spojrzenie Guillaume'a de Ponthieu, od którego lord Salisbury był starszy o ładnych kilka lat.

„Z takimi jak on trzeba być ostrożnym” – pomyślał Ian.

Rycerzetowarzyszający księciu nie wywarli na Amerykaninie większego wrażenia, oprócz jednego, który nosił na szatach barwy Glenhaven. Chłopiec, na oko czternastoletni lub niewiele starszy, sprawiał wrażenie wyniosłego, choć z jego ruchów dało się wyczytać pewien brak pewności siebie. Szedł wraz z pozostałymi rycerzami, lecz, mimo że miał na sobie szlacheckie barwy, zdawał się czuć nie na miejscu w towarzystwie takich weteranów jak lord Salisbury. Jego niepokój widać było wyraźnie, kiedy zewsząd dosięgały go nieprzyjazne i wyzywające spojrzenia

pokonanych.

„*Sir Nigel Murrow*” – domyślił się Ian, mimo że ujrzał go pierwszy raz w życiu. Wciąż jednak pamiętał, jak nazwała go ludność Aversly: „chłopaczyna”.

„Niebezpieczny chłopaczek, jeśli myśli, że wolno bawić mu się w wojnę razem z dorosłymi” – przemknęło Ianowi przez myśl i usiłował wyobrazić sobie moment, w którym młodziutki Murrow zdecydował się zaatakować Dunchester u boku wojsk księcia Salibury. Być może chłopak podjął decyzję sam z siebie, lecz o wiele bardziej prawdopodobne, że została ona zasugerowana nieletniemu władcy przez jakiegoś ambitnego doradcę. Z pewnością zapłacili za nią w głównej mierze żołnierze Murrowa, wysłani na pierwszą linię ataku wraz z najemnikami, podczas gdy lord Salisbury oszczędzał swoich ludzi, przytrzymując ich na tyłach.

„Kto wie, jak zachowałyby się de Longespée, gdyby Murrow nie przyszedł mu z pomocą, oferując mięso armatnie w miejsce przetrzebionych najemników?” – zastanawiał się ponuro Ian. – „Nie wydawało się, żeby miał przesadną chęć do walki, ale nie mógł przecież grać na zwłokę, stojąc pod samymi murami zamku”.

Tymczasem rycerze Dunchester przyjmowali zwycięzców w pełnej napięcia ciszy.

Kiedy tylko lord Salisbury zatrzymał się przed pokonanymi, Geoffrey Martewall jako pierwszy pochylił się przed nim w pełnym szacunku ukłonie.

– Milordzie – powitał go uroczyście, ale w jego głosie dało się słyszeć mieszankę sprzecznych emocji.

William de Longespée podszedł do niego, nie od razu odpowiadając na pozdrowienie. Jego wzrok powędrował w stronę siedzącego na ławie Haralda Martewalla.

Leowynn stała tuż za ojcem, zaciskając obie ręce na oparciu siedziska, na którym spoczywał stary baron. Dziewczyna była blada i milczała.

– Wybaczcie, że nie podniosę się, by złożyć wam hołd, milordzie – powiedział starzec. – Niestety, choroba osłabiła mnie o wiele bardziej, niżbym sobie tego życzył.

– Nie przeszkodziła wam jednak wsiąść na grzbiet wojennego rumaka i powieść ludzi do boju w akcie buntu – odparł książę z goryczą, wskazując na kolczugę, którą Martewall wciąż miał na sobie. – Uwierzcie mi, bardzo bym chciał, aby choroba osłabiła was do tego stopnia, byście nie mogli tego uczynić. – Odwrócił się w stronę Geoffreya Martewalla i oparł dłoń na rękojeści swego potężnego miecza. – Jeśli zaś chodzi o was, zdumiewające jest dla mnie, żeście mogli poprzeć pomysł godny szaleńca – zwrócił się do rycerza. – Nie spodziewałbym się po was nigdy tak niegodnego czynu, jak brak wdzięczności wobec własnego króla.

Martewall nie zareagował na oskarżenie.

– Nie mam słów wobec ogromu mych win, panie – powiedział z prostotą, wyraźnie jednak zbladł na twarzy.

– W istocie, trudno jest takie słowa znaleźć! – wykrzyknął lord Salisbury. – Tego,

co uczyniliście, nie da się w żaden sposób usprawiedliwić. Zdradziliście króla, jego zaufanie, złamaliście przysięgę wierności angielskiej koronie. Wiecie, co was za to czeka?

Leowynn zacisnęła do białości palce na oparciu drewnianej ławy, słysząc odpowiedź swojego brata:

– Wiem.

– A więc nie mam wam nic więcej do powiedzenia – uciął lord Salisbury, lecz mówiąc to, przeniósł wzrok na rycerzy rozproszonych po całej sali, a w szczególności na Daniela i Iana, których strzegł *sir* Kerwick.

Ian poczuł na sobie uważne spojrzenie i przenikliwy wzrok rycerza kazał mu mieć się na baczności. Lord Salisbury patrzył teraz wyłącznie na niego. W jednej sekundzie zmierzył go od stóp do głów, po jego twarzy zaś przemknął cień, którego znaczenia młodzieniec nie był w stanie odczytać.

– Oczekuję, że zamek zostanie przekazany w moje ręce bez żadnych dodatkowych warunków, *sir* Martewall – ciągnął angielski książę, ponownie zwracając się do starego barona.

Sir Harald przytaknął z wyrazem rezygnacji na twarzy i wyciągnął w jego stronę miecz, który już zdążył odpiąć od pasa.

– Dunchester należy do was, milordzie.

Leowynn wciągnęła głośno powietrze do płuc i załkała.

Salisbury chwycił za miecz.

Młodziutki rycerz zbliżył się do niego, żeby go od niego przejąć, William de Longespée zignorował jednak jego gest i wręczył broń jednemu z mężczyzn z własnego orszaku.

– Czyż nie jest nieco zbyt wcześnie, aby ostrzyć sobie zęby na Dunchester, *sir* Murrow? Jeszcze trzy miesiące temu byliście tutaj na uczcie z okazji urodzin panny Leowynn jako gość i przyjaciel domu – zwrócił się *sir* Kerwick do chłopca. W jego głosie brzmiała nagana.

Chłopak wyraźnie się zaczerwienił, ale usiłował zachować godność.

– Wy również musicie oddać wasze miecze – jesteście po stronie pokonanych – odparł ze złością, zwracając się do wszystkich rycerzy Dunchester.

– Wystarczy tego, proszę. Bitwa już się skończyła – przerwał *sir* Harald, próbując uspokoić swoich ludzi.

Wśród rycerzy przebiegł pomruk niezadowolenia, pozostali jednak, milczący, na swoich miejscach.

– Panie, wraz z zamkiem powierzam wam dwóch zakładników – ciągnął stary baron, ponownie zwracając się do lorda Salisbury, i wskazał ręką na Daniela i Iana.

De Longespée jednak przerwał mu gestem w pół słowa jednym.

– O nich porozmawiamy za chwilę – powiedział krótko.

Zaskoczony baron zamilkł, oczekując dalszych decyzji księcia.

– Czy gwarantujecie mi, że wasi ludzie nie będą próbowali podstępnie nas zaatakować? – zapytał go lord Salisbury.

– Są gotowi przyjąć waszą sprawiedliwość.

– Zobaczmy – angielski książę przez kilka chwil mierzył wzrokiem rycerzy Dunchester, po czym zwrócił się do Murrowa, który wciąż stał u jego boku: – Zabierzcie tych mężczyzn i każcie zaprowadzić ich do cel.

– Tak, milordzie – pospiesznie odpowiedział młodzieńcy baron i władczym gestem nakazał dwóm innym rycerzom wykonać rozkaz.

– Niech nie stanie im się żadna krzywda ani nie spotka żadna ujma aż do momentu, w którym to ja zadecyduję, jak ich osądzić – upomniał lord Salisbury znaczącym tonem i Ian zauważył, że jego wypowiedź skierowana była raczej do starszych rycerzy u boku Murrowa, którzy zgodnie odpowiedzieli mu wymownym spojrzeniem.

Amerykanin w lot zrozumiał całą sytuację: William de Longespée wykorzystywał chłopaczka, zajmując go pozornie istotnymi kwestiami, podczas gdy w rzeczywistości to on i jego ludzie podejmowali wszelkie decyzje.

„Biedny naiwniaku, stara wyga pokroju lorda Salisbury’ego to nie towarzystwo dla ciebie” – pomyślał Ian, obserwując zapał, z jakim nastoletni feudal wykonywał swoje obowiązki.

Geoffrey Martewall zrobił krok do przodu, zbliżając się do księcia Salisbury.

– Błagam was o jedno, milordzie. Miejcie łaskę dla niewinnych.

– Nie zostanie im wyrządzona żadna krzywda – zapewnił go de Longespée. – Wszyscy niewinni otrzymają możliwość opuszczenia zamku, gdy tylko ocenię ich oddanie naszemu królowi.

Zamilkł znacząco na chwilę, po czym dodał:

– Uczynię również wszystko, aby wasza siostra nie musiała znosić cierpień większych niż to konieczne.

– Będę wam za to wdzięczny – odpowiedział Martewall.

Również Leowynn, w obliczu takich słów, poczuła się w obowiązku pochylenia głowy przed księciem.

– Dziękuję, mój panie – wykrztusiła, choć jej głos wyraźnie drżał.

Murrow mógł też już odprowadzić do cel rycerzy-więźniów. Zrobił to osobiście.

– Idźcie za mną – powiedział butnie, kierując się w stronę drzwi.

– Wy nie – zwrócił się lord Salisbury do Hektora. – Życzę sobie, abyście pozostali tutaj wraz z zakładnikami, dopóki nie wyjaśnię pewnych kwestii z *sir* Martewallem. Jak tylko skończę, pożegnani się z wami.

Ian i Daniel wymienili pełne napięcia spojrzenia, po czym zatrzymali się w pół kroku i dalej stali nieruchomo w swoim kącie, nie występując przed *sir* Kerwicka. Dołączył do nich i Hektor, nie mniej zdezorientowany od Amerykanów.

Zaskoczony Murrow miał wyprowadzić z sali tylko czterech żołnierzy, w eskorcie dwóch ludzi lorda Salisbury. Angielski książę w istocie nakazał pozostałym dwóm zostać w sali. Ci ostatni podeszli do drzwi i zasunęli dokładnie zamek, kiedy tylko Murrow i cała reszta się oddalili. We dwóch stali teraz przy wrotach niczym strażnicy.

Ian zauważył, że obaj na płaszczach turniejowych mieli herby, które nawiązywały do sztandaru Williama de Longespée, i doszedł do wniosku, że muszą być jego najwierniejszymi ludźmi. Wzmógł czujność, zrozumiał bowiem, że angielski rycerz chce mieć dookoła siebie wyłącznie wasali godnych zaufania.

„Podejrzewa coś” – pomyślał Ian, z narastającym niepokojem przypominając sobie spojrzenie, którym zmierzył go mężczyzna.

W komnacie zapadła cisza. Lord Salisbury w zamyśleniu zrobił kilka nerwowych kroków. Kiedy przystanął, znajdował się dokładnie przed starym Martewallem.

– *Sir Haraldzie*, musieliście być szaleńcem, myśląc, że zdołacie coś uzyskać tą waszą bezwstydną arogancją.

– *Milordzie*, moje postępowanie miało na celu tylko i wyłącznie obronę mych ludzi przed nękaniami i prześladowaniami, które musieli znosić już od jakiegoś czasu – odparł baron, a w jego głosie nie słychać było strachu. – Przyznaję, iż popełniłem błąd, lecz tylko dlatego że nie zdołałem zebrać większych sił i że zbyt wielkie było me zaufanie do innych baronów. Nie żałuję, iż sprzeciwiłem się władcy-tyranowi, i zrobiłbym to raz jeszcze mimo konsekwencji, które teraz mnie spotkają. Mam tylko nadzieję, że pozostali arystokraci pójdą za moim przykładem i będą się domagać swych praw – zasobni w większe siły niż te, którymi ja dysponowałem.

„Dobra odpowiedź” – pomyślał Daniel. – „Trzeba niemałej odwagi, żeby rozmawiać w ten sposób z pozycji przegranej”.

Spojrzał na Iana, żeby zobaczyć, co on o tym myśli, i zauważył, że jego przyjaciel koncentruje całą swoją uwagę na lordzie Salisbury. Pożerał wzrokiem każdy jego ruch.

– I wy naprawdę myślicie, żeście walczyli w słusznej sprawie! – wykrzyknął de Longespée z pogardą. – Myślicie, że gdyby Dunchester zostało zrównane z ziemią i strawione przez ogień, to inni baronowie podnieśliby miecze, aby się zbuntować? Któż chciałby ryzykować podobny koniec dla swojego lenna? Wasz sąsiad zdążył już skorzystać z okazji, żeby pożywić się waszą porażką i zatańczyć na waszym grobie.

– Nigela Murrowa nie było z nami w Bury Saint Edmunds, kiedy baronowie zebrali się, by dyskutować nad królewską polityką.

– Ale był tam Robert Fitz-Walter, tak samo jak Reginald Cornhill z Rochester. Dotarły do nich wasze prośby o pomoc. Obaj, zamiast przyjść wam z pomocą i walczyć w słusznej sprawie, przybyli do mnie pytać o radę.

Stanowczy ton lorda Salisbury sprawił, że stary baron zamilkł, nie znajdując

odpowiedzi na tak twarde słowa.

– Tchórze – powiedział jedynie półgłosem, załamany.

Ian poczuł, jak drgnęło mu serce. „Rochester”.

Nazwa wypowiedziana przez lorda Salisbury była jak mały kamyczek, który zapoczątkował lawinę wspomnień i informacji zdobytych na studiach. Chłopak w końcu odnalazł w umyśle to, czego szukał i co od jakiegoś czasu prześladowało go w związku z ich obecną sytuacją.

To Rochester, a nie Dunchester wymieniano w książkach do historii: podobne nazwy zamków, które spotkał podobny los podczas wojny domowej pomiędzy angielskimi baronami. To twierdza Rochester została – czy też miała zostać w najbliższej przyszłości – jednym z najważniejszych bastionów, w których zbuntowani lennicy króla mieli opierać się oddziałom króla Jana. Tak jak stało się to w przypadku Dunchester, zamek Rochester miał upaść po okrutnym oblężeniu – dopiero jednak w 1216 roku, w najbardziej krwawej fazie konfliktu.

A *sir* Robert Fitz-Walter...

„Już niedługo stanie na czele zbrojnej rebelii...” – myślał Ian z niedowierzaniem. – „Jak to możliwe, że przyszyły dowódca rewolty i jego sojusznik z Rochester w pierwszym odruchu przybiegli pertraktować z lordem Salisbury, zamiast nadejść z pomocą Martewallowi, stojącemu twardo po ich stronie?”

Zwrócili się do niego z „prośbą o radę”, tak jak powiedział przed chwilą sam książę. Czego miała dotyczyć owa rada?

Iana tknęło nieprawdopodobne podejrzenie i odruchowo położył rękę na ramieniu Daniela.

„Czy to możliwe?” – zadawał sobie pytanie, czując, jak serce zaczyna mu szybciej bić. – „Czyżby i on w sekrecie podzielał ich stanowisko?”

Zaskoczony Daniel zerknął na przyjaciela, nie był jednak w stanie zrozumieć jego gestu ani odczytać myśli, które kładły się cieniem na jego twarzy.

Ian w dalszym ciągu nie spuszczał oczu z lorda Salisbury, czekając na każde jego słowo. Nie, nie może być. Według podręczników do historii William de Longespée miał pozostać wierny królowi Janowi przez cały czas trwania wojny, aż do samego końca” – gorączkowe myśli przebiegały mu przez głowę. Mimo to w dalszym ciągu miał wątpliwości. „Chyba że...”

Przypomniał sobie wahanie, z jakim lord Salisbury prowadził oblężenie w ostatnich dniach. W kronikach zapisano, że de Longespée również i w nadchodzących miesiącach miał walczyć ze znikomym zapalem po to, by spróbować pertraktacji z królem Ludwikiem, kiedy tylko dostał się on z Francji na angielskie wybrzeże. Czy to możliwe, by dowódca takiej miary jak William de Longespée stał się nagle jednym z nieznaczących rycerzy?

Pod Bouvines angielski książę był uosobieniem wojennej furii i determinacji,

w Dunchester tymczasem zaprezentował się z zupełnie innej strony – co za tym stało?

Ian nie zadał sobie wcześniej tego pytania, tknęło go dopiero teraz. Podczas oblężenia zmianę zachowania Salisbury'ego przypisywał wojskowej taktyce księcia, który mógł chcieć uniknąć niepotrzebnych strat, walcząc z przeciwnikiem zatrzaśniętym w pułapce. Teraz jednak znalazł inne wyjaśnienie. Spotkanie Salisbury'ego z dwójką dowódców przyszłej rewolty podsunęło młodzieńcowi powód takiego działania, choć ciężko mu było w to uwierzyć.

„Chyba że jego tak zwana wierność wobec króla jest tylko pustym słowem, pozorem, który musi zachowywać ze względów politycznych” – utwierdzał się w swoich podejrzeniach. Z całą pewnością była to przyczyna, dla której pozbył się świadków takich jak Nigel Murrow i pozostawił przy sobie tylko zaufanych ludzi.

„A więc to on pociąga za sznurki, a sam nie wystawia się na żadne niebezpieczeństwo?” – Jeśli naprawdę było tak, jak zaczęło mu się wydawać, najbliższe wydarzenia mogły przybrać zupełnie inny obrót, niespodziewanie korzystny dla zgromadzonych.

– Wiedziałem, że byliście jednym z najbardziej zapalonych zwolenników buntu, jednak nie przyszło mi do głowy, że moglibyście wpaść na pomysł otwartej rebelii, i to w dodatku w pojedynkę – ciągnął w tym czasie angielski książę, w dalszym ciągu zwracając się do starego barona, po czym obrócił się z oskarżycielskim gestem w stronę Geoffreya Martewalla. – Liczyłem przynajmniej na was, myślałem, że zmusicie go do myślenia, a wyście tymczasem tylko pogorszyli sytuację.

Rycerz wyraźnie drgnął.

– Próbowałem, milordzie, jednak stojąc w obliczu wyboru pomiędzy mym ojcem a królem, wybrałem swojego ojca.

– Gdyby chodziło wyłącznie o to, byłbym w stanie zrozumieć waszą lekkomyślność, mimo że i tak jestem zmuszony osądzić ją tak, jak nakazuje prawo ustanowione przez koronę! Obawiam się jednak, żeście dolali oliwy do ognia! – wykrzyknął William de Longespée i bez uprzedzenia, nagłym gestem wskazał na Iana i Daniela. – Chcecie mi to może w jakiś sposób wytłumaczyć?

Ian zrozumiał, w jakim kierunku posuwa się dyskusja, i nabrał przekonania, że lord Salisbury domyślił się wielu rzeczy, już gdy ujrzał zakładników po raz pierwszy. Musiał podejrzewać, kim jest więzień wyróżniający się wzrostem – wystarczyło, że połączył w jedną całość opisy krążące wśród żołnierzy i pogłoski o nienawiści dzielącej Derangale'a, przyjaciela Martewalla, i ród Ponthieu. Być może pamiętał nawet Srebrnego Sokoła po bitwie pod Bouvines.

Ian zrobił krok do przodu, celowo zwracając na siebie uwagę wszystkich obecnych. Wiedział, jakie będzie następne pytanie lorda Salisbury. Chociaż książę nie grał w otwarte karty, nadszedł moment, w którym należało jak najlepiej wykorzystać swoje argumenty i wyczuć przeciwnika.

Daniel gapił się na przyjaciela, wstrzymując oddech. Nie mógł wiedzieć, jakie podejrzenia zakiełkowały w umyśle Iana.

William de Longespée ponownie otaksował spojrzeniem imponującą sylwetkę Iana, jakby była potwierdzeniem jego najgorszych przypuszczeń.

– Czy mogę wiedzieć, kim jesteście? – zwrócił się do niego z pytaniem, które zamierzał zadać Martewallowi.

– Jean Marc de Ponthieu, pan na Montmayeur – odpowiedział młodzieniec z uroczystą powagą.

Salisbury nie wydawał się zaskoczony, wyraźnie jednak zamarł i pobladł na twarzy.

– *Le Faucon du Roi*⁹.

Ian pochylił głowę w pozdrowieniu i potwierdził.

– *C'est un honneur ed vous rencontrer vis à vis, Monsieur le Comte*¹⁰.

Lord Salisbury odpowiedział na pokłon z takim samym szacunkiem, po czym obrócił się w stronę Geoffreya Martewalla.

– To wy jesteście za to odpowiedzialni. Wy i wasz przyjaciel Derangale – zarzucił mu. – Zdajecie sobie sprawę z tego, co żeście zrobili?

– Ależ milordzie... – usiłował protestować Martewall, zaskoczony zupełnie nagłym oskarżeniem.

– We Francji od miesięcy oplakują śmierć tego człowieka, a tymczasem to wy go trzymacie tutaj jako zakładnika! Wiecie, kim jest jego brat, prawda? Wiecie, że małżeństwo, które niedawno zawarł, spowinowaciło go z samym królem Filipem? Książę Guillaume de Ponthieu rozpętał piekło, żeby zemścić się za śmierć swego młodszego brata. Wyobraźcie sobie, że teraz się dowie, iż ten był ciągle w waszych rękach!

– Nie był mym zakładnikiem, ja sam byłem więźniem Francji jeszcze kilka dni temu! – Martewall próbował się bronić.

– A więc mogę przypuszczać, że został pojmany i uwięziony przez kogoś innego, kto i tak był związany z wami i ze zmarłym Jerome'em Derangale'em. Wydaje mi się, że Sokół francuskiego króla raczej nie znajdowałby się dzisiaj w Anglii, gdyby nie akty wrogości z waszej strony, które go do tego zmusiły. Nie mówcie mi, że przybył do was z kurtuazyjną wizytą, żeby wspominać stare czasy!

Martewall nie mógł znaleźć żadnej racjonalnej odpowiedzi, wobec czego Ian pospieszył z wyjaśnieniami:

– Wcześniej byłem więźniem na terenie Francji, porwanym przez bandę płatnych zabójców nasłanych przez Derangale'a, by mnie podstępnie zamordować. Później *sir* Geoffrey Martewall wraz ze swoimi ludźmi zabrali mnie siłą i wbrew mej woli do Anglii, wraz z mym towarzyszem broni Danielem Freelandem.

Lord Salisbury był rozwścieczony.

– To stawia was w gorszej sytuacji, niż się tego spodziewałem – skomentował, zwracając się ponownie do Martewalla. – Ile osób wie o tej historii?

– Całe Dunchester wie, że tu jestem – podkreślił Ian, uprzedzając odpowiedź młodego barona, i mówiąc to, spojrzął lordowi Salisbury prosto w oczy.

„Tylko nie myśl, że się nas pozbędziesz w tajemnicy” – rzucił mu milczące wyzwanie, nie spuszczając z niego wymownego spojrzenia. – „Nasze zniknięcie nie sprawi, że wszyscy zamilkną”.

Stojący za jego plecami Daniel czuł, że tężeją mu wszystkie mięśnie, ale nie odważył się odezwać.

Książę Salisbury zrozumiał doskonale aluzję Iana i świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że ma związane ręce. W ten czy inny sposób, prędzej czy później, plotka o obecności ważnego francuskiego zakładnika na dworze w Dunchester musiała ujrzeć światło dzienne i najprawdopodobniej już teraz mówiło się o tym zarówno wśród zwycięzców, jak i wśród przegranych.

– To będzie miało katastrofalne skutki – wymamrotał. – Kiedy Guillaume de Ponthieu się o tym dowie, podburzy przeciwko nam cały francuski dwór, a jeśli się tak stanie...

Zamilkł nagle i Ian był pewny, że przerwał po to, by nie powiedzieć niczego nieodpowiedniego.

Utwierdzał się coraz bardziej w swoich podejrzeniach.

Lord Salisbury odwrócił się w stronę Martewallów. Patrzył na Geoffreya.

– Teraz zdajecie sobie sprawę z tego, co żeście zrobili?

Rycerz zacisnął pięści.

– Francuzi nie będą wszczynać następnej wojny tylko z jego powodu, jeśli tego się obawiacie! Ten człowiek nie jest aż tak ważny, jak sobie wyobrażacie...

– Milordzie, nie powinniście się aż tak przejmować. Wypadek natury dyplomatycznej na dworze francuskim mógłby obrócić się na waszą korzyść – przerwał Ian pospiesznie, zwracając się do lorda Salisbury. – Jeśli król Filip przybędzie mi na odsiecz, nawet najbardziej nieposłuszni baronowie nie odważą się wzniecać buntu i pozostawić kraju bez obrony. Taka sytuacja tylko wzmocni pozycję króla Jana.

Słowa Iana sprawiły, że Martewall zamilkł, a wszyscy zgromadzeni, łącznie z Danielem, zamarli w bezruchu, odwróciwszy się w stronę młodzieńca i wybałuszyszy na niego oczy.

Lord Salisbury z kolei drgnął wyraźnie, tak jakby ktoś przyłapał go na przestępstwie.

– Czy może powinienem uznać, że właśnie to jest powodem waszego zmartwienia? – ciągnął Ian, zauważając w lot panikę księcia.

Twarz Williama de Longespée przybrała barwę popiołu.

– Jak śmiecie insynuować coś takiego?

Ian ani przez chwilę nie dał po sobie poznać, że nie jest pewien swojej oceny. Nie było mowy o grze w otwarte karty, lecz teraz nabrał pewności, że jego blef zadziałał.

– Obserwowałem was aż do teraz, milordzie, i nie zachowywaliście się jak człowiek, który chce ukarać przeciwników korony. Jak na wiernego sojusznika króla niezbyt chętnie walczyacie w jego imieniu i aż zanadto macie sentymentu do jego wrogów.

Oskarżenie sprawiło, że po całej sali przebiegł pomruk.

„Czy ty zwariowałaś?” – myślał Daniel ze strachem. – „W ten sposób posłą nas na szafot drogą na skróty!”

Ian tymczasem nie spuszczał wzroku z Williama de Longespée.

– Za taki zarzut powinniście zamilknąć na wieki, w kałuży krwi – warknął angielski książę i wymownie sięgnął ręką po miecz.

Nie obnażył jednak swego ostrza, Ian zaś wytrzymał jego wzrok.

– Nie mogę wam tego zabronić. Jeśli pomyliłem się w waszej ocenie, nie mam innych argumentów, aby powstrzymać was przed odebraniem mi życia.

Lord Salisbury nie odzywał się przez kilka chwil. Zastanawiał się i milczał, nie chcąc się skompromitować – był zaskoczony kierunkiem, jaki obrała rozmowa, nie miał przygotowanej riposty i w ciszy myślał, co powiedzieć.

W końcu jednak to właśnie cisza stała się odpowiedzią.

Daniel poczuł dreszcz – zrozumiał, jakie konsekwencje pociągnie za sobą takie odkrycie.

Hektor i Martewall wydawali się kompletnie oszołomieni niespodziewanym zwrotem wydarzeń. Rycerze strzegący drzwi wejściowych drgnęli nerwowo.

– Milordzie, ależ wy... – zaczął *sir* Harald, ale nie odważył się dokończyć zdania.

Lord Salisbury z trudem powstrzymał gest zrezygnowania i Ian wiedział, że trafił w samo sedno.

De Longespée patrzył na Martewallów.

– Czy teraz w końcu rozumiecie, co uczyniliście? – podjął sucho. – Jednym ruchem sprawiliście, że ugoda między baronami, na którą trzeba było wiele czasu i wysiłku, poszła na marne i w dodatku podburzyliście Francuzów przeciwko nam. Oto rezultat waszego wysiłku.

„A więc i on jest częścią tego spisku!” – Danielowi brakowało słów. Zerknął na Iana i w jednym przeblysku ujrzał satysfakcję wyzierającą z jego błękitnych oczu. W myśli złożył mu wyrazy uznania. „Jesteś geniuszem. Prawdziwe sokole oko, jakby powiedział Ponthieu”.

– Gdybyście tylko pozwolili mi przejąć dowodzenie w tych przeklętych dniach! – mówił dalej lord Salisbury. – Nakazałbym wam cierpliwie czekać, wiedziałem, że żaden inny baron nie był jeszcze gotowy, by stanąć do walki, gdyż wielu z nich wciąż

chce wskórać coś na drodze dyplomacji. Poprosiłbym was, byście chwilowo zrezygnowali z działań i wyczekiwali na odpowiedni moment. Ale wy... wy nie raczyliście nawet przyjąć mych posłańców!

Słowa te były ostatecznym potwierdzeniem rozważań Iana.

Taka była prawda: lord Salisbury ociągał się z posłaniem swoich ludzi do ataku, jednak powody, dla których to czynił, były inne, niż się domyślano. William de Longespée się nie obawiał – zwyczajnie nie chciał poświęcać ludzi po obu stronach barykady, wiedząc, że w sekrecie zarówno jedni, jak i drudzy walczą w tej samej sprawie.

Odpowiedni moment na zbrojną rewoltę baronów jeszcze nie nadszedł. Wiedział to również Ian i nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości – choć chwila ta zbliżała się nieubłaganie. Najpierw baronowie mieli wybrać Fitz-Waltera na swego dowódcę, po czym musieli zewrzeć szeregi, by walczyć w jednym, wspólnym celu. Być może potrzebny był tylko pretekst, by wojna wybuchła z całą siłą, może potrzeba było czegoś więcej, lecz jednego można było być pewnym – William de Longespée, pozornie królewski sojusznik, w rzeczywistości był po stronie buntowników i obawiał się, że nieprzewidziany manewr Dunchester przyniesie katastrofalne skutki.

Również obaj Martewallowie nie potrafili odpowiedzieć na słowa księcia.

– Milordzie... ja... nie domyślałem się nawet... – usprawiedliwiał się *sir* Harald.

– W porozumieniu z Fitz-Walterem i Cornhillem nadjechałem tu z moimi ludźmi, gdy tylko dowiedziałem się, że Jan wysłał do Dunchester swoich najemników, żeby wypowiedzieć wam bitwę – księżę ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na słowa barona. – Pertraktowałem z wami, gdybym tylko przybył na czas, jednak to najemnikom udało się dotrzeć wcześniej, wy zaś nie daliście mi nawet okazji do rozmowy. Koniec końców musiałem zrobić to, co nakazywał mi obowiązek, a więc walczyć po to, by zdobyć Dunchester, zwłaszcza kiedy zjawił się Murrow, chcąc pokazać się z jak najlepszej strony. Teraz muszę znaleźć sposób, żeby uniknąć najgorszego – o ile to jeszcze możliwe.

– Czy naprawdę konieczne są takie podstępny, kiedy mogliście przeciwstawić się otwarcie? Pod waszym dowództwem baronowie odpowiedzieliby na nasz apel i nabraliby odwagi, by przeciwstawić się królowi Janowi! Mogliście stanąć na ich czele...

– I co zrobić? Przejąć koronę? Ja, nieślubny syn starego króla, pozbawiony jakichkolwiek wojsk prócz tych, które należą do mego lenna? A wy, baronowie, uznalibyście mnie czy raczej byście się ode mnie odwrócili tak szybko, jak szybko bym się dla was pozbył niewygodnego króla? – mówił lord Salisbury jadowicie. – Człowiek zajmujący moją pozycję nie może sięgać po tron, a wy musieliście chyba postradać rozumy, myśląc, że chciałbym zagrozić bezpieczeństwu mojej rodziny w imię utopii. Jan to mój przyrodni brat i chcąc nie chcąc mamy wspólnych

krewnych. Moja żona i dzieci mieszkają na jego dworze. Jak myślicie, jaki byłby ich los, gdyby ktoś rzucił na mnie choć cień podejrzenia? Jan był gotowy poświęcić życie naszego brata Ryszarda, żeby zdobyć tron. Myślicie, że miałby jakiegokolwiek skrupuły, kiedy przyszłoby mu pozbyć się powinowatych – i to ze strony brata bękarta? I jak miałbym umieścić ich w bezpiecznym miejscu, oddalając się od dworu, a jednocześnie nie wzbudzając podejrzeń? Nie, *sir* Haraldzie, nie zaryzykowałbym życia mojej rodziny dla waszej wojny. Dopóki korona spoczywa na głowie Jana, nie pozwolę, by naszedł go choć cień wątpliwości co do mego oddania i lojalności.

„Historycy też są o niej przekonani” – pomyślał Ian. – „De Longespée naprawdę po mistrzowsku odegra swoją rolę, zważywszy na to, że nawet w kolejnych stuleciach nie padną podejrzenia co do jego wierności. Nawet kiedy złoży hołd Ludwikowi Francuskiemu, wszyscy uwierzą, że to akt politycznego oportunisty, zwłaszcza że Jan zdąży do tego czasu ponieść sromotną klęskę”.

Angielski ksiązę patrzył teraz na niego z wyrzutem.

– I to wszystko prowadzi nas do palącej kwestii dotyczącej losu wszystkich zgromadzonych. Was również, *monsieur* de Ponthieu.

Ian przewidział ten moment i chciał dobrze wykorzystać ostatni argument, który mu pozostał.

– Jeśli mi pozwolicie, lordzie Salisbury, chciałbym wtrącić tylko jedno słowo. Przez tych kilka ostatnich burzliwych dni ja i *sir* Geoffrey Martewall zdołaliśmy dojść do porozumienia, aby uniknąć ewentualnych konsekwencji naszego konfliktu, które mogłyby dotknąć nas wszystkich.

Martewall wyraźnie drgnął, Daniel podskoczył.

Lord Salisbury zmrugał oczy, w jego spojrzeniu płonąła ciekawość.

– Co też mówicie, *monsieur*?

– Zdołaliśmy zawrzeć porozumienie – powtórzył Ian zdecydowanie, piorunując jednocześnie Martewalla wzrokiem i sugerując mu, żeby siedział cicho. – Sytuacja, w której znalazło się Dunchester, przekonała *sir* Geoffreya, by odsunąć na bok nasze osobiste zatargi i skupić się na tym, co najważniejsze dla jego lenna. Zaproponowałem mu, by mnie uwolnił w zamian za pomoc polityczną i militarną, a on przystał na moją propozycję. Opuściłbym Dunchester, nie żywiąc do jego władców wrogości ani urazy, powrót do domu uniemożliwiło mi jednak oblężenie.

„Co też on wymyślił?” – myślał Daniel, starając się w żaden sposób nie dać po sobie poznać, że nachodzą go wątpliwości.

Lord Salisbury patrzył to na Iana, to na Martewalla. Oszołomienie Anglika było jednak tak wielkie, że siedział cicho, wyraźnie zastanawiając się, do czego Ian zmierza, wyglądało bowiem na to, że stara się go w jakiś sposób bronić.

Lord Salisbury, nie doczekawszy się wyjaśnień od młodego barona, zwrócił się ponownie do Amerykanina.

– A więc walczyliście teraz po stronie Dunchester.

Ian przytaknął.

– Mieliśmy wspólnego wroga, króla Jana. Niech potwierdzeniem będzie to, że rozmawiam z wami tutaj, a nie zamknięty w lochach zamku. Nie jestem w tej chwili uzbrojony tylko dlatego, że *sir* Harald wierzył, iż pomoże uniknąć mi niewoli, powierzając mnie w wasze ręce jako zakładnika.

Lord Salisbury słuchał go z wytężoną uwagą, analizując skrupulatnie nowe informacje. Było jednak coś, co nie pozwalało mu się do końca przekonać, książę nie chciał jednak podzielić się swoimi wątpliwościami.

– Dlaczegoż więc opowiadacie mi o tym wszystkim?

– Gdyż zamierzam zaproponować wam to samo, co zaoferowałem tym, którzy uwięzili mnie wcześniej: zagwarantujcie mi i memu towarzyszowi wolność oraz bezpieczny powrót do domu, a pomogę wam uzyskać wsparcie przeciwko królowi Janowi bez Ziemi. Przysięgałem przed *sir* Geoffreyem, że wojska mego lenna przyjdą w sukurs Dunchester, wam zaś, milordzie, mogę zaoferować nawet cenniejszą pomoc: neutralną postawę dworu francuskiego podczas ewentualnej rewolty baronów. Mogę zwrócić się do Delfina¹¹ i króla, by uciszyć głosy sprzeciwu. Nie spróbują wystąpić przeciwko Anglii – mogę wam to zagwarantować.

Ian w istocie mógł zaryzykować taką obietnicę – znał bieg historii i wiedział, że dwór francuski nie zamierzał zaatakować Anglii w sposób, który mógłby przeszkodzić rebelii baronów, król Ludwik zaś miał nawet wysłać swoje oddziały w ramach wsparcia.

Znając te fakty, posunął się jeszcze dalej:

– Mógłbym nawet zaproponować wam coś więcej, jeśli sobie tego życzyście – ciągnął. – Gotów jestem wstawić się w waszej sprawie na dworze i, gdyby taka była wasza wola, poprosić rodzinę królewską Francji o udzielenie wam bezpośredniej pomocy.

Tak jak tego oczekiwał, lord Salisbury wytrzeszczył oczy, tak jakby ktoś zniecka uderzył go w czułe miejsce.

– Jak możecie proponować mi coś takiego?

„Bo znam już przyszłość” – pomyślał Ian i odpowiedział: – Wiem, w jakiej sytuacji jesteście. Mogę przemówić w waszym imieniu, jeśli nie do króla, to przynajmniej do Delfina. Niestraszne mu wojenne zmagania i jest świetnym dowódcą – zaoferujcie mu coś, co go przekona do walki, a z chęcią przystanie na waszą propozycję.

Oszłomienie Martewallów, Hektora, a nawet Daniela rosło z każdą chwilą. Daniel w szczególności czuł się zdezorientowany, patrząc na swego przyjaciela, który z całkowitym spokojem i pewnością siebie prowadził strategiczną grę o bardzo wysoką stawkę.

– Jak możecie sugerować...?! Toć mówicie o księciu Ludwiku! – wykrzyknął *sir*

Harald.

Geoffrey Martewall gapił się na Iana tak, jakby miał przed sobą szaleńca.

– Co ty bredzisz?!

– Dla Delfina posiadanie wpływów w Anglii mogłoby być łakomym kąskiem, czyż nie? Spowinowaciły się dwie królewskie rodziny – wasza królowa Eleonora¹² była z pochodzenia Francuzką, jej wnuczka¹³ zaś jest teraz małżonką naszego Delfina. Waszych i naszych królów łączą więzy krwi, a księżę Ludwik nie jest synem z nieprawego łoża i ma za sobą szeregi wiernych mu żołnierzy – ciągnął Ian i spojrzał na lorda Salisbury. – Jestem skłonny przyjąć, że znawca polityki waszego pokroju już wcześniej się nad tym zastanawiał i ocenił wszystkie konsekwencje związane z takim ruchem. Z drugiej strony obecny królewski ród Anglii, wasza rodzina, pochodzi znanad morza: jeszcze od rządów Wilhelma Zdobywcy w żyłach królów Anglii płynie francuska krew, baronowie zaś w dużej mierze mają normandzkich przodków. W bitwie mogliby stanąć u boku normandzkiego księcia i, być może, mieliby do tego więcej chęci niż do służby u syna obecnego tyrana.

Lord Salisbury był wstrząśnięty, lecz nie dawał tego po sobie poznać.

– Wasza propozycja jest w zasadzie skandaliczna.

– Ale i korzystna dla nas wszystkich, oprócz Jana bez Ziemi, i wy wiecie o tym najlepiej.

Lord Salisbury z coraz większym trudem usiłował ukryć swoje poruszenie. Teraz patrzył na Iana prawie ze strachem.

– Czyżbyście chcieli czytać mi w myślach, *monsieur*?

– Staram się wyłącznie rozumować logicznie, tak samo jak i wy – odparł Ian, pozornie beznamietnym tonem. „Moje rozumowanie opiera się jednak na rezultatach historycznych badań prowadzonych przez kolejne osiemset lat” – dodał w myślach.

Minęła dłuższa chwila, zanim William de Longespée otrząsnął się z zaskoczenia, potem jednak rozluźnił się niepostrzeżenie. Został postawiony pod ścianą i zdawał sobie z tego sprawę.

– Muszę przyznać, że pogłoski krążące o rodzie de Ponthieu ani trochę nie są przesadzone. Niebezpieczny i szczywany z was lis, *Monsieur Le Comte*¹⁴ – rzekł.

– Dokładnie tak, jak i z was, milordzie. Należą się wam wręcz gratulacje. W istocie, do niczyich uszu nie dotarła bowiem nawet plotka, jakobyście i wy dołączyli do ugody baronów z Bury Saint Edmunds – odpowiedział Ian.

„I nikt tego nie będzie podejrzewał nawet w przyszłości” – dodał w myślach z autentycznym podziwem. On sam blefował, wykorzystując bez skrupułów znajomość historii – i rzeczywiście nietrudno było uwierzyć w jego niesłychany talent obserwacji i strategii politycznej. Jednak to lord Salisbury planował kolejne ruchy, posiłkując się wyłącznie własnym sprytem, doświadczeniem politycznym i prawdziwymi informatorami. Wszystko to miało mu pomóc wyjść z twarzą z tej

trudnej i ciemnej epoki bratobójczych walk.

William de Longespée milczał jeszcze chwilę, wpatrując się intensywnie w Iana.

– Teorie, które snujecie, to czysta zuchwałość i nikt nie może mieć pewności, czy kiedykolwiek się urzeczywistnią. Wielu baronów może nie dać się tak łatwo przekonać co do lojalności takiego sojusznika – podjął ponurym tonem, po czym podniósł dłoń w ugodowym geście. – W każdym razie są to teorie, które z pewnością warto zgłębić. A więc dobrze, *monsieur de Ponthieu*, przyjmę waszą ofertę. Będziecie negocjować w mym imieniu, zobaczymy, jakie przyniesie to rezultaty.

Ian słuchał w skupieniu, usiłując sprawiać wrażenie zdeterminowanego.

– Cieszy mnie to, lordzie Salisbury.

Daniel powstrzymał z trudem tryumfalny gest.

– Toż to czyste szaleństwo! – wykrzyknął natychmiast Geoffrey Martewall.

– Nieprawda – odrzekł lord Salisbury. – Polityczne przymierza są jak podmuchy wiatru: zmieniają się z każdą sekundą. Ostatnie dziesięciolecia dowiodły tego kilkakrotnie, nasi królowie – Henryk, Ryszard, a teraz Jan – zawsze zawierali sojusze z królami Francji. Niektóre trwały długo, inne przeradzały się w nienawiść i otwartą wojnę. Może teraz nadszedł czas, by przekształcić niechęć i wrogość w zgodę i porozumienie?

– Zrobię wszystko, co w mej mocy, aby tak właśnie się stało – powiedział Ian. Czuł się jak ostatni hipokryta, przypisując sobie część zasług, które należały się nie jemu, a Historii. Przed Martewallem jednak chciał stwarzać do końca pozory osoby, która jest bezgranicznie przekonana o swojej racji.

Lord Salisbury wciąż nie spuszczał z niego wzroku, a w jego przenikliwych oczach odbijały się pytania, na które nie mógł znać odpowiedzi.

– Powiedzcie mi, *monsieur...* – powiedział wreszcie – czy naprawdę moje myśli są dla was tak przejrzyste, że możecie w nich czytać jak w otwartej księdze? Niełatwo jest mi uwierzyć, żeście odgadli wszystko wyłącznie dzięki zmysłowi obserwacji.

– Pewności nie miałem żadnej, kierowały mną tylko podejrzenia – odparł Ian. – Ryzykowałem wiele i zuchwale stawiałem karty, jednak gra toczy się o wysoką stawkę i z pewnością było warto.

Lord Salisbury z trudem przyjął jego odpowiedź.

– Mam nadzieję nie spotkać się z wami po przeciwnych stronach strategicznej konfrontacji.

„Ja tym bardziej” – pomyślał Ian, całą siłą swej woli usiłując stłumić głębokie przejęcie, jakie obudziła w nim ta mordercza rozgrywka. – Ufam, że odtąd będę w was miał wyłącznie sojusznika – odrzekł.

– Na to się zanosi – odpowiedział lord Salisbury. – Rozumiecie jednak, że nasze przymierze musi być utrzymane w całkowitej tajemnicy. Zapewniam, że posłużę się wszystkimi możliwymi sposobami, uciekając się w razie potrzeby do ostateczności,

aby ta rozmowa pozostała niedostępna dla niepożądanych uszu.

– Oczywiście, panie.

– Jesteście wobec tego świadomi, że nie mogę pozwolić wam odejść ot tak, w biały dzień, zważywszy na to, że o waszej obecności w Dunchester wie wiele osób.

Ian zdawał sobie z tego sprawę.

– Nie będzie to dla mnie problemem, jeśli tylko i wasi ludzie na to przystaną.

Lord Salisbury uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie przejmowałbym się, gdyby chodziło tylko o moich ludzi. Na zewnątrz są jednak i najemnicy króla, i oddani żołnierze *sir* Murrowa, im zaś nie mogę wydać rozkazu, by przymknęli na chwilę oczy, pozwalając wam uciec przez nikogo niezauważonymi.

– Domyślam się, że może nam to sprawić nieco trudności.

– Och, z całą pewnością nie przekracza to waszych możliwości, zważywszy na słuchy, jakie o was chodzą. Wiem, że wybrnęliście już z gorszych tarapatów. Dotarły też do mnie legendy o was i waszych brawurowych przygodach, a poznawszy was osobiście, wierzę, że nie są one bardzo przesadzone.

Ian odetchnął, próbując się opanować.

– Nie zamierzam ryzykować własnego życia, a zwłaszcza bezpieczeństwa mego towarzysza, aby dorównać swej sławie.

Lord Salisbury przeszedł kilka kroków i zatrzymał się bezpośrednio przed nim.

– Jeśli was to martwi, mogę wam zagwarantować, że jemu nie stanie się absolutnie żadna krzywda podczas waszej ucieczki. Zatrzymam go tutaj i będę pilnie strzegł, kiedy wy odbędziecie swą dyplomatyczną misję i przekażecie mi, miejmy nadzieję, pozytywne wieści ze stałego lądu.

Daniel podskoczył.

– Mam tutaj zostać!? – wykrzyknął, ulga zaś, którą odczuwał jeszcze chwilę temu, momentalnie wyparowała.

Tym razem i Ian był zaskoczony – nie mógł spodziewać się takiego posunięcia ze strony barona.

– Przecież to szantaż! Nie dowierzacie memu słowu? Nie możecie trzymać mego towarzysza jako zakładnika! – sprzeciwił się z oburzeniem.

– *Monsieur*, ja nie dowierzam słowom nawet tych, których nazywam rodziną, a stawka w tej grze jest zdecydowanie za wysoka, bym mógł sobie pozwolić na błędy naiwności, zwłaszcza mając przed sobą takiego lisa, jak de Ponthieu – odparł lord Salisbury stanowczo. – Jeśli naprawdę chcecie opuścić to miejsce, musicie przystać na moje warunki. W zamian i wy dostaniecie zakładnika – w ten sposób obaj będziemy mieli jakiś gwarant naszych ustaleń. *Sir* Geoffrey Martewall będzie wam towarzyszył w podróży, a jednocześnie będzie rzecznikiem przemawiającym w imieniu wszystkich baronów Anglii.

– C o t a k i e g o?! – wykrzyknął Martewall.

– Mój syn ponownie w rękach Francuzów! – zawtórował mu *sir* Harald.

Leowynn zasłoniła usta rękoma. Hektor znieruchomiał, wyraźnie spięty.

– Wolelibyście, żeby zawisł na szubienicy za zdradę korony? – zapytał sucho lord Salisbury. – Wobec niego nie mogę okazać pobłażliwości. W waszym przypadku – zwrócił się do *sir* Haralda – aby darować wam życie, mogę wymówić się wiekiem i chorobą, skazując was wyłącznie na odosobnienie, mimo że prawo nakazuje karę śmierci.

– Nigdy nie zgodzę się na taką wymianę – przerwał Ian, rozwścieczony do granic możliwości. – Nic z rzeczy, które jesteście w stanie mi zaoferować, nie jest warte życia Daniela. Nie pozostawię go tutaj jako więźnia, choćbyście to wy trzymali klucze do jego celi.

– Nie zamknę go w celi, to mogę wam obiecać. Nie spotka go również żadne niebezpieczeństwo, ponieważ to ja będę sprawował nad nim pieczę. Nie będzie mógł jedynie opuścić murów tego zamku – pozostanie tutaj wraz z moimi rycerzami. Uczynię go moim osobistym zakładnikiem – nikt nie będzie miał prawa go tknąć ani też nie spotka go żadna ujma z naszej strony.

– Jak macie zamiar usprawiedliwić takie traktowanie francuskiego rycerza?

– Kiedy sam byłem więźniem we Francji, traktowano mnie z równym szacunkiem. Myślicie, że chciałbym zachować się mniej godnie od moich więziennych strażników? – oburzył się lord Salisbury. – Poza tym, biorąc pod uwagę imię, jakie nosi, i rysy jego twarzy, nie sądzę, by wasz towarzysz był Francuzem z pochodzenia, co z całą pewnością uciszy sporą część zastrzeżeń do mego postępowania.

Ian zamilkł, usiłując przeanalizować propozycję księcia.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie mogę na to przystać.

W tej samej chwili jednak głos zabrał Daniel.

– W porządku – stwierdził, zwracając się do lorda Salisbury.

– Nie! – sprzeciwił się Ian, rozjuszony.

Daniel podszedł do niego pewnym krokiem.

– Musisz wrócić do Francji i jak najszybciej dostać się na dwór księcia Guillaume’a. Ta sprawa nie zostanie rozwiązana bez jego pomocy.

Ian zrozumiał, że przyjaciel podjął już decyzję, chcąc ocalić przynajmniej jednego z nich.

– W takim razie zróbmy na odwrót. Ja zostanę tutaj, a mój towarzysz uda się jako posłaniec na dwór Francji.

– Nie – zaproponował Daniel.

– Nie – powiedział jednocześnie lord Salisbury. – Rozumiem wasz altruistyczny zamiar, *monsieur* de Ponthieu, jednak wyłącznie wasza fizyczna obecność w domu waszego brata pozwoli złagodzić jego gniew i będzie o wiele bardziej skuteczna niż

słowa, które moglibyście przekazać poprzez posłańca. Podobnie jak wasze osobiste zaangażowanie w negocjacje z Delfinem w imieniu baronów. Ja zaś rozgłoszę wasz pomysł między naszymi feudałami, aby poznać ich reakcję.

Daniel chwycił Iana za ramię, aby powstrzymać go od dalszych protestów.

– Ja i ty nie jesteście równie ważnymi osobami w świecie polityki, przecież o tym wiesz – powiedział mu cicho. – Poza tym jeśli ktokolwiek jest w stanie pertraktować z twoim bratem Guillaume’em, to tylko ty. Ja nie jestem dość dobry w tych wszystkich gadkach i jednym nieudolnym zdaniem byłbym w stanie w s z y s t k o zrujnować.

Sposób, w jaki Daniel argumentował swoją decyzję, sprawił, iż Ian zrozumiał, że chłopak nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności objaśniania całej zagmatwanej historii księciu de Ponthieu – poczynając od kłamstwa wyrecytowanego przed opatem Saint Michel, usprawiedliwiającego długie miesiące ich nieobecności. Jeden fałszywy krok mógł zniszczyć cały ich trud. Na szali leżała przyszłość Iana w średniowiecznym świecie, w którym całe jego życie opierało się na niezwykle kruchej konstrukcji kłamstw.

Daniel miał rację: ryzykował mniej, pozostając w zamku pod protekcją lorda Salisbury, niż podejmując próbę ucieczki pełnej niebezpieczeństw, podczas której mógłby zginąć z rąk tych, którzy z całą pewnością udaliby się w ślad za nim. Poza tym, gdyby jakimś cudem *Hyperversum* miało ponownie zacząć działać, Daniel mógłby wystrychnąć wszystkich na dudka i spektakularnie zmyć się z Dunchester.

Choć przyszło mu to z trudem, Ian zrozumiał, że nie ma innego wyboru jak podporządkować się planowi lorda Salisbury i ponownie rozdzielić się z przyjacielem.

– Zgoda – poddał się. – Wrócę i cię stąd zabiorę.

– Nie ucieknę z Dunchester jak pierwszy lepszy tchórz! – przerwał jednocześnie Geoffrey Martewall, zaciskając pięści. – Nie będę częścią waszego planu, nie zostawię mej rodziny ani mego ludu w więzieniu, skoro sam nie mogę podzielić ich losu.

– Usłuchacie mego rozkazu, ponieważ to ja sprawuję teraz władzę nad Dunchester i to ja będę się opiekował waszą rodziną w czasie waszej nieobecności. – Salisbury nie silił się na grzeczność. – Możecie pogratulować sobie szczęścia – nie jestem taki jak mój brat Jan i nie zarządzę zbiorowych egzekucji zdrajców, tak jak on nakazał to najemnikom, których tu przysłał. Powinienem był wyciąć w pień waszych rycerzy i dowódców, ale nie mam zamiaru urządzić takiej kaźni. Dopóki Dunchester będzie pod moimi rządami, nie spotkają go tego rodzaju okrucieństwa i przysięgam wam, że więzienie waszego ojca będzie dostosowane do jego warunków zdrowotnych, waszą siostrę zaś ominą wszelkiego rodzaju upokorzenia. Wy natomiast, w zamian, zrobicie to, co wam nakazuję. Udacie się wraz z *monsieur* de Ponthieu w roli ambasadora

i zakładnika. Jesteście powodem wszystkich tych nieszczęść i pomożecie teraz je naprawić, czy wam się to podoba czy nie. Przekażecie Delfinowi, że baronowie są gotowi pertraktować i mają wiele do zaoferowania w zamian za pomoc wojskową przeciwko Janowi, powiecie mu też, że Dunchester może być nowym punktem spotkania w celu dalszych negocjacji czy też rozpoczęcia działań. Jeśli, kiedy już tam będziecie, książę de Ponthieu postanowi zemścić się na was za to, ile wycierpiał jego młodszy brat z ręki waszej i waszego przyjaciela Derangale'a, możecie tylko pokornie pogodzić się z waszym losem i poddać się karze, biorąc odpowiedzialność za własne czyny.

Martewall zacisnął pięści tak mocno, że zbieleły mu knykcie, wiedział jednak, że nie może się sprzeciwić. Intryga, której stał się elementem, krępowała go zbyt mocnymi więzami, by mógł je zerwać, a przecież nie mógł wyjść z niej cało w inny sposób, jeśli chciał uchronić rodzinę i swoich ludzi przed poważnymi konsekwencjami.

„Teraz jesteś w moich rękach. Role się odwróciły” – pomyślał Ian. Zemsta smakowała jednak gorzko i nie dawała mu nawet cienia satysfakcji, zwłaszcza że był zmuszony opuścić Daniela, gdy ten znajdował się w dość niepewnej sytuacji.

Martewall usiłował zabić go wzrokiem i najwyraźniej włożył w to całą nienawiść, jaką posiadał. Nie miał jednak wyboru i musiał słuchać rozkazów.

– Udam się do Francji – powiedział wreszcie, zrezygnowany.

– Nie! – załkała Leowynn. Podbiegła do brata i chwyciła go z całych sił za rękę. – Nie jedź tam! Francuzi znowu będą chcieli cię uwięzić! Zabiją cię, aby się zemścić!

– Śmierć spotkałaby mnie również wtedy, gdybym pozostał tutaj. Skończyłbym na szubienicy jako zdrajca – odpowiedział Martewall, odwzajemniając jej uścisk. – Jeśli za cenę mojego życia mogę uratować naszego ojca i ciebie, spróbuję to zrobić.

Leowynn osunęła się na kolana u jego stóp z płaczem.

– Przestań, błagam cię – prosił Martewall, nachylając się nad nią i pomagając jej się podnieść.

Również lord Salisbury podszedł bliżej, by wesprzeć dziewczynę.

– Nie płaczcie, moja pani. Wasz brat to człowiek honoru, wie, jak stawić czoło swemu przeznaczeniu i zna wartość dobra ogółu.

Leowynn wstała i cofnęła się o kilka kroków, odrzucając pomoc księcia, tak jakby jego dotyk napełniał ją odrazą. Podniosła na niego załzawione oczy, w których malowała się wściekłość. Przeniosła pełne wyrzutu i nienawiści spojrzenie na Iana, nie wypowiadając więcej ani słowa. W ciszy wróciła do ławy, na której siedział *sir* Harald, i stanęła obok. Stary baron chwycił ją za rękę, chcąc pocieszyć swą jedyną córkę.

Lord Salisbury tymczasem wezwał starszego ze swych zaufanych rycerzy, którzy jak dotąd asystowali mu w milczeniu.

– *Sir Gorvenal*, przygotujcie miejsce odosobnienia dla *sir Geoffreya* i *monsieur de Ponthieu* w takiej części zamku, która odpowiadałaby naszym celom, i sprawcie, by *Opatrzność* zadbała o odwrócenie uwagi żołnierzy, żeby ich ucieczka podczas reorganizacji twierdzy nie rzucała się zanadto w oczy.

– Tak, panie – odparł rycerz z ukłonem.

– Udajcie się do północnej wieży – zasugerował *sir Harald*, spoglądając z bólem na swego syna. – Jest tam stary tunel, który prowadzi na zewnętrzny dziedziniec. Stamtąd powinniście zdołać przedostać się do potajnika¹⁵, który umożliwi wam dotarcie na brzeg morza.

Martewall przytaknął ponuro.

– Znam drogę.

– Objaśnicie więc ją i mnie – powiedział *Gorvenal* i podszedł do starego barona, by poznać szczegóły i lepiej zaplanować fałszywe zniknięcie więźniów.

– *Sir Hektorze de Wrist*, czy jesteście gotowi zabezpieczać tyły podczas ucieczki waszego pana? – Lord *Salisbury* zwrócił się z pytaniem do kapitana *Martewalla*.

– Nawet za cenę własnego życia – odpowiedział *Hektor* bez chwili wahania.

Geoffrey Martewall rzucił mu spojrzenie pełne uznania.

– A więc będziemy liczyć również na was – zdecydował lord *Salisbury*. – A teraz do roboty, moi państwo, zanim nasze prywatne, przeciągające się zebranie wzbudzi czyjąś podejrzliwość. *Monsieur de Ponthieu*, czekam na wieści od was.

– I otrzymacie je, możecie być tego pewni – odparł *Ian* poważnym tonem. – Ja zaś liczę na to, że odzyskam *sir Daniela* w takim samym stanie, w jakim pozostawiam go pod waszą opieką.

– Nie będziemy narażać go na żadne niebezpieczeństwo.

„Miejmy taką nadzieję” – pomyślał *Ian*, nie czując się w żaden sposób podniesiony na duchu. *Wzrok Daniela* zdradzał te same uczucia, chłopak jednak milczał.

Drugi z rycerzy lorda *Salisbury* otworzył w tym samym momencie wrota i wezwał żołnierzy.

Martewall odwrócił się i podszedł do swej rodziny.

– Ojczy, dbajcie o *Leowynn* – powiedział ze wzruszeniem. – Ty zaś opiekuj się nim – dodał, zwracając się do swojej siostry.

Sir Harald podniósł się z trudem z ławy i objął syna.

– Jesteś rycerzem i człowiekiem honoru, nigdy więcej nie daj nikomu powodu do wątpliwości – powiedział, a jego głos łamał się w uniesieniu. *Leowynn* objęła obu mężczyzn z cichym łkaniem.

Ian patrzył na *Daniela* z ogromnym napięciem. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Wróć szybko – przyrzekł, głównie po to, by pocieszyć samego siebie.

Drugi chłopak złapał go za bark.

– Bądź ostrożny. Działaj rozważnie.

Ian odwzajemnił gest.

– Ty też.

Do sali przybyli żołnierze, aby odprowadzić więźniów.

*

Rozdział 24



Wraz z pojawieniem się więźniów na dziedzińcu zapadła pełna trwogi, głucha cisza. Ludność cywilną w pośpiechu prowadzono do tymczasowych schronień poza murami, a zamkowa służba, żołnierze, urzędnicy i dowódcy Dunchester na rozkaz zwycięzców zostali zmuszeni do pozostania wewnątrz twierdzy. Zdobywcy chcieli dać do zrozumienia, że zamek jest teraz w ich rękach – pokonanych zamknięto za popełnione zbrodnie, oczekiwali teraz na królewski sąd i wymierzenie kary.

Wielu najemników spoglądało podejrzliwie na panów Dunchester, których rozbrojono i umieszczono w odosobnieniu. Stojący z boku, z dala od innych, młodzieńcy Murrow obserwował scenę z mieszanką niechęci i satysfakcji na twarzy.

Więźniowie zostali podzieleni na mniejsze grupki, zgodnie z wolą Williama de Longespée. Na czele pochodu kroczył *sir* Harald Martewall, podtrzymywany przez pannę Leowynn. Daniel szedł tuż za nimi, strzeżony przez tych samych wartowników i młodszego z zaufanych rycerzy lorda Salisbury.

Druga grupa żołnierzy, pod przewodnictwem *sir* Gorvenala, prowadziła Geoffreya Martewalla, Iana i Hektora, nie spuszczać oka ze swoich zakładników.

Ian zauważył, że na dziedzińcu nie było już rycerzy Dunchester – prawdopodobnie zajęto się nimi wcześniej. Najwyraźniej Murrow nie tracił czasu i bez większego zastanowienia zamknął ich w lochach zamku.

Nastoletni baron również wyszedł na spotkanie nadchodzącym więźniom. Dał już znak żołnierzom strzegącym wejść do podziemi, jednak Gorvenal natychmiast ostudził jego zapal.

– Tych więźniów nie zamkniemy razem z innymi, to zbyt wielkie ryzyko – oznajmił, zatrzymując się tuż przed nim. – Będziemy ich przetrzymywać w oddzielnych wieżach, by pozbawić ich możliwości porozumiewania się z innymi. Ja i moi ludzie będziemy strzec ich osobiście i dopilnujemy, aby rozkazy księcia Salisbury zostały wypełnione.

Na twarzy chłopaka pojawiło się zaskoczenie. Rozkaz księcia pozbawiał go bowiem możliwości sprawowania jakiegokolwiek władzy nad najważniejszymi więźniami w zamku.

– Ale... – usiłował się sprzeciwić.

– *Sir* Harald Martewall natomiast, ze względu na wiek i chorobę, uzyskał pozwolenie na pobyt w jednej ze swych komnat w towarzystwie córki – jedynej osoby, która ma prawo tam wejść i o niego dbać – ciągnął Gorvenal, nie pozwalając mu dojść do słowa, tak jakby nie brał nawet pod uwagę, że chłopak mógłby mieć cokolwiek do powiedzenia. – Panny Leowynn z kolei nie może spotkać żadna ujma ani przykrość: znajduje się pod protekcją naszego pana i każda próba złamania tego zakazu będzie karana bezpośrednio przez Williama de Longespée.

Mężczyzna wskazał na Daniela i kilku żołnierzy noszących barwy lorda Salisbury, którzy natychmiast oddzielili chłopaka od pozostałych, prowadząc go ze sobą.

Daniel nie zdołał się powstrzymać od rzucenia zaniepokojonego spojrzenia w kierunku Iana, ale nie stawiał oporu.

– Ten rycerz – mówił dalej Gorvenal – jest ważnym zakładnikiem naszego pana, w związku z tym pozostanie pod moim osobistym nadzorem.

Wreszcie wskazał ręką na Martewalla, Iana i Hektora.

– Dowódcy obrony zamku zostaną zamknięci w celach w północnej wieży oraz pozbawieni jakiegokolwiek możliwości kontaktu z resztą zamku. Tam będą oczekiwać na wyrok za zuchwałą próbę rzucenia wyzwania naszemu królowi.

Rycerz spojrzał na Murrowa i najemników tak, jakby chciał się upewnić, że jego władcze słowa odebrały wszystkim zgromadzonym chęć do jakiegokolwiek polemiki.

– Taka jest wola Williama de Longespée, księcia Salisbury i nie podlega ona najmniejszej dyskusji – podkreślił.

Młodziutki baron, stojąc twarzą w twarz z *sir* Gorvenalem, zdawał się teraz jeszcze mniejszy i węższy niż zwykle.

– Nie miałem najmniejszego zamiaru sprzeciwić się rozkazom milorda – pospieszył z zapewnieniem.

Najemnicy nie sprawiali jednak wrażenia szczególnie spolegliwych.

– Ci mężczyźni to najważniejsi zakładnicy w całej twierdzy. Mamy prawo do okupu za choćby jednego z nich – powiedział ich dowódca, z trudem kryjąc wrogość.

– Możecie o tym dyskutować z lordem Salisbury, nie ze mną – splawił go Gorvenal. – Okupy to nie moja sprawa, ci rycerze zaś pozostaną pod moją strażą i kontrolą i niech nikt nie śmie podważać rozkazu mego pana.

Dowódca najemników musiał przystać na taką odpowiedź, ale zanim odszedł, wyraźnie się zawahał.

– Jeśli się obawiacie, że nasz nadzór nie będzie wystarczający, możecie posłać dwóch z waszych ludzi, by udali się z nami w celu sprawdzenia miejsc, w których zostaną zamknięci więźniowie. W ten sposób upewnicie się, że wasze cenne okupy nie wymkną się wam z rąk – dodał rycerz, a w jego głosie jasno zabrzmiał ton pogardy.

Ian i Daniel z podziwem przyglądali się jego sprytowi i odgadli, jaki jest jego plan.

Wymknięcie się i ucieczka zakładników byłyby mało wiarygodne bez jakiegokolwiek bijatyki i Gorvenal ani myślał poświęcać ludzi swego pana, żeby nadać autentyczności przedstawieniu, które miało zapewnić wolność Geoffreyowi Martewallowi i Ianowi. Kilka ofiar wśród najemników zdawało się rozsądną ceną.

– Niech będzie. – Nieświadomy spisku, który rozgrywał się na jego oczach, szef najemników przystał na propozycję i oddelegował po dwóch żołnierzy do każdej z grup pojmanych obrońców.

– A teraz odprowadzić więźniów – zakończył Gorvenal i skinął porozumiewawczo do swego towarzysza, który strzegł *sir* Haralda i Leowynn.

Ian poczuł, jak ściska mu się serce, widząc, że nadeszła chwila, gdy na dobre musiał oddalić się od Daniela, wciąż stojącego na dziedzińcu pod nadzorem żołnierzy lorda Salisbury.

„Powodzenia” – życzyli sobie nawzajem przyjaciele, odprowadzając się wzrokiem i czując jednakowy niepokój.

Ian, Martewall i Hektor zostali poprowadzeni w kierunku wieży północnej. Nie pozwolono im zamienić ze sobą nawet słowa. *Sir* Gorvenal poszedł w ślad za nimi.

Daniel stał w miejscu, spoglądając na sylwetkę Iana, która wkrótce zniknęła w budynku. Odczuwał potworny strach, że już nigdy więcej nie ujrzy swego przyjaciela. W końcu musiał odwrócić się w stronę ubranych w błękitno-złote szaty żołnierzy, którzy nakazali mu usiąść i oczekiwać na powrót *sir* Gorvenala.

Okna smukłej wieży, która miała być ich przyszłym więzieniem, wychodziły na morze. Była częścią drugiego okrągłego budynku – mniejszego i wyższego, w którym między piętrami wznosiły się spiralne schody. Z ostatnich poziomów wieży można było się dostać na ścieżkę wartowniczą na murach.

W środku panowało zimno – światło słońca nigdy nie wpadało do środka przez północne okna i z tego powodu budowla była zwykle niezamieszкана. Wykorzystywano ją wyłącznie jako magazyn i, w razie potrzeby, kolejny bastion zamku.

U jej podstawy z kolei dosztukowano nowy, niski budynek na planie prostokąta. Składowano w nim worki zboża, które przed oblężeniem musiały być zdecydowanie bardziej liczne. Gęsty mrok wieczoru przecinało słabe światło sączące się przez szczeliny w murach, jego blask padał na zakurzoną podłogę i przenikał przez otwarte drzwi ukazujące pierwsze stopnie spiralnych schodów prowadzących w głąb konstrukcji.

Ian, wchodząc do wieży, poczuł nagły niepokój i ścisk w gardle. Miejsce nie zdawało się oferować zbyt wielu dróg wyjścia i chłopak modlił się w duchu, aby

sposób ucieczki z twierdzy wybrany przez Gorvenala i Martewalla okazał się trafny. Rozglądał się za starym przejściem, o którym wspomniał *sir* Harald – tunelem prowadzącym do furtki na zewnętrzny dwór – ale nie zdołał go dojrzeć.

W myślach analizował rozkład zamkowych budynków, który po kilku dniach bitwy był mu już bardziej znajomy. Wieża północna znajdowała się w tylnej, wychodzącej na morze części kompleksu, nie wznosiła się jednak ponad urwisko, które w swoim najwyższym miejscu musiało mieć jakieś dziesięć metrów. Wybudowano ją raczej naprzeciw łagodnie opadającego zbocza wybrzeża, tam gdzie traciło ono na wysokości i przechodziło w płaskie, nadmorskie łąki. Z tej strony tylko dwa pierścienie murów chroniły zamek wybudowany na planie rombu, przy czym zewnętrzne obwarowania wznosiły się w formie półkola przecinającego cypel. Przez to aby uzyskać dostęp do morza, wystarczyła sekretna furtka już w środkowym pasie murów.

Trzeba tylko było się do niej dostać. Ian w dalszym ciągu nie rozumiał, w jaki sposób wejście do pozbawionego okien magazynu miałyby umożliwić im ucieczkę w ciemną, leśną głuszę.

Nieprzyjemne uczucie narastało wraz z dalszą częścią wędrówki – grupa wspinała się po schodkach, aż dotarła do otwartych wrót i wstąpiła na pierwszy poziom wysokiej konstrukcji.

Ian znalazł się w pustym pomieszczeniu na planie półkola, otoczonego przez grube mury z bardzo wąskimi szparami okiennymi. W tym miejscu również nie było widać przejścia, które mogłoby ich zaprowadzić na zewnątrz, jednak w drewnianej podłodze znajdowała się uniesiona kłapa. Tak jak w wielu średniowiecznych wieżach, również w Dunchester na poziomie piwnicy były lochy.

Gruby mur i druga para otwartych drzwi oddzielały pomieszczenie od bliźniaczej izby, zajmującej drugą połowę piętra.

Grupa zbrojnych zatrzymała się w pobliżu kłapy w podłodze.

Ian przełknął ślinę, zerkając na prostokątną czarną dziurę, która otwierała się u jego stóp. „Jak można się stąd wydostać?” – myślał z rosnącym niepokojem.

Zerknął ukradkiem na Martewalla i zobaczył, że pomimo ponurej miny rycerz panuje nad sobą. Ian postanowił wziąć to za dobrą monetę i usiłował zachować spokój. Mimo to nie opuszczały go złe przeczucia – zupełnie nie wiedział, czego może się spodziewać po Martewallu w najbliższej przyszłości.

Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że będą zmuszeni walczyć, ale żeby uwiarygodnić całe przedstawienie, zostali pozbawieni jakiejkolwiek broni, jeszcze zanim dotarli na zamkowy dziedziniec.

– Przynieście mi pochodnię i drabinę – nakazał *sir* Gorvenal dwóm swoim żołnierzom. – Wy zaś idźcie sprawdzić, czy nie ma w wieży niczego, co mogłoby nas w jakikolwiek sposób zaskoczyć – dodał, zwracając się do pozostałych.

Żołnierze rozdzielili się posłusznie: dwóch udało się do spichlerza obok, by przynieść to, o co prosił ich dowódca, trzeci wspiął się po schodach, by rzucić okiem na następne piętro, czwarty zaś myszkował w przylegającej izbie.

Ostatni żołnierz wrócił po krótkiej chwili.

– Nic tam nie ma, panie – oznajmił. – Tylko stara, zamknięta studzienka.

Ian dostrzegł porozumiewawcze spojrzenie, które wymienili między sobą Martewall i Hektor. Napiął wszystkie mięśnie, wiedząc, że zbliża się moment, w którym będą musieli zacząć działać.

– Dobrze – odpowiedział żołdakowi Gorvenal. – Teraz i wy idźcie na wyższe piętro. Sprawdźcie wieżę również z zewnętrznej strony, tam gdzie znajduje się okrążająca ją ścieżka wartownicza.

– Tak, panie. – Mężczyzna w pośpiechu zniknął w klatce schodowej.

Ian czuł, jak napięcie wzrasta. Gorvenal pozbywał się swoich ludzi z pola widzenia – odsyłał jednego po drugim, posiłkując się wiarygodnymi wymówkami, i młody Amerykanin nie musiał długo myśleć, aby zrozumieć jego plan. Akcja najwyraźniej powinna rozpocząć się w chwili, gdy wokół więźniów zostaną tylko najemnicy, których życie miało zostać poświęcone, aby ucieczka Iana i Martewalla była bardziej wiarygodna.

Ian chciał przygotować się do działania, lecz nie miał pojęcia jak.

Dwóch żołnierzy wróciło, niosąc lekką drewnianą drabinę i płonąca pochodnię. Gorvenal wskazał im klapę w podłodze.

– Sprawdźcie dokładnie, czy w środku nic nie ma. Później zamkniemy tam naszych więźniów.

Żołnierze natychmiast zabrali się do wykonywania rozkazu. Wsunęli drabinę w otwór i zeszli po niej ostrożnie, aby wy badać przyszlą celę więźniów. Pierwszy z nich niósł przed sobą pochodnię, którą oświetlał pomieszczenie.

Sir Gorvenal odczekał kilka chwil, upewniając się, że żołnierze zniknęli z pola widzenia, po czym chwycił za sztylet przypięty u pasa. Nie powiedział ani słowa, a jego twarz nie zdradzała najmniejszych emocji: gwałtownym ruchem dźgnął jednego z najemników znajdujących się w zasięgu jego ramienia.

Drugi żołdak zdążył jeszcze wydać z siebie okrzyk zaskoczenia, ale w tej samej sekundzie Hektor chwycił go za kark. Suchy trzask łamanych kości sprawił, że Iana przeszył głęboki dreszcz. Tuż po tym ostatni z najemników osunął się na ziemię, pozbawiony życia.

Martewall trzasnął Iana w ramię, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę.

– Drabina! – nakazał mu.

Ian rzucił się biegiem w stronę klapy i szybko wyciągnął drewnianą drabinę.

Zdążyli ją wydobyć, zanim żołnierze będący na dole zdali sobie sprawę z tego, co zaszło. Rzucili ją na ziemię przy akompaniamencie wrzasków obu mężczyzn, których

pozbawiono możliwości powrotu. Z czystej ostrożności Martewall zatrzasnął dodatkowo kłapę i zamknął ją na skobel.

Hektor pozbierał broń najemników rozciągniętych bez życia na podłodze. Chwycił za miecz i przekazał go Martewallowi.

– Powodzenia, panie – życzył mu, wymieniając z młodym baronem pełne niepokoju spojrzenia, po czym pobiegł schodami w górę, aby zatrzymać dwóch ostatnich żołnierzy znajdujących się w wieży i przeszkodzić im w zejściu na parter budynku.

– Powodzenia i tobie – wymamrotał Martewall w odpowiedzi, ale kapitan był już zbyt daleko, by móc go usłyszeć.

– Od teraz wszystko jest w waszych rękach – powiedział cicho *sir* Gorvenal do Iana, wręczając mu swój miecz. – Będę udawał, że wzięto nas podstępem i że nie zdołałem was zatrzymać. Żaden świadek nie zaprzeczy mojej wersji wydarzeń.

– Dziękuję za wszystko – odparł Amerykanin.

– Tędy. Nie ma czasu do stracenia – powiedział Martewall ponaglająco i wyprzedził go, kierując się do sąsiedniej izby. W biegu wręczył Ianowi sztylet zabrany od jednego z martwych najemników; drugi, identyczny, wsunął sobie za pas.

Pozwolili rycerzowi lorda Salisbury zrobić wszystko, co było konieczne, by jak najlepiej zatrzeć ślady oszustwa, po czym zamknęli za sobą wrota oddzielające dwa pomieszczenia na tym poziomie wieży. Ian rozejrzał się wokół siebie i zobaczył pustą komnatę, najwyraźniej pozbawioną drogi ucieczki.

Martewall pobiegł w kierunku studzienki.

Była to kwadratowa, kamienna konstrukcja sięgająca nieco powyżej kolan dorosłego człowieka. Jej otwór przykryty był solidną, metalową kratą, zabezpieczoną ciężkimi kłódkami.

Martewall oparł miecz o kamienny murek.

– A teraz schodzimy – oznajmił i chwycił obiema rękami za metal.

Ian wytrzeszczył oczy, widząc, jak żelazne rusztowanie podnosi się bez najmniejszego oporu. Kłódki były przyspawane do miejsc, w których się znajdowały – w przeciwieństwie do zawiasów, pozornie przymocowanych do kamiennych brzegów studzienki. Puściły bez najmniejszego szmeru.

Martewall zdjął metalowe zabezpieczenie i odłożył je na ziemię.

– Do środka – nakazał, wskazując na studzienkę. Rozwiązał jednocześnie rzemyki swojej kolczugi i ściągnął z głowy kaptur kolczy.

Ian zawahał się, czując przyspieszone bicie serca.

– Żartujesz, mam nadzieję. – Nie miał najmniejszego pojęcia, jak mógłby zejść na dno studni, bez liny. Oczami wyobraźni widział połamane kości kręgosłupa i śmierć przez utonięcie.

Poza tym, nawet jeśli udałoby mu się wskoczyć do środka i nie stracić przy tym

życia, co miałyby tam robić? Udać się w jakimś kierunku wpływ? Czyżby przejście znajdowało się pod wodą? I jak miałyby płynąć przy zabójczo niskich temperaturach, dodatkowo obciążony kolczugą?

– Są tam ukryte schody. Prowadzą do tunelu, którym wydostaniemy się na zewnątrz – wyjaśnił Martewall, zgadując jego wątpliwości. – W kilka chwil dotrzemy na zewnętrzny dziedziniec. A teraz rusz się!

Ian nie wydawał się szczególnie przekonany. O ile było mu wiadomo, Martewall mógł również usiłować podstępnie wrzucić go do środka.

– Ty pierwszy – odparł w końcu. – Pokaż mi, jak się tam schodzi, a ja pójdę za tobą.

– To nie moment na wyznania, że boisz się ciemności – odparł Martewall niecierpliwie. – A może lękasz się smrodu pleśni? Wy, Francuzi, nie wydawaliście się zbyt wrażliwi na zapachy, kiedy ukradliście nam Château-Gaillard¹⁶.

– Może lepiej przestałbyś strzepić język i zaczął schodzić? – odburknął mu Ian, krzywiąc się z niesmakiem. – Jeśli wpadniesz do wody w całej zbroi, nie mam zamiaru cię stamtąd wyławiać.

– Niczego innego bym się po tobie nie spodziewał. – Martewall wrzucił kolczugę do studni, po czym zrobił to samo z nagolennikami i rękawami wykonanymi ze splecionych ze sobą metalowych pierścieni. Rozwiązał kaftan i pozostał w samej tunice, spodniach z grubego płótna i wysokich trzewikach.

Z głębin studzienki do ich uszu dotarł dźwięk metalowych części wpadających z impetem do wody.

– Szkoda, to była dobra kolczuga – skomentował Martewall z goryczą, zaglądając do środka. – Ale o wiele lepiej nie pozostawiać po sobie śladów.

Ściągnął również czarny płaszcz turniejowy ze złotym lwem na piersi, lecz go nie wyrzucił. Wywrócił go tylko na drugą stronę, aby ukryć herb, i ponownie naciągnął na siebie, dłuższe końce ściskając pasem, za który zatknął miecz. Teraz zdawał się ubrany dokładnie tak jak Ian: w nierzucające się w oczy ciemne spodnie i grubą, czarną tunikę chroniącą klatkę piersiową.

– Może powinniśmy ściągnąć całą resztę tego żelastwa, które mamy na sobie – zauważył.

Niebezpieczeństwo wylądowania w lodowatej wodzie z ważącą kilka kilogramów kolczugą przerażało go prawie tak bardzo, jak ciemna paszcza szczerzącej się do niego studni.

– Zrób, jak chcesz, ale pamiętaj, że kiedy już będziemy na zewnątrz, wezmą nas na cel jak tarcze treningowe i możesz odrobinę żałować, że nie masz na sobie żadnego... żelastwa – odpowiedział Martewall, po czym spojrział na swego zniechęconego towarzysza ucieczki, wskazując mu otwór w podłodze. – Proszę na dół.

Ian nie ruszył się nawet z miejsca.

- To ty jesteś gospodarzem, droga wolna.
- Tylko się nie zgub – odpowiedział Martewall.

Studnia była wąska, ciemna i śliska. Martewall przesadził jej brzeg, znalazł oparcie dla nóg, po czym odwrócił się i trzymając się obiema rękami za kamienną krawędź, zaczął ostrożnie schodzić w dół. Wkrótce zniknął z pola widzenia.

– Pospiesz się. I pamiętaj, żeby zamknąć za sobą kratę – z ciemności dobiegł jego przytłumiony głos.

Ian zawahał się, po czym ruszył w ślad za rycerzem.

Chociaż dna studni nie było widać, z głębin dochodził cichy szmer wody. Wcale mu się to nie podobało. Oczyma wyobraźni widział ciemne tunele i znajdujące się pod zamkiem kanały o dnie pokrytym mułem, po czym raz jeszcze pomyślał o swoim przewodniku – musiał zaufać jego wskazówkom, żeby się nie zgubić i ponownie ujrzeć światło dzienne.

Przechylił się i spojrzał w głąb studni. Tuż pod jej krawędzią w kamiennym murze zamontowano coś w rodzaju sprytnie ukrytych stopni – metalowych uchwytów, na których można było oprzeć nogi. Nie było ich widać przy zasuniętej kratce. Ian przypomniał sobie, że podobne rozwiązania widział w nowoczesnych, fabrycznych silosach – ta drabina jednak nie wzbudzała zupełnie jego zaufania. Prześarte rdzą metalowe uchwyty zdawały się odpadać od murowanej ściany kanału.

„Czy to ustrojstwo wytrzyma mój ciężar?” – Ian zadawał sobie pytanie. – „Dlaczego *Hyperversum* z takim upodobaniem komplikuje mi życie?” – w jego głowie pojawił się cichy protest, lecz po chwili, mimo niepokoju i niepewności co do dalszych losów ucieczki, powziął decyzję. Hałas dobiegający z zewnątrz podpowiadał mu, że sytuacja pogarsza się z każdą minutą. Za chwilę cała wieża północna miała zostać dokładnie przetrząśnięta przez jego prześladowców.

Usiłując stłumić strach, chłopak wsunął za pas miecz, przełożył nogi przez brzeg studni i wyciągnął stopę, szukając oparcia.

Po krótkiej chwili znalazł wreszcie metalowy wspornik, zahaczył o niego stopę i ostrożnie przeniósł na nią cały swój ciężar. Podpora wytrzymała i Ian zorientował się, że aż do tej chwili wstrzymywał oddech. Przesadził brzeg kamiennego otworu i chwycił się go obiema rękami, tak jak zrobił to Martewall.

Spojrzał w dół, w ciemność. Z głębin docierało do niego jedynie szumiące echo wody.

Martewalla nie było już widać ani słychać, mimo że Ian nasłuchiwał bacznie przez kilka chwil.

Uderzyła go nagła, przerażająca myśl, że drugi rycerz mógł runąć w dół i wpaść do wody. Usiłował się uspokoić, powtarzając sobie, że nie słyszał ani krzyków, ani odgłosu spadającego ciała, na nic się to jednak nie zdało. „Ktoś taki jak on byłby w stanie specjalnie zlecieć i wyzionąć ducha w absolutnej ciszy tylko po to, żeby

jeszcze bardziej wszystko utrudnić” – pomyślał ze złością.

Tak czy siak, pewne było, że nie ma wyboru i musi pokonać metalowe stopnie, jeśli chce uciec z Dunchester – innej drogi nie było.

Ian obawiał się, że może się poślizgnąć i spaść. Zdecydował się jednak ostrożnie odmierzać kroki, opuszczając za każdym razem tylko jedną nogę – aż znalazł się w pozycji, kiedy krawędź studni sięgała mu do piersi. Przechylił się i przyciągnął jedną ręką metalową kratę. Była dość ciężka, nie na tyle jednak, by nie dało się jej przesunąć jednym ramieniem. Dźwignął ją z ziemi i zasunął otwór znajdujący się tuż nad jego głową.

Metal cicho zadzwęczał, kiedy krata powróciła na swoje miejsce i wpasowała się w fałszywe zawiasy, jakby nigdy jej z nich nie wyciągnięto.

Dopadło go nieprzyjemne uczucie, jakby właśnie został zamknięty w metalowej klatce, i to w dodatku na własne życzenie. W tej samej chwili usłyszał dochodzące z zewnątrz wściekłe nawoływania. Drgnął i usunął się w cień tak szybko, jak tylko był w stanie to zrobić.

W prostokątnej plamie światła wpadającego przez otwór studzienki pojawiło się popiersie żołnierza w czerwonym stroju.

Ian zamarł w bezruchu.

– Nie ma ich tutaj – wrzasnął głos spoza zasięgu jego wzroku, najwyraźniej drugi żołnierz znajdujący się w izbie.

– Nie ma stąd żadnego wyjścia, nie mogli tędy uciec! – dodał trzeci, rozwścieczony głos.

Najemnik zajrzał w głąb studni i do Iana dotarło, że najprawdopodobniej to koniec. Nie poruszył żadnym mięśniem i wstrzymał oddech, mężczyzna zerknął jednak na dno i odwrócił się ponownie do swoich towarzyszy z wyrazem wściekłości na twarzy. Czując, że serce wali mu tak mocno, jakby chciało zaraz wyskoczyć z piersi, Ian zdał sobie sprawę, że żołdak go nie zauważył. Ciemności studni były zbyt gęste i ukryły go przed jego wzrokiem.

– Studnia jest zaryglowana, nie mogli ukryć się w środku – powiedział najemnik i do Iana dobiegł dźwięk szarpania kłódki doczepionej do kraty. Mężczyzna nie zorientował się jednak, że zawiasy i kamienną krawędź konstrukcji łączą fałszywe gwoździe.

Żołnierz oddalił się od studni.

Ian usłyszał dochodzący z daleka rozwścieczony głos *sir* Gorvenala, który wzywał swoich ludzi.

– Przestańcie marnować tam wasz czas, to ślepy zaułek! Szukajcie ich raczej na zewnątrz, bo naprawdę zdołają nam czmychnąć!

Pospieszne kroki żołnierzy oznajmiły, że opuścili oni pomieszczenie. Zapadła cisza.

Ian, nie tracąc już więcej czasu, znowu zaczął opuszczać się w głąb studni.

*

Rozdział 25



Zejsście nie trwało tak długo, jak Ian się tego spodziewał, ale i tak zrobiło na nim niemałe wrażenie. Zdawało mu się, że penetruje antyczne katakumby. Powietrze wewnątrz było wilgotne, zimne i miało smak słonej morskiej wody, dało się słyszeć szmer strumienia. Mimo że zapadał już zmierzch, prostokątne wejście do studni wciąż jarzyło się bladym światłem.

Schodki skończyły się dość szybko i trzewik Iana trafił na kamienną podłogę. Pod studnią znajdowało się pomieszczenie, którego wielkości nie sposób było ocenić w ciemnościach, było jednak suche i dość wysokie, by zmieścić wyprostowanego, dorosłego człowieka.

Ian odetchnął z ulgą, ponieważ nie miał najmniejszej ochoty zanurzyć się w lodowatej wodzie. Stanął na chwilę w bezruchu, aby przyzwycząić oczy do panujących tam ciemności i uspokoić rozdygotane serce.

Samo zejście nie było prostym zadaniem, zważywszy na chwiejność zardzewiałych, metalowych uchwytów i wagę kolczugi ciężącej mu na plecach oraz wszystkie sińce i guzy, które nabił sobie przez parę ostatnich dni bitwy. Do Iana dotarło, że Martewall podjął słuszną decyzję, ściągając z siebie pancerz, zanim zniknął w otworze studni – tym bardziej że od kilku dni bolało go ramię.

Myśl o Martewallu sprawiła, że chłopak rozejrzał się wokół, w dalszym ciągu trzymając się metalowych wypustek. „A ten gdzie się podział?” – zadał sobie pytanie, nie odważył się jednak zawołać go w otaczającej go głuchej ciszy.

Dotknął stopą kamiennego podłoża i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą wąziutkie stopnie, umożliwiające dalszą wędrówkę wzdłuż zimnej ściany. Kawałek dalej otwierała się przepaść – ściana studni gwałtownie opadała w dół. Z niższego poziomu dochodziło jeszcze echo wody, niewidocznej dla oka, nie pozwalając ocenić, jak głęboki jest otwór.

Ianem wstrząsnął dreszcz. Próbował nie zastanawiać się nad tym, co by się stało, gdyby nierozważny krok spowodował jego upadek.

Stopnie schodziły w jednym kierunku i kończyły się kamiennym łukiem wykutym w skale. Ian zszedł z drabinki i posuwał się do przodu, twarzą zwrócony do wilgotnego muru. Kiedy dotarł do końca krótkiego korytarza dzielącego go od wejścia, znalazł się w ciasnym przejściu otwierającym się tuż za łukiem. Panowały

zupełne ciemności, usiłował więc iść jak najostrożniej: powoli stawiał stopy i wyciągał przed siebie ręce, by nie rozbić głowy o niewidzialne przeszkody albo nie polecieć nieoczekiwanie w przepaść. Jedyne, czego pragnął w tym momencie, to pochodnia – chociaż nigdy nie bał się ciemności, tunel sprawił, że czuł się jak kret ryjący pod ziemią, i było to zdecydowanie nieprzyjemne uczucie.

Na szczęście wędrówka nie trwała długo i Ian ujrzał nagle tuż przed sobą światło. Tunel kończył się rodzajem kamiennego sklepienia i chłopak dostrzegł przymknięte wrota, przez które wpadała blada smuga. Obok drzwi majaczyła się ludzka sylwetka.

– Trochę ci zajęło, zanim zdołałeś tutaj dotrzeć – dobiegł go głos Martewalla, który usłyszał zbliżające się kroki.

– Los nam sprzyja, niewiele brakowało – odpowiedział Ian. – Żołnierze dotarli do studni. Całe szczęście, że nie zauważyli przejścia pod spodem.

– Całe szczęście, że nie znaleźli cię obok – zastanawiającego się w dalszym ciągu, czy zejść, czy zostać w zamku – odparł Martewall sucho. – Mówiłem ci, żebyś się pospieszył, i miałem ku temu istotne powody.

– Co to za miejsce? – zapytał Amerykanin, usiłując zmienić temat. Nie miał teraz ochoty wysłuchiwać docinków swego nieprzyjaciela, zwłaszcza że wiedział, iż ten ostatni ma rację.

Lustrował pomieszczenie wzrokiem. W blasku światła wpadającego przez wrota mógł dojrzeć kamienne zejście, dość szerokie, które z poziomu izby opadało łagodnie w dół, niknąc w ciemnościach. Z jego głębi dobiegał szum wody.

– Jeszcze zanim się urodziłem, zamek miał bezpośredni dostęp do morza – wytłumaczył Martewall. – W skałach wybrzeża wykuto jaskinię połączoną tym tunelem z twierdzą. Małe statki mogły podpłynąć aż do rampy i tam zacumować, później pieszo dostawano się na zewnętrzny dziedziniec, właśnie przez te drzwi.

– A studnia?

– Wybudowano ją z dwóch powodów. Pozwala zaczerpnąć morskiej wody, która co prawda nie nadaje się do picia, ale za to przydaje się w razie pożaru. Jednocześnie służy również za sekretne przejście, które, jak sam widzisz, okazuje się użyteczne w wyjątkowych sytuacjach. Początkowo prowadziło aż dotąd i później ciągnęło się w kierunku nadmorskiego molo, jakiś czas temu jednak runęła część tunelu, który przecinał nadbrzeżne skały, i nie dało się go już naprawić. Droga prowadząca nad morze jest teraz zawalona kamieniami i przepływa tamtędy tylko woda, tunel prowadzący od studni prowadzi teraz wyłącznie na zewnętrzny dziedziniec.

– Szkoda, byłoby nam na rękę dostać się nad samo morze – skomentował Ian.

– Musimy sobie poradzić. To ty podobno jesteś specjalistą od spektakularnych ucieczek, nie? Mógłbyś wpaść na jakiś pomysł, który pomógłby nam się ulotnić.

Ian westchnął ciężko.

– Wyprowadź mnie najpierw na zewnątrz przez furtkę, o której wspominał twój

ojciec. Ja zajmę się resztą.

– Mam co do tego pewne wątpliwości – rzucił enigmatycznie Martewall, po czym uchylił drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Znajdowali się w drewnianym pomieszczeniu przesiąkniętym przenikliwym, nieokreślonym zapachem. Światło wpadało do środka przez malutkie, gęsto zakratowane okienka i szczeliny między belkami, z których zrobiony był sufit. Wysoko umieszczono grzędy i wyściełane skórą nisze – Ian zrozumiał, że trafił do zamkowej sokolarni. Zdziwiła go budowla znajdująca się na uboczu, poza twierdzą, jednak dotarło do niego, że kiedy oficjalny tunel prowadzący nad morze został zamknięty, władcy zamku postanowili ukryć przed niepożądanymi oczyma wrota, które obecnie stanowiły wejście do sekretnego przejścia.

Żerdzie były jednak puste, w niszach zaś nie było śladu po ptasich jajach. W pierwszym odruchu Ian pomyślał, że zwycięzcy zdążyli już ograbić pomieszczenie z ptactwa, nie zwracając najmniejszej uwagi na tajemnicze drzwi, przyjrawszy się jednak uważniej, uznał, że sokolarnia stała pusta już od jakiegoś czasu, być może nawet od lat.

– Mój brat Peter bardzo lubił polować i z chęcią oddawał się wszystkim rycerskim rozrywkom – powiedział niespodziewanie Martewall, a w tonie jego głosu zabrzmiała nuta nostalgii. Na chwilę pograżył się we wspomnieniach. – Mój ojciec z kolei od dłuższego czasu jest zbyt chory, by polować z sokołami. Od dawna pragnąłem przywrócić naszej sokolarni jej dawną świetność, ale nigdy nie przypuszczałem, że to ty będziesz pierwszym sokołem, który tutaj trafi.

W jego głosie pobrzmiwała gorycz i Ian zdecydował się nie odpowiadać. Usiłował wyobrazić sobie, co czuje jego rozmówca, zmuszony do ucieczki i opuszczenia własnego domu, który właśnie znalazł się we wrogich rękach, nie wiedząc, kiedy ani czy w ogóle zdoła do niego wrócić.

Ian dobrze znał uczucie pustki, którą odczuwał za każdym razem, gdy myślał o swoich najbliższych i o tym wszystkim, co było dla niego najcenniejsze. Miał wrażenie, że rozumie swojego nieprzyjaciela.

Chociaż zdawało mu się to zaskakujące, nagle poczuł współczucie dla angielskiego rycerza. Potrząsnął głową, chcąc jak najszybciej odpędzić od siebie tę myśl. Geoffrey Martewall był ostatnią osobą na świecie, której mógłby współczuć. Zwłaszcza po tym wszystkim, co zrobił jemu i Danielowi.

– Jeśli już skończyłeś z łzawymi wspominkami, moglibyśmy na przykład stąd wyjść. Myślę, że zdążyli już puścić się za nami w pogoń – odpowiedział oschle.

Martewall rzucił mu spojrzenie pełne wyrzutu, ale się nie odezwał.

Okna pomieszczenia, w którym niegdyś trzymano sokoły, wychodziły na zewnętrzny dziedziniec. Oddzielała go od niego zwyczajna para drewnianych drzwi. Odkąd zabrano stąd ptactwo, wrota nie były zaryglowane i ustąpiły przy lekkim

pchnięciu.

Pierwszy wyrżał Martewall.

Za drzwiami rozpościerał się zewnętrzny dziedziniec twierdzy, poprzecinany pasami długich cieni. Zmierzchało – światło dnia przygasało z każdą mijającą chwilą. Za moment miały zapaść całkowite ciemności.

Zazwyczaj odgłosy dobiegające z zamku milkły wraz z zachodem słońca i nad całym kompleksem zapadała wieczorna cisza. Teraz jednak z daleka dochodziły do nich gorączkowe pokrzykiwania, wraz z hałasem uzbrojonych mężczyzn pospiesznie wykonujących rozkazy.

„Wieści o naszej ucieczce szybko się rozeszły” – zauważył Ian, jednocześnie zastanawiając się, czy Hektorowi udało się przeżyć, czy też może poświęcił własne życie, aby ochronić Martewalla. Z pewnością nie po raz pierwszy dowiódłby wierności swojemu panu.

Jego myśli odruchowo powędrowały ku Danielowi, który pozostał w zamku jako zakładnik – również po to, by umożliwić ucieczkę swemu towarzyszowi.

W tamtej chwili alarm wciąż rozbrzmiewał w tej części zamku, skąd uciekli zbiegowie. Zwycięzcy bitwy wciąż nie znaleźli sekretnego przejścia i w związku z tym nadal szukali więźniów na wewnętrznym dziedzińcu i w zakamarkach północnej wieży, łamiąc sobie głowy nad tym, jak dwóch zakładników zdołało tak po prostu zniknąć.

Ian, stojący tuż za plecami Martewalla, widział wyraźnie szeroki odcinek środkowego pasa murów obronnych. Na ich szczycie wciąż jeszcze nie pojawili się strażnicy. Na dziedzińcu stało jednak pięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy. Zdawało się, że właśnie zakończyli obchód – stali w zwartej grupce, najwyraźniej przekazując sobie informacje i od czasu do czasu podnosząc wzrok w kierunku obwarowań i zamkowych baszt. Wszyscy mieli na sobie czerwone stroje królewskich najemników.

Przez parę chwil Ian miał ogromną nadzieję, że żołdacy szybko uznają, że w tej części twierdzy nie ma niczego, co mogłoby wzbudzać podejrzenia, i odejdą. Poczł jednak bolesne rozczarowanie na widok umieszczonej w kamiennym murze niewielkiej furtki, przy której czuwali wartownicy. Ani myśleli pozostawić wyjście niestrzeżone, zwłaszcza słysząc dobiegające z zamku echa alarmu.

– Bardzo szybko zjawi się tu ktoś i poinformuje ich o naszej ucieczce – powiedział Martewall półgłosem. – Powinniśmy ruszyć już teraz, zanim zjawią się pozostali.

Ian kiwnął głową, niechętnie godząc się na nieuniknione. „Lepiej dwóch przeciwko pięciu niż dwóch przeciwko dwudziestu” – pocieszał sam siebie z goryczą.

Martewall chwycił miecz w prawą dłoń. W lewej ręce dzierżył sztylet. Ian poszedł za jego przykładem.

Żołnierze wciąż stali w jednej grupie, rozmawiając i wskazując sobie nawzajem

różne miejsca w twierdzy. Nasłuchiwali z niepokojem odgłosów dochodzących z zamku, nie zwracali jednak szczególnej uwagi na budynek sokolarni. W tej części dworu pełno było drewnianych pomieszczeń gospodarczych – w większości służących do przechowywania siana i innych zapasów, wejście do sokolarni zaś zupełnie nie rzucało się w oczy.

Martewall, korzystając z gęstych półcieni późnego popołudnia, opuścił budynek, zgięty wpół przebiegł krótki odcinek wzdłuż drewnianej ściany, po czym rzucił się do ataku.

Żołnierze dostrzegli go w tym samym momencie. Kilku z nich wydało nagły okrzyk zaskoczenia, a ci, którzy stali do niego plecami, odwrócili się gwałtownie. Martewall z całym impetem natarł na pierwszego z nich, wymierzając mu okrutny cios w rękę, która wędrowała już w kierunku miecza. Mężczyzna krzyknął z bólu i zachwiał się na nogach, przytrzymując dłonią zakrwawione ramię, z którego nie było już pożytku.

Czterech pozostałych żołnierzy zdołało chwycić za broń – miecze i topory – jednak w tym samym czasie na miejsce dotarł Ian.

Amerykanin rzucił się na wrogów z impetem – nie spuszczał z oka ich rynsztunku i posługując się jednocześnie mieczem i sztyletem, przez kilka chwil walczył przeciwko dwóm przeciwnikom naraz.

Martewall dumnie dotrzymywał mu kroku, zajęty pojedynkiem z kolejnymi dwoma najemnikami.

Żołnierze jednak nie mieli najmniejszego zamiaru ryzykować życia w starciu z rycerzami. Ten, który został ranny w ramię, w pośpiechu opuścił miejsce potyczki i biegiem udał się w stronę głównego dziedzińca, za róg twierdzy, tam gdzie z całą pewnością stacjonowali żołnierze Murrowa.

– A l a r m! Zbiegli więźniowie! – zdążył krzyknąć, zanim jego głos został zdławiony przez sztylet rzucony przez Martewalla z bezlitosną precyzją. Broń młodego barona dosięgła żołnierza w okolicach kręgosłupa, zatapiając się w jego ciele aż po rękojeść.

Mężczyzna osunął się na bok i znieruchomiał. Angielski rycerz odwrócił się, by stawić czoła dwóm pozostałym żołnierzom, których zdołał się pozbyć na kilka chwil.

Ian z trudem trzymał na dystans atakujących go najemników – jego miecz jęczał pod gradem uderzeń nieprzyjaciół. Usiłował zatrzymać natarcie, które prawie dosięgło go z boku, jego miecz pękł jednak w połowie od brutalnego ciosu topora.

Chłopak zdołał odskoczyć o krok, unikając zbliżającego się uderzenia, jednocześnie musiał się jednak bronić przed drugim żołnierzem napierającym z przeciwnej strony. Udało mu się zatrzymać go wpół kroku, na ślepo godząc w niego sztyletem, po czym zgiął się w uniku przed kolejną próbą drugiego z walczących, który celował wprost w jego głowę. Schylił się nisko, pozwalając, by topór zaświstał

tuż nad nim, po czym wyprostował się błyskawicznie i wymierzył brutalny lewy sierpowy wprost w twarz mężczyzny, w zaciśniętej dłoni trzymając wciąż rękojeść połamanego miecza.

Żołnierz zachwiał się i wypuścił z ręki broń przy akompaniamencie zdławionego okrzyku Iana – jego dłoń i nadgarstek przeszył nieznosny ból. Młodzieniec pozwolił, by kikut miecza wysunął mu się z ręki, jednak – nie tracąc zimnej krwi – odwinął się i zadał przeciwnikowi głęboki cios sztyletem. Wróg upadł na ziemię. W jego piersi zionęła otwarta, śmiertelna rana.

Kolejny żołnierz zdołał zbliżyć się do Iana, wykorzystując to, że młodzieniec był zajęty pojedynkiem z jego towarzyszem. Niespodziewanie Amerykanin stanął z nim twarzą w twarz i nie udało mu się uniknąć ostrza jego miecza. Na szczęście kolczuga zakrywająca mu pierś wytrzymała cięcie, niemniej impet uderzenia odepchnął go w tył tak mocno, że chłopak nie był w stanie odeprzeć ciosu sztyletem. Ian zacisnął zęby i kopnął z dołu najemnika, celując w uzbrojone ramię podnoszące się do kolejnego pchnięcia. Zaskoczony żołnierz zobaczył swój własny miecz zataczający łuk wysoko w powietrzu.

W tej samej chwili w polu widzenia pojawiła się czarna postać. Błyskawicznie dopadła najemnika, złapała jedną ręką za uchwyt jego miecza i skrzyżowała go z własnym ostrzem.

Stalowe nożyce zgrzytnęły przeszywająco, metal otarł się o metal.

Głowa żołnierza spadła, tocząc się aż pod nogi Iana.

Młodzieniec na próżno usiłował przełknąć ślinę, czując suchość w gardle na widok makabrycznego przedstawienia. Podniósł oczy i ujrzał Martewalla trzymającego nieruchomo dwa miecze i stojącego nad bezgłowymi zwłokami.

Tak jak Ian, Anglik dyszał ciężko, a po jego twarzy spływały krople potu. Na ziemi za jego plecami leżały rozciągnięte ciała zabitych żołnierzy.

Pozbyli się wszystkich strażników.

Dwóch rycerzy w ciszy spojrzęło na siebie i Ian nagle zdał sobie sprawę, że Martewall zdobył dodatkową broń, ten ostatni cios był zaś nieprzeciętnym dowodem jego umiejętności. Gdyby w tym momencie młody baron zdecydował się wyrównać rachunki ze swoim znienawidzonym kompanem podróży, Ian znalazłby się w bardzo trudnej sytuacji.

Amerykanin ujrzał refleks swoich własnych myśli w szarych oczach rywala, który jednak zdecydował się opuścić oba miecze.

Ian ukrył westchnięcie ulgi, usiłując stworzyć pozory niezachwianej pewności siebie.

– Gratulacje – powiedział, z niejakim wstrętem wskazując na pozbawionego głowy żołnierza i kałużę krwi, która powoli wsiąkała w ziemię obok niego.

– Chodźmy stąd – odpowiedział lakonicznie Martewall i rzucił Ianowi jeden

z dwóch mieczy, po czym podniósł z ziemi sztylet oraz pochwę miecza należącego do martwego żołnierza. Skierował się w stronę furtki. Ian zauważył, że Anglik ściska obolałe od wielu dni ramię.

Również na jego twarzy pojawił się grymas bólu, kiedy schylił się po drugą porzuconą pochwę na ostrze. Bolał go bok, w który najemnik zadał mu cios, ale jeszcze większy ból czuł w lewej dłoni. Ledwo mógł nią poruszać. „Mam nadzieję, że nic sobie nie połamałem” – życzył sobie z niewielkim przekonaniem, biorąc pod uwagę ból, który pulsował również w nadgarstku.

Z trudem przypiął sobie pokrowiec do pasa i wsunął do niego miecz, po czym podbiegł do Martewalla, czekającego przy furtce. Były to małe wrota zbudowane z wytrzymałego drewna, mogło się w nich zmieścić zaledwie kilku pieszych naraz.

– Przydałbyś się na coś – nakazał Anglik, wskazując na ciężką ryglującą bramkę zasuwę, zaczepioną na dwóch metalowych uchwytych wystających z kamiennego muru. Jeden człowiek nie dałby rady usunąć stalowego skobla, Ian zaś miał naprawdę dużą nadzieję, że we dwóch zdołają tego dokonać, w przeciwnym razie cała ich ucieczka mogła się zakończyć porażką, zanim jeszcze zdołają wydostać się na zewnątrz.

Martewall zaparł się z jednej strony zasuwę, Ian stanął naprzeciwko. Z ust wyrwało mu się stłumione przekleństwo, kiedy poczuł ból promieniujący z lewej ręki i nadgarstka, zmuszający go do rozluźnienia chwytu. Ignorując zaciekawione spojrzenie Martewalla, młody Amerykanin zmienił pozycję i schylił się pod metalowym skoblem, żeby wypchnąć go barkiem do góry, tak by nie obciążać obolałej dłoni.

Musieli napierać z całą siłą, jaka im pozostała, ale w końcu zasuwę uniosła się i z brzękiem wysunęła z uchwytów. Kiedy upadła na ziemię, prawie jednocześnie z ich gardel wyrwało się westchnienie ulgi i wysiłku. Martewall pociągnął za bramkę i ją otworzył, odsłaniając tunel, który prowadził w głąb muru.

– Miejmy nadzieję, że drugi rygiel będzie nieco łatwiejszy do usunięcia – burknął Ian. – Na co się gapisz? – zapytał niegrzecznie Martewalla, który zatrzymał się przy wejściu do korytarza.

– Na nic – odparł Anglik. – Zauważyłem tylko, że jak na Francuza przejawiasz tendencję do rzucania przekleństw w moim rodzimym języku. Od razu widać, że kiedy jesteś rozzłoszczony, saksońskie słownictwo przychodzi ci o wiele łatwiej niż normandzkie.

Uwaga Martewalla sprawiła, że Ian poczuł przeszywający go dreszcz – wiedział, że każdy kolejny fałszywy krok może zdradzić jego tożsamość. Martewall jednak nie dał mu czasu na ripostę, wkroczył już bowiem w tunel ciągnący się za bramką i zniknął w ciemnościach.

Ian, przeklinając w duchu zmysł obserwacji Anglika, ruszył w ślad za nim, uważny

na każde słowo, które mogło mu się wymknąć.

Korytarz był wąski i panował w nim zaduch. Dwóch zbiegów posuwało się do przodu po omacku – jedyne światło, jakie tu docierało, sączyło się z otwartej furtki, którą pozostawili za plecami. I tak nie zdołaliby jej zamknąć na tyle starannie, by wrogowie nie odkryli drogi ich ucieczki, a na rozpalenie pochodni straciliby zbyt wiele cennego czasu. Musieli się pospieszyć, by dotrzeć do wrót wieńczących tunel z drugiej strony.

Sufit zawieszony był tak nisko, że Ian dosiegał do niego głową. Młodzieniec zadrżał, widząc nad sobą wąziutkie prześwity, przez które wpadała odrobina światła – były to machikuły, śmiertelnie niebezpieczne szpary, przez które strażnicy mogli wycelować groty swoich strzał w poruszających się pod spodem nieszczęśników.

Przez kilka chwil chłopak nasłuchiwał z każdej strony świstu lotek, ale na szczęście cała trasa ich wędrówki przebiegła w absolutnej ciszy. Dotarli do celu.

Drugie wrota były bardziej solidne niż pierwsze – ryglowały je dwie zasuwki umieszczone w poprzek, u podstawy i u szczytu furtki. Przeklinając siarczyście w myślach, Ian wraz z Martewallem zabrali się do roboty, żeby umożliwić sobie wyjście. Pchali i ciągnęli przez dłuższą chwilę, aż wreszcie pierwszy skobel upadł na ziemię.

Druga zasuwka stanowiła większe wyzwanie.

– Od jak dawna nikt nie otwierał tych przeklętych drzwi? – zapytał Ian, dysząc ciężko. Nie tylko wysiłek utrudniał mu oddychanie, to przede wszystkim czas spędzony w ciemnym i wąskim tunelu sprawiał, że odczuwał głęboki niepokój. Wiedział, że żołnierze króla mogą pojawić się w każdym momencie i złapać zbiegów w pułapkę jak dwie bezbronne myszy.

– Zdaje się, że od piętnastu lat – wysapał Martewall w odpowiedzi.

– I nie wpadliście na pomysł, żeby częściej sprawdzać zamki?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Dwóch rycerzy pchało i ciągnęło skobel ze wszystkich – pozostałych im jeszcze – sił, jednak w końcu musieli zrobić przerwę, żeby odzyskać oddech.

– Cholerne drzwi! – wykrzyknął Martewall, dodając kwiecistą wiązaną obelg pod adresem opornego skobla. Usiłował podważyć zasuwę w pojedynkę, wypychając ją barkiem, ale tylko naciągnął jeszcze bardziej już i tak obolałe mięśnie. Opadł na podłogę obok furtki, z jękiem masując sobie plecy.

– Twoje połamane kości do niczego nam się nie przydadzą – prychnął Ian karcąco, siadając obok niego, by zaczerpnąć powietrza.

Martewall westchnął głęboko kilkakrotnie, zanim zmusił się do odpowiedzi. W ciemnościach zabrzmiał jego rozwścieczony głos, w którym teraz słychać było nutę niepokoją.

– Nie ma innej drogi wyjścia niż ta.

– Wiem – Ian zamilkł na kilka chwil, po czym zebrał siły i podniósł się na nogi. – Spróbujmy raz jeszcze.

Zabrali się do pracy ze zdwojonym zaangażowaniem, zaciskając zęby i dając z siebie wszystko. Kiedy nadzieja na sukces zaczęła ich opuszczać, zasuwa drgnęła i wysunęła się nieco z zawiasów.

– Puszczaj! – wykrzyknął Ian, rozemocjonowany.

W tym samym momencie od strony otwartych drzwi wychodzących na wewnętrzny dziedziniec dotarło do ich uszu dalekie echo wzburzonych nawoływań.

– Trafili na nasz ślad! – wykrzyknął Martewall zduszonym głosem.

Ian poczuł, jak momentalnie przyspiesza mu serce.

– Pospieszmy się, bo inaczej będzie z nami źle! – odparł z rozpaczą, ponownie napierając na skobel.

Martewall zaraz do niego dołączył.

Dzięki ich wspólnym wysiłkom zasuwa uniosła się jeszcze trochę.

Krzyki z zewnątrz zbliżały się. Żołnierze właśnie dostrzegli zwłoki rozciągnięte na ziemi. Z daleka pobrzmiwały wykrzykiwane rozkazy. Nadchodzili.

„Przekłete drzwi, otwierajcie się!” – pomyślał Ian w przypiływie paniki.

Zasuwa nagle ustąpiła, wyskakując niespodziewanie z zawiasów, i zleciała z impetem, prawie przygniatając nogi dwóch zrozpaczonych uciekinierów, którzy zachwiali się, zaskoczeni jej ciężarem.

Martewall popchnął wrota z całej siły i zdołał je otworzyć.

Jednym susem znaleźli się na zewnątrz.

Furtka wychodziła na osuwisko prowadzące w stronę morza. W tym miejscu twierdzy nie osłaniał dodatkowy, trzeci pas murów, lecz właśnie ukształtowanie terenu, naturalna przeszkoda, która miała chronić Dunchester przed ewentualnymi zakusami zbrojnych oddziałów wroga. Urwisko było tak strome, że praktycznie uniemożliwiało przejście konnicy czy jakimkolwiek zwierzętom jucznym i zaprzęgowym. Dwóch zbiegów poruszających się piechotą również mogło zapomnieć o szybkim oddaleniu się od zamku.

Ian zrobił jeden krok i przystanął.

– Dokąd do diabła mamy tędy dojść? – wykrzyknął ze strachem. – Tam w dole jest przecież tylko morze!

– Nie tylko, a teraz lepiej, żebyś się pospieszył! – Martewall zdążył już dobiec do miejsca, w którym teren stromo opadał. Zatrzymał się na krawędzi urwiska i spojrzał w dół, usiłując zaplanować jak najlepszą trasę zejścia.

Ian szedł w jego stronę, kiedy nagle spostrzegł ruch na murach zamku. Podniósł wzrok i ujrzał żołnierzy, którzy obserwowali ich przez kamienne blanki.

– Padnij! – wrzasnął do Martewalla, rzucając się biegiem w jego kierunku. Anglik zdążył jeszcze zobaczyć żołnierzy uzbrojonych w kusze i Amerykanina, który rzucił

się na niego w rozpaczliwym skoku. Oboje potoczyli się w dół, zsuwając się na dno urwiska.

Szczęśliwie, na osuwisko w dużej mierze składały się złoża miękkiej ziemi, piasku i drobnych kamyków, które osłabiły impet upadku. Ian i Martewall znaleźli się właściwie na samej plaży, jeden na drugim – obaj całkowicie umorusani ziemią i posiniaczeni. Nad ich głowami zaświstały groty strzał, które nie trafiły do swego celu i zginęły w ciemnych wodach wzburzonego morza.

Martewall wykaszlał kilka ziarenek piasku, które wpadły mu do ust podczas upadku.

– Połamany kark na nic się nam nie przyda! – jęknął, nawiązując do kpiny rzuconej przez Iana kilka chwil wcześniej.

Chłopak zepchnął go na bok bez większych ceregieli, pozbywając się ciężaru, który przygniatał mu klatkę piersiową.

– Wybacz mi mój nieuprzejmy pośpiech. Następnym razem pozwolę ci robić za tarczę strzelniczą – odparł. Wstał, otrzepał się i przetarł oczy łzawiące od drobinek ziemi.

Dorzuciłby coś jeszcze, ale się powstrzymał, widząc, że Martewall z trudem podnosi się na nogi i cały czas przytrzymuje ręką obolałe ramię. Piasek, który przyczepił się do czarnego rękawa jego tuniki, zmienił kolor na krwistoczerwony.

– Dasz radę? – zapytał Ian. Tym razem w tonie jego głosu nie było ironii. Odruchowo podniósł rękę, żeby pomóc swemu towarzyszowi ucieczki.

Martewall zawahał się przez chwilę, po czym dźwignął się sam na nogi, nie korzystając z oferty pomocy.

– Dam radę – wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

Wyciągnięta ręka Iana opadła.

– Dokąd teraz?

– Tędy. I lepiej się pospiesz. – Martewall skierował się w lewo, utykając z lekka na początku, po czym, kiedy w końcu zdołał odzyskać oddech, przyspieszył jeszcze kroku. Ian trzymał się tuż za nim. Do jego uszu dotarły pokrzykiwania żołnierzy, którzy stali już na krawędzi zbocza.

– Mają nas! – powiedział do Martewalla.

– Muszą jeszcze dostać się na plażę i nie wydaje mi się, żeby byli gotowi odważyć się na to, co my właśnie zrobiliśmy – odparł Anglik, nie odwracając nawet głowy. – Zdążymy stąd uciec.

– Wyjaśnij mi, w jaki sposób – odparł Ian niedowierzająco.

Ciemności narastały błyskawicznie i cienie gęstniejące pomiędzy wijącą się linią wybrzeża utrudniały wędrówkę, nie pozwalając na szybkie przemieszczanie się. Pokonywali biegiem krótkie odcinki trasy, pełnej dziur oraz nasypów ziemi i kamieni. Co jakiś czas docierała do nich zimna morska woda, która zacierała ich ślady,

jednocześnie sprawiając, że podłoże stawało się śliskie i niebezpieczne. Buty uciekinierów grzęzły w ciężkim piasku.

– Nie ma szans, żeby najemnicy króla Jana i żołnierze tego psa Murrowa znali tę plażę lepiej ode mnie. Wychowałem się wśród tych klifów – ciągnął Martewall, wypatrując uporczywie czegoś przed sobą. W pewnym momencie bez ostrzeżenia zбочzył ze ścieżki, by wdrapać się ponownie na stromiznę urwiska. Pomagał sobie rękoma pomimo bólu w ramieniu.

– Dokąd idziesz? – wykrzyknął Ian. Bez chwili zastanowienia podbiegł do Anglika, przeskakując przez nasypy kamieni. Odpowiedź nie nadchodziła, Ian jednak zdał sobie sprawę, że jeden z cieni na zboczu osuwiska różni się od pozostałych. Z dołu nie można było tego zauważyć, ale teraz mieli przed sobą wejście do naturalnego zagłębienia w skale – niewielkiej jaskini.

Ian nabrał co do tego pewności, gdy Martewall wcisnął się w sam środek cienia i zniknął mu z oczu. Zrobił to samo i wpadł na Anglika leżącego na wznak i ciężko dyszącego. Byli wewnątrz dobrze zakamuflowanej groty, idealnie wtapiającej się w skaliste zbocze i wychodzącej na morze.

Z jaskini nie było innego wyjścia i zagłębienie mogło pomieścić zaledwie dwóch dorosłych ludzi, jednak fakt, że była zupełnie niewidoczna z dołu, sprawiał, że stanowiła doskonałą kryjówkę przed tymi, którzy nie mieli o niej pojęcia. Ian domyślił się, że Martewall chciał jej użyć jako tymczasowego schronienia przed śledzącymi ich żołnierzami.

– Zarówno ja, jak i moi bracia chowaliśmy się tutaj za każdym razem, kiedy chcieliśmy uniknąć różgi naszego ojca – wyjaśnił Anglik, nie czekając na pytania Iana. Rozejrzał się dookoła i dorzucił szeptem: – Wtedy jednak zdawała mi się o wiele większa niż dzisiaj.

Ian rozejrzał się dookoła i doszedł do wniosku, że miejsce to rzeczywiście mogło być idealną kryjówką, lecz jednocześnie nie mógł pozbyć się nurtującej go myśli: gdyby ktoś, na ich nieszczęście, wypatrzył jaskinię z dołu, kryjówka mogła się zamienić w śmiertelną pułapkę. Nie zdążył jednak powtórzyć swych przemyśleń na głos, ponieważ z dołu dotarły do głosu i wrzaski żołnierzy.

Młodzieniec skulił się i objął kolana ramionami, wstrzymując oddech. Martewall podniósł głowę. Jego ręka powędrowała w stronę miecza.

Czekali w pełnej napięcia ciszy.

Żołnierze biegli wzdłuż linii wybrzeża, nawołując się i rzucając wiązki przekleństw. Kiedy ich głosy uciszyły się w oddali, obaj zbiegowie mogli wreszcie zaczerpnąć powietrza w płuca.

Martewall opuścił głowę na ziemię i zamknął oczy na kilka chwil.

– Prędzej czy później zorientują się, że zgubili nas po drodze, i zawrócą. Wtedy mogą uważniej przyjrzeć się zboczu – zauważył Ian.

– Wtedy będzie już ciemno i jeśli będą chcieli nas znaleźć, będą musieli oświetlać sobie drogę pochodniami – odpowiedział drugi rycerz i oparł się z wysiłkiem na łokciach. – W każdym razie, wywiązałem się z mojego obowiązku i wyprowadziłem cię za furtkę, teraz twoja kolej – rzucił mu sarkastyczne wyzwanie. – Tobie raczej nigdy nie brakuje pomysłów, prawda? Proszę bardzo, wymyśl coś, co pomoże nam się przedostać do Francji.

Wypowiedział ostatnie słowo z takim obrzydzeniem, jakby paliło mu język, Ian nie podjął jednak prowokacji i nie odpowiedział. Myślał raczej nad sposobem, który mógłby ułatwić im dalszą wędrówkę, i doszedł do wniosku, że priorytetem będzie znalezienie bezpiecznego schronienia i posilenie się przed dalszą drogą.

„Przydałyby się również jakieś medykamenty na nasze rany” – przypomniał sobie Ian, czując przeszywający ból w lewym nadgarstku. Martewall był w jeszcze gorszym stanie, mimo że z nonszalancją usiłował to ukryć.

Musieli bezwzględnie zaspokoić podstawowe potrzeby – dopiero potem mogli zabrać się do poszukiwania transportu, który pozwoliłby im opuścić Anglię i przedostać się do Francji. Rzecz jasna, gdyby lordowi Salisbury nie zależało tak bardzo na utrzymaniu w sekrecie jego zamiarów dotyczących rebelii przeciwko Janowi bez Ziemi, cała sprawa byłaby o wiele prostsza i dwóch uciekinierów mogłoby liczyć na dodatkową pomoc w dotarciu do wybrzeży Francji.

Myśl o lordzie Salisbury przypomniała mu o Danielu. Poczł niepokój. Jego przyjaciel był teraz zakładnikiem w rękach wyjątkowo wyrachowanego człowieka i gdyby ucieczka miała się zakończyć porażką, mógł być pewien, że baron pozbyłby się Daniela bez większych wyrzutów sumienia – byle tylko nie skompromitować się w oczach Jego Wysokości Jana bez Ziemi.

Młodzieniec przetarł dłonią twarz, usiłując zebrać wszystkie siły i determinację, jakie mu jeszcze pozostały, by ich dalszej ucieczce nie zaszkodził żaden fałszywy krok.

„Nic nie ma prawa pójść źle” – powtórzył sobie po raz setny, lecz coraz trudniej było mu uciszyć strach, który zżerał go od wewnątrz. Skoncentrował się na podstawowych kwestiach: bezpieczne schronienie, posiłek, lekarstwa. Nad resztą postanowił zastanowić się później.

– Musimy się dostać do portu w Dunchester. Tylko tam mógłbym liczyć na jakichś życzliwych marynarzy, którzy zabraliby nas na pokład bez większych problemów – powiedział w tym samym momencie Martewall. – Mieszkańcy będą nas kryli, kiedy mnie rozpoznają.

– Musimy jednak pamiętać, że port to miejsce, od którego nasi przeciwnicy rozpoczną poszukiwania, i możesz być pewien, że nie spuszczą z oka żadnego wypływającego statku – zawahał się Ian. – Nie możemy się tam pokazać bez dobrze przemyślanego planu. Będą na nas czekali w dokach, a ja wyjątkowo rzucam się

w oczy.

Martewall burknął coś niezrozumiałego, po czym pogrzył się w ponurym milczeniu, usiłując przemyśleć strategię działania.

Ian również zastanawiał się nad opcjami – jedyny wniosek, do którego zdołał dojść, był taki, że zdecydowanie potrzebują jakichkolwiek sojuszników. We dwóch nie mieli szans zejść daleko, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich zmęczenie i rany. Młodzieniec obawiał się też nadchodzącego chłodu nocy – nie mogli przecież nawet rozpalić ogniska, żeby nikt ich nie zauważył.

Ian odtwarzał w pamięci, w jaki sposób zdołał dostać się do portu w Glenhaven i wyjść stamtąd niezauważony – przyłączył się wówczas do grupy kupców spieszących na targ. Jednocześnie próbował przypomnieć sobie, kto zapewnił mu dach nad głową i ciepły posiłek, i w myślach podziękował mieszkańcom okolicznych osad.

Wpadł na pewien pomysł.

– W porządku. Wiem, co robić – powiedział w końcu.

Martewall rzucił mu niedowierzające spojrzenie.

– To znaczy?

Ian wstał z ziemi, pochylając się pod niskim sklepieniem jaskini.

– Przede wszystkim idziemy do Willingham.

*

Rozdział 26



Daniel zobaczył *sir* Gorvenala na zamkowym dziedzińcu. Powracającego z wieży rycerza wyprzedził biegnący żołnierz.

– Więźniowie uciekli! – wykrzyczał resztkami tchu. Na dziedzińcu podniosły się liczne głosy, wyrażających różnorakie emocje. Żołnierze króla klęli niemiłosiernie z wściekłości i błyskawicznie zaczęli organizować grupę pościgową, a ci, którzy przegrali bitwę, teraz otwarcie wiwatowali, wychwalając młodego barona, który zdołał wywieść wrogów w pole.

Daniel skoczył na równe nogi, czując, jak serce bije mu w szaleńczym tempie.

Sir Gorvenal rzucił mu z daleka porozumiewawcze spojrzenie, po czym odwrócił się w stronę Nigela Murrowa, który do niego podbiegł.

– Geoffrey Martewall i dwóch jego ludzi zdołali zbiec. Chcę, by wszyscy wasi żołnierze zgłosili gotowość do pościgu za uciekinierami – rzucił niegrzecznym tonem, uprzedzając jakiegokolwiek pytania. – Nie mogli wyjść poza teren zamku. Macie przeszukać każdy kąt!

– Ale w jaki sposób zdołali...?! – wykrzyknął nastoletni baron, oszołomiony.

– Macie zamiar się ruszyć? Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia!

Murrow rzucił się biegiem, by nakazać swym ludziom pogoń za zbiegami.

– Tyczy się to i was! – dodał Gorvenal, zwracając się do najemników, którzy patrzyli na niego z wściekłością.

Wszyscy zbrojni niemal natychmiast wzięli się do pracy i wkrótce wyprowadzono z dziedzińca ostatnich więźniów, pozostawiając miejsce na działania żołnierzy. Słudzy i dowódcy Dunchester zostali skierowani do środka twierdzy, wojskowym i pokonanym żołnierzom związano ręce i zaprowadzono ich na dziedziniec wewnętrzny, żeby znaleźć dla nich odpowiednie miejsce odosobnienia.

– Na tego szczególnie uważajcie – nakazał *sir* Gorvenal żołnierzom, którzy sprawowali pieczę nad Danielem. – Nie spuszczaście go z oka nawet na chwilę.

Żołnierze wyciągnęli miecze, gotowi na wszystko. Gorvenal udał się złożyć raport z zajścia Williamowi de Longespée.

Daniel musiał ponownie usiąść na kamiennym schodku u stóp studzienki. Ze strachem nasłuchiwał każdego alarmu dochodzącego z twierdzy.

Minęło kilka długich minut, w ciągu których nie nadeszły żadne wieści. Daniel czuł

się zawieszony między niepokojem oczekiwania a nadzieją, że Ian rzeczywiście zdołał uciec.

W chwili gdy Daniel zaczął odczuwać ulgę związaną z brakiem złych wiadomości, na dziedzińcu rozległ się entuzjastyczny krzyk:

– Mamy jednego z nich!

Chłopak zerwał się z ziemi, zanim jednak zdążył zrobić choć jeden krok, został brutalnie powstrzymany przez strzegących go żołnierzy.

Również *sir* Murrow ponownie pojawił się na dziedzińcu w towarzystwie kilku zbrojnych, przyciągnięty przez hałas.

Z sercem w gardle Daniel obserwował grupkę najemników ciągnących kogoś w stronę młodego barona. Podziękował niebiosom w chwili, gdy rozpoznał Hektora, zaniepokoił się jednak, widząc, że mężczyzna cały jest pokryty krwią.

Najemnicy rzucili go bezlitośnie na zakurzoną ziemię. Rycerz wciąż żył, nie miał jednak siły, nawet by podnieść ręce. Jego plecy znaczyło głębokie cięcie mieczem, a całe ciało było pokryte śladami okrutnych razów.

– Ten pies już nie zaszczeka! – wykrzyknął jeden z najemników ironicznie, wymierzając kopniaka w bok wykończonego więźnia.

Hektor wydał z siebie zduszony jęk, ale nie był w stanie się ruszyć.

Sir Murrow cofnął się o krok z niesmakiem malującym się na twarzy, nic jednak nie powiedział.

– Przestańcie! – wrzasnął Daniel z wściekłością.

Jeden z pilnujących go żołnierzy przytrzymał go za ramię. Daniel zawahał się przez kilka sekund, ale jego oburzenie przeważało nad zdrowym rozsądkiem.

Chłopak odwrócił się do żołnierza z furią:

– Zabieraj łapska! Jestem rycerzem i ważnym zakładnikiem twojego pana. Dotknij mnie jeszcze raz, a sprawię, że ci je obetną.

Tak stanowcza groźba zrobiła odpowiednie wrażenie i żołnierz rozluźnił chwyt.

Prawo twardej pięści niespodziewanie zadziało i Daniel zrozumiał, że dysponuje minimum autorytetu. Pomijając to, że był rycerzem, ludzie lorda Salisbury musieli traktować go z należyтым szacunkiem przez wzgląd na jego status „specjalnego więźnia”.

– I niech ktoś powstrzyma tych morderców! – nakazał pozostałym żołnierzom. – A może chcecie stać i patrzeć, jak katują bezbronного człowieka?! Czy wśród was są same łajdaki i tchórze?

Zbrojni spojrzeli po sobie nawzajem, po czym odwrócili się w stronę Murrowa, jego ludzi i najemników.

– Zostawić więźnia. Odtąd będzie pod moim nadzorem – pospieszył z rozkazem młody baron, zwracając się do najemników.

Ludzie króla niechętnie odstąpili od leżącego Hektora. Jeden z nich splunął na

ziemię z pogardą.

Daniel odskoczył od studzienki i zdecydowanym krokiem podszedł do najemników. Żołnierze lorda Salisbury rzucili się w ślad za nim z obnażonymi mieczami, nikt jednak nie odważył się zatrzymać chłopaka, kiedy ten schylił się nad Hektorem, usiłując podnieść rycerza z ziemi.

Królewscy najemnicy również zostali zmuszeni do odsunięcia się na bok – żołnierze lorda Salisbury ostrzami swych mieczy dali im do zrozumienia, że mają się trzymać z daleka od Daniela. Amerykanin przykleknął, by pomóc Hektorowi dźwignąć się choćby do pozycji siedzącej, jednak wykończony mężczyzna opadł na jego pierś i Daniel musiał go podtrzymywać, by nie upadł.

Rana na jego plecach nie wyglądała zbyt dobrze – krew lała się z niej obficie. Potrzebny był lekarz, i to natychmiast – dotarło do Daniela. Ręce miał całe mokre od posoki.

– Rozkażcie komuś, by sprowadził tutaj medyka, nie możecie pozwolić, by się wykrwawił – rzucił w stronę Murrowa.

– Słyszeliście? Wezwać kogoś, kto go opatrzy! – powtórzył chłopak swoim żołnierzom, odzyskując werwę.

„Idiota” – pomyślał Daniel.

Hektor rozkaszał się słabo, bezwładny w jego ramionach, po czym podniósł na niego wzrok:

– ...*ils sont hors du château...*¹⁷ – powiedział cicho. W jego francuskim słyhać było surowy, flamandzki akcent, a w oczach dało się dostrzec cień satysfakcji, mimo bólu.

Daniel przytaknął.

– *Grâce à votre sacrifice*¹⁸.

Resztką sił Hektor wykrzywił twarz w półśmiechu.

„Miejmy nadzieję, że było tego warte” – przemknęło przez głowę Danielowi. Jego myśli powędrowały w stronę uciekającego Iana i wszystkiego tego, co mogło spotkać jego i Martewalla poza terenem twierdzy.

Żołnierze króla przeczesywali dokładnie ziemie przylegające do zamku – mieli ze sobą psy, konie i oświetlali drogę pochodniami.

Na szczęście nadmorski pas piachu oblewany ciągle przez wzburzone morze pomógł dwóm zbiegom zatrzeć ślady stóp i utrudnić pościg psom gończym. Poza teren zamku jednak można było się wydostać tylko jedną drogą, biorąc pod uwagę, że uciekinierzy nie dysponowali łódką.

Wrogowie byli tego świadomi i strategicznie rozlokowali swoje siły wzdłuż całej

linii wiodącej od Dunchester w kierunku wnętrza wyspy, przetrząsając zaciekle każdy zakamarek.

Stawka w tej grze była wysoka – dwóch uciekinierów miało zbyt duże znaczenie i z całą pewnością ani najemnicy króla, ani ludzie *sir* Murrowa nie chcieli pokazać się ze złej strony, pozwalając zbiec samemu młodemu władcy zamku w towarzystwie przeklętego Francuza.

Wraz z nadejściem ciemności Ian i Martewall usłyszeli kroki żołnierzy kierujących się w stronę zamku – musieli wrócić do zamku po pochodnie. Po chwili wszystko ucichło.

Kiedy uciekinierzy upewnili się, że na zewnątrz nie ma już nikogo, opuścili grotę i skierowali się w stronę krańca urwiska.

Słońce już całkiem schowało się za horyzontem, na ciemnym niebie rysowały się nieliczne kłęby mleczyńskich chmur, blady dysk księżycy i kilka jasnych gwiazd. Temperatura obniżała się coraz bardziej, tak że oddechy Iana i Martewalla przemieniały się w obłoczki pary, a mroźne powietrze przeszywało ich do kości – zwłaszcza że obaj pozbawieni byli ciepłych okryć.

Kiedy dotarli do równiny, na której rozciągały się pola uprawne, przycupnęli za rzadkimi krzewami, by lepiej przyjrzeć się okolicy.

W nocnej scenerii zamek Dunchester oświetlały liczne ogniki pochodni poruszające się wzdłuż jego murów. Widziana z daleka twierdza sprawiała widmowe wrażenie, największy niepokój budziły jednak dobiegające z oddali nawoływania żołnierzy, którzy maszerowali przez wrzosowiska, prawie niewidoczni w ciemnościach.

Ian ze strachem spoglądał na horyzont, usiłując odgadnąć, z której strony mogą nadejść ich prześladowcy. Jego wzrok przyciągnęło kilka słabych płomieni na ciemnych łąkach. Towarzyszył im ledwo słyszalny tętent końskich kopyt i szczekanie psów.

– Nie mów mi tylko, że w pościg za nami puszczono twoje własne gończe ogary – powiedział do Martewalla, w jego głosie jednak było więcej lęku niż zwykłej ironii.

– Najprawdopodobniej tak. Nie wydaje mi się, żeby wojsko prowadziło ze sobą psy łowne – odparł lakonicznie Martewall. – Nie będą im jednak szczególnie pomocne. W Dunchester pozostały tylko trzy ogary – wszystkie mają już swoje lata i nie są już najlepszymi tropicielami.

– Miejmy nadzieję – burknął Ian, nie do końca przekonany.

Najszybciej jak potrafili, zaczęli przemierzać łąkę pokrytą zimną rosą, biegli zgięci wół wśród zarośli i chwastów, tak aby nikt nie zdołał ich zauważyć z oddali.

Szczęśliwie tej nocy księżyc rzucał słaby blask i widoczność była ograniczona do zaledwie kilku metrów – uciekinierzy dotarli do lasu niezauważeni przez nikogo.

Wśród czarnych konarów drzew Ian zwolnił, by się rozejrzeć i zdecydować,

w którym kierunku powinni się udać.

Mniej więcej orientował się w topografii tego miejsca i wiedział, w którą stronę iść, aby dotrzeć do zniszczonej wioski Willingham, nie był jednak w stanie odnaleźć właściwej ścieżki bez pomocy kogoś, kto dobrze znał ten las. W drodze do zamku podążał ślepo za Bullem i innymi mieszkańcami wioski, teraz zaś miał pewne trudności w odnalezieniu właściwej ścieżki wśród labiryntu bezlistnych krzewów i drzew. Nieprzeniknione ciemności leśnej gęstwiny jeszcze bardziej utrudniały wędrówkę.

Ian zatrzymał się. Czuł narastającą bezsilność, kiełkowały w nim obawy przed obraniem błędnego kierunku i wpakowaniem wprost na ich prześladowców.

– Z której strony jest Willingham? Orientujesz się, którędy musimy pójść? – zapytał Martewalla, nabierając pewności, że sam nie zdoła ich poprowadzić.

– Ojej, nie wiesz, gdzie jest południe? – Anglik wyprzedził go i objął prowadzenie. – Tędy.

W pośpiechu zanurzyli się w ciemnym borze. Starali się poruszać jak najciszej. Wiedzieli jednak, że nie są w stanie zatrzeć za sobą wszystkich śladów, ich zapach nie mógł umknąć nawet najstarszym psom, które prędzej czy później musiały wpaść na ich trop.

– Tak bardzo bym chciał, żeby zaczęło padać. Nigdy nie widziałem tak suchej zimy, jak w tym roku – burknął Martewall, wiedząc, że deszcz mógłby przeszkodzić zwierzętom w wysłedzeniu zbiegów.

Ian również modlił się gorąco w duchu choćby o mżawkę, ale z chmur zawieszonych wysoko pomiędzy koronami drzew najwyraźniej nie zamierzała spaść ani jedna kropla.

Leśny mrok gęstniał coraz bardziej. Każdemu ich stąpięciu towarzyszył suchy trzask gałęzi i trzeszczenie kamieni pod podszewkami trzewików.

Od czasu do czasu do ich uszu dobiegało wycie psów i za każdym razem sprawiało, że obaj mężczyźni podskakiwali. Szczęśliwym trafem wciąż dochodziło ono do nich z daleka i w końcu zamilkło na dobre.

Rycerze biegli przed siebie tak długo, jak długo starczyło im sił, później przeszli do szybkiego marszu, aż w końcu zaczęli wlec się przed siebie. Zimno było coraz bardziej przenikliwe, zmęczenie zaś dawało im coraz częściej o sobie znać. Ian czuł, jak wstrząsają nim dreszcze, mimo że maszerował przed siebie bez wytchnienia. Nogi ciążyły mu, jakby były zrobione z ołowiu. Usiłował rozetrzeć sobie ramiona, pocierając się dłońmi w bezskutecznym poszukiwaniu ciepła, ale ból w lewym nadgarstku wykrzywił mu twarz. Dwa środkowe palce były prawie pozbawione czucia i z trudem przychodziło mu ich zginanie.

„Chyba naprawdę musiałem je złamać” – dotarło do Iana, nie zatrzymał się jednak ani na moment.

Anglik nie odzywał się już od dłuższej chwili. Z całych sił ścisnął ranne ramię i stawiał kroki z coraz większym wysiłkiem.

Ian stracił poczucie czasu. Jego myśli przepełniał strach przed polującymi na nich ludźmi króla. Opuszczała go już nadzieja, gdy nagle poczuł charakterystyczny zapach spalenizny i popiołu sączący się pomiędzy ciemnych zarośli.

W milczeniu podziękował niebiosom. Martewall odzyskał werwę i wydłużył krok, mówiąc:

– Dotarliśmy do tego, co pozostało z Willingham.

W chwilę później kilka uzbrojonych cieni wychynęło nagle z leśnego gąszczu, zastępując drogę wędrowcom.

Ian podskoczył, a jego ręka powędrowała automatycznie w kierunku miecza, w powietrzu jednak rozległ się cichy gwizd i coś z niezawodną precyzją trafiło go w bark. Z okrzykiem bólu młodzieniec zgiął się wpół i poleciał do przodu.

Martewall zdążył wyciągnąć miecz z pochwy, zanim jednak zdążył podnieść ramię, wyrosły przed nim ostre widły celujące niechybnie w sam środek jego piersi.

– Ani kroku dalej, niechby was...! – wykrzyknął władczy, kobiecy głos.

Ian w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że jego kolczuga nie została przedziurawiona na plecach, mimo dotkliwego bólu spowodowanego niespodziewanym atakiem. Nie został ugodzony strzałą – dosięgnął go kamień. Wymierzony z procy.

Rozpoznał kobiecy głos nakazujący im zatrzymanie się.

– Beau! Brianna! Poczekajcie, na miłość boską! – krzyknął, przewidując, jaki obrót mogą przybrać sprawy.

Kobieta, która groziła Martewallowi parą wideł, wytrzeszczyła oczy w ciemnościach, gdy rozpoznała Iana.

– Nasz piękny rycerz! – wykrzyknęła i cofnęła się o krok, opuszczając swoją prymitywną broń.

Również pozostałe cienie wokół nich zatrzymały się w pół kroku, patrząc po sobie z oszołomieniem. Byli to ludzie z Willingham, uzbrojeni w kije i narzędzia do pracy, najwyraźniej odbywający nocną wartę dookoła tego, co uważali za swoje obozowisko, by nie dać się zaskoczyć przez niespodziewany atak.

Z zarośli wyskoczył Lisi Ogon i biegiem dopadł Iana z wyrazem zaniepokojenia na buzi.

– *Sir Ian!* Czy to naprawdę wy?

Młody Amerykanin usiłował poruszyć barkiem, by choć trochę osłabić ból po uderzeniu z procy.

– Ty i ta twoja przeklęta zabaweczka wpadniecie kiedyś w poważne tarapaty – burknął.

Chłopiec wymamrotał coś na kształt szczyrych przeprosin, usiłując ukryć swoją

procę za plecami.

– Co też tutaj robicie? – zapytała Brianna, jej głos jednak zmieszał się z okrzykami zaskoczenia współmieszkańców, którzy rozpoznali, z kim nadszedł Ian.

– *Sir Geoffrey Martewall!* – powiedział jeden z nich z niedowierzaniem.

Briannie i Lisiemu Ogonowi osłupienie odebrało mowę.

Odkrycie sprawiło, że wszyscy pozostali mieszkańcy Willingham cofnęli się o krok. Pierwsi, którym udało się opanować zdumienie, pokłonili się przed Martewallem z szacunkiem i uniżeniem.

– Ja i wasz pan potrzebujemy waszej pomocy i schronienia – oznajmił Ian, wskazując na drugiego rycerza. – Żołnierze króla ruszyli za nami w pościg.

Oświadczenie spowodowało nagłe poruszenie w szeregach wioskowych wartowników.

– Biegnijcie obudzić wszystkich! – wykrzyknęła Brianna. – Musimy ich ukryć!

– Postaram się zatrzeć ślady! – zaoferował swoją pomoc Lisi Ogon. – Rozsypię popiół na drogę, z której nadeszliście, to zmyli psy gończe. Znam też parę innych sztuczek.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł w kierunku zniszczonej wioski.

– I my musimy wrócić pod nasze dachy – rzuciła Brianna w stronę pozostałych mieszkańców. – Tej nocy musimy podwoić strażę i wzmóc czujność.

Ian spojrzał na kobiety i mężczyzn posłusznie powracających w stronę Willingham.

– Zostaliście teraz ich przywódcą? – zapytał Briannę z podziwem.

Potrząsnęła głową.

– Jeszcze tego by brakowało. Wyobrażacie sobie, że ktoś mógłby słuchać rozkazów z ust kogoś takiego jak ja? Prawda jest taka, że wszyscy nasi mężczyźni udali się do Dunchester, na miejscu pozostali wyłącznie starcy, ci, którym brakło sił, i tchórze. Ktoś w końcu musiał zakasać rękawy i zająć się organizacją życia w osadzie, żebyśmy jakoś sobie poradzili. Ja, niestety, zbyt często musiałam walczyć o przetrwanie w pojedynkę.

– Co też się stało w ostatnich dniach? – zapytał Ian z niepokojem.

– Mogłabym zapytać was dokładnie o to samo. – Kobieta spoglądała raz na jednego, raz na drugiego rycerza. – Pomijając coraz większe trudności w zdobywaniu pożywienia i ciągły strach przed żołnierzami króla, którzy mogą wrócić i się na nas zemścić, nic tak naprawdę się nie zmieniło i nasza dola jest wciąż taka sama. W Dunchester natomiast nie mogło pójść dobrze, skoro jesteście tutaj tylko we dwóch.

Spojrzała na Geoffreya Martewalla i dorzuciła:

– Obawiam się, że macie bardzo złe wieści, mości panie baronie.

Rycerz był zmuszony przytaknąć. Jego głos zadrzał:

– Dunchester jest teraz w rękach króla. Nie jestem już niczym panem.

Brianna obserwowała narastające w nim ból i wściekłość.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – A mężczyźni z naszej wioski? I ci z Aversly?

– Pozostali w zamku jako więźniowie. Wielu z nich oddało życie podczas obrony zamku.

Brianna przyjęła informację w ciszy i wbiła wzrok w ziemię.

– Jeśli wśród nich był wasz mąż, brak mi słów, by wyrazić moje ubolewanie – dodał szczerze Martewall.

Kobieta potrząsnęła głową i zdecydowanym ruchem odrzuciła w tył burzę ognistych loków.

– Mój mężczyzna zginął wiele lat temu, nie martwcie się o mnie. W wiosce znajdziecie jednak wiele innych rodzin – żony i dzieci – którym będziecie musieli wyjaśnić, co się stało, i wyrazić całe ubolewanie, które w sobie znajdziecie.

– Tak też uczynię, mimo że nie mam dla siebie usprawiedliwienia, jako że nie zdołałem obronić mego ludu – odparł rycerz ze wstydem.

Brianna nie odpowiedziała.

– Musicie dojechać do siebie. Opatrzę wasze rany, panie baronie. Krwawicie – powiedziała zwyczajnie po chwili. – Dotyczy to i was, *sir* Ianie, widzę, że spuchła wam ręka. Później pomyślimy, co dalej.

Martewall, zanim udał się śladem kobiety, rzucił drugiemu rycerzowi ponure spojrzenie.

– *Sir* Ian, co? – powiedział, powtarzając tytuł, którym posłużył się również Lisi Ogon kilka chwil wcześniej. – Naprawdę zmieniasz skórę jak wąż przed każdym, z kim przecina się twoja ścieżka.

Ian nawet nie silił się na odpowiedź i w milczeniu podążył za Brianną.

Daniela zaprowadzono do komnaty na drugim piętrze twierdzy – tej samej, którą jeszcze kilka dni temu dzielił z Ianem. Wszystko było tak jak dawniej, z małym wyjątkiem – drzwi do pokoju dokładnie zaryglowano od zewnątrz i strzegli ich żołnierze Williama de Longespée.

Kiedy tyko został sam, skierował kroki w stronę wąskiego i pozbawionego szyby okna, które wychodziło na dziedziniec.

Na zamkowym podwórzu panowały teraz cisza i ciemność. Mrok rozświetlał wyłącznie blask pochodni trzymany przez wartowników. Nawet z góry i w tak słabym świetle Daniel był w stanie rozpoznać miejsce, gdzie ziemię wciąż znaczyła ciemna plama krwi należącej do Hektora.

„Miejmy nadzieję, że ma się lepiej” – pomyślał Daniel i rzucił spojrzenie w stronę

wrót prowadzących z dziedzińca w głąb zamkowych lochów. Teraz strzegli ich wojowie w czerwonych i niebieskich barwach.

Na rozkaz Murrowa Hektor, mimo stanu, w jakim się znajdował, został zamknięty w podziemiach, sam lord Salisbury zaś nie protestował wyjątkowo zaciekle – prawdopodobnie po to, by pobłażliwość wobec więźniów nie wzbudziła podejrzeń w oczach wszystkich tych, którzy mieli go za wiernego sługę króla Jana.

Daniel mimo to nalegał na sprowadzenie medyka dla rannego kapitana i nie pozwolił odprowadzić się do komnaty, dopóki nie nabrał pewności, że rana zostanie zszyta profesjonalną ręką – z użyciem wszelkich środków, by zapobiec jej zakażeniu.

Udało mu się wywalczyć zamknięcie Hektora w jednej celi z *sir* Kerwickiem i *sir* Ewenem, by ci mogli się nim zająć. Kiedy zaś został już zmuszony do opuszczenia dziedzińca, przyjął z dumą wdzięczne spojrzenia rycerzy Dunchester.

Teraz wreszcie zostawili go samego i miał mnóstwo czasu na rozmyślanie nad tym, co może przynieść przyszłość.

Na stoliku dymił talerz z gorącą kolacją, chłopak nie zwracał jednak uwagi na posiłek. Spoglądał przez okno. Zapłaciłby każdą cenę, by móc zobaczyć horyzont poza murami twierdzy.

Kto wie, gdzie znajdował się w tej chwili Ian i czy naprawdę zdołał uciec przed prześladowcami. To, że aż do tej pory żadna wstrząsająca wiadomość nie zakłóciła nerwowej ciszy panującej w zamku, zdawało się potwierdzać taką teorię.

Daniel przeprowadził w głowie szybkie kalkulacje: żeby dotrzeć do Francji, dostać się do Châtel-Argent i wrócić tą samą drogą, potrzeba było przynajmniej kilku dni, jeśli nie całego tygodnia.

„I co ja przez ten czas będę robił?” – zadawał sobie nerwowo pytanie.

Stosunkowa uległość, z którą lord Salisbury zgodził się na los, jaki spotkał Hektora, nie napawała go szczególnym optymizmem. Zrozumiał, że angielski książę nie kiwnąłby palcem, by pomóc więźniom – gdyby tylko mogło to w jakikolwiek sposób zagrozić jego tajnym spiskom.

Chłopak nie miał najmniejszych wątpliwości – gdyby stopień zagrożenia wzrósł poza dopuszczalny poziom, de Longespée nie zawahałby się nawet przed poświęceniem tak zwanych zakładników o dużym znaczeniu, mimo wszystkich obietnic złożonych przed Ianem.

„Uwięził mnie tutaj jak zwierzę w klatce i nic nie mogę zrobić” – pomyślał Daniel i spojrzał w dół. Ucieczka przez pojedyncze okno komnaty, pozbawione dodatkowo jakiegokolwiek oparcia dla stóp, była właściwie niemożliwa, tym bardziej że wychodziło ono na jedno z najbardziej strzeżonych miejsc w całym zamku.

Czując, jak narasta w nim frustracja, szczelnie zamknął okiennicę i oddalił się od okna, oświetlając sobie drogę jedynie płomieniem świecy. Podeszedł do łóżka, usiadł i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

– Help! – zawołał półgłosem, upewniając się, że nie usłyszy go żaden z żołnierzy stróżujących na zewnątrz.

Hyperversum nie odpowiadało.

Przez czystą skrupulatność Daniel wypróbował wszystkie znane mu polecenia, po czym pozwolił, by wyciągnięta ręka opadła bezwładnie na łóżko. Zgiął się wpół i oparł łokcie na kolanach.

Jego myśli powędrowały w kierunku domu. Zastanawiał się, co zrobiłaby jego rodzina, odkrywszy jego zniknięcie. Po drugiej stronie gry minęło zaledwie kilka godzin, być może nikt jeszcze niczego nie podejrzewał. A może stało się odwrotnie i odkryli całą prawdę, jednak nie znaleźli sposobu, by jakkolwiek im pomóc.

„Uwięziony tutaj na zawsze” – uporczywa myśl ponownie przemknęła mu przez głowę, napełniając go głębokim strachem.

Nie był taki jak Ian, nigdy nie podjąłby tak radykalnej decyzji i nie postanowił spędzić reszty życia w średniowieczu.

Przede wszystkim zostawił tam kobietę, którą kochał. Poczuł obezwładniającą tęsknotę za Jodie i zrozumiał, jakie uczucia musiały kierować Ianem, przekonany, że stracił swą Isabeau na zawsze. Prawie tak, jakby ktoś wydarł mu serce z piersi.

Daniel zacisnął pięści z całych sił. „Przekłęta gro, nie oddzielisz mnie od całej reszty mojego życia” – obiecał z wściekłością podyktowaną strachem. „Przysięgam, że znajdę sposób, żebyś zaczęła słuchać moich poleceń, za wszelką cenę! Wyjdę stąd i nie będziesz już mieć żadnej władzy nad moim przeznaczeniem”.

Dźwięk rogu dobiegający z za okna oznajmił porę zmiany warty na zamkowych murach.

*

Rozdział 27



Przyjazd rycerzy do Willingham obudził ludzi drzemących pod dachami prowizorycznych szałasów. Wieści szybko obieły cały obóz, wywołując niemałe zamieszanie. Dunchester było w rękach króla, młody baron zaś zdołał uciec z pokonanej twierdzy i teraz szukał schronienia wśród swoich poddanych.

Martewalla i Iana powitali prawie wszyscy mieszkańcy Willingham, którzy nie zważając na późną porę, tłumnie nadciągali z każdej strony obozowiska.

Ian pozdrawiał znajome twarze i czuł na sobie wzrok oszołomionych wieśniaków. Osadnicy natychmiast go rozpoznali, nikt jednak nie spodziewał się ujrzeć go w metalowej kolczudze i w dodatku w towarzystwie barona Dunchester. Nie trzeba było żadnych wyjaśnień, żeby zrozumieć, że tajemniczy cudzoziemiec był rycerzem.

Martewall rozglądał się dookoła, na jego twarzy malowały się mieszane uczucia. Obserwował przede wszystkim chwiejące się wśród popiołów szałas, wzniesione tam, gdzie jeszcze niedawno stały wiejskie chałupy – teraz zgłiszcza były smutnym dowodem zemsty najemników króla.

– Przekłęci... Jakże mogli odważyć się na podobne bezceństwo? – Ian usłyszał jego cichy głos, w którym pobrzmiwała zimna furia.

Amerikanin również czuł złość, mimo że widział wcześniej, jaki los spotkał biedną wioskę. Przez tych kilka dni, które minęły, od kiedy był tutaj po raz ostatni, mieszkańcy zrobili, co mogli, by podreperować swoje baraki, ale mimo ich szczerego wysiłku rezultaty były słabo widoczne. Surowa zima utrudniała pracę i sprawiała, że zapasy szybko topniały. Do najcięższej roboty brakowało zaś silnych, męskich rąk. Teraz wystraszone oczy wpatrywały się z napięciem w dwóch uciekinierów, koncentrując się zwłaszcza na Martewallu. Wyzierała z nich mieszanka niepokoju i rozpacz – wiedzieli, że ich pan nie zdoła im pomóc, i bali się o swoją przyszłość.

– Postanowiliśmy w końcu zostać tutaj. Dokąd moglibyśmy pójść? – wyjaśniła Brianna dwóm rycerzom. – Mój syn wraz z innymi wybrali się parę razy na zwiady w stronę Dunchester, ale o mały włos nie wpadli w zasadzkę żołnierzy króla. Zakazaliśmy im więc kolejnych wypraw w tamtym kierunku. Całe szczęście, byli na tyle rozsądni, żeby nas posłuchać.

„Naprawdę, całe szczęście” – pomyślał Ian, biorąc pod uwagę to, jak dramatyczny

obrót przyjęły wydarzenia na zamku.

– Teraz w Dunchester przerwano już walki – zauważył młodzieniec. – Zamek jest w rękach lorda Salisbury i *sir* Murrowa.

– *Sir* Nigela Murrowa z Glenhaven? Sąsiada naszego pana? – zapytała zaskoczona Brianna.

Wiadomość szybko dotarła do uszu pozostałych, wzbudzając zdumienie zwłaszcza wśród mieszkańców Aversly, których ziemie wchodziły w skład lenna Murrowa.

– W rzeczy samej, nie marnował czasu ani okazji – zauważyła Brianna.

– Padalec pozbawiony zasad – skomentował Ian. – Wbił sztylet w plecy Dunchester, a przecież, o ile wiem, on i *sir* Harald od zawsze byli sojusznikami.

Martewall przemilczał komentarz Amerykanina, niemniej jego posępny wyraz twarzy mówił sam za siebie.

– Prędzej czy później tego pożałuje – dodała Brianna, mając na myśli nieletniego barona. – Porzucił lojalnego sojusznika, by stanąć w szeregach tego, komu nie wolno ufać. Król Jan wybiera sobie faworytów i wrogów zależnie od własnego humoru.

Ian milczał przez chwilę, w pełni jednak zgadzał się z kobietą. Znał też skutki przyszłej rewolucji baronów.

W centrum osady rozpalono wielkie ognisko, by oświetlić obozowisko i pozwolić nowo przybyłym się ogrzać. Obu zbiegów usadzono na kamieniach. Natychmiast podano im wodę i chleb z odrobiną sera, by choć trochę zaspokoili głód.

– Możemy zabić kurę i upiec ją dla was, panie – zaoferowała z szacunkiem starsza kobieta, nalewając Martewallowi wody.

– Zachowajcie zapasy dla tych, którzy ich potrzebują. Nam wystarczy chleb – odmówił zdecydowanie rycerz.

Druga kobieta zbliżyła się, by zająć się krwawiącym ramieniem barona. Martewall ściągnął szatę i obnażył ranę, która otworzyła się na nowo w ostatnich godzinach wyczerpującej przeprawy. Pozostali mieszkańcy (w większości kobiety, a także starcy i ranni) zgromadzili się wokół niego, by dowiedzieć się czegoś o przebiegu oblężenia i poznać losy uwięzionych w Dunchester członków ich rodzin, przyjaciół i sąsiadów.

Ian przysłuchiwał się rozmowie w ciszy, pozwalając Martewallowi na wyjaśnienie jego ludziom, co wydarzyło się do tej pory i czego mogą się spodziewać w najbliższej przyszłości.

Rycerz usiłował uspokoić najbardziej zaniepokojonych mieszkańców, pocieszał tych, którzy obawiali się o losy swych braci, mężów i synów, i zapewniał wszystkich, że lord Salisbury jest rozsądnym i sprawiedliwym panem, który nie pozwoli na dalsze prześladowania własnego ludu.

– Przynajmniej taką mam nadzieję – zakończył Martewall z goryczą. – Lord Salisbury to człowiek honoru i nie sprawia mu przyjemności urządzanie krwawych kaźni. Nie będzie prześladował zwyciężonych.

Ian nie skomentował słów Martewalla z nadzieją, że ten naprawdę ma rację. Tak jak pozostali mieszkańcy wioski i on myślni był z uwięzioną w murach Dunchester bliską osobą, o której życie miał powody się obawiać.

– A wy, panie? Co teraz zrobicie? – zapytał jeden ze starców.

Martewall zawahał się, zanim odpowiedział na pytanie, i spojrzał z ukosa na Iana.

– Obecnie skazany jestem na wygnanie – odparł wymijająco. – O ile Bóg pozwoli, powrócę któregoś dnia do mego domu.

Ian po raz kolejny zdecydował się milczeć. Obserwował mieszkańców wioski, którzy rzucali mu pytające spojrzenia, nie pozwolił jednak, by jego twarz zdradziła choć cień ich tajemnicy. Również Martewall zdecydował się zboczyć z tematu i nie odpowiadał na pozostałe pytania.

Mieszkańcy zrezygnowali z dalszych dociekań i powrócili do kwestii oblężenia oraz zdobycia Dunchester przez wojska Williama de Longespéego, usiłując choć w najmniejszym stopniu przewidzieć czekające ich wydarzenia. Dyskusja trwała jeszcze przez dłuższą chwilę – wszyscy czuli się w obowiązku wyrażenia swych opinii i obaw.

– Wy zaś jaką odgrywacie w tym wszystkim rolę? – zwróciła się Brianna do Iana, który trzymał się z boku, nie biorąc udziału w rozmowie. Kobieta przyniosła miednicę z wodą i niewielkie płócienne zawiniątko i usiadła obok Amerykanina.

– Muszę towarzyszyć Martewallowi w jego podróży – odparł Ian.

– A ten przyjaciel, którego mieliście szukać w Dunchester?

– W samej rzeczy, zdołałem go odnaleźć – spojrzenie Iana pociemniało. – I musiałem pozostawić go w rękach nieprzyjaciela. Liczę na to, że zdołam jak najszybciej tu powrócić, by go uwolnić.

– Czyżby był zakładnikiem? – obniżyła ton głosu Brianna, rozglądając się ostrożnie dookoła.

– Niestety tak. Teraz muszę znaleźć sposób, by zwyciężyć w pertraktacjach o jego wolność. Tutaj jednak nie uda mi się tego dokonać. Muszę dostać się na statek, by przepłynąć przez kanał La Manche.

– Udajecie się do Francji? – zapytała Brianna z nagłym błyskiem zainteresowania w oczach.

– Tak, lecz błagam was, nie zadawajcie mi więcej pytań – odpowiedział Ian. W następnej sekundzie poczuł nagłe ukłucie bólu w lewej dłoni.

To Brianna chwyciła go obiema rękami za obolały nadgarstek i badała opuchnięte palce i dłoni. Jej dotyk zdradzał doświadczenie.

– Boli? – spytała.

Ian zacisnął zęby.

– Gdybym się nie wstydził, pozwoliłbym sobie wrzasnąć – przyznał.

– Nie macie połamanych palców i są to zdecydowanie dobre wieści – ciągnęła, nie

podnosząc oczu znad jego dłoni.

– Przynajmniej ty... – zaczął Ian, ale nagle przerwał okrzykiem przeszywającego bólu, w chwili gdy Brianna szybkim i zdecydowanym ruchem nastawiła mu środkowy palec. Usłyszał chrupnięcie.

– Złe wieści są takie, że muszę doprowadzić wam do porządku i drugi palec. W ten sam sposób – mówiła kobieta, trzymając w żelaznym uścisku dłoń młodzieńca i nie pozwalając mu na żaden ruch.

Drugi raz był dla Iana jeszcze gorszy od pierwszego – tym razem wiedział, co go czeka. Przygryzł usta aż do krwi, by nie krzyknąć, i poczuł, jak do oczu napływają mu łzy z bólu. Brianna wsadziła jego dłoń do lodowatej wody w miednicy i delikatnie rozmasowała obolałe miejsca.

– Zaraz będzie lepiej – zapewniła go, otwierając płócienne zawiniątko, które ze sobą przyniosła. Wyciągnęła z niego niewielki pojemniczek z tajemniczym mazidłem i kilka liści. Osuszyła dłoń Iana, nałożyła na nią maść, a kontuzjowane palce owinęła liśćmi, zawiązując opatrunek wąskim pasmem płótna. – Nie zdejmujcie tego przez kilka dni. Ból minie wam szybko. Opuchlizna trochę później.

– Dziękuję – jęknął Ian z urazą.

Rzuciła mu szybkie i uważne spojrzenie.

– Zbyt brutalnie się z wami obeszłam? Z takim dużym, postawnym i dzielnym rycerzem?

– Rycerz czy nie, zabolęło jak diabli, a wyście mnie nawet nie ostrzegli – młodzieniec zaprotestował półgłosem, jednak ironiczny uśmiezek kobiety zdołał go udobruchać. – Wybaczcie, niewdzięcznik ze mnie. Dziękuję wam, naprawdę. Już czuję, że jest trochę lepiej – powiedział z autentycznym uznaniem.

– Jutro będziecie się czuli jeszcze lepiej. Najważniejsze jest to, byście uważali, aby nie nadwyręzać ręki. Przez kilka dni powinniście ją oszczędzać.

Podczas gdy Brianna składała na powrót swoje medykamenty, Ian poruszył ostrożnie dłońią i zauważył, że teraz był już w stanie choć trochę zgiąć palce. Z nadgarstka wciąż promieniował ból, jednak mniej dotkliwy.

– A teraz powinniście coś zjeść – powiedziała Brianna, podając mu chleb i kawałek sera.

Ian skinął głową i zajął się posiłkiem. Zauważył, że ramię Martewalla zostało owinięte nowym, czystym pasem materiału, pod którym dało się zauważyć świeże szwy – konieczne, by zamknąć ziejącą, głęboką ranę.

Amerikanin dostrzegł, że angielski rycerz od czasu do czasu zerkał na niego sponad ogniska. Dotarło do niego, że będą musieli odbyć poważną rozmowę i Anglik czeka tylko na odpowiedni moment. Martewall najprawdopodobniej zamierzał ją rozpocząć w chwili, gdy będzie pewien, że nie usłyszy ich ktoś niepożądany.

Ian nie miał wątpliwości co do tematu tej rozmowy. Pośpiech i zamęt towarzyszące

ich ucieczce nie pozwoliły im na zbyt długie wymiany zdań, Martewall zaś miał powody, by wyrazić swoją niepocholebną opinię na temat uknutej przed samym Williamem de Longespée intrygi, w którą został wplątany wbrew własnej woli.

„Ma pełne prawo do tego, by zadawać mi pytania. Wywróciłem jego świat do góry nogami” – pomyślał Ian. Sam z trudem mógł uwierzyć w obrót spraw.

Minęło może pół godziny i wrzawa ludzkich głosów powoli cichła. Mieszkańcy Willingham zaspokoiли ciekawość, uzyskawszy od Martewalla sporo odpowiedzi. W pewnym momencie zrozumieli jednak, że młody baron nie chciał powiedzieć nic więcej, i zrezygnowali z dalszych dociekań. Czuli się dość nieswojo, spożywając posiłek w towarzystwie dwóch rycerzy, i większość wróciła do swoich baraków, by zdrzemnąć się przez kilka godzin przed nastaniem świtu. Wokół obozu podwojono liczbę wartowników, kilku młodocianych ochotników wyruszyło zaś do lasu na zwiady, tak aby w razie potrzeby ostrzec na czas uciekinierów. Wokół ogniska pozostało około dziesięciu osób.

– I wam przydałoby się zdrzemnąć kilka godzin, przynajmniej do wschodu słońca – powiedziała Brianna do Iana.

– Nie możemy tu długo zostać – odparł młodzieniec. – Szukają nas żołnierze króla i mimo że chwilowo zdołaliśmy im umknąć, prędzej czy później dotrą i tutaj. Lepiej dla was, byśmy zniknęli, zanim nas tu znajdą.

– Gdybyśmy mieli konia, moglibyśmy szybko dostać się do portu Dunchester – przerwał Martewall.

– Tam z całą pewnością będą już na was czekać – zawahała się Brianna.

– Niestety, jest to jedyne miejsce, z którego możemy wydostać się z wyspy. Glenhaven to ziemie nieprzyjaciela i tam spotka nas o wiele więcej trudności.

Kobieta zamilkła, zastanawiając się.

– Mógłby towarzyszyć wam ktoś z wioski. Jeśli dotrzecie do portu w grupie wieśniaków spieszących na targ, łatwiej będzie wam ominąć strażę. Możemy się przebrać i odegrać przedstawienie.

– Przyznaję, że bardzo na to liczyłem, choć nie śmiałem was o to prosić – powiedział Ian. – Mimo to uważam, że to bardzo ryzykowne posunięcie. Ktokolwiek zechciałby nam pomóc, musi być świadom wszystkich niebezpieczeństw, które mogą mu zagrozić.

Grupa mężczyzn siedzących wokół ogniska zadeklarowała chęć pomocy bez względu na konsekwencje – tylko po to, by pomóc Martewallowi i zapewnić mu bezpieczeństwo. Ian jednak dość sceptycznie podszedł do ich propozycji, usiłując wybrać osoby najbardziej godne zaufania. Z jednej strony nie chciał narażać na ryzyko tych, którzy mimo dobrej woli nie byli wystarczająco przygotowani, by stawić czoło ewentualnym problemom. Z drugiej zaś nie chciał powierzać swojego życia komuś, kto rzucał zuchwałe słowa podyktowane przez chwilowe emocje, a wcześniej

nie znalazł w sobie odwagi, by walczyć o wolność Dunchester z pozostałymi buntownikami.

– Dajcie nam przez chwilę się nad tym zastanowić – powiedział do zgromadzonych. – Do rana zdecydujemy, jaki sposób będzie najlepszy.

Martewall nie pokusił się o komentarz, jego milczenie wyrażało jednak niejaką aprobatę dla słów Iana.

Rozmowa powoli cichła, a ludzie zbierali się w niewielkie grupki i siadali przy ognisku. Lisi Ogon wychynął zniemacka z leśnych ciemności.

– Nigdy was tutaj nie odnajdą! – oświadczył butnie, otrzepując ręce i twarz z ciemnego pyłu o charakterystycznym zapachu spalenizny. – Rozsypałem całą masę popiołu na długim odcinku trasy okalającej wioskę. Jeśli psy dotrą aż tu, możecie być pewni, że zgubią trop i zaczną kichać jak wściekłe.

– Z nadejściem poranka żołnierze mogą jednak odkryć twoją sztuczkę, i pojawią się w osadzie z żądaniem wyjaśnień – zasugerował Martewall.

– Dlatego właśnie wybrałem najczarniejszy popiół – pochwalił się chłopak z dumną miną. – Do jutra rana będzie na tyle wilgotny, że nie da się go odróżnić od leśnego poszycia i za nic w świecie się nie połapią.

Rycerz musiał przyznać, że strategia była dość przemyślana.

– Bystry z ciebie chłopak – skomentował.

Lisi Ogon pokraśniał z radości, słysząc komplement. Usadowił się obok Iana i swojej matki, zżerany przez ciekawość.

– A więc opowiedzcie mi, co też stało się w Dunchester?

– Niestety, nie ma żadnych wesołych historii do opowiadania – odparł Ian ponuro. – Oblężenie kosztowało nas wiele ludzkich istnień i morze przelanej krwi.

Chłopiec spoważniał.

– Majster Bull żyje, prawda? – zapytał. – Pojechał razem z wami, ale nie wrócił.

Myśli Iana powędrowały do rannego żołnierza, którego został zmuszony zostawić w Dunchester. Mimo iż po zdobyciu zamku nie było mu dane się z nim zobaczyć, wiedział od Daniela, że życiu drwala nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Mam nadzieję, że ma się dobrze. Musiał pozostać w twierdzy wraz z innymi.

– Ostatnim razem, kiedy byłem w okolicy Dunchester, widziałem żołnierzy w czerwonych i niebieskich barwach. – Lisi Ogon nie potrafił ukryć emocji.

– To prawda. Było ich tylu, że zdołali zapełnić całe podgrodzie przy murach obronnych.

– Jak w takim razie udało się wam uciec?

– To jedna z tych tajemnic, których pan zamku musi dochować, nie sądzisz? – Ian rzucił chłopakowi ostrzegawcze spojrzenie. – Jesteś zdecydowanie zbyt ciekawski.

Lisi Ogon zamilkł na chwilę, po czym zbliżył się jeszcze bardziej do Amerykanina, tak jakby chciał wyznać mu sekret.

– Nie mówiliście mi, że znacie się z baronem – wyszeptał, korzystając z okazji, że Martewall zdawał się nieobecny myślami i pochłaniał swoją porcję chleba ze wzrokiem wbitym w płomień ogniska.

Również Ian zerknął na rycerza ponad płonącymi gałęziami.

– To długa historia i nie mam zamiaru jej teraz opowiadać.

– Nic mi nie chcecie powiedzieć! – wybuchnął chłopak, zawiedziony, że nie zdoła uzyskać więcej informacji.

– Nie tylko wobec ciebie jest taki ostrożny – ponury głos Geoffreya Martewalla przerwał niespodziewanie ich rozmowę. Spojrzeli na niego równocześnie.

– *Sir Ian* zazwyczaj niechętnie dzieli się informacjami na własny temat – głos Anglika nabrał sarkastycznego tonu. – Jest raczej powściągliwy z charakteru. Niemniej jednak, jeśli już zdecyduje się otworzyć usta, można się spodziewać sensacyjnych informacji. Zupełnie zaskakujących, odważyłbym się rzec.

Ian zauważył, że nieliczni osadnicy, którzy wciąż pozostawali przy ognisku, przerwali swoje rozmowy i z zaciekawieniem zaczęli się przysłuchiwać.

– Mówię niewiele, kiedy uważam, że pewne kwestie trzeba traktować z należytą ostrożnością – wtrącił znacząco.

Martewall chwycił w lot aluzję i zamilkł.

Ostrzeżenie wzmogło tylko ciekawość Lisiego Ogonia.

– Ach, ja jestem przekonany, że *sir Ian* jest wyjątkowym rycerzem – ciągnął ze szczerym entuzjazmem. – Widziałem, czego jest w stanie dokonać! Walczy bez cienia strachu, jak prawdziwy bohater.

– Wystarczy, bardzo cię proszę – upomniał go Ian, obawiając się dalszego obrotu rozmowy, jednak zauważył, że Martewall zdążył już niebezpiecznie pociemnieć na twarzy.

– Nie, ty nie masz najmniejszego pojęcia, do czego ten człowiek jest zdolny – odpowiedział Anglik chłopakowi. – Rzeczywiście, może budzić postrach. O wiele większy jednak, kiedy posługuje się słowami, niż kiedy wymachuje mieczem.

– Dostaję to, czego chcę, ponieważ sprawnie używam argumentów – odparł Ian. – Zdaje mi się, że moja ostatnia interwencja będzie korzystna dla nas wszystkich.

– Twoja ostatnia interwencja była stekiem herezji.

Ton odpowiedzi Martewalla przyciągnął uwagę wszystkich.

Ian zrozumiał, że nie zdoła uniknąć sprzeczki. Martewall żywił do niego zbyt wiele nienawiści i z całą pewnością nie było łatwo odwieść go od zamiaru kontynuowania kłótni.

Amerykanin miał nadzieję, że uda mu się przynajmniej utrzymać aluzyjny ton sprzeczki.

– Ten, do którego się zwracałem, nie był takiego zdania jak ty. Rzekłbym, że zdawał się wstrząśnięty – sprzeciwił się. – Do tego stopnia, że zdecydował się

sprawdzić, czy te „herezje” mogą się okazać prawdą.

Martewall nie zdołał powstrzymać nerwowego gestu.

– Jeszcze pożałuje, że w ogóle zdecydował się ciebie wysłuchać – gdy tylko zachce ci się odwrócić karty, by go oszukać, tak jak i mnie oszukałeś. Jestem tego pewien. W te swoje gierki wciągasz wszystkich, którzy nawiną ci się pod rękę, nawet mnie.

Oskarżenie sprawiło, że Ian poczuł dreszcz rozdrażnienia. W jego oczach płonęła wściekłość.

– To nie są żadne gierki.

– Wplątałeś mnie w sieć swoich intryg, z których tylko ty jesteś w stanie skorzystać – przerwał mu Martewall, który tracił panowanie nad sobą.

Ian był na granicy cierpliwości.

– A ty wciągnąłeś mnie i mojego towarzysza w jeszcze gorsze bagno, tylko z powodu swojej ślepej zemsty. To twoja wina, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

Coraz bardziej zaciekły ton rozmowy rycerzy oraz ich niespodziewana poufałość wzbudziły niepokój i zaskoczenie wśród obecnych. Niewiele byli w stanie zrozumieć z toczącej się sprzeczki, pełnej tajemniczych nawiązań. Również Lisi Ogon i Brianna wytrzeszczyli oczy.

Martewall coraz wyraźniej dygotał z wściekłości.

– To nie była zemsta. Ja...

– Ty... co? Chcesz powiedzieć, że tak wygląda sprawiedliwość? Nawet nie próbuj zaczynać – ja zawsze byłem lojalny. Bronilem się i na wojnie zrobiłem to, co musiałem. To nie ja zatrudniłem płatnych zabójców, żeby podstępem odebrać komuś życie. – Ian całą siłą woli usiłował opanować złość. Nie był to najkorzystniejszy moment na bezpardonową dyskusję z Martewallem, mimo to obopólna uraza narastająca przez te wszystkie straszne, ciągnące się w nieskończoność dni była nie do wytrzymania. Chęć ku temu zaś, by dać upust emocjom, sprawiła, że nie potrafili się dłużej powstrzymać.

– Ty i słowo „lojalny”? Nonsens. Ten, kto ukrywa część prawdy dla własnej wygody, nie może być nazwany lojalnym – syknął Martewall.

– Ten zaś, kto usiłuje odrzucić od siebie część prawdy tylko dlatego, że nieprzyjemnie jest mu jej słuchać, nie może być nazwany sprawiedliwym. – Ian powstrzymywał się z coraz większym trudem. – Wielka szkoda, żeś nie był takim miłośnikiem prawdy we Flandrii. Gdybyś tylko zadał kilka dodatkowych pytań swemu przyjacielowi Derangale’owi, mógłbyś wcześniej wpaść na to, że był zbrodniarzem.

– Nie obrażaj zmarłego! – ryknął Martewall.

– A ty nie każ płacić żywym za własne błędy – uciszył go Ian. – To nie wina ofiar, że znalazłeś się po stronie zabójcy. Stałeś się współnikiem chytrego łotra i z całą

pewnością nie jest to moja wina. Powinieneś winić raczej samego siebie za to, że byłeś tak bardzo ślepy.

Anglik skoczył na równe nogi. Z jego oczu zionęła czysta furia.

– D o s y ć! – wykrzyknął i obnażył miecz szybkim ruchem. – Przeklęty, porozmawiaj lepiej z ostrzem mojego miecza!

Zgromadzeni wokół ogniska osadnicy zaszemrali w odruchu przerażenia, wstrzymując oddech i wlepiając wzrok w broń rycerza wycelowaną w Iana. Lisi Ogon podskoczył, Brianna jednak chwyciła go za ramię i przyciągnęła do siebie.

Ian, mimo że musiał zebrać całą siłę woli, nie ruszył się z miejsca. Siedział nieruchomo, opierając łokcie o kolana.

– Odłóż miecz – nakazał Martewallowi, drżąc z wściekłości. – Nie będę się z tobą pojedynkował, przez ostatnich kilka dni dość było rozlanej krwi.

– Nie lękam się ujrzeć jej jeszcze więcej, zwłaszcza jeśli miałyby należeć do ciebie! – ryknął Anglik w odpowiedzi.

Ian rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie możesz mnie zabić, musisz się z tym pogodzić. Dobrze wiesz, o jaką stawkę toczy się ta gra, i jeśli nie chcesz ryzykować, ja muszę pozostać przy życiu aż do samego jej końca. A więc lepiej usiądź i spróbuj się uspokoić.

Martewall trząsł się ze złości, wiedząc dobrze, że został postawiony pod ścianą. W dalszym ciągu trzymał w ręku obnażony miecz, jego gest jednak był tylko groźbą, za którą nie mogło pójść nic więcej, jak tylko wrogie słowa.

– Nie rozkazuj mi – wycedził przez zęby. Furia rozpałała go do czerwoności. – Nawet jeśli jestem zmuszony ci towarzyszyć, nie masz prawa zachowywać się jak mój pan! Wolę umrzeć, niż pozwolić, by rozkazywał mi ktoś taki jak ty, bez różnicy, czyś Francuz czy nie.

Ian zamarł. Oczy wszystkich były skierowane na niego.

Lisi Ogon podskoczył jak oparzony.

– Francuz?! – wykrzyknął zduszonym głosem. – To nie może być prawda!

Ian nie wiedział, jak się bronić przed oskarżycielskim wzrokiem chłopca, który zadawał mu prawdziwy ból. Jego milczenie było wystarczającym potwierdzeniem słów Martewalla i sprawiło, że Lisi Ogon otworzył ze zdumienia buzię.

– Prawda czy nieprawda, kto to może wiedzieć? – ciągnął dalej Martewall, którego złość pozbawiła resztek racjonalnej ostrożności i zwykłego wstydu. Chociaż z początku to wściekłość sprawiła, że wymknęło mu się o jedno słowo za dużo, teraz zrozumiał, że przynajmniej w ten sposób jest w stanie zranić swego rozmówcę, którego nie mógł dosięgnąć mieczem. – Ten tutaj ma wiele masek w zanadrzu i ja sam jeszcze nie potrafię zgadnąć, która z nich to jego prawdziwa twarz. Utrzymuje, że prawdziwa jest wersja, w której nazywa siebie Jeanem Markiem de Ponthieu.

Zgromadzeni zaszemrali w ogólnym oburzeniu, kiedy Ian powoli odpowiedział:

– To prawda.

Lisi Ogon skoczył do przodu, a jego matka nie zdołała go zatrzymać.

– Francuski rycerz! – krzyknął.

– Francuski książę – poprawił go Martewall. – Jego domniemany brat to największy feudał Francji, krewny króla Filipa...

– Oraz zwycięzca spod Bouvines, jeszcze to chciałeś dodać? – przerwał mu Ian zdecydowanym tonem. – Jeszcze bardziej chcesz dać wszystkim do zrozumienia, że jestem jednym z nieprzyjaciół, którzy upokorzyli was podczas wojny. Zeszłego lata, kiedy ty byłeś więźniem w lochach, ja dumnie maszerowałem pod sztandarem zwycięstwa.

Martewall pobladł wyraźnie, gdy Ian wstał – rozwścieczony naprawdę.

– Czemu nie chcesz dać mi spokoju? Czego ty ode mnie chcesz, Martewall? Nawet jeśli wydaje ci się to naprawdę mało prawdopodobne, w tym momencie ratuję skórę twojej rodzinie i twojemu ludowi. Uratowałem życie i tobie, zauważyłeś? Ale skoro naprawdę chcesz wyrównywać rachunki, jakie pozostawił ci w spadku jeden martwy łajdak, który w dodatku potraktował mnie batem, usiłował porwać moją żonę i zabić mnie, mojego brata i moich przyjaciół – to w porządku. Stawaj do walki i wreszcie zakończmy tę kwestię!

Mieszkańcy wioski drgnęli z przerażenia, widząc, że rozwścieczony rycerz jest gotowy w każdej chwili dobyć miecza. Z jego oczu zionęła czysta furia. Wszyscy cofnęli się niepewnie o krok, widząc, że również Martewall, zaślepiony wyzwaniem, ponownie wzniósł w górę swoją broń.

– Zatrzymajcie się! Dosyć! – Podniosła się Brianna i stanęła pomiędzy rycerzami. – Macie tylu prawdziwych wrogów i naprawdę chcecie się pojedykować? Jaki to ma sens? W tej chwili wpakowaliście się w to samo bagno i jeśli naprawdę chcecie z niego wyjść cali i zdrowi, musicie być sojusznikami. Dajcie spokój z wrogością. Za wyrównywanie rachunków weźmiecie się później. Teraz, kiedy postanowiliście i nas uczynić współnikami swojej ucieczki, nie stwarzajcie dodatkowych problemów.

Ian był wstrząśnięty reprimendą i powoli opuścił miecz. Narastało w nim poczucie winy.

Również Martewall pohamował swoją furję. Powstrzymał się od dalszych wrogich gestów. Ze zrezygnowaniem i niezadowoleniem wsadził miecz do pochwy, odwrócił się i odszedł bez słowa w mrok.

Ian pozostał wśród zebranych, czując na sobie ich spojrzenia.

– A wy? Na co się gapicie? – burknęła Brianna. – Francuza żeście nigdy nie widzieli? Ja miałam okazję paru poznać i mogę was zapewnić, że nie mają kozich kopyt i nie zmieniają się w wilki przy pierwszym blasku księżyca. A więc przestańcie się na niego patrzeć, jakby stanął przed wami diabeł we własnej osobie. To taki sam człowiek jak wy wszyscy.

Wzburzone głosy ucichły i nikt nie miał odwagi się odezwać. Ostatnich kilku ludzi ściśniętych wokół ogniska rozeszło się jeden po drugim, mamrocząc między sobą.

– Może jednak nie do końca taki jak „wy wszyscy” – skomentowała Brianna półgłosem i rzuciła Ianowi ukradkowe spojrzenie.

Nic nie odpowiedział. Pod pełnym wyrzutem wzrokiem Lisiego Ogoną czuł się z każdą chwilą coraz gorzej.

– Dlaczegoście mi tego nie powiedzieli wcześniej!? Oszukaliście mnie! – krzyknął chłopiec, zaciskając pięści.

– Beau, posłuchaj... – zaczął Ian.

– Nazywam się Lisi Ogon! – wybuchnął malec i uciekł, zanim Ian zdążył choćby spróbować się usprawiedliwić.

Brianna w ciszy usiadła na swoim kamieniu obok dogasającego ogniska. Ian przyłączył się do niej, nie wając się powiedzieć ani słowa. Przez kilka chwil przysłuchiwał się trzaskom płonących gałęzi.

– *Et donc, vous êtes français*¹⁹ – powiedziała w końcu Brianna, podnosząc wzrok znad ognia i spoglądając przenikliwie na siedzącego obok młodzieńca.

Ian powoli odgarnął włosy z twarzy. Był zmęczony.

– *Oui. Pardonnez-moi, si je ne vous l'ai pas dit*²⁰.

– Mówcie po saksońsku, piękny rycerzu. Aż tak dobrze nie znam waszej mowy – przerwała mu Brianna, wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu. – Mathieu mówił do mnie po angielsku. Radził sobie całkiem dobrze, chociaż oczywiście nie tak jak wy. Nie znał wszystkich słów i słyhać było jego francuski akcent. Was wyróżnia tylko to, że mówicie z dziwną melodią, inną od naszej.

– Chciałem powiedzieć wam tylko, że przykro mi, że musiałem ukryć przed wami prawdę – powtórzył Ian, przechodząc na angielski. – Nie chciałem nikogo oszukać, zwłaszcza Beau, możecie mi wierzyć. Chciałem tylko uniknąć niepotrzebnych kłopotów.

Brianna przytaknęła, w zamyśleniu dorzucając kilka gałęzi do ognia.

– Wiem, co to znaczy czuć się gdzieś obco, a przecież jestem tylko zwyczajną kobietą, bez żadnej wartości. Wy, zdaje się, jesteście ważną osobą.

– Wolałbym nią nie być i z całą pewnością nie czuję się wyjątkowy – odpowiedział Ian ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie możecie zaprzeczyć prawdzie. Jesteście jednym z wygranych w ostatniej wojnie, w dodatku wielu angielskich rycerzy byłoby gotowych skrzyżować swe miecze z wami tylko ze względu na to.

– Wszyscy angielscy rycerze, obawiam się – wyszeptał Ian. – Właśnie przez to nie chciałem, by ktokolwiek dowiedział się, kim jestem. Nie przybyłem tutaj po to, by walczyć.

– Tylko po to, by odnaleźć swego przyjaciela, wiem – dokończyła Brianna. – I on

jest Francuzem, tak samo jak wy?

– Nie, to Saksończyk z północnych wysp. Jest dla mnie jak brat.

– Myślę, że teraz udało mi się zrozumieć historię, o której wspominaliście kilka dni temu – ciągnęła Brianna. – Ten szeryf z waszej opowieści był przyjacielem barona.

Ian kiwnął głową.

– Tak. Nie mieliśmy jeszcze okazji sobie wszystkiego wyjaśnić.

– Teraz jednak jesteście sojusznikami.

– Nie mamy wyboru, jeśli chcemy ocalić naszych bliskich.

– Czy z tego powodu wybieracie się do Francji?

– Udajemy się tam, by zyskać wsparcie i pomoc mego brata, księcia Guillaume’a de Ponthieu.

Na twarzy Brianny pojawiło się zaskoczenie.

– Nie przeszło mi nawet przez myśl, że możecie być zamieszani w coś tak poważnego.

Ian nic nie powiedział. Przeszył go zimny dreszcz i miał ochotę rozetrzeć ręce w ciepłe ogniska, jednak ból w lewej ręce uniemożliwił mu to. Z trudem przycisnął dłonie do piersi.

Brianna wstała.

– Chodźcie do nas spać – zaoferowała. – *Sir Martewall* nie będzie miał trudności ze znalezieniem sobie schronienia na noc, jednak obawiam się, że wy możecie mieć z tym drobny kłopot, zwłaszcza że wieść o waszym pochodzeniu dotarła już pewnie do wszystkich.

Ian potrząsnął głową.

– Zostanę tutaj, przy ognisku. Myślę, że nawet wasz syn miałby opory przed przyjęciem mnie pod wasz dach. I wy również nie powinniście mieć już dłużej do czynienia z Francuzami, jeśli nie chcecie, by wasze życie jeszcze bardziej się skomplikowało.

– Jest przeraźliwie zimno – zawahała się Brianna.

– Tylko kilka godzin dzieli nas od świtu. Jakoś sobie poradzę, nie obawiajcie się o mnie.

Brianna nie nalegała dłużej.

– W takim razie życzę wam dobrej nocy.

– Dobranoc – odpowiedział Ian i został sam przed ogniskiem.

Było naprawdę bardzo zimno, młodzieniec postanowił jednak nie zwracać na to uwagi. W ciszy zastanawiał się nad wszystkim tym, co wydarzyło się do tej pory. Czuł, że w miarę jak mija mu złość, w jej miejsce pojawia się zżerająca go od środka samotność.

Brianna wróciła po chwili. Pod pachą niosła szorstką derkę. Nachyliła się i okryła plecy Iana.

– Żebyście choć trochę mogli się ogrzać – wyjaśniła, posyłając mu szczerzy uśmiech.

Gest sprawił, że Ian poczuł się nieco lepiej.

– Dziękuję – odparł z wdzięcznością.

Kobieta, uśmiechając się w dalszym ciągu, oddaliła się w ciemnościach.

Mrok nocy zalał obozowisko. Było zupełnie cicho.

Ian w dalszym ciągu siedział skulony przy ognisku, dorzucając od czasu do czasu drew do ognia. Otulił się szczelnie derką, podciągnawszy kolana pod brodę.

Pogrążył się w myślach. Czuł się przybity i wyczerpany. Wzrok wbijał w tańczące płomienie.

Podniósł głowę i ujrzał nadchodzącego Martewalla. Napiął mięśnie, gotów na kolejne starcie, ale Anglik zajął miejsce po drugiej stronie ogniska. Na plecach miał derkę podobną do tej, którą usiłował ogrzać się Ian.

– Dotarło do mnie parę głosów, które nieszczególnie przypadły mi do gustu – powiedział tak, jakby chciał usprawiedliwić swój powrót. – Nie wszyscy są zachwyceni twoim prawdziwym pochodzeniem, noc zaś to ulubiona pora tchórzy. Lepiej, byś nie siedział tu sam, wolę mieć cię na oku. Moja obecność powinna ostudzić zapal wszystkich narwańców.

– Mogłeś dać im wolną rękę. Uwolniliby cię wreszcie od niechcianego towarzysza i, być może, ktoś wreszcie rozprawiłby się na dobre z uciążliwą kwestią mojego istnienia – odparł Ian lodowato.

Martewall zerknął na niego gniewnie ponad płomieniami.

– Sam sobie radzę z własnymi problemami i nie potrzebuję, by zajmował się nimi ktokolwiek inny. Obecnie jednak, niestety, większego kłopotu przysporzyłaby mi twoja śmierć. Muszę więc zrobić wszystko, aby do niej nie dopuścić. Przynajmniej dopóki nie dotrzymasz słowa i nie pomożesz Dunchester.

– A więc mam osobistego strażnika? Mogę spać spokojnie, skoro będziesz nade mną czuwał – skomentował Ian sarkastycznie. – Dziwne, jakoś wcześniej nie odniosłem wrażenia, żeby zależało ci na moim bezpieczeństwie.

– Wcześniej straciłem głowę jak dureń, to się już nie powtórzy – odparł Anglik ponuro. – Muszę pamiętać o mojej rodzinie.

Ianowi minęła chęć na żarty. I on odczuwał ten sam niepokój, który gryzł Martewalla.

– Obiecałem pomóc lordowi Salisbury, a nie Dunchester, zdajesz sobie z tego sprawę? – odpowiedział poważnym tonem. – Prawda jest taka, że nawet jeśli zaproponuję wszystko to, co jest w mojej mocy, to jednak życie naszych bliskich jest

w rękach Williama de Longespée i może on zrobić z nimi wszystko, co mu się podoba. Niezależnie od tego, czy dotrzymam obietnic.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – skinął głową Martewall. – Nie pozostaje mi jednak nic innego, jak tylko liczyć na powodzenie twoich sztuczek, by mieć nadzieję na ocalenie moich bliskich. Jestem więc zmuszony brać w nich udział. Możesz więc cieszyć się swoim zwycięstwem – masz na mnie haka. Jestem wręcz zmuszony podziękować ci za to, że nie powiedziałaś wszystkim, że jestem twoim zakładnikiem – ocaliłeś przynajmniej mój honor.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że zależy mi na zemście? Przy całej reszcie problemów, które teraz mam na głowie? – odpowiedział Ian szorstko. – Ty i twój honor to ostatnie z moich zmartwień, jeśli pomyślę o tym, co mogłoby się stać Danielowi, gdyby moje wysiłki zawiodły.

Martewall zamilkł, dorzucając dREW do ognia. Wpatrywał się w płonące polana.

Pomiędzy szalasami zamigotał czyjś cień i rycerze skierowali wzrok w tamtą stronę. Nikt jednak nie zbliżył się do ich ogniska.

– Jak ci się to udało? – zapytał w końcu Martewall, na nowo podejmując rozmowę. – Jak udało ci się odkryć tajemnicę lorda Salisbury tak po prostu, nie spotykając go twarzą w twarz nigdy wcześniej? Kto przekazał ci informację, o której nie mieli pojęcia nawet baronowie? Wy Francuzi musicie mieć szpiegów wśród naszych ludzi, nie ma innego wytłumaczenia.

„Nie, ja mam kryształową kulę, z której mogę odczytać przyszłość” – pomyślał Ian odruchowo, wiedział jednak, że odpowiedź tego rodzaju nie wchodzi w grę.

– Czy mi wierzysz, czy też nie, nie miałem żadnego informatora. Gdybym tylko go miał, w ostatnich dniach mógłby się okazać niezwykle przydatny, zwłaszcza jeśli na czas przekazałby wieści. Wtedy zdołalibyśmy w porę zaprzestać obrony – odpowiedział. – Nie wiem wszystkiego i nie mogę przyrzec, że między baronami nie ma szpiegów. Jednak nawet jeśli takowi by istnieli, ja sam nie mam z nimi kontaktu. Nie mogłem go mieć, byłem przecież odcięty od świata przez ostatnich kilka miesięcy.

– No tak, zapomniałem. Historia więzienia w rękach płatnych zabójców – prychnął Martewall. – Opowiadał mi już o tym twój przyjaciel.

– I powinieneś w nią uwierzyć, zwłaszcza że jest prawdziwa.

Po raz kolejny Anglik nie odpowiedział.

Jego niedowierzające spojrzenie irytowało Iana coraz bardziej.

– Posłuchaj, już dość strzępiłem języka, żeby opowiedzieć ci całą prawdę o mnie. Nie będę powtarzał po raz setny tych samych rzeczy. Jeśli nie chcesz dać się przekonać, twoja sprawa. Na własne oczy zobaczysz, kim jestem, kiedy tylko dostaniemy się do Francji.

– Obawiam się, że i to może się okazać niewystarczające. Co do jednego w pełni

zgadzam się z lordem Salisbury: jesteś szczwanym lisem, który działa na wysokim szczeblu – odpowiedział Martewall. – Jesteś zdolny, bardzo zdolny – aż nazbyt. Być może cię przeceniam: nie byłbyś w stanie stworzyć gry pozorów o tak misternej strukturze, angażując w nią wszystkich tych, którzy znajdują się w twoim zasięgu, i pół francuskiego dworu przy okazji. Być może wszystkie twoje deklaracje są całkowicie prawdziwe, ja jednak nie potrafię pozbyć się wrażenia, że wodzisz za nos wszystkich dookoła.

– Nic nie poradzę na twoje wrażenia, nie obchodzą mnie zbytnio. Teraz chciałbym trochę odpocząć – uciał Ian krótko, jednak z trudem przyszło mu ukryć niechęć wywołaną ostatnim zdaniem Martewalla, zwłaszcza że było absolutnie zgodne z prawdą.

„Naprawdę oszukuję cały świat, odgrywając rolę tego, kim nie jestem” – pomyślał z ukłuciem bólu i wyciągnął się pod derką, udając, że śpi. Jego myśli powędrowały odruchowo w stronę Isabeau i Guillaume’a de Ponthieu. Nawet oni nie znali całej prawdy i nigdy nie mieli jej poznać, gdyż nie był w stanie jej im wyjaśnić. Poirytowany i upokorzony zamknął oczy, usiłując choć na chwilę zapomnieć o Martewallu i jego złośliwych insynuacjach.

*

Rozdział 28



Słońce nie zdążyło jeszcze pojawić się na niebie, kiedy Iana wyrwał ze snu turkot kół na dróźnie. Młodzieniec podniósł głowę, czując, jak bolą go wszystkie mięśnie. Zdołał zasnąć na dwie godziny, nie więcej. W palenisku wciąż tlił się ogień, jednak paraliżujące zimno zdołało przeniknąć go aż do kości. Ian przeciągnął się z trudem, krzywiąc się w grymasie bólu, zwłaszcza gdy ruch spowodował dotkliwe ukłucie w palcach dłoni, z której wciąż nie zeszła opuchlizna.

Zerknął na Martewalla i zobaczył, że i on z podobnym trudem usiłuje zebrać siły. Anglik też w pewnym momencie poddał się zmęczeniu – jednak i jego odpoczynek nie trwał dłużej niż godzinę.

Teraz rycerz wpatrywał się w coś za plecami Iana.

Amerikanin odwrócił się i zobaczył rozklekotaną furmankę. Rozpoznał stary wóz Thomasa Bulla – bryczkę ciągnął bowiem ten sam siwek, którego Ian ukradł w Glenhaven i na którym zdołał dojechać aż do Willingham.

Furmanka załadowana była tobołkami, wśród których siedział Lisi Ogon z wyrazem głębokiej urazy malującej się na buzi. Brianna prowadziła konia, trzymając wodze w jednej ręce.

– Gotowi do drogi? – zapytała dziewczyna. – Nierozsądnie byłoby zostawać tutaj na dłużej, lada chwila mogą się w tej okolicy pojawić żołnierze. Pewnie już doszli do wniosku, że nie skierowaliście się od razu na wybrzeże, więc zmienią kierunek poszukiwań.

Ian i Martewall prawie jednocześnie skoczyli na równe nogi.

– Brianno, co też zamierzacie uczynić? Po co wzięliście ten wóz? – zapytał Ian, zaskoczony i zaniepokojony jednocześnie. Przeczuwał, jaką otrzyma odpowiedź.

– Wcielam w życie plan, który wstępnie ustaliliśmy tej nocy – odpowiedziała spokojnym tonem i uchyliła jeden z pakunków. Wewnątrz znajdowały się różnorakie szaty. – Będę was kryła aż do chwili, gdy dotrzecie do portu. Spróbujemy jak najmniej rzucać się w oczy. Odegramy role członków szczęśliwej rodziny.

Wyciągnęła ubrania i podała je rycerzom. Martewall otrzymał szaty jako pierwszy.

– Wy, panie, będziecie mym młodszym bratem: z krótkimi włosami, tak jak je nosicie, możecie uchodzić bez problemu za wieśniaka czy pasterza, wystarczy trochę

ubrudzić wam twarz. Z całym szacunkiem, rzecz jasna.

Oszołomiony Martewall trzymał w ręku filcową czapę, krótką tunikę z futra i szorstkiej wełny oraz połatany płaszcz.

Brianna zbliżyła się do Iana, wręczając mu siermiężną kurtkę i płaszcz z kapturem.

– Wy zaś będziecie mym biednym, schorowanym mężulkiem, możecie zacząć przygotowywać się do roli – ciągnęła, nie bez cienia złośliwości.

– O, kolejna rólka. Jedna maska więcej, jedna maska mniej, co to dla niego za różnica – skomentował Martewall półgłosem.

Ian rzucił mu rozeźlone spojrzenie, jednak zwrócił się wyłącznie do Brianny:

– Dlaczego mam być chory?

– Dlatego, że zżerająca was gorączka sprawiła, że musicie leżeć na wozie. W ten sposób nikt nie zauważy, jak bardzo jesteście wysocy – odparła Brianna beztrąsko. – A jeśli znajdziemy wam wyjątkowo zaraźliwe choróbsko, strażnicy nie zbliżą się do wozu na mniej niż pięćdziesiąt kroków, tego możecie być pewni. To doskonały plan. Przy wjeździe do miasta powiemy, że przybyliśmy szukać lekarza czy chociaż cyrulika. A gdy tylko uda się nam oddalić od ciekawskich spojrzeń, zaczniemy rozglądać się za statkiem, który płynąłby do Francji. Jestem pewna, że *sir* Martewallowi nie będzie trudno znaleźć kapitana, który z chęcią udzieli mu pomocy i przewiezie go przez morze.

Ian wytrzeszczał oczy na kobietę, wóz i w końcu na Lisiego Ogona, który odwzajemnił jego spojrzenie z ociąganiem. Było zupełnie jasne, że chłopiec nie podziela zdania matki na temat jej „doskonałego planu” i że nie wyparowała z niego jeszcze uraza za zatajenie prawdy o rzeczywistej tożsamości Iana.

Młodzieniec wyciągnął rękę, chcąc zwrócić Briannie szaty.

– Nie, to zbyt ryzykowne. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, żołnierze zemszczą się także na was i nie wzruszy ich to, że jesteście niewiastą z dzieckiem. Nie chcę was narażać na podobne niebezpieczeństwo.

– Nie jestem dzieckiem i nie boję się żołnierzy! – wybuchnął Lisi Ogon. – Nie dam się tak łatwo wystraszyć, o nie! Jeśli wy się boicie wziąć udział w naszym planie, nie próbujcie usprawiedliwiać się moim bezpieczeństwem!

– Chłopcze – upomniał go Martewall ku zaskoczeniu wszystkich – zważaj na słowa – sugerował surowym tonem. – Pozwól osądzić o odwadze i o tchórzostwie temu, kto walczył na wojnie. Kiedy i ty zdobędziesz prawo, by nosić miecz, sam będziesz potrafił odróżnić męstwo od strachu i heroizm od zuchwałej buty.

Lisi Ogon zmalął w oczach, słysząc tę naganą, i nie odważył się powiedzieć nic więcej.

– To prawda, o pani. Wasz plan jest zbyt ryzykowny. Nawet ja nie ośmielę się narażać waszego syna na tak ogromne niebezpieczeństwo – ciągnął Martewall.

– Lecz jest to jedyny sposób, by umożliwić wam ucieczkę! – odparła Brianna. –

Żołnierze z pewnością będą się przyglądać przede wszystkim mężczyznom wkraczającym do osady, szczególnie tym podróżujących we dwóch lub w towarzystwie innych wojów czy rycerzy. Rodzina z matką i dzieckiem przyciągnie o wiele mniej uwagi i nie sprawi, że strażnicy przy wjeździe do grodu nabiorą podejrzeń.

Ian i Martewall równocześnie potrząsnęli głowami.

– Nie, znajdziemy inny sposób – sprzeciwił się pierwszy z nich.

– Posłuchajcie – nalegała Brianna – nie mamy czasu, żeby marnować go na bezowocne dyskusje. Żołnierze są już na waszym tropie, od momentu zaś, w którym wyszło na jaw wasze francuskie pochodzenie, mieszkańcy Willingham mają mniej zapału, żeby wam pomóc, mimo towarzystwa *sir* Martewalla. Jakiś imbecyl mógłby nawet próbować zrobić wam krzywdę albo działać na waszą szkodę i to przekreśliłoby wasz plan. Musimy wyruszyć natychmiast, musimy zrobić tak, jak wam to przedstawiłam. Nie ma lepszego sposobu.

Rycerze wymienili się spojrzeniami. Musieli poddać się woli Brianny – zdawało się, że nie mają innego wyjścia. Argumentacja kobiety była rozsądna.

– To był twój pomysł, żeby tutaj przybyć i szukać pomocy, i z całą pewnością nie jest to moja wina, że pod setką swoich różnych twarzy masz w zanadrzu maskę przekłętą Francuza – wykrzywił się Martewall, jego ton jednak był tylko pozornie sarkastyczny i w istocie zdawał się ukrywać szczere przejęcie losem matki i syna, którzy chcąc nie chcąc mieli zostać zaangażowani w plan ucieczki.

Ian wahał się jeszcze przez chwilę, wiedział jednak, że nie ma dużego wyboru.

– Zabierzcie nas stąd. Udamy się razem z wami do Francji – usiłowała przekonać go Brianna. – Nie pozostało nam tu już nic, co mogłoby nas zatrzymać – tylko bezprawie i prześladowania. Wy jesteście księciem, człowiekiem wielkiej władzy. Wystarczy jedno wasze słowo, a znajdzie się dla nas spokojne miejsce, w którym rozpoczniemy nowe życie, z dala od ludzkiej złośliwości.

Głos kobiety był stanowczy, wyraźnie jednak było w nim słycać nutę głębokiego bólu. W Ianie obudziło się współczucie dla Brianny – aż do tej chwili musiała borykać się z naprawdę okrutnym losem.

– Chciałbym, by jedno moje słowo ochroniło was przed małostkowością i szykanami, obawiam się jednak, że i we Francji będą traktować was jak cudzoziemców – odparł ze smutkiem.

– Nie do tego stopnia jak w Anglii – odpowiedziała Brianna z goryczą. – Przez kilka najbliższych lat nikt mi nie wybaczy, że mam dziecko z Francuzem. Prawda zaś, prędzej czy później, zawsze wyjdzie na jaw.

W oczach Martewalla pojawił się błysk zaskoczenia, ale Brianna wytrzymała jego spojrzenie z podniesionym czołem, nie opuszczając wzroku.

Lisi Ogon z kolei opuścił nisko głowę.

– Czemu się wstydzisz? – zwrócił się do niego Martewall. – Nie potrafisz odróżnić wrogości od hańby i niesławy? Jeśli twój ojciec nie był złoczyńcą, nie masz powodu, żeby się za niego wstydzić, nawet jeśli był francuskim wrogiem.

Chłopiec poderwał głowę do góry gwałtownym ruchem.

– Mój ojciec był rycerzem, a nie złoczyńcą.

– To następny powód, by okazywać szacunek jego pamięci – zawyrokował Martewall i przez chwilę Ian ujrzał w nim cień podobieństwa do *sir* Haralda. Teraz Geoffrey Martewall był tak samo nieprzejednany i stanowczy jak jego własny ojciec jakieś trzydzieści lat wcześniej i Ian nie miał trudności, by wyobrazić go sobie za młodu. Zdecydowanie należało przyznać, że stary baron miał powody, by być dumnym z syna – zdołał w nim głęboko zakorzenić swoją życiową mądrość.

Lisi Ogon, wstrząśnięty nieoczekiwaną naganą, nie powiedział więcej ani słowa.

– A więc chyba na nas już czas? – powiedziała Brianna. – Świt nadejdzie lada moment, lepiej zniknąć, zanim cała osada się obudzi.

Martewall zaczął zakładać szaty, które przyniosła mu kobieta. Ian bez entuzjazmu poszedł w jego ślady, wciąż niechętnie godząc się z myślą, że będzie musiał narazić Briannę i Lisiego Ogona na tak wielkie ryzyko. Wiedział jednak, że musi skorzystać z okazji, jeśli chce powrócić jak najszybciej do Francji, by znaleźć sojuszników, którzy pomogą mu ocalić Daniela.

Równie przykra była dla niego inna myśl, chociaż częściowo zdejmowała z niego odpowiedzialność za plan Brianny – wiedział, że już niedługo przez Anglię przetoczy się krwawa wojna domowa.

„Być może uda mi się utrzymać ich z dala chociaż od tego niebezpieczeństwa” – pocieszył się w duchu, mimo że nie zdołał zdławić w sobie dręczącego go niepokoju.

Wyruszyli pospiesznie, zanim jeszcze słońce ukazało się na horyzoncie. Idąc za radą Brianny, nie pożegnali się z nikim.

Ich odjazd widzieli jedynie współmieszkańcy Brianny, którzy akurat pełnili wartę w lesie. Byli zupełnie zaskoczeni. Jeden z nich biegiem udał się do wioski, lecz nawet jeśli zdołał rozpuścić plotkę, nikt z osadników nie zdążył obudzić się w porę, by stać się świadkiem ich wyprawy.

Brianna ani razu nie odwróciła się za siebie.

Przebyli ponad połowę drogi prowadzącej przez leśne gęstwiny. Nie zwalniali kroku, popychani do przodu wewnętrznym niepokojem. Wytężali wszystkie zmysły, czujnie nasłuchując jakiegokolwiek ruchu czy podejrzanego dźwięku.

Na ich szczęście niska temperatura sprawiła, że niewielka furmanka nie pozostawiała żadnych śladów na zamrożonej drodze. Tylko końskie kopyta

zadrasnęły gdzieś zmrożone błoto, odciski podszew ludzkich butów były zaś zupełnie niewidoczne.

Nie chcąc niepotrzebnie męczyć konia, Ian i Martewall postanowili przebyć ten fragment trasy na piechotę, z mieczami gotowymi do walki, ukrytymi pod szorstkimi płaszczami, które chroniły ich przed zimnem. Martewall nasunął na czoło kaptur swej tuniki, tak aby ukryć twarz w cieniu i nie zostać rozpoznany z daleka. Ian również podniósł kołnierz płaszcza.

Nikt nie odzywał się przez dłuższą chwilę, nawet Lisi Ogon siedział w milczeniu na tyle wozu i wpatrywał się w drogę, którą zostawiali za plecami, obracając nerwowo w rękach gałąź oberwaną z krzaka.

Słońce było już dość wysoko, kiedy Martewall zatrzymał wóz w samym środku boru.

– Jesteśmy prawie na głównej drodze. Lepiej nie ryzykować. Trzeba sprawdzić, co się tam dzieje, zanim wyjedziemy na otwartą przestrzeń.

Ian przyznał mu rację.

– Zrobię rozeznanie – zaproponował, wyprzedził go jednak Lisi Ogon. Nie usiłował nawet silić się na grzeczność.

– Ja pójdę – powiedział, zwracając się do rycerza i nie zaszczycając Iana spojrzeniem. – Jestem już zmęczony tą nudną podróżą, a poza tym na mnie nie zwrócą uwagi.

– Uważaj – poleciła mu Brianna, lecz Lisi Ogon nie odwrócił się nawet i po chwili zniknął w gęstych zaroślach.

Brianna westchnęła.

– Jest na mnie wściekły. Właściwie zmusiłam go do tego, żeby z nami jechał. A on nie chce opuszczać Anglii.

– Nie, jest zły dlatego, że ukryłem przed nim prawdę – powiedział Ian z goryczą.

– Powiedziałbym, że to świetny początek podróży – skomentował Martewall, rzucając obojgu złośliwe spojrzenie. – Jesteście pewni, że nie wpakuje się w tarapaty? Jeśli jest rozzłoszczony, może zapomnieć o ostrożności.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie – powiedziała Brianna. – Ale przyznaję, mnie się już nie słucha.

– Ty nawet nie próbuj za nim iść. Pogorszyłoby to tylko stan rzeczy – Martewall zwrócił się do Iana, widząc, że drugi rycerz nie bardzo wie, co robić. – Możemy tylko poczekać, aż wróci, i pokazać w ten sposób, że mamy do niego zaufanie.

Ian się nie sprzeciwił i z wyraźną niechęcią pozostał na swoim miejscu.

Minęło jakieś pół godziny, po czym wśród zarośli ukazała się zwichrzona burza włosów Lisiego Ogona.

– Nikogo nie ma, ale przeszli tędy niedawno – oznajmił. – Na drodze są jeszcze świeże ślady kopyt. Przejechali galopem i dlatego udało im się rozorać ziemię

podkowami.

– Ilu ich było? Udało ci się oszacować? – zapytał Martewall.

– Według mnie co najmniej dziesięciu. Ale ślady prowadzą w obu kierunkach. Być może przejechały dwa różne oddziały wojska.

– Nie szczędzą trudów, żeby nas odnaleźć – zauważył Ian i Martewall przytaknął. – My jednak nie mamy wyboru, możemy iść tylko przed siebie, w stronę portu.

– Jeśli dopiero co tędy przejechali, to szybko nie wrócą. Może zdołamy przebyć trakt aż do rozstajnych dróg prowadzących do portu – przerwała Brianna.

– Spróbujemy – zdecydował Martewall i chwycił za wodze, ciągnąc konia w kierunku głównego szlaku.

– Doskonały z ciebie zwiadowca – powiedział Ian do Lisiego Ogon, widząc, że chłopiec kieruje się w stronę wozu. Lisi Ogon rzucił mu poirytowane spojrzenie, na którego dnie malowała się niepewność, nie zdecydował się jednak przełamać lodów i wrócił na swoje miejsce bez słowa. Ian ukrył westchnienie i maszerował w ciszy obok furmanki.

Dotarcie do głównej drogi zajęło im jakieś dziesięć minut i w chwilę później Ian zdał sobie sprawę, że rozpoznaje to miejsce. Znajdowali się na tym samym szlaku, na który zboczył kilka dni temu, usiłując dostać się do portu w Dunchester – musiał dotrzeć do Thomasa Bulla i ludzi z Aversly, by ostrzec ich przed wojskami króla.

Kierowali się pustym traktem przez niecałą godzinę, po czym na polecenie Martewalla skręcili w gęsty las rosnący po obu stronach drogi. Wśród drzew widać było znajomą wąską ścieżkę. Kontynuowali wędrówkę przez następnych kilka chwil, po czym furmanka zatrzymała się po raz kolejny.

– Od teraz aż do samego portu jesteśmy zmuszeni podróżować przez pola – oznajmił Anglik, wyraźnie podenerwowany. – Jeśli chcemy iść dalej, musimy już w tej chwili zacząć nasze przedstawienie i mieć nadzieję, że okaże się wiarygodne.

– Nie mamy żadnego innego wyboru? – zapytał Ian.

– Niestety nie – odparł Martewall, i naciągnął kaptur głębiej na czoło.

W całkowitej ciszy Brianna usadowiła się na wozie, poprawiając długą spódnicę.

Lisi Ogon poruszył się nerwowo i zajął miejsce obok woźnicy.

– A jeśli napotkamy żołnierzy na drodze?

– Lepiej, żeby tak się nie stało, mamy niewielkie szanse czmychnąć przed gwardiami na otwartym polu – odpowiedział Martewall. – Miejmy nadzieję, że zdołamy dotrzeć do grodu niezatrzymani przez nikogo, później będziemy się martwić o to, jak poradzić sobie ze strażnikami miejskimi.

Chłopiec przytaknął z udawanym animuszem, był jednak blady jak wosk i ścisnął w dłoniach z całych sił ułamany kijek.

Martewall spojrział na Iana.

– Zaczynamy przedstawienie – zarządził. – Pokażesz mi, jaki jesteś dobry w te

klocki. Od teraz leżysz na wozie i udajesz jak najbardziej chorego.

– Powodzenia w roli dzielnego wieśniaka – odparł Ian, poirytowany, owinął się jednak szczelniej płaszczem i bez ociągania wskoczył na furmankę, tak jak zostało mu to nakazane.

– Skoro już tak bardzo identyfikujecie się z rolą, pamiętajcie, że jesteście również moim mężem – dodała Brianna ze złośliwym uśmiechem, zeskakując i podchodząc do Iana wyciągniętego na furze. Pomogła mu się ułożyć, a kiedy wygładzała jego płaszcz i przykrywające go derki, nie powstrzymała się i ukradkiem pocałowała go w usta.

Ian był zupełnie oszołomiony tym gestem. Poczul na twarzy przejmujące ciepło i jednocześnie ogarnął go głęboki wstyd. Chciał zaprotestować, ale nie mógł wydusić z siebie słowa.

– Nie ma nic złego w tym, że żona całuje męża – powiedziała Brianna, rozbawiona jego zakłopotaniem i zaskoczeniem. – Poza tym uwiarygodni to tylko nasze małe przedstawienie.

Opuściła osłupiałego Iana i ponownie zajęła miejsce woźnicy, wołając Lisiego Ogon, który zdążył się oddalić.

– Was niestety nie mogę pocałować, przykro mi. Jestem waszą siostrą – to nie przystoi – powiedziała dziewczyna do Martewalla, który z równym zdumieniem przypatrywał się całej scenie.

Rycerz znów był w bojowym nastroju.

– Jeśli już skończyliście z tym słodkim mizdrzeniem się, moglibyśmy na przykład ruszyć z miejsca.

Ian miał wielką ochotę odpowiedzieć mu w podobnym tonie, ale powstrzymał go Lisi Ogon, który nagle pojawił się obok nich. Amerykanin zacisnął zęby i próbował zdławić w sobie wstyd, obiecując sobie równocześnie, że przy pierwszej okazji odpłaci angielskiemu rycerzowi pięknym za nadobne.

Los im sprzyjał i na polnej ścieżce wiodącej do portu w Dunchester nie natknęli się na żadnego żołnierza wojsk królewskich. Choć nastał już dzień, na trakcie spotkali tylko kilku podróżnych, w przeważającej mierze leśników i rolników kierujących się na targ portowy lub wracających do swoich chat. Nikt się nie zatrzymał, by wymienić pozdrowienia z grupą jadącą na wozie, i nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie chętnego do rozmowy: każdy pospiesznie zmierzał w swoją stronę.

Przeszywające zimno nie skłaniało do postojów i wymuszało szybkie tempo; wiszące na ołowianym niebie chmury przepowiadały rychły deszcz lub śnieg. Jednak przede wszystkim to wieść z poprzedniego dnia – podbój Dunchester przez sojuszników króla – sprawiła, że większość ludności postanowiła pozostać w domu,

wszyscy podróżni zaś poruszali się ze zdwojoną czujnością.

Ian, zmuszony przebyć ostatnią część podróży na leżąco, pod derkami na wozie, zabijał czas, patrząc na chmury i nasłuchując ewentualnych podejrzanych hałasów, ale poza jednostajnym toczeniem się drewnianych kół nie zdołał usłyszeć nic innego.

Jego towarzysze milczeli. Podnosząc głowę, Ian mógł dojrzeć jedynie plecy Lisiego Ogonia i burzę ognistych loków Brianny, sięgających jej aż do pasa i otulających jej drobną sylwetkę.

Ian odwrócił wzrok, czując narastające poczucie winy za samo spojrzenie. Brianna była piękną kobietą, nie mógł temu zaprzeczyć, jednak już takie stwierdzenie wydawało mu się nie w porządku wobec Isabeau. W dodatku nie dawała mu spokoju kwestia pocałunku – Ian czuł się zdezorientowany i zagubiony jak nastolatek i zupełnie nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić.

Przez ostatnie dwa i pół roku żadna kobieta nie zdołała się do niego zbliżyć, mimo że niejedna podejmowała taką próbę. Ian z dumą dochowywał wierności swojej ukochanej mimo przeświadczenia, że nigdy więcej nie zdoła jej ujrzeć – uparcie trzymał się jednak swojej decyzji, szczęśliwy, mogąc należeć tylko do Isabeau. Teraz już wiedział, że może do niej wrócić, i niewiele dzieliło go od momentu, w którym miał ją ujrzeć. Gest Brianny i jego własna reakcja tym bardziej były dla niego ogromnym zaskoczeniem. Ian czuł się niewyobrażalnie głupio za sprawą zwykłej błażostki – pocałunku, i to w dodatku oddanego wbrew jego własnej woli; nie mógł jednak zaprzeczyć, że prócz wstydu i zakłopotania wywołał on w nim całkiem przyjemny dreszcz.

„Jak jakiś uczeń, któremu udało się skraść pierwszego w życiu całusa” – wymamrotał sam do siebie, przysięgając jednocześnie, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy. Postanowił nigdy w życiu nie tracić czujności w obecności innej kobiety, zwłaszcza kiedy tą kobietą miała być Brianna.

– Żadnych żołdaków w zasięgu wzroku. Może przestali was szukać – powiedział Lisi Ogon, przełamując ciszę. W jego głosie pobrzmiwał ton nadziei.

– Nie wydaje mi się – odparł Martewall, który wciąż maszerował pieszo obok konia. – Nawet jeśli nie ma ich wzdłuż drogi, z całą pewnością mają ku temu powody.

– Myślicie, że będą gdzieś na nas czekać? – zapytał Lisi Ogon z coraz wyraźniejszym niepokojem.

– Z pewnością. Nie muszą już przeczesywać tej okolicy, zrobili to dzisiaj w nocy. Szukają nas teraz w głębi łądu, ale na pewno rozstawili strażę we wszystkich nadmorskich osadach.

– A zwłaszcza w porcie Dunchester – dodał Ian, podpierając się na łokciu i zerkając na pozostałych. – Wiedzą o mnie i mogą się założyć, że wpadli na to, że chcę wrócić do Francji. Nie uda mi się tego dokonać bez łodzi – są tego świadomi i na pewno wysłali szpiegów do wszystkich okolicznych portów.

– I powiedz mi, że twoje francuskie pochodzenie nie stawia nas w coraz gorszej sytuacji – burknął Martewall.

– To ty rozpętałeś tę aferę, więc teraz nie zrzucaj na mnie winy – uciszył go Ian, poirytowany. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybyś nie przywlekleł mnie tu siłą. A gdyby mnie nie było, ty prawdopodobnie gniłbyś w więzieniu w Dunchester.

Anglik przyjął ripostę i powstrzymał się od dalszych komentarzy.

Ian zdał sobie sprawę, że Brianna i Lisi Ogon przysłuchiwali się rozmowie w nerwowej ciszy, i zdecydował się zmienić temat, zanim wymuski mu się o jedno słowo za dużo. Wyciągnął się na wozie i spojrzał w niebo. Tak czy siak, nie pociągnąłby długo rozmowy z drugim rycerzem – po kilku chwilach Martewall się zatrzymał, mówiąc:

– Jesteśmy. Przed nami port.

Tym razem Ian podniósł się na tyle, by rzucić ukradkowe spojrzenie ponad deskami wozu.

Ujrzał przed sobą tę samą panoramę, którą dane było mu zobaczyć już kilka dni wcześniej: ołowiana linia morskiej wody odcinała się wyraźnie od szarego pasa chmur, na prawo rozciągały się portowe zabudowania, a z lewej strony widniała posępna sylwetka twierdzy Dunchester. Zamek spowijały jeszcze poranne mgły, mimo że słońce było już wysoko na niebie. Patrząc na strzeliste czarne wieże, Ian pomyślał o Danielu.

Również Martewall zamarł na kilka sekund, wpatrując się z oddali w swój dom, po chwili jednak otrząsnął się z zamyślenia.

– Przybyli liczną grupą – powiedział ponuro. – Ściągnęli tutaj cały garnizon.

Ian zauważył, że przy palisadzie okalającej port kręciło się wielu zbrojnych. Strażników było co najmniej dwukrotnie więcej niż zwykle i nie nosili barw rodu Martewallów. Ich błękitne stroje wskazywały na przynależność do wojsk Murrowa.

– Co robimy? – zapytał młodzieniec. I jemu udzielił się niepokój.

Martewall skierował wóz w stronę warownego grodu.

– Idziemy na całość. Spróbujemy zagrać o najwyższą stawkę. Jeśli zostaniemy tutaj, i tak prędzej czy później się na nas natkną.

Brianna, siedząca na miejscu woźnicy, wygładziła nerwowo spódnicę.

– Pozwólcie mi się tym zająć. Pójdę do straży i nas zarejestruję. Wszystko pójdzie gładko.

– Nie – odpowiedział Martewall. – Ja nas zarejestruję.

– Zwariowałaś chyba...!? – wykrzyknął Ian. – Przecież to właśnie ciebie szukają! Jeszcze tego by brakowało, żebyś dobrowolnie wpakował się w ich ręce.

– To zbyt niebezpieczne, baronie – dodała Brianna ze strachem.

Lisi Ogon patrzył na nich z rosnącym przerażeniem.

– Nie, to najlepszy sposób, by nie wzbudzić podejrzeń – odparł Martewall. – Co

pomyślą strażnicy, jeśli zobaczą nadjeżdżającą rodzinę, w której to jedna jedyna niewiasta zostaje oddelegowana do załatwiania formalności biurowatycznych, podczas gdy mężczyźni siedzą z założonymi rękoma? Nawet jeśli „pan mąż” jest chory i zbyt słaby, by podnieść się z wozu, ja chyba nie mam takiej wymówki? Jestem dorosły i zupełnie zdrowy. Co miałoby wytłumaczyć, że wysyłam „moją siostrę”, by załatwiała za mnie sprawunki ze strażnikami?

Brianna zamilkła, wiedząc, że takie rozwiązanie sprawy z dużym prawdopodobieństwem wzbudziłoby podejrzenia wśród strażników. Istniało ryzyko, że tylko zachęciliby ich do dodatkowych, skrupulatnych kontroli nowo przybyłej rodziny.

– Nigdy nie wpadliby na to, że mógłbym pojawić się przed nimi we własnej osobie. Poza tym większość wrogów nie poznałaby mojej twarzy – ciągnął Martewall, zwracając się również do Iana. – Wielu z nich nigdy nie widziało mnie na oczy, pozostałych zaś spotkałem, mając na głowie hełm. Nie jest wcale powiedziane, że mogliby mnie rozpoznać, zwłaszcza w przebraniu, które mam na sobie.

Ian musiał przyznać, że na pierwszy rzut oka w stojącym przed nim brudnym i wymęczonym wieśniaku z czapką wciśniętą na oczy i kilkudniowym zarostem wcale niełatwo było rozpoznać potomka rodu Martewallów. Oczywiście, mimo to – z całą pewnością – ryzyko, na które wystawiał się rycerz, w dalszym ciągu było niezwykle wysokie.

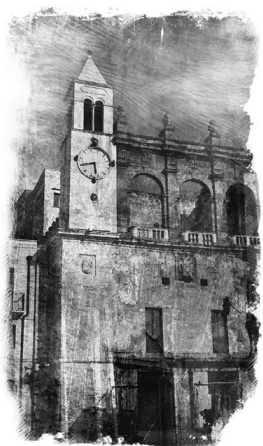
– Jeśli coś pójdzie nie tak... – zaczął niepewnie Ian.

– To niech Bóg ma nas w swojej opiece – dokończył krótko Martewall.

Wóz potoczył się wolno w stronę portu.

*

Rozdział 29



Pół godziny, jakie zajęło im dotarcie do bram grodu, Ianowi zdawało się trwać całą wieczność. Wyciągnięty na tyle wozu, mógł dojrzeć jedynie kamienne łuki bram miasta przesuwające się nad jego głową i domyślił się, że znajdują się wewnątrz murów miejskich. Zdołał zerknąć od dołu na uzbrojonych po zęby strażników, którzy spacerowali po ścieżce wartowniczej na szczycie murów, i z odrobiną ulgi zauważył, że prawie wszyscy kierowali wzrok w stronę wsi, usilnie wypatrując kogoś lub czegoś. Kilku z nich rzuciło okiem na wóz i zajrzało do jego środka, nie trwało to jednak dłużej niż kilka chwil i nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie nim zainteresowanego.

Mimo to Ian pozostawał w gotowości. „Trudno było wejść, jeszcze trudniej będzie się stąd wydostać” – pomyślał. Szczelnie okrył się płaszczem, aby wzmóc efekt symulowanego cierpienia. Poza tym rzykryty derkami i kocami, czuł się bezpieczniej i łatwiej było mu opanować napięcie. Niemniej gdy tylko zmienił pozycję, znów poczuł promieniujący ból w lewej ręce.

Wóz się zatrzymał. Ian zrozumiał, że właśnie nadszedł moment, w którym mieli się zarejestrować u strażników pilnujących bram miasta.

– Trzymaj uzdę – usłyszał głos Martewalla zwracającego się do Lisiego Ogona. – Jeśli zrobi się gorąco, spróbujcie uciekać.

„Wóz albo przewóz” – pomyślał Ian, czując przyspieszony rytm serca.

Brianna podeszła do niego i usadowiła się u jego boku. Złapała go za prawą dłoń i przylgnęła do niego całym ciałem.

– To nie jest odpowiednia chwila! – zaprotestował chłopak półgłosem, czując, jak ponownie budzi się w nim uczucie zmieszania spowodowane tym bardzo poufałym gestem, zdał sobie jednak sprawę, że dziewczyna tuliła się do niego z całych sił, ponieważ drżała z przerażenia. Na jej twarzy nie było zwykłej złośliwości – była blada jak ściana, wzrok miała utkwiony w jednym punkcie.

Ian domyślił się, że patrzyła na Martewalla.

– Co tam się dzieje? – zapytał szeptem, czując, jak udziela mu się jej niepokój.

– Jest w kolejce do rejestracji. Stoi przed nim jeszcze jeden rolnik – odpowiedziała Brianna ledwo słyszalnym głosem.

– Ilu jest żołnierzy? – zapytał jeszcze Ian, usiłując przewidzieć, jak może się

rozwinąć sytuacja. Bardzo chciał czuć rękojeść swojego miecza w dłoni pod przykrywającymi go derkami, ale Brianna nie puszczała jego ręki. Usiłowała dodać sobie odwagi tym gestem i Ian nie potrafił jej tego odmówić.

– Jest ich siedmiu – odparła dziewczyna. – Dwóch siedzi na ławce, trzeci robi za poborcę podatkowego. Czterej pozostali gapią się na przechodniów.

„Jest ich zbyt wielu, by stawić im czoło w otwartej walce” – pomyślał Ian. Był podenerwowany. „Jeśli przejrzą nasz fortel, nie damy rady ich pokonać”.

Brianna jeszcze mocniej ścisnęła go za dłoń.

– Przyszła jego kolej!

Ian znieruchomiał, w każdej mijającej sekundzie spodziewając się najgorszego.

Brianna nie mówiła nic przez długą chwilę. Ian, spragniony informacji, nie mógł się powstrzymać od pytań. Oczekiwanie nieznośnie zżerało go od środka. Właśnie otwierał usta, kiedy kobieta nachyliła się nad nim. Na jej ustach zjawił się cień uśmiechu, zbyt wymuszonego, by mógł przekonać kogokolwiek.

– Wytrzymaj jeszcze trochę, ukochany, zaraz spróbujemy znaleźć ci jakiegoś medyka – powiedziała wyraźnie, jednak jej głos drżał.

Ian wiedział, że ktoś zbliżał się do wozu, i jeszcze mocniej napiął wszystkie mięśnie. Przymknął oczy, naciągnął kaptur swojego płaszcza na głowę, tak jakby chciał osłonić zmęczony wzrok przed światłem dnia, i jeszcze głębiej wsunął się pod derki. Ponad krawędzią wozu pojawiła się twarz żołnierza w czerwonym stroju.

Drgnął odruchowo, Brianna zaś przytrzymała go mocniej – tak jakby jego dreszcz był objawem gorączki czy wyczerpania chorobą.

– Za moment będziesz miał się lepiej, zobaczysz – powiedziała i jeszcze bardziej pochyliła głowę. Chwyliła go za drugą dłoń – lewą, owiniętą bandażami, spod których widać było zaczerwienie i opuchliznę, i niby przypadkiem podniosła ją tak, by ten widok nie umknął nadchodzącemu żołdakowi.

Ian był pod dużym wrażeniem czujności i opanowania młodej kobiety. Jego oszołomienie pogłębiło się jeszcze bardziej, kiedy zdał sobie sprawę, że kilka guzików wełnianego płaszcza, który Brianna miała na plecach, nieoczekiwanie się rozpięło. Zrozumiał to, widząc wyraz twarzy żołnierza – jego oczy szybko przeniosły się z chorego na głęboki dekolt kobiety i wyraźnie widoczny zarys jej pięknych, pełnych piersi.

Mężczyzna nie omieszkał beczelnie otaksować jej wzrokiem, po czym zniknął z pola widzenia, nie zaszczycając Iana kolejnym spojrzeniem.

Młodzieniec zaczerpnął powietrza. Znów był w stanie złapać oddech. Usłyszał dochodzący z bliska głos Martewalla.

– Łyknęli haczyk. Możemy ruszać w drogę.

Wóz potoczył się dalej.

Ian słyszał, jak Brianna szepcze słowa modlitwy dziękczynnej, i wreszcie rozluźnił

napięte mięśnie. W dalszym ciągu trzymała go za rękę, ale jej uścisk nieco osłabł. Mimo to siedziała w pozycji, w której jej piersi nadal były zbyt blisko twarzy Iana, i na powrót rozbudziło się w nim niepożądane, choć niewątpliwie przyjemne uczucie.

Brianna musiała to wreszcie pojąć, ponieważ przesunęła się odrobinę, otulając się na nowo swoim szarym płaszczem, by osłonić się przed zimnem. Przeciągłe i złośliwe spojrzenie jej zielonych oczu oznajmiło Ianowi, że niebezpieczeństwo zostało tymczasowo zażegnane.

Amerykanin ponownie gapił się w niebo.

– Udało się nam, przynajmniej tym razem – powiedział, usiłując znaleźć słowa, które pomogłyby mu otrząsnąć się z zakłopotania.

– Na to wygląda – odparła Brianna szeptem.

Jechali przez wąskie zaułki ulic, w których spadziste dachy domów prawie stykały się ze sobą i w których ledwo co mieściła się ich furmanka. Kiedy wreszcie dotarli do niewielkiego placu z dala od dociekliwych spojrzeń żołnierzy, Martewall zatrzymał całą grupę.

– Udało nam się dotrzeć aż tutaj – skomentował, przywiązując konia do żerdzi w ogrodzeniu. – Teraz musimy znaleźć statek.

Ian mógł wreszcie podnieść się z wozu i stanąć na własnych nogach. Zeskoczył na ziemię z nagłym uczuciem ulgi, jakby ich furmanka była klatką, w której musiał siedzieć aż do teraz.

– Wiesz, do kogo musimy się udać? – zapytał Martewalla.

– Być może wiem, ale i tak muszę pójść tam sam – odpowiedział mu Anglik. – Będę musiał chwilę się tu pokręcić. Trudno nie zauważyć całej rodziny kursującej wte i wewte pomiędzy dwoma krańcami osady. Lepiej będzie, jeśli na mnie poczekać, a ja w tym czasie znajdę odpowiednich ludzi.

– Pomógłbym ci w poszukiwaniach, gdybyś tylko mi powiedział, do kogo mam się zwrócić – zawahał się Ian. W rzeczy samej, pozostawienie całej sprawy w rękach Anglika wywoływało w nim niemały niepokój.

– Mógłbym to zrobić. Powiedz mi tylko, jakich argumentów byś użył, aby ich przekonać? Myślę o kapitanach, którzy mnie znają. Z całą pewnością nie wystawiliby się na niebezpieczeństwo, przekonani przez cudzoziemca. Jednak liczę na to, że zdecydują się nam pomóc, jeśli poproszę ich o to osobiście i wytłumaczę im, w jakiej znalazłem się sytuacji. Mam nadzieję, że chociaż jednego z nich uda mi się znaleźć w oberży albo w dokach.

– Pewny jesteś, że nas nie zdradzą? – Ian nie był do końca przekonany.

– Tak, o ile można być pewnym słów drugiego człowieka.

Odpowiedź rycerza nieszczęśliwie uspokoiła Iana.

– A my? Co mamy robić? – zapytał młodzieniec, ustępując z niechęcią.

– Cieszyć się waszym rodzinnym szczęściem – przyznajcie, że się wam

spodobało – odparł Martewall z krzywym, ironicznym uśmiechem. – Zróbcie sobie wycieczkę na targ i próbujcie nie rzucać się w oczy. Będzie tam sporo ludzi i nietrudno wam będzie wmieszać się w tłum. Zobaczmy się tam, jak tylko znajdę tego, kogo szukam.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i zostawił swoich kompanów samych, znikając pomiędzy ponurymi zaułkami i chyłącymi się ku ziemi sylwetkami domów.

Ian westchnął z rozdrażnieniem. Miał związane ręce i musiał zaufać swemu nieprzyjacielowi. Nie podobało mu się to ani trochę. Usiłował się uspokoić, powtarzając sobie uparcie, że Martewall nie miał żadnego interesu w tym, by wystawić na niebezpieczeństwo towarzyszy swojej ucieczki – nawet tych najbardziej znieawidzonych. Jednak na samą myśl o tym, że będzie musiał czekać z założonymi rękoma, czuł narastającą, bezsilną wściekłość.

– A więc? My też wyruszamy w drogę? Jeśli będziemy tutaj dłużej siedzieć, z całą pewnością zwrócimy na siebie czyjąś uwagę – powiedziała Brianna. Zawiazywała sobie na głowie chustę, pod którą zebrała i sprawnie ukryła czerwoną burzę loków, by nie przyciągać niechcianych spojrzeń. Kiedy skończyła, wyciągnęła z wozu niewielkie zawiniątko, w którym ukryła swój skromniutki dobytek, po czym chwyciła Iana za ramię z półuśmiechem. – Co wy na to, panie mężu? Idziemy na targ?

Chłopak nawet nie próbował oswobodzić się z tego żartobliwego gestu, nie chcąc być niegrzecznym.

– Ja idę sam – burknął Lisi Ogon, wyraźnie zniesmaczony. – Spotkamy się później na targu.

– Czekaj! Nie oddalaj się! – wykrzyknął Ian, ale chłopiec nawet się nie odwrócił i szybko zniknął w zakamarkach ulic.

Brianna westchnęła boleśnie.

– Nie może dość do siebie.

– Wpakuje się w tarapaty. – Ian pogрузił się w czarnych myślach. Nie pomagała mu świadomość, że Lisi Ogon był przyzwyczajony do samotnej włóczęgi w nieznanym mu miejscach.

– Nie, on wie przecież, jak wysoka jest stawka w tej grze, będzie ostrożny – próbowała go uspokoić Brianna, jednak w jej głosie pobrzmiwał głęboki smutek. – Bardziej martwi mnie to, jak bardzo jest na mnie wściekły. Zmusiłam go do tego, by udał się ze mną do Francji, ale nie wiem, czy zechce tam zostać. Rośnie i dojrzewa, a ja nie mogę wpływać na wszystkie jego wybory. Nie miał łatwego życia, i to z mojej winy. Obawiam się, że kiedy zmęczy się moim towarzystwem, zostawi mnie i pójdzie swoją drogą, nie oglądając się za siebie.

– Jest zły, ale was kocha i z pewnością was nie opuści – pocieszył ją Ian, wstrząśnięty goryczą słów kobiety. – To nie jest niewdzięczny dzieciak. Zawsze

będziecie mogli na niego liczyć, jestem tego pewien.

Brianna kiwnęła głową w milczeniu, pogrążona w myślach. Otrząsnęła się na chwilę z zamyślenia, ściskając mocnej ramię Iana, i zmusiła się do uśmiechu.

– A więc i my zrobimy sobie małą wycieczkę, co o tym myślicie? – zaproponowała. – Tak jakbyśmy byli prawdziwą parą, która załatwia sprawunki na targu. Pozwólcie mi jeszcze przez chwilę poudawać, że miłuje mnie piękny francuski rycerz. Obiecuję nie zadręczać was już nieprzystojnymi gestami. Wasza żona nie będzie miała powodów, by się na mnie gniewać.

Ian poczuł nagły przyływ współczucia dla jej samotności i bólu, który w sobie nosiła i który tak dobrze maskowała, obnosząc się z udawaną butą.

– Idziemy na targ – powiedział z uśmiechem i wyjął z jej dłoni zawiniątko, które niosła.

Bez trudu wmieszali się pomiędzy ludzi na targowisku. Port Dunchester był niewielki, ale o tej porze dnia lwia część mieszkańców skupiła się właśnie na ryneczku, targując się zaciekle. Dokoła nie było widać żadnych zbrojnych poza kilkoma noszącymi barwy rodu Martewallów. Trzymali się jednak z dala od ciżby, spoglądając w roztargnieniu na kłębiące się tłumy.

Ian wiedział, że port został zajęty bez bitwy, jeszcze zanim królewskie oddziały zaatakowały zamek Dunchester. Nie dziwiło go, że żołnierze w osadzie nie podzielili losu obrońców twierdzy i nie zostali pozbawieni wolności. Zwycięzcy nie byli wystarczająco liczni, by kontrolować całe lenno. Poza tym mieli ważniejsze sprawy na głowie, zwłaszcza od kiedy wieści o ucieczce Geoffreya Martewalla dotarły i do ich uszu. W związku z tym pozostawili kwestie regularnego zarządzania i porządku publicznego w gestii żołnierzy w czerni, sami ograniczyli się zaś do pełnienia warty na murach osady i ewentualnych drogach dostępu oraz ucieczki – takich jak trakty prowadzące do grodu i wiodące do doków.

Chociaż starego pana zastąpił nowy namiestnik, większość kwestii organizacyjnych lenna pozostała niezmienną – w tym i niewielki zapal żołdaków. Już niedługo ci sami ludzie mieli przywdziać nowe barwy – teraz czekali tylko na oficjalną decyzję o nowym zarządcy osady, który miał sprawować tam władzę sądowniczą.

Ian poczuł nieznaczną ulgę, kiedy zauważył, że zupełnie nikt na placu targowym nie zwraca uwagi na niego ani na Briannę. Ludzie mijali się w pośpiechu, nie rozglądając się dookoła. Na ich twarzach malowały się złe przeczucia zmieszane z autentycznym strachem. Tak jak mieszkańcy Willingham, również ludność zamieszkująca portową miejscinę zastanawiała się nad tym, jak zmieni się jej życie w obliczu porażki starych feudałów. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać po

rządach nowego pana. Obawiano się wspólnej władzy lorda Salisbury i Murrowa – tak jak obawę wzbudza wszystko to, co nowe i nieznane, zwłaszcza gdy może przynieść ze sobą poważne konsekwencje.

Żołnierze w czerni nawet nie próbowali zwracać uwagi na przechodniów. Byli zajęci cichą rozmową między sobą, ich twarze wyrażały zaś te same zmartwienia, jakie dręczyły miejscowych.

Brianna poprowadziła Iana między stoiska kupców, z udawanym zainteresowaniem oglądając towary na sprzedaż. Zdawali się naprawdę zaaferowanym małżeństwem – on niosąc płócienne zawiniątko, ona puszczając czasem jego ramię, by rzucić okiem z bliska na artykuły wystawione na straganach. Mimo napięcia towarzyszącego chwili Ian z radością spoglądał na uśmiech rozjaśniający twarz Brianny. Dziewczyna zasłużyła na moment oddechu po tym wszystkim, co musiała przejść. W myślach życzył sobie, by we Francji spotkał ją lepszy los, to samo dotyczyło jej syna. Obiecał sobie, że zrobi wszystko, by właśnie tak się stało.

Był panem na Montmayeur, mógł sprawić, że rodzina wygnańców znajdzie godne schronienie, by stworzyć ciepły dom.

Przypomniawszy sobie, że w sakiewce zostało mu jeszcze kilka monet z tych, które ukradł strażnikowi latarni. Mimo dramatycznych wydarzeń ostatnich dni udało mu się ich nie zgubić, nie miał też potrzeby ich wydawać. Pomyślał, że właśnie nadeszła odpowiednia chwila, by to zrobić, choćby nawet zakup był nieprzemyślany i spontaniczny. Jeden z kupców sprzedawał maleńkie kamienne figurki w kształcie zwierząt – ustawione w domu miały przynosić szczęście. Jednej z nich nadano formę lisa, wykonana była w wyjątkowo zgrabny sposób i Ian zdecydował się ją kupić, korzystając z chwili, gdy Brianna zajęta była oglądaniem towarów na straganie obok.

Wręczył prezent dziewczynie, kiedy do niego podeszła.

– Pierwsza cegiełka na wasz nowy dom – powiedział.

Brianna pojaśniała na twarzy z radości.

– Dziękuję – odpowiedziała, ściskając figurkę w dłoniach. – Jesteście naprawdę niezwykłym człowiekiem. Przekażcie waszej żonie, żeby dobrze was pilnowała.

– Nie ma powodu, żeby się tym przejmować – uśmiechnął się Ian.

Brianna odwzajemniła uśmiech.

– Chyba wiecie, o czym mówię.

Znajomy głos przerwał chwilę ciszy, która zapadła między nimi. Odwrócili się. Martewall zbliżał się do nich, przeciskając się przez tłum.

– Kiedy wam mówiłem, żebyście udali się na rynek, nie spodziewałem się, że naprawdę tutaj przyjdziecie, i to w dodatku robić zakupy – powiedział Anglik i wskazał z ironią na figurkę, którą Brianna wciąż trzymała w dłoni. Z daleka musiał również zauważyć gest Iana, ponieważ dodał zjadliwie: – Chyba przypadło wam do gustu udawanie szczęśliwej pary, co?

– A ty co, zazdrosny jesteś? – burknął Ian, czując narastającą irytację. – Jak tak bardzo cię boli, że Brianna spędza czas w moim towarzystwie, trzeba było z nami zostać, zamiast udawać agenta wywiadu wysłanego na sekretną misję.

Martewall patrzył na niego z wybałuszonymi oczyma.

– Kogo takiego?

Ian ugryzł się w język, by nie strzelać więcej głupot takiego rodzaju.

– Daj już spokój – uciął krótko. – Lepiej byś powiedział, czy znalazłeś tego, kogo szukałeś.

– Tak. Miałem szczęście i zajęło mi to mniej czasu, niż się spodziewałem. Kapitan, którego darzę największym zaufaniem, był akurat w dokach – mówiąc to, Anglik zrezygnował z sarkastycznego tonu i spowaźniał. Był wyraźnie zadowolony z siebie. – Jego łódź będzie na nas czekała w zatoce za jakąś godzinę – wskazał palcem kierunek za plecami. Za portową palisadą rozciągała się otwarta przestrzeń morza.

– Dlaczego nie wypływamy bezpośrednio z doków? – zapytał Ian.

– Kapitan powiedział mi, że żołnierze Murrowa przeszukują wszystkie wypływające statki, sprawdzając po kolei wszystkich marynarzy i pasażerów. Za nic w świecie nie uda nam się przemknąć niezauważenie. Plan jest następujący: pani wraz z synem zaokrętują się w porcie, łódź wypłynie na otwarte morze, po czym zahaczy o zatokę, żeby zabrać naszą dwójkę. Nie podpłynie co prawda zbyt blisko wybrzeża, ale ty przecież potrafisz pływać, nie?

W ostatnim zdaniu pojawił się wyczuwalny sarkazm i Ian znowu nabrał chęci, by odszczeknąć mu w podobnym tonie.

– Tak, powiedziałbym nawet, że umiem pływać lepiej niż twoi ludzie pilnować więźniów.

– A więc nie przewiduję problemów – uciął Martewall, udając, że nie zauważył prowokacji.

– Jesteś pewien, że możemy zaufać temu kapitanowi? – ciągnął Ian z odrobiną niepokoju w głosie. – Nie chciałbym, żeby się okazało, że za godzinę w zatoce będą czekali na nas wszyscy ludzie Murrowa w komplecie.

– Obawiałbym się każdego innego, ale do tego człowieka mam pełne zaufanie – odparł Martewall. – Znam go od wielu lat, walczył na wojnie u boku mego starszego brata Richarda, później jego łódź towarzyszyła memu bratu Peterowi we Francji i ten sam statek przywiózł z powrotem jego zwłoki w ostatniej podróży. Nigdy nie zhańbiłby się zdradą mojej rodziny. Wolałby sam zginąć.

Anglik mówił z taką pewnością, że Ian dał się przekonać. Nie protestował już dłużej i milczał, kiedy Martewall zwrócił się do Brianny.

– Musicie udać się do doków i odnaleźć statek z szarymi żaglami – powiedział baron. – Pytajcie o Neda Stone'a, to kapitan, o którym wam mówiłem. Będzie na was

czekał.

– W porządku. – Brianna kiwnęła głową. Wyciągnęła rękę do Iana i zabrała od niego niewielkie zawiniątko ze swoim dobytkiem. Do środka wsunęła kamienną figurkę.

– Gdzie jest chłopiec? – zapytał Martewall, rozglądając się dookoła.

– Pewnie pałęta się gdzieś w okolicy – odpowiedział Ian. Po chwili jego uwagę przyciągnęły wzburzone głosy dochodzące od strony placu targowego.

Podobnie jak ludzie wokoło, przeniósł wzrok w kierunku zamieszania. Obok straganu z jajami i warzywami zobaczył tłustego mężczyznę, który wrzeszczał na chłopca, trzymając go z całych sił za ramię.

Ian rozpoznał Lisiego Ogonia.

– O nie – wymamrotał.

– Niech to szlag... – Martewall powtórzył za nim jak echo.

Brianna w odruchu przerażenia zakryła usta dłońmi.

Kupiec przytrzymał Lisiego Ogonia, który bezskutecznie próbował wyrwać się z uścisku. Z daleka nie można było dokładnie usłyszeć słów, ale wydawało się, że toczy się tam wyjątkowo zajadła kłótnia.

– Tym razem zostań tutaj. Jeśli cię rozpoznają, będzie z nami źle – powiedział Ian do Martewalla i kilkoma długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od miejsca, w którym znajdował się chłopak. W ślad za nim pospieszyła Brianna.

– Co się tutaj dzieje? – Amerykanin zwrócił się z pytaniem do kupca, który stał tuż przed nim.

– Matko! – zawył równocześnie Lisi Ogon, na którego twarzy malowała się mieszanka nagle obudzonej nadziei i strachu.

Kupiec odwrócił się i prawie podskoczył, kiedy wpadł na Iana. Odsunął czapkę z czoła, chcąc spojrzeć mu prosto w oczy, różnica wzrostu pomiędzy rycerzem a handlarzem była bowiem dość znaczna.

– Cóż takiego zrobił ten chłopiec? – zapytał Ian. Nie chciał sprawiać wrażenia zbyt groźnego, aby nie pogarszać sytuacji. Nie wiedział, czego może się spodziewać po wystraszonego mężczyźnie.

Kupiec otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia i jeszcze mocniej ścisnął ramię swojej ofiary.

– Czy wy jesteście ojcem tego łotrzyka?! – wykrzyknął z pretensją w głosie.

– Nie – odparł Ian zgodnie z prawdą.

– Ja jestem jego matką – powiedziała Brianna w tej samej chwili. Była bardzo przestraszona. – Co wam zrobił mój syn?

Mężczyzna zwrócił się do niej. Na jego pyzatej twarzy pojawił się rumieniec wściekłości.

– Dzisiaj jeszcze nic, ale zdołałem go rozpoznać i dam mu nauczkę! Dwa tygodnie

temu ukradł mi kosz jajek i uciekł w tłum!

– To nie byłem ja, przysięgam! – bronił się Lisi Ogon resztkami sił.

– A powiedziałaś mi, że je zarobiłeś, pomagając gospodarzowi w oporządzaniu jego trzody – powiedziała skonsternowana Brianna.

Chłopiec zaczerwienił się ze wstydu i zamilkł, zmieszany.

– Miałem rację! – handlarz zwrócił się do niego ze złością.

– Posłuchajcie, spróbujmy się jakoś dogadać – przerwał Ian, rozglądając się z niepokojem dookoła. Ognista dyskusja przyciągała coraz więcej gapiów, a była to ostatnia rzecz, której pragnął. – Zapłacę wam za jajka, które ukradł chłopiec. Powiedzcie mi, ile wam się należy, i zakończymy całą sprawę.

– O nie, nie puszczę mu tego płazem! – odparł wzburzony mężczyzna. – Zasługuje na karę, może w ten sposób przejdzie mu chęć do złodziejstwa!

– Ustąpcie, to jeszcze dzieciak – nalegał Ian, coraz bardziej przestraszony rozwojem sytuacji. – Zapłacę wam podwójną cenę za jajka.

– Oddam go strażnikom, to już postanowione! – ciągnął handlarz, nieprzejednany w swojej złości. – Kilka dni w kajdanach i zrozumie, że nie wolno ruszać cudzej własności – odwrócił się i odszedł, ciągnąc za sobą wyrywającego się chłopaczka.

– Matko! – zawołał ponownie Lisi Ogon, blady ze strachu.

Ian zastąpił drogę kupcowi, tym razem z większą determinacją.

– Panie, na litość boską. Pozwólcie chłopakowi odejść, a ja wam zapłacę – powiedział cicho, lecz z niezachwianą stanowczością.

Mężczyzna, przed którym znienacka wyrosła potężna sylwetka rozmówcy, zawahał się wyraźnie i zatrzymał w pół kroku.

Kilka metrów dalej przez tłum przeciskało się dwóch żołnierzy w czarnych strojach.

– Co to za awantura? – zapytał pierwszy z nich władcym tonem.

Ian już przygotowywał się na najgorsze, zebrał wszystkie siły, by zachować zimną krew i nie popełnić żadnego fałszywego ruchu.

– To tylko kłótnia o kosz jajek, wybaczcie nam, panowie – odparł najbardziej uległym tonem, jaki był w stanie z siebie wykrzesać. – Załatwimy całą sprawę między sobą i nie będziemy już więcej zakłócać niczyjego spokoju.

Żołnierze spojrzeli na handlarza, który wciąż trzymał chłopca za kołnierz jak zakładnika.

– Niczego nie będziemy załatwiać – powiedział mężczyzna, który w obecności dwóch zbrojnych ponownie nabrał odwagi. – Ten chłoptaş to złodziej i żądam, by został ukarany wedle obowiązującego prawa.

– Panowie, proszę was... – usiłował nalegać Ian, ale żołnierze nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

– Co takiego ukradł? – zapytał jeden z nich i rzucił w stronę Lisiego Ogona

spojrzenie pełne milczącej groźby. Winowajca drżał jak liść na wietrze.

Ian był pewien, że znaleźli się w sytuacji najgorszej z możliwych, kiedy z daleka zobaczył zbliżających się trzech konnych żołnierzy, którzy nosili błękitne barwy Murrowa. Młodzieniec kątem oka zauważył, jak Geoffrey Martewall przepycha się przez ciżbę. Anglik starał się znaleźć jak najbliżej nich, by móc w razie potrzeby wkroczyć do akcji.

– Bądźcie gotowi do ucieczki – wyszeptał Ian do Brianny i wsunął dłoń pod płaszcz, tam gdzie miał ukryty miecz przytroczony do pasa. Kobieta przycisnęła z całych sił do piersi swoje małe zawiniątko.

– Chłopak idzie z nami, żeby wyjaśnić całą sprawę – zawyrokował żołnierz, który zdążył wysłuchać skargi handlarza, wygłoszonej z najdrobniejszymi szczegółami dotyczącymi przestępstwa.

– Przykro mi, jednak nie mogę na to pozwolić – powiedział Ian i wyciągnął swój miecz, celując ostrzem w gardło pierwszego ze zbrojnych.

Mężczyzna dał się zaskoczyć. Jego towarzysz sięgnął po broń z kilkusekundowym opóźnieniem, Ian zdążył jednak go zniechęcić:

– Nawet nie próbujcie, ja jestem szybszy.

Obaj żołnierze znieruchomieli.

Zgromadzeni dookoła ludzie zrobili krok w tył, wyraźnie przestraszeni. Twarz handlarza była teraz tak blada, że przypominała woskową maskę.

– Pozwólcie chłopcu odejść – powtórzył Ian, w dalszym ciągu nie podnosząc głosu.

Handlarz posłusznie puścił swojego zakładnika, Lisi Ogon rzucił się biegiem w stronę matki. Brianna przycisnęła go do siebie.

– Teraz: rozejść się – nakazał Ian.

Dwóch żołnierzy wycofało się natychmiast, pospiesznie rozglądając się za drogą ucieczki pomiędzy ludźmi, jednak w tym samym czasie żołnierze Murrowa dostrzegli zamieszanie i Iana, który stał z wyciągniętym mieczem.

– Stać, zatrzymać się! – krzyknęli, spinając konie ostrogami i spiesząc w ich kierunku.

Martewall bezzwłocznie obnażył swój miecz. Oparł się na kolanie, trzymając wyciągnięte ostrze w prawej dłoni, lewą dłoń miał otwartą i opierał ją o rękojeść, zwiększając impet ciosu. Pierwszy z żołnierzy w niebieskich szatach runął na ziemię obok swego rannego konia, przewracając stragan wraz z wszystkimi towarami. Pozostali dwaj musieli odskoczyć na swoich wierzchowcach, aby ominąć przeszkodę, która nagle wyrosła na ich drodze, obojwaj stracili jednak równowagę i wpadli na pobliskie stragany przy akompaniamencie wrzasków kupców.

W ogólnym zamieszaniu tłum na targowisku się rozpiierzchnął.

Ian wykorzystał popłoch i chaos. Ranił jednego z żołnierzy, którego miał w zasięgu ciosu, i rzucił go na ziemię potężnym kopniakiem, po czym odwrócił się, by zająć się

pozostałymi.

– Uciekajcie! – wrzasnął Martewall z daleka, zajęty pojedynkiem z ludźmi Murrowa.

– Wmieszajcie się w tłum i pędźcie do doków! – powiedział Ian do Brianny i Lisiego Ogona, po czym odepchnął brutalnie jednego z żołnierzy, który zdołał się do nich zbliżyć.

Obydwojgu nie trzeba było powtarzać polecenia. Brianna chwyciła syna za rękę i odwróciła się, gotowa do ucieczki. Z drugiej strony placu nadciągało jednak kolejnych trzech zbrojnych ubranych w czerni i przynajmniej dwóch ludzi Murrowa na koniach.

Ian uzmysłowił sobie, że za chwilę zostaną okrążeni.

„Jest ich zbyt wielu” – dotarło do niego wraz z falą potwornego strachu. Również Martewall zdawał się mieć spore trudności, walcząc przeciwko dwóm przeciwnikom na koniach, którzy nieoczekiwanie się przed nim pojawili. Szczęk mieczy i hałas potyczki lada chwila mógł przyciągnąć resztę żołnierzy małego portowego miasteczka. „Nie damy rady bez pomocy z zewnątrz” – pomyślał Ian i zacisnął zęby.

Spojrzał na mężczyznę w czerni. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł i błagał, by nie okazał się chybiony.

– M a r t e w a l l ! – wrzasnął z całych sił.

Angielski rycerz odwrócił się odruchowo, podobnie jak wszyscy żołnierze w czarnych barwach. Ci ostatni patrzyli z niedowierzaniem.

Martewall spojrzał na Iana z daleka i zrozumiał jego intencje. Zrzucił z głowy kaptur i zdarł z siebie zgrzebne szaty rolnika, które przykrywały czarną tunikę i krótką kolczugę.

Jego żołnierze rozpoznali go w mgnieniu oka. Trzech z nich, w tym jeden, który pojedynkował się z Ianem i został przez niego zadraśnięty, zamarło w pół kroku, nie wiedząc, co zrobić. Dwaj pozostali jednak wzniesli do góry ostrza swych mieczy i z dzikim okrzykiem rzucili się na ludzi Murrowa.

Żołnierze w błękicie dali się zaskoczyć. Jeden z nich wypadł z siodła, pozbawiony w ten sposób możliwości jakiegokolwiek obrony.

Na placu zawrzała bitewny gwar.

Żołnierz w czerni walczący z Ianem porzucił swego przeciwnika i pędem rzucił się do ucieczki, nie potrafiąc zdecydować, po której ze stron stanąć. Jego ranny towarzysz zrobił to samo – ledwo zdoławszy dźwignąć się na nogi, zniknął w najbliższym zaułku. Tylko dwóch żołdaków postanowiło pozostać, by walczyć u boku swojego byłego pana, ale to wystarczyło – Ian i Martewall mieli teraz dwóch sprzymierzeńców, a liczba przeciwników nagle się zmniejszyła.

Żołnierz w barwach Murrowa pojawił się nagle przed Ianem, wymierzając mu z wysokości siodła cios ciężkim toporem. Amerykanin zwinął się w uniku, po czym

chwycił za odważnik leżący na jednym z kramów i cisnął nim w przeciwnika. Trafił w koński pysk. Przerażone zwierzę zarżało, wierzgnęło i zrzuciło na ziemię swojego pana.

Ian natychmiast stanął do pojedynku z żołdakiem, nie dając mu czasu na przygotowanie się do starcia. Zranił go i ostatecznie powalił na ziemię. Dysząc z wyczerpania, poszukał wzrokiem Brianny i Lisiego Ogona. Usiłowali uciec, jednak drogę zagroził im zbrojny w siodle czarnego rumaka. Mężczyzna wymierzył miecz w Briannę, która własnym ciałem zasłaniała syna. Nie mieli dokąd uciec.

Ian rzucił się w ich kierunku, ogromnymi susami pokonując dzielącą ich odległość. W tej samej sekundzie usłyszał przenikliwy syk strzały, która minęła go o włos i pomknęła dalej. Z okrzykiem złości i przerażenia dostrzegł, że jeden z żołnierzy mierzy do niego z kuszy.

Amerykanin rzucił się za jeden ze straganów, cudem unikając drugiego grotu. Przewrócił cały kram i zasłonił się deską służącą za ladę, by odzyskać urywany oddech. Dwie kolejne strzały z suchym trzaskiem utkwily w drewnianej desce. W chwilę później kusznik został pokonany przez żołnierza w czerni, który wyrósł za jego plecami. Ian przez kilka sekund usiłował zebrać myśli.

„Skąd, do diabła, się tu wziął?” – zastanawiał się z rosnącym niepokojem i nagle sobie uświadomił, że żołnierze Nigela Murrowa, zaalarmowani hałasem, napływali ze wszystkich bocznych uliczek grodu.

Ian w myślach posłał do diabła nastoletniego barona, po czym podniósł się na nogi, by raz jeszcze stawić czoło nadchodzącym zbrojnym. Tylko rozpacz i determinacja motywowały go jeszcze do walki. Podbiegł do Brianny i Lisiego Ogona, którzy wciąż stali przed jeźdźcem konnicy Murrowa. Mężczyzna trzymał dziewczynę, ciągnął ją za ramię. Lisi Ogon próbował go powstrzymać ze wszystkich sił, matka jednak robiła wszystko, by nie pozwolić mu znaleźć się w zasięgu śmiertelnego ostrza miecza.

Ian natarł na żołnierza od drugiej strony. Wolną dłonią złapał go za tunikę i ściągnął z siodła. Cios odezwał się echem w jego wciąż obolałej dłoni, powodując potworne ukłucie bólu w lewym nadgarstku, ale nic nie mogło powstrzymać Iana, kiedy wpadł w ferwor walki.

– Zostaw ich! – wykrzyknął, wymierzając nieprzyjacielowi kopniaka z taką siłą, że ten zwinął się bez przytomności na ziemi.

Koń wierzgnął niespokojnie, ale Ian przytrzymał wodze i nie pozwolił mu uciec. Zwierzę usiłowało się wyrwać, ponownie powodując przejmujący ból w rannej dłoni. Lisi Ogon pomógł mu przytrzymać uzdę i we dwóch zdołali zatrzymać wierzchowca.

– Uciekamy stąd! – wykrzyknął Ian do chłopca i jego matki.

Lisi Ogon przytaknął, nie potrafiąc nawet wydusić z siebie słowa. Ian dał mu znak dłonią, by wdrapał się na siodło.

Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka.

– Uważaj! – krzyknęła Brianna.

Ian zbyt późno usłyszał świst strzały. Nie zdążył zareagować. Brianna odepchnęła syna na bok, po czym wydała z siebie okrzyk bólu. Całym swoim ciężarem osunęła się w ramiona Iana. W powietrzu rozległ się kolejny gwizd i koń wyrwał się im z rąk, oszalały z bólu i przerażenia.

– Matko! – wrzasnął Lisi Ogon.

Ian przytrzymał Briannę, zanim dziewczyna upadła na ziemię. Objął ją ramieniem wokół talii i poczuł, jak po dłoni spływa mu ciepła i lepka ciecz. Przeszył go dreszcz, kiedy wyczuł ręką końcówkę bełtu wbitego w bok kobiety, tuż pod żebrami.

Podniósł oczy i ujrzał kusznika, który przygotowywał się do trzeciego strzału.

– Ty sukinsynu! – zawył ze złością i natarł na niego, gotów przeszyć go swym ostrzem. Chybił, jednak mężczyzna musiał odskoczyć, by uniknąć jego miecza, co uniemożliwiło mu kolejny strzał. Umarł w chwilę później, przebity sztyletem Martewalla, który trafił go w locie na wysokości szyi. Cios był wymierzony z okrutną precyzją i siłą.

Ian podtrzymywał Briannę, która obejmowała go resztkami sił. Uścisk słabł z każdą sekundą. Zawiniątko kryjące jej skarby upadło na ziemię, okruchy figurki lisa ugrzęzły w błotnistej ziemi.

Dziewczyna patrzyła na Iana szeroko otwartymi oczami, nie zdołała jednak wydusić z siebie ani słowa. Robiła się coraz bardziej bezwładna, niczym szmaciana lalka.

– Matko! – powtórzył Lisi Ogon, tonąc we łzach.

Martewall zbliżał się do nich biegiem. Po drodze skrzyżował miecz z wrogiem na koniu, raniąc go w nogę tak, że nieprzyjaciel wypadł z siodła, po czym młody baron musiał rzucić się na ziemię, by uniknąć spotkania z kolejnym przeciwnikiem, który w galopie celował w niego mieczem. Ostrze zagwizdało tuż nad jego głową, po czym nieprzyjaciel padł przeszyty grotem strzały.

Martewall skoczył na nogi, pomagając sobie rękoma, i zbliżył się do Iana.

– Na rany Chrystusa! – wykrzyknął półgłosem, widząc ledwie przytomną Briannę.

Dwaj żołnierze w czerni, którzy walczyli po stronie Martewalla aż do teraz, podjechali do nich na koniach, ciągnąc za sobą jeszcze dwa wierzchowce, które zdołali przechwycić od pokonanych żołdaków Murrowa.

– Uciekajcie, panie! Nadchodzą posiłki! – wykrzyknął jeden z nich, podczas gdy jego kompan mierzył z łuku do wrogów.

Młody baron spojrział na Iana z niepokojem.

– Zabieramy ją – zdecydował, wskazując na leżącą dziewczynę. Wprawnie wskoczył na siodło i wyciągnął ręce w stronę Amerykanina. Ian pomógł mu wsadzić ranną na konia, po czym podbiegł do drugiego wierzchowca, podsadził Lisiego Ogoną i zajął miejsce w siodle tuż za nim, tak aby w razie potrzeby móc chronić

chłopca własnym ciałem – rycerza osłaniała przynajmniej krótka kolczuga.

Bez chwili zwłoki, trując wszystko, co znalazło się na jej drodze, mała grupka oddaliła się galopem z placu rynkowego.

*

Rozdział 30



Uciekali, usiłując zgubić ścigających ich żołnierzy w wąskich i wijących się uliczkach. Jeden ze zbrojnych w czarnych barwach jechał z przodu, a drugi osłaniał tyły, chcąc ochronić swego pana i towarzyszące mu osoby.

Ich opętańczy galop siał panikę wśród mieszkańców osady, którzy musieli uskakiwać z drogi i kryć się w bocznych uliczkach i otwartych bramach kamienic, by uniknąć stratowania przez końskie kopyta. Ian zahaczył o stos koszy ułożonych jeden na drugim przed drzwiami warsztatu. Wiklinowe pojemniki rozsypały się po całej brukowanej ulicy przy akompaniamencie rozwścieczonych wrzasków handlarza. Martewall z trudem wyminął dwa juczne woły, które nagle wychynęły z bocznej dróżki, ciągnąc za sobą wóz pełen warzyw.

Dotarli do bram grodu po przeciwnej stronie do wrót wjazdowych. Nie zwalniali – do żołnierzy pełniących wartę nie dotarły jeszcze słuchy o zamieszaniu na placu targowym i byli zupełnie nieprzygotowani na to, by zatrzymać grupkę nadciągającą w obłąkańczym pędzie.

Ian zobaczył dwóch mężczyzn uzbrojonych w kopie, którzy chcąc zagrozić drogę ucieczki nadjeżdżającym, stanęli w bramie. Nie miał przy sobie miecza, którym mógłby usunąć ich sprzed kopyt swojego wierzchowca. Zrobił to za niego żołnierz w czerni, galopujący tuż przed nim – ostrzem swojej broni przeszył jednego z wrogich żołdaków.

Drugi odskoczył pospiesznie, by dać się stratować przez konia Iana.

Cała grupa wypadła na otwarte pola za bramami miasta jak tornado. Nikt nie oglądał się za siebie.

Żołnierze Murrowa stracili kilka bezcennych minut, dosiadając swoich wierzchowców, jednak z palisady okalającej gród bez chwili zwłoki rozpoczął się ostrzał.

Ian nachylił się nad Lisim Ogonem, aby ochronić chłopca przed morderczym świstem, który rozlegał się dokoła. Żołnierz w czerni, który zamykał ich konwój, został trafiony w ramię. Wrzasnął z bólu, ale chwycił się końskiej grzywy i zdołał utrzymać się w siodle.

Martewall spał swego rumaka ostrogami i przejął dowodzenie nad grupą.

– Tędy! – wrzasnął i zmienił kierunek ucieczki: zjechał z głównej drogi i popędził

w stronę niedalekiej zielonej plamy leśnych zarośli, które rozciągały się nieprzerwanie wewnątrz wyspy.

Teraz morze było za ich plecami, jednak Ian nie protestował. Dotarło do niego, że Martewall chce najpierw zgubić w lesie ich prześladowców, by potem w miarę bezpiecznie ruszyć w stronę zatoki, o której wcześniej wspominał.

„Miejmy nadzieję, że nie jest to zbyt daleko” – życzył sobie Ian w duchu.

Odwrócił się i zobaczył, że od strony portowego miasteczka nadciąga galopem oddział zbrojnych.

– Nadjeżdżają! – ostrzegł pozostałych w przyływie paniki.

Lisiemu Ogonowi wyrwał się okrzyk przerażenia.

Również Martewall obejrzał się za siebie.

– Szybciej! – zarządził.

W płataninie krzewów przejazd stawał się coraz trudniejszy i wymagał dużego wysiłku. Bór był zimny i wilgotny. Słabe zimowe słońce rzucało nieliczne promienie wśród nagich gałęzi czarnych drzew i gęstej zieleni świerków, malując na mokrym runie plamy światła i cienia, co jeszcze bardziej utrudniało wymijanie przeszkód i dziur na szlaku, niebezpiecznych dla końskich kopyt.

Zbiegowie parli naprzód z całą siłą, nie zwalniając ani na chwilę. Trzymali się nisko, by nie zahaczyć o gałęzie drzew, i kierowali swoje konie zdecydowanymi pociągnięciami za wodze za każdym razem, gdy na ich trasie pojawiał się obalony konar drzewa czy iglasty krzew. Co chwila spoglądali za siebie, w każdym momencie spodziewając się widoku prześladowców za plecami. Nikt nic nie mówił – szaleńcza galopada zapierała im dech w piersiach. Ranny żołnierz trzymał się w siodle nadludzkim wysiłkiem – zaciskał zęby i nie puszczał uzdy.

W pewnym momencie Martewall zatrzymał się nagle w samym środku pasa roślinności pokrytego gęstwiną splątanych krzewów.

– Dalej pójdziemy piechotą – oznajmił i zsunął się z siodła, pozostawiając na nim tylko Briannę, która kurczowo trzymała się końskiej szyi. – Zsiądźcie i przekażcie im wodze – nakazał Ian Lisiemu Ogonowi, wskazując na dwóch żołnierzy w czerni.

Żołnierz, który zdołał wyjść cało z opresji, podszedł do Iana i chwycił za wodze. W zamian podał młodzieńcowi swój miecz.

– Dziękuję – powiedział Amerykanin.

– Nie zapomnę tego, co żeście dla mnie zrobili – dodał Martewall, zwracając się do swoich ludzi.

– Powodzenia, panie – odpowiedzieli mu żołnierze, po czym oddalili się w galopie, ciągnąc ze sobą trzecie zwierzę.

– Tędy. Szybko, zanim pojawi się reszta pościgu – powiedział Martewall, prowadząc konia, na którym siedziała Brianna, w stronę jeszcze gęstszej roślinności. Poruszał się ostrożnie, aby nie zdradził ich nawet trzask gałązki, i jednocześnie starał

się, by ranna dziewczyna nie osunęła się na ziemię.

– Stawiajcie stopy delikatnie i zacierajcie za sobą ślady – dorzucił, nie oglądając się za siebie.

Ian wypchnął Lisiego Ogoną przed siebie, by zamknąć cały pochód. Zdążył zrobić nie więcej niż trzydzieści kroków, po czym do jego uszu dotarł charakterystyczny tętent końskich kopyt w galopie. Padł płasko na ziemię wśród zarośli, mimo że w miejscu, w którym się znajdował, roślinność była tak gęsta, że zasłaniała go całkowicie.

Ścigający przemknęli przez miejsce, w którym grupa zdecydowała się rozdzielić, i popędzili za dwójką żołnierzy prowadzących wolnego wierzchowca.

Ian kilkoma susami znalazł się przy Martewallu, Briannie i Lisim ogonie.

– Minęli nas! – oznajmił.

– Miejmy nadzieję, że moi ludzie zdołają wyprowadzić ich w pole – odpowiedział Martewall, wpatrując się nieustannie w nieokreślony punkt przed sobą i posuwając się naprzód szybkim krokiem. – Byle tylko nie dali się schwytać – dodał cicho.

Odwrócił się do Iana, który zdołał się z nim zrównać.

– Miałeś dobry pomysł z ujawnieniem mojej tożsamości. Inaczej nie dalibyśmy rady wyjść cało z kłopotów na placu rynkowym.

Ian był zaskoczony powagą w głosie Anglika. Pierwszy raz Martewall nie zwrócił się do niego ze swoją zwykłą wrogością, sarkazmem czy nieufnością.

– Mówiłeś, że mieszkańcy portu udzieliliby ci pomocy, gdyby cię rozpoznali. Właśnie na to liczyłem.

Martewall przytaknął.

– Zmyślny ruch.

– Co chcesz teraz zrobić? – zapytał Ian, rzucając zaniepokojone spojrzenie na nieprzytomną Briannę.

Martewall nie zwalniał kroku.

– Musimy dotrzeć do zatoki i dostać się na pokład statku Stone'a, pod warunkiem że zdoła postawić żagle i wypłynąć. Nie ma dla nas ratunku, jeśli zostaniemy na stałym lądzie.

– Brianna potrzebuje lekarza. – Ian zerknął szybko na Lisiego Ogoną, który szedł obok nich w milczeniu. Na jego buzi powoli przysychały łzy.

Ian zwolnił, by dać się dogonić chłopcu. Objął go ramieniem. Chłopiec nie protestował i Ian poczuł, że mały drży jak liść na wietrze.

– Martewall, potrzebujemy lekarza – nalegał.

– Nie znajdziemy go ani tutaj, ani w najbliższej okolicy, a przecież nie mogliśmy zostawić jej w porcie – odpowiedział Anglik, dysząc od szybkiego marszu. – Ludzie tego psa Murrowa mogli równie dobrze odebrać jej życie na miejscu albo zostawić ją na ulicy, by wykrwawiła się na śmierć. Z pewnością nie wezwaliby medyka. Nie,

musimy dostać się na statek. Stone i jego marynarze wiedzą ani chybi, jak zszyć każdą możliwą ranę – wszyscy walczyli w wielu bitwach. Będą wiedzieli, co zrobić, i w tym przypadku, a przynajmniej jak zapobiec komplikacjom, zanim zdołamy przemierzyć morze i znaleźć prawdziwego lekarza.

– Nie możemy przynajmniej wyciągnąć grotu? – zapytał Ian, zdejmowany coraz większym niepokojem. Widział dokładnie bełt wystający spod szat Brianny – poruszał się w rytm kroków konia oraz słabego oddechu kobiety. Jej suknia była poplamiona krwią od pasa aż do wysokości ud.

– Nie, bez odpowiednich narzędzi możemy tylko pogorszyć jej stan i przyspieszyć upływ krwi – odpowiedział Martewall ponurym tonem. – Zaufaj mi: musimy dostać się na statek.

„Tylko czy jesteś pewien, że Brianna wytrzyma?” – miał ochotę zapytać Ian. „Nikt nie może mieć takiej pewności” – odpowiedział sam sobie. „Martewall ma nadzieję, że zdołamy dotrzeć na czas, ale nie możemy się zatrzymywać. W przeciwnym razie wszyscy będziemy w poważnym niebezpieczeństwie”.

Ścisnął mocniej bark Lisiego Ogona.

– Musimy się pośpieszyć – nakazał.

Przywiązali Briannę do końskiej szyi za pomocą pasa tkaniny oderwanego z jej własnej sukni – chcieli za wszelką cenę zapobiec temu, by nieprzytomna dziewczyna osunęła się z grzbietu zwierzęcia. Pognali dalej przed siebie, nie zważając na gałęzie ostrokrzewów ani igły zielonych świerków, które uciążliwie drapały ich twarze. Liczyli na to, że ścigający ich żołnierze nie są już w stanie usłyszeć tupotu ich gorączkowych kroków ani głuchych odgłosów łamanych gałęzi.

Zwolnili dopiero wtedy, gdy zupełnie nie mogli już złapać oddechu. W miejscu, do którego dotarli, las stawał się wyraźnie rzadszy i gdzieś tam widać było otwarte polany. Krzewy nie były już tak gęste, a pomiędzy sztywnych źdźbeł trawy wyzierały szare kamienie. Ponad pasem roślinności widać było ciemną plamę morza.

– Woda jest lodowata, to ją zabije – powiedział Ian z przejęciem.

– To tylko kilka chwil. Poprosimy marynarzy, żeby zrzucili cumę z pokładu – odpowiedział Martewall. – „I tak nie mamy innego wyboru” – mówiło spojrzenie jego jasnych oczu.

Ian nie stawiał oporu. Chwycił w garść rękojeść miecza i zabrał się do ścinania odpowiednio grubych gałęzi i konarów drzew. Musiał posłużyć się obiema rękami i zamachnąć się z całej swojej siły, by drewno poddało się impetowi jego ciosów. Lewy nadgarstek dał o sobie znać w nagłym ataku bólu, jednak chłopak nie przerwał pracy ani na chwilę. Świadom tego, że liczy się każda minuta, zacisnął zęby i dalej rąbał konary drzew, zrzucając je na ziemię na niewielki stosik. Martewall robił dokładnie to samo. Lisi Ogon natomiast zabrał się za wyrywanie kawałków tkaniny z rękawa płaszcza Iana, by wykorzystać je jako wiązania.

W pół godziny zdołali skonstruować coś w rodzaju ruchomej tratwy o długości nieco przewyższającej odległość między wyciągniętymi ramionami. Była jednak wystarczająca, by zmieścić jedną leżącą osobą. Zwinęli prowizoryczną konstrukcję w rulon i władowali ją na grzbiet konia, po czym ponownie wyruszyli na ścieżkę prowadzącą przez łąki.

Ian czuł się zupełnie bezbronny, krocząc wśród otwartych wrzosowisk w pełnym świetle dnia. Uciekinierów mógł zobaczyć każdy i to z dość dużej odległości, równie łatwo było ich dogonić konno.

– Myślisz, że mogą nas jeszcze złapać? Straciliśmy mnóstwo czasu na konstruowanie tej tratwy – zapytał Ian Martewalla.

– Mam nadzieję, że nie dadzą rady – odparł baron zdyszany głosem. – Już prawie jesteśmy na miejscu. Niewiele nam brakuje.

Ian wyciągnął rękę do Lisiego Ogona, który był tak wyczerpany, że ledwo poruszał nogami. Chłopiec jednak odmówił pomocy i dzielnie przyspieszył kroku pomimo ogromnego zmęczenia.

Wrzosowisko zaczęło powoli opadać w dół, przechodząc w niewielką połąć piaszczysto-kamienistej plaży. Stanowiła ona część zatoki otoczonej przez wysokie skałki, w środku której unosił się na wodzie pękaty kupiecki statek o szarych żaglach, pozbawiony wyróżniających go oznaczeń. Nie zbliżał się do brzegu ze względu na niebezpiecznie ukształtowane wybrzeże. Wyraźnie jednak czekał na coś lub na kogoś.

– Stone, jak zwykle niezrównany! Zawsze we właściwym miejscu we właściwym czasie! – wykrzyknął Martewall z uczuciem ulgi i rzucił się biegiem w kierunku plaży na tyle szybko, na ile pozwalały mu resztki sił.

Ian również poczuł, jak ściska mu się serce – jednocześnie z radości, jak i ze strachu. Paradoksalnie jego strach przed schwyтaniem przez nieprzyjaciół stał się teraz silniejszy, mimo że droga ucieczki była na wyciągnięcie ręki.

Dotarcie na plażę zajęło zbiegom kilka minut. Osiągnąwszy cel, Martewall pozbył się natychmiast wszystkich zbędnych szat, które mogłyby mu ciążyć podczas przeprawy. Ian i Lisi Ogon poszli w jego ślady. Zwinęli w węzełek wszystkie niezbędne ubrania, obuwie oraz miecze i przygotowanymi wcześniej pasami tkaniny przywiązali zawiniątko do prowizorycznej tratwy. Na plaży pozostawili niepotrzebne przedmioty i ciężkie wełniane płaszcze. Teraz nie musieli już zacierać za sobą śladów – kiedy tylko uda im się dotrzeć na pokład statku, będą poza zasięgiem prześladowców.

Martewall rzucił się w wodę aż po pas, wymachując czarną tuniką, jakby była to flaga sygnalizacyjna. Otrzymał odpowiedź z pokładu – odmachano mu flagą w tym samym kolorze.

– Dalej! – wykrzyknął Anglik, zawracając kilka kroków w stronę Iana i Lisiego Ogona.

Amerykanin wsadził jedną stopę do wody, czując, jak dreszcz przeszywa go po same cebulki włosów. Była lodowata. Zmusił konia do przejścia paru metrów, tak by ochronić Briannę przed mroźną kąpielą aż do ostatniej chwili. Kiedy zobaczył, że zwierzę zaczyna niepokojąco wierzgać, zatrzymał się i ściągnął tratwę z siodła. Wyprostował konstrukcję i ułożył na niej w poprzek ostatnie gałęzie, by nieco ją ustabilizować.

Martewall i Lisi Ogon zbliżyli się, żeby mu pomóc. Chłopiec trzymał sztywno dryfującą tratwę, by nie pozwolić jej porwać jej przez szybkie prądy, zaś Anglik i Ian ściągnęli Briannę z siodła. Ułożyli ją na powiązanych ze sobą gałęziach, upewniając się, że struktura utrzyma jej ciężar. Dziewczyna nie zareagowała w żaden sposób, kiedy zimna woda zmoczyła jej ubranie i włosy. Leżała nieruchomo z głową przechyloną na bok i przymkniętymi ustami.

Bełt w dalszym ciągu wystawał spod jej zakrwawionych szat, sprawiając upiorne wrażenie. Krew barwiła lodowate wody na różowawo.

Martewall przykrył Briannę swoją czarną tuniką, mimo że i tak nie mógł ochronić dziewczyny przed zimnem. Ian przywiązał do tratwy zawiniątko z ubraniami i bronią i w końcu puścił wodze konia. Zwierzę, parskając z zimna, oddaliło się w stronę brzegu.

– Dalej, odwagi – zwrócił się Ian do Lisiego Ogona, widząc, że chłopcem wstrząsają dreszcze. – Musimy się pospieszyć, bo inaczej zamarzniemy.

Statek płynął w ich kierunku. Na szczęście fale były płaskie i niskie i pozwoliły sternikom powoli zbliżać się do brzegu. Przeprowa mimo to była dla uciekinierów trudna, zwłaszcza że musieli pchać przed sobą dryfującą tratwę.

Minuty mijały w uderzającej ciszy.

Ian zaczął coraz bardziej odczuwać skutki wysiłku i wyziębienia. Usiłował oddychać głęboko i spokojnie, jednak fale, mimo że nie były silne, pryskały mu wodą w twarz, zmuszając do zamykania oczu piekących od soli.

Młodzieniec usłyszał kaszel Lisiego Ogona znajdującego się o parę kroków od niego. Odwrócił się i zobaczył, że chłopiec dyszy z wyczerpania. Wyciągnął rękę, by chwycić go za ramię. Nie zdołał się odezwać, chciał oszczędzać oddech, ale przynajmniej pomógł mu utrzymać się w równej linii z unoszącą się na wodzie tratwą.

Całkowicie wykończony, skierował wzrok w stronę statku, by obliczyć odległość, jaka dzieliła ich od ocalenia. Dystans wydawał się nieskończony, tak jakby statek był daleką i nieosiągalną fatamorganą.

Rozpacz i desperacja brały już prawie nad nim górę, kiedy dostrzegł na mostku kapitańskim człowieka, który wychylał się, by oddać strzał z łuku wysoko nad siebie. Marynarz wypuścił strzałę, do której była przywiązana lina. Grot zatoczył szeroki zakręt w powietrzu i uderzył z impetem w powierzchnię wody niedaleko Martewalla.

Z krańcowym wysiłkiem Anglikowi udało się dosięgnąć sznura, zanim ten zatonął.

Zawrócił i przywiązał linę do tratwy – marynarze stojący na pokładzie zaczęli przyciągać ją do siebie.

Ian złożył dzięki niebiosom – gruby sznur ciągnął i ich, uczepionych dryfującej konstrukcji. Do ich uszu docierały już wyraźne i donośne głosy marynarzy, którzy zachęcali uciekinierów, by nie puszczali liny i wytrzymali jeszcze trochę.

Chwilę później krzepkie ramiona mężczyzn pomogły im dostać się na pokład. W pierwszej kolejności wciągnęli na statek nieprzytomną Briannę i Lisiego Ogoną.

Ian postawił stopę na pokładzie i w tym samym momencie poczuł, jak wstrząsają nim gwałtowne dreszcze. Był przemarznięty i przemoczony. Marynarze natychmiast okryli mu plecy derką i wręczyli niewielką flaszkę z alkoholem. Upił z niej łyk, czując, jak przyjemne ciepło rozchodzi mu się po żołądku. Podał butelkę Lisiemu Ogonowi, który zakrztusił się mocnym napitkiem.

Martewall wszedł na pokład jako ostatni. Podeszedł do niego bezzwłocznie mężczyzna około pięćdziesiątki, wysoki, barczysty i sękaty jak stary pień drzewa. Zdawał się zasuszony przez słońce i wiatr, a jego ciemne oczy patrzyły przenikliwie i stanowczo.

– Panie baronie, obawialiśmy się o was – zaczął mówić. – W porcie wybuchło niemałe zamieszanie. Na całe szczęście udało nam się zwolnić cumy, jednak inne statki zostały zatrzymane w dokach.

Martewall położył rękę na ramieniu mężczyzny, próbując odzyskać oddech.

– Ocaliliście mi życie. Nigdy nie zdołam się wam odwdzięczyć.

Kapitan Ned Stone spoglądał po kolei na przemoczonych, przemarzniętych do szpiku kości i opadłych z sił uciekinierów, po czym jego uwaga skupiła się na Briannie.

– Potrzebuje natychmiastowego leczenia, została ugodzona bełtem z kuszy poniżej żeber – wyjaśnił Ian pośpiesznie.

Stone przytaknął.

– Okryjcie ją dobrze i zanieście do kajuty – nakazał swoim marynarzom. – Wy też tam idźcie. Ogrzejcie się – poradził reszcie przybyszów, po czym odwrócił się, aby udzielić załodze szczegółowych instrukcji dotyczących wypłynięcia na otwarte morze.

Ian podążył za marynarzami, którzy skierowali się w stronę schodów prowadzących do ładowni.

Statek wyglądał podobnie do tego, którym Martewall przyплыł na wyspę – była może nieco szersza i bardziej pękata. Nie było w niej pomieszczeń dla załogi, a tylko spory, przykryty dachem magazyn, w którym można było składować towary i trzymać zwierzęta. W tym momencie ładownia była prawie pusta. Kilka drewnianych skrzyń zrzucono na stos w głębi izby, z drugiej jej strony uwiązano dwa konie, stojące teraz na warstwie czystej słomy. Obok rzucono drugi snopek, tworzący

coś na kształt posłania. Jedynym źródłem światła był niedokładnie przymknięty właz do magazynu.

Temperatura w środku była o wiele bardziej znośna i umożliwiła zbiegom ściągnięcie z siebie przemoczonych szat. Zawinęli się szczelnie w ciepłe koce, marynarze zaś przynieśli suchą koszulę dla Lisiego Ogon. Ian i Martewall wycisnęli resztki wody z mokrych spodni i wciągnęli je ponownie na siebie.

Briannę ułożono delikatnie na przygotowanym naprędce słomianym legowisku. Lisi Ogon podpełzł do matki i zajął miejsce tuż obok, jak szczeniak w poszukiwaniu ciepła. Nie powiedział jednak ani słowa.

W chwilę później u szczytu schodów pojawił się kapitan Stone. Chciał osobiście zająć się ranną kobietą. Miał ze sobą miskę z wodą oraz drewnianą szkatułkę z medykamentami.

Ian i Martewall podbiegli do niego, oferując pomoc, i wedle zaleceń kapitana ostrożnie przewrócili Briannę na drugi bok.

Stone przeciął nożem mokre suknie, które wciąż miała na sobie.

– Będzie z tym trochę roboty – skomentował ponuro.

– Odejdź stąd – nakazał Ian Lisiemu Ogonowi, łapiąc w lot sugestię kapitana, który zerknął na niego znacząco.

Chłopczyk sprzeciwił się gwałtownie.

– Nie! Chcę zostać przy niej – protestował, a jego głos trząsł się od powstrzymywanego z trudem płaczu.

– Przeniesiemy się tylko odrobinę na bok. W tym miejscu przeszkadzamy kapitanowi, który musi jak najszybciej zająć się twoją matką – usiłował przekonać go Ian. – Nie pójdziemy nigdzie daleko, obiecuję.

Lisi Ogon dał się zaprowadzić na drugą stronę ładowni. Zdawał się zupełnie oszołomiony. Usiadł na podłodze obok Iana i na jego polecenie posłusznie zaczął wycierać sobie włosy mechanicznymi, bezwolnymi ruchami.

Minuty mijały powoli. Lisi Ogon siedział nieruchomo, niepomny coraz mocniejszego kołysania statku, nie odrywając ani na chwilę wzroku od Martewalla i Stone'a, którzy pochylali się nad Brianną.

Na szczęście plecy barona zakrywały po części widok i nie pozwalały dojrzeć ruchu rąk kapitana. Porozumiewali się między sobą cicho i słowa ledwo dawały się rozróżnić.

Ian patrzył na tę scenę w milczeniu. Nagły dreszcz wstrząsnął nim w momencie, kiedy na deski z łoskotem upadł zakrwawiony bełt, który Stone dopiero co wyciągnął z boku dziewczyny.

– Źle się czuję... – jęknął chłopiec. Skoczył na równe nogi i rzucił się biegiem w kierunku schodów prowadzących na górę, zwinny jak kot.

Zaniepokojony Ian ruszył w ślad za nim.

Zastał go na mostku. Lisi Ogon, zgięty wpół, przewieszony był przez barierkę, a jego małym ciałem szarpały fale gwałtownych wymiotów.

Chłopiec zaniósł się rozpaczliwym płaczem.

– ...to wszystko moja wina... – łkał przez długą chwilę, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa więcej.

Ian przyciągnął go do piersi.

– Twoja matka wyjdzie z tego, a ty nie jesteś niczemu winien – powiedział do niego cicho. – A teraz spróbuj się uspokoić i bądź silny. Opatrz ją i już niedługo wszystko będzie dobrze.

Lisi Ogon wyrzucił z siebie ostatki łez, aż wreszcie zachwiał się z wyczerpania.

– Wracamy do środka, tutaj można zamarznąć – zarządził Ian i poprowadził go w stronę schodów prowadzących w głąb statku.

W ładowni zastali Neda Stone'a, który skończywszy pracę, mył ręce w misce z wodą. Wytał dłonie w skrawek czystego płótna zatkniętego za pas.

– Już nie krwawi – oznajmił na widok Iana i Lisiego Ogona. – Teraz, o ile tylko nie dopadnie jej gorączka, należy dbać o to, by było jej ciepło aż do momentu, w którym dotrzemy do celu.

– Tutaj przecież nie rozpalimy ognia... – powiedział Lisi Ogon słabym głosem, w którym słyhać było wahanie.

– Zajmę się tym. Jestem jej to winny – przerwał Martewall i pochylił się nad okrytymi kocem plecami Brianny, rozpinając jej wciąż przemoczone ubrania. Podniósł wzrok i spojrzał na Lisiego Ogona. – Przysięgam na wszystko, co jest mi drogie, że nie zamierzam okazać braku szacunku twojej matce – powiedział z powagą.

Chłopiec skinął głową, z trudem przełykając ślinę.

Angielski rycerz rozebrał Briannę na tyle, na ile pozwalała przyzwoitość, po czym ułożył ją sobie na brzuchu, oparłszy się plecami o ścianę pomieszczenia. Przytulił ją do swojej piersi. Nasunął koc na ich dwójkę i objął młodą kobietę ramionami, by ogrzać ją ciepłem własnego ciała.

Lisi Ogon usadowił się tuż obok.

Ian podszedł do Stone'a stojącego przy schodach.

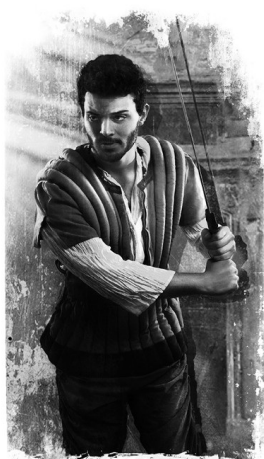
– Wytrzyma? – zapytał półgłosem.

– Nie wiem – przyznał kapitan, wychodząc na pokład.

Ianowi nie pozostało nic, jak tylko usiąść w kącie ładowni i otulić się szczelnie wełnianym okryciem.

*

Rozdział 31



Przeprawa zdawała się Ianowi jeszcze dłuższa niż ta, podczas której – cały czas związany – siedział na statku Martewalla. Być może wrażenie związane było z niepokojem o zdrowie Brianny, a może statek płynął wolniej przez wrogie prądy i niekorzystne wiatry. Bez względu na przyczynę, podróż ciągnęła się w nieskończoność.

Nie spał, czuwając przez długie godziny, wciśnięty w kąt ładowni. Rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami.

Lisi Ogon spał twardo, zwinięty u boku matki. Również Martewall poddał się zmęczeniu i zapadł w sen z policzkiem opartym o głowę Brianny, nieruchomo przyciśniętej do jego piersi.

Dziewczyna wciąż nie otworzyła oczu, jednak z regularnego ruchu jej pleców można było wywnioskować, że oddycha.

Ian obserwował światło dnia, które gasło powoli, rzucając coraz słabszy blask przez właz prowadzący na pokład. Spożył w ciszy posiłek – trochę chleba i sera, wypił też kufel piwa przyniesiony przez marynarzy.

Martewall nawet się nie obudził i Ian poprosił żeglarzy, by pozostawili jedzenie w kajucie, na wypadek gdyby baron i Lisi Ogon ocknęli się z głębokiego snu.

W końcu senność dopadła i jego i głowa młodzieńca opadła na ramię. Księżyc był już wysoko, świecąc upiornie między rzadkimi kłębowiskami szarych chmur.

Kiedy się obudził, niebo przejaśniało się delikatnie. Nadchodził świt.

Martewall i Lisi Ogon w dalszym ciągu spali, ale jedzenie zniknęło – najwyraźniej zaspokoiли głód, kiedy Ian pogrążony był we śnie.

Kapitan Stone zajrzał przez otwarty właz do ładowni.

– Prawie dobijamy do portu – oznajmił.

Ian skoczył na nogi i jego nagły ruch obudził Martewalla.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Amerykanin.

– W Dunkierce – odpowiedział Stone i zniknął z pola widzenia.

„Dunkierka, port na terytorium Flandrii graniczący z lennem Montmayeur” – pomyślał Ian, usiłując dokonać w myśli szybkiej oceny sytuacji.

Przed wojną obszar ten należał do księcia Ferdynanda Portugalskiego, hrabiego Flandrii, i Ian nie mógł sobie przypomnieć, kto przejął tam panowanie po bitwie pod Bouvines. Książę Ferdynand trafił do więzienia, po czym sprzymierzył się

z Anglikami, odrzucając przysięgę wierności Filipowi Augustowi. Ian wiedział, że król francuski, nie bacząc na rodzinę pokonanego możnowładcy, zażądał sporego lenna jako odszkodowania za straty wojenne – chciał uzyskać kontrolę również nad innymi feudałami i dać w ten sposób wyraz swym nowym planom terytorialnym względem Flandrii.

Ktokolwiek władał obecnie Dunkierką, znajomość historii podpowiadała Ianowi, że w tym regionie nie powinni napotkać żadnych trudności z powodu francuskiego pochodzenia. Świadomość ta sprawiła, że odczuł niemalą ulgę. Czas uciezki, prześladowań i strachu najwyraźniej dobiegał końca. Znajdowali się na przyjaznym terenie, gdzie Ian wreszcie mógł skorzystać ze swoich przywilejów. W pierwszej kolejności planował znaleźć dobrego medyka dla Brianny i poprosić o azyl dla uciekinierów, posługując się swym tytułem szlacheckim, który na francuskich ziemiach traktowany był z niemalym szacunkiem, niezależnie od lenna, w jakim się znajdował.

Ian w pośpiechu wciągnął na siebie szaty i zapiął wysokie trzewiki. Wciąż były wilgotne, aż przeszył go dreszcz, potraktował to jednak jako błahostkę.

– Ubierzcie się, zaraz schodzimy na ląd – powiedział do Martewalla i Lisiego Ogoną, którzy dopiero co otworzyli oczy i patrzyli na niego w oszołomieniu.

Wspiął się po schodach i wyszedł na pokład.

Nad portem w Dunkierce rozbrzmiewały przenikliwe wrzaski mew, krążących wysoko po wciąż mrocznym niebie. Horyzont zaczynał właśnie płonąć czerwienią świtu, a wzburzone fale zaś odbijały słabe błyski nowego dnia.

Port był imponująco wielki – odpowiedni dla ważnego miasta handlowego. Wiele statków i łodzi było już zacumowanych w dokach, inne zaś manewrowały na płyciźnie, by wypłynąć na otwarte morze. Ponad miejskimi zabudowaniami, ściśniętą mieszanką domów, warsztatów i magazynów, górowała potężna twierdza z szarego kamienia, z której wież powiewały płachty sztandarów.

Światło wciąż było zbyt słabe, by rozróżnić kolory herbowe na flagach. Ian miał wrażenie, że jest w stanie dojrzeć różnokolorowe pasy, nie udało mu się jednak wypatrzeć innych szczegółów. Nie mógł odgadnąć, do którego francuskiego feudała należy zdobny herb.

„To nieistotne” – pomyślał. „Znam większość feudałów z tej okolicy, jeden czy drugi – nie ma to najmniejszego znaczenia”.

Kapitan Stone zbliżył się do niego.

– Baron powiedział mi, że od tego momentu musimy oddać się w wasze ręce.

– Porozmawiam ze strażą portową. – Ian kiwnął głową, zatykając sobie miecz za pas.

Statek dobił do portu i zacumował w wolnym miejscu przy molo. Ian zeskoczył na ląd, podczas gdy marynarze wciąż byli zajęci zwijaniem żagli i wiązaniem misternych

węzłów, które miały utrzymać statek przy cumie.

Biegiem przebył wąski pas moła i prawie natychmiast znalazł to, czego szukał: dwóch zbrojnych w szerokich płaszczach chroniących ich przed zimnem stało nieruchomo niedaleko doków, nadzorując przybywających i odpływających marynarzy, rybaków i kupców, ciągnących ze sobą juczne zwierzęta obciążone towarami.

– Panowie, proszę was, na wszystkie świętości – zaczął Ian po francusku, zwracając się bezpośrednio do żołnierzy. – Potrzebny nam lekarz na ten statek. Jest tam ranna kobieta. Możecie mi powiedzieć, gdzie mógłbym go znaleźć?

Obaj mężczyźni odwrócili się równocześnie w jego stronę, na ich twarzach zaś, częściowo przykrytych przez hełmy z przyłbicą, odmalowało się bezbrzeżne zaskoczenie.

– Proszę was, to niezwykle pilne – nalegał Ian. – Gdybyście również mogli wskazać mi miejsce, w którym znajdę władze portowe...

– Mości książę... czy to naprawdę wy? – przerwał mu jeden z żołnierzy. Wybałuszył oczy zdębiały i oszołomiony. Wytrzeszczył oczy, w których malowało się niedowierzanie. Jego towarzysz stał równie osłupiały.

– Srebrny Sokół... toż to prawdziwy cud! – dorzucił.

Zdziwienie Iana było niewiele mniejsze – nie spodziewał się zostać rozpoznany przez pierwszych napotkanych ludzi. Spojrzał dokładniej na żołnierzy, których głowy przykrywały normandzkie hełmy, i zdał sobie sprawę, że musiał ich już gdzieś wcześniej widzieć.

„Tylko gdzie?” – pytał sam siebie w zakłopotaniu.

– Tak, jestem Jean Marc de Ponthieu – przedstawił się i wtem dotarło do niego rozwiązanie zagadki.

Obaj żołnierze zgięli się przed nim w pełnym szacunku ukłonie.

– Mości książę, cud prawdziwy! – powtarzali. – Wszyscy zwątpili, żeście uszli z życiem. Wasz brat nie uwierzy własnym oczom, widząc was całego i zdrowego!

Pokłon odsłonił poły płaszczy żołdaków i Ian rozpoznał kolory ich szat: mieli na sobie biało-złote pasy na czerwonym tle. Barwy rodu de Ponthieu.

Serce zatrzymało mu się na chwilę.

– Mój brat... jest tutaj? – zapytał młodzieniec. Jego głos wyraźnie drżał. Przypomniawszy sobie, gdzie widział stojących przed nim ludzi. Byli to jedni z żołnierzy, których Guillaume de Ponthieu zabrał ze sobą na wojnę.

– Tak, mój panie – odparł jeden z nich. – Dunkierka została włączona do lenna Montmayeur jakieś trzy miesiące temu. Teraz jest w rękach waszej rodziny. – Ruchem dłoni wskazał twierdzę górującą nad portem.

Ian nareszcie rozpoznał sztandary rodu de Ponthieu zatknięte na szczytach wież i zrozumiał, że w czasie jego nieobecności książę Guillaume odzyskał kontrolę nad

całym terytorium swego lenna. Miał do tego pełne prawo – był najstarszy z rodu.

A teraz w dodatku Ponthieu był tutaj, w tym samym mieście – z bliżej nieznanym Ianowi przyczyn...

– Od dwóch tygodni księżę gromadzi statki i okręty wojenne i przez to przybył tutaj ze swego zamku w Pikardii – wyjaśnił żołnierz, odgadując jego konsternację. – Już niedługo przybędą sojusznicy. Przynajmniej takie chodzą słuchy w koszarach.

– Okręty wojenne? – Ianowi zakręciło się w głowie. – Z jakiegoż to powodu?

– Nikt tego jeszcze nie wie, panie. Wiemy tylko, że tym wybrzeżom nie grozi niebezpieczeństwo.

„A więc szykują się do ofensywy” – odgadł w myślach Ian. „Tylko przeciwko komu i dlaczego?”

– Natychmiast zaprowadzimy was do waszego brata – zaoferował się jeden z żołnierzy, ale Ian odrzucił propozycję. – Najpierw znajdźcie mi dobrego medyka, byle szybko. Bardzo go potrzebuję.

– Tak, panie. – Żołnierze bezzwłocznie odbiegli.

Ian wrócił na statek. W jego głowie wrzało od wzburzonych myśli.

Nie spodziewał się, że będzie musiał stanąć przed obliczem Guillaume'a de Ponthieu tak szybko. Nie był na to zupełnie przygotowany.

Od dawna liczył na to, że znajdzie czas, by dogłębnie przemyśleć odpowiednie słowa, z którymi zwróci się do księcia – choćby podczas podróży do Châtel-Argent. Sprawy przybrały jednak zaskakujący obrót i teraz musiał improwizować.

„Co ja mu teraz powiem?” – zadawał sobie nieustannie pytanie, czując, jak ogarnia go niekontrolowana panika. Mimo to zmusił się do spokoju.

Rozmowa z opatem zakonu Saint Michel poszła nadspodziewanie dobrze. Musiał tylko powtórzyć tę samą historię i dorzucić do niej wszystko to, co wydarzyło się później. Poszło gładko za pierwszym razem, opowieść powinna okazać się wiarygodna i przy kolejnej próbie.

Pomysł poddania się pod dochodzenie Guillaume'a de Ponthieu napawał go jednak niemałym strachem. Jednocześnie poczuł napływającą falę wzruszenia. Po ponad dwóch latach miał ponownie zobaczyć człowieka, który stał się jego bratem.

„Nareszcie wróciłem do domu” – pomyślał. W chwilę później jego serce poruszyła kolejna kwestia. „Ponownie chwycę w ramiona Isabeau”.

Sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy. Wreszcie na jego drodze nie było żadnych przeszkód. Aby udać się na paryski dwór księcia Ludwika, musiał zatrzymać się w Châtel-Argent, który znajdował się na tym samym szlaku. Jeszcze jeden dzień podróży, może dwa, i znów ujrzy swoją ukochaną.

Ian poczuł, jak wypełnia go niewytłumaczalna lekkość, która towarzyszyła mu w drodze powrotnej na statek.

Na mostku kapitańskim zastał Martewalla, który dopiero co wyłonił się z ładowni.

Był ubrany i gotowy do drogi.

– Mamy sporo szczęścia, mój brat jest tutaj – oznajmił mu Ian bez owijania w bawełnę. – Spotkamy się z nim niedługo i wytłumaczymy mu, co zaszło w Dunchester. Zdołamy rozpocząć naszą misję wcześniej, niż mogliśmy się tego spodziewać.

– Tym lepiej dla nas – odparł baron, wyraz jego twarzy był jednak niezwykle pochmurny. Spoglądał w stronę lądu.

– Czy coś jest nie tak? Jak się ma Brianna? – zapytał Ian, zaniepokojony.

Martewall oderwał wzrok od portu i spojrzał Ianowi prosto w oczy.

– Wciąż oddycha, to wszystko, co wiem. Mam nadzieję, że lekarz zdoła ją uratować.

– Już go wezwałem, powinien przybyć tu niezwłocznie.

– Bardzo dobrze.

Ich uwagę przyciągnęło nagłe poruszenie w dokach i dwóch młodych mężczyzn odwróciło się. Zobaczyli żołnierzy najeżdżających konno i piechotę zbliżającą się do statku. Zbrojni mieli na sobie barwy rodu de Ponthieu i ustawili się w rzędzie, oczekując na pozostałych. Ian zrozumiał, że dwóch żołnierzy, których spotkał chwilę temu, nie traciło czasu i przekazało dalej wieści o jego powrocie. Teraz straż portowa zbiła się w małe grupki, chcąc ujrzeć swego pana po jego długiej nieobecności.

– Skromne powitanie dla pana domu – skomentował Martewall.

W pośpiechu najechał jeden z rycerzy. Zeskoczył z siodła, wspiął się po belce prowadzącej na mostek i skłonił się przed Ianem z głębokim szacunkiem.

– *Monsieur*, wróciliście – powitał go po francusku. – Jesteśmy tu na wasze polecenie. Jakie macie dla nas rozkazy?

– Jest z nami ranna kobieta i jej syn, znajdują się w ładowni statku. Zadbajcie o to, by dobrze się nimi zajęto. Chciałbym, byście sprowadzili mi najlepszego lekarza. To moi goście i proszę traktować ich z należytą troską – wyjaśnił Ian.

– Tak, panie – odparł wojskowy.

– Jeszcze jedna rzecz: załoga tego statku – jestem dłużnikiem tych ludzi i chciałbym się im odpłacić. Teraz zadbajcie, by dostali wygodne miejsce do spania, jedzenie, wodę i wszystko to, czego sobie zażyczą, później ja sam pomyślę, jak im się odwdzięczyć.

– Tak, panie.

Ian odprowadził rycerza do luku ładowni i oparł się o właz wraz z nim. Zobaczył Lisiego Ogoną, który wciąż siedział przy Briannie, i zawołał go z góry.

– Ten rycerz i jego ludzie pomogą nam i zabiorą twoją matkę w bezpieczne miejsce – wytłumaczył, przechodząc na angielski. – Już kazałem im wezwać medyka i niedługo wszyscy będziemy bezpieczni w portowej fortecy. Już nie ma powodów do zmartwień, rozumiałeś?

Chłopiec kiwnął głową w odpowiedzi, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Ian zwrócił się do wojskowego.

– Umiecie mówić po saksońsku? Chłopiec nie zna naszego języka.

– Znam parę słów. Jakoś się dogadamy – zapewnił go mężczyzna.

– Doskonale – szepnął Ian, odczuwając ulgę.

Żołnierze wkroczyli na pokład. Ich dowódca przekazał im rozkazy księcia. Trzech z nich zeszło do ładowni, pozostałych dwóch udało się do kapitana Neda Stone'a. Marynarze rozstąpili się, ustępując miejsca wojskowym, i w ciszy obserwowali wydarzenia. Z daleka Ian zobaczył kapitana, który skinął mu w geście wdzięczności.

„A teraz idziemy do Guillaume'a” – młodzieniec powiedział sam do siebie z głębokim westchnieniem. – Chodź ze mną – zwrócił się do Martewalla, kiedy przechodził obok niego, kierując się z powrotem na ląd.

– Poczekaj – zatrzymał go Anglik.

Ian odwrócił się i zobaczył, że rycerz wyciąga do niego rękę, przekazując mu swój miecz. Broń wciąż znajdowała się w pochwie i dopiero teraz Ian zauważył, że Martewall nie przytroczył jej sobie do pasa.

– Teraz ty jesteś panem, ja muszę być twoim zakładnikiem. Od tej chwili jestem zdany wyłącznie na twoją łaskę – ciągnął baron.

Ton jego głosu był ponury, ale nie słychać w nim było zwykłej wrogości. Rycerz wychodził naprzeciw swemu losowi z podniesioną głową.

Ian docenił podniosłość tego gestu i wiedział, jak wiele kosztował on Martewalla. Sam czuł się podobnie kilka dni temu, kiedy po raz pierwszy zabrano mu jego miecz. Raz jeszcze przypomniał sobie uczucie upokorzenia towarzyszące pozbyciu się broni. Było to największe poniżenie, jakie mogło spotkać rycerza – oznaczające bezbronność i niewolnicze podporządkowanie się drugiej osobie.

Martewall świadomie stawiał czoło tej sytuacji, gotowy do dna pić z kielicha swej porażki.

Aż do tej chwili Ian nie zastanawiał się poważnie nad znaczeniem posiadania władzy nad zakładnikiem. Nie miał na to czasu i zagadnienie wydawało się zbyt odległe od jego nowoczesnej mentalności. Teraz cała kwestia objawiła mu się w pełnej okazałości.

Wreszcie zdał sobie sprawę, że Anglik powierzał w jego ręce własne życie i że towarzyszył mu w podróży do Francji świadomy, iż na swoim terytorium Ian może decydować o jego losie. Przypomniał sobie w jednym przebiegłym zdaniu, którym lord Salisbury zwrócił się do Martewalla w pewnym momencie podczas narady. Powiedział wówczas, że jeśli Ian zechce zemścić się na nim, jedyne, co młody baron może zrobić, to z pokorą przyjąć swój los i poddać się woli „Francuza”.

Choć nie zostało to powiedziane wprost, obaj w ten sposób zgadzali się, by Martewall stał się ewentualnym kozłem ofiarnym, narazonym na baty za wszystko, co

wydarzy się od tego momentu.

Odruchowo Ian postanowił się sprzeciwić.

– Nie – powiedział, zdecydowany. – Zatrzymaj swój miecz. Nie chcę ani zakładników, ani więźniów. Ruszajmy w drogę, mamy sporo rzeczy do zrobienia.

Zignorował zaskoczone spojrzenie Martewalla, odwrócił się na pięcie i przesadził belkę dzielącą mostek kapitański od mola.

W Dunchester wszystko wracało do normalności. Po długich i okrutnych dniach oblężenia nad pochmurną twierdzą zapadła ciężka cisza.

Na murach i wieżach zmienił się kolor wywieszonych sztandarów, słudzy zaś mijali podwórze zamku i dziedziniec w milczeniu, z ponurym wyrazem twarzy. Doprowadzali do porządku wszystko to, co uległo zniszczeniu podczas bitwy i czyścili cały teren. Od czasu do czasu podnosili oczy w stronę jednej z wież – wiedzieli, że stała się ona więzieniem *sir* Haralda.

Danielowi pozwolono wychodzić na dziedziniec z pierwszym światłem poranka, zawsze jednak towarzyszyli mu żołnierze lorda Salisbury i nie spuszczały go z oczu ani na chwilę.

Nie mógł oczywiście nosić żadnej broni, dostał jednak zgodę na zmycie z siebie bitewnego pyłu i założenie czystych szat. W porze śniadania otwarto drzwi do jego komnaty, oznajmiając mu, że może zasiąść do posiłku u boku lorda Salisbury.

Młody chłopak wyszedł na dziedziniec, kierując się do sali balowej. Towarzyszyły mu spojrzenia wszystkich zgromadzonych, zarówno zwycięzców, jak i przegranych.

W sali kłębił się tłum ludzi, jednak skład biesiadników różnił się znacząco od tego podczas ostatniej pamiętnej wieczery. Przy stołach siedzieli rycerze i wysocy rangą wojskowi lorda Salisbury, Murrowa i oddziałów najemników. Atmosfera również była zasadniczo odmienna – mężczyźni co chwila wybuchali śmiechem, przekrzykiwali się i przechwalali w zasługach bitewnych.

William de Longespée siedział nieruchomo przy stole, przy którym jeszcze kilka dni temu zasiadał *sir* Harald, i udzielał oschłej nagany kilku wojskowym składającym mu raport. W grupie tej był również *sir* Gorvenal.

– Nie ma dla was wymówki. Żądam, byście ich odnaleźli, choćby byli na końcu świata! – usłyszał Daniel jego zwięzłą wypowiedź i w chwilę później wojskowi oddalili się w pośpiechu. Mijając go, *sir* Gorvenal rzucił mu krótkie spojrzenie.

William de Longespée zauważył przybycie Amerykanina w asyście żołnierzy. Skinął głową w kierunku zbrojnych, by ci odmaszerowali, a on mógł zostać sam na sam z zakładnikiem.

– Musiałem zbesztać nieco moich ludzi. O ile mi wiadomo, pozwolili uciec *sir*

Geoffreyowi Martewallowi i *monsieur* Ponthieu. Zamiast przeszukiwać tereny przylegające do portu, szukali ich w głębi lądu – rzekł, a na jego twarzy rozblęsnął pobłażliwy uśmiezek.

– Macie pewne informacje? – zapytał Daniel, usiłując uspokoić poczucie głębokiego strachu, które męczyło go przez całą noc.

Lord Salisbury gestem zaprosił go do stołu, gdzie mogli rozmawiać z dala od wścibskich uszu reszty biesiadników.

– Kiedy przybyli do portu Dunchester, moi ludzie zgubili ich ślad – wyjaśnił. – Specjalnie pozostawiłem tę strefę pod nadzorem Murrowa. Liczyłem na to, że jego ludzie będą zwracali o wiele mniejszą uwagę na przyjezdnych niż moi, i tak też się stało. *Sir* Martewall mógł poza tym liczyć na pomoc oddanych sobie ludzi, którzy z pewnością ułatwili im ucieczkę.

– A więc dostali się na statek? – Daniel nie odważył się jeszcze odetchnąć z ulgą.

– Nie mam, co prawda, absolutnej pewności, ale zdaje mi się, że tak.

Daniel nie odpowiedział, ale zaczerpnął dużo powietrza do płuc, usiłując się uspokoić.

– Kapitan Hektor? – zapytał jeszcze.

– Zdaje się, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo – zapewnił go lord Salisbury.

„Przynajmniej tyle” – pomyślał Daniel i przyrzekł sobie, że znajdzie sposób, by dostać się do lochów, kiedy tylko się zorientuje, jak duży jest zakres jego wolności w granicach murów zamczyska.

Nie ufał lordowi Salisbury, a jego zaufanie malało za każdym razem, gdy z nim rozmawiał. Sam nie pozwoliłby mu nigdy pociągać za sznurki i dlatego chciał utrzymać dobre stosunki z pozostałymi rycerzami Dunchester. Na wszelki wypadek.

Wystarczyło, że kapryśne i nieprzewidywalne *Hyperversum* sterowało jego życiem, nie miał zamiaru pozwolić, by robili to jeszcze inni, a w szczególności William de Longespée. Cokolwiek knuł podstępny Anglik, Daniel nie zamierzał dać się oszukać.

Pospiesznie zaczął szukać w pamięci imion tych, którzy pozostali w zamku i którzy mogliby się okazać ewentualnymi sprzymierzeńcami. Natychmiast przyszedł mu do głowy jeden człowiek.

Zdecydował, że musi skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji, aby zasięgnąć informacji o Thomasie Bullu. Jego uwagę przyciągnęły nagły ruch i podniesione głosy po drugiej stronie sali. Zerknął w kierunku, z którego dochodziły głosy, i ujrzał Leowynn stojącą w drzwiach. Towarzyszyła jej ta sama dwórka, która przysłała wraz z nią, by wyleczyć wojenne rany jego i Iana. Rozglądała się wokół siebie z przestrawieniem, zmieszana zuchwałymi zaczepkami zgromadzonych mężczyzn.

Leowynn z kolei kroczyła ze zwykłą wyniosłością, głowę trzymając wysoko zadartą do góry. Osłoniła twarz półprzezroczystym welonem i zbliżyła się powoli do

lorda Salisbury – tak jakby kosztowało ją to sporo wysiłku.

– Chcieliście się ze mną widzieć, milordzie? – zapytała lodowatym tonem.

William de Longespèe zmusił się do dobrotliwego uśmiešku.

– Chciałem wyłącznie zaprosić was na śniadanie, moja pani. Za niedopuszczalny afront uznałem zmuszanie was do spożywania posiłku wewnątrz komnaty, jakbyście nie były wolną kobietą. Mam nadzieję, że zamienicie ze mną kilka słów i w ten sposób uda nam się przełamać lody.

– Okazaliście mi ogrom troski, milordzie, jednak z przykrością muszę wam oznajmić, iż nie jestem w stanie spełnić waszego życzenia – odparła. W jej głosie brzmiała stal. – Nie mogłam przewidzieć waszego, jakże uprzejmego, zaproszenia i spożyłam już śniadanie. Liczę, że zostanie mi to wybaczone.

Na twarzy księcia pojawił się nieznaczny cień rozczarowania, jednak przyjął odpowiedź dziewczyny, nie przestając się uśmiechać.

– To w istocie ogromna szkoda. Liczę jednak na to, że pozostaniecie tutaj, by choćby zaszczycić mnie waszym towarzystwem.

Leowynn skłoniła lekko głowę.

– Czeka na mnie mój ojciec, wybiła godzina, w której muszę podać mu jego medykamenty. Wybaczcie, milordzie, ale nie mogę zostawić go samego. – Cofnęła się o krok. – Za waszym pozwoleniem.

– Zaproszenie obejmuje również obiad oraz kolację – powiedział lord Salisbury. – W dalszym ciągu liczę, że zechcecie je przyjąć.

– Z radością na nie przystanę – odparła dziewczyna. – Pod warunkiem że ustąpi okrutny ból głowy, który ostatnio nie daje mi spokoju. Spróbujcie mnie zrozumieć: ostatnie dni były tak bardzo męczące...

Księżę przyjął odpowiedź bez mrugnienia okiem.

– Oczywiście – powiedział. – Dbajcie o siebie, moja pani.

Leowynn ponownie oddała mu delikatny pokłon i odeszła, kierując się do wyjścia z sali.

„W taki właśnie sposób zatrzaskuje się komuś drzwi przed samym nosem, nie tracąc przy tym ani trochę z wrodzonego wdzięku” – pomyślał Daniel, który obserwował scenę z niewielkiej odległości. Widać było, że siostra Martewalla ma z nim sporo wspólnych cech – zwłaszcza wrodzoną nieufność.

Mimo wszystko to, co zdołał dojrzeć pod welonem Leowynn, sprawiło, że zrozumiał, iż jej piękna i pozornie beznamietna twarz nie kryje wyłącznie chłodu i dumy.

Daniel znieruchomiał na moment, kiedy przechodziła obok.

– Moja pani, pozwólcie na chwilę – zaczął niepewnie.

Leowynn zatrzymała się w pół kroku i prawie podskoczyła. Zrobiła wszystko, żeby się powstrzymać, jednak w jej oczach widać było przestach ofiary pozbawionej drogi

ucieczki.

„Jest śmiertelnie przerażona” – pomyślał Daniel ze współczuciem.

– Chciałem wyłącznie zapytać, jak się miewa wasz ojciec – powiedział.

Dziewczyna spojrzała na niego z zaskoczeniem, po czym na jej twarzy pojawił się zauważalny wyraz ulgi.

– Ma się całkiem dobrze, dziękuję wam.

Daniel zbliżył się o kilka kroków i obniżył ton głosu.

– Wasz brat umknął swym prześladowcom wraz z moim panem – wyszeptał. – We Francji nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, możecie być spokojni.

Leowynn milczała przez chwilę, przyswajając nowe informacje, po czym ponownie pochyliła głowę w ukłonie.

– Dziękuję wam za troskę, *sir*. Dobrego dnia.

Daniel odklonił się, by odpowiedzieć na jej pozdrowienie. Dziewczyna odeszła w kierunku wyjścia.

*

Rozdział 32



Forteca w Dunkierce była potężną bryłą zbudowaną na planie wieloboku. Sterczały z niej wysokie i strzeliste wieże o kwadratowej podstawie. Twierdzę otaczał ją podwójny pas murów obronnych, dodatkowo zabezpieczonych głęboką fosą. Budowla wznosiła się na strategicznie położonym wzgórzu – u jej stóp rozciągała się pełna życia osada z gęsto ustawionymi domami, warsztatami, pracowniami rzemieślniczymi i gospodami. Także tutaj, tak jak w Glenhaven i w porcie Dunchester, prawie wszystkie chałupy miały na parterze dodatkowe pomieszczenia, w których prowadzono każdy możliwy rodzaj działalności handlowej. Praca w miasteczku wrzała jak w ulu. Szerokie główne drogi umożliwiały swobodny ruch mniejszych i większych wozów transportowych, tłoczył się na nich wielokolorowy tłum zaaferowanych ludzi niosących kosze, koszyki i zawiniątka.

Wewnątrz pierwszego pasa murów forticy we wszystkich kierunkach biegali z kolei żołnierze i zapracowani służący. Ian rozpoznawał kolory rodu de Ponthieu na szatach lwiej części zbrojnych, niektórzy jednak mieli na sobie biało-błękitne stroje lenników Montmayeur ze srebrnym sokołem wyszytym na piersi, pozostali, najmniej liczna grupa, ubrani byli w granat z biegnącym po przekątnej białym pasem.

„Herb Etienne’a de Sancerre’a?” – zdziwił się Ian, zauważywszy tych ostatnich i łamiąc sobie głowę nad wytłumaczeniem tego nieoczekiwanego sojuszu. Przecież lenno rodu de Sancerre znajdowało się wiele mil stąd, na południu Francji.

Kiedy Ian wjechał konno na zamkowy podwórzec, żołnierze w jego herbowych barwach powitali go entuzjastycznymi okrzykami. Ich miecze, wzniesione wysoko w górę, rzucały oślepiające blaski w świetle poranka. Młody Amerykanin jechał przodem przed niewielką grupką towarzyszącą mu od doków i odpowiadał na pozdrowienia swoich żołnierzy, podnosząc rękę z głębokim wzruszeniem. Obok niego galopował Martewall, a za nimi powoli toczył się wóz, na którym została ostrożnie ułożona Brianna. U jej boku siedzieli Lisi Ogon i lekarz.

Chłopiec rozglądał się dookoła z niepokojem zmieszany z podziwem – tak jak większości zwyczajnych ludzi z epoki średniowiecza, nigdy nie zdarzyło mu się wjechać do serca zamku. Dotąd znał tylko gród po zewnętrznej stronie murów.

Kiedy wjechali na dziedziniec basztowy, grupa jeźdźców się zatrzymała. Natychmiast podbiegli do nich słudzy, chwytając za wodze.

– Panie, wasz brat już na was czeka – powiedział jeden z nich do Iana, gdy ten ledwo postawił stopy na ziemi.

– Przekażcie mu, że nadchodzę – odparł Ian, czując, jak wszystko skręca mu się w środku.

Usiłował odwlec to spotkanie choćby o kilka chwil, wiedział jednak, że go nie uniknie. Podeszedł do wozu i zwrócił się do Lisiego Ogonia:

– Zostaniesz teraz tutaj z matką i z lekarzem. Wyślę niezwłocznie kogoś, by się wami zajął, i dołączę do was, gdy tylko będę mógł.

Chłopiec skinął powoli głową. Na jego buzi malowało się napięcie.

– Dziękuję, mości księżę – odparł słabym głosem.

Ian objął jego bark.

– Wszystko będzie dobrze, możesz być tego pewien – powiedział uspokajająco.

Wydał polecenia sługom i medykwowi, nakazując, by matka i syn zostali potraktowani z najwyższą troską i uwagą, po czym wrócił do Martewalla.

– Wchodzimy – powiedział lakonicznie, wskazując kierunek.

Anglik podążał za nim w ciszy, jednak Ian był więcej niż pewny, że za jego milczeniem kryje się równie głębokie zdenerwowanie.

Sługa zaprowadził dwa konie do wnętrza baszty. Ian i Martewall przeszli przez wąski i surowy korytarz i dotarli do schodów prowadzących na wyższe kondygnacje.

Na ich krańcu znajdowały się potężne, uchylone wrota. Dwaj rycerze przekroczyli drewniany próg i znaleźli się w obszernym salonie, zdominowanym przez masywny, dębowy stół, za którym ustawiono grubo ciosane ławy. Kilka innych stolików i siedzisk zgromadzono w pozostałych rogach sali. Czekały na nakrycie do obiadu. Z dwóch ogromnych kominków umieszczonych w przeciwległych kątach pomieszczenia rozchodziło się przyjemne ciepło, kontrastujące z zimnym powietrzem docierającym z wysokich, pozbawionych szyb okien, otwartych, by zapewnić dostateczne oświetlenie.

Ian od razu dostrzegł postać odwróconą plecami, stojącą twarzą do okna i spoglądającą na zewnątrz.

Zatrzymał się w pół kroku, zaraz za progiem.

„Guillaume” – pomyślał.

Księżę Ponthieu odwrócił się w stronę nowo przybyłych. Był ubrany w ciepłe szaty dobrane z godną podziwu dbałością, u boku przytroczony miał nieodzowny miecz. Ciemne włosy, jak zwykle zaczesane za uszy, okalały arystokratyczne rysy jego twarzy naznaczonej zdrową opalenizną.

Nie zmienił się prawie wcale, tylko zmarszczka przecinająca jego czoło nieco się pogłębiła.

„To oczywiste, że wygląda tak samo, dla niego minęło tylko kilka miesięcy” – pomyślał Ian, jednak to spostrzeżenie szybko uleciało mu z głowy, ustępując miejsca

silnemu wzruszeniu, które gwałtownie w nim rosło. Uczucie ulgi i radości na widok przyjaznej twarzy odebrało mu na chwilę mowę. Po niekończącej się tułaczce stał na nowo przed człowiekiem, który był dla niego bratem.

Z sercem bijącym jak młot Ian zrobił kilka kroków w jego kierunku.

– Guillaume... – zaczął.

– Powinienem zamknąć cię w najgłębszym z moich lochów i wyrzucić klucz daleko za siebie – zwrócił się do niego książę ostrym tonem. – To chyba jedyny sposób, by zyskać choć minimalną kontrolę nad tym, co robisz.

Ian znieruchomiał w połowie komnaty i zdusił w gardle pozostałą część powitania. Zadrżał pod przeszywającym spojrzeniem księcia.

– Ja też niezwykle się cieszę z ponownego spotkania – odważył się jednak powiedzieć półgłosem.

Martewall rzucił na niego pytające spojrzenie, nie otworzył jednak ust, trzymając się na bezpieczną odległość i przyglądając bacznie wydarzeniom.

Również Ponthieu zamilkł, lecz jego czarne oczy miały dalej ten sam surowy i nieprzenikniony wyraz.

– Co cię spotkało tym razem? – zapytał w końcu, ale zaraz potem niecierpliwie i władczo machnął ręką. – Nie. Porozmawiamy o tym później. Najpierw przedstaw mi swojego gościa.

Ian zauważył, że Martewall napiął nieznacznie mięśnie w odruchu obronnym – tak jak wszyscy, którzy zmuszeni byli stanąć twarzą w twarz z księciem. Zdażył tylko otworzyć usta, by przedstawić Anglika, kiedy całe schody prowadzące do sali rozbrzmiały tubalnym głosem.

– Gdzie jest? Muszę go zobaczyć! – wykrzyknął ktoś i po chwili w drzwiach za plecami Iana i Martewalla pojawiła się pełna życia postać Etienne’a de Sancerre’a.

Ian nie zdażył nawet wypowiedzieć słowa powitania, a już czuł na sobie braterski uścisk francuskiego rycerza. Jego niedźwiedzia siła prawie odebrała mu oddech.

– Jean, zamartwiliśmy się na śmierć! – wykrzyknął Sancerre, kiedy wreszcie wypuścił Iana z ramion, by spojrzeć mu prosto w oczy. W dalszym ciągu trzymał ręce na jego barkach. – Byliśmy przekonani, że ci przekłęci Anglicy naprawdę cię załatwili!

Ogrom jego ulgi był tak szczery i spontaniczny, że zapomniał o jakichkolwiek tytułach szlacheckich, którymi zazwyczaj się do siebie zwracali i które były niezbędnym minimum dla okazania szacunku rozmówcy.

Ian poczuł się niezwykle wzruszony takim powitaniem, choć jednocześnie wiedział, że musi się mieć na baczności. Nie spodziewał się zastać Sancerre’a w tym miejscu – teraz prezentacja Martewalla stawała się jeszcze bardziej niebezpieczna, zwłaszcza że Anglik i Francuz starli się ze sobą w turnieju rycerskim.

– A więc? Opowiedz, co też ci się przydarzyło! – powiedział Sancerre. Ciekawość

nie dawała mu spokoju. – Aleś zmizerniał! Skąd przybywasz? Jak udało ci się uniknąć śmierci? Docierały do nas najróżniejsze pogłoski!

Ian spojrział na Ponthieu z niepokojem.

– Jakie pogłoski?

– Wiele dni temu nadeszła depeza z grodu Lunes – wyjaśnił książę ponuro. – W jednej z karczm poza miasteczkiem popełniono morderstwo, do którego doszło wskutek burdy wznieconej przez kilku Flamandczyków. Karczmarze, którzy zdołali przeżyć, zawiadomili strażę, że w chwili tragedii wśród obecnych w lokalu był człowiek, który podawał się za ciebie.

Ian odetchnął głęboko.

– Byłem to ja, w rzeczy samej.

– Właściciele karczmy zostali zamknięci w kuchni. Kiedy wreszcie zdołali się uwolnić, zorientowali się, że w lokalu nie ma już nikogo – mówił książę, jego wzrok zaś był coraz bardziej świdrujący.

– Wracałem do domu. Ujawniłem, kim jestem, próbując uniknąć potyczki, ale nie zdołałem odeprzeć Flamandczyków – usiłował tłumaczyć się Ian, podczas gdy twarz Martewalla z każdą chwilą robiła się coraz bardziej ponura.

– Ściągasz na siebie tarapaty. Lgną do ciebie jak ćmy do ognia – skomentował Ponthieu krótko. – Moi ludzie przeprowadzili dochodzenie na ten temat. Zdołali dotrzeć do klasztoru Saint Michel i wysłuchali opowieści opata. Teraz wiem, co spotkało cię z rąk angielskich zabójców, ale co do tego wszystkiego mają Flamandzycy? Z jakiego powodu mieliby cię po prostu porwać, spotkawszy cię na swojej drodze?

Ian zerknął na Martewalla. Nadszedł moment, w którym nie mógł już dłużej ukrywać jego tożsamości.

– Guillaume, Etienne, pozwólcie mi przedstawić wam *sir* Geoffreya Martewalla, barona Dunchester – powiedział ostrożnie, przygotowując się na najgorsze.

Ponthieu przeszył Anglika jeszcze bardziej palącym spojrzeniem, opanował się jednak i nie dał po sobie niczego poznać.

Sancerre milczał w kompletnym oszołomieniu przez kilka sekund, po czym puściły mu wszelkie hamulce.

– Towarzysz broni angielskiego szeryfa! – wykrzyknął.

Martewall skłonił się krótko i sztywno.

– Składam na wasze ręce moje szczere pozdrowienie – powiedział zimno po francusku z angielskim akcentem.

Ręka Sancerre'a drgnęła, jak gdyby mimowolnie chciała powędrować w stronę miecza.

– I jeszcze pozwalasz sobie na taką bezczelność, przekłety Angliku? – ryknął rozwścieczony rycerz. – Po tym wszystkim, czego ty i twój przyjaciel dopuściliście

się w turnieju i na wojnie? Próbowaliście nie tylko zgładzić Jeana w pojedynku, ale i Grandprégo! Ty, który raniłeś Henriego de Bara, teraz ważysz się przychodzić tutaj i składać swoje pozdrowienia?!

– Etienne, proszę cię. – Ian zmuszał się, by nie używać zwyczajowego *monsieur* i zwracać się do drugiego rycerza per ty. – *Sir Martewall* to nie *Derangale* i nie dopuścił się niegodnych czynów ani na wojnie, ani podczas turnieju. Poza tym wy dwaj mieliście okazję, by wyrównać rachunki.

Sancerre z trudem się opanował i w dalszym ciągu taksował wzrokiem angielskiego rycerza, który nie ruszył się o krok, zachowując lodowaty dystans.

– *Sir Martewall*, proszę pozwolić mi zgadnąć: czy wasza obecność tutaj ma związek z wydarzeniami w Lunes? – przerwał Ponthieu. Jego pytanie tak naprawdę nie wymagało odpowiedzi.

– Flamandzycy, o których mowa, podlegali mojej władzy. Byli pod moim dowództwem podczas wojny, a po okresie mojej niewoli zaoferowali się, że będą mi towarzyszyć w podróży do Anglii – rzekł zgodnie z prawdą. – Nie wypieram się odpowiedzialności za wydarzenia, które się rozegrały. Jeden z moich ludzi, przejawiając największą głupotę, wbrew mojej woli zabił chłopaka służebnego. Ja sam wydałem rozkaz schwytania waszego brata i poprowadzenia go w charakterze więźnia do mego zamku w Dunchester.

Ian musiał podwoić wysiłek, by powstrzymać Sancerre'a, który tym razem bez ogródek sięgnął po miecz.

– Przeklęty...! – wrzasnął rozwścieczony Francuz.

– Czy mogę znać powód, dla którego to zrobiliście? – zapytał Ponthieu z chłodnym spokojem.

Ian wszystkimi siłami próbował opanować narastające w nim napięcie, dostrzegł jednak, że również w spojrzeniu księcia pojawia się złowrogi błysk.

– Było nim rozgoryczenie spowodowane śmiercią mego przyjaciela na wojnie – odpowiedział *Martewall*, odwzajemniając równie stanowcze spojrzenie. – Mam nadzieję, że *monsieur Sancerre* zdoła zrozumieć mój ówczesny stan ducha.

Tym razem również Etienne pohamował się od komentarza i ograniczył do wyrażenia całej swej niechęci spojrzeniem, jakim zmierzył Anglika.

– W każdym razie – ciągnął *Martewall*, wciąż zwracając się do Ponthieu – liczyłem na to, że zdołam uzyskać od waszego brata odpowiedzi na kilka nurtujących mnie pytań dotyczących przeszłości.

W oczach Guillaume'a de Ponthieu pojawiła się ogromna ostrożność, która była dobrze znana Ianowi. Spojrzenie księcia mówiło, że analizuje szczegóły potencjalnie niebezpiecznej sytuacji.

Pytania *Martewalla* dotyczące przeszłości mogły być naprawdę groźne.

Do Iana dotarło, że Ponthieu postawiony był w stan najwyższej gotowości.

Zdeterminowany, by zrobić wszystko, aby przywrócić pionki na ustalone pozycje na swojej taktycznej szachownicy, mógł posunąć się do każdego zagrania, byle tylko ochronić własne interesy.

Czy również Martewall był tego świadomy? Z całą pewnością. Jego ostatnie zdanie było jak sonda, badająca uważnie teren. W tym momencie między nim a Ponthieu doszło do milczącego pojedynku, któremu przyglądał się niczego nieświadomy Sancerre, niewtajemniczony w intrygę wokół tego, który dla niego był tylko i wyłącznie Jeanem Markiem de Ponthieu.

Ian zrozumiał, że nie może interweniować i musi się zdać na rozagę Ponthieu. Trzymał się z boku, nie mówiąc nic. Zyskał tym wyraźną aprobatę księcia, który całą swą uwagę poświęcał konwersacji z Anglikiem.

– Czy dostaliście to, czegoście szukali? – zapytał barona. – W przeciwnym wypadku, być może, osobiście spróbuję rozstrzygnąć dręczące was dylematy?

Mówił spokojnym tonem, odpowiednio dobranym do rozmowy, jednak Ian – świadomy wszystkich aluzji i niedopowiedzeń – w mgnieniu oka zdał sobie sprawę z cichej groźby w wypowiedzi księcia. Spojrzał na Martewalla, zadając sobie pytanie, czy dotarła ona również do Anglika, jednak nie był w stanie odczytać niczego z jego beznamietnej twarzy.

– Wyjaśniliśmy sobie wszystko z waszym bratem – odpowiedział prostolinijnie baron.

Nastąpiła chwila ciszy, w której napięcie wyraźnie opadło. Konfrontacja zakończyła się cichym porozumieniem. Także Ian nieco się uspokoił.

„Może zdołamy zamknąć tę kwestię bez dalszych trudności” – powiedział do siebie w duchu.

Sancerre w dalszym ciągu nie spuszczał Martewalla z oka, tak jakby w każdej chwili chciał ukąsić swojego przeciwnika, lecz to nie jego lękał się Ian. Francuski rycerz mógł zaproponować jedynie pojedynek na miecze, podczas gdy księżę dysponował dużo większą paletą możliwości. Na szczęście zdawało się, że nie ma zamiaru z niej korzystać.

– A więc zgaduję, że między wami a moim bratem nie ma więcej powodów do wrogości? – zapytał w końcu Ponthieu.

– *Sir* Martewall przybywa w pokoju i jest moim gościem – odpowiedział Ian w imieniu Anglika. – Po długich rozmowach udało nam się dojść do porozumienia.

Martewall zamilkł i podziękował mu lekkim skinieniem głowy.

– Cieszę się – podsumował Ponthieu, wyraźnie usatysfakcjonowany.

Sancerre parsknął pod nosem, ale nie odważył się na komentarz.

Do salonu dotarł sługa, który oznajmił, że Brianna i Lisi Ogon zostali umieszczeni w komnacie dla gości i że z najwyższą troską zadbano o ich wygodę.

Ponthieu skorzystał natychmiast z okazji.

– Zaprowadźcie i barona Dunchester w miejsce, w którym będzie mógł odpocząć po długiej podróży. Przygotujcie dla niego odpowiednią komnatę. To samo, jeśli chodzi o osobę mojego brata – nakazał słudze, po czym zwrócił się do Sancerre’a i Martewalla. – A teraz, proszę, wybaczcie mi. Zostawcie mnie tylko z Jeanem – ciągnął. – Nie widziałem go od wielu miesięcy i miałem go za martwego. Liczę na to, że zrozumiecie moją chęć pozostania z nim sam na sam. Wszystkie inne rozmowy odłożymy na później.

– Zgaduję, że macie wiele rzeczy do omówienia – odpowiedział Martewall i pokłonił się w geście pożegnania.

Sancerre zrobił dokładnie to samo, był jednak wyraźnie rozczarowany, że nie uzyskał natychmiastowej odpowiedzi na wszystkie pytania o minione wydarzenia. Zanim wyszedł, zbliżył się do Iana i wskazał na Martewalla kierującego się w towarzystwie sług w stronę wyjścia.

– Już ja dobrze wiem, gdzie można by go było ugościć. Twoja przeszłość spędzona w zakonie sprawiła, że jesteś zbyt dobry – burknął.

Ian wykrzywił się w uśmiechu, ale nie odpowiedział. Niepokoiła go świadomość pozostania na osobności z księciem Ponthieu w oczekiwaniu na jego niechybne, prywatne dochodzenie.

Sługa zamknął dokładnie drzwi, wychodząc, i odmaszerował.

Zostawszy sam na sam z księciem, Ian nie odważył się zabrać głosu jako pierwszy. Księżę otaksował go spojrzeniem od stóp do głów, spoglądając na jego szaty w opłakanym stanie, rozczochrane włosy i długi zarost.

– Zdajesz się ofiarą jeszcze jednej wojny – stwierdził. Ton jego głosu nie był już tak surowy, jak na początku, mimo że w dalszym ciągu nie tryskał entuzjazmem.

– Jak się ma Isabeau? – zapytał Ian jednym tchem.

– Przeplakała wiele dni z tęsknoty za tobą i rozpacza z powodu twego zniknięcia – w głosie Ponthieu pojawiła się oskarżycielska nuta. – Przysięgałeś, że nigdy jej nie opuścisz.

Ian poczuł, jak ściska mu się serce.

– I zamierzałem dochować tej obietnicy. Nie miałem najmniejszego wpływu na te wydarzenia.

Zamilkł z bólem, podczas gdy wszystkie wyrzuty sumienia, które dręczyły go przez ostatnie dwa lata, dały o sobie znać ze zdwojoną siłą.

– Osłabiłem czujność – przyznał, wracając do rozmowy. – Dałem się schwytać z zaskoczenia przez płatnych morderców. Nie zdawałem sobie sprawy, że po śmierci Derangale’a niebezpieczeństwo wcale nie minęło... – przerwał raz jeszcze, nie potrafiąc znaleźć dla siebie usprawiedliwienia. – Dałem się zaskoczyć jak pierwszy lepszy naiwniak. Nie udało mi się sprostać twoim wymaganiom. Wybacz mi, jeśli jesteś w stanie.

Ponthieu nie odpowiedział.

– Masz złamaną rękę? – zapytał po kilku chwilach.

Ian był zaskoczony nieoczekiwaną zmianą tematu. Podniósł powoli owiniętą bandażami lewą dłoń.

– Nie, jest tylko spuchnięta i wciąż mnie boli, to nic poważnego.

Ponthieu skinął głową w zamyśleniu. Podeszedł do jednej z ław i położył rękę na jej oparciu.

– Twoje dziecko przyjdzie na świat za kilka miesięcy. Pani Isabeau chce nadać mu twoje imię, o ile będzie chłopcem.

– Wiem, powiedział mi już o tym opat. – Serce Iana zaczęło bić szybciej, tak jak za każdym razem, kiedy myślał o chłopcu, który miał urodzić się w marcu. – To, co chce dla mnie zrobić Isabeau, to cenny dar.

Ponthieu usiadł wygodnie.

– Siadaj – nakazał, widząc, że Ian stoi jak skazaniec oczekujący na wyrok.

Młodzieniec usłuchał.

– A teraz opowiadaj. Od początku.

Opowieść ciągnęła się długo. Ian, snując historię wydarzeń ostatnich miesięcy, czuł jednocześnie ulgę i ciężar spadający na ramiona.

Było mu lżej głównie dlatego, że Ponthieu przyjął bez mrugnięcia okiem usprawiedliwienie jego kilkumiesięcznej nieobecności. Kłamstwo było misternie utkaną mistyfikacją i wytrzymało kolejną próbę – przyczyniło się do tego również świadectwo opata. Życie Iana w średniowiecznym świecie zyskało kolejny, stabilny filar.

Opowieść mimo to ciążyła mu niemiłosiernie – w dalszym ciągu pozostawała kłamstwem. Mimo iż wiedział, że nie ma innego wyboru, Ian czuł się fatalnie, opowiadając bujdy człowiekowi, który przyjął go jak brata we własnym domu.

Ponthieu ograniczył się do nielicznych komentarzy, a z jego ciemnych oczu nie zniknęła nieprzenikniona surowość.

– Jeden z ludzi, któremu wymierzyłem sprawiedliwość, aż do samego końca utrzymywał, że pozostałeś przy życiu, mimo iż później wskazał moim śledczym miejsca, w których nie było po tobie śladu. Uznałem, że kłamie. Powinienem był mu uwierzyć.

Ian przytaknął. Nie odczuwał litości dla człowieka, który z jego powodu skończył na stryczku. Był płatnym zabójcą i zrobiłby wszystko, by ocalić skórę, zmyśliłby sto innych absurdalnych historii, mających go usprawiedliwić. Mimo że Ian nie był mściwy, nie potrafił zapomnieć zdradzieckiego sztyletu, który zakończyłby jego

życie, gdyby nie *Hyperversum*, które w porę zabrało go z powrotem do przyszłości.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego porywacze nie wystąpili o okup za ciebie przez tak długi czas – zauważył ksiązę w zamyśleniu.

– Wydaje mi się, że nie mogli dojść do porozumienia między sobą. Słyszałem ich sprzeczki, mimo że z oddali nie zdołałem wychwycić dokładnie słów – skłamał Ian, wzbogacając swoją opowieść o dodatkowe szczegóły. – Nic więcej nie wiem. Być może twoje zaciekle poszukiwania i polowanie na porywaczy sprawiły, że bali się doprowadzić swój plan do końca.

– Ta historia nie daje mi spać od miesięcy. Dręczyły mnie tysięczne wątpliwości, zwłaszcza że nigdzie nie znaleziono twojego ciała – ciągnął ksiązę ku zaskoczeniu Iana. W jego głosie zabrzmiał ton wściekłości. – Cieszę się, że to wreszcie koniec.

– Ja też – szepnął Ian.

– Przysięgałeś bezkarność twoim prześladowcom w zamian za twoje życie, chcesz, bym rzeczywiście przestał ich szukać? – zapytał ksiązę.

– Dałem im moje słowo. Nie mogę już go odwołać, choćby byli najgorszymi zbrodniarzami – pospieszył Ian z odpowiedzią, obawiając się, że Ponthieu gotów jest spuścić ze smyczy swoich najgroźniejszych ludzi, by znaleźć jakiegokolwiek ślady nieistniejących ciemnych ludzi. Przede wszystkim jednak jeden z morderców pozostał na wolności i mimo że Ian wątpił, aby był on w stanie obalić jego alibi, za wszelką cenę nie chciał, by go schwytano ani tym bardziej przesłuchiowano.

– A więc niech stanie się wedle twojej woli – zaszepczał Ponthieu. – Teraz opowiedz mi całą resztę.

Druga część opowieści była o wiele łatwiejsza. Ian nie musiał już kłamać, z wyjątkiem powodu, dla którego Daniel towarzyszył mu w podróży. Powtórzył Ponthieu wersję Daniela, który tłumaczył się przed Martewallem – według niej spotkali się przypadkiem po drodze między Lunes a klasztorem Saint Michel. Potem Amerykanin przyspieszył nieco z tempem opowieści, by dotrzeć do całej prawdy o wydarzeniach, które zaszły w Dunchester, w tym – o spisku, którego częścią był William de Longespée.

Im bardziej zagłębiał się w szczegóły opowieści, tym większe zamyślenie malowało się na twarzy Ponthieu. Był wstrząśnięty, zwłaszcza tym, jak Ian dotarł do prawdy o lordzie Salisbury. Zaimponował mu również sposób, w który tego dokonał. On również nie potrafił pojąć niezwykłej intuicji młodzieńca.

Podczas trwania opowieści zadał mu dwa pytania. Pierwsze z nich było całkowicie przewidywalne.

– Jesteś pewien, że *monsieur* Daniel nie wyjawiał żadnych szczegółów dotyczących twojej tożsamości? – zapytał Ponthieu.

– Darzę go absolutnym zaufaniem – odparł Ian. – Martewall nie ma powodów, by podać w wątpliwość to, kim jestem.

„I miejmy nadzieję, że będzie tak w dalszym ciągu” – powiedział sobie w duchu z pewnym niepokojem.

Drugie pytanie, z którym zwrócił się do niego Ponthieu, było dla niego niemałym zaskoczeniem.

– Czy naprawdę chcesz udać się z taką propozycją do księcia Ludwika?

Ianowi zajęło kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Dlaczego nie?

– Gdyż jest to rzecz niezwykle ryzykowna, księżę zaś i tak do przesady owładnięty jest myślą o inwazji.

– Inwazji? – powtórzył Ian, czując, jak tężeją mu wszystkie mięśnie. Pamiętał dobrze obraz statków i żołnierzy przygotowujących się do walki i gromadzących w Dunkierce – na wybrzeżu położonym bezpośrednio naprzeciw Anglii.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał zaalarmowany.

– Również do nas dotarły słuchy, że angielscy baronowie szykują się do buntu. Wiemy o żądaniach, które przedstawili królowi Janowi. Księżę coraz poważniej rozważa możliwość zaatakowania Anglii i skorzystania z panującego tam chaosu. Jeszcze parę lat temu byłoby to niemożliwe. Wtedy to papież Innocenty zatrzymał jego wyprawę.

W głowie Iana pojawił się błysk zrozumienia.

– Delfin gromadzi tutaj swoje okręty?

– Tak. Szykuje ludzi i statki. Za kilka miesięcy będzie gotów do drogi. Obecnie powstrzymuje go tylko jego ojciec.

– Król Filip jest przeciwny jego planom?

– Chwilowo tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chce sprzeciwiać się woli Ojca Świętego i narazić się na kolejną ekskomunikę.

– Z drugiej strony, gdyby Delfin skorzystał z okazji, mógłby zawalczyć o angielską koronę. Baronowie potrzebują pomocy, lord Salisbury zaś mówił o bardzo wysokiej stawce w tej grze. On sam, przyrodni brat króla, nie pragnie zasiąść na tronie – wolałby zobaczyć na nim kogoś o większym autorytecie.

Ian wiedział doskonale, że jego teoria szybko miała się ziścić i że księżę Ludwik zdobędzie tytuł króla Anglii. Zdawał sobie sprawę również z tego, że korona miała mu zostać odebrana niedługo potem, wraz z kolejnym buntem baronów. Nie miał wpływu na to, jak potoczy się historia, mógł jedynie poddać się jej biegowi i spróbować wykorzystać wszystkie nadarzające się okazje. W tym szczególnym przypadku miał nadzieję zrobić użytek z obecnej sytuacji, docierając z dobrą nowiną do Williama de Longespéeego i uwalniając Daniela.

Ponthieu rozważał skrupulatnie jego teorię.

– Oczywiście, jest to nowy element, który zmienia znacząco dotychczasowe polityczne perspektywy. Czy możemy zaufać propozycji Anglików?

„Nie” – pomyślał Ian, zmuszony był jednak odpowiedzieć:

– Cel może być wart ryzyka, chociaż przyznaję, że wiele kwestii pozostaje niepewnych.

Książę zastanowił się jeszcze przez chwilę, po czym powziął decyzję.

– Nie nam oceniać całą tę sprawę. Poddamy się woli króla i księcia. Jutro zwrócisz się ze swoim poselstwem bezpośrednio do Delfina i zobaczymy, jakie kroki zostaną podjęte.

Ian wybałuszył oczy.

– Jutro?

Książę podniósł się z siedziska.

– Mówiłem ci już, że Delfin szykuje okręty wojenne w porcie, czyż nie? Sam jest już w podróży, oczekiwałem go. Nadjeżdża od strony Calais.

Również Ian poderwał się na równe nogi.

– Liczyłem na to, że zdołam się udać do Châtel-Argent...

– Nie ma takiej możliwości, nie po tym, o czym mnie poinformowałeś – zawyrokował Ponthieu. – Musisz zostać tutaj, później wyruszysz bezzwłocznie z wieściami dla lorda Salisbury.

– Ale...

– Zamiast ciebie poślę do Châtel-Argent gońca, by poinformował Isabeau o twoim rychłym powrocie. Ty zaś musisz przygotować się na ewentualność, że Delfin nie zgodzi się na propozycję Anglików i zdecyduje kontynuować swoje przygotowania do bezpośredniego ataku.

Ian nie brał pod uwagę takiej możliwości.

– Gdyby tak się stało, życie *monsieur* Daniela znalazłoby się w poważnym niebezpieczeństwie – powiedział z naciskiem Ponthieu.

Ian zamilkł na dłuższą chwilę. Nie rozważał opcji, w której Delfin odrzuciłby propozycję angielskich baronów – miał niezbitą pewność, że książę Ludwik w 1216 roku postawi stopy na angielskim wybrzeżu i zostanie powitany jako nowy król. Nie przeszło mu przez myśl, że będzie miał cały rok na dokonanie takiego ruchu i że nie było wiadomo, czy już na samym początku entuzjastycznie przyjmie zaproszenie baronów.

W księgach i kronikach, kartkowanych przez Iana w czasie długich lat studiów, nie można było znaleźć dokładnych informacji na temat sekretnych porozumień, dzięki którym rebelianci i książę doszli do ugody – być może Ludwik dał się przekonać od razu, być może trwało to dłuższy czas. A jeśli na początku odmówi, całkiem możliwe, że lord Salisbury poważnie się zdenerwuje...

Ian nagle zrozumiał, że za wszelką cenę musi namówić Delfina, by ten

zaakceptował propozycję. W przeciwnym razie mógł wpakować w poważne tarapaty nie tylko siebie. Tak czy siak, wizyta w Châtel-Argent ponownie się odwlekała.

Jedno spojrzenie księcia wystarczyło, by odczytać smutne myśli Iana.

– Twoja białogłowa przynajmniej przestanie za tobą szlochać, wiedząc, że jesteś cały i zdrow. Ujrzysz ją ponownie, jak tylko wypełnisz swoje obowiązki.

Słowa księcia nie wymagały odpowiedzi. Ian instynktownie chciał sprzeciwić się jego woli z równą stanowczością, zmusił się jednak do milczenia. To chęć ocalenia Daniela, nie zaś rozkaz Ponthieu, który uniemożliwiał mu oddalenie się od Dunkierki, była teraz najważniejsza i rozstrzygająca. Jak najszybciej musiał doprowadzić do końca swoją dyplomatyczną misję u księcia Ludwika. Nie mógł z niej zrezygnować – za nic w świecie nie zaryzykowałby bezpieczeństwa Daniela, na pewno nie z powodu własnych pragnień.

Czuł się rozgoryczony kolejnym pstryczkiem w nos, który dostał od swego przeznaczenia, mimo to starał się pogodzić z jeszcze jednym przesunięciem powrotu do domu. Nie miał innego wyjścia.

– Pozostaję tutaj, posłuszny twym rozkazom – odpowiedział szeptem. – Powiedz mi, co mogę zrobić, by chociaż trochę być ci pomocnym. Oczywiście pod warunkiem, że nie zrealizujesz swoich gróźb i nie zamkniesz mnie w najciemniejszym z lochów. – Odważył się na dowcip, Ponthieu nie odpowiedział jednak nawet cieniem uśmiechu.

– Teraz tego nie zrobię. Jesteś mi potrzebny – odparł powściągliwie. – W każdym razie przygotuj się na taką ewentualność. Możesz o tym pamiętać, zanim wpakujesz się w kolejne tarapaty.

Śmiertelnie poważny ton jego głosu sprawił, że Ian stracił ostatecznie chęć do żartów. Młodzieniec spodziewał się zupełnie innego przyjęcia niż to, którego doznał po miesiącach nieobecności. Dystans i chłód zmroziły go do szpiku kości. Skłonił głowę, zrezygnowany i rozczarowany rozmową.

– Nigdy więcej się to nie powtórzy. Nigdy więcej nie stracę czujności, mój panie.

Wyraz twarzy Ponthieu nie zmienił się. Książę nic nie mówił, zastanawiając się nad czymś głęboko. W końcu powiedział:

– W każdym razie ciesz się, że wróciłeś do domu.

W jego wypowiedzi czuć było wysiłek – brzmiała tak, jakby nie chciał się przyznać do tęsknoty za przybranym bratem, niemniej mimo oschłości jego słowa były zupełnie szczere.

Ian podniósł głowę, odwzajemniając spojrzenie księcia, i zobaczył, że powoli odradza się ich dawne porozumienie, dużo głębsze niż słowa, które można wypowiedzieć na głos.

Ponthieu był rozzłoszczony, mimo to cieszył się z ponownego spotkania.

Ian poczuł, że w jego sercu rozpała się płomyk nadziei.

– I ja się cieszę, że wróciłem do domu.

*

Rozdział 33



Niedługo potem, kiedy tylko służby pokazali mu komnatę, w której miał pozostać do końca swego pobytu w Dunkierce, Ian zanurzył się po samą szyję w drewnianej wannie z uczuciem bezgranicznej ulgi. Oparł się wygodnie o brzeg, na którym zawieszono lniane ręczniki, i przez kilka minut rozkoszował się przyjemnym ciepłem wody, rozluźniając napięte mięśnie.

Bolał go chyba każdy centymetr ciała i co chwila odkrywał nowe siniaki, o których dotąd nie miał pojęcia. Z jego lewej dłoni zniknęła opuchlizna, ale ból w nadgarstku i w miejscu, w którym zawiązał się bicz poborców podatkowych z Aversly, nadal nie ustąpił.

„Jestem wyżęty jak najzwyklejsza ścierka” – pomyślał, wzdychając ciężko.

Przede wszystkim doskwierało mu wyczerpanie fizyczne. W Anglii przeżył wiele ciężkich chwil, nadchodzących jedna po drugiej, i nie mógł sobie przypomnieć nawet ostatniej nocy, w której wyspał się we względnie ludzkich warunkach. Goląc się przed lustrem, wyczuł pod palcami zapadnięte policzki.

Wytarł włosy i wysuszył je w ciepłe ognia przy kominku, jedząc łapczywie obiad, który pozostawiono mu na stoliku, po czym ubrał się i przygotował do wyjścia. Służby przynieśli mu odpowiednie dla jego tytułu i pozycji ubrania, a kiedy wreszcie skończył je na sobie wciągać i zatknął miecz za pas pod wyszywaną tuniką, poczuł, że właśnie wcielił się ponownie w postać, którą zdecydował się odgrywać przez resztę swojego życia.

Ponownie stał się Jeanem Markiem de Ponthieu, księciem i panem na Montmayeur. Teraz nikt nie odważyłby się temu zaprzeczyć.

Opuścił komnatę z uczuciem satysfakcji mimo żalu, który wciąż czuł w związku z odłożonym na później wyjazdem do Châtel-Argent i niesłabnącym uczuciem niepokoju o Daniela.

Zanim dotarł do swojej sypialni, zobaczył gońca, który galopem wyruszył przekazać Isabeau wieści o powrocie jej męża. Mężczyzna miał przed sobą prawie dwa dni drogi, jednak Ian już wyobrażał sobie efekt, jaki mogło wywołać jego posłannictwo.

Nie miał czasu, by napisać list do Isabeau, zdołał jednak wręczyć posłańcowi pospiesznie wypisany bilecik, na którym umieścił pierwsze słowa, jakie przyszły mu

do głowy i jakie podyktowało mu serce, gdy pomyślał o swojej żonie: „Kocham cię. Wracam do ciebie”.

Przeszedł przez korytarz, pozdrawiając służących, których napotkał na swojej drodze, po czym znalazł schody prowadzące na wyższe piętra. Po chwili odnalazł właściwe drzwi. Zapukał i wszedł do środka, wiedząc, że ma kolejny powód do szczęścia.

Lisi Ogon siedział na parapecie okna, przed którym umieszczono łoże z baldachimem. Chłopiec spoglądał w dół.

– Powiedziano mi, że twoja matka ma się lepiej – powiedział Ian po krótkim pozdrowieniu.

Chłopiec skoczył na nogi, składając nieudolny, choć pełen szacunku pokłon. Jego nowe szaty przyniesione przez służących sprawiały, że wyglądał jak giermek, mimo że mydło i grzebień nie zdołały do końca zapanować nad ognistoczerwoną czupryną.

– Tak, ma się lepiej. Muszę podziękować wam za wszystko, coście dla nas zrobili, panie.

– Podziękuj lepiej kapitanowi Stone’owi, to on stanął na wysokości zadania w krytycznym momencie – odpowiedział Ian z uśmiechem. – A poza tym zejdźmy z tego wysokiego tonu. Kiedy mówiłeś do mnie „sir Ian”, byłeś wobec mnie o wiele bardziej bezpośredni.

Lisi Ogon był wyraźnie zakłopotany.

– Tak, ale wy tak naprawdę nie jesteście *sir* Ianem, jesteście...

– *Monsieur* Jean. Starczy, i to aż nadto – przerwał młodzieniec. – Zapomnijmy o tych tytułach, w porządku? Jesteśmy przyjaciółmi.

– Dziękuję, *monsieur*... – odparł chłopiec półgłosem. Zawahał się na chwilę, po czym podjął raz jeszcze: – Wybaczcie mi, jeśli źle się wobec was zachowałem. Nie zasługiwaliście na to, a ja jestem zwykły głupek.

– A ty wybacz mi, proszę, że przemilczałem prawdę. Mimo że miałem ku temu przyczyny, nie było to ładne z mojej strony – odpowiedział Ian. – Czyli jak, zgoda? – zapytał.

Lisi Ogon przytaknął energicznie.

– Zgoda.

– Czy mogę zajrzeć do twojej matki? – zapytał Ian, wskazując na łóżko z zaciągniętymi zasłonami baldachimu.

– Pewnie, zdaje mi się, że już nie śpi. – Chłopczyk podszedł do łóżka i zajrzał ostrożnie pod baldachim. – Mamo, macie gościa – oznajmił, odsuwając zasłony, by wpuścić trochę światła.

Ian zbliżył się i zobaczył Briannę ułożoną pomiędzy poduszkami, przykrytą futrzaną kołdrą. Dziewczyna była bardzo blada i miała lekko przymknięte oczy, jednak wróciła jej świadomość.

– Ach, piękny pan rycerz... – wymamrotała ze słabym uśmiechem.

– Jak się czujecie? – zapytał Ian troskliwie.

Brianna westchnęła cicho, dotykając ostrożnie szwów w boku, które były okryte prześcieradłem.

– Boli, ale jest o wiele lepiej. Czuję się tylko okropnie słaba.

– Lekarz powiedział mi, że zagrożenie minęło – oznajmił Ian. Był szczęśliwy z powodu dobrych rokowań. – Za to słabości spróbujemy zaradzić jakimiś smakołykami – dodał, wskazując na stolik, który i w tej komnacie zastawiony był daniami obiadowymi. Tace i część misek była już pusta, co było niezbitym dowodem na to, że matka i syn zdążyli już nieco zaspokoić głód.

– Wystarczy mi w zupełności to cudowne łóżko – powiedziała, obracając się powoli na materacu, po czym ponownie zerknęła złośliwie na swojego rozmówcę. – Wiecie co? Śniła mi się pewna rzecz, kiedy rana bolała mnie najbardziej. Śniłam, że jestem w silnych ramionach dzielnego rycerza, i czułam się lepiej. W zasadzie miałam się bardzo dobrze – zażartowała, mimo że jej uśmiech wypadł bardzo blado przy wymęczonej twarzy. – Ale przysięgam wam, że wasza żona nie ma powodów do obaw. Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonana, że to nie wy byliście tym rycerzem.

Ian kątem oka zauważył, że Martewall stał w progu drzwi do komnaty. Amerykanin uśmiechnął się nieznacznie na myśl, że angielski baron mógł usłyszeć ostatnie zdanie.

– Możecie porozmawiać o tym z *sir* Geoffreyem – powiedział, zwracając się do Brianny. – Jestem pewien, że będzie potrafił poprawnie zinterpretować ten sen.

Martewall rzucił mu palące spojrzenie. Po raz pierwszy zakłopotanie sprawiło, że jego policzki pokrył cień rumieńca.

– Przyszedłem tutaj, by zobaczyć, jak ma się chora. Powiedziano mi, że najgorsze już minęło – zaczął się tłumaczyć, idąc w stronę łóżka stojącego w rogu komnaty.

Brianna posłała mu spomiędzy poduszek pełen wdzięczności uśmiech.

– Dziękuję wam, panie baronie. I wy zdołaliście doprowadzić się do porządku, o ile widzę.

Martewall położył dłoń na głowicy miecza zatkniętego za pas ściągający czyste szaty.

– Muszę wam podziękować za gościnność, mości książę – odparł, a z jego oczu skierowanych na Iana wyzierała zwykła ironia.

– A ja muszę podziękować wam obu, ocaliliście mnie i mojego syna mimo ogromu niebezpieczeństw – powiedziała Brianna. – Co prawda, nie do końca pamiętam drugą część naszej ucieczki, ale Beau powiedział mi, że spotkało nas wiele przygód.

– Ocalenie was za wszelką cenę było najważniejszym z naszych obowiązków, zwłaszcza że to z naszej winy znaleźliście się w takiej sytuacji – odparł Martewall w imieniu swoim i Iana.

Drugi rycerz skinął głową.

Brianna przypomniała sobie nagle szczegóły rozmowy sprzed chwili.

– Czyżbyście naprawdę potrafili interpretować sny? – zapytała Martewalla ze szczerym zdumieniem.

Ian zdecydował, że nadeszła chwila, by opuścić zgromadzonych.

– Wybaczcie mi. Teraz muszę wrócić do mego brata. Zobaczymy się później – oznajmił z uśmiechem, po czym udał się w kierunku drzwi.

Daniel zaczynał być poważnie znudzony nieustającym nadzorem żołnierzy lorda Salisbury. Prawdziwym wstrętem napawało go to, że każdy jego krok obserwowany był uważnie przez czujne oczy strażników, którzy pojawiali się w polu widzenia za każdym razem, kiedy opuścił swoją komnatę – celę więzienną. Tylko w niej mógł liczyć na względną swobodę ruchu.

„Prawie jak FBI. Lepiej niż prezydencka eskorta” – myślał poirytowany.

Przeszedł przez dziedziniec przy bacznych spojrzeniach przynajmniej trzech wartowników, którzy nagle zjawili się dookoła, i dotarł do jednych ze schodów prowadzących na ścieżkę wartowniczą na murach obronnych. Celowo omijał główną bramę prowadzącą na zewnętrzne podwórze zamku, zdążył zrozumieć bowiem, że żołdacy lorda Salisbury byli na to szczególnie wyczuleni i lepiej było nie dawać im powodów do zdenerwowania. Mogłoby się to skończyć jeszcze bardziej drastycznym ograniczeniem jego wolności – choćby zamknięciem go w jego sypialni bez możliwości wyjścia.

Jako że brama dzieląca go od świata zewnętrznego była miejscem zakazanym, musiał się zadowolić widokiem na dziedziniec z wysokości murów, przechadzając się pomiędzy strażnikami pełniącymi wartę.

„Będzie ich tutaj przynajmniej z dziesięciu. Ci, którzy mnie pilnują, chyba nie wpadną na pomysł, że próbuję stąd nawiać, mam nadzieję” – powiedział sam do siebie. „Nawet gdybym chciał, jak niby miałbym to zrobić? Rzucić się głową w dół z murów? Średnio to widzę, zwłaszcza że w dalszym ciągu nie wyrosły mi skrzydła”.

Westchnął. Zamknięty w twierdzy, której okna wychodziły na dziedziniec otoczony pasem murów, czuł się jak kanarek uwięziony w małej klatce. Niepokojem napawała go zwłaszcza wymuszona bezsilność zmieszana ze świadomością niewielkiego wpływu na własny los. Znajdował się w rękach lorda Salisbury. Próbował dotrzeć do lochów, by zasięgnąć wieści o zdrowiu Hektora, nie uzyskał jednak zgody na zejście do podziemi i nie mógł sprawdzić tego osobiście. Jego niezmordowane nagabywanie strażników pilnujących wejścia poskutkowało jedynie informacją, że życiu flamandzkiego rycerza nie grozi niebezpieczeństwo – tylko tyle.

Nie mógł się z nim zobaczyć ani tym bardziej porozmawiać i w ten sposób jego plan, by utrzymać kontakt z rycerzami Dunchester, spalił na panewce.

„Jestem śmiertelnie zmęczony całą tą sytuacją” – narzekał chłopak z narastającą wściekłością.

Przechadzając się, dostrzegł delikatny ruch w oknie i podniósł oczy. Zobaczył Leowynn, która opierała się o parapet. Na jej twarzy wypisane były rozgoryczenie i smutek. Dopadły ją te same uczucia, co Daniela – syndrom kanarka w klatce.

Amerykanin zatrzymał się na moment, czekając, aż dziewczyna dojrzy go na dziedzińcu, po czym skłonił się w pozdrowieniu.

Leowynn odpowiedziała mu grzecznym skinieniem głowy i odeszła od okna, by zniknąć w mroku komnaty.

Daniel ruszył przed siebie, kierując się w stronę murów.

Zwolnił na widok wozu, który zatrzymał się między nim a podstawą schodów wiodących na górę. Mężczyźni stojący obok nie byli uzbrojeni. Daniel rozpoznał w nich cywili pilnie strzeżonych przez zbrojnych Murrowa. Eskortowali wóz i zaczęli znosić z niego płócienne torby oraz kawałki drewna. Żołnierze wydali rozkaz złożenia towarów obok bramy kilka kroków dalej, tam gdzie inni żołnierze nadzorowali coś w rodzaju magazynu.

Daniel wyostrzył wzrok – jeden z pracujących wieśniaków wydał mu się znajomy. Ukrył uśmiech, rozpoznając Thomasa Bulla.

Podszedł blisko furmanki, obok której mężczyzna zeskoczył z trudem z pozycji woźnicy, przytrzymując wodze, by zapobiec oddaleniu się muła podczas rozładunku.

Żołnierze zerkali na Amerykanina spode łba, ten jednak, stojąc w bezpiecznej odległości z rękoma założonymi za plecy, nie dawał im żadnego powodu do interwencji.

– Dzień dobry! – przywitał się. – Jak się macie? Jak bark?

Bull wreszcie go zauważył i rozpoznał w nim młodego rycerza.

– Kogóż to ja widzę! Przyjaciel żabojada. Nie przymknęli was, zdaje się!

– Tak się tylko mówi – odpowiedział Daniel, robiąc aluzję do żołnierzy, którzy kręcili się wokół niego z każdej strony. – Nie mogę jednak narzekać. Wy macie ku temu większe powody, zmuszono was do pracy.

Czuł się winny na samą myśl, że podczas gdy jego potraktowano w zasadzie jak gościa, pomijając kwestie związane z wolnością osobistą, pozostali przegrani zostali zmuszeni do zaakceptowania o wiele trudniejszych warunków – od przymusowych prac aż po całkowite odosobnienie.

Bull zdawał się jednak nie zwracać uwagi na różnicę w traktowaniu – tak jakby chodziło o coś zupełnie oczywistego.

– Pracy starczy dla wszystkich. Kto nie jest ranny, haruje przy najcięższych robotach, a komu trochę się oberwało – tak jak mnie – zajmuje się resztą. Taki jest los

tych, którzy przegrywają bitwę i nie mają czym się wypłacić.

– Gdzie was trzymają? – zapytał Daniel.

– Na zewnętrznym dziedzińcu. I nie pozwalają nam stamtąd wyjść. Zebrali na jedną kupę wszystkich mężczyzn zdatnych do pracy i tych, którzy brali udział w walkach. Razem z nami pracują również żołnierze Dunchester. Dla nich jednak zarezerwowano najcięższe roboty, prawie niewolnicze.

– A kobiety i dzieci? – zaniepokoił się Daniel.

– Zostawili je pospółu ze starcami – zapewnił go Bull. – Przynajmniej mieli na tyle przyzwoitości, żeby się na nich nie wyżywać. Już i tak wystarczająco trudno jest przetrwać zimę bez dachu nad głową. – Zniżył głos i dodał z błyskiem satysfakcji w oczach: – Poza tym to słyszałem, że Francuz dał radę, razem z młodym panem baronem. Wystrychnęli lorda Salisbury i Murrowa na dudka!

– Na to wygląda – przytaknął Daniel. I on mówił szeptem. – Miejmy nadzieję, że ich ucieczka przyniesie dobre rezultaty, ale na razie cicho sza, nie mówcie o tym nikomu.

Błysk zainteresowania na twarzy Bulla zniknął, gdy ich rozmową zainteresował się strażnik.

– Hej, ty, starczy tego! Zabieraj stąd ten wózek! Dość już czasu zmarnowałeś na pogaduszki! – zawołał żołdak niegrzecznie, rozzłoszczony.

– Idę sobie, już sobie idę – wymamrotał Bull i wdrapał się na furmankę, którą jego współmieszkańcy właśnie skończyli rozładowywać. – Informujcie mnie na bieżąco – wyczytał Daniel z ruchu jego warg, zanim zniknął w towarzystwie pozostałych cywili idących w ślad za wozem.

„No, udało mi się podtrzymać chociaż jeden kontakt na zewnątrz” – pomyślał Amerykanin z odrobiną zadowolenia. Ian zapewnił go o lojalności Thomasa Bulla i Daniel mu ufał. Były żołnierz mógł być przydatnym sojusznikiem, mimo że chłopak nie wiedział jeszcze przy jakiej okazji.

Daniel zobaczył, jak wóz znika zaraz za umocnieniami bramy wjazdowej. Żołnierze pospieszili, by zamknąć wrota tuż po jego przejeździe.

„Klateczka się zamyka” – pomyślał Daniel z ciężkim westchnieniem.

Podczas powrotnego spaceru natknął się na *sir* Gorvenala. Chłopak podskoczył w miejscu, ponieważ nie widział zbliżającego się żołnierza.

– Mamy poważny kłopot – oznajmił Gorvenal z ponurym wyrazem twarzy, jeszcze zanim zdążył go pozdrowić. – Chodźcie za mną.

Skinął mu głową i poprowadził go w kierunku schodów wiodących na mury.

Daniel usłuchał. Poczul w sercu niepokój. Trzymał się tuż za rycerzem na ścieżce wartowniczej, kiedy szli w stronę bocznej wieży zamku. W połowie drogi jednak Gorvenal zatrzymał się w pół kroku, w miejscu, z którego widać było gród i roztaczający się krajobraz. Przy osadzie zniszczonej oblężeniem pracowała masa

ludzi – obywatele Dunchester za wszelką cenę usiłowali odbudować zniszczone domy, jednak uwagę Daniela przyciągnęło coś zgoła innego. Z zachodu nadciągała długa rzeka zbrojnych noszących czerwone barwy, zbitych w uporządkowane szeregi. Wciąż jeszcze byli poza osadą, jednak już na tyle blisko, że można było odróżnić postaci, jedną po drugiej. Prowadził ich niewielki oddział rycerzy niosących czerwone sztandary z trzema złotymi lwami. Eskortowali zadaszony powóz, przyozdobiony tymi samymi kolorami i takim samym herbem.

– Co się dzieje? – zapytał Daniel, poruszony przerażającym przecuciem.

Sir Gorvenal, który podszedł kilka kroków do przodu, zawrócił do niego i nerwowo zerkając na nadciągające oddziały, odpowiedział:

– Król Jan składa nam wizytę.

Ian w dalszym ciągu był rozbawiony swoim perfidnym pomysłem, by pozostawić Martewalla z Brianną spodziewającą się wyjaśnienia swego dziwnego snu. Wracając na pierwsze piętro, nieoczekiwanie stanął przed Sancerre'em.

Drugi rycerz wyraźnie oczekiwał go przy wejściu, chcąc zaspokoić nareszcie swoją ciekawość. Zaoferował swoje towarzystwo w przechadzce po zamku, która w rzeczy samej nie miała określonego celu.

– Proszę cię, Etienne, może porozmawiamy o tym później? – błagał go Ian po kilku strzałach z nieskończonej serii pytań. – Już musiałem zdawać całe to sprawozdanie mojemu bratu.

Sancerre wzruszył ramionami.

– No i co? Jesteś czy nie jesteś kronikarzem tego domu? Opowiadać o wydarzeniach to twój drugi zawód.

– Już mi w gardle zaschło od tych opowieści.

– A więc idziemy się napić – zawyrokował Sancerre z rubasznym uśmiechem, skręcając w kierunku schodów prowadzących w dół.

Ian zrozumiał, że rycerz nie da się łatwo spławić, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na nurtujące go pytania. Westchnął, choć jednocześnie cieszył się z towarzystwa człowieka, który walczył u jego boku. Ian był poruszony szczerością uczucia, jakim darzył go Francuz. Przyjął go naprawdę ciepło i Ian był mu za to wdzięczny. W przeciwieństwie do Ponthieu, Sancerre nie zmienił się nic a nic – w dalszym ciągu zachował swoją jowialność i dobroduszny wyraz twarzy, a także ten zuchwały uśmiech, któremu trudno było się oprzeć.

– Lepiej ty opowiedz mi, co się tutaj działo, a ja w tym czasie spróbuję odzyskać oddech – powiedział Ian, kiedy już prawie dotarli do zamkowych kuchni. Liczyli na parę łyków dobrego wina. – Nie spodziewałem się zastać cię tak daleko od twych

rodziny ziem. Ty też czekasz na przybycie księcia Ludwika?

– Cóż... I tak, i nie – odpowiedział. – Muszę przyznać, że bardzo podoba mi się pomysł księcia, aby dać Anglikom małą naukę. Kiedy doszły do mnie słuchy o twojej śmierci z rąk ich zabójców w noc zamachu w klasztorze, byłem gotów wyruszyć choćby sam jeden, byle tylko odplacić im pięknym za nadobne.

„A więc lepiej, żebyś nie rozmawiał z księciem Ludwikiem, kiedy zaoferuję mu sojusz z angielskimi baronami” – pomyślał Ian. – Wina za to, co się stało, nie leży po stronie Anglików, odpowiedzialny jest za to tylko jeden Anglik, i to w dodatku martwy – zawahał się.

– Nie robi mi to różnicy, kazałbym za to zapłacić jakimkolwiek innemu, za dużo siedziało we mnie gniewu. Szkoda, że twój nowy angielski gość nie był w zasięgu mojego miecza w tamtym czasie. On też mógłby się nadać.

Butny ton Sancerre’a sprawił, że Ian roześmiał się i wzruszył jednocześnie.

– To dla mnie zaszczyt, że mój los tak bardzo leży ci na sercu.

– Nie tylko mnie. Obaj Henri modlili się o zemstę za ciebie – odpowiedział Sancerre. – Oni jednak nalegali, by zbadać dokładnie, co wydarzyło się w dzień zamachu, i drapnąć płatnych zabójców, którzy dopuścili się tych haniebnych czynów. Musiałem zrezygnować z własnych planów i się podporządkować. Pomogłem twojemu bratu w pogoni za najemnymi mordercami. Duży Henri i mały Henri nie mogli brać udziału w polowaniu, gdyż mieli za dużo roboty zleconej od swoich feudałów. Poza tym później król Filip wezwał ich na dwór. Musieli porzucić poszukiwania i powierzyć je swoim ludziom. Ja natomiast nie miałem nic do roboty i byłem do pełnej dyspozycji księcia Guillaume’a, natychmiast więc zaoferowałem mu swą pomoc.

W kuchni wrzało jak w ulu. Obszerne pomieszczenie było wypełnione aromatami unoszącymi się z garnków i rondli oraz zapachem smakowitych wędzonych mięs. Niespodziewane przybycie dwóch rycerzy postawiło w stan gotowości kucharki i pomywaczy zajętych przygotowywaniem kolacji. Ich pełen przejęcia zapach przekonał Iana, że warto łyknąć dwa kieliszki wina i odprowadzić Sancerre’a na wyższe kondygnacje – w przeciwnym razie obecność ich dwójki nie dość, że będzie utrudniała prace kuchenne, to jeszcze na dodatek mogła spowodować poważne opóźnienia w porze wydawania posiłku.

Amerikanin nie miał zresztą pewności, czy Ponthieu rzeczywiście nie zamknąłby go w lochu, dowiadując się, że jego młodszy brat tuż po powrocie na nowo wziął się za krzyżowanie jego perfekcyjnych planów, zaczynając chociażby od zmiany godziny kolacji.

Razem z Sancerre’em zatrzymali się w jednej z komnat z płonąącym kominkiem. Z jej okien rozciągał się widok na morze i port. Rozsiedli się, by w spokoju cieszyć się swoim winem.

– Jak mają się *monsieur de Bar* i *monsieur de Grandpré*? – zapytał Ian, wracając do wcześniejszej rozmowy i wspominając z sentymentem towarzyszy broni.

– De Bar jest od niedawna ojcem – opowiadał Sancerre. – W jego domu pojawił się brzdąc z jasną czupryną, bardzo do niego podobny, na chrzcie dali mu imię Laurent.

– Męski potomek, moje gratulacje. Musiało to być wielką radością dla całego rodu.

– A ciebie zabrakło na jego chrzcinach. Pamiętasz, co obiecywałeś? – powiedział z wyrzutem Sancerre. – Przysięgaliśmy, jeszcze zanim wyruszyliśmy na wojnę.

Ian przytaknął.

– Nie dotrzymałem obietnicy, ale nie stało się tak z mojej woli. Mam nadzieję, że zostanie mi to przebaczone.

– Grandpré z kolei usilnie szuka sobie żony – ciągnął Sancerre – albo inaczej: ma od tego ludzi. Nie wydaje się szczególnie przekonany do tego pomysłu, mimo że to już najwyższa pora, żeby się ożenił i spłodził syna, zwłaszcza że jest ostatnim ze swojego rodu.

– I on założy rodzinę, jestem tego pewien. We właściwym momencie znajdzie się odpowiednia niewiasta i dla niego.

– Albo inni mu ją znajdą. Pierworodni mają zawsze trudne życie, jeśli o to chodzi – zauważył Sancerre, popijając z kielicha. – Spójrz na twego brata. Już dwa małżeństwa za nim, jedno i drugie zaaranżowane. Mój brat pobrał się w wieku siedemnastu lat z dziewczątkiem, którego nigdy nie widział na oczy. À propos, wiesz, że niedługo zostaniesz wujem? Twoja szwagierka jest brzemienna.

Ian przytaknął raz jeszcze. Kilka słów, które zamienił z księciem Guillaume'em podczas ich ostatniej rozmowy, wystarczyło, by dowiedzieć się nowinek na temat rodziny. Pani Alinor, jego nowa żona, oczekiwała narodzin dziecka – porodu spodziewano się latem.

– Nigdy jej nie poznałem – zamyślił się Ian. – Mam nadzieję, że wkrótce nadarzy się ku temu okazja.

– To piękna kobieta – pospieszył z zapewnieniami Sancerre. – Widać, że w jej żyłach płynie królewska krew.

Dyskusja o parach małżeńskich przypomniła mu pewien szczegół z rozmowy z opatem Saint Michel. Młodzieniec zdecydował się zadać niedyskretne pytanie.

– A ty kiedy zdecydujesz się na ożenek? Miałeś oko na *madame Donnę*, jestem tego pewien. Teraz mów: jak się mają sprawy między wami?

Zakłopotanie było zupełnie niecodziennym stanem dla butnego Sancerre'a i z tego powodu wyraz jego zawstydzonej miny wywołał uśmiech na twarzy Iana, zwłaszcza gdy rycerz opuścił głowę nad swoim kieliszkiem, tak jakby spodziewał się znaleźć odpowiednie słowa w napoju.

– Musisz mi wybaczyć, Jean, ale mając cię za martwego, ja... – zaczął wreszcie Sancerre. – Wiem, że to ty jesteś opiekunem *madame Donny* i że to ciebie

powiniennem zapytać o zgodę, ale jako że cię tutaj nie było... zapytałem o pozwolenie na uderzenie w konkury twego brata. Jesteśmy teraz oficjalnie po słowie, mam nadzieję, że się na mnie za to nie pogniewasz.

– Najważniejsze, że to ona się nie gniewa – zażartował Ian i wybuchnął śmiechem prosto w twarz drugiego rycerza, który siedział naburmuszony.

– Jestem w stanie zapewnić jej godny byt – oświadczył Sancerre z determinacją. – Z woli mego ojca odziedziczyłem zamek...

Ian podniósł rękę i gestem przerwał przyjacielowi.

– Nie interesują mnie kwestie ekonomiczne, Etienne. Wiem doskonale, że każdy Sancerre jest w stanie utrzymać swą małżonkę. Jestem szczęśliwy z waszego powodu, zwłaszcza iż wiem, że Donna już od miesiący darzyła cię uczuciem. Życzę wam obojgu szczęśliwego życia, z całego mojego serca.

Zachmurzone czoło Sancerre'a rozjaśniło się, a na jego twarzy zagościł promienny uśmiech.

– Odprowadzisz ją do ołtarza – powiedział rycerz. – Nie umiem znaleźć lepszego sposobu, by wyrazić radość z twojego powrotu.

„Ja miałbym pewien pomysł” – powiedział Ian sam do siebie, myśląc o Isabeau, która czekała na niego w Châtel-Argent.

Spojrzał za okno i odetchnął głęboko lodowatym, zimowym powietrzem, w którym czuć było już pierwsze powiewy wiosny. Wreszcie jego życie przybierało normalny obrót.

Jan bez Ziemi przybył do Dunchester. Daniel był zdenerwowany tą nieoczekiwaną wizytą. Szedł krok w krok za Gorvenalem, a w jego głowie wirowało tysiąc wzburzonych myśli.

Co sprowadzało króla do twierdzy Dunchester?

Jak długo chciał się tutaj zatrzymać?

Jak będzie się zachowywał William de Longespée w jego obecności?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie chłopak miał otrzymać już niedługo.

Wspiał się po schodach, podążając za Gorvenalem, i dotarł do ozdobionego blankami szczytu wieży, skąd rozciągał się widok na całą budowlę i dziedziniec zamku. Było to miejsce najbardziej oddalone od wszelkich niedyskretnych uszu i właśnie tam znalazł księcia Williama de Longespéego, który oczekiwał na spotkanie z kolejnym ze swych zaufanych rycerzy – tym samym, który kilka dni temu, tak jak Gorvenal, był świadkiem propozycji Iana.

– *Sir* Danielu, sytuacja jest niezwykle poważna – oznajmił lord Salisbury na widok zakładnika. – Jan jest tutaj, by należycie wyegzekwować surową karę dla wszystkich

zdrajców.

Daniel poczuł dreszcz na plecach.

– Co macie na myśli?

Lord Salisbury zrobił kilka nerwowych kroków między wykuszami wieży.

– Niestety, przykład, który dał *sir* Harald Martewall, zachęcił innych do podążania jego śladem. Feudałowie buntują się po kolei, nie płacą podatków i czekają na to, że król uzna ich stanowisko i przywróci im dawne prawa. Cała sprawa rozgniewała Jana, który zdecydował się osobiście rozprawić ze swoimi feudałami i postawić do pionu krnąbrnych baronów.

„I musi zaczynać właśnie w tym miejscu?” – zaprotestował Daniel w myślach. – Co się teraz stanie? – zapytał z wyraźnym niepokojem.

– Przede wszystkim, musimy znaleźć bardziej niż przekonujące usprawiedliwienie dla waszej obecności – odparł lord Salisbury. Był niezwykle poważny. – Murrowa i najemników można było spławić kilkoma odpowiednio dobranymi zdaniami na temat waszej pozycji specjalnego więźnia, ale król nie zadowolili się tak ogólnikowym wytłumaczeniem.

Daniel przełknął ślinę. Nie był tak dobry w opowiadaniu bajek jak Ian i wiedział, że z nożem na gardle nadaje się do tego jeszcze mniej.

– Tak z miejsca trudno jest mi wam pomóc, panie.

– Myślałem już na ten temat – powiedział lord Salisbury. – Powiemy, że mam wobec was dług honoru, że rozpoznałem was wśród więźniów i otoczyłem swoją opieką. Dodamy, że czekam jeszcze na wysoki okup, a więc rozmawiając z królem, położycie szczególny nacisk na bogactwa waszego rodu – w ten sposób pomożecie mi zachować wiarygodność przedstawienia.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł sztywno Daniel. „Przydałby się tutaj Ian” – myślał równocześnie z obawą na samą myśl o konieczności wymyślenia Bóg wie jakich szczegółów, gdyby podczas rozmowy z władcą zrobiło się gorąco. Nie miał wiedzy historycznej, którą dysponował jego przyjaciel, i w każdej chwili mógł palnąć coś zupełnie niedopuszczalnego w średniowieczu, zasiewając tym samym ziarno podejrzeń.

– Macie już pomysł, jakim to długiem wobec mnie jesteście obarczeni? – zapytał, usiłując przygotować się choćby z tej strony.

– Coś związanego z wojną we Francji, jeszcze o tym pomyślę. Nie mogę wymyślić niczego, co zdarzyło się tutaj, gdyż wszyscy są świadkami ostatnich wydarzeń – odparł wymijająco lord Salisbury, sam również pod sporą presją. – Najważniejsze, byście potwierdzali moją wersję wydarzeń, gdy zostaną wam zadane pytania.

„Czy te wszystkie przedstawienia nigdy się nie skończą?” – zastanawiał się rozpaczliwie Daniel. Nie przepadał za opowiadaniem bujd, zwłaszcza takich, od których mogło zależeć jego życie. Wygłaszanie kłamstw przed obliczem króla

pociągało go jeszcze mniej – szczególnie biorąc pod uwagę to, że władca miał sławę niezbyt sympatycznej osoby.

Ta myśl pociągnęła za sobą kolejną, jeszcze bardziej przerażającą.

– Wybaczcie mi, panie, ale jaki los spotka pozostałych więźniów – *sir* Haralda i pannę Leowynn? – zapytał chłopak.

Lord Salisbury się zasepił.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ich ochronić. Jednak przed obliczem króla moje możliwości są znikome.

Daniela zmroziło do szpiku kości.

– Przysięgaliście, że nie zagrozi im niebezpieczeństwo! Że rozlew krwi zakończył się ostatecznie!

– Powiedziałem również: „dopóki Dunchester będzie pod moją kontrolą” – odpowiedział lord Salisbury twardo. – Nie mogę już niczego obiecać, jeśli władza nad twierdzą zostanie mi odebrana. Muszę natomiast uważać, by król nie odkrył łączącego nas sekretu, w przeciwnym razie poleje się i nasza krew. Nie myślcie sobie, że Jan gotów jest iść na ustępstwa na rzecz swojego brata z nieprawego łoża.

Daniel zacisnął pięści.

– To wszystko jest niedopuszczalne.

Lord Salisbury podszedł do niego i spojrzał mu prosto w oczy.

– Dochowajcie tajemnicę i przytakujcie moim słowom, *sir*. Spróbuję ocalić to, co jest do ocalenia. W przeciwnym razie wszyscy stracimy życie.

*

Rozdział 34



Główną salę twierdzy Dunchester pospiesznie przyozdobiono sztandarami, aby godnie przyjąć w niej króla podczas kolacji. Zmieniono ustawienie stołów. Przygotowywano miejsca tylko i wyłącznie dla najwyższej urodzonych rycerzy, począwszy od tych należących do wojsk królewskich. Dowódcy niższego szczebla nie zostali zaproszeni na ucztę.

Służba biegła we wszystkich kierunkach, roznosząc dymiące talerze z przeróżnymi potrawami – co było niemałą odmianą w porównaniu z ciężkimi dniami oblężenia, w których reglamentacja żywności dała się odczuć jako groźba głodu. Teraz piwo lało się strumieniami, jednak atmosfera panująca wśród zgromadzonych nie miała nic ze wcześniejszej rubaszości. Głosy przycichły, rozmowy toczyły się dyskretnie. Wśród wszystkich obecnych, również wśród królewskich rycerzy, wyczuwało się napięcie.

Daniel został przyprowadzony do sali przez *sir* Gorvenala, ale tym razem nie jako kolejny współbiesiadnik. Król najwyraźniej nie zamierzał tracić czasu i postanowił połączyć ucztę z audiencją, podczas której planował ocenić sytuację w dopiero co zdobytym zamku. Daniel momentalnie poczuł się jak oskarżony w sądzie – wzrok zgromadzonych w dużej mierze koncentrował się na jego osobie.

Przed nim do komnaty wprowadzono również *sir* Haralda oraz Leowynn. Stary baron wspierał się na ramieniu córki. W drżącej ręce trzymał swoją laskę. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Nie przygotowano mu nawet najprostszego stołka, by mógł dać odpocząć zmęczonym nogom. Miał stać na baczność przed królem siedzącym przy największym stole. Miejsca u jego boków zajęło dwóch najwierniejszych rycerzy.

Daniel rzucił zniesmaczone spojrzenie Williamowi de Longespéemu, mężczyzna jednak ani na chwilę nie zmienił nieprzeniknionego wyrazu twarzy. *Sir* Gorvenal podszedł do chłopaka i odciągnął go za sobą na bok. W ciszy nakazał mu pozostać za oparciem ławy, na której siedział książę. W ten sposób Daniel znalazł się w krańcowej części królewskiego stołu. Gorvenal stanął tuż obok niego. Milczał.

William de Longespée nie zajmował miejsca bezpośrednio obok władcy. Daniel domyślił się, że to dlatego, iż był synem z nieprawego łoża. Tylko wyjątkowa rola, w jakiej występował, pozwalała mu spożywać posiłek przy jednym stole z królem,

został jednak potraktowany jako jeden z jego feudałów, a nie jako brat. Daniel zwrócił uwagę, że najważniejsze miejsca – po prawej i lewej stronie Jana – zajmowało dwóch gburowato wyglądających rycerzy, którzy jako jedyni zdawali się nie przejmować pełnym niepokojem nastrojem panującym w komnacie. Z nienaturalnym spokojem przeżuwali podaną właśnie kolację.

Przed lordem Salisbury stała taca pełna pieczystego, książę jednak nawet nie tknął posiłku.

Daniel dostrzegł Nigela Murrowa – młody baron siedział przy tym samym stole, przy przeciwnym jego krańcu względem lorda Salisbury; otrzymał swoje zaszczytne miejsce wyłącznie dzięki szlacheckiemu tytułowi, który wynosił go ponad większość obecnych rycerzy. Usilnie próbował dać wszystkim do zrozumienia, z jaką swobodą zajmuje swoje siedzisko – i on częstował się kolacją. Daniel jednak podejrzewał, że z trudem odróżnia smaki potraw, łatwo było dostrzec, że jest podenerwowany.

Miejsce, z którego Amerykanin prowadził swoje obserwacje, znajdowało się raczej na uboczu – dziękował za to niebiosom. Dzięki osłonie ławy lorda Salisbury czuł się nieco oddzielony od ciekawskich spojrzeń zgromadzonych i miał wrażenie, że biesiadnicy odczytują bliskość przyrodniego brata króla jako znak protekcji z jego strony. Ich wzrok szybko stracił jakiegokolwiek zainteresowanie nieznanym i skoncentrował się z całą wrogością na jedynych oskarżonych w pokazowym procesie Jana bez Ziemi.

Przed władcą stali tylko *sir* Harald i Leowynn. Również Daniel skierował swój wzrok w ich stronę.

Chciał choć spojrzeniem dodać im odwagi, ale zarówno ojciec, jak i córka wpatrywali się wyłącznie w króla – ten pierwszy z surowym grymasem na pomarszczonej twarzy, a dziewczyna – otwierając szeroko oczy pełne strachu.

Jan bez Ziemi był mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał na sobie szaty pełne przepychu, a jego przyprószone siwizną włosy zdobiła złota obręcz, służąca jako korona. Gdyby tylko jego twarz nie wyrażała tak głębokiej pogardy, mógłby zasługiwać na miano urodziwego.

Z arystokratycznym wdziękiem odcinał nożem małe kawałki pieczystego i dostojnym gestem przenosił je do ust. Między jednym a drugim kęsem obmywał ręce w ustawionej obok misie i upijał kilka łyków piwa z metalowego pucharu.

– A więc zebraliśmy się tutaj, by rozstrzygnąć przede wszystkim kwestie podatkowe – rozpoczął uroczyście, w tonie jego głosu zaś wybrzmiewała dobroduszość tak sztuczna, że nie była w stanie oszukać nikogo. – *Sir* Haraldzie Martewallu, jesteście mi winni zadawniony trybut oraz wyjaśnienie, dlaczego nie został on uiszczony we właściwym momencie.

– Jeśli Dunchester nie zapłaciło podatku, to dlatego, że nie mogło sobie na to pozwolić, jaśnie panie – odparł *sir* Harald. W jego głosie nie było strachu. – Musicie

zrozumieć, że w pierwszej kolejności zmuszony byłem zatroszczyć się o przetrwanie mojego ludu, zwłaszcza w okresie tak surowej zimy. Pieniądze, których żądaliście, nie mogłyby zostać zebrane bez konieczności pozbycia się ostatnich zapasów, jakimi dysponowaliśmy.

– Ja tymczasem widzę to tak: nie udzieliliście pomocy ekonomicznej waszemu królowi, kiedy was o to poprosił – odparł Jan bez Ziemi. – Ta zima zresztą nie wydaje się dużo cięższa od poprzednich.

– Mnie zaś z trudem przychodzi uwierzyć, że skarbiec królewski świeci pustkami, skoro korona pozwala sobie na opłacanie całych legionów cudzoziemskich najemników – odparł *sir* Harald tonem, w którym słychać było przyganę. – A może to właśnie na nie idą królewskie pieniądze? Być może utrzymanie najemników kosztuje tak dużo, że dotychczasowe podatki nie wystarczają i przez to musimy płacić ich coraz to więcej – miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Król chwycił swój puchar z wyraźnym oburzeniem.

– Jeśli nawet najemnikom wypłacono żołd, to tylko dlatego, że nasze wojska nie są dość liczne, by skutecznie chronić Anglię przed nieprzyjacielem, który może zaatakować w każdej chwili.

– Przyczyną tego, że liczba naszych ludzi jest niewystarczająca, mogą być katastrofalne i niepotrzebne wojny, które prowadziliśmy w ostatnich latach – odparł stary baron z równą niechęcią. – Tylko połowa z rycerzy Anglii, którzy wyruszyli na wojnę, wróciła z Francji i nie potrafię zliczyć, jak wielu innych ludzi poniosło śmierć i okupiło naszą klęskę kalectwem. Ja dałem waszemu wojsku trzech mych synów i co dostałem w zamian? Anglia przegrała na wszystkich frontach, również w kwestii honoru – nasz kraj obrócił się wniwecz. Z trzech synów zaś nie pozostał mi żaden.

Oskarżenie wywołało wzburzony pomruk w komnacie, szum jednak szybko ustał pod wściekłym spojrzeniem króla. Lord Salisbury zacisnął dłoń w pięść. Murrow zastygł z widelcem w połowie drogi do ust. Dwóch wiernych rycerzy króla przybrało urażony wyraz twarzy.

– Z trzech waszych synów żaden wam nie pozostał... – syknął Jan bez Ziemi. – Zdaje mi się, że najmłodszy wziął nogi za pas jeszcze przed moim przybyciem. W każdym razie nie macie powodów do obaw. Kazałem rozpocząć poszukiwania i z pewnością go znajdzie. A więc, owszem, możecie powiedzieć, że nie macie już synów.

„Możesz szukać, ile wlezie, i tak go już nie znajdziesz” – pomyślał Daniel odruchowo, jednak zobaczył, jak Leowynn drży, zastraszona groźbą suwerena.

– Na razie zaś zajmę się wami, *sir* Haraldzie Martewallu. Nadszedł czas, żeby wyrównać wszystkie rachunki – ciągnął Jan bez Ziemi. – Pomijając brak spłaty trybutu, pozbyliście się przemocą mych poborców podatkowych, odmówiliście poddania się władzy korony, a na koniec ośmieliliście się zbrojnie wystąpić

przeciwko mnie. Dodam tylko, że braliście udział w zradzieckim posiedzeniu podczas Świąt Narodzenia Pańskiego w ubiegłym roku, a nawet dopuściliście się podpisania dokumentu, który ode mnie, waszego króla, żąda zrzeczenia się władzy przydzielonej mi boskim prawem. Mając na uwadze wszystkie te fakty, wnoszę przeciwko wam oskarżenie o wszczęcie rebelii oraz o zradę.

Zgromadzeni zaszumieli ponownie, wymieniając się podekscytowanymi komentarzami. Ktoś nawet wybuchnął zjadliwym chichotem.

– Kara śmierci przez powieszenie – dodał Jan bez Ziemi po pełnej napięcia chwili ciszy.

Leowynn wydała z siebie zduszony jęk i zachwiała się, jakby miała zaraz stracić przytomność. *Sir Harald* nie poruszył ani jednym mięśnieniem, mimo że jego twarz przybrała jeszcze bielszy odcień.

Daniel poczuł, jak lodowaty dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa. Odwrócił się gwałtownie w stronę lorda Salisbury, jednak – jeszcze zanim zdążył otworzyć usta – księżę sam zareagował.

– Jaśnie panie, zwracam się do waszego miłosierdzia – rzekł z udawanym spokojem. – *Sir Harald* to starszy człowiek, proszę was o wymierzenie mu łagodniejszej kary. W więzieniu czy też na wygnaniu z całą pewnością zrozumie powagę swoich błędów i ukorzy się przed wami. Okażcie łaskę, baron bowiem zawsze był rycerzem o nieskalanej opinii, przez co wszyscy jesteśmy winni mu szacunek. Jego szlachetna rodzina zaś dość już wycierpiała podczas ostatnich wojen, poświęcając dla Anglii dwóch swych męskich potomków.

Daniel zauważył z nadzieją, że prośba spotkała się z entuzjastyczną reakcją kilku ze zgromadzonych rycerzy. Nawet król zdawał się rozważać ją przez chwilę, upijając jednocześnie kilka łyków piwa ze swego pucharu. Murrow, blady jak ściana, kiwnął głową w desperackim geście poparcia.

– Williamie, jesteście naprawdę człowiekiem zbyt wielkiego serca – skomentował z uśmiechem Jan bez Ziemi. – Macie rację, Martewallowie to szlachetna rodzina i mimo wszystko nie mogę zapomnieć o ich zasługach względem Anglii. Byłaby to z mej strony niewybaczalna niewdzięczność. Przystanę na waszą prośbę i wymierzę *sir Haraldowi* mniej surową karę. Udzielę mu łaski śmierci pod toporem kata. W ten sposób przynajmniej jego koniec nadejdzie szybciej, a w dodatku zdoła uniknąć wstydu szubienicy – nie jest w końcu pierwszym lepszym przestępcą. Taką śmierć zarezerwuję dla jego ostatniego syna, kiedy wreszcie trafi w moje ręce.

Krótkie uczucie ulgi, które zawitało w sercu Daniela na kilka chwil, zniknęło, zastąpione nieoczekiwanie przemożną trwogą.

Lord Salisbury drgnął.

– Jaśnie panie, miejcie chociaż litość dla jego starości i dręczącej go choroby – błagał, z trudem zachowując stanowczy ton głosu.

– Wiedział, co robi, gdy wzniecił bunt. Czy może choroba zaatakowała również jego mózg? – przerwał jeden z dwóch rycerzy siedzących u boku króla. Drugi prychnął z nieskrywaną pogardą.

Jan bez Ziemi odezwał się, zanim jeszcze lord Salisbury zdążył odpowiedzieć.

– Mówicie, że jest chorym starcem? To jeszcze jeden powód, dla którego udzielię mu łaski szybkiej śmierci. Już dość przeżył, a w ten sposób przynajmniej skończą się jego cierpienia, zanim choroba zabije go powolnymi torturami.

Sarkastyczny ton głosu króla sprawił, że Daniel odczuł nieokiełznaną chęć, by skoczyć mu do szyi i udusić go gołymi rękoma. Chłopak z trudem się opanował, doskonale zdając sobie sprawę, że nie może zrobić nic przeciwko człowiekowi, który przez jeszcze co najmniej rok miał zasiadać na angielskim tronie.

Lord Salisbury skoczył na równe nogi.

– Jaśnie panie, proszę was o chwilę zastanowienia nad reakcją, z jaką wasz wyrok może się spotkać wśród pozostałych baronów. Wielu z nich szanuje *sir* Martewalla i uznaje go za wzór godny naśladowania – mogliby zareagować gwałtownie na wieści o jego śmierci, zwłaszcza że decyzja o niej zapada bez godnego procesu.

„Dlaczego próbuje wzbudzić w nim podejrzliwość?” – myślał Daniel ze złością. „Może baronowie wreszcie wyrwaliby się z odrętwienia i zdecydowali podjąć jakieś kroki!”

– Wręcz przeciwnie: taki przykład będzie dla nich doskonałą lekcją i, być może, zastanowią się dwa razy, zanim podejmą nierozsądne działania – brzmiała odpowiedź Jana bez Ziemi. – Pewien jestem, że od jutra wszyscy nabiorą większego rozsądku.

„I tego właśnie obawia się lord Salisbury” – powiedział sam do siebie Daniel z narastającym strachem. „Baronowie nie potrafią się zdecydować, on zaś obawia się, że do cna stracą resztki swej odwagi, widząc tak gwałtowną reakcję króla. Nie wie jeszcze, że tak czy siak opowiedzą się za rebelią. Problem polega wyłącznie na tym, że marnują niepotrzebnie czas”.

– Ależ panie... – spróbował raz jeszcze lord Salisbury.

– Kto zdradza mój majestat, zasługuje na karę śmierci – zawyrokował król. Tym razem w jego głosie zabrzmiało okrucieństwo, które nagle zmyło sztuczny uśmiezek z jego ust. – Nikt nigdy nie zostanie potraktowany ulgowo w obliczu tak poważnego zarzutu. Rozumiecie mnie? Nikt. Jakimikolwiek względami korony by się cieszył przed popełnieniem swych haniebnych czynów.

Wyrok króla sprawił, że w komnacie zapadła lodowata cisza.

Nawet lord Salisbury nie odważył się powiedzieć ani słowa więcej. Wiedział w głębi duszy, że groźba władcy któregoś dnia mogła dotyczyć jego samego. Usiadł w milczeniu z wyrazem twarzy człowieka pokonanego.

Jan bez Ziemi mierzył wzrokiem wszystkich zgromadzonych, po czym przeniósł spojrzenie na *sir* Haralda, który stał nieruchomo jak posąg z brązu.

– Macie coś jeszcze do powiedzenia w swojej sprawie? – zapytał go.

Stary baron z dumą wytrzymał pogardliwe spojrzenie suwerena.

– Tak, żałuję wyłącznie tego, że nasz dobry król Ryszard Lwie Serce popełnił jeden jedyny błąd, wracając do kraju: przebaczył wam i przyjął na powrót do rodziny po tym, jak go zdradziliście, by przejąć tron. Gdyby nie był wobec was tak wielkoduszny, być może teraz Anglia miałaby króla zasługującego na to miano.

Oświadczenie wywołało falę zgorszenia i przestachu.

– Jak śmiesz!?! – wykrzyknęło równocześnie dwóch rycerzy króla, zrywając się ze swych stołków. Lord Salisbury drgnął. Murrow zdawał się figurą ulepioną z wosku.

Jan bez Ziemi posiniał na twarzy z wściekłości. Odstawił z głuchym hukem swój puchar na dębowy blat.

– Umrzecie jutro, *sir* Haraldzie Martewallu – powiedział powoli. – Będę miał niewątpliwą przyjemność oglądać waszą głowę toczącą się po ziemi jeszcze przed południem.

– Nie! – wykrzyknęła Leowynn z rozpaczą. Zdawało się, że chce się rzucić w stronę władcy, ojciec jednak przytrzymał ją stanowczo za ramię, uniemożliwiając jakąkolwiek interwencję.

– Dunchester przejdzie pod nadzór monarchii. Później, kiedy już moi dowódcy rozprawią się ze wszystkimi zdrajcami, zostanie przydzielone innemu feudałowi – ciągnął król. Jego głos dudnił wśród kamiennych ścian. – Jeśli nie starczy drewna na szubienice, każemy wyciąć w pień okoliczne lasy.

– Panie mój, nie! Litości! – załkała Leowynn. Była wstrząśnięta, jednak jej ojciec uciszył ją gwałtownie, potrząsając jej ramieniem.

– Martewallowie nie potrzebują litości. Nigdy – upomniał ją surowo. – Na pewno zaś nie proszą o łaskę tyrana pozbawionego honoru.

– Zabierzcie go stąd! – nakazał rozwścieczony Jan bez Ziemi, wskazując na skazanego. – Do jutra ma pozostać zamknięty w lochach!

Dwaj z żołnierzy, którzy towarzyszyli skazańcom, wystąpili z szeregu i przejęli barona. Przytrzymali go za ramiona i siłą wyciągnęli z komnaty. Musieli podtrzymywać starca, gdyż laska wypadła mu z drżących dłoni. Mimo to *sir* Harald, choć wyraźnie utykał, opuścił salę z podniesioną głową. Odprowadziły go pełne podziwu spojrzenia biesiadników.

Leowynn chciała za nim pobiec, zatrzymali ją jednak pozostali żołnierze i zawlekli przed oblicze króla.

Daniel odruchowo chciał zainterweniować, ale władczy gest lorda Salisbury zmusił go do pozostania na miejscu. Stojący za Amerykaninem Gorvenal chwycił go za tunikę jakby dla podkreślenia zakazu księcia.

– Pozwólcie mi pójść razem z nim! – krzyczała dziewczyna, nieustannie wrywając się w stronę drzwi. – Ojcze, ojciec! – krzyczała, jednak zarówno *sir* Harald, jak

i towarzyszący mu żołnierze zdążyli zniknąć z zasięgu wzroku.

– Wystarczy tych wygłupów! – zarządził Jan bez Ziemi stanowczo. – Pani, już od dłuższego czasu powinniście byli domyślać się, co może spotkać waszą rodzinę. Zakończcie natychmiast to przedstawienie.

Leowynn zatrzęsała się jak smagnięta różgą. Z trudem oderwała zrozpaczony wzrok od otwartych drzwi prowadzących na dziedziniec i przeniosła go znów na króla. Nie mówiła nic, tak jakby brakowało jej tchu. Stała wyprostowana na samym środku komnaty, wśród wrogiej ciszy i niechętnych spojrzeń zgromadzonych.

Daniel czuł niepokój. Bał się o nią.

Rycerze króla ponownie zajęli swoje miejsca przy stole.

– A teraz muszę postanowić, co zrobić z wami – ciągnął Jan bez Ziemi, opanowując wzburzenie. Mówiąc to, chwycił w rękę nóż i jak gdyby nigdy nic wrócił do swojego posiłku. – Niestety, nie znajduję powodów, dla których miałbym uznać was za zakładnika godnego uwagi. Waszej rodziny już nie ma i nie wydaje mi się, byście mogli zapłacić za siebie okup, zważywszy, że Dunchester jest już pod moją kontrolą.

Leowynn spojrzała na niego z desperacją.

– Ale... ja...

– Macie krewnych bądź przyjaciół w innych lennach, którzy gotowi byłiby za was poręczyć? – ciągnął król, nie zważając na ledwo słyszalne słowa dziewczyny.

– Nie, panie... Nie mam już krewnych... – Leowynn spojrzała przez chwilę na Murrowa. – ...Ani przyjaciół...

Młodziutki baron zaczerwienił się ze wstydu.

– A więc domyślam się, że nie macie nic do zaoferowania w zamian za swoją wolność, dobrze mówię?

Twarz dziewczyny pobielała śmiertelnie. Nie odpowiedziała.

– No dalej, moja pani. Spróbujmy nie przedłużać tej audiencji bardziej niż jest to konieczne – ciągnął król, na którego twarzy na nowo zakwitł lekceważący półśmieszek. Czerpał przyjemność z zadawania bólu córce człowieka, którego dopiero co skazał na śmierć. – Jestem pewien, że wspólnymi siłami zdołamy znaleźć zadowalające wyjście z sytuacji. Jesteście młodzi i pełni wdzięku, tu zaś jest wielu mężczyzn, których z pewnością poruszy wasz los. Przekonajcie jednego z nich, by zapłacił za was okup, takie rozwiązanie wszystkich zadowoli. Nawet wasz ojciec by się temu nie sprzeciwił, mając na względzie całą sytuację.

„Czyli innymi słowy: sprzedaj się temu, kto da najwięcej, jeśli chcesz zachować życie” – pomyślał Daniel, zaciskając pięści, zniesmaczony do ostatka takim ogromem bezczelności. Spojrzał na lorda Salisbury, Gorvenalę, Murrowa i w końcu na wszystkich innych rycerzy. Wielu z nich zdawało się oburzonych w takim samym stopniu jak on propozycją suwerena, inni tymczasem wybuchali nieskrywanym

śmiechem i wymieniali się zjadliwymi komentarzami między sobą, być może snując przypuszczenia o ewentualnym wykorzystaniu sytuacji. Nikt jednak nie odważył się zareagować otwarcie.

– Co na to powiecie? Nie bylibyście gotowi zapłacić okupu za tak wdzięczny kwiatuszek? – zapytał Jan bez Ziemi rycerza zasiadającego po jego prawicy. – A wy? – zapytał, zwracając się do jego kompana.

– Zależy od ceny – odpowiedział ten drugi, parskając śmiechem. – Nie powiedzieliście nam jeszcze, jaka kwota wchodzi w grę.

– Dojdziemy do porozumienia, możecie być tego pewni.

– Ja już sięgnąłem dna kiesy w tym miesiącu, ale może będzie mnie stać jeszcze na mały wydatek – przerwał drugi z rycerzy, taksując Leowynn wzrokiem od stóp do głów tak, jakby była kłaczą na targowisku. – Wszystko zależy od tego, co otrzymam w zamian.

– Co z was za mężczyźni? Czy nikt jej nie pomoże? – szepnął Daniel do lorda Salisbury. Nie mógł już dłużej wytrzymać tak niegodnego przedstawienia.

Książę gestem nakazał mu ciszę.

– Nie rozumiecie, że dziewczyna jest teraz nową zabawką ku uciechu króla? – odparł ponuro. – Jana tak naprawdę nie interesuje okup i z pewnością nie jest to właściwy moment, by jeszcze bardziej go denerwować. Porozmawiam z nim później, sam na sam. Cokolwiek by postanowił, przynajmniej na razie nie planuje pozbawić dziewczyny życia, możecie być tego pewni.

– I to niby miałyby mnie pocieszyć? – syknął Daniel.

– Chcecie stracić dla niej życie? I tak mamy już nóż na gardle! – uciszył go książę.

„Do diabła!” – pomyślał Daniel, zmusił się jednak do milczenia. Skupił całą swoją uwagę na rozgrywającej się scenie. Chciał zareagować, ale nie wiedział, co mógłby zrobić. Obawiał się przy tym, że każdy jego fałszywy krok mógłby dodatkowo pogorszyć sytuację.

„Cóż mógłbym zrobić, skoro nawet lord Salisbury nie rusza się z miejsca?” – myślał ze złością, czując, jak bezsilność doprowadza go do szaleństwa.

– Jaa... ja nie mam nic do zaoferowania – zdążyła jednocześnie wymamrotać Leowynn, na próżno usiłując zachować dumny wyraz twarzy.

– Zła odpowiedź, moja pani – upomniał ją Jan bez Ziemi. – Jeśli w ten sposób będziecie zniechęcać zainteresowanych, to będziecie mogli pokładać wiarę wyłącznie w przyjaciółach. Powiedzieliście już jednak, że nie macie ich zbyt wielu.

Leowynn nie odpowiedziała. Wykręcała aż do bólu swoje białe dłonie.

Daniel zacisnął pięści. Szukał wzrokiem kogokolwiek z zebranych, kto zdawałby się być gotowym wystąpić w obronie dziewczyny. Nie znalazł nikogo.

– Nie chcecie chyba doprowadzić do tego, bym był zmuszony zamknąć was w lochu – powiedział król z perfidią. – Strażnicy rzadko kiedy są uprzejmi wobec

młodych dziewcząt. Korzystniej dla was byłoby znaleźć coś do zaoferowania.

Leowynn zatrzęsała się wyraźnie.

– Błagam was... – załkała złamanym głosem.

Daniel nie mógł wytrzymać ani chwili dłużej.

– Wasza wysokość, wybaczcie mi moje pytanie – czy i ja wliczam się w poczet kandydatów do zapłacenia okupu za pannę Leowynn? Jeśli tak jest, byłbym zainteresowany – powiedział nieoczekiwanie donośnym głosem, jeszcze zanim lord Salisbury i Gorvenal zdołali go uciszyć.

Wszyscy zgromadzeni odwrócili się w jego stronę. Daniel uwolnił się z rąk Gorvenala gwałtownym gestem i wyszedł na sam środek sali. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła, zmusił się jednak do nieustraszonego odwzajemnienia pytającego spojrzenia Jana bez Ziemi i jego ludzi. Również Leowynn wpatrywała się w niego szeroko otwartymi i błyszczącymi oczami.

Daniel życzył sobie tylko pomysłu na dalszy rozwój sytuacji. Niestety jego głowę wypełniało ogromne przerażenie, uniemożliwiające mu jakąkolwiek improwizację.

– Już prawie o was zapomniałem – powiedział król, jednak ton jego głosu nie brzmiał zbyt wrogo, przynajmniej w pierwszej chwili. – To wyście jest ten zniesławiony więzień, o którym słyszałem od Williama.

Daniel usiłował wyobrazić sobie, co na jego miejscu zrobiłby Ian, i – choćby po to, by zyskać na czasie – zgiął się w formalnym, pełnym szacunku ukłonie.

– Daniel Freeland, do usług, wasza wysokość – przedstawił się.

Jan bez Ziemi patrzył na niego z uwagą.

– William mówił mi, że i za was spodziewa się otrzymać pokaźny okup. Myślicie, że możecie pozwolić sobie na dwa? Za was i za dziewczkę, za którą chcecie poświęcić?

Daniel przeanalizował w myślach ewentualne odpowiedzi. Lord Salisbury radził mu podkreślać zasobność skarbcza swego rodu i chłopak zdecydował się poddać tej sugestii – bez popadania w zbędną przesadę.

– Owszem, zdaje się, że tak. Powiedzieliście, że jesteście gotowi przyjąć okup za pannę Leowynn – odparł z nadzieją, że wybrał słusznie i że rozmowa utrzymana jest w odpowiednim tonie.

Jan bez Ziemi otrząsnął się z zaskoczenia, wybuchając krótkim i ironicznym śmiechem.

– Nie jesteśmy na targowisku! Może wam się zdaje, że udzielę wam rabatu jak pierwszy lepszy handlarz? Nawet jeśli zechciałbym pójść wam na rękę, nie zażądam mniej, niż wynosi zwyczajowa opłata za kobietę z niskiej szlachty.

Dwóch rycerzy króla potrząsnęło głowami z udawanym współczuciem, najwyraźniej usiłując wykpić naiwność cudzoziemca.

Daniel nie miał najmniejszego pojęcia, jaka kwota może wchodzić w grę. Stawka

musiała być wysoka, choć tak naprawdę nie miało to większej różnicy, gdyż jego blef miał na celu ustrzec jego i Leowynn od topora kata i zimnej celi. Przynajmniej do powrotu Iana.

– Jeśli się okaże, że nie dysponuję odpowiednią sumą – podjął donośnym głosem – mógłbym zwyczajnie przeznaczyć część mego okupu na spłatę długu za pannę Leowynn, o ile przystaniecie na takie rozwiązanie i jeśli ona się na nie zgodzi.

„Co ja najlepszego kombinuję?” – wyrzucił sobie jednocześnie. „Kto wie, czy takie manewry w ogóle są dopuszczane przez średniowieczne kodeksy...?”

Na twarzy Jana bez Ziemi ponownie pojawił się cień zdumienia.

– I zrezygnowałibyście dla niej z własnej wolności? Zmuszeni bylibyście do pracy służebnej, by zrekompensować brakującą część waszego własnego okupu, jesteście tego świadomi?

Ryzykowne posunięcie Daniela wzbudziło żywe zainteresowanie władcy. Chłopak modlił się w duchu, by okazało się to dobrym znakiem.

– Liczę na poczucie honoru lorda Salisbury – mówił dalej – mam nadzieję, że nie spotka mnie długa i ciężka niewola, zwłaszcza że księżę ma wobec mnie dług wdzięczności.

Jan bez Ziemi uśmiechnął się, choć nie był to grymas napawający szczególnym optymizmem.

– Ach, tak, byłbym zapomniał. William jest bardzo wrażliwy na punkcie honoru. Dług zakuwa go w kajdany na zawsze. Poza tym, jak niedawno ujrzelśmy na własne oczy, jest człowiekiem wielkiego serca. A wy macie dość sprytu, by z tego skorzystać.

– Wasza wysokość, posługuję się zaciągniętym długiem w dobrym celu – dla pięknej damy.

Król parsknął zimnym śmiechem i odłożył nóż na stół po to, by obmyć dłonie.

– Temu nie sposób zaprzeczyć – panienska dość ma w sobie wdzięku, aby skłonić do podobnego poświęcenia – ciągnął. – Ale co wy możecie od niej uzyskać? Powiedziała sama, że nie ma niczego, co mogłaby dać w zamian.

Amerikanin z trudem ukrył niechlubne myśli, które przebiegły mu przez głowę, i spróbował zachować zimną krew.

– Niczego od niej nie żądam, zadowolę się jej wdzięcznością.

– Tak, tak, już to sobie wyobrażam. Odpowiedź godna dworskiego romansu. Zdaje się, że obecna tu panienska ma sporo szczęścia – prychnął król. Wśród biesiadników padło kilka dosadnych komentarzy.

Daniel zrozumiał, że jeśli chce udobruchać pajaca w złotej koronie, musi zniżyć się do jego poziomu.

– Oczywiście, jeśli będzie mi bardzo wdzięczna, nie będę mógł odmówić – zaryzykował.

Mówiąc to, spojrzął na Leowynn, obawiając się reakcji dziewczyny, ta jednak nie zdawała się obrażona. W dalszym ciągu wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Jan bez Ziemi skinął głową, wyraźnie rozbawiony.

– Jesteście równie bezczelni, co zabawni. Muszę przyznać, że mi się podobacie. Mimo to musicie zrozumieć, że przyjdzie mi osądzić i waszą rolę w całej tej sprawie. Być może powinniście raczej zacząć przejmować się sobą zamiast dziewczyną. Nie jest powiedziane, że dług lorda Salisbury ochroni was i przede mną.

Daniel poczuł zimny dreszcz na plecach, nie dał jednak nic po sobie poznać i ostatkiem siły woli zmusił się do zachowania spokoju.

– Nie uczyniłem niczego wbrew prawu ani wbrew kodeksowi rycerskiemu, przez co nie lękam się waszego sądu. Królowie Anglii szeroko są znani ze swej niezmiernej sprawiedliwości.

– Pochlebca z was – skomentował Jan bez Ziemi, nawet nie próbując ukryć, jak bardzo polectała go ta opinia.

Daniel tymczasem nie mógł pozbyć się mdłości – nie miał innego wyjścia, jak tylko prawić wazeliniarskie komplementy wstrętnemu robalowi w koronie.

Jan bez Ziemi usadowił się wygodniej na ławie, dopijając ostatnie łyki ze swego pucharu.

– William opowiedział mi również o Francuzie, który tu przebywał i którego początkowa wrogość przekształciła się w sojusz z Martewallami. Kwestia ta jest mi znajoma – ciągnął. – Opowiedzcie mi raczej swoją historię. Powiedziano mi, że jesteście saksońskim rycerzem z północy. A mimo to w jakiś sposób trafiliście do orszaku Francuza.

Daniel rzucił zaniepokojone spojrzenie lordowi Salisbury i zobaczył, jak ten skinieniem głowy dodaje mu odwagi. Przyzwolenie obejmowało swobodną rozmowę z królem i dowolne wymyślenie własnej historii, on natomiast był gotów, by w razie potrzeby zareagować i poprawić go.

Księżę opowiedział Janowi bez Ziemi pierwszą część – tę prawdziwą. Ukrył ostatnie wydarzenia, tak aby nie wyszedł na jaw rzeczywisty powód ucieczki Iana i Martewalla z Dunchester.

„W porządku, ale jeśli teraz chlapnę coś nie na miejscu?” – Daniel zadawał sobie pełne obaw pytanie. Cokolwiek miałoby się wydarzyć, skoczył już na głęboką wodę i teraz musiał utrzymać się na jej powierzchni jak najdłużej i za wszelką cenę.

– Nie jest to zbyt długa opowieść, wasza wysokość. Wyspa, z której pochodzę, jest malutka i przez to, kiedy byłem małym chłopcem, postanowiłem wyruszyć w podróż, by zobaczyć świat i stać się dobrym rycerzem – powiedział. – W ten sposób dotarłem do Francji. Rodzina Ponthieu traktowała mnie dobrze i przyjęła do siebie – pozostałem do ich usług. To potężny ród i bardzo szczodry wobec swoich krewnych.

Teraz dzięki ich łasce i ja posiadam niemałe dziedzictwo.

– William mówił mi, że i wy braliście udział w bitwie we Flandrii, tak jak i on, tyle że po przeciwnej stronie frontu.

W ostatnich słowach króla zabrzmiał oskarżycielski ton, ale Daniel postanowił dalej odgrywać rolę nieustraszonego.

– Byłem na służbie u francuskiego rodu, nie mogłem wyłgać się od walki u ich boku. Miałem szczęście znaleźć się po stronie zwycięzców.

Czyżby przesadził? Zza pleców Daniela rozległ się nerwowy pomruk pozostałych obecnych i przez chwilę chłopak miał wrażenie, że posunął się za daleko w swojej bezczelnej rozmowie z władcą. Również twarze zaufanych rycerzy króla wyraźnie się zasępiły. Nigel Murrow gapił się na niego z wytrzeszczonymi oczami od samego początku rozmowy, lord Salisbury natomiast najwyraźniej z chęcią przemieniłby go spojrzeniem w popiół, gdyby tylko miał taką możliwość.

W pierwszym odruchu Jan bez Ziemi znieruchomiał, później z jego gardła wydarło się kolejne parsknięcie.

– Jesteście albo zuchwali, albo głupi, bez dwóch zdań. Żaden rycerz nie zdobyłby się na podobną bezczelność.

Daniel nie zamierzał się wycofać.

– Nie mogę wam powiedzieć, że było mi przykro z powodu wygranej wojny: obraziłbym inteligencję zarówno waszą, jak i waszych ludzi. Moje zaangażowanie było jednak mniejsze niż ich poświęcenie – nie jestem ani Francuzem, ani Anglikiem, lecz z tego powodu mogę wspominać wojnę tak bez żalu, jak i bez szczególnej satysfakcji. Była dla mnie korzystnym wydarzeniem, nic więcej.

– Tak mówicie? Nie zdajecie mi się zbyt bezstronni, zwłaszcza że zastałem was tutaj z ostrzem skierowanym przeciwko mnie – teraz w głosie króla zaczęły pobrzmiwać niebezpieczne nuty.

– Nie mogłem tego uniknąć – usprawiedliwił się Daniel. – Uwierzcie mi, wasza wysokość, gdybym tylko miał wybór, nigdy w życiu nie wpakowałbym się w podobną sytuację.

„Tyle przynajmniej w tym prawdy” – pomyślał w duchu, czując, że ta ryzykowna rozmowa przyprawia go o zimne poty.

– Gdybyście nie zareagowali tak szybko i nie wysłali swych ludzi, by ukarać zdrajców, zdążyłbym stąd odejść wraz z moim panem – mówił dalej. – Tymczasem oblężenie zamknęło nas w pułapce bez wyjścia.

– I sprzymierzyliście się z moimi wrogami.

– Mogliśmy wybrać między walką a zamknięciem w celi jako więźniowie Martewallów i obawialiśmy się, że wy, jasnie panie, w pierwszej kolejności przekazalibyście nas w ręce kata, gdyby tylko pojmali nas wasi ludzie.

– Stałoby się tak z wielkim prawdopodobieństwem – przyznał król i skinął na

sługę, nadstawiając pusty już kielich. – Nie jestem szczególnie dobrze nastawiony do francuskich rycerzy, zwłaszcza ostatnio.

– Cóż, rozumiem was, panie – odparł Daniel ostrożnie.

Jan bez Ziemi zmierzył go spojrzeniem, popijając z pucharu.

– A teraz myślicie, że mógłbym was potraktować inaczej? Skąd ten pomysł? – zapytał po chwili.

– Jeszcze chwilę temu mówiliście, że mnie docenicie: liczyłem, że tyle wystarczy – rzucił Daniel i odważył się nawet na słaby uśmiech. – Mogę jednak dodać, że nie jestem Francuzem i nie mam nic przeciwko wam, a nie darzę szczególną sympatią króla Filipa Augusta. Koniec końców, zawsze można przypomnieć nierozwiązaną kwestię okupu za mnie. Ja zaś liczę na kurtuazję lorda Salisbury.

William de Longespée w lot wykorzystał okazję.

– Jaśnie panie, proszę was, muszę spłacić dług wobec tego człowieka. Jak tego dokonam, jeśli pošlecie go na szubienicę?

W sali na chwilę zapadła cisza. Król zastanawiał się.

– W porządku, muszę przyznać, że nie widzę waszej winy w tej opowieści, przez co chwilowo pozostawię sprawy ich własnemu biegowi – zdecydował w końcu Jan bez Ziemi z aktorską dobroduszością. – Williamie, zezwalam wam zatrzymać zakładnika i nie żądam od niego niczego oprócz przysięgi, że nigdy więcej nie zwróci swej broni przeciwko mnie.

– Złoży taką obietnicę, nie mam wątpliwości – odpowiedział lord Salisbury i rzucił Danielowi wymowne spojrzenie.

– Macie moje słowo – był zmuszony powiedzieć Daniel, równocześnie szukał jednak w myślach sposobu, jak obejść przysięgę, którą musiał złożyć wbrew własnej woli. Po całym tym wyjątkowo niesmacznym przedstawieniu, w którym grał pierwsze skrzypce, miał ochotę wypłukać sobie gardło wodą z mydłem – tak jakby mogło to oczyścić go z wszystkich wyrecytowanych tego wieczora łgarstw.

– A w związku z dziewczyną? Co chcemy zrobić? – zapytał Jan bez Ziemi obu swoich rycerzy, zerkając jednocześnie na Leowynn, która znowu zaczęła się trząść. – Czy macie chęć rozważyć moją propozycję, czy wolicie, by cudzoziemiec jako jedyny złożył swoją ofertę?

– Cena jest zbyt wysoka, ja się wycofuję – roześmiał się rycerz z lewej. – Koszt przewyższa wartość towaru.

Drugi z nich przyłączył się do zjadliwych komentarzy.

– Może i ładna, ale niewarta tylu pieniędzy, zwłaszcza że biedna jak mysz kościelna. Nie będę szczególnie płakał – niech ją bierze cudzoziemiec.

Jan bez Ziemi spojrział na pozostałych mężczyzn siedzących przy stolikach.

– Nikt nie chce wystąpić z ofertą?

Odpowiedzi nie było.

– Williamie, zdaje się, że to ty najbardziej na tym ucierpisz – podsumował król. – Wasz zakładnik nie będzie w stanie zapłacić całej sumy za siebie, jako że jej część będzie musiał odstąpić mi za dziewczynę.

Lord Salisbury spojrział na Daniela z ukosa.

– Cóż, będę zmuszony zadowolić się tym, czego mój honor pozwala mi od niego żądać. W przyszłości będę uważać, by nie zaciągać kolejnych długów wdzięczności.

Amerikanin nie odpowiedział, w głębi duszy poczuł jednak ulgę.

– Udzielę wam praw do tej wdzięcznej młódki – zwrócił się do niego Jan bez Ziemi. – Najpierw jednak oczekuję zapłaty. Od tej chwili oboje jesteście pod opieką lorda Salisbury – tak długo, jak długo nie spłacicie i jemu, i mnie tego wszystkiego, co jesteście nam winni. Tylko wtedy uzyskacie me pozwolenie, by zwolniono was ze służby i byście mogli opuścić Dunchester.

Daniel zmusił się do ukłonu.

– Dziękuję, panie – odparł donośnym głosem. „Gdybym tylko mógł, odpłaciłbym ci się tym wszystkim, na co zasługujesz” – pomyślał równocześnie.

– Możecie odejść. Teraz chciałbym zaznać nieco spokoju po uczcie – zdecydował w końcu król. – Jutro pomyślimy, co zrobić z pozostałymi więźniami zamkniętymi w lochach.

Daniel wkrótce znalazł się sam na sam z Gorvenalem, który zaciągnął go z powrotem do ławy lorda Salisbury. Księżę był rozjuszony do granic możliwości, mimo sztucznego spokoju wypisanego na twarzy.

– Nigdy więcej tego nie róbcie – syknął. – Nie będę mógł was chronić, jeśli będziecie rzucać tego rodzaju wyzwania własnemu losowi.

Daniel nie odpowiedział i obejrzał się, szukając wzrokiem Leowynn. Dziewczyna właśnie miała zostać wyprowadzona z komnaty przez żołnierzy.

– Za waszym pozwoleniem, teraz pójdę spać. Straciłem apetyt na kolację – oznajmił chłopak angielskiemu księciu i odmaszerował w kierunku dziewczyny, wyciągając do niej rękę, by mogła oprzeć się na jego ramieniu. *Sir Gorvenal* był zmuszony odciągnąć żołnierzy burkliwym „ja się nimi zajmę”.

Zbrojni odeszli na bok. *Gorvenal* odprowadził Daniela i *Leowynn* w kierunku drzwi. Żołnierze szli na końcu pochodu.

Dziewczyna drżała wyraźnie ze świeżych wciąż emocji i chwyciła się ramienia Daniela, opierając się o nie, by utrzymać się na nogach.

– Odwagi, nie pozwólcie, by miał satysfakcję z tego, do jakiego stanu was doprowadził – wyszeptał do niej chłopak, lecz on sam również musiał zebrać wszystkie siły, by utrzymać na wodzy emocje. Nie obejrzał się za siebie, wiedział jednak, że odprowadzają ich spojrzenia wszystkich zgromadzonych – od króla i jego rycerzy aż po lorda Salisbury i *Murrowa*.

Leowynn była zupełnie oszołomiona.

– Dziękuję wam za wszystko, coście dla mnie uczynili – wyszeptała ledwo słyszalnym głosem.

Daniel przerwał jej w pół słowa:

– Nie ma potrzeby teraz o tym mówić. Spróbujcie wyłącznie zachować spokój.

Zimne powietrze, które uderzyło ich po wyjściu z komnaty, było jak oddech wolności.

Daniel rzucił okiem na pilnie strzeżone drzwi prowadzące do podziemi, ale nie zatrzymał się ani na chwilę. *Sir Gorvenal* i żołnierze nie odstępowali ich nawet na krok – w ten sposób odprowadzili *Leowynn* do tej części twierdzy, w której znajdowała się jej komnata i gdzie czekała na nią stara służka.

Daniel przekazał dziewczynę dwórcę.

– Bądźcie blisko waszej pani, będzie was dzisiaj potrzebowała.

Służka skinęła głową i odprowadziła *Leowynn*, zamykając za sobą drzwi.

– A teraz wy wracajcie do waszej komnaty – powiedział sucho *Gorvenal* do Daniela. – Jutro lord *Salisbury* zdecyduje, co z wami zrobić, biorąc pod uwagę nowy obrót spraw.

Amerikanin nie odpowiedział ani słowem i pozwolił zaprowadzić się do swego pokoju. Kiedy przekraczał próg, wciągnął na krótką chwilę do środka również angielskiego rycerza – wreszcie mogli zamienić kilka słów z dala od niedyskretnych uszu żołnierzy.

– Musicie uprzedzić mojego pana – powiedział ledwo słyszalnym szeptem. – Musi wiedzieć, co się tutaj dzieje.

– Wyślę za nim gońca z wiadomościami, jednak nie ma pewności, że zdoła odnaleźć go w krótkim czasie – odparł *Gorvenal*. – Chyba że wy potrafilibyście sprecyzować, do którego z francuskich portów zamierzali dobić.

Daniel potrząsnął głową, rozczarowany.

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie uda się na dwór swojego brata w *Châtel-Argent*, ale nie wiem którądy.

„Tak czy siak, potrzeba wielu dni, żeby dotrzeć aż tam” – pomyślał z rozpaczą.

– A więc niewiele możemy zrobić – odparł *Gorvenal* ponuro, po czym odwrócił się i wyszedł z izby.

Drzwi komnaty zamknięto od zewnątrz, przekręcając klucz w zamku. Kiedy pozostał sam, Daniel spojrział przez okno i zobaczył zapadający mrok wieczoru. Światło dnia powoli gasło, on zaś czuł rosnący niepokój związany z jutrem. Wezwał *Hyperversum*, ale gra, jak zwykle, nie reagowała. Zresztą, nawet gdyby tym razem zadziałała, co by to zmieniło? Daniel oczywiście mógłby uciec, ale pozostawiłby tym samym *Leowynn* bezbronną, całkowicie zdaną na łaskę króla i jego rzezimieszków.

„Nigdy w życiu bym tak nie zrobił” – powiedział sam do siebie. Mimo to fakt, że zostawał na miejscu, nie zmieniał zbyt wiele. Dokładnie tak jak dziewczyna był

w rękach króla. Mógł wyłącznie grać na zwłokę, tak jak to robił do tej pory, miał jednak świadomość, że sprawy mogą przybrać wyjątkowo zły obrót, jeśli Ian nie wkroczy na czas do akcji.

„Ian, gdzie jesteś?” – Daniel powtarzał w ciszy wciąż to samo pytanie.

*

Rozdział 35



Nad Dunkierką minęła noc i nastał świt. W oczekiwaniu na nadjeżdżającego księcia Ludwika, Delfina Francji, port przyozdobiono sztandarami w błękitnie i złocie.

Na chwilę przed południem do portu przybił potężny i szybki okręt wojenny, na którego masztach powiewały takie same flagi, jakie widoczne były na szczytach wież.

Ian spoglądał z wysokości blanek twierdzy na statek, który kończył manewry i przygotowywał się do wysadzenia pasażerów na brzeg. Powoli uformował się wielokolorowy orszak, który zniknął wkrótce z pola widzenia w labiryncie uliczek prowadzących do zamku.

Ian oderwał się od muru i odwrócił. Martewall stał obok niego, patrząc w milczeniu na tę samą scenę.

– Już czas – oznajmił Amerykanin. – Gotowy na audiencję? Zdaje się, że Delfin będzie się chciał z nami zobaczyć jak najszybciej, pewnie gdy tylko się posili.

Anglik kiwnął głową.

– Chciałbym tylko, byśmy mieli dobre wiadomości dla Longespéego.

– Ja też – odpowiedział Ian i na myśl o Danielu poczuł troskę. – Jesteś zdenerwowany? – zapytał, usiłując ukryć własny, stale rosnący niepokój.

– Tak – przyznał Anglik z prostotą. – Mam złe przeczucia i nie dają mi one spokoju. Mam nadzieję, że zdołamy jak najszybciej wyruszyć w drogę powrotną do Dunchester. Cała ta intryga w ogóle mi się nie podoba.

– Nie chce mi się na nowo rozpoczynać tej dyskusji – prychnął Ian, choć i on był niespokojny z powodu całej tej sytuacji.

Martewall rzucił mu lodowate spojrzenie.

– Jestem zmuszony brać udział w spisku, którego celem jest odebranie tronu mojemu królowi; nie mogę udawać, że mi się to podoba.

Ian nie odpowiedział i spojrział ponownie na horyzont.

– Tak, to prawdopodobne, że Jan bez Ziemi w ten sposób straci koronę – skomentował w końcu. – Jestem przekonany, że księżę Ludwik będzie bardzo zainteresowany propozycją, którą lord Salisbury jest mu skłonny złożyć. To samo dotyczy baronów. Znajdą sposób, by zawiązać przymierze.

– Co do księcia, nie mam żadnych wątpliwości – odpowiedział Martewall. –

Dlaczego nie miałyby go skusić możliwość najazdu na Anglię bez konieczności wymachiwania mieczem? Każdy by się połakomił na taki kąsek. Nie wiem tylko, dlaczego akurat baronowie mieliby się na to zgodzić.

– Zrobią to dlatego, że to potężny sojusznik, któremu mogą zaufać, i dlatego, że Francja i Anglia nie są sobie tak bardzo obce – odparł Ian. – Matka Ryszarda Lwie Serce była przecież Francuzką.

– Wspólne interesy zaś zmieniają zadawnioną wrogość w sojusz – szepnęła Martewall. – Powiniennem się tego nauczyć na własnym przykładzie.

Ian pozwolił sobie na krzywy uśmiech.

– Ktoś powiedział pewnego razu: nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem.

– Ja nie jestem twoim przyjacielem – sprecyzował sucho Martewall.

– Zgadza się – potwierdził Ian.

– Tak czy siak, muszę podziękować ci za wszystko, co robisz – ciągnął Anglik po kilku chwilach ciszy. Choć powiedział to z wyraźnym ociąganiem, nie próbował puścić całej sprawy w niepamięć. – Wiem, że chcesz ocalić twego przyjaciela tak bardzo, jak ja chcę ocalić moją rodzinę, ale pomijając to, co robisz dla nich, traktujesz mnie tutaj, jakbym był twoim gościem. Ja na twoim miejscu tak bym się nie zachował i chyba o tym wiesz.

– Jeśli ci się nie podoba, mogę to jeszcze zmienić – odparł Ian sarkastycznie. – Przygotuję ci przytulną celę zamiast komnaty przeznaczonej dla gości.

Martewall najwyraźniej tym razem nie miał ochoty na ironię. Był zupełnie poważny.

– Zastanawiałem się tylko nad tym, dlaczego okazujesz mi taką gościnność. Zwłaszcza po tym wszystkim, co ci zrobiłem.

„Właśnie – dlaczego?” – Ian sam zadał sobie to pytanie, ale nie był w stanie znaleźć na nie odpowiedzi. Zachował się impulsywnie, spontanicznie – już na molo, kiedy odmówił przyjęcia miecza Martewalla. Od tamtej pory się nad tym nie zastanawiał. Nie miał na to ani czasu, ani ochoty, wiedział tylko, że po tym wszystkim, co wydarzyło się od czasu oblężenia w Dunchester, zemsta na Martewallu spadła na ostatnią pozycję na liście jego priorytetów. Być może nie miała już najmniejszego znaczenia.

Mimo to Ian wciąż pamiętał, jak bardzo pragnął jej w przeszłości. To, że porzucił myśli o odwecie, mogło mieć związek z jego nowoczesną mentalnością – nie był przyzwyczajony do egzekwowania swej władzy feudała, nie potrafił ani wykorzystać lochów, ani wysługiwać się strażnikami, którzy w każdej chwili byli do jego dyspozycji.

– Nie jestem przyzwyczajony do więzienia ludzi tylko dlatego, że się ze mną nie zgadzają – wymamrotał w końcu, nie wiedząc, jak inaczej mógłby wytłumaczyć

swoje zachowanie. – Nie robię użytku z mojej władzy, żeby zemścić się na tych, którzy zaszli mi za skórę.

– Jeszcze jakiś czas temu też bym tego nie zrobił – odparł Martewall. W jego głosie pobrzmiwała nuta goryczy i rozczarowania. – Zmieniłem się o wiele bardziej, niż miałbym ochotę to przyznać.

Ian uszanował jego zadumę i mu nie przerwał. Czuł się dziwnie, słysząc swego wroga mówiącego w tak otwarty sposób, i to już po raz drugi w ciągu tych kilku ostatnich dni. Raz jeszcze zaczął zastanawiać się nad tym, co leży na sercu angielskiemu rycerzowi.

Martewall wiedział, co to honor, i Ian musiał to przyznać – nigdy nie zaprzeczył własnym winom i to wyznanie musiało go wiele kosztować. Zarówno podczas turnieju, jak i w trakcie bitwy młody baron nie zachował się w sposób nieprzystojny czy niehonorowy – zsiadł z konia i odrzucił miecz oraz tarczę, by stawić czoło Ianowi, który uzbrojony był wyłącznie w ostrze swojego miecza. Był to gest godny prawdziwego rycerza, na który jego przyjaciel, Jerome Derangale, nie zdobyłby się nigdy.

Ponadto, mając okazję poznać *sir* Haralda Martewalla i jego bezkompromisową postawę, Ian nie mógł się dziwić, że syn takiego człowieka był równie czuły na punkcie honoru.

„Jak to możliwe, że przyjaźnił się z Derangale’em?” – zastanawiał się młodzieniec. Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. „Martewall dopiero teraz dowiaduje się, jakim łajdakiem był jego domniemany przyjaciel” – domyślał się.

Przyjaźń to bez wątpienia jedyny powód, dla którego Geoffrey Martewall stanął po stronie angielskiego szeryfa – najpierw w Béarne, a później podczas wojny we Flandrii. Ian naprawdę zaczynał wierzyć, że Martewall, gdyby tylko był świadomy kryminalnych spisków Derangale’a, nigdy nie wzięłby w nich udziału.

„Mimo to, kiedy pojmał mnie i Daniela, zachował się jak zwykły bandyta” – przypomniał sobie Amerykanin z nagłym ukłuciem złości, wyrzucając sobie niewytłumaczalną wyrozumiałość, którą okazywał swojemu przeciwnikowi. „Naprawdę powinienem był wrzucić go do najciemniejszego lochu, przynajmniej na trochę”.

Jednocześnie w jego głowie pojawiło się pytanie, co on sam zrobiłby w podobnej sytuacji, będąc na miejscu Anglika – w końcu Martewall po pięciu miesiącach spędzonych w okowach spotkał niespodziewanie człowieka, który odebrał życie jego przyjacielowi.

„Derangale był zwykłą kanalią i zabiłem go tylko i wyłącznie dlatego, że nie miałem innego wyboru” – szybko rozwiązał nachodzące go wątpliwości. Od razu poczuł jednak dziwną mieszkanę żalu i wstydu. „Oceniam go, mimo że miałem mniej powodów, żeby go nienawidzić” – myślał. – „On nie zabił Daniela, a mimo to

chciałem, by zapłacił własną krwią za jego krzywdy”.

Zerknął na Martewalla, który nieświadomy rozważań swego towarzysza, zajęty był obserwacją krajobrazu rozciągającego się u stóp fortecy.

„Koniec końców, czy aż tak bardzo się od siebie różnimy?” – zapytał sam siebie Ian, czując się coraz bardziej nieswojo.

Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny wołał nie odpowiadać na to pytanie.

Powietrze poranka zdawało się w płucach zamieniać w kamień – tak bardzo było zimne, nieruchome i ciężkie. Promienie słońca nie docierały do twierdzy Dunchester; w ołowianych chmurach, wiszących w bezruchu na niebie, czaiła się cicha groźba deszczu – pierwszego od bardzo wielu dni. Zamkowy dziedziniec, mimo kłębiącego się na nim tłumy ludzi, pogrążony był w ciszy – mroźnej i pełnej napięcia, przerywanej jedynie ogłuszającym wrzaskiem kruków latających pomiędzy strzelistymi wieżami strażniczymi.

Daniel widział w krukach symbol nieszczęścia. Zdawało mu się, że przybyły tylko po to, by wieścić śmierć skrywającą się gdzieś na dziedzińcu. Gdyby tylko miał swój łuk, pozbyłby się ich bez cienia litości.

A tymczasem musiał stać tam, gdzie stłoczeni byli pozostali mieszkańcy zamku. Wszyscy oczekiwali na scenę, której nigdy nie chciał i nie spodziewał się ujrzeć...

Kat czekał na skazańca z czarnym kapturem w ręku.

Nie wybiło jeszcze południe. Jan bez Ziemi dotrzymał obietnicy i postanowił wymierzyć sprawiedliwość Haraldowi Martewallowi z samego rana – wyraźnie nie zamierzał ryzykować utraty apetytu z tego powodu, zdążył bowiem rozkazać sługom, by przygotowali obiad w wielkiej sali niedługo później. Teraz suweren rozsiadł się wygodnie na ławie przyniesionej specjalnie dla niego na dziedziniec. Miała się odbyć tylko jedna egzekucja. Szubienice dla pozostałych skazańców były jeszcze budowane na zewnętrznym dworze, gdzie mogli je oglądać wszyscy mieszkańcy Dunchester.

Rzeczywiście dobiegał stamtąd rytmiczny łoskot młotów i narzędzi cieśli pracujących w pocie czoła. Miejsce kaźni miało być gotowe na następny dzień.

Dla *sir* Haralda Martewalla nie przygotowano niczego specjalnego. Pośrodku dziedzińca ustawiono tylko potężny drewniany pień. To miało wystarczyć. Król nie planował tracić zbyt wiele czasu na zbędną gadaninę i inne ceregiele. Pokazowy proces już się odbył, wyrok został wydany. Teraz należało go tylko wykonać. Żołnierze zgromadzili w jednym miejscu wszystkich mieszkańców zamku, by i oni mogli uczestniczyć w tym przedstawieniu.

Daniel po raz setny przyjrzał się zebranym. William de Longespée i Nigel Murrow musieli zająć miejsca tuż obok króla, który rozmawiał z nimi spokojnym głosem – tak

jakby mieli brać udział w teatralnej sztuce, nie zaś w egzekucji. Na twarzach feudałów malowały się różnorakie uczucia. Lord Salisbury wydawał się dość ponury, choć nie pokazywał po sobie emocji. Można się było tylko domyślać, że jest bardzo spięty. Twarz młodziutkiego Murrowa z kolei przybrała zielonkawy odcień, jakby zaraz miał zwymiotować; na pytania władcy odpowiadał monosylabami.

Dwaj rycerze, którzy poprzedniego wieczoru zajmowali miejsce u boku Jana bez Ziemi, teraz także nie oddalali się zbyt od władcy. Rozmawiali ze sobą, komentując z nonszalancją wydarzenie. Dowódca najemników beznamiętnie wpatrywał się w centralny punkt dziedzińca.

Daniel zerknął z niepokojem na Leowynn. Dziewczyna stała w pierwszym rzędzie, kilka metrów od niego. Zmuszono ją do oglądania całej sceny z bliska; specjalnie dla niej przygotowano nawet krzesło. Był to prawdziwie bezduszny żart, niemający zbyt wiele wspólnego z troską o jej wygodę. Leowynn jednak stała, trzymając się oparcia, żeby nie stracić równowagi i nie runąć na zmrożoną ziemię. Cała się trzęsała, ale to nie chłód był tego przyczyną.

Napięcie sięgnęło zenitu, kiedy żołnierze wyprowadzali z lochów skazańca, ciągnąc go w kierunku oprawcy.

Wszyscy obecni wstrzymali oddech – zarówno mieszkańcy Dunchester, jak i najeźdźcy. Ich twarze wyrażały jednak różne emocje. Część patrzyła na rozgrywającą się scenę z pogardą, inni z przestachem. Królewscy rycerze wykrzywiali usta w ironicznym uśmiechu. Nikt jednak nie odważył się odezwać.

Daniel nie mógł dłużej wytrzymać upiornego bezruchu. Nie zważając zupełnie na żołnierzy, którzy snuli się za nim jak cienie, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę Leowynn. Jeden ze zbrojnych usiłował go zatrzymać, ale na próżno – Daniel uwolnił się gwałtownym szarpnięciem spod jego ręki, która ciężko opadła mu na ramię, i podszedł do dziewczyny. Objął ją, ona zaś drgnęła, wyraźnie wystraszona, nie próbowała jednak wyrwać się z jego ramion, którymi otoczył ją w geście pocieszenia. Rzuciła mu krótkie spojrzenie, pełne niemej rozpacz.

Daniel milczał. Co zresztą mógłby powiedzieć w takiej chwili? Ścisnął ją najmocniej jak potrafił, prawie do bólu. Gdyby tylko mógł, zabrałby ją stąd, gdziekolwiek, byle jak najszybciej. Gdyby tylko mógł coś zrobić...

Żołnierze doprowadzili *sir* Haralda aż na sam środek dziedzińca i kazali mu się zatrzymać tuż obok pnia. Stary baron był blady, promieniała z niego jednak nieugięta odwaga. Spojrzał na zebrany wokół siebie tłum i nie zawahał się, nie zachwiał – mimo swej choroby, starości i paraliżującego zimna poranka. Bez strachu wytrzymał spojrzenie Jana bez Ziemi siedzącego naprzeciw niego, po drugiej stronie miejsca kaźni.

Król wyraźnie się spieszył.

– Do dzieła – powiedział zwyczajnie i otulił się szczelniej futrzanym płaszczem.

Daniel poczuł, jak Leowynn chwyta się go mocniej. Czuł, jak bije jej przerażone serce.

– Panie, błagam was, po raz ostatni. Miejcie łaskę... – powiedział lord Salisbury w ostatniej, desperackiej próbie.

– Będę miał na względzie wasze dobre serce, Williamie – odpowiedział król ze spokojem, po czym zwrócił się do nastoletniego barona. – *Sir Nigelu*, liczę na to, że zastąpicie mnie w osądzaniu zdrajców i wymierzaniu im kar w najbliższych dniach. Oczekuję, że wszyscy winni dostaną to, na co zasłużyli. Jako że księżę jest człowiekiem zbyt delikatnego ducha, mam nadzieję, że wasza żelazna pięść dosięgnie tych złoczyńców.

Chłopak podskoczył.

– Ja, wasza wysokość?! – wykrzyknął, a na jego twarzy pojawiła się rozpacz człowieka przypartego do muru i pozbawionego jakiegokolwiek drogi ucieczki.

Lord Salisbury zasepił się jeszcze bardziej, powstrzymał się jednak od komentarza.

– Niestety, nie mogę zostać tu długo – wyjaśnił suweren z absolutnym spokojem. – Jutro muszę wyruszyć na północ – również innym feudałom potrzebny jest ktoś, kto ostudzi ich zapał, zanim zdążą popełnić jakieś głupstwo. Udzielam wam przyzwolenia, by w moim imieniu doprowadzić do końca wszystkie procesy. Jeśli okażecie się skuteczni i wierni w wypełnianiu mych poleceń i zadbacie o to, by sprawiedliwości stało się zadość, Dunchester wejdzie w skład waszych ziem.

Murrow spoglądał równocześnie na króla i *sir Haralda*. Cały trząśł się ze zdenerwowania i niezdecydowania.

– Tak... jak sobie życzyacie, wasza wysokość – odpowiedział w końcu z trudem.

Stary baron przyjrzał mu się z niesmakiem.

– *Sir Murrow*, powinniście zważać na to, by zawsze schlebiać waszemu królowi, w przeciwnym wypadku możecie podzielić mój los – powiedział powoli.

Twarz chłopca poszarzała. Nic nie odpowiedział.

Jan bez Ziemi skinął na kata, by zabrał się do roboty.

Daniel z trudem opanował rozedrgane mięśnie i jeszcze mocniej przyciągnął do siebie Leowynn. *Sir Haraldowi* nakazano przykłęknąć. Rzucił ostatnie, wzruszone spojrzenie na córkę i położył głowę na pniu.

Kat wznosił swój topór.

Ludwik, Delfin Francji, był mężczyzną znacznego wzrostu. Na oko nie mógł być starszy od Iana, a jego zachowanie wskazywało na twarde i nieugięty charakter. Nie byłoby łatwo odróżnić go od pozostałych, niżej urodzonych rycerzy, gdyby nie złoty pierścień z lilią, który nosił na prawej dłoni, i uderzające podobieństwo do swego ojca

Filipa Augusta. Nie próbował nawet dopasować się do dworskiej etykiety i zadowalał się słusznym pucharem wina podczas audiencji, wierząc się niecierpliwie na honorowym krześle, jeśli formalne spotkanie przeciągało się na ponad pół godziny.

Był człowiekiem czynu. Nie w smak mu były ani zbyt długie przemowy, ani zbędne rozważania przed podejmowaniem decyzji.

Audiencja odbywała się przy zamkniętych drzwiach, w małej sali przylegającej do fortecy, w obecności Guillaume'a de Ponthieu, Etienne'a de Sancerre'a i trzech zaufanych rycerzy księcia. Towarzyszyli im także dwaj starsi doradcy.

– Podają nam Anglię na srebrnej tacy. To okazja, z której trzeba skorzystać – zarządził Ludwik, gdy tylko Ian i Martewall skończyli przedstawiać propozycję Williama de Longespéego. – Jeśli chcą się pozbyć tego półgłówka Jana, gotów jestem przyjść im w sukurs – ciągnął dalej, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, jaki pojawił się na jego energicznej i ogorzałej twarzy rycerza przyzwyczajonego do przebywania na świeżym powietrzu. – Zrobiłbym to i tak, tyle że niekoniecznie w taktowny sposób, a teraz przynajmniej ułatwiają mi zadanie.

Ian poczuł, jak rośnie mu serce. Delfin dodał:

– Możecie przekazać lordowi Salisbury wiadomość, że jestem gotowy wysłuchać jego oferty i przedyskutować jej warunki.

Poruszeni członkowie orszaku królewskiego zaczęli spoglądać po sobie i szemrać. Księżę Ponthieu przyjął decyzję Delfina ze zwykłym spokojem, a Etienne de Sancerre dosłownie trząsł się na wieść o możliwej wyprawie za kanał La Manche.

Również Martewall, dokładnie tak jak Ian, odczuwał wyraźną i widoczną ulgę.

Amerikanin z całej duszy dziękował niebiosom. Wszystko toczyło się według planu. Już niedługo miał wyruszyć do Anglii, by odzyskać wolność Daniela.

Tymczasem najstarszy doradca króla wystąpił przed szereg.

– Księżę, wierzę, że powinniście dogłębnie się zastanowić, nim przystaniecie na podobną propozycję – rzekł. – Jest ona niezwykle niebezpieczna i pewien jestem, że wasz ojciec nie byłby do niej tak entuzjastycznie nastawiony.

Ian rzucił mężczyźnie mordercze spojrzenie, ale jego wzrok napotkał stalowe oczy Guillaume'a de Ponthieu, które cichą groźbą nakazały mu milczenie.

– Na miłość boską, a to niby czemu? – zapytał Delfin. – Cóż może być lepszego niż wyprawa na obce ziemie, i to w dodatku na zaproszenie ich mieszkańców? Nawet sam papież tym razem nie będzie miał powodów do sprzeciwu!

– Cóż, może je znaleźć właśnie dlatego, że to Anglicy was zapraszają. To może się okazać złym przykładem – jest zgodą na to, by poddani obalili władcę, aby zaspokoić własne zachcianki, łamiąc tym samym boskie prawo monarchy do korony. Inni suwerenowie mogą się w takiej sytuacji poczuć zagrożeni.

– Co to za dyrdymały? – zapytał poirytowany Ludwik. – Poddani nigdy nie będą tak zuchwali, by obalić suwerena mianowanego z Bożej woli. To tylko mydlenie

oczu – jak zawsze, kiedy kler wtrąca się do polityki.

Ian, słysząc, jak przyszedł król Francji wypowiada te słowa, gorzko zaśmiał się w duchu – wiedział przecież dobrze, że ostatnie karty historii królów Francji zostaną zapisane krwią podczas rewolucji wznieconej przez lud.

– W tym przypadku poddani proszą o pomoc mnie, a ja mam takie samo prawo jak Jan, by nosić koronę – ciągnął Delfin. – To ja obalam Jana, nie oni. Nie ma w tym żadnej herezji. To pojedynek dwóch królów.

– Mimo wszystko, księżę, uważam, że papież się sprzeciwi, a wasz ojciec da mu posłuch – zawahał się doradca przy cichym poparciu części zgromadzonych.

Księżę parsknął, rozgniewany.

– Zmęczony jestem tym podcinaniem mi skrzydeł przy każdej nadarzającej się okazji. Od lat czekam na odpowiedni moment, by wylądować na drugim brzegu kanału La Manche. Tym razem nie dam się zatrzymać przez bezużyteczne dyskusje i słabe argumenty, choćby miały pochodzić nawet z samego Rzymu.

– Księżę, co też mówicie? W ten sposób ryzykujecie ekskomuniką! – zatrwożyli się doradcy.

Delfin wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Był wściekły, jednak groźba ekskomunikacji sprawiła, że naszły go wątpliwości. Spojrzał na swoich rycerzy, którzy wymownymi gestami dali mu do zrozumienia, że i oni przeciwni są wyprawie.

Ian, widząc wahanie księcia, zaczął odczuwać narastające zdenerwowanie. Obawiał się, że ludzie z orszaku Delfina przekonają go, by odrzucił propozycję baronów. Już chciał się wtrącić, nie bacząc na ostrzegawcze spojrzenie Ponthieu, gdy nieoczekiwanie głos zabrał sam Delfin, zwracając się do księcia Guillaume'a:

– Ile okrętów mamy do dyspozycji?

– Obecnie pięć, mój panie – odparł Ponthieu.

Delfin w myślach dokonał obliczeń.

– Potrzeba przynajmniej dwóch miesięcy, by przygotować odpowiednie siły, nawet jeśli wezwiemy do pomocy najbliższych feudałów.

– Księżę, lepiej by było, gdyby papież i wasz ojciec zostali przynajmniej poinformowani o waszych zamiarach, zanim jeszcze dokonacie jakichś ruchów – przerwał starszy z doradców. W jego słowach słychać było coraz większą desperację, pogłębianą dodatkowo butnym uporem księcia.

Ludwik machnął ze zniecierpliwieniem ręką na znak zgody.

– Ależ tak, tak, zostaną poinformowani – odparł. – Jeszcze nie wsiadam na statek, czy to jasne? Nie wyruszam dokładnie w tej chwili, potrzeba czasu, by wszystko dobrze zorganizować, możecie być spokojni. Będzie czas i na to, żeby posłać gońca aż do Paryża. A skoro już się tak bardzo tym wszystkim martwicie, możecie wyruszyć osobiście, i to zaraz. Później będziemy się martwić o przekazanie wieści do Stolicy Piotrowej. J e ś l i w ogóle uznamy to za stosowne – dodał.

Szerokim gestem ramion książę dał znak dwóm doradcom, że ich rola dobiegła końca. Zmuszeni robić dobrą minę do złej gry, złożyli pełen pokory pokłon i wyszli, zamykając za sobą drzwi. Rycerze w dalszym ciągu pogrążeni byli w milczeniu.

Delfin zwrócił się do jednego z nich.

– *Monsieur Vitry*, czy jesteście gotowi, by wyruszyć natychmiast? – zapytał go.

– Oczywiście – odparł mężczyzna.

Ponthieu zawahał się przez chwilę.

– Czy nie chcecie poczekać na odpowiedź waszego ojca, panie? Tak nakazywałyby rozsądek.

– Wolałbym raczej poznać szczegóły całej sprawy i stawkę, o jaką toczy się ta gra – odpowiedział książę. – Znam osobiście Williama de Longespéego i wiem, że nie zdarza mu się rzucać słów na wiatr. Mimo to w tej chwili jego propozycja jest zbyt ogólnikowa, a powodzenie całego przedsięwzięcia zależy od aktywnego wsparcia ze strony angielskich baronów. Chcę się upewnić, czy w istocie byliby gotowi zaoferować mi koronę, czy może liczą na moją pomoc, wierząc, że przekonają mnie pustymi obietnicami – w tym wypadku prędko odkryją, że pomylili się w kalkulacjach.

Skończył zdanie, spoglądając znacząco na Martewalla.

– Jestem przekonany, że lord Salisbury z chęcią poda wam wszystkie potrzebne szczegóły i udzieli zabezpieczeń, gdyby zaszła taka konieczność – odparł baron chłodno.

– Tak, i ja jestem tego pewien – powiedział Delfin. – *Monsieur Vitry* zostanie mianowany moim posłem; jest upoważniony, by mówić w moim imieniu. Jemu to powierzę wszelkie moje pytania i żądania, licząc na to, że wróci z satysfakcjonującymi mnie odpowiedziami. Wy zaś, *monsieur Jean*, będziecie mu towarzyszyć. Wy natomiast, *sir Geoffreyu*, pozostaniecie tutaj, ponieważ odesłanie was do ojczyzny byłoby zbyt niebezpieczne w tym niefortunnym momencie. Wszak wasza obecność nie może przeszkodzić negocjacjom.

Ian dostrzegł, jak Martewall pociemniał na twarzy, rozumiał jednak powody, dla których książę podjął taką decyzję. Anglika okrzyknięto zdrajcą korony i każdy, kto przebywał w jego towarzystwie, był w niebezpieczeństwie.

Martewall był tego zupełnie świadomy i przyjął decyzję księcia bez sprzeciwu.

– Jak sobie życzycie, panie – odparł z krótkim ukłonem, mimo dotkliwego rozczarowania.

Delfin ponownie zwrócił się do Ponthieu:

– Zezwalam wyłącznie na sekretne spotkanie mojego posła, waszego brata i lorda Salisbury w bezpiecznym miejscu, z dala od niedyskretnych oczu i uszu. Nie wydam ostatecznej decyzji, dopóki nie poznam wszystkich detali i nie uzyskam opinii mojego ojca. Czy uważacie to za wystarczająco rozsądne, *monsieur Guillaume*?

Książę przytaknął z satysfakcją.

– Bez najmniejszych wątpliwości, mój panie.

Książę Ludwik uśmiechnął się chytrze.

– Tak czy siak, nie ustawajcie w przygotowaniach floty wojennej – powiedział ku nieskrywanej radości Etienne’a de Sancerre’a.

Na zewnątrz lało jak z cebra. Gęste i lodowate krople deszczu mieszały się z płatkami śniegu osiadającymi na szczytach wież i mroźnym wiatrem, który przegonił z dziedzińca cały tłum, który teraz desperacko poszukiwał schronienia. Również zamkowa gwardia skryła się pod dachami i w budkach wartowniczych, czekając, aż pogoda pozwoli podjąć im porzucone obowiązki na murach obronnych Dunchester. Cieśle przerwali pracę przy budowie szubienic na zewnętrznym dziedzińcu.

Okna twierdzy zostały zamknięte w jedyny możliwy sposób – zatrzaśnięto drewniane okiennice, całkowicie odcinając dopływ światła dziennego do komnat. Pomieszczenia były teraz oświetlane wyłącznie pochodniami i blaskiem płomieni z kominków.

Pogrążony w absolutnym milczeniu, Daniel siedział od kilku godzin na stołku, z kolanami podciągniętymi pod brodę i pochyloną głową. Wpatrywał się w kamienną podłogę i niespokojne cienie płomieni pochodni tańczące na jej chropowatej powierzchni i skórzanych dywanach.

Tuż obok niego Leowynn leżała nieruchomo na wielkim łożu, przykryta grubą warstwą puchowych kołder. Byli w komnacie dziewczyny, dokąd Daniel przyniósł jej bezwładne ciało, kiedy zemdląła na dziedzińcu.

Leowynn nie zdołała zobaczyć momentu śmierci swego ojca, ponieważ Daniel rękoma zasłonił jej twarz i przycisnął ją do swojej piersi w ostatniej, najstraszniejszej chwili. Dziewczyna musiała jednak usłyszeć mrożący krew w żyłach odgłos topora wbijającego się w pień. Z jej gardła wyrwał się jęk przerażenia i straciła przytomność w ramionach młodego Amerykanina. Do tej pory nie odzyskała świadomości. Nie ocknęła się nawet wtedy, gdy strzeżony pilnie przez żołnierzy chłopak niósł ją do komnaty ani gdy razem ze starą służącą układali ją ostrożnie na łożu.

Służka lkała nieustannie, siedząc na stołku w kącie komnaty, tuż obok kominka.

Zbrojni pozostali za zamkniętymi drzwiami, pełniąc swą zwykłą służbę.

Daniel potarł twarz i zasłonił oczy dłońmi na kilka chwil. Nie pozwolił ujrzeć Leowynn koszarnej sceny, ale sam widział każdy potworny szczegół. Teraz ten obraz powracał żywo w jego pamięci. Oczyma wyobraźni widział wielką czerwoną plamę wsiąkającą powoli w ziemię i ulewny deszcz obmywający pozostawiony na dziedzińcu zakrwawiony pień.

„Co za koszmar...” – pomyślał, ściskając skronie.

Nie miał pojęcia, co się stało z ciałem *sir* Haralda, kiedy żołnierze króla skończyli sprzątać w miejscu krwawego przedstawienia. Mógł tylko podejrzewać, że nie tracili czasu na kopanie dla niego grobu. Prawdopodobnie wyrzucili ciało do morza bez zbędnych ceregieli.

Chłopak spojrzął w dół na swoje dłonie i splótł je, opierając na nich podbródek.

„Co ja teraz zrobię?” – pytanie to w ostatnich, przeklętych dniach pojawiała się coraz częściej w jego głowie.

Do uszu Daniela dobiegał ledwo słyszalny, zmęczony oddech Leowynn. Dziewczyna miała półotwarte usta, a jej oczy przykryte powiekami poruszały się niespokojnie. Co jakiś czas z jej piersi wydobywał się delikatny jęk. Śniła i musiały to być niepokojące wizje, dyktowane przez roztrzęsiony umysł.

Prędzej czy później musiała się obudzić i Daniel nie wiedział, co mógłby zrobić, aby ją pocieszyć. Pomyślał jednocześnie o Geoffreju Martewallu – wciąż nieświadomym wydarzeń, do których doszło w jego rodzinnym zamku.

Daniel wiedział z całą pewnością, że lord Salisbury zadbał o wysłanie gońca w poszukiwaniu Iana – jeszcze tego samego wieczoru, w którym Jan bez Ziemi skazał *sir* Haralda na śmierć. Nawet jeśli posłaniec był szybki, nie mógł jeszcze ich odnaleźć.

Daniel czuł litość dla Geoffreya Martewalla i zastanawiał się, jak młody baron zareaguje na wieść o przerażającym losie, jaki spotkał jego ojca. Wyobrażał sobie jego rozpacz, jeszcze czarniejszą z powodu bezsilności oraz wyrzutów sumienia, że nie było go w tym czasie na zamku i nie mógł zapobiec najgorszemu.

„Ja byłem na miejscu, a i tak nie mogłem nic zrobić” – pomyślał Daniel ponuro.

Teraz musiał przygotować się na następne przedstawienia tego rodzaju. Szubienice budowane na dziedzińcu nie mogły pozostać niewykorzystane. Chwilowo deszcz uniemożliwił ich ukończenie, jednak prędzej czy później prace będą musiały zostać zakończone, a wtedy...

Daniel pomyślał o Hektorze i rycerzach, którzy przebywali w lochach zamku. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że i oni mieli wkrótce podzielić tragiczny los ich pana.

Jan bez Ziemi nie miał być naocznym świadkiem wszystkich egzekucji, ponieważ zamierzał wyjechać już nazajutrz, niemniej jednak pozostawił dokładne rozkazy Nigelowi. Daniel był pewien, że chłopak usłucha rozkazów króla, choćby wbrew własnej woli, gdyż młody Murrow bał się władcy – na pewno nie chciałby zawieść jego oczekiwań. Ten chłopiec widział, co przytrafiło się baronowi, który odważył się zbuntować przeciwko Janowi bez Ziemi, i dlatego będzie chciał zrobić wszystko, by przypodobać się swojemu suwerenowi.

„Przez najbliższych dwadzieścia lat będą mu się śniły koszmary. Tym gorzej dla

niego – w ten sposób może się tylko nauczyć, jak nie mieszać się w nie swoje sprawy i jak nie godzić sztyletem w plecy swoich sąsiadów” – przemknęło Danielowi przez głowę, jednak myśl ta nie wzbudziła w nim żadnej satysfakcji.

Nawet jeśli Ian i Martewall zdołaliby wrócić do Dunchester, prowadząc ze sobą czy to posiłki, czy jakiegokolwiek wsparcie polityczne, które pozwoliłoby poprawić ich sytuację, w miejscu zamku najprawdopodobniej zastaną cmentarz.

Daniel wzniosł oczy w kierunku okna zasłoniętego drewnianą deską; o jej płaską powierzchnię rozbijały się krople deszczu. „A gdyby tak padało przez dziesięć najbliższych dni?” – życzył sobie w duchu. „Mały kataklizm deszczowy mógłby zniszczyć te przekłete szubienice na dziedzińcu! Przynajmniej zyskalibyśmy odrobinę czasu...”

Pomysł kiełkujący w jego głowie sprawił, że aż podskoczył. Podniósł głowę opartą dotychczas na kolanach. Nie potrzebował wcale kłeski żywiołowej, by zniszczyć szubienice, wystarczyło jedynie, aby ktoś zaczął usuwać z nich cichaczem co ważniejsze gwoździe, kiedy nikt nie patrzył...

„Hmm, może wyciągnięcie paru gwoździ nie wystarczy, ale warto spróbować też sabotażu na inną modłę” – pomyślał Daniel, czując nagłą falę podniecenia. „Oni je budują, my możemy przy nich trochę pomajstrować. Na dłuższą metę nie damy rady zamydlić im oczu, ale przynajmniej zyskalibyśmy kilka dni”.

Kilka dni. Marna to była pociecha, ale zawsze coś. Tak czy siak, lepsze to niż bezczynność w oczekiwaniu, aż Ian zdoła coś zrobić. Nawet jeśli kilkudniowe opóźnienie miałyby ocalić tylko jedno życie, to wciąż warto było włożyć w to wszelki wysiłek.

Daniel, mając już dość siedzenia, podniósł się ze stołka. Dziwaczny pomysł zdążył zasiać już ziarna niepokoju zmieszanego z pewną ekscytacją – plan był wykonalny.

Dużo ryzykował. Jeśli sabotaż byłby zbyt bezczelny, zaufani ludzie króla mogli szybko dojść do tego, kto za nim stoi, i zemścić się okrutnie na dywersantach. Z drugiej jednak strony, zdziesiątkowanie mieszkańców Dunchester przez kata nie leżało w interesie lorda Salisbury. Istniało bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że gdy tylko król usunie się ze sceny, książę uzyska większe pole manewru i będzie mógł znacznie ograniczyć zakres władzy młodziutkiego Murrowa, nadanej mu formalnie przez Jana bez Ziemi. Daniel nie miał najmniejszych wątpliwości, że pozbawiony jakichkolwiek doświadczeń w zakresie swych lordowskich praw chłopaczyna szybko da się podporządkować rekinowi władzy, jakim był William de Longespée.

„Lord Salisbury w każdym razie niechętnie działa otwarcie; możliwe, że nie będzie miał ochoty organizować oporu” – zastanawiał się Daniel, który i tak nie zamierzał pozostawić wszystkiego w rękach księcia. „Jeśli przycisnę go do muru i zdołam wprowadzić w życie mój plan, oczywiście z pomocą z zewnątrz, to lord Salisbury

będzie musiał mnie poprzeć, czy mu się to spodoba, czy nie”.

Prawdziwą przeszkodą w realizacji jego pomysłu były ograniczenia wiążące mu ręce wewnątrz twierdzy – nie mógł przecież nawet wyjść swobodnie na zewnętrzny dziedziniec, na którym wznoszono rusztowania szubienic. Daniel w lot zrozumiał, że nie zdoła doprowadzić swego projektu do końca w pojedynkę. Strzeżono go przecież zbyt pilnie, krępujące go więzy były zbyt ciasne. Powinien szukać pomocy poza zamkiem, u kogoś, kto miałby, przynajmniej potencjalnie, większe możliwości działania. Kogoś, za kim straż nie włączyłyby się aż tak usilnie i kto mógłby liczyć na innych zaufanych ludzi, zdolnych odciągnąć uwagę wartowników.

„Najemnicy króla i żołnierze Murrowa osobiście nie biorą udziału w budowie szubienic...” – zastanawiał się Daniel. „Musieli zatrudnić cieśli spośród ludzi z wioski albo zmuszają do tego więźniów, tak jak ostatnio przymuszali ich do przerzucania worków z piaskiem i drzewa”.

Gdy przeanalizował szczegóły swojego planu, wiedział już doskonale, do kogo powinien się zwrócić.

– Panie, co się wam dzieje? – zapytała służąca. W jej głosie słychać było płaczącą skargę zmieszaną z nagłym poruszeniem. Dostrzegła niespodziewane podekscytowanie chłopaka i teraz patrzyła na niego z niepokojem, obawiając się Bóg wie jakich innych, straszliwych wieści.

Daniel odwrócił się do niej. W jego głowie kłębiło się tysiąc myśli.

– Jak się nazywacie? – zapytał ją ponaglająco.

– Birgit, panie... – odparła kobieta i wytarła oczy.

Daniel zrobił kilka nerwowych kroków i znalazł się tuż przy niej.

– Birgit, czy jesteście gotowi ponieść niewielkie ryzyko dla dobra waszej pani? Dla pewnej rzeczy, której ona byłaby z pewnością przychylna?

Służąca zmierzyła chłopaka wzrokiem. W jej oczach oprócz zaskoczenia pojawił się błysk zdecydowania.

– Opiekuję się nią od maleńkości, widziałam, jak rośnie – to tak, jakby była moim dzieckiem. Zrobiłabym dla niej wszystko – odpowiedziała ze szczerością w głosie.

– Doskonale. Czy dozwolone jest wam wychodzenie na zewnętrzny dziedziniec albo czy możecie chociaż porozmawiać z kimś, kto ma do tego prawo?

– Ja nie mogę wychodzić z zamku, tak jak większość służby. Jedyna osoba, którą znam i która wciąż może poruszać się między zewnętrznym a wewnętrznym dziedzińcem, to ksiądz.

Daniel przytaknął. Jak też mógł o tym nie pomyśleć? Ksiądz cieszył się największą swobodą, mógł również widywać się z więźniami – tymi wewnątrz i na zewnątrz zamku. Mógł podejść do Thomasa Bulla i wtajemniczyć go w pomysł Daniela. Na drwała spadała reszta zadania, w tym poinformowanie pozostałych uczestników spisku – więźniów zmuszonych do pracy na rzecz zwycięzców.

„Ale czy księdzu można zaufać?” – zastanawiał się Daniel. Plan mógł szybko okazać się katastrofą, jeśli człowiek wybrany na informatora doniósłby o projekcie Murrowowi czy ludziom króla. W takim wypadku los Daniela byłby przesądzony.

W pierwszym odruchu chłopak pomyślał o wtajemniczeniu księdza w swój plan podczas sakramentu spowiedzi – to jednak nie dawało mu pewności, że kapłan przekaze wiadomość. Mógł zatrzymać ją wyłącznie dla siebie i w ten sposób zakończyć sprawę, nie robiąc nic w tej kwestii.

Analizując wszystkie szczegóły, Daniel ponownie zwrócił się do służącej.

– Czy dobrze znacie tego księdza? Czy zawierzylibyście mu życie waszej pani?

– Ojciec Crispin osobiście ochrzcił wszystkie dzieci biednego *sir* Haralda. To stary człowiek, lecz bardzo odważny. Możecie mu zaufać.

Daniel bardzo chciał, aby opinia służącej okazała się prawdziwa.

– A więc wezwijcie go niezwłocznie. Jeśli żołnierze będą zadawać wam jakieś pytania, powiedzcie, że wasza pani potrzebuje duchowego wsparcia po tak wstrząsającym dniu.

– Ale czegoż wy chcecie od ojca Crispina?

– Chcę prosić go o pomoc w związku z tymi, których czeka śmierć z rąk kata króla Jana.

Służka wytrzeszczyła oczy.

– A jakże miałyby się do tego przyczynić stary ksiądz?

– Odkryjemy to razem już niedługo, jeśli tylko po niego pójdziecie. Proszę was, nie traćmy już więcej czasu.

Służka podniosła się ze stołka i otuliła plecy wełnianym płaszczem. Zawahała się jednak przez chwilę.

– Co znowu? – zapytał Daniel, zdziwiony.

Kobieta patrzyła na niego z wyrzutem, jednocześnie zdawała się czuć nieswojo. W końcu powiedziała z trudem:

– Nie mogę was tu zostawić sam na sam z moją panią. Moglibyście stracić powód, dla którego chcecie zapłacić okup.

Danielowi zajęło kilka chwil, nim zrozumiał prawdziwy sens słów kobiety. Spojrzał najpierw na nią, później zaś na Leowynn wyciągniętą na łożu.

– Och, błagam! Zdaje się wam, że w tym momencie mógłbym myśleć o czymś takim? – burknął urażony. – W porządku, posłuchajcie, daję wam moje słowo honoru – albo jeszcze lepiej – przysięgam na Biblię, że nigdy nie uchybię godności waszej pani – ustąpił, widząc, że kobieta nie rusza się z miejsca. – Czy to was satysfakcjonuje? A teraz w drogę, zanim zrobi się ciemno i zadzwonią na ciszę nocną, bo wtedy nie będziemy już mogli ruszyć się z miejsca.

– Wystarczy mi wasze słowo – odparła wreszcie służąca, która chyba dała się przekonać. Otuliła się szczelniej płaszczem i wyszła z komnaty.

Daniel usłyszał jej krótką rozmowę z żołnierzami strzegącymi wyjścia i wstrzymał na chwilę oddech, jednak zaraz zrobiło się cicho. Mijały minuty, a kobieta nie wracała do komnaty.

„Pozwolili jej przejść” – pomyślał z uczuciem ulgi, po czym znów usiadł na stołku. Przeklął po chwili jego twarde siedzisko i usadowił się wygodnie na poduszce tuż przed kominkiem.

Teraz musiał czekać i mieć nadzieję, że jego rozpaczliwa idea zyska sojuszników na zewnątrz i uda mu się osiągnąć zamierzony cel. Zerknął na Leowynn ciągle pogrążoną w głębokim odrętwieniu i cichych koszmarach. Błagał w duchu, by zostały jej oszczędzone kolejne potworne sceny.

*

Rozdział 36



Jedyną rzeczą, która łączyła księcia Ludwika z jego ojcem Filipem Augustem, była z całą pewnością bezwarunkowa miłość do łowiectwa. Ian szybko odkrył, że księciu nie w smak pozostawanie w klatce zamkowych murów, nawet podczas zimowych miesięcy. Spotkał się z nim w chwilę po wschodzie słońca, na krótko przed łowami zorganizowanymi naprędce w lasach Dunkierki. Księżę zapragnął wykorzystać piękny dzień i bezchmurne niebo.

Grupa myśliwych nie była zbyt liczna, ale za to szybka i bardzo skuteczna. Miłość do aktywności na świeżym powietrzu była w sercu Delfina równa niechęci do ludzi i sług. Miał ze sobą tylko niezbędnych służących i sokolników, wybranych na potrzeby łowów, i kilku zbrojnych dla własnego bezpieczeństwa. Do grupy dołączył rozemocjonowany Sancerre, który, tak jak księżę, nie przepadał za staniem z założonymi rękoma.

Księżę i rycerze, otuleni ciepłymi płaszczami z wełny i futer, przekazali swoje pozdrowienia Ianowi, który pozostał na dziedzińcu fortecy. Młodzieniec miał wyruszyć w chwilę po nich, kierował się jednak w inną stronę – przy molo czekał już na niego statek, który miał go zabrać z powrotem do Anglii wraz z posłem księcia, rycerzem Enguerrandem de Vitrym.

Ludwik był w doskonałym humorze i brał nad wyraz żywo udział w pogaduszkach między łowcami, głaszcząc jednocześnie przepiękny okaz sokoła wędrownego, który wczepił się pazurami w jego przedramię.

– Czekam na dobre wieści, kiedy tylko wrócić – rzekł do Iana, podchodząc do jego wierzchowca. – Nie mogłem spodziewać się lepszej okazji niż ta – czegoś, co jeszcze bardziej ułatwiłoby mi wyprawę, o której śnię od lat.

– I ja jestem pewien, że to doskonała okazja i że należy ją wykorzystać – odparł Ian. – Wyprawa na drugą stronę kanału La Manche będzie dla was bez wątpienia satysfakcjonująca.

„Niedługo to potrwa, ale zawsze coś” – zaśmiał się w duchu.

– Tak, całkowicie się zgadzam. Niedługo będziemy mieli okazję do świętowania – uśmiechnął się księżę. – Będziemy świętować nie tylko z powodu militarnych zwycięstw – rzekł w zamyśleniu. – Powiedziano mi, że zarówno wy, jak i wasz brat oczekujecie narodzin potomków rodu.

– Tak, mości księżę – rozpromienił się Ian. – Mój brat zostanie ojcem tego lata.

Mój syn zaś narodzi się za jakieś dwa miesiące i już nie mogę się tego doczekać.

– Życzę wam, aby to był rzeczywiście syn – odparł Delfin. – Zrobimy z niego rycerza i wytrenujemy go u boku mojego małego Ludwiczka. Będą rówieśnikami. W przyszłości mogą walczyć ramię w ramię.

– Mam taką nadzieję i wielki to będzie dla mnie zaszczyt – powiedział Ian i poczuł, jak serce bije mu szybciej.

Delfin miał już wielu potomków, jednak jego najmłodszy syn, urodzony podczas wojny w zeszłym roku, któremu nadano imię ojca – Ludwik, miał zostać królem po śmierci swych starszych braci. I to jednym z najbardziej znanych królów Francji. To przyszedł Ludwik IX, zwany Świętym.

Sama myśl o tym, że jego syn Marc pewnego dnia mógłby stanąć u boku tak szlachetnego króla, przyprawiała Iana o zawrót głowy. Jako historyka fascynowała go perspektywa poznania pewnego dnia osobistości, której poświęconych zostanie tysiące najróżniejszych dzieł rąk ludzkich – obrazów, rzeźb, ksiąg, esejów i rozpraw naukowych.

– Z pewnością urodzi mu się chłopak – przerwał Sancerre. – Głowę dam, tak jak i za to, że okaże się równie szlachetny jak jego ojciec.

– Młody Sokół – skomentował Delfin i uśmiechnął się, spoglądając na swego ptaka łownego, wciąż uczepionego pazurami ochraniacza na przedramieniu.

„Młody Sokół” – powtórzył Ian w myślach, cały rozdygotany i wstrząśnięty z nadmiaru emocji.

Orszak myśliwych wyruszył chwilę później i Ian odprowadzał ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za pilnie strzeżonymi bramami fortecy, kierując się w stronę otwartej przestrzeni poza miastem.

Młodzieniec tymczasem ruszył do budynku. Wreszcie mógł do woli nacieszyć się świeżym powietrzem tego radosnego poranka. Oddychał głęboko, idąc w stronę komnaty, by zabrać swój bagaż. Przystanął przy oknie na kilka chwil i obserwował krzątanie zabieganych ludzi w przyległym do twierdzy mieście. Z tego miejsca mógł dojrzeć również dalekie falowanie morskiej wody, błękitnej i spokojnej.

„Już tego wieczora będziemy w Anglii, zażądamy sekretnego spotkania z lordem Salisbury i wszystko wróci do normy” – myślał Ian, wiedząc, że okręt Neda Stone’a czeka na nich w porcie. „Delfin jest po naszej stronie i już samo to będzie dla lorda Salisbury dobrą wiadomością. Uwolni Daniela i wreszcie obaj będziemy mogli wrócić do domu”.

Jasne, do domu. Na myśl o tym przypomniał sobie nagle, że w dalszym ciągu nie potrafili ponownie uruchomić *Hyperversum*. Gra uparcie odmawiała współpracy. W końcu ich powrót z Anglii tylko dla Iana będzie prawdziwym powrotem do domu, do Châtel-Argent i do Isabeau. Dla Daniela z kolei cała sprawa wyglądała inaczej. Brak jakiegokolwiek odpowiedzi od gry był dla niego równoznaczny z koniecznością

pozostania na zawsze w mrocznym średniowieczu.

I on mógł zostać skazany na przymusowe, wieloletnie wygnanie. Wygnanie i uwięzienie w obcym świecie, z dala od swoich bliskich i od Jodie.

„Póki co nie można panikować. W ten czy inny sposób damy radę uruchomić tę przeklętą grę. Choćby tylko na chwilę” – usiłował uspokoić się Ian. „Daniel wróci do domu, wystarczy tylko na spokojnie się nad tym zastanowić”.

W tej chwili najważniejsze było przewiezienie go na przyjazny grunt. Zadbanie o jego bezpieczeństwo. Później będzie można się zastanawiać nad rozstrzygnięciem kwestii technicznych.

„Ruszam po niego” – powiedział Ian sam do siebie, odklejając się od okna i wracając do swoich przygotowań do podróży.

Zabrał płaszcz i bagaż – prosty worek, w który spakował ubrania na zmianę i kilka osobistych przedmiotów, po czym opuścił swoją komnatę.

Schodząc na dziedziniec, powtórzył w myślach wszystko to, co musiał załatwić przed wyjazdem: poprosić o ostatnie rady Guillaume’a de Ponthieu, pożegnać się z Brianną, wymóc na Lisim Ogonie obietnicę, że zaopiekuje się matką i nie będzie włączył w pojedynek.

Martewall z całą pewnością zamierzał się pojawić na dziedzińcu, żeby zerknąć na odjazd jego i posła Vitry’ego. Ten ostatni, chociaż tylko trochę starszy od księcia, zdawał się Ianowi człowiekiem godnym zaufania, opanowanym i rozważnym, obdarzonym idealnymi cechami, by udać się na obce ziemie jako poseł w tak delikatnej politycznie sprawie.

„I lord Salisbury jest rozważnym człowiekiem, nie ma powodu, dla którego nie mogliby dojść do porozumienia” – myślał Ian z ufnością. „A poza tym do mnie należy tylko zadbanie o to, by znalazła się okazja do negocjacji. Cała reszta pozostaje w ich rękach”.

Obiecał Williamowi de Longespéemu kontakt z księciem Ludwikiem i sprostą temu zadaniu. Dotrzymał słowa. Teraz mógł zażądać uwolnienia zakładnika.

Na parterze zamku oddał swój bagaż jednemu ze służących, który miał go zanieść na dziedziniec, gdzie były już przygotowane dla nich konie. Sam skierował się do sali, w której miał zaczekać na przybycie Ponthieu. Serce ciążyło mu w piersi jak kamień.

Nagle za plecami usłyszał głos wzywający jego imię.

Odwrócił się i ujrzał żołnierza w biało-niebieskich barwach. Towarzyszył mu drugi mężczyzna w podróżnym stroju, który zdawał się skrajnie wyczerpany.

– Panie mój, ten oto posłaniec ma dla was list. Mówi, że to pilne – oznajmił żołnierz. – Całe szczęście, że dowiedział się, że wciąż tu jesteście, w przeciwnym razie wyruszyliby od razu w stronę Châtel-Argent.

Ian spojrział z zainteresowaniem na nowo przybyłego, czując narastający niepokój.

– Co się stało? – zapytał.

Człowiek skłonił się z szacunkiem i zwrócił do niego po angielsku.

– Milordzie, przybywam z Dunchester – powiedział cicho, po czym wyciągnął ze swojej sakwy złożony pergamin zabezpieczony stemplem z laku i podał młodzieńcowi.

Ian rozpoznał stojące lwy lorda Salisbury na herbie odciśniętym w czerwonym wosku. Serce biło mu jak szalone, kiedy ciszę przerwał dźwięk łamanego laku, a on otwierał list. Przeczytał kilka linijek napisanych pospiesznie nerwową ręką.

Musiał zacząć raz jeszcze – tak głęboki dreszcz wstrząsnął nim, kiedy dotarł do niego sens słów.

– O mój Boże... – wymamrotał w końcu.

Jan bez Ziemi opuścił Dunchester. Począł spokojnie, aż ulewa ustanie, dojadł śniadanie i wyruszył w drogę w towarzystwie swego orszaku.

Dunchester tylko częściowo mogło odetchnąć z ulgą. Teraz osąd więźniów przetrzymywanych w zamkowych lochach przeszedł w niedoświadczone ręce *sir* Nigela Murrowa, któremu pobłażliwość była z pewnością obca.

– Co się z nami stanie? – wymamrotała Leowynn głucho, spoglądając przez okno, obok którego siedziała nieruchomo.

Daniel nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie wiedział nawet, co może się wydarzyć, kiedy opuszczą bezpieczną przestrzeń komnaty – od chwili gdy poprzedniego wieczoru zakazano mu poruszać się poza murami zamku.

Noc i cały poranek spędził zamknięty na klucz w swojej komnacie. Lord Salisbury najwyraźniej nie chciał ryzykować pozostawiania mu jakiegokolwiek swobody ruchu, dopóki Jan bez Ziemi nie oddali się na bezpieczną odległość. Tym samym Daniel mógł jedynie patrzeć przez okno na krzątanie na zamkowym dziedzińcu. Gdy deszcz ustał, mieszkańcy twierdzy wrócili bowiem do swych zwyczajnych obowiązków.

Nawet służący, który przybył do nich z posiłkiem, nie był szczególnie pomocny. Młody chłopaczek nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co też mogło się dzieć w komnatach tymczasowych władców fortecy.

Danielowi pozwolono jedynie na wizytę w komnacie Leowynn, by mógł zapytać o jej zdrowie po tym, jak poprzedniego dnia pozostawił ją – wciąż nieprzytomną – pod opieką Birgit i księdza.

Teraz młodzi patrzyli razem na zewnątrz, w pełnej bólu bezsilności. Leowynn siedziała na wyłożonym skórą parapecie. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Daniel stał tuż obok niej, zachowując jednak bezpieczny dystans, by niepotrzebnie nie niepokoić strachliwej Birgit, która wciśnięta w kąt komnaty udawała, że szyje, w rzeczywistości

jednak nie spuszczała z chłopaka czujnego spojrzenia.

Pieniek kata wciąż stał w tym samym miejscu, na samym środku dziedzińca, i Daniel zadreślał się myślą, że widać go z okna Leowynn. Dziewczyna tymczasem nie dawała po sobie niczego poznać.

Nie płakała ani nie rozpaczała. W jej oczach malowało się nieprzebrane zmęczenie, a na ich dnie czaiła się wielka siła ducha. Spoglądała na dziedziniec w ciszy.

– Nie mam pojęcia, co się teraz może wydarzyć – ledwo słyszalnym głosem przyznał w końcu Daniel, wiedział jednak, że w tej samej chwili w wielkiej komnacie młodzieńcy Murrow osądza więźniów i wymyśla im kary – tak jak chciał tego król. Poruszenia wśród ludzi i żołnierzy na dziedzińcu nie trzeba było wyjaśniać komuś, kto obserwował je z góry.

Król aż nazbyt wyraźnie dał do zrozumienia, jak należy rozwiązać całą kwestię, i teraz nastoletni baron zastępował władcę najlepiej jak umiał. Zajął miejsce najwyższego sędziego w wielkiej komnacie i kazał przyprowadzać przed swe oblicze więźniów, którzy aż do teraz zamknięci w ciemnych lochach zamku pozbawieni byli możliwości procesu.

Mężczyźni przybywali w dwu- lub trzyosobowych grupach, spętani łańcuchami i nadzorowani przez królewskich najemników. Wchodzili do wielkiej sali, pozostawali w niej jakieś dwadzieścia minut, po czym ponownie prowadzono ich w kierunku podziemi, robiąc miejsce dla kolejnych skazańców.

Trwało to już ponad dwie godziny.

„Jestem pewny, że Murrow nieszczególnie dba o sprawiedliwość swoich procesów” – myślał Daniel z goryczą i nie miał żadnych wątpliwości co do tego, jaki wyrok zapadał najczęściej w wielkiej sali.

„Ten chłopiec pośle na śmierć przynajmniej ze trzydzieści osób” – pomyślał, wiedząc że Nigel nie znalazł w sobie nawet cienia litości, którą Daniel odczuwał wobec niego, zmuszonego przecież w tak młodym wieku do odegrania jakże straszliwej roli.

Lord Salisbury bez wątpienia asystował przy rozprawach wraz z dowódcami najemników i rycerzami Murrowa, jednak młody Amerykanin nie łudził się – angielski książę nie mógł zapobiec zbliżającej się rzezi. Jan bez Ziemi jasno przedłożył swoje oczekiwania: wszyscy zdrajcy mieli ponieść karę śmierci. To wystarczyło. I nawet jeśli można było uniknąć wykonania wyroków na prostym ludzie i żołnierzach, to rycerze i wysoko postawieni wojskowi mieli marne szanse na przeżycie.

Więźniowie wchodzili i wychodzili z wielkiej sali. Na ich twarzach niezmiennie malowała się duma, która nie znała trwogi – zarówno przed procesem, jak i po nim. Wszyscy maszerowali z wysoko podniesioną głową, nie potrafili jednak powstrzymać się od rzucenia krótkiego spojrzenia na mijany katowski pień.

Daniel zauważył, że Leowynn zamarła w bezruchu na widok *sir* Ewena i *sir* Kerwicka spętanych łańcuchami. I jego przeszedł dreszcz, gdy rozpoznał wlokącego się z trudem ich śladem Hektora, na którego szatach wciąż widniały krwawe smugi.

Strażnicy prowadzili całą trójkę na proces. Rycerze maszerowali powoli, w ciszy i z dumą.

Przechodząc obok pnia, *sir* Kerwick zatrzymał się i przeżegnał, natychmiast jednak dostał tak potężnego kuksańca od jednego ze strażników, że prawie stracił równowagę.

Daniel zacisnął pięści z oburzenia. Leowynn opuściła głowę i po raz pierwszy oderwała oczy od scen rozgrywających się na dziedzińcu.

– Odejdźcie od okna, już dość żeście widzieli – powiedział chłopak, ale ona pokręciła tylko głową i ponownie spojrzała w dół przez okno.

– To mój obowiązek, zobaczyć to wszystko na własne oczy. Jestem to winna ludziom, którzy idą na śmierć tylko dlatego, że do końca pozostali wierni mojej rodzinie.

Daniel nie odważył się dłużej odwozić jej od tego pomysłu. Poczł szacunek dla jej odwagi.

– Bardzo się o mnie troszczycie i jestem wam za to wdzięczna – mówiła dalej Leowynn. – Nie jestem tego godna choćby przez to, jak zostaliście tutaj potraktowani.

– Nie ma w tym waszej winy.

– To nieprawda. Popierałam bez zastanowienia mojego brata. To, co robił wobec was. Zgadzałam się z nim bez żadnej dyskusji. Mam w tym swój udział.

– Proszę już o tym nie myśleć, to zamierzchłe dzieje, poza tym mogliście mnie potraktować jeszcze gorzej – odparł Daniel, zadając sobie jednocześnie pytanie, czy kiedykolwiek będzie w stanie usprawiedliwić postępowanie Geoffreya Martewalla. Być może właśnie dlatego w tym momencie w jasnym spojrzeniu Leowynn pojawił się błysk bólu.

– Przynajmniej nikt was nie wychłostał, czy to macie na myśli? – odparła ze wstydem. – Pamiętam te koszmarne blizny na plecach waszego pana. Mogę zrozumieć, dlaczego tak wielką nienawiścią darzył *sir* Derangale'a, a tym samym i mojego brata.

– Waszego brata nie było przy tym, kiedy bat Derangale'a poszedł w ruch – zawahał się Daniel. Człł niesmak.

– Jeszcze mnie pocieszacie, macie zbyt dobre serce – ciągnęła Leowynn z uśmiechem. – Bardzo się mną przejmujecie i narażacie się na niebezpieczeństwo. Wiem, że lord Salisbury jest po waszej stronie, mimo to ponieśliście ogromne ryzyko, przemawiając przed królem dla dziewczyny, która nie przedstawia sobą najmniejszej wartości i w dodatku jest siostrą waszego wroga. Jesteście godni podziwu.

Daniel człł się zakłopotany.

– Proszę was. Przeceniacie moje zasługi.

– To nieprawda – odparła poważnie Leowynn. – Teraz ponownie narażacie się na niebezpieczeństwo, wiem o tym. Słyszałam, jak wczoraj rozmawialiście z ojcem Crispinem, kiedy wezwaliście go pod pozorem udzielenia mi duchowego wsparcia. Wiem, że chcecie skontaktować się w jakiś sposób z więźniami zamkniętymi w lochach na zewnętrznym dworze i opóźnić egzekucje.

Daniel poczuł, jak płoną mu policzki. Rzucił zaniepokojone spojrzenie Birgit i zauważył, że również służąca była zaskoczona reakcją Leowynn.

– Nie chciałem wam tego mówić, by nie wystawiać was na kolejne ryzyko – usprawiedliwił się chłopak.

– A ja jestem wam za to wdzięczna, ale teraz błagam was, byście już dłużej nie wykluczali mnie z waszych działań. – Leowynn wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Daniela mimo płonącego spojrzenia Birgit. – Aż do tej chwili byłam słaba, nie wiedziałam, jak mogę pomóc, ale teraz chcę ratować moich ludzi. Jeśli mogę coś zrobić, cokolwiek, proszę was, pozwólcie mi na to. Jestem gotowa oddać życie za Dunchester, tak jak zrobił to mój ojciec.

– Ależ moja pani! – jęknęła przerażona Birgit.

– Nie chcę, by tak się stało – odpowiedział Daniel dziewczynie. – W każdym razie, chwilowo nie ma nic, w czym byście mogli być pomocni, bądźcie tego pewni. Usiłuję znaleźć sojuszników poza zamkiem; nie wiem, czy mi się to uda. Nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi od ojca Crispina i nie mam żadnej pewności, czy mi ją kiedykolwiek da. Mój pomysł jest ryzykowny i nie wiem, czy ktokolwiek odważy się go poprzeć.

– Mogę osobiście o to zapytać. Wystarczy, że poproszę strażę o przyzwolenie na spowiedź w kaplicy, jeszcze dzisiaj, albo poproszę o wizytę księdza. W ten sposób będę mogła porozmawiać z ojcem Crispinem w waszym imieniu – zaoferowała się Leowynn.

Daniel, widząc jej wielką chęć okazania się użyteczną, odpowiedział:

– Jeśli w przeciągu kilku godzin nie otrzymam żadnej odpowiedzi, poproszę was o pomoc.

– Nie zawiodę was – odparła z determinacją.

Ktoś zapukał do drzwi, przerywając rozmowę.

– Proszę wejść.

Leowynn puściła dłoń Daniela, zanim jeszcze *sir* Gorvenal wszedł do komnaty, przekazując pełne szacunku pozdrowienie.

– Przybywam w imieniu lorda Salisbury, który chciał zapytać o wasze zdrowie, pani – oznajmił rycerz, jednak Daniel zrozumiał od razu, że mężczyzna przyszedł zobaczyć się przede wszystkim z nim.

Amerikanin zerknął pospiesznie na korytarz, korzystając, że przez chwilę nikt na

niego nie patrzy. Na zewnątrz było pusto. Być może proces Hektora, Kerwicka i Ewena jeszcze się nie skończył.

– Czuję się nieco lepiej, oczywiście mając na uwadze całą sytuację... – odpowiedziała Leowynn smutnym, lecz opanowanym tonem.

– Ciesz się mnie to – odparł Gorvenal.

– Wy natomiast z jakimi wieściami przybywacie? – zapytał Daniel.

Angielski rycerz zawahał się, spoglądając na Leowynn, jednak twarz dziewczyny przyjęła zacięty i nieprzenikniony wyraz.

– Również ja mam prawo wiedzieć, jaki los czeka rycerzy należących do mojej rodziny.

Sir Gorvenal podjął decyzję.

– *Sir* Murrow osądza ostatnich więźniów. Jak dotąd żadnemu z nich nie udało się uniknąć kary śmierci, zgodnie z wolą króla.

Z ust Birgit wyrwał się jęk rozpaczony i stara kobieta znowu zaczęła pochlipywać. Leowynn zbladła, jej jasna skóra przybrała odcień wosku, ale zdołała opanować łzy.

– Przynieś mi trochę wody, proszę. Zostaw nas na chwilę samych – powiedziała służącej.

Birgit podniosła się i wciąż łkając, wyszła z komnaty.

Leowynn spojrzała na Gorvenala. W jej jasnych, wielkich oczach widać było przerażenie.

– Powiesz ich? – zapytała szeptem.

– Tak, moja pani. Zaczynają jutro, kiedy tylko szubienice będą gotowe. Lord Salisbury nie mógł temu zapobiec. Murrow jest ślepo posłuszny rozkazom króla i robi wszystko, by mu się przypodobać, tak samo zresztą jak jego rycerze. Wysocy wojskowi wśród najemników chcą natomiast zemścić się na tych, którzy zdziesiątkowali ich oddziały podczas oblężenia.

– Można było się tego spodziewać – skomentował Daniel z goryczą.

– Nie mamy żadnych argumentów, by bronić oskarżonych przed zarzutem zdrady korony – mówił dalej Gorvenal. – Lord Salisbury zdoła być może coś wskórać jedynie w kwestii Hektora de Wrista, który jest Flamandczykiem i nigdy nie ślubował wierności wobec angielskiej korony. Boję się jednak, że i tak czeka go surowa kara na placu, na oczach tłumu.

– Równie dobrze mogliby go skazać na śmierć, i tak jest już ranny! – prychnął Daniel ze złością.

– Niestety, nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

„Musimy ich przecież jakoś powstrzymać!” – pomyślał Daniel i poczuł rozsadzającą go od środka chęć roztrzaskania na kawałki wszystkich szubienic na dziedzińcu.

Oczywiście ten sposób opóźniłby potworną chwilę tylko o kilka godzin, i chłopak

był tego świadomy, jednak w takim momencie jak ten każda rzecz, która pozwalała zaoszczędzić choć trochę czasu, była na wagę złota. Cokolwiek, byle tylko Ian zdążył wrócić albo przysłać posiłki.

„A co, jeśli nie uda się nam zatrzymać kata? A co, jeśli Ian wcale nie wpadnie na żaden genialny pomysł i nie zdoła zaradzić tragedii?” – myślał z przeraźliwym poczuciem bezsilności.

Jego uwagę przyciągnął nagły ruch w dole, na dziedzińcu. Źródłem zamieszania nie byli strażnicy wracający z ostatnimi więźniami, lecz pracujący robotnicy.

Przejeżdżający wóz wydał się Danielowi dziwnie znajomy.

Thomas Bull dostrzegł go z dziedzińca i skinął głową w pozdrowieniu. Jego porozumiewawczy gest sprawił, że Daniel poczuł, jak rośnie mu serce. Nareszcie odetchnął z odrobiną ulgi. Teraz już wiedział, że cieśle, przynajmniej tego dnia, pracują mało efektywnie.

Chłopak odwrócił się do *sir* Gorvenala.

– Muszę porozmawiać z lordem Salisbury tak szybko, jak jest to możliwe – oznajmił. – W cztery oczy.

Martewall szalał z bólu i rozpacz, kiedy i do niego dotarły wieści wysłane przez Williama de Longespéego.

Gdy Ian przeczytał depezę od lorda Salisbury, zrozumiał, że zapowiadane w niej wydarzenia prawdopodobnie już się dokonały. Jeśli nie zdarzył się cud, który skłoniłby króla Anglii do zmiany zdania, ani jeśli jakieś inne niespodziewane wydarzenia nie zakłóciły jego planów, to dzień egzekucji z całą pewnością już minął.

„Nie jesteśmy już w stanie niczemu zapobiec” – huczało w głowie Iana. Był wstrząśnięty na samą myśl, że list księcia został napisany jeszcze przed zabiciem *sir* Haralda, dotarł zaś już po tym, jak egzekucja została wykonana.

Półtora dnia zajęło posłańcowi odnalezienie adresata listu – miał sporo szczęścia, mógł stracić o wiele więcej czasu.

„Półtora dnia... Co jeszcze się wydarzyło? Co się dzieje tam teraz?” – zastanawiał się z rosnącym niepokojem.

Co się stało z Danielem? Czy lord Salisbury zdołał go ochronić, tak jak wynikało to z listu, czy może...?

Nawet jeśli wyruszyliby natychmiast, tak jak planowali – jeszcze tego poranka – podróż do Dunchester z Dunkierki miała im zająć co najmniej jeden dzień. A przecież w tych okolicznościach nie mogła się rozpocząć tak wcześnie.

Na wieść o liście Guillaume de Ponthieu kazał wstrzymać statek, nie dopuszczając do wyjazdu Iana i posła Vitry'ego. Jednocześnie posłał gońca do księcia zajętego

łowami. W obliczu nowych wydarzeń nie pozwolił na jakikolwiek ruch bez opinii Delfina. Teoretycznie mogło upłynąć wiele dni, nim książę wydałby zezwolenie na podróż, ekspedycja zresztą mogła zostać równie dobrze odwołana.

Ian po raz kolejny przetarł dłonią zmęczoną twarz i odwrócił się, szukając wzrokiem Martewalla.

Zobaczył go w kącie sali, z dala od zgromadzonych, zaślepionego przez ból. Wyglądał jak ranny tygrys. Nie zdołał powstrzymać się od okrzyku przerażenia, kiedy Ian podał mu do przeczytania list lorda Salisbury. Jego pełna cierpienia reakcja wstrząsnęła Amerykaninem, musiał użyć siły, by powstrzymać młodego barona przed biegiem w stronę portu, na statek Neda Stone'a. Przymusił go również do pozostania w komnacie, w której wszyscy oczekiwali na przybycie księcia Ludwika.

Byli w tej samej sali, w której poprzedniego dnia odbyło się spotkanie. Jeden po drugim zgromadzili się w niej ci sami ludzie – trzech rycerzy księcia wraz z posłem, dwóch doradców oraz Etienne de Sancerre, który nie zdążył się nawet przebrać z łowieckiego stroju. Brakowało księcia Ponthieu, który wciąż przebywał w komnatach gościnnych przeznaczonych dla Delfina, gdzie w imieniu Iana prowadził rozmowy na temat szczegółów listu – zdecydował, że chłopak w tym czasie powinien mieć na oku Martewalla.

Ian nie wiedział, do czego Anglik może być zdolny w tak trudnym i bolesnym dla niego momencie. Chciał powstrzymać go od jakiegokolwiek ruchu podyktowanego przez emocje, które odebrały mu zdolność racjonalnego myślenia. Uspokajał go, jak tylko potrafił, jednak w odpowiedzi otrzymał wyłącznie rozpaczliwy okrzyk:

– To ja powinienem tam być! To ja byłem gotowy, by umrzeć, on powinien ocaleć! Zostawiłem go na pewną śmierć!

Ian ujrzał w jasnych oczach Anglika falę nienawiści, która powoli zastępowała rozpacz. Nienawiści, która za wszelką cenę szukała zemsty.

Teraz Martewall tkwił w kącie komnaty z zaciśniętymi pięściami opartymi o ścianę, z dala od reszty zgromadzonych. Jego bezruch nie mógł jednak trwać długo. Martewall nigdy nie zgodziłby się na bezczynność, z całą pewnością zamierzał coś zrobić – cokolwiek – i Ian nie mógł nie przyznać mu racji.

Wśród pozostałych tylko w oczach Sancerre'a widać było zdecydowaną chęć działania. Twarze doradców tymczasem jasno wyrażały to, co mężczyźni zamierzali przekazać księciu Ludwikowi przy pierwszej nadarzającej się okazji.

„Powiedzą mu, żeby dał sobie spokój. Będą go przekonywali, aby nie ruszał z odsieczą. Powiedzą mu, że najlepiej się z tego wycofać, że cała sprawa śmierdzi” – myślał Ian. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. „Nie mogę na to pozwolić” – martwił się, choć nie miał pojęcia, jak zapobiec temu, co miało się wydarzyć.

Minuty mijały powoli w ciszy. Książę wciąż nie nadchodził.

Martewall stanął nagle przed Ianem, nie mogąc wytrzymać bezczynnego oczekiwania. Zwrócił się do niego z desperacką stanowczością:

– Pozwól mi odejść, nie potrzebujesz mnie już. Daj mi wolność, bym mógł wrócić do domu.

Ian całą swoją duszą mu współczuł, ale nie mógł przystać na jego prośbę.

– Nie – powiedział mu po raz setny. – Nie możesz teraz wyjechać.

– A więc będziesz musiał zakuć mnie w łańcuchy, bo zaciągnę się na pierwszy statek w kierunku Anglii, nawet jeśli musiałbym się bić o każdy metr dzielący mnie od portu! – przerwał mu gwałtownie młody rycerz.

– Nie możesz wyjechać sam. Wystawiłbyś się na pewną śmierć, w dodatku bezużyteczną.

Martewall machnął ręką w rozpaczliwym geście.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?! – wrzasnął. – Mojej rodziny już nie ma, co za różnica, czy i ja zginę?!

– Poczekaj. Posłuchaj mnie. – Ian chwycił Martewalla za bark, stając przed nim i odgradzając go od wyjścia z komnaty. Rycerz wyrwał się i stanowczym krokiem skierował w stronę drzwi. – Posłuchaj mnie! – powtórzył jeszcze głośniej, zanim Anglik zdołał otworzyć usta. – Twoja rodzina wciąż istnieje. Twoja siostra żyje i właśnie dla niej ty też powinieneś przeżyć. Musimy znaleźć sposób, by ją ocalić i uniknąć twojej bezmyślnej śmierci. Księżę będzie ci przychylny, jestem tego pewien. Ma zbyt wielką chrapkę na Anglię, by porzucić swój pomysł. – Ian rozejrzał się i dodał ciszej: – I ja przysięgam, że ci pomogę, ja i moi ludzie. Nie pozostawię Daniela w rękach Jana bez Ziemi, w ten czy inny sposób go stamtąd wyciągnę. Wyruszę wraz z tobą, potrzebujemy jednak szczegółowego planu. Nie ma sensu działać w ciemno.

Martewall nie dawał się przekonać.

Ian potrząsnął nim bezlitośnie.

– Spróbuj przez chwilę pomyśleć, do licha! Wiesz dobrze, że mam rację. Jako trup nie zdołasz ani nikogo ocalić, ani na nikim się zemścić!

Anglik wyrwał się gwałtownie z jego rąk, po czym znowu spróbował dostać się do drzwi. Wrócił jednak w końcu do swojego kąta, zrobił kilka nerwowych kroków w stronę otwartego okna, chwycił się rękoma za włosy, po czym się zatrzymał. Zamarł na chwilę w bezruchu, z opuszczoną głową, w milczeniu. Zrozpaczony, wściekły, bezsilny.

Ta sama bezsilność trawiła boleśnie serce Iana, a w jego głowie kłębiły się przeróżne obawy. Młodzieniec spojrzał na Sancerre'a, szukając u niego wsparcia.

Francuski rycerz stał nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami, ponury na twarzy, jednak zdecydowany.

– Możesz na mnie liczyć. Jestem gotowy do drogi, to samo dotyczy moich ludzi –

powiedział półgłosem, tak aby nie słyszeli go doradcy ani rycerze księcia. – Jeśli nie będzie to oficjalna wyprawa, zadowolę się prywatną zemstą. Odbijemy *monsieur* Daniela za wszelką cenę.

Ian nie przytaknął – zrobił kilka nerwowych kroków po sali w zadumie, usiłując przeanalizować każdy szczegół tej tragicznej sytuacji.

Bardzo chciał wierzyć, że znajdzie się proste rozwiązanie. Mimo tego, co powiedział niesiony emocjami, wiedział, że wypad do Dunchester bez poparcia Delfina był praktycznie niemożliwy.

Nikt nie mógł przewidzieć, że zamek stanie w obliczu zbiorowej kaźni wymierzonej przez władcą rękę Jana bez Ziemi – twierdza miała przecież pozostać pod pełną rozsądku protekcją Williama de Longespéego co najmniej do czasu rewolucji z prawdziwego zdarzenia. Teraz sytuacja przybrała wyjątkowo niekorzystny obrót i jedno potajemne spotkanie przedstawicieli obu stron nie mogło wystarczyć, by zażegnać konflikt. Potrzeba było zbrojnej akcji, aby uniknąć rozlewu krwi. Ian jednak wątpił w to, że Delfin zechciałby wplątać w intrygę swoje wojska czy tym bardziej wyrazić zgodę na atak na Anglię.

Oczywiście Ian mógł podjąć prywatną inicjatywę i udać się w podróż bez aprobaty władcy, musiał się jednak liczyć z potencjalnie katastrofalnymi skutkami takiej wyprawy. Poza tym nie mając wsparcia króla ani jego sojuszników, należało zebrać wojsko – jego liczebność, nawet z teoretycznym poparciem ze strony Sancerre’a, byłaby jednak zbyt mała.

Również Ponthieu nie posłałby swych ludzi do pomocy Ianowi i miałyby ku temu logiczne uzasadnienie – akt tak bezczelnej niesubordynacji oznaczałby otwarte przeciwstawienie się koronie i narażenie na niebezpieczeństwo całego rodu. Starszy brat Sancerre’a w podobny sposób umotywowaliby pewnie swoją odmowę i tym samym uniemożliwiliby Etienne’owi wyruszenie w bój wraz z jego ludźmi. Istniały nikłe szanse, by którykolwiek z feudałów zdecydował się na tak wielkie ryzyko i opór wobec Filipa Augusta w imię kilku cudzoziemców – zakładników.

Teraz, kiedy w całą kwestię została wmieszana racja stanu, Ian wiedział, że ma związane ręce. Dalsze kroki zależały od opinii wielu osób o większym od niego znaczeniu politycznym i nawykłych do podejmowania tego rodzaju decyzji.

Jeszcze kiedy wszystko było w rękach lorda Salisbury, myślał, że najprostszym rozwiązaniem jest wstawiennictwo księcia Ludwika, teraz jednak zaczynał się bać, że popełnił ogromny błąd, pozostawiając rozwiązanie problemu poza własną kontrolą, w gestii ludzi wielkiej władzy, których niewiele obchodziło życie zakładników bliskich jego sercu.

Za bardzo zaufał swej znajomości historii i być może się pomylił.

„Co zrobię, jeśli Delfin naprawdę zrezygnuje? Zdecyduje się odłożyć sprawę na bok na jakiś czas?” – zadawał sobie pytanie.

Przerażała go myśl o pozostawieniu Dunchester na łaskę „sprawiedliwości” Jana bez Ziemi.

Wiedza historyczna Iana wystarczyła, by przypuszczać, że brat Ryszarda Lwie Serce nie należał do najłaskawszych władców, zwłaszcza kiedy chodziło o wymierzanie sprawiedliwości tym, którzy mu się sprzeciwili. Informacje o śmierci przez ścięcie, powieszenie, o karach pieniężnych i długich latach w lochach wypełniały stronicie kronik z tego okresu.

Co mogło przytrafić się Danielowi, jeśli z jakiegokolwiek przyczyny lord Salisbury nie był już w stanie go chronić lub uznał, że nie opłaca mu się to już dłużej? Co się stało z resztą więźniów?

Ian pomyślał o Hektorze, o *sir Kerwicku*, *sir Ewenie*, lecz przede wszystkim martwił się o Thomasa Bulla i jego towarzyszy.

„Nie zostawię ich tam. Żadnego z nich, nieważne, za jaką cenę” – zdecydował w ciszy, mimo że dalej nie miał pojęcia, jaki będzie jego następny krok. Wiedział jednak z całą pewnością, że nie zdoła uratować wszystkich bez zmasowanego ataku na zamek. Ten jednak nie był możliwy bez wystarczającej liczby ludzi.

Podskoczył, kiedy drzwi do komnaty uchyliły się z cichym jękiem.

Wszyscy obecni odwrócili się w ich stronę. Do sali wkroczył Guillaume de Ponthieu. Ian chciał do niego podejść, książę jednak zatrzymał się, przytrzymując wrota Delfinowi.

Młodzieniec przystanął i złożył księciu pełen szacunku pokłon. W jego ślady poszedł Sancerre, Martewall i wszyscy pozostali.

– No i co to ma znaczyć? – zaczął książę Ludwik bez żadnych wstępów, zwracając się przede wszystkim do Iana i Martewalla. W jego spojrzeniu malowała się wściekłość. – Doniesiono mi o tym, co się dzieje w Dunchester. A miało to być bezpieczne miejsce dla dalszych negocjacji!

– Panie mój, nie byliśmy w stanie przewidzieć wydarzeń tego rodzaju... – usiłował usprawiedliwić się Ian, ale w tym momencie do rozmowy włączyli się też królewscy doradcy.

– W świetle nowych zdarzeń, książę, nalegamy, byście odstąpili od pomysłu wysłania posła w celu negocjowania w Dunchester. Przynajmniej w tym momencie – powiedział starszy z mężczyzn. – Obecność króla Jana na miejscu zwiększa znacznie ryzyko i wymaga waszego bezpośredniego zaangażowania. Jeśli wasza chęć pomocy rebeliantom miałaby wyjść na jaw, mogłaby zostać odebrana jako powód do wojny pomiędzy Francją a królem Janem. Nie możecie wziąć na siebie takiej odpowiedzialności bez błogosławieństwa waszego ojca.

– Panie, błagam was, pozwólcie mi wyjechać – przerwał tymczasem Martewall z rozpaczliwą stanowczością. – Nie proszę ani o pomoc, ani o wasze osobiste wsparcie. Pozwólcie mi wyjechać i bronić mojego ludu. Nie proszę o nic więcej.

Ian rzucił mu surowe spojrzenie, usiłując uciszyć go wzrokiem, nie mógł jednak sprawić, by zamilkli doradcy, którzy kontynuowali swoje wywody.

– W tej chwili sytuacja jest zbyt niebezpieczna – nalegali. – Powinniście pozwolić, by Anglicy zdecydowali za siebie, czy mają chęć złapać za broń i wymierzyć ją przeciwko swemu królowi. W przeciwnym razie wezmą was za podżegacza, dowódcę buntu. Musicie poczekać, by to oni ruszyli jako pierwsi.

– Chcecie stać i patrzeć w nieskończoność? Do tego czasu wszyscy w Dunchester będą martwi! – przerwał Ian gwałtownie.

– To przykra konsekwencja rozsądnych decyzji. Nie możemy interweniować – odpowiedział mu sucho doradca. – Terytorium Dunchester nie znajduje się w zasięgu jurysdykcji naszego księcia. To, co się tam dzieje, wykracza poza jego władzę.

– Dałem lordowi Salisbury moje słowo, że wrócę jak najszybciej z oficjalną odpowiedzią dworu Francji!

– Niech więc to on zrobi pierwszy krok, jeśli naprawdę myśli, że nastał odpowiedni moment, aby obalić króla Jana. Nie może wymagać, by to książę się narażał zamiast niego.

– Nie chodzi już tylko o wysłanie posła, żeby potajemnie wybadał teren, i dobrze o tym wiesz. Teraz, kiedy król Jan przejął władzę nad Dunchester, sprawy mają się inaczej – podkreślił Ponthieu. – Zemsta króla mogłaby zniechęcić baronów, my zaś staniemy w obliczu ogromnego ryzyka bez żadnej perspektywy sojuszu z kimkolwiek.

„Nie, baronowie nie dadzą się zniechęcić! Zwrócą się przeciwko królowi, tylko na to czekają!” – pomyślał Ian w odruchu obronnym, ale nie mógł powiedzieć tego na głos, ponieważ nie wiedział, jak usprawiedliwić swoją niezachwianą pewnością co do przyszłych wydarzeń.

Z trudem panował nad irytacją. Czuł się jak w pułapce – zupełnie bezużyteczny i pozbawiony możliwości ruchu. Myślał o Danielu i pytał sam siebie, co się z nim teraz stanie.

– Wystarczy, uciszcie się wszyscy – rozkazał Delfin i na dźwięk jego stalowego głosu cała sala natychmiast zamilkła.

Wszyscy oczekiwali jego decyzji.

– Temu przekłętemu zdrajcy Janowi zawsze udaje się pokrzyżować mi szyki dokładnie wtedy, kiedy przychodzi kolej na mój ruch – prychnął książę ze złością. – Wiele lat temu zdołał nawet dotrzeć do samego papieża, żeby zmusić mnie, abym zrezygnował z najazdu na Anglię, a cała wyprawa była już gotowa! I teraz znowu mam czekać! Niechże trafi go szlag, jego i to całe rzucanie mi kłód pod nogi! Ażeby Anglicy wyrównali z nim swoje rachunki i zdecydowali, co z nim zrobić, póki ja mam związane ręce!

Słyszając decyzję księcia, Ian zamknął oczy. Teraz wszystko stawało się naprawdę

trudne.

– *Sir* Geoffreya Martewallu, jesteście wolni, możecie wyruszyć w drogę – ciągnął książę. – *Monsieur* Vitry, *monsieur* Jean, jeśli wciąż macie taką ochotę, możecie i wy wyruszyć na wyspy, dostaniecie ludzi, którzy będą wam potrzebni.

Ostatnie zdanie wywołało falę poruszenia. Jedyłą osobą, która nie dała po sobie niczego poznać, był Ponthieu.

Ian prawie wstrzymał oddech.

– Panie mój...? – zapytał z niedowierzaniem.

– Ależ... książę, dopiero coście powiedzieli... – wymamrotał jeden z doradców.

– Że Anglicy mają sami zdecydować, co chcą zrobić? No i tak właśnie zrobią, w rzeczy samej – odparł Delfin z determinacją. – Nad wyprawą nie zawisną ani francuskie sztandary, ani herby moich feudałów. Nie ma chyba nic dziwnego w tym, że *sir* Martewall mógł liczyć na przyjaciół i sojuszników na stałym lądzie?

– Z całą pewnością, zwłaszcza że przez pewien czas walczył we Flandrii – odparł Ian, nie dopuszczając Anglika do słowa. Domyślił się zamiarów księcia.

– Ja zaś idę o zakład, że żaden Anglik nie zdoła się połapać, czy wojsko bez oznaczeń złożone jest z francuskich regularnych żołnierzy czy może flamandzkich, bretońskich albo normańskich najemników – podsumował Delfin. – A więc *sir* Martewall zbiegły z domu powróci do niego z posiłkami, by odebrać to, co zostało mu zabrane. Wydaje mi się, że nie ma w tym nic dziwnego.

– Ten fortel nie zdoła nikomu na długo zamydlić oczu... – zawahał się doradca.

– Wcale nie musi trwać długo, wystarczy, żeby baronowie zrozumieli, że nie mają zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji – zawyrokował Ludwik. – Jestem gotów odebrać Janowi koronę – czy to po dobroci, czy siłą, z pomocą baronów, albo i bez niej. Jeśli nie zdecydują się ruszyć do boju w tej chwili, będą mieli do czynienia ze mną i będą zmuszeni zatrzymać Jana na tronie, kiedy ja za kilka miesięcy ich zaatakuję. To co zrobię teraz, będzie tylko małą podpowiedzią, w którym kierunku powinni się udać. Trzy dni – tyle wystarczy, by wysłać moich ludzi do Dunchester. Jeśli w przeciągu trzech dni angielscy baronowie nie zdołają podjąć żadnego konkretnego działania, to pošlę do nich z wizytą moje okręty wojenne, poprzedzone wycieczką najemników, żeby wycięli w pień wszystko to, co napotkają na swojej drodze – jako odszkodowanie dla mnie za stracony czas.

„To próba destabilizacji terytorium całego kraju” – przemknęło Ianowi przez myśl. „Książę nie chce, by Jan bez Ziemi zdołał zaprowadzić pokój siłą, nawet jeśli nie będzie miał innego wyjścia, jak zmusić baronów do wszczęcia rebelii. Zamierza użyć Martewalla, żeby podtrzymać ferment wśród feudałów, prowadzący do rewolucji. W ten sposób Dunchester stanie się kroplą, która przepełni czarę goryczy w imię przyszłych wydarzeń”.

Wstrząsnął nim dreszcz na myśl o tym, ile krwi może w rzeczywistości zostać

przelanej w wyniku tego planu.

Ludwik był budzącym postrach i zaciętym wojownikiem. Teraz, kiedy położono przed nim ofiarę, której wyczekiwał i o której marzył od lat, za żadne skarby nie zamierzał z niej rezygnować. Był gotów zaryzykować i zrobić krok, na jaki jego ojciec Filip nigdy by się nie odważył. Ian był pewien, że książę dopnie swego. Teraz już wiedział, jak miała się zacząć historyczna rewolucja, która doprowadzi aż do Londynu i do podpisania Magna Charta Libertatum. Wszystko zaczynało się od jednej iskry skrzesanej w Dunchester.

Delfin patrzył chwilę na Martewalla, po czym dodał:

– Czy uznajecie ten plan za rozsądny, *sir*?

Anglik był blady jak ściana. Wiedział, że zamiar księcia stawia Dunchester między młotem a kowadłem. Miało tam ponownie dojść do bitwy, do krwawej kaźni, nie było jednak sposobu na uniknięcie ponownego rozlewu krwi – niezależnie od tego, czy zamek miał pozostać w rękach Jana bez Ziemi, czy też Francuzów posłanych przez Delfina w celu jego odzyskania. Jedyna różnica była taka, że w przypadku tej drugiej opcji przelana krew nie należałaby już do mieszkańców Dunchester, lecz wyłącznie do sojuszników Murrowa i króla.

– Panie, moim ludziom grozi śmierć z rąk tyrana, ja zaś nie mam już nic do stracenia, z wyjątkiem mojej własnej zemsty. Gotów jestem na wszystko, byle tylko odebrać tron człowiekowi, który dokonuje krwawych czystek w moim własnym domu – odpowiedział w końcu Martewall, płonąąc od gniewu i nienawiści.

– Co zaś powiecie, jeśli król Jan zażąda wyjaśnień? – zapytał doradca księcia z naganą w głosie.

Delfin machnął ręką z irytacją.

– Ma moje całkowite poparcie, by potępić ostatnie wydarzenia. Niestety, najemnicy są teraz powszechnym problemem i sprzedaje się ich temu, kto zaoferuje najlepszą cenę. Po wojnie we Francji niewiele jest regularnych wojsk do dyspozycji suwerenów, ja zaś nie jestem w stanie kontrolować każdej łodzi wypływającej z portu i zdarza mi się przeoczyć, że czasem zamiast towarów handlowych przewozi się zbrojnych.

– Oskarżą nas o przekazanie statku *sir* Martewallowi!

– Będą musieli to udowodnić. Mój ojciec nigdy nie wydał takiego rozkazu, bez jego przyzwolenia zaś żaden żołnierz nie może ruszyć się z Francji.

– Wasz ojciec nigdy nie pozwoliłby na coś takiego.

– A niby dlaczego miałyby mieć obiekcje? Oficjalnie ani on, ani ja osobiście w tym zatargu nie uczestniczymy. Cała odpowiedzialność spada na *sir* Geoffreya i jego towarzyszy broni. Sam papież nie może zaprotestować. Jeśli miałyby się to źle skończyć, nic na tym nie stracimy, a dowiemy się, jak bardzo butni są Anglicy i ile mają w sobie zapалу do walki. Takie informacje w przyszłości mogą się okazać

bezcenne.

Doradca musiał ustąpić. Wytracono mu z ręki wszelkie argumenty.

– Tak czy siak, należy wysłać list do Paryża, i to jak najszybciej. Donieście królowi o mojej decyzji. Wystarczy gołąb pocztowy – zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu. Chcę odpowiedzi w przeciągu najbliższych dwóch dni, później zdecyduję, czy posłać okręty do Anglii. Należy kuć żelazo, póki gorące, ja zaś nie chcę, by zapal lorda Salisbury ostygł.

– Spróbujemy zrobić, co w naszej mocy, książę.

– Zróbcie, co w waszej mocy. Próbowanie nie wystarczy.

– Tak, książę.

Dwa dni oczekiwania. Zdawały się długie jak wieczność, jednak Ian wiedział, że plan księcia jest jego ostatnią nadzieją. I tak udało się wiele ugrać – Ludwik, bez względu na opinie swoich doradców i niekorzystny obrót spraw, zdecydował się na wypad do Anglii. Zerknął na Ponthieu, zastanawiając się, co też może myśleć o zajściu. Książę był zamyślony, ale spokojny. Ian zaczął podejrzewać, że pomysł Delfina wcale go nie zaskoczył.

„Może rozmawiali już o tym wcześniej” – domyślił się.

– Książę, plan, który chcecie wprowadzić w życie, jest jednakowoż ryzykowny – powiedział w końcu Guillaume. – Jeśli chcemy sprawić wrażenie kontyngentu najemników i przypadkowych żołnierzy, nie możemy posłać zbyt wielu oddziałów, co może zadziałać na naszą niekorzyść przy ataku na Dunchester. Ryzykujemy, że nasze oblężenie może się okazać nieskuteczne.

– Zamek jest przecież zniszczony – przypomniał Ian, szukając wzrokiem wsparcia Martewalla, ten przytaknął. – Oblężenie zniszczyło bramy po zewnętrznej stronie barbakanu. Nie sądzę, żeby zdołali wszystko naprawić w tak krótkim czasie. Również różnica wysokości między zwodzonym mostem a fosą została wypełniona ziemią i gruzem.

– Wciąż jednak pozostaje problem zbliżenia się do zamku bez stawiania wszystkich w stan gotowości – odrzekł Ponthieu. – Przy niewielkiej liczbie ludzi trzeba wykorzystać efekt zaskoczenia.

– Tutaj oczekuję, że wykoncypujecie jedną z waszych osławionych strategii – powiedział Delfin, żeby czym prędzej odsunąć od siebie dyskusję o zbędnych detalach, którymi przecież mógł się zająć ktoś inny. – Liczę na waszą przezorność. Niech i tym razem dowiedzie, jak wiele jest warta.

„Tak jakby to było takie proste” – pomyślał Ian, Guillaume jednak odpowiedział:

– Stanie się tak, jak sobie tego życzyacie, jednak obecność króla Jana w Dunchester komplikuje sytuację. Nierozsądnie byłoby atakować, gdy monarcha – a wraz z nim jego oddziały – znajduje się w miejscu przyszłego oblężenia. W dodatku, jeśli chcemy wywołać reakcję wśród baronów, o wiele łatwiej będzie nam ją osiągnąć, jeśli

podłożymy ogień, gdy Jan bez Ziemi będzie na tyle daleko, że nie zdoła błyskawicznie interweniować ani ugasić płomienia w zarodku.

Tym razem Delfin musiał przytaknąć.

– Tak, to rzeczywiście można uznać za problem.

– Musimy skorzystać z pomocy lorda Salisbury – mówił dalej Ponthieu. – To do niego należy poskromienie krwawego gniewu króla, dopóki ten przebywa w Dunchester. Ruszemy do boju wtedy, gdy Jan bez Ziemi opuści to miejsce i odjedzie w swoją stronę.

Iana ponownie obleciał strach.

– Możemy czekać jeszcze przez wiele dni! Król Jan może zdecydować się odejść dopiero wtedy, gdy ukarze już wszystkich skazańców – zawahał się, a w jego głosie zabrzmiała rozpacz.

– Wątpię, by król miał aż tak wiele czasu do dyspozycji – odpowiedział Ponthieu. – Na pewno nie w obliczu niepokojących wieści, które docierają do niego z różnych części kraju. Ten sam lord Salisbury informuje nas przecież, że pozostali feudałowie z trudem powstrzymują się od rebelii, nasi szpiedzy zaś potwierdzają te informacje. Król Jan prędko opuści Dunchester, by udać się w inną stronę, i pozostawi brudną robotę w czyichś innych rękach. Miejmy nadzieję, że wybierze do tego lorda Salisbury.

– A jeśli...

– To ryzyko, które jesteśmy zmuszeni ponieść. Nie mamy wyboru. Dunchester musi być jak najbardziej osłabione, kiedy będziemy atakować.

Ian wiedział, że księżę ma rację, nie było mu jednak łatwo się z tym pogodzić.

Strata czasu, znowu.

Czasu zmarnowanego na oczekiwanie.

Czasu, w którym mogło wydarzyć się najgorsze.

„Nie powinienem był uciekać z Dunchester i pozostawiać Daniela na pastwę losu, samego” – poczuł zalewającą go falę wyrzutów sumienia, mimo iż wiedział, że w tamtej chwili nie miał innego wyboru.

„Jeśli coś mu się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę” – pomyślał raz jeszcze.

Ponthieu zdołał dojrzeć te myśli w jego zaniepokojonych oczach i uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

Ian nie poczuł się jednak lepiej. Zerknął na Martewalla i zobaczył, że niepokój Anglika jest jeszcze większy. „Wszystko wymknęło się nam spod kontroli” – pomyślał z goryczą.

– Damy radę uprzedzić lorda Salisbury w krótkim czasie? – zapytał księżę.

Całą siłą woli Ian ponownie skupił swoją uwagę na księciu. Przytaknął.

– Gонец, który dostarczył mi list, ma ze sobą kilka gołębi pocztowych.

– A więc możemy natychmiast zawiadomić ich właściciela, że jesteśmy gotowi

pospieszyć mu z pomocą, jeśli pozwolą na to warunki. Niech oczyści nam drogę, jeśli naprawdę chce mojego wsparcia. Nic więcej nie mogę zrobić.

Ian skłonił się. Serce ciążyło mu jak kamień.

*

Rozdział 37



Ulewa nie ustępowała i były to dobre wieści. Impet egzekucji osłabł, ponieważ brakowało publiczności – ludzie zniechęceni deszczem nie wychodzili z domów. Publiczne kary straciły przez to swój efekt i wymiar społecznego ostrzeżenia.

Daniel modlił się, by brzydka pogoda trwała jak najdłużej i by strugi deszczu dalej mieszały się ze śniegiem, tak jak teraz. Zaczęło padać już o wschodzie słońca i śłota utrzymywała się aż do popołudnia. Dzięki temu zdołali zyskać cały poranek.

– Mamy szczęście, nie ma co – powiedział William de Longespée za plecami Daniela. – Jeśli to się przeciągnie, uda nam się zaoszczędzić jeszcze trochę czasu.

Daniel odwrócił się do Anglika siedzącego przy stole w swej prywatnej komnacie. Mężczyzna spoglądał za otwarte okno, pogrążony w tych samych myślach, jakie kłębiły się w głowie młodzieńca.

– Miejmy taką nadzieję – odparł Daniel. – Byleby tylko przyhamować wykonywanie wyroków Murrowa.

– W tym chłopaczysku jest tyle zapалу, ile głupoty i tchórzostwa – prychnął lord Salisbury. – Wczoraj chciałem go trzasnąć. Gdyby tylko dookoła nie kręciło się tylu szpiegów Jana... Feudał nie powinien być tak młody, nie jest wystarczająco dojrzały, by decydować o życiu innych ludzi. Podczas procesów miał czelność traktować starszych i szlachetniejszych od siebie rycerzy jak zwykłych kryminalistów. Niestety, nie mogę obarczać go winą całkowicie. Jan sterroryzował go tak, jak mu pasowało, a ten, żeby nie narażać się na jego gniew, poniżał się do tego stopnia, iż wcielił się za niego w rolę kata. Niejeden dorosły, którego znam, na jego miejscu zrobiłby dokładnie to samo.

Daniel nie odpowiedział, jednak książę w lot pojął wymowną ciszę, jaka zapadła.

– Wiem, o czym myślicie – podjął. – Ja również nie ważę się na otwarte przeciwstawienie się królowi, mimo że jestem bardziej doświadczony i mam większą władzę niż Nigel Murrow. Myślę jednak, że wystarczająco jasno wyraziłem się co do mojej pozycji, rozmawiając z *monsieur* Ponthieu. Jestem przyrodnim bratem króla. Nie mogę opowiedzieć się przeciwko Janowi dopóty, dopóki moja rodzina będzie żyła na jego dworze. Wszyscy moi najbliżsi znajdują się w jego rękach. Jestem świadomy, że on nie jest godzien miana króla, ale – nie bawiąc się w hipokryzję –

póki co mnie traktuje lepiej od pozostałych feudałów. Nie zacznę otwartej wojny, ryzykując własne życie i życie moich dzieci, dopóki ci, w imieniu których chciałbym walczyć, nie ruszą się jako pierwsi i nie dadzą mi rzetelnej gwarancji co do przyszłości.

Daniel musiał przyznać mu rację. Politycznemu rozumowaniu lorda Salisbury, choć nie należało do łaskawych, nie można było nic zarzucić. Na jego miejscu każdy zachowałby się tak samo.

– Inaczej wygląda przypadek Murrowa – ciągnął lord Salisbury. – On od samego początku nie był wmieszany w tę całą intrygę. Wyszedł przed szereg, ponieważ chciał skorzystać na słabości własnego sąsiada i zdobyć uznanie przed obliczem króla. Jego lenno podlega tym samym podatkom, które ciążyły Dunchester i wszystkim innym. On jednak, zamiast pomóc swoim odwiecznym sojusznikom lub choćby zachować neutralność, aby nie zaszkodzić wspólnym celom, wolał pokusić się o korzyść wyłącznie dla samego siebie – kosztem tych, którzy znajdowali się blisko niego. Mam nadzieję, że to tylko niefortunna decyzja niedojrzałego chłopaczka, jestem jednak pewien, że jego nauczyciele ponieśli porażkę, próbując wpoić mu, czym jest honor, jego doradcy zaś nieudolnie nauczyli go strategii politycznych. Być może Murrow włączy Dunchester w poczet swoich ziem, ale z pewnością nie będzie mógł liczyć na pomoc innych feudałów. Obedrą go raczej z ostatnich szat, kiedy tylko zajdzie taka sposobność, i wtedy wszystkie jego bogactwa, które zdobył kosztem sąsiada, szybko obrócić się w pył.

– Chyba tylko tym gorzej dla niego, prawda? – odparł Daniel z odrazą.

– Tym gorzej dla niego – powtórzył jak echo lord Salisbury i rozłożył na blacie biurka dwa pergaminy, które dotarły do niego tego samego poranka na dwa różne sposoby. Pierwszy z nich – miniaturowy skrawek – przybył zza morza dzięki skrzydlatemu posłańcowi; drugi – większy i zalepiony lakiem – został mu wręczony osobiście.

Właśnie w związku z tymi dwoma listami Daniel został wezwany przed oblicze lorda Salisbury, do jego prywatnych komnat, pod oficjalnym i banalnym pretekstem przedyskutowania szczegółów jego okupu i okresu służalczej pracy na rzecz feudała.

Daniel rozpoznał nieomylnie charakter pisma na maleńkim kawałku pergaminu i sam jej widok napełnił go nieskończoną radością. Było to pismo Iana, które potwierdzało zamiary Delfina i jego chęć pomocy lordowi Salisbury, kiedy tylko nastaną odpowiednie warunki do interwencji – z których najważniejszym był wyjazd Jana bez Ziemi z Dunchester. Jednocześnie prosił księcia o możliwe ograniczenie strat w ludziach.

Większy pergamin zaadresowany był w języku angielskim, w woskowym laku zaś odbito nieznanemu Danielowi herb – geometryczny rysunek złożony z dwóch trójkątnych elementów z oddzielającym je poziomym pasem.

– Egzekucja *sir* Haralda Martewalla wywołała silne reakcje – wyjaśnił lord Salisbury. – *Sir* Robert Fitz-Walter wyraża swoje oburzenie i jest gotowy chwycić za broń. Szuka popleczników i jeśli zdoła przekonać pozostałych baronów, będzie gotowy do walki w przeciągu czterech lub pięciu dni.

„Chwyci za broń, i to niedługo” – pomyślał Daniel. „Ian twierdzi, że ten mężczyzna stanie na czele całej rewolty. Wreszcie się zdecydował. Musiała polecieć czyjaś głowa, żeby zechciał się ruszyć”.

Teraz chłopak wpatrywał się w deszcz rozmazujący krajobraz za oknem w nadziei, że taka pogoda utrzyma się przynajmniej przez tydzień. Potem Murrow i najemnicy zajmujący twierdzę mieli mieć o wiele więcej spraw na głowie niż tylko egzekucje przebywających w lochach więźniów.

Przez ten krótki czas mogło zdarzyć się jeszcze wiele rzeczy, zwłaszcza jeśli kat zabrałby się sumiennie do pracy.

– Musimy uprzedzić mojego pana – powiedział Daniel. – Te wieści sprawią, że posiłki z Francji nadejdą prędkiej.

– Poślę im wieści, że król Jan już stąd wyjechał i że Fitz-Walter szykuje się do boju. Powinno im wystarczyć. – Lord Salisbury wskazał pergamin leżący na stole i dodał: – Jednocześnie poinformuję Fitz-Waltera o gotowości Delfina. Myślę, że dojdą do porozumienia w kwestiach zbrojnych. To dwóch zagorzałych wojowników, a zresztą czekali już zbyt długo z założonymi rękoma. Na wieść o tak potężnym sojuszniku Fitz-Walterowi nietrudno będzie przekonać pozostałych, by też chwycili w dłoń swe miecze.

Książę zamilkł i się zamyślił, po dłuższej zaś chwili rzekł:

– Ofiara *sir* Haralda zdaje się przyspieszać w dużej mierze obrót spraw. Teraz już baronowie dojrzeli do działania. Ucieszyliby się, gdyby się o tym dowiedział.

Daniel był tego samego zdania. Znając dumę starego barona, nie można było wątpić w radość, którą na pewno by poczuł na wieść o tym, że jego poświęcenie nie poszło na marne i przyczyniło się do spełnienia jego marzeń. Angielscy baronowie już wkrótce mieli odzyskać utracone prawa, Jan bez Ziemi zaś miał zostać strącony z tronu.

– Czy zdołamy póki co powstrzymać Murrowa? – zapytał chłopak po chwili.

Lord Salisbury spojrział na niego z ukosa.

– Zdaje się, że już zaczęliście działać na własną rękę. Mam wrażenie, że nie udzieliłem wam na to mojego pozwolenia.

Daniel wyprostował plecy.

– Każdy robi to, co może, w zależności od tego, jakimi środkami dysponuje.

– Zdajecie sobie sprawę, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, to wy zostanieie oskarżeni o sabotaż i spisek i również wasza głowa trafi pod topór kata? Nawet ja nie będę w stanie was wtedy obronić, gdyż nie będę miał wystarczająco wiarygodnego

usprawiedliwienia przed Murrowem i najemnikami Jana – ciągnął książkę.

Daniel zmusił się do zachowania pozorów spokoju. Nie było mu łatwo.

– Chwilowo nie wiem nawet, czy uda mi się dopiąć celu, a więc nie ma się czego obawiać.

– Ależ nie, wasz plan dojdzie do skutku, nie wiadomo tylko kiedy ani w jaki sposób – odparł lord Salisbury. – W Dunchester jest aż nadto zapaleńców, którzy czekają tylko na sposobność, by obalić szubienice. Widać to było już od pierwszego dnia oblężenia. Wasz apel z pewnością spotka się z odzewem. Miejmy tylko nadzieję, że wasi wspólnicy – o których wciąż niewiele mi wiadomo – nie dadzą katom Murrowa innych powodów do pracy.

„I ja mam taką nadzieję” – życzył sobie w sercu Daniel, jednak odpowiedział z niezachwianą butą:

– Działają dla bezpieczeństwa nas wszystkich. Liczę na wasze wsparcie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Lord Salisbury skrzywił się w uśmiechu.

– Postawiliście mnie przed faktem dokonanym i nie mogę zrobić nic innego, jak tylko się na to zgodzić, przynajmniej na razie. Nie zdołam was już zatrzymać.

– Spójrzcie na to z innej strony. W ten sposób przychylicie się do prośby mojego pana, który błaga was o ograniczenie szkód wyrządzonych przez króla.

Lord Salisbury westchnął.

– Zaczynam gorzko żałować dnia, w którym spotkałem was i *monsieur* Jeana Marka de Ponthieu. Zanim to się stało, życie zdawało mi się o niebo łatwiejsze.

„Kto wie, czy i Guillaume de Ponthieu nie jest tego samego zdania?” – Daniel zadał sobie w duchu pytanie.

– *À propos* spotkań... – powiedział tymczasem głośno. – Co takiego opowiedzieliście królowi na temat naszego pierwszego spotkania, podczas którego teoretycznie zaciągnęliście u mnie dług honorowy?

– Powiedziałem mu, że ocaliliście mi życie podczas bitwy pod Bouvines. Powstrzymaliście francuskich żołnierzy od zdradzieckiego morderstwa – odparł lord Salisbury z wymownym spojrzeniem. – Ufam, że przyczyniło się to do zwiększenia sympatii króla wobec waszej osoby podczas waszego – jakże genialnego – wystąpienia.

„Ta... Mnie też się tak zdaje” – pomyślał Daniel, czując wciąż silne dreszcze na samo wspomnienie swojej szaleńczo niebezpiecznej rozmowy z koronowaną głową. Gdyby nie udało mu się zjednać sobie Jana bez Ziemi, mógł skończyć na szubienicy.

Wspominając te pełne napięcia chwile, sam się dziwił, że zdołał przeprowadzić tego rodzaju rozmowę z Janem bez Ziemi. „Wszystko dzięki temu, że tyle razy widziałem Iana w akcji, to od niego się nauczyłem, jak sobie radzić” – przemknęło mu przez myśl. „To tak, jakby znaleźć się w wodzie po szyję – od razu łatwiej jest

nauczyć się pływać” – dodał w chwilę później. Ian często mu to powtarzał i dopiero teraz chłopak pojął prawdziwy sens słów swojego przyjaciela.

Lord Salisbury odłożył troskliwie pergaminy do szuflady zamykanej na klucz, po czym wezwał *sir* Gorvenala, by ten sprowadził strażę, które miały towarzyszyć Danielowi w drodze do jego komnaty. Rycerz wkroczył do sali, przyjął rozkazy i zniknął. Kilka chwil później wrócił, prowadząc ze sobą gwardię, która dotąd czekała wzdłuż korytarza, ustawiona w odpowiedniej odległości od prywatnych komnat księcia, tak by nikt nie zdołał usłyszeć ani jednego słowa z dyskusji toczącej się za drzwiami.

– Czy mogę chociaż pospacerować po zamku? Czuję się jak w klatce, zamknięty w czterech ścianach mojego pokoju – jęknął Daniel podczas oczekiwania na eskortę.

– Lepiej nie, mając na względzie szalone i nieprzewidywalne pomysły, które mogą wpaść wam do głowy – uśmiechnął się lord Salisbury. – Będę spokojniejszy, wiedząc, że macie ograniczony zakres działania.

Daniel prychnął cicho, musiał się jednak pogodzić z decyzją księcia.

Gorvenal powrócił wraz ze strażnikami, towarzyszył mu jednak także jeden żołnierz Murrowa.

– Co się dzieje? – zapytał lord Salisbury, marszcząc brwi. Również Daniel poczuł niepokój, ponieważ twarz mężczyzny zapowiadała złe wieści.

– Milordzie, przybywam, by was poinformować, że na zewnętrznym dziedzińcu zdarzył się wypadek – odpowiedział żołnierz. – Konstrukcja szubienic ustąpiła pod wpływem deszczu i runęła na ziemię.

Książę rzucił piorunujące spojrzenie w kierunku Daniela, po czym zapytał:

– Czy są ranni?

– Tak, panie. Po pierwszym, częściowym obłuzowaniu konstrukcji cieśle pobiegli zobaczyć, co się dzieje, a kiedy badali strukturę belek, te ustąpiły całkowicie.

„Przygotowali perfekcyjne przedstawienie” – ucieszył się Daniel w duchu, żołnierz zaś mówił dalej:

– Dwie osoby są lekko ranne, belki przygniotły jednemu nogę, a drugiemu ramię.

– Czy ktoś zajął się tymi ludźmi? – zapytał jeszcze lord Salisbury.

– Tak, milordzie. Ranni zostali przeniesieni do komnaty i opatrzeni.

– A więc proszę oczyścić teren. Poczekamy, aż przestanie padać – zdecydował naprędce książę. – Przekażcie *sir* Nigelowi, by nie wznawiał robót, dopóki moi ludzie nie zbadają sytuacji. Chcę się upewnić, co tak naprawdę się stało, zanim ponownie przystąpimy do prac budowlanych.

Lord Salisbury odwrócił się w stronę Daniela, rozkładając ręce w udawanym geście rozczarowania, podczas gdy żołnierz Murrowa ruszał, by złożyć raport swojemu panu.

– Zajmie to kilka dni, niestety – westchnął.

Daniel z trudem ukrył uśmiech.

Forteca w Dunkierce nie miała dziedzińca z prawdziwego zdarzenia – otaczały ją ostre krawędzie skał niewielkiego wzniesienia, z którego rozpościerał się widok na port. Znajdował się tam jednak mały plac, ulokowany ponad pierwszą kondygnacją budowli. By na niego dotrzeć, należało wspiąć się stromą, skalistą dróżką, wyłożoną szerokimi kamiennymi stopniami, ewentualnie przez tylne wyjście z pierwszego piętra wieży strażniczej, umieszczone na tym samym poziomie.

Plac otoczony był murem zwieńczonym blankami, skąd można było podziwiać skłębione fale otwartego morza.

Ian odkrył to miejsce przypadkiem, mijając otwarte drzwi wieży strażniczej. Już prawie od doby czas upływał mu na oczekiwaniu na wiadomości – czy to z Paryża, czy z Anglii. Zżerały go od środka myśli na temat możliwych odpowiedzi i teraz, by pozbyć się wewnętrznego podenerwowania, kręcił się bez celu po zakamarkach fortecy. Poprzedniego poranka zwiedził w ten sposób połowę zamku. Teraz, kontynuując swoją nerwową wędrówkę, dotarł do placu.

Podszedł do otwartych drzwi wychodzących na zewnątrz i z zaskoczeniem ujrzał Martewalla na samym środku placu.

Ian nie widział się z Anglikiem od poprzedniego dnia i wiedząc, że ten z całą pewnością nie opuścił fortecy, był przekonany, że po audiencji z Delfinem zamknął się w swojej komnacie i siedział w niej cały czas, potrzebując ciszy i spokoju, aby poradzić sobie z bólem i strachem wywołanym przez wieści z Dunchester.

Młody baron tymczasem był na placu, z mieczem w rękę. Porzucił swój płaszcz na suchym skrawku kamiennego bruku i ćwiczył, sam jeden.

Usiłował pozbyć się wściekłości i rozpacz, które widoczne były w jego gwałtownych, szybkich ruchach, kiedy zamachiwał się mieczem i kręcił nim w powietrzu, ćwicząc pozycje ataku i przyjęcia. Zdawało się, że walczy z niewidzialnym wrogiem – w jego wzroku była ta sama zajadłość, która zapalała się w jego jasnych tęczęwkach podczas bitwy. I jemu to wymuszone oczekiwanie musiało ciążyć jak kamień u szyi.

Ian nie odważył się przekroczyć progu, nie chciał zostać zauważony ani przeszkadzać w tak intymnej chwili. Usunął się na bok, by przez chwilę popatrzeć na Anglika. Po raz pierwszy tak naprawdę dostrzegł nieludzką perfekcję Martewalla.

„Być może to najlepszy rycerz wśród tych, których dane mi było jak dotąd poznać” – powiedział sam do siebie Amerykanin, czując szczerzy podziw.

Mimo oczywistej wściekłości, która napędzała gesty rycerza, ruchy Anglika były eleganckie i precyzyjne, a przy tym niewiarygodnie szybkie i dokładne. Ostrze

miecza zdawało się naturalnym przedłużeniem jego ramienia.

Ian nigdy w życiu nie widział broni poruszającej się w takim tempie w rękę człowieka. „Całe szczęście, że kiedy stanęliśmy do pojedynku w Dunchester, był już zmęczony po bitwie” – pomyślał, czując dreszcz przebiegający mu po plecach. „W przeciwnym wypadku mogłoby się to dla mnie bardzo źle skończyć”.

Profesjonalizm Martewalla musiał być owocem nieustannych treningów, odbywanych regularnie i to nie tylko za czasów, kiedy wciąż był giermkim pod czujnym okiem starszego rycerza. Prawdopodobnie i teraz na treningi Martewall poświęcał większą część swojego czasu.

Jako ostatni z trzech męskich potomków w rodzinie szlacheckiej, pozbawionej nadzwyczajnych bogactw, Goeffrey z pewnością nie mógł liczyć na to, że któregoś dnia stanie się władcą lenna ani że odziedziczy ziemie, z których dochód pozwoli mu na dostatnie życie. Ian wiedział, że w średniowieczu ostatni męski potomek mógł sobie zapewnić godny byt tylko na dwa sposoby: albo kształcąc się na duchownego, albo zarabiając ostrzem swojego miecza. Zwycięstwa w turniejach owocowały zazwyczaj cennymi nagrodami i wielu było rycerzy, którzy w ten sposób zdołali zapełnić swoje skarbcze.

Martewall wybrał tę drugą drogę. Nieprzypadkowo Jerome Derangale chciał mieć go u swego boku podczas turnieju w Béarne – jako weteran w tego rodzaju konkursach bezgranicznie ufał umiejętnościom swojego przyjaciela.

Pogrążony w myślach, Ian nie był dość szybki, by skryć się do wnętrza wieży, kiedy młody baron, po raz dziesiąty powtarzając ćwiczenie na odparcie ataku, odwrócił się w jego stronę.

Angielski rycerz z zaskoczeniem zauważył, że ktoś obserwuje go od dłuższej chwili. Zatrzymał się w pół kroku. Wyciągnięte ramię, w którym trzymał miecz, opadło wzdłuż ciała. Wyprostował przygięte plecy.

Nie przywitał się ani o nic nie zapytał. Jego oddech był delikatnie przyspieszony.

– Walcz ze mną – zaprosił.

Ian pokręcił przecząco głową.

– Jest za zimno – wykręcił się.

Martewall nalegał.

– Chodź i stań ze mną do walki – powtórzył, jednak w jego głosie nie było wrogości. Zwrócił się z prośbą – nie z wyzwaniem.

– Tylko raz, zgódź się. Nie poproszę cię o to nigdy więcej.

Ian przystał na to niechętnie, po pierwsze dlatego, że naprawdę było zbyt zimno, by poruszać się swobodnie bez płaszcza na świeżym powietrzu, a po drugie ponieważ postanowił już nigdy nie skrzyżować ostrza swego miecza z mieczem Martewalla. Nie bał się go, nie chciał jednak stwarzać okazji, przy której ich zadawniony konflikt mógł na nowo się zaognić. Po tysiącach perypetii i ciągłej wrogości zdołali osiągnąć

ciche porozumienie i Ian nie chciał narażać tej kruchej zgody.

Geoffrey jednak wyraził swą prośbę z taką powagą, że odrzucenie jej można było uznać za niegrzeczne. Ian pogodził się z tym, co musiał zrobić, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego Anglik tak bardzo chciał się z nim zmierzyć właśnie w tej chwili. Miał w głowie gotową odpowiedź, ale wolał zatrzymać ją dla siebie aż do końca pojedynku – po to, by przekonać się, czy jest prawdziwa.

Zajął miejsce na środku placu defilad i zatrzymał się przed swoim przeciwnikiem. Obnażył powoli swój miecz, po czym ustawił się w pozycji obrony. Czekał.

Martewall przygotował się do walki z takim samym spokojem, po czym runął na niego jako pierwszy.

Ian jeszcze bardziej docenił zdolności rywala, kiedy został zmuszony stanąć przed nim twarzą w twarz. Musiał całkowicie się skoncentrować, by dotrzymać mu kroku.

Anglik był niższy i mniej postawny od niego, jego przewaga zaś polegała na kunszcie i fachowości. Ten poziom sprawności mógł osiągnąć wyłącznie prawdziwy rycerz. Do takiej perfekcji, mimo usilnych starań, Ian nigdy nie zdołałby dojść.

Mimo wszystko przez kilka chwil Amerykanin radził sobie nieźle, chociaż z trudem. Udało mu się nawet co najmniej dwa razy zagrozić Anglikowi, później jednak, tak jak można to było przewidzieć, musiał zacząć ustępować pola.

Martewall zablokował jego miecz swoim własnym ostrzem – był to ruch, którego i Ian nauczył się swego czasu od księcia Ponthieu. Baron wyrwał mu broń z ręki i sprawił, że wzbiła się wysoko w powietrze. Błyskawicznie uniósł w górę lewą rękę i złapał miecz. W powietrzu rozległ się głośny brzdęk – zgrzyt metalu uderzającego o metal.

Geoffrey zatrzymał się w jednej chwili, jeszcze zanim zakończył ripostę. Miał przed sobą dwa wyciągnięte ostrza, skrzyżowane jak nożyce, znajdujące się o kilka centymetrów od szyi Iana.

Ten nie próbował się cofnąć ani nie pozwolił na to, by z jego gardła wyrwał się choć najcichszy okrzyk. Wiedział doskonale, że brakowało bardzo niewiele, by Martewall jednym cięciem pozbawił go głowy.

Tym razem jednak Amerykanin nie czuł nawet krzty strachu – i nie była to pewność związana z tym, że znał swą przyszłość, ani świadomość, że w obecnej sytuacji młodego barona łączyły z nim potężne więzy zobowiązań i że był Martewallowi potrzebny, by ten mógł ocalić to, co pozostało z jego domu.

Była to raczej kwestia zaufania. Ian wiedział już, że Geoffrey któregoś dnia i tak będzie chciał wyrównać z nim rachunki, ale nigdy nie posunąłby się do niehonorowego zagrania, ataku bez ostrzeżenia. Gdyby zapałał chęcią do walki na śmierć i życie, musiałby wyzwąć go na regularny pojedynek.

Ian wytrzymał stalowe spojrzenie swojego przeciwnika. Nie powiedział ani słowa. Również Martewall badał go uważnie wzrokiem, szukając choć cienia niepewności

w oczach swego rywala. Na próżno.

Przez chwilę jednym ruchomym punktem w całej tej scenie były ledwo zauważalne obłoczki pary wydobywające się z ust rycerzy, gęstniejące w lodowatym powietrzu, kiedy usiłowali uspokoić przyspieszone oddechy.

– Powiedz mi prawdę. Chciałeś się przed nim po prostu popisać – powiedział wreszcie Ian żartobliwym tonem, przerywając ten niezwykle podniosły moment zamyślenia.

Martewall doszedł do siebie i z zaskoczeniem zerknął w górę w kierunku, który Ian wskazał mu palcem.

Do okna drugiego piętra wieży przyklejony był Lisi Ogon, trzymał się kurczowo parapetu i stał tak z oczami wybałuszonymi ze zdumienia i podziwu.

Martewall opuścił natychmiast miecze.

– Nie widziałem go – wymamrotał półgłosem.

– Jeszcze się przyzwyczaisz – odpowiedział Ian. – Jest w stanie pojawić się znikąd i to w najmniej spodziewanym momencie.

Amerikanin także spojrział w stronę okna i machnął ręką do chłopca. – A ty co tam robisz na górze uczepiony parapetu jak kura na grzędzie? – krzyknął do niego.

– Nigdy, przenigdy nie widziałem takiego pojedyńku! – odkrzyknął Lisi Ogon ze swojego punktu obserwacyjnego, po czym zniknął z pola widzenia, bez wątpienia rzucając się biegiem w dół po schodach.

Ian tymczasem podszedł kilka kroków w kierunku Martewalla, który przesunął się nieco. Obracał mieczami w cichym zamyśleniu, by rozluźnić napięte mięśnie nadgarstków. Patrzył przed siebie, być może rozładowując jeszcze napięcie lub starając się zapanować nad irytacją spowodowaną niespodziewaną publicznością.

– Postanowiłeś zabrać mi go na zawsze czy może jednak oddasz? – zapytał Ian z wyciągniętą ręką.

Martewall rzucił mu miecz bez słowa.

Młodzieniec chwycił go w powietrzu, ale nie wsunął ostrza z powrotem do pochwy.

– Zadowolony jesteś? Czy może chcesz się jeszcze trochę popisać? – sprowokował go, ale bez złośliwości. Nie była to odpowiednia chwila na żarty, zwłaszcza że sytuacja ogólnie była dość tragiczna, Ian jednak miał potrzebę choć częściowego rozładowania wiszącego w powietrzu napięcia.

– Chciałem jeszcze raz wypróbować ruch, który udało mi się zaimprovizować kilka dni temu. Dobrze mi wtedy wyszedł, chciałem zobaczyć, czy znowu mi się uda. Mógłby mi się kiedyś przydać, jeśli dobrze go opanuję – wykręcił się Martewall. Jego odpowiedź daleka była jednak od tego, co tak naprawdę siedziało w jego głowie, podobnie zresztą jak pytania Iana nie miały nic wspólnego z tym, o czym myślał.

Była to bardzo dziwna rozmowa, zwłaszcza że żaden z nich nie chciał jako

pierwszy porzucić błahych tematów i przejść do jej prawdziwego sedna.

– I tym razem wyszedł ci całkiem nieźle, przynajmniej jak na moje oko – powiedział Ian, przeciągając ich dialog. – I mnie mógłbyś tego nauczyć.

Martewall zerknął na niego ponuro.

– A teraz kto się próbuje popisać przed chłopakiem?

Ian wzruszył ramionami i zdecydował się odłożyć miecz.

– Nieźle sobie radzisz – powiedział mu Geoffrey niespodziewanie. – Potrafisz zrobić dobry użytek ze swojego wzrostu. Już kiedyś zdałem sobie z tego sprawę.

Ian potrząsnął głową przecząco:

– Daleko mi do twojego poziomu, myślę, że teraz jest to jasne dla nas obu. Na całe szczęście nie zamierzałeś odebrać mi życia.

Martewall nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się długo w swojego rozmówcę, szukając jego wzroku.

– Nie masz najmniejszych wątpliwości. Naprawdę mi ufasz – stwierdził w końcu.

– A ty mi nie? – odpowiedział Ian. Teraz był śmiertelnie poważny. – Mamy razem wyruszyć na bitwę, nasze życia w pewien sposób łączą się ze sobą. Jak możesz zawierzyć mi swoje, jeśli będziesz musiał oglądać się za siebie?

Martewall zastanowił się nad pytaniem i w końcu skinął głową.

– Pewne kwestie zasadniczo się zmieniły przez kilka ostatnich dni – przyznał. – Nie wydawało mi się to możliwe.

Przypuszczenia Iana się potwierdziły. Młody baron chciał stanąć z nim w szranki przede wszystkim po to, by zyskać pewność.

Czy mu się udało? Któż to wie.

Lisi Ogon pojawił się na placu dokładnie w tym samym momencie, przeskakując przez próg otwartych drzwi i przerywając cichy pojedynek – teraz już tylko słowny – między rycerzami.

– Już się nie bijecie? – zapytał, rozczarowany.

– Czy ty nie masz w głowie niczego innego, jak tylko bijatyki? Myślę, że ostatnio widziałeś ich już dosyć... – upomniał go Amerykanin.

– Ale nigdy nie widziałem pojedynku pomiędzy dwoma rycerzami... i było to... naprawdę niesamowite! – pospieszył z usprawiedliwieniami chłopiec.

– Nic takiego, zwłaszcza że to on wygrał – powiedział Ian z krzywym uśmiechem.

– Chcesz rewanżu? Ja nie jestem zmęczony – próbował go sprowokować Martewall.

– Ale jest zimno, na dzisiaj wystarczy – odpowiedział Ian. – Jeśli jeszcze ci mało, możesz stanąć do boju z nim – wskazał na Lisiego Ogona.

Chłopczyk wytrzeszczył oczy.

– Ze mną!?

– To jest jakiś pomysł... – odparł Martewall, a w jego głosie nie było ironii. – Jest już wystarczająco duży, żeby zacząć się uczyć. Powiedziałbym wręcz, że stracił kilka lat treningu.

– Żartowałem tylko – powiedział nagle zaniepokojony Ian.

– Naprawdę chcecie mnie uczyć? – wykrzyknął tymczasem Lisi Ogon, cały roztrzęsiony z emocji.

– Teraz nie. To nie jest odpowiedni moment. Zostaw w spokoju *sir* Geoffreya, ma teraz sporo na głowie – upomniał go momentalnie Ian.

Lisi Ogon spojrział na Martewalla z przerażeniem.

– Wybaczcie mi – wymamrotał, wiedząc, że rycerz był teraz w żałobie, baron jednak gestem nakazał mu pozostać na miejscu.

– Nie, może tak będzie lepiej – odpowiedział. – Potrzebuję się czymś zająć, w przeciwnym razie zadreczę się na śmierć. Jeśli naprawdę chcesz nauczyć się władania mieczem, musisz się bardzo do tego przyłożyć, a ja mogę pokazać ci, jak zrobić pierwsze kroki.

– Ależ ja jestem zupełnie gotowy! – wykrzyknął chłopczyk. Był tak rozemocjonowany, że drżał jak trzcina. – Nauczę się wszystkiego bardzo szybko, zobaczycie. Nie zmarnujecie na mnie swojego czasu!

Ian spojrział na Martewalla wymownie.

– To nie jest dobry pomysł – zaprotestował. – Nie chcę, by nauczył się, jak trzymać miecz w dłoni. Wpakował się już nieraz w tarapaty i to tylko przez swoją procę.

– Ale ja mogę się przydać, jeśli mnie nauczycie! – nalegał Lisi Ogon. – Słyszałem, co się stało w Dunchester, wszyscy o tym mówią, chcę jechać tam z wami, kiedy wyruszyacie w podróż!

– My nigdzie nie jedziemy – odparł Ian. Nie chciał, by chłopiec wiedział zbyt wiele o sprawach dotyczących wyłącznie rycerzy.

– Może teraz jeszcze nie jedziecie, ale prędzej czy później wyruszyacie w drogę. Wróćcie i odbijcie zamek, jestem tego pewny. Chcę wrócić do Anglii i chcę stanąć z wami ramię w ramię, by obalić tyrana!

– Nie podlega to żadnej dyskusji – zawyrokował Ian.

Młody baron miał jednak inne zdanie.

– Powinien mieć do tego prawo – powiedział.

– Nie – Ian stanowczo zaprzeczył. – To jeszcze dziecko. Nie może wyruszyć na wojnę – n a w e t g d y b y jakakolwiek się zapowiadała.

– Nie jestem już dzieckiem – zaprotestował Lisi Ogon.

– Nie jest już dzieckiem, od kiedy na jego oczach prawie zginęła jego matka – zauważył Martewall.

Jego obserwacja była prawdziwa i Ian musiał to przyznać, mimo że nie chciał przystać na jego szalony pomysł.

– Nie jest odpowiednio przygotowany. Jeśli się z nami wybierze, to chyba tylko po to, żeby się wystawić na niebezpieczeństwo.

– To już inna sprawa – przytaknął Martewall, ku rozczarowaniu chłopca.

– Ale... – Lisi Ogon wciąż usiłował się sprzeciwić.

– Żadnej wojny – powiedział mu Ian. – Jeśli chcesz, możesz zacząć przyuczać się do szermierki, ale zanim nie staniesz się prawdziwym mężczyzną, nie pozwolę, byś stanął do boju w prawdziwej bitwie.

– Ale to zajmie jeszcze wiele lat!

– A więc oznacza to, że na następną wojnę będziesz już gotów.

– Tak czy siak potrzeba lat, by nauczyć się władać mieczem, chyba ci się nie wydaje, że załatwisz to w parę dni albo w tydzień? – dodał Martewall, uprzedzając dalszy sprzeciw zawiedzionego chłopca. – W każdym razie, jeśli chcesz, bym cię uczył – takie są warunki.

– Pozwólcie mi jechać z wami – po raz ostatni jęknął rozpaczliwie Lisi Ogon.

Geoffrey jednak dorównywał nieustępliwością Ianowi.

– Słyszałeś, co powiedział lord Ponthieu? Nie możesz wyruszyć na bitwę, zanim nie będziesz na nią całkowicie gotowy – powiedział stanowczo. – Jeśli chcesz się stać dzielnym i walecznym mężczyzną, któremu niestraszna jest wojna, musisz być posłuszny swoim opiekunom. W bitwie nie ma miejsca dla niedyscyplinowanych chłopczków, bo to właśnie nieposłuszeństwo jest pierwszym krokiem do śmierci. Teraz stoisz w obliczu wyboru: albo odrzucisz bezwzględną dyscyplinę i pójdiesz się bawić, albo znajdziesz dwa drewniane kije, których użyjemy zamiast mieczy w pierwszej fazie nauki.

Lisi Ogon przeżywał jedno rozczarowanie za drugim.

– Ale... dlaczego drewniane kije? Nie możemy przynajmniej używać prawdziwych mieczy?

– Wszyscy zaczynaliśmy od kijów. Chyba nie chcesz się pokaleczyć podczas pierwszej lekcji? – odparł Martewall.

Chłopiec musiał ustąpić.

– Zaraz wrócę – wymamrotał i rzucił się biegiem w drugą stronę, bez wątpienia w poszukiwaniu drewnianych kijów, których potrzebowali.

Kiedy tylko zostali sami, Ian zerknął z ciekawością na Martewalla.

– Lord Ponthieu? – powtórzył, zszokowany. Anglik po raz pierwszy wymienił jego nazwisko, na dodatek używając tytułu szlacheckiego.

Drugi rycerz wzruszył ramionami.

– Kiedy nadchodzi moment narzucenia dyscypliny, należy zawsze podkreślać pozycję innych.

– Skoro tak mówisz – odpowiedział Ian.

Lisi Ogon wrócił po jakichś dziesięciu minutach, niosąc ze sobą dwa proste kije,

trochę dłuższe niż ludzkie ramę.

– Dostałem od stajennych – zdążył wyjaśnić, kiedy Ian wciąż jeszcze zastanawiał się, jak zdołał je zdobyć w tak krótkim czasie.

– Dobrze, zaczynało nam się robić zimno, kiedy tak staliśmy w bezruchu – powiedział Martewall, zatykając swój miecz za pas i chwytając drewnianą imitację.

Ian zostawił ich na placu, by w spokoju mogli odbyć swoją lekcję, i skierował się w stronę drzwi. Kiedy dotarł do progu, odwrócił się po raz ostatni, by spojrzeć na rycerza, który tłumaczył coś chłopcu. Obaj zdawali się pochłonięci własnym towarzystwem i ćwiczeniami. Wyglądali jak dziwny rodzinny portret: dwóch Anglików na wygnaniu, z dala od domu, których rodzinę stanowiła wyłącznie jedna młoda kobieta, której należało bronić. Dla Martewalla była to Leowynn, dla Lisiego Ogonia – jego matka Brianna.

„Miejmy nadzieję, że ten moment spokoju to dobra wróżba dla obydwu” – pomyślał Ian.

Przekroczywszy próg, stanął nieoczekiwanie przed Guillaume’em de Ponthieu.

– Tutaj jesteście, nareszcie. Szukałem was – powiedział książę, zanim Ian zdążył zadać mu jakiegokolwiek pytanie. – Potrzebuję ciebie i *sir* Geoffreya Martewalla, aby ustalić szczegóły waszej wyprawy morskiej w kierunku Dunchester – kiedy i w jaki sposób chcemy wprowadzić plan w życie.

– Czy chwilowo możesz się zadowolić tylko moim towarzystwem? – zapytał Ian i wskazał na lekcję szermierki toczącą się na placu. – Chciałbym zostawić ich w spokoju na moment, o ile to możliwe.

Ponthieu przytaknął, jednocześnie koncentrując całą swoją uwagę na chłopcu i rycerzu.

Ian zrozumiał w lot, że mężczyzna zastanawia się nad konkretną kwestią.

– Masz już jakiś pomysł? – zapytał.

Ponthieu pokazał mu palcem Lisiego Ogonia. Na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie.

– Czy ten chłopiec jest godny zaufania?

Pytanie sprawiło, że Ian pożegnał się, aczkolwiek dosyć niechętnie, z nadzieją na utrzymanie Lisiego Ogonia z dala od wojennych tarapatów.

*

Rozdział 38



Niewielki orszak posuwał się naprzód w leśnych, zimnych ciemnościach, przemykając pomiędzy wilgotnymi pniami drzew i prowadząc konie za wodze. Nikt się nie odzywał, cała grupa w milczeniu podążała w ślad za dwoma przewodnikami. Wszyscy mieli na głowach czarne kaptury płaszczy i wyglądali jak pochód złożony z samych cieni.

Las odpowiadał ciszą, nawet wiatr osłabł, a światło zachodzącego słońca zastąpiła blada luna księżycyca przenikająca między nagimi gałęziami i rzucająca słaby blask na ścieżkę. Kroki ludzi i koni wygłuszała trawa i leśne runo – wilgotne po ostatnich deszczowych dniach.

Pierwszy z przewodników zatrzymał się, by popatrzeć na nieruchomą roślinność, posrebrzoną księżycowym światłem.

– Nie możemy iść dalej. Za bardzo się przybliżyliśmy. Musimy poczekać, aż wrócą zwiadowcy – powiedział i spojrzał na swojego kompana – wysoką postać w czarnym płaszczu.

Ian przytaknął i zerknął na cichy krajobraz.

– Jesteś pewien, że nas znajdą? Nie ustaliliśmy dokładnie miejsca spotkania, wiemy tylko, w jakiej są okolicy.

– Spokojnie. Stone powiedział, że to jego najlepsi ludzie. Już oni się tym zajmą – odpowiedział mu Martewall.

Ian obrócił się za siebie i spojrzał na resztę grupy – było ich około dziesięciu. Jego uwagę przyciągnęła najniższa i najdrobniejsza postać stojąca sztywno obok Etienne’a de Sancerre’a.

– Wszystko w porządku? – zapytał Amerykanin po angielsku i po francusku, by zrozumieli go wszyscy.

Sancerre położył dłoń na ramieniu Lisiego Ogona.

– Wszystko dobrze – odpowiedział w jego imieniu.

Nagły ruch za drzewami sprawił, że ręce mężczyzn automatycznie powędrowały do rękójści ich mieczy, ukrytych pod płaszcami.

Z leśnych zarośli wychylnęło dwóch ludzi, ubranych dla niepoznaki w ciemne szaty. I oni prowadzili ze sobą konie, ale zwierzęta były wyraźnie wyczerpane długim galopem na otwartej przestrzeni. Także mężczyźni usiłowali odzyskać równy oddech

po wysiłku.

Ian poczuł ulgę, widząc, że nie noszą barw wroga i że spotkanie z grupą w czerni w samym środku lasu nie jest dla nich zaskoczeniem. Byli to ludzie, na których czekali.

– Jakie są wieści? – zapytał pospiesznie.

– Potwierdzone. Król Jan opuścił Dunchester. Lord Salisbury i Murrow są natomiast w zamku – odpowiedział jeden z nich.

– A więc portu strzegą wyłącznie żołnierze? – zapytał Martewall.

– Wojskowi *sir* Nigela Murrowa i paru najemników – potwierdził drugi mężczyzna. – Nic się nie zmieniło, od kiedy wyjechaliśmy, poza tym, że wasi żołnierze zostali odsunięci od obowiązków po całym tym zamieszaniu na placu targowym. Lord Salisbury nie przyłączył swoich oddziałów do wojsk Murrowa, musiał zostawić cały port w rękach barona i najemników.

Ian i Martewall spojrzeli po sobie.

– Czy zrobił to specjalnie, czy też nie – i tak jest to nam na rękę – powiedział w końcu Martewall.

– Zrobił tak specjalnie, jestem tego pewny – odpowiedział Ian. – Wie, że jesteśmy w drodze.

– Miejmy nadzieję, że to znak dobrej woli lorda Salisbury i że chce nam pomóc. Oby to nie była pułapka, w którą wszyscy wpadniemy. Ja niestety nie jestem w stanie mu zaufać – nie po tym, co się wydarzyło – powiedział rozżalony Martewall.

– Kiedy król przebywał w Dunchester, lord Salisbury miał związane ręce, dobrze o tym wiesz – zawahał się Ian, ale nie mógł się uwolnić od takiego samego uczucia złości i rozczarowania, jakie dręczyło barona.

William de Longespée przyrzekł chronić Dunchester i nie dotrzymał słowa. Być może nie była to całkowicie jego wina, jednak niepokój, który Ian czuł aż do tej chwili, nie pozwalał mu na chłodne rozumowanie. W jego myślach kotłowały się wyłącznie pełne wściekłości oskarżenia. Gdyby coś się stało Danielowi, także Ian w odwecie zażądałby głowy lorda Salisbury. Usiłował jednak nie myśleć o najgorszym i skupić się tylko na tym, co mogło się wydarzyć w przeciągu nadchodzących kilku godzin. Myślami wracał do ostatnich wypadków, tak aby przygotować się na najbliższe wydarzenia.

Wiadomość o wyjeździe Jana bez Ziemi z Dunchester dotarła do nich zaraz po danym z Paryża przyzwoleniu, w którym król Filip August, po tysiącokrotne nawoływając do zdrowego rozsądku, wyrażał swoją aprobatę dla projektu księcia Ludwika, dążącego do destabilizacji południowej Anglii i zachęcenia baronów, aby poczynili pierwsze kroki w kierunku otwartej rebelii – z Dunchester i Martewallami w roli iskry, od której mógł wybuchnąć wielki płomień.

Doradcy na próżno błagali księcia o przesunięcie wyprawy w czasie i ograniczenie

działań do wstępnej misji dyplomatycznej za pośrednictwem sekretnego posła, tak jak to było ustalone wcześniej. Wiedząc jednak o zapale baronów i ich gotowości do chwycenia za broń, książę Ludwik postanowił uniemożliwić im samowolną rewoltę i uderzyć, zanim zdążą znaleźć siły potrzebne do walki.

Dunchester, które zdążyło się stać symbolem represji wymierzonych w zbuntowanych baronów, miało już niedługo zostać punktem zapalnym, z którego płomień rebelii miał pochłaniać coraz to większe obszary, coraz to nowe lenna. Nie mogło jednak zabraknąć przy tym Francuzów – to pośrednio z powodu buntu korona angielska miała trafić na głowę Ludwika.

– Zajmijcie zamek – nakazał książę Ianowi i Guillaume’owi na prywatnym widzeniu. – Kiedy zjawią się pozostali baronowie, będą musieli prowadzić z nami pertraktacje.

Świadomość możliwości niesienia pomocy tym, których wciąż więziono w Dunchester, była źródłem ogromnej ulgi zarówno dla Iana, jak i dla Martewalla – ci, przygotowując się do wyprawy, dali wreszcie upust swemu niepokojowi.

Już prawie wszystko było gotowe. Guillaume de Ponthieu dopiął plan na ostatni guzik. Teraz należało już tylko go zrealizować.

Statek handlowy kapitana Neda Stone’a wyruszył jako pierwszy, wyprzedzając o jeden dzień drogi pięć pozbawionych oznaczeń, francuskich okrętów wojennych, które pomknęły również w stronę wybrzeży Anglii.

Statki zdążyły wypłynąć na otwarte morze, trzymały się jednak przezornie daleko od głównych szlaków, okręt Stone’a zaś w tym czasie stał już zacumowany w porcie Dunchester jak pierwsza lepsza jednostka handlowa. Wcześniej jednak, jeszcze w porcie przed Glenhaven, wysadził na ląd Iana, Martewalla, Sancerre’a i Lisiego Ogoną, a także ośmiu pozostałych ludzi. Wszyscy oni wysiedli osobno, jeden po drugim, jakby byli najzwyklejszymi pasażerami, mieli na sobie pospolite szaty, prowadzili ze sobą kilka koni i nieśli parę worków z domniemanymi towarami. Zarejestrowali się – każdy na swój sposób – przy stanowisku celników i żaden ze strażników nie mógł im niczego zarzucić. Kontrole przybywających do portu przechodziły gładko, w gorszej sytuacji byli ci, którzy chcieli wypłynąć w morze. Murrow i żołnierze króla w dalszym ciągu prowadzili poszukiwania zbiegłych Martewalla i Iana i z całą pewnością się nie spodziewali, że ci przekroczą granicę w odwrotnym kierunku.

Opuściwszy miasto portowe – każdy o innej godzinie – Ian i jego grupa umówili się na spotkanie w lesie, z dala od wścibskich spojrzeń, by podjąć dalsze działania.

Worki na grzbietach koni ujawniły swoją prawdziwą zawartość – pod warstwą zwykłych towarów, ułożonych na wierzchu dla zmylenia celników, znajdowały się miecze, kusze, hełmy, kolczugi i bitewne tuniki.

Mężczyźni ubrali się w ciszy, ukrywając broje pod czarnymi płaszczami, po czym

wsiedli na siodła. Aby nie budzić podejrzeń, ze statku wyprowadzili jedynie pięć koni, kolejne zaś wierzchowce dla pozostałych członków wyprawy zakupili na targu od różnych kupców.

Teraz tworzyli maleńki oddział uzbrojony po zęby.

By dotrzeć z Glenhaven do Dunchester, potrzebny był cały dzień galopu, jednak grupa dotarła w okolice portu z perfekcyjną punktualnością – słońce właśnie chowało się za horyzontem.

Dzięki temu, że okręt Stone'a wyprzedził oddział na morzu, dwaj marynarze zdążyli już wy badać teren portu i nawet sam gród Dunchester. Mogli zatem złożyć raport leśnym wędrowcom.

– W porcie powieszono wielu ludzi – powiedział marynarz ponuro. – Pełno szubienic na placu targowym – wystawiają ciała na publiczny widok przez wiele dni, jako ostrzeżenie dla mieszkańców.

– Murrow zapłaci mi również za to – wysyczał nienawistnie Martewall. – Niech Bóg ma go w swej opiece, kiedy dosięgnie go mój miecz.

– A jakie są wieści z zamku? – zapytał Ian, z trudem opanowując niepokój.

– Do teraz nie było innych egzekucji – odpowiedział drugi z marynarzy i Amerykanin odetchnął z ulgą. – Nawet szubienice nie są gotowe – pewnie deszcz opóźnił roboty albo stało się coś innego, mieli jakiś problem, nie wiem. Dzisiaj jednak mieli już dokończyć ich budowę. Nie wiem, co może się stać jutro.

– Jutro to my tam będziemy. Nie dopuścimy do egzekucji – odpowiedział natychmiast Ian.

– To jeszcze zależy od tego, kto będzie skazany – poprawił go Martewall sucho. – Nie mogę niczego obiecać. Możliwe, że przyjdzie mi ochota wypróbować szubienicę na tym, kto tak usłużnie zbudował ją na dziedzińcu mojego zamku. To samo dotyczy katowskiego pnia, na którym ścięto mojego ojca.

Ian nie aprobował tego pomysłu, wiedział jednak, że nie był to dobry moment, aby sprzeciwiać się rozżalonemu baronowi.

– Jutro wszystko się okaże – ograniczył się do wymijającej odpowiedzi, po czym odwrócił się, by przetłumaczyć nowiny towarzyszącym im Francuzom.

– A więc? Możemy iść? – zapytał Sancerre.

– Czekamy, aż księżyc wzejdzie nieco wyżej – odpowiedział mu Ian i spojrzał na Lisiego Ogona. – Jesteś gotowy? – zapytał chłopca, tym razem po angielsku.

Lisi Ogon skinął głową twierdząco, ale jego buzia pod ciemnym kapturem płaszcza wyglądała bardzo blado.

– Mam nadzieję, że zdołam zrobić to, o co mnie poprosiliście – odpowiedział cicho.

Sancerre klepnął małego w plecy, by dodać mu animuszu. Nie zrozumiał słów Iana ani Lisiego Ogona, jednak ton tego ostatniego był zbyt oczywisty i zdradzał spore

obawy.

– Wszystko pójdzie gładko, a ten malec wykaże się odwagą w odpowiednim momencie, jestem tego pewien. Ma zadatki na żołnierza.

– Mówi, że będziesz odważny jak prawdziwy żołnierz – przetłumaczył Ian Lisiemu Ogonowi.

Chłopiec zmusił się do uśmiechu.

– Jak to się mówi: „któregoś dnia też chciałbym zostać rycerzem”?

Ian przetłumaczył mu zdanie, mały zaś powtórzył je Sancerre’owi, mimo że jego akcent wciąż pozostawiał wiele do życzenia.

Sancerre roześmiał się, lecz przyznał mu rację.

– Znajdziemy ci dobrego nauczyciela, *n’est ce pas, Jean*²¹? – odparł.

– Być może jeden już się znalazł – powiedział Ian i spojrzął na Martewalla, który towarzyszył im w ciszy. Anglik nie skomentował jego słów.

– Chciałbym nauczyć się języka mojego ojca – mówił dalej Lisi Ogon, który nie mógł zrozumieć ostatnich kilku zdań.

– Przydałoby się – zachęcił go Ian. – I wreszcie można by było zacząć zwracać się do ciebie twoim prawdziwym imieniem.

Chłopiec nie odpowiedział, lecz wyprostował plecy z dumą.

Martewall spojrzął na ciemne niebo.

– Czas na nas – oznajmił.

Tymczasem dwóch angielskich marynarzy naciągnęło na siebie kolczugi i płaszcze, dołączając do pozostałych zbrojnych.

Ian podszedł do Lisiego Ogona i odchylił jego płaszcz.

– Zapięli ci kolczugę tak, jak się należy? – zapytał.

Chłopiec pozwolił, by Ian sprawdził każdy szczegół jego stroju. Nosił kompletny ubiór rycerski – z metalową kolczugą, kapturem kolczym i ostrogami przy trzewikach. Miał nawet miecz zatknięty za pasem założonym na biało-niebieską koszulę. Poruszał się z trudem, poprawiając co chwila ciężki rynsztunek.

Ian sprawdził mu wiązania kolczugi.

– Niemało waży, co?

– Ciężko mi się chodzi z całym tym wyposażeniem. Czuję się wypchany jak poduszka – zmartwił się chłopiec, dotykając rękoma klatki piersiowej i ramion, chronionych przez warstwę filcu przed zimnym dotykiem metalu kolczugi. Nawet rękawice z ciężkiej skóry nabijanej metalem obcierały mu dłonie.

– Przyzwyczajasz się, zresztą teraz musisz tylko iść przed siebie albo siedzieć w siodle, dlatego nie musisz się przejmować tym, że zbroja ogranicza ci ruchy – uspokoił go Ian.

– Ale wy? Jak możecie walczyć, mając na sobie taki ciężar? – Lisi Ogon patrzył na młodzieńca, który był uzbrojony dokładnie w taki sam sposób, tylko że jego kolczuga

była jeszcze cięższa, a w polu herbowym widniały inne kolory. Chłopiec nie mógł pojąć, w jaki sposób rycerze mogą używać swych mieczy i poruszać się tak szybko, jak widział to podczas pojedynków treningowych.

– To kwestia wprawy. Poza tym my trochę więcej czasu spędziliśmy na trenowaniu mięśni – uśmiechnął się do niego Ian. – Ty potrzebujesz jeszcze kilku lat.

Podszedł do nich Martewall i zwrócił się do Iana:

– Twój brat zrobił kawał dobrej roboty, i to w krótkim czasie. Zdobył kolczugę w rozmiarze odpowiednim dla chłopca oraz płaszcz dla nas, nie wspominając o całej reszcie – mówiąc to, wskazał na kolorową tunikę bitewną.

Ian i Sancerre mieli jednakowe. Pozostali jeźdźcy mieli na sobie biało-niebieskie pasy żołnierzy – te same barwy, które zdobyły również płaszcz Lisiego Ogon.

– Guillaume potrafi stworzyć dobrego sobowtóra – odparł Ian szeptem, natychmiast jednak pożałował tej uwagi.

Spojrzał na Martewalla, bojąc się, że ponownie wzbudził w Angliku podejrzenia, ten jednak patrzył wciąż na Lisiego Ogon i nie zareagował na słowa Iana. Wyciągnął w stronę chłopca rycerski hełm.

– To będzie ostatni element naszego przedstawienia – zakończył.

Lisi Ogon zapiął kaptur na głowie i naciągnął hełm. Spoczęły na nim spojrzenia wszystkich.

Ian uśmiechnął się półgębkiem, mimo że wraz ze zbliżającym się momentem rozpoczęcia akcji czuł rosnące napięcie.

– Moźni panowie, przedstawiam wam *sir* Nigela Murrowa! – oznajmił swoim towarzyszom.

Zbrojny pochód opuścił ciemne zakamarki puszczy i skierował się na otwartą przestrzeń pól. Galopem zatoczył szeroki łuk i dotarł do drogi łączącej zamek z portem Dunchester, po czym udał się w kierunku tego drugiego.

Mężczyźni ustawili się w zwartym szyku: Lisi Ogon jechał z przodu, przed wszystkimi, Ian, Martewall i Sancerre – u jego boków, żołnierze zaś i dwaj marynarze zamykali kolumnę. Wzdłuż całego traktu nie napotkali nikogo, lecz kiedy dotarli do portowych obwarowań z rozstawionymi wzdłuż nich strażnikami, spotkali się dokładnie z taką reakcją, jakiej się spodziewali.

Żołnierze pełniący wartę podbiegli szybko z zapalonymi pochodniami, spoglądając z góry na zamknięte już wrota. Chwycili pospiesznie kusze i obnażyli miecze, po czym jednak zatrzymali się na widok barw, które i oni nosili. Grupa w pośpiechu nadjeżdżała od strony zamku, niepewne światło księżyca i pochodni ułatwiało zaś maskaradę, zamazując szczegóły strojów i twarze przebierańców.

– Zróbcie miejsce dla waszego pana! – ryknął Martewall władczo. Jego głuchy głos wydobywał się z głębi hełmu, który zakrywał mu twarz.

Żołnierze pospiesznie przekazali rozkaz swoim kompanom za palisadą. Po kilku minutach wrota otworzyły się ze złowieszczym szczękiem.

Ian podjechał do Lisiego Ogon, przepuszczając go przed sobą. Chłopiec spiał ostrogami konia, a kiedy mijał żołnierzy, ci oddali mu pełen szacunku ukłon.

Grupa Francuzów bez najmniejszych problemów dostała się do warownego grodu portowego. Gdy tylko znaleźli się w środku, bramy ponownie zaryglowano.

Przekroczywszy granicę osady, Ian rozejrzał się dookoła. Na szczycie wieżyczek strażniczych nie było zbyt wielu zbrojnych, tak samo na placu – najwyraźniej tylko ci żołnierze pilnowali wejścia. Murrow bowiem po tym, jak byłych żołnierzy Martewalla odsunięto od obowiązków, musiał się zdać wyłącznie na swoich ludzi i najemników króla. Prawdopodobnie nie dysponował wystarczającą liczbą żołnierzy, aby nakazać im jednoczesne pilnowanie portu oraz twierdzy w Dunchester – musiał baczyć na koszty. Jednocześnie mógł być przekonany, że nikt nie wpadnie na pomysł zaatakowania portu, i właśnie to miało się okazać jego największym błędem.

Dowódca zmiany podjechał stępą do wyprostowanego w siodle Lisiego Ogon. Gdy tylko wartownicy donieśli mu, że do portu przybył *sir* Murrow, natychmiast stawił się wraz z trzema rycerzami w różnych barwach herbowych i z grupą żołnierzy.

– Panie, co się dzieje? Nie oczekiwaliśmy was tutaj dziś wieczorem! Myśleliśmy, że pozostajecie na zamku! – wykrzyknął.

Ian nagle znieruchomiał, wiedział, że teraz chłopiec ma odegrać swoją rolę w ustalonym wcześniej przedstawieniu.

– Chcę, by wszyscy dowódcy stawili się w fortecy. Musimy się przygotować na przyjęcie oddziałów króla – odpowiedział Lisi Ogon. Jego głos, dobiegający z głębin hełmu, przyjął apodyktyczny ton, niewątpliwie jednak należał do nastolatka – nikt nie mógł ocenić, w jakim wieku jest osoba starannie przyodziana w grube warstwy zbroi.

Dowódca wytrzeszczył oczy.

– Czy Jego Wysokość posyła nam nowych ludzi?

– Tak, dowiedziałem się tego o zmierzchu i przybyłem tutaj osobiście, by jak najlepiej zorganizować ich przyjazd. Pięć okrętów jest już w drodze, będą u brzegów o świcie – lepiej się pospieszmy.

– Czy mam obudzić wszystkich moich ludzi? – zaniepokoił się dowódca.

– Nie! – odpowiedział Lisi Ogon, tym razem może nieco zbyt gwałtownie, ale zaraz się opanował i dodał: – Na razie wystarczą mi dowódcy. Zbierzcie ich wszystkich w wielkiej sali w fortecy, wówczas wydam odpowiednie rozkazy.

– Tak, panie! – dowódca spiał konia i oddalił się w pośpiechu.

Ian zdał sobie sprawę, że przez cały czas trwania rozmowy zaciskał konwulsyjnie ręce na końskich wodzach, teraz jednak, gdy zostali sami, puścił je odruchowo

i poczuł, jak bardzo bolą go dłonie. Odetchnął głęboko, by się uspokoić, po czym spojrzął porozumiewawczo na Martewalla i Sancerre'a. Przytaknęli oboje. Lisi Ogon spisywał się dzielnie i przedstawienie sprawdzało się jak dotąd wyśmienicie.

Martewall podjechał do chłopca, wciśniętego sztywno w końskie siodło.

– Wszystko w porządku. Jedziemy do fortecy, bez zbędnego pośpiechu – szepnął.

Lisi Ogon przytaknął w ciszy i spiął konia do szybszego kroku, ponownie wyjeżdżając na czoło grupy.

Ian odwrócił się, żeby porozmawiać z jednym z marynarzy Neda Stone'a.

– Udajcie się do doków i sprawdźcie, czy jest wystarczająco miejsca, aby królewskie okręty mogły zacumować – powiedział głośno, kierując tę wiadomość do uszu wszystkich ludzi znajdujących się w pobliżu. – Powiedzcie kapitanowi Stone'owi, że może wyruszać – szepnął mu na ucho. – Widzimy się w fortecy.

Marynarz przytaknął i z wojskowym pozdrowieniem, godnym żołdaka z krwi i kości, oddalił się wraz ze swoim kompanem w stronę portu. Ian ruszył za pozostałymi w kierunku małej kwadratowej fortecy górującej nad portową osadą.

Grupa przemierzała wyludnione uliczki, przyciągając pełne strachu spojrzenia nielicznych mieszkańców, którzy spoglądali na nich chyłkiem przez okna swoich domów. Zaniepokojone matki wzywały do siebie ciekawskie dzieci, które chciały zerknąć na przejazd uzbrojonych mężczyzn. Dwójka ludzi pracujących w mijanej stajni spojrzała wrogo na tych, którzy zdawali się niedawnymi najeźdźcami, ubranymi w szaty przyozdobione barwami herbowymi Murrowa. Nie odważyli się jednak nic powiedzieć i odwrócili wzrok, kiedy grupa zbrojnych minęła ich o parę metrów.

Z Lisim Ogonem na przedzie, Ian i pozostali mężczyźni dotarli na teren pustego teraz placu targowego.

Powitał ich przerażający widok: pięciu wisielców kołysało się na grubych linach podczepionych do szkieletów szubienic. Ciała były już sine, niekształtne – naruszone przez ptaki i owady, z każdym zaś powiewem wiatru do rycerzy docierał mdły i mrozący krew w żyłach fetor śmierci.

Ianowi na widok tej okrutnej sceny skręcił się żołądek i ze strachem pomyślał o Lisim Ogonie. Chłopcem wstrząsnął wyraźny dreszcz, ale nie wydał z siebie nawet najmniejszego westchnienia. Zachował godną podziwu powagę i minął szubienice, nie oglądając się za siebie. Ian był dumny z jego odwagi, sam jednak nie mógł się powstrzymać i zerknął z litością na wiszące na sznurach ciała. Poczucie winy zalało go nagłą falą, odbierając mu dech, gdy mimo ciemności i postępującego procesu rozkładu rozpoznał wśród skazańców dwóch żołnierzy, którzy pomogli zbiec jemu i Martewallowi. Obaj nie mieli na sobie już czarnych szat, lecz strzępy, które pozostawiały wyobraźni ogrom cierpień i tortur, jakim ich poddano przed wykonaniem wyroku.

Niewątpliwie przesłuchanie było bardzo brutalne. Miało ich zmusić do wyznania,

w którym kierunku udała się dwójka najważniejszych zbiegów – Ian i Martewall we własnej osobie.

„Przekłęte łajdaki!” – pomyślał Amerykanin o tych, którzy tak okrutnie zemścili się na dzielnych mężczyznach. Odwrócił się do Martewalla i dostrzegł, że pięść barona do bólu zaciśnięta jest na rękojeści miecza. Był wściekły.

Grupa w milczeniu kierowała się w stronę fortecy, wzdłuż krótkiej, wznoszącej się stromo uliczki.

Budynek był bardzo stary i najwyraźniej niedawno go odrestaurowano. Tylko na poziomie wyższych pięter umieszczono wąskie okienka, cała konstrukcja zaś otoczona była pasem murów, w ich kręgu zamykała się również strzelista latarnia portowa. Na szczycie wieży płonął ogień sygnalizacyjny, na murach i blankowanym dachu budowli maszerowało kilku strażników na warcie, rzucając długie cienie w świetle zapalonych latarni.

Lisi Ogon wraz z całym swoim orszakiem został wpuszczony do środka z największymi honorami przez niczego niepodważających żołnierzy. Prawie nikt się tu nie kręcił. Zbrojni z garnizonu zdążyli już zjeść posiłek i udali się do komnat, by odpocząć. Pozostawili na warcie tylko tych, na których wypadła kolej.

Na małym dziedzińcu służący z nabożeństwem odebrali od chłopca lejce jego wierzchowca. Lisi Ogon zeskoczył zwinnie z siodła mimo kolczugi, która ciążyła mu na plecach podczas całej wyprawy w stronę fortecy.

Odrzucił za siebie płaszcz i jednocześnie rezolutnym gestem oparł dłoń na rękojeści miecza.

Ian uśmiechnął się pod swym hełmem, widząc, do jakiego stopnia Lisi Ogon wcielił się w rolę małego feudała. Zsiadł ze swojego konia i udał się za chłopcem; Martewall, Sancerre i inni Francuzi poszli jego śladem.

Na schodach wejściowych czekał na nich ten sam dowódca, którego spotkali chwilę wcześniej.

– Wszyscy dowódcy są gotowi, panie – oznajmił, schylając się lekko, i ustąpił miejsca grupie nadjeżdżającej ku przedsionkowi fortecy, gdzie dwaj żołnierze stali z zapalonymi już pochodniami.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Lisi Ogon sucho i ruszył przed siebie.

– Panie mój! – wezwał go Ian. – Pamiętajcie, że musimy zdać raport lordowi Salisbury o tym, ilu więźniów jest obecnie w celach.

– Ach, no tak – pospieszył chłopiec z odpowiedzią, w której była odrobina wahania, po czym odwrócił się w stronę dowódcy z pytającym wzrokiem.

– Mamy dziewiętnastu ludzi w podziemiach, panie – powiedział mężczyzna. – Wszyscy to żołnierze z poprzedniego garnizonu, którzy nie chcieli złożyć wobec was przysięgi wierności.

„Dziewiętnastu dodatkowych sojuszników to lepiej, niż mogliśmy się

spodziewać” – pomyślał Ian i jedno krótkie spojrzenie wymienione z Martewallem wystarczyło, by zorientować się, że baron myśli podobnie.

Również Lisi Ogon spojrzał na angielskiego rycerza – tak, jak zakładał plan.

– Idźcie sprawdzić, w jakich warunkach są przetrzymywani, i wróćcie z raportem – nakazał mu.

Geoffrey pochylił przed nim czoło, po czym gestem przywołał do siebie dwóch Francuzów i razem udali się w stronę drzwi prowadzących z przedsionka do podziemi. Jeden z żołnierzy ruszył przodem z pochodniami – nieświadomy tego, co miało się za chwilę wydarzyć.

– Tędy, panie – ciągnął dowódca, wyprzedzając Lisiego Ogona i wskazując mu schody wiodące na wyższe piętro.

Jeszcze na etapie przygotowań Martewall szczegółowo opisał członkom swej grupy wnętrze twierdzy i dlatego Ian bez trudu rozpoznał pokonywaną właśnie trasę. Dokładnie nad przedsionkiem znajdowała się wielka sala, w której żołnierze zazwyczaj spożywali wspólne posiłki. Z poziomu parteru schody prowadziły jeszcze wyżej – aż do komnat, w których wojskowi z garnizonu urządzili dormitorium, i dalej, kończąc się na blankowanym tarasie na szczycie budynku.

Ian pozwolił, by do wielkiej sali jako pierwszy wszedł Lisi Ogon wraz z Sancerre'em, dowódca i mężczyzna z pochodnią, po czym wezwał dwóch żołnierzy i cichym gestem wskazał im schody wiodące aż na samą górę. Przytaknęli i przemknęli na kamienne stopnie, szybcy i cisi jak własne cienie.

W sali było już trzech ludzi. Wszyscy usiedli w taki sposób, by centralne – honorowe – miejsce mógł zająć rzekomy *sir* Murrow. Okna zostały przymknięte i rozniecono ogień w kominku. Stoły, które jeszcze chwilę temu pełne były resztek po kolacji, teraz uprzątnięto i odsunięto na bok.

Ian troskliwie zamknął za sobą drzwi i rozglądając się bacznie wokół, zasunął po kryjomu rygiel. Sancerre rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie.

– Jesteśmy gotowi na wasze rozkazy, panie – powiedzieli dowódcy, zwracając się do Lisiego Ogona.

Kiedy chłopiec ściągał hełm z głowy, francuscy kompani Iana rozstawili się w strategicznych miejscach komnaty.

Odtąd wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka. Kiedy dowódcy dostrzegli, że chłopiec w zbroi nie jest Nigelem Murrowem, zrozumieli, że zostali oszukani. Było już jednak zbyt późno, by się bronić. Francuzi celowali mieczami w ich gardła, zmuszając ich do bezruchu.

– Niech tylko któryś piśnie, a wszyscy będziecie martwi – zagroził Ian.

Dowódcy momentalnie zamarli. W komnacie było pięciu ludzi Murrowa, lecz grupa Iana była liczniejsza i w dodatku mieli wyciągnięte miecze. Nawet Lisi Ogon obnażył swoje ostrze. Nie wiedział, co prawda, jak się nim posługiwać, ale

nieprzyjaciele nie mogli być tego świadomi. Nie odważyli się poruszyć, podnieśli tylko ręce – pokonani.

– Kim jesteście? Jak możecie się odważyć na coś takiego?! – wykrzyknął tymczasem z wściekłością jeden z dowódców.

– Czegokolwiek byście sobie nie ubzdurali, nigdy nie uda się wam ująć stąd z życiem! – zagroził im drugi.

– A cicho tam! – prychnął poirytowany Sancerre, a jego francuski okrzyk sprawił, że ludzie Murrowa dosłownie podskoczyli. Nie mogli wiedzieć, jaki naprawdę jest cel wyprawy, jednak odkrycie, że mają do czynienia z cudzoziemcami, napędził im niemałego stracha.

– Rozbroić ich – nakazał Ian swoim ludziom.

Francuzi zabrali broń dowódcom i żołnierzowi, po czym stłoczyli ich w jednym kącie komnaty, z którego nie mogli uciec. Ktoś zapukał do drzwi, używając w tym celu ustalonego wcześniej sygnału. Ian poszedł je otworzyć.

Martewall wszedł do sali w pośpiechu, w ślad za nim do pomieszczenia wbiegło dwóch żołnierzy, którzy towarzyszyli mu w drodze do podziemi, oraz grupa nieznanymi mężczyzn. Mieli na sobie charakterystyczne czarne, wystrzępione i brudne szaty. Było ich dziewiętnastu. Ian zrozumiał, że ma przed sobą więźniów do tej pory przetrzymywanych w lochach fortecy, którzy nie chcieli zrezygnować z przysięgi wierności złożonej starym panom, by przejść pod komendę zdobywców.

Kiedy Martewall ściągnął z głowy pełny hełm, zakrywający mu całkowicie twarz, dowódcy wojsk Murrowa wyraźnie pobledli – rozpoznali, z kim mają do czynienia. Baron spojrzał na każdego z osobna, a wyraz jego szarych oczu był bezlitosny bardziej niż kiedykolwiek.

– Komu zawdzięczam szubienice na placu targowym i tortury zadane moim ludziom? – zapytał cichym, lecz wzbudzającym strach głosem.

Przerażenie unieruchomiło mężczyzn i nikt nie odważył się mu odpowiedzieć.

– Zobaczmy – dodał Martewall, po czym odwrócił się w stronę Iana i Sancerre'a. – Tam na dole wszystko poszło gładko – oznajmił po francusku, żeby tylko oni mogli go zrozumieć. – Zachowaliśmy ciszę. Nikt się nie zorientował.

– Dwóch naszych pilnuje schodów prowadzących na górę. Nikt, jak dotąd, nie schodził – odparł Ian.

Martewall odwrócił się do wiernych mu żołnierzy.

– Wiecie, gdzie znajduje się broń, macie się uzbroić i zająć tymi, którzy śpią piętro wyżej. O ile to możliwe – bez żadnych walk i żadnego hałasu. Zaprowadźcie wszystkich do lochów i przebierzcie się w ich szaty, a później idźcie na zmianę warty do gwardii strzegącej murów i dziedzińca. Nimi zajmijcie się w ten sam sposób.

– Tak, panie – odparł jeden z żołnierzy w imieniu wszystkich. Na twarzy zakwitł mu uśmiech dumy. Mężczyźni w pośpiechu zniknęli z sali.

– To samo dotyczy tych tutaj. Zabierzcie ich wraz z innymi. Wsadźcie do jednej celi, a później pilnujcie wejścia – Ian nakazał swoim ludziom, wskazując na dowódców i żołnierza – ich nowych zakładników.

W komnacie pozostało tylko trzech rycerzy wraz z Lisim Ogonem, a także dwóch zbrojnych dla bezpieczeństwa.

– Brawo – powiedział Sancerre do chłopca, unosząc przyłbicę. Na jego twarzy malował się ogromny uśmiech.

– Dobra robota – przelumatczył Ian, uwalniając się od ciężkiego hełmu, i też ochoczo przyłączył się do pochwał. – Byłeś niesamowicie dzielny. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Chłopiec miał zaróżowione policzki, a jego oczy błyszczały z nadmiaru emocji, zupełnie niepowtarzalnej mieszanki strachu i ulgi.

– Dziękuję... – odparł nieco niepewnym głosem.

– I jak się czujesz w roli rycerza? – zażartował Ian, usiłując choć trochę rozładować napięcie chłopca.

Lisi Ogon spróbował się uśmiechnąć.

– Dobrze. Chyba już się przyzwyczaiałem do noszenia kolczugi. Jeszcze chwila, a już nigdy jej nie zdejmę i na stałe będę robił za rycerza.

– Nie ma co na razie zadzierać nosa, młodzieniaszku. Myśmy musieli się pocić przez całe lata, nim ktokolwiek pozwolił nam założyć ostrogi – upomniał go żartobliwie Ian.

„No... może nie przez lata” – uśmiechnął się w duchu, jednocześnie z lekkim wstydem uświadamiając sobie, jak bardzo jego przygotowanie do rycerskiego fachu odbiegało od średniowiecznych standardów.

W tej samej chwili z górnego piętra dobiegły do nich głuchoe dźwięki okrutnych uderzeń zmieszane ze zduszonymi okrzykami zaskoczenia.

Wszyscy podnieśli głowy do góry, wstrzymując oddech. Lisi Ogon podskoczył, przerażony, rycerze zaś odruchowo chwycili za rękojeści swych mieczy.

Wrzaski i zamieszanie trwały kilka minut, później na nowo zapadła cisza nieprzerywana już przez niepokojące dźwięki.

– Zrobione – powiedział w końcu Ian, i rozluźnił mięśnie napięte do niemożliwości.

– Zajęliśmy fortecę głównie metodami werbalnymi. Nie jest to, co prawda, mój ulubiony sposób, jednak muszę przyznać, że było to dość ciekawe doświadczenie. – Sancerre parsknął śmiechem.

– Przed nami jeszcze aż nadto okazji do walki, nic się nie bój – odparł Ian.

Na schodach za drzwiami usłyszeli odgłos szybkich kroków. To zwycięzcy popychali przed sobą zaskoczonych we śnie żołnierzy, prowadząc ich na miejsce, które sami opuścili chwilę wcześniej: do zimnych, ciemnych lochów fortecy.

– A teraz musimy dokończyć dzieła – oznajmił Martewall, kiedy odgłosy z zewnątrz ucichły.

Chwycił do ręki pochodnię i wyszedł na czoło pochodu. Pozostali szli za nim, kierując się do wyjścia.

Tam czekali już na nich żołnierze w biało-niebieskich barwach – nie więcej niż pół tuzina ludzi, których twarze na ich widok wyraźnie się rozpromieniły.

– Jesteśmy gotowi na zmianę warty na murach, panie – powiedział do Martewalla jeden z żołnierzy.

– Bardzo dobrze – rzucił baron i ruszył w kierunku dziedzińca.

Podczas gdy żołnierze udawali się pospiesznie w stronę schodów prowadzących na zewnętrzne mury fortecy, Martewall dotarł do wieży sygnalizacyjnej. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Sancerre pozostał na dole – pilnując wejścia w towarzystwie jednego francuskiego żołnierza. Ian, Lisi Ogon i drugi żołnierz podążyli za Martewallem.

Na szczycie spiralnych schodów był kryty balkon – taki sam jak ten w latarni w Glenhaven. Większą jego część zajmował żelazny ruszt, z którego buchały płomienie.

Ognia pilnował jeden uzbrojony żołnierz, który podskoczył na widok Martewalla przeciskającego się przez otwarty właz.

– Alarm! – krzyknął, wychylając się przez parapet, ale w całej fortecy nie było już nikogo, kto mógłby usłyszeć jego ostrzeżenie. Z wnętrza kamiennej budowli dochodziły rzadkie głosy i przytłumione dźwięki, które nie mogły już nikogo zaalarmować.

Martewall uderzył wartownika pięścią prosto między oczy, ten zatoczył się i padł na ziemię w kącie pomieszczenia. Ian przytrzymał go w tej pozycji, mierząc w niego ostrzem miecza.

Francuski żołnierz złapał za pochodnię sygnalizacyjną zaczepioną obok płonącego rusztu, zapalił ją, po czym machnął nią w górze w określony sposób, wedle ustaleń.

Niebo i morze miały kolor doskonałej czerni. Księżyc ukrył się za ciężkimi chmurami i tylko jego słabiutki blask odbijał się w morskich falach. W tych ciemnościach, daleko od nich, zaświecił się malutki świetlisty punkcik. Poruszył się delikatnie i zgasł ponownie w odpowiedzi na sygnał. Drugi punkt zaświecił się w chwilę później, jeszcze jeden – nieco dalej na horyzoncie, następnie jeszcze jeden i kolejny.

Ian policzył wszystkie. Pięć.

Lisi Ogon z otwartą buzią wychylił się, żeby zerknąć na morze.

Francuskie okręty bojowe były tam, na otwartych wodach, ukryte w cieniach jak statki widma. Czekwały, aż niebo zacznie się przejaśniać – wtedy miały dopłynąć do portu i wysadzić na brzeg oddziały kierujące się w stronę zamku w Dunchester.

Nikt nie mógł zatrzymać najeźdźców na wybrzeżu, ponieważ zbrojni, którzy wysiedli z okrętu Neda Stone'a, prawdopodobnie zdążyli się już zająć żołnierzami pełniącymi wartę w dokach.

Z podbitej twierdzy wkrótce powinna wyruszyć kolejna grupa żołnierzy, by zmienić ostatnich wojaków Murrowa, którzy wciąż pozostawali na murach. Oni także mieli dołączyć do pozostałych pokonanych – otrzymując cios z rąk tych, których najmniej by się spodziewali.

– Jesteśmy gotowi – powiedział Ian.

*

Rozdział 39



Daniel poczuł nagle szarpnięcie. Otworzył oczy i zobaczył parę brutalnych rąk, które bez pardonowo wyrzuciły go z łóżka. Zleciał na podłogę wraz z pościelą. Minęło kilka chwil, zanim dotarła do niego mieszanina ludzkich głosów – wściekłych okrzyków i rozkazów. Ktoś otworzył okno, wpuszczając do komnaty światło poranka. Wokół chłopaka pełno było żołnierzy w czerwonych strojach, najemników króla.

– Wstawaj! – ryknął jeden z nich, machając mu tuż przed nosem obnażonym mieczem.

Daniel poczuł zimny dreszcz, a w jego głowie pojawiła się nieprzyjemna myśl, że oto sprawy nabrały rozpędu i, być może, wymknęły się spod kontroli.

– Czego chcecie? Co ma znaczyć to najście? – usiłował protestować, udając obrażonego.

Żołnierze rzucili w niego jego własnymi szatami i parą trzewików.

– Ubieraj się i pospiesz, w przeciwnym razie wyciągniemy cię na zewnątrz tak, jak stoisz!

Daniel pozbierał się pospiesznie, usiłując zgadnąć, co też mogło pójść aż tak bardzo nie tak. Czyżby odkryto jego spisek na rzecz więźniów na zewnętrznym dworze albo – w najgorszym wypadku – sojusz między lordem Salisbury a Francuzami?

Najemnicy wyprowadzili Daniela z komnaty, nie siląc się na grzeczności. Wywlekli go za ręce na zewnątrz, na poranny mróz. Daniel zrozumiał całe zajście, kiedy zobaczył pięciu mężczyzn na dziedzińcu – skrepowanych sznurami i siedzących na ziemi, strzeżonych przez pozostałych najemników oraz ich dowódcę. Więźniowie ubrani byli po cywilnemu, ich odzienie znaczyły krwawe pręgi. Związano im z przodu ręce grubymi sznurami i widać było, że wszyscy doznali okrutnych razów. Jednym z nieszczęśników był Thomas Bull. Drwał rzucił Danielowi zatrwożone spojrzenie, gdy ujrzał go prowadzonego przez żołnierzy. Nie zdołali zamienić ze sobą ani słowa, ponieważ najemnik chwycił jednego z więźniów za kołnierz i postawił go siłą na nogi.

– A teraz powtórz to, co mówiłeś wcześniej! – powiedział tonem, w którym dźwięczała zimna groźba. Wszystkiemu przypatrywał się dowódca najemników.

Nieszczęśnik spojrział na Daniela z rozpaczą. Nie odpowiedział.

Najemnik potrząsnął nim gwałtownie.

– Mów, jeśli nie chcesz zaczynać całej zabawy od początku.

Z gardła mężczyzny wydobył się jęk bólu i strachu.

– ...cudzoziemiec działał w porozumieniu z nami... ten sabotaż to jego pomysł!

– To nieprawda! – usiłował się wtrącić Bull. – To był mój pomysł! Nawet żeśmy się nie widzieli z cudzoziemcem, od kiedy skończyło się oblężenie zamku! Jak mogliśmy się z nim porozumieć?

Drugi najemnik uciszył go potężnym kopniakiem. Drwał prawie przewrócił się na ziemię.

– Łżesz, wieśniaku! Co najmniej raz widziałem, jak rozmawiałeś z tym człowiekiem, kiedy byłeś na dziedzińcu ze swoją furmanką!

– I co z tego? Rozmawialiśmy o pogodzie! – odparł Bull sarkastycznie, po czym rozkaszał się gwałtownie, bo rozjuszony najemnik wymierzył mu kolejnego kopniaka w żebra.

– Zostaw go! – wykrzyknął Daniel z wściekłością, jednak nagły cios w nerki prawie rzucił go na kolana.

Najemnicy przytrzymali go za ramiona, ich dowódca zaś stanął tuż przed nim.

– Byłeś z nimi w zмовie, przyznaj się!

– ...nie mam nawet pojęcia, o czym mówicie! – wydyszał Daniel w odpowiedzi. Nie mógł złapać oddechu. – Lepiej jednak, żebyś zaczął uważać na to, co robisz! Jestem rycerzem i zakładnikiem lorda Salisbury.

Dowódca najemników przytrzymał go za poły płaszcza.

– Nie myśl sobie, że może cię to uchronić od kary, jeśli naprawdę należysz do spisku z tą bandą zdrajców.

Daniel wiedział, że groźba mężczyzny nie jest bezpodstawna, nie ugiął się jednak pod jego rozwścieczonym spojrzeniem.

– Czy można wiedzieć, co się tu dzieje?

Daniel poczuł cień ulgi, widząc nadchodzącego Williama de Longespéego w towarzystwie *sir* Gorvenala i żołnierza, który najprawdopodobniej powiadomił ich o wydarzeniach na dziedzińcu. Angielski książę otulał się swym zimowym płaszczem i spoglądał z niepokojem to na więźniów, to na najemników.

Na miejscu prawie równocześnie pojawił się też Nigel Murrow w eskorcie swych ludzi.

– O co chodzi? – zapytał młody baron.

– Ci mężczyźni po kryjomu psuli szubienice. To dlatego konstrukcje runęły! – wykrzyknął oskarżycielskim tonem najemnik, wskazując na związanych cywili. – Zaskoczyliśmy jednego z nich wczoraj wieczorem, kiedy specjalnie mylił się przy pracach naprawczych. Przesłuchaliśmy go i wyśpiewał wszystko! Wskazał nam

swoich współników i oni też potwierdzili jego zeznania.

– To nieprawda! – zaprzeczył Bull. – Wyciągnęliście z nich przemocą słowa, które chcieliście usłyszeć! Ci, którzy nie mogli znieść bólu, chcieli zrobić wszystko, byście przestali ich bić. Nie macie żadnych dowodów!

Dowódca spojrział na niego z nienawiścią i poprawił się:

– P r a w i e wszyscy współnicy się przyznali. Jednak ci, którzy wyznali prawdę, opisywali te same fakty i wskazywali na tych samych podejrzanych. – Podniósł rękę i wskazał na Daniela. – To on stoi za tym wszystkim – stwierdził.

„Ostrzegałem was” – mówiło bezgłośnie ponure, wymierzone w chłopaka spojrzenie lorda Salisbury.

Daniel udał jednak, że nie dostrzegł nagany we wzroku księcia.

Murrow tymczasem wpatrywał się w Amerykanina wytrzeszczonymi oczyma.

– On...!?! Ale jak to możliwe...!?!

– Co najmniej raz uciął sobie pogawędkę z tymi wieśniakami na dziedzińcu, a później próbował się z nimi kontaktować za pośrednictwem księdza.

Murrow podszedł do Daniela i zapytał:

– Czy to prawda?

Amerykanin wytrzymał oskarżenie bez mrugnięcia okiem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wyciągnęli mnie siłą z komnaty i przywlekli tutaj jak psa, poturbowali i grozili mi bronią. Jeśli w taki sposób prowadzi się tu przesłuchania, to nic dziwnego, że ludzie gotowi są przyznać się do czegokolwiek – choćby nawet do planowania zamachu na samego papieża.

– Jak śmiesz?! – wykrzyknęło równocześnie kilku najemników, jednak lord Salisbury zaoponował władczy tonem:

– Dosyć, wystarczy tego. Nie pozwalam nikomu na podobne traktowanie mojego zakładnika. Każde oskarżenie przeciwko niemu ma być w pierwszej kolejności omówione ze mną. Nie przystanę na to, byście traktowali go jak zbrodniarza ze względu na wasze nieudowodnione niczym podejrzenia.

– Ten człowiek jest uwikłany w spisek! – nalegał dowódca.

– Tak twierdzisz wyłącznie ty i banda twoich zbirów. Najpierw musielibyście to udowodnić, tak jak musicie udowodnić, że ci ludzie są czemukolwiek winni – odparł Daniel ze złością.

– Przyłapaliśmy jednego na gorącym uczynku, reszta zaś sama się przyznała. I ty powiesz prawdę, zapewniam cię.

– Powiedziałem przecież, że nie pozwalam wam go dotknąć – zagroził lord Salisbury.

– A więc wypytam raz jeszcze jego współspiskowców – zdecydował dowódca najemników. – Już posłałem ludzi po starego księdza.

– Ważycie się podnieść rękę na sługę Bożego!?! – oskarżył go Bull.

– Nie przeciągajcie struny – powiedział wolno lord Salisbury.

– Nie będzie trzeba tykać księżulka, wystarczy, by zobaczył inne przesłuchania – odparł najemnik i spojrzał Danielowi prosto w oczy. – Cudzoziemiec też będzie mógł w nich uczestniczyć. Zobaczymy, czy nadal będzie twierdził, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

Daniel poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mu dreszcz.

– Nie możecie tego zrobić! – zawołał, jednak jego buta nieco osłabła.

– A kiedy już skończymy przesłuchania, od razu wymierzmy karę – ciągnął dowódca niewzruszonym tonem. – Nie musimy wcale czekać, aż szubienice będą gotowe – powiedział i obnażonym mieczem wskazał pień kata na środku dziedzińca.

– Nie pozwolę na to – sprzeciwił się lord Salisbury.

– Musimy wyjaśnić to zajście – powiedział Murrow z niepokojem. – Król Jan będzie chciał wiedzieć, co się tu wydarzyło.

– Król Jan będzie miał nas za półgłówków, jeśli wymierzanie sprawiedliwości pozostawimy najemnikom – uciszył go książę. – Bat i szubienica to najprostsze środki, nie wystarczą jednak, by należycie ukarać winnych. Dla słusznego osądu trzeba najpierw sprawę zbadać i zdobyć dowody.

– Milordzie, z całym szacunkiem, wasi dowódcy byli ostatnio wyjątkowo nieskuteczni – przerwał komendant najemników i wlepił oskarżycielski wzrok w Gorvenala. – Powiedziałbym wręcz, że jestem oburzony tym, jak niewarci zaufania okazali się wasi ludzie, sprawując nadzór nad więźniami, poczynawszy choćby od ucieczki Geoffreya Martewalla i Francuza, który z nim był.

– Odszczekajcie natychmiast, coście powiedzieli! – warknął *sir* Gorvenal z irytacją. „Robi się gorąco...” – pomyślał Daniel z narastającym niepokojem.

Niespodziewany dźwięk przeszył lodowate powietrze poranka, aż wszyscy podskoczyli. Daniel podniósł głowę i spojrzał w stronę umocnień warownych. Wstrzymał oddech. Do ich uszu dotarł niechybnie świdrujący odgłos rogów, w które zadęli wartownicy, obwieszczając alarm w całej twierdzy.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął Murrow.

Również lord Salisbury, Gorvenal, najemnicy i wystraszeni więźniowie zwrócili wzrok w stronę murów. Pomiędzy blankami widać było wyraźnie strażników zajmujących w pośpiechu pozycje.

Na dziedzińcu pojawił się zwiadowca w niebieskich szatach przy akompaniamencie energicznego stukotu końskich kopyt.

– Milordzie! – wykrzyknął, zwracając się do Longespéego. Zatrzymał konia gwałtownie tuż przed księciem i przechylił się w jego stronę, próbując złapać oddech. – Milordzie, zostaliśmy zaatakowani! – oznajmił. – Co najmniej trzy oddziały, rycerze pospołu z żołnierzami! Nadciągają od strony portu!

Wieści wywołały popłoch wśród zgromadzonych. Bull i pozostali więźniowie

wydali z siebie okrzyk tryumfu, który jednak szybko został stłumiony przez najemników. Daniel poczuł, jak przyspiesza mu serce – czuł je prawie w gardle.

– Jesteście pewni, że mają wrogie zamiary? – zapytał pospiesznie lord Salisbury.

– Tak, milordzie. Nadjeżdżają w szyku bojowym i mają ze sobą broń, są gotowi do walki.

– Pod jakim sztandarem?

Twarz Murrowa przybrała odcień wosku, kiedy usłyszał odpowiedź.

– Nie niosą sztandarów, lecz prowadzi ich czarny rycerz z herbem Martewallów.

Młodziutki baron zadrżał ze strachu.

– Geoffrey Martewall wrócił!?! – zapytał zdziwiony.

– Obawiam się, że tak, panie. Rycerz ma na sobie kołnierz turniejowy potomka rodu, widziałem na własne oczy. Nie rozpoznaję jednak barw rodowych jego kompanów.

Daniel usłyszał, jak Gorvenal pyta lorda Salisbury półgłosem:

– Jak im się udało dotrzeć aż tutaj? Przecież nikt z portu nawet nie ogłosił alarmu!

Również angielski książę był wielce zdumiony, mimo że mógł się spodziewać ruchu Martewalla i Francuzów przybywających morską drogą.

– Czyżby już zdobyli port? – powtórzył na głos swe myśli William de Longespée, jednak żołnierz nie potrafił mu odpowiedzieć.

– Nie mieliśmy żadnych wieści z portu, ani wczoraj, ani dzisiaj – odparł krótko.

– Diabelskie nasienie, przebiegły lis, niech go... – wymamrotał lord Salisbury i Daniel wiedział, że Anglik kieruje swoje słowa pod adresem Iana. – Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak tego dokonał.

– Zwołać wszystkich mężczyzn do broni! – nakazał Murrow. Jego głos nabrął piskliwego tonu – chłopak był wyraźnie przerażony. – Zamknąć wrota barbakanu!

– Bram już nie ma, a most zwodzony zdołaliśmy naprawić tylko prowizorycznie. Nie uda nam się zatrzymać ich na zewnątrz – uprzedził go lord Salisbury. – Musimy negocjować, w przeciwnym razie nas zniszcza.

– Żartujecie chyba!?! – wykrzyknął Murrow. – Martewall będzie chciał zemsty za śmierć swojego ojca! Wszystkich nas pośle pod topór kata!

– Trzymajcie nerwy na wodzy, jesteście rycerzem – zganił go lord Salisbury.

Dowódca najemników przerwał mu gwałtownie:

– Mamy wciąż ludzi i przede wszystkim mamy jego siostrę! Nie odważy się nic zrobić, jeśli będzie chciał ujrzeć ją żywą.

– Ty łajdaku! Nie możesz tego zrobić! – wrzasnął Daniel, wyrывая się ze wszystkich sił z żelaznego uścisku najemników. Oburzony Bull i pozostali cywile przyłączyli się do jego protestu.

– Zakazuję wam mieszać damę w całą tę kwestię – nakazał lord Salisbury z niezachwianą stanowczością. – Jesteśmy ludźmi honoru, a nie bandą zbójów. Nie

będziemy kryć się za plecami kobiety ani za plecami zakładników.

Najemnik nie odważył się dodać nic więcej, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Przygotujcie ludzi do walki, nie pozwalam wam jednak podejmować żadnych decyzji bez mojego rozkazu – ciągnął władczo lord Salisbury. – *Sir Gorvenalu*, potrzebuję natychmiast mojego konia. Pojadę osobiście rozmówić się ze zbrojnymi i zobaczymy, jakie są ich żądania. Nawet jeśli jest ich wielu – nam również nie brakuje ludzi, ponadto jesteśmy pod sztandarem króla Jana i nie będzie im łatwo przypuścić na nas atak.

Rycerz pokłonił się i oddalił w pośpiechu.

– Milordzie, to niebezpieczne wyjechać na zewnątrz, wrogowie zdają się mieć sporo zapachu do boju – zaniepokoił się rycerz na koniu.

– Jam jest William de Longespée i się ich nie lękam – odparł lord Salisbury z dumą. – Jeśli są ludźmi honoru, wysłuchają najpierw mych słów. A kiedy słowa okażą się bezużyteczne, wtedy przemówią miecze.

„Komediant pierwszej klasy” – pomyślał Daniel. „I tak dobrze wiesz, że wszyscy tam są z tobą sprzymierzeni”.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, lord Salisbury rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Zamknąć więźniów w lochach – nakazał Murrow, usiłując bezskutecznie nadać swoim słowom władczy ton. – To samo dotyczy jego – dodał i wskazał na Daniela. – Później porozmawiamy o ewentualnym zaangażowaniu cudzoziemca w spisek sabotażowy.

Daniel spojrział na lorda Salisbury z niemym sprzeciwem, zrozumiał jednak, że nie może stawiać oporu – żaden rozsądny i doświadczony człowiek wojny nie puściłby teraz wolno posądzonego o konspirację zakładnika, zwłaszcza że za murami zamku szykowała się bitwa.

Lord Salisbury aż do końca postanowił odgrywać swoją rolę wiernego sprzymierzeńca króla, tak aby nie dawać powodów do jakichkolwiek podejrzeń, a już szczególnie dowódcy najemników, który ośmielił się rzucić kilka oskarżeń.

– Oby mu się nic nie stało – powiedział William de Longespée surowo. – W dalszym ciągu jest moim zakładnikiem, przypominam wam o tym.

Najemnicy szarpnięciem postawili na nogi Bulla i pozostałych więźniów w cywilu, po czym czterech z nich powiodło całą grupę w stronę lochów, ciągnąc za sobą również Daniela i grożąc mu wymierzonymi w niego mieczami.

Poruszenie na murach Dunchester było teraz widoczne z daleka. Gołym okiem można było dojrzeć mnożących się między blankami żołnierzy, a na zewnątrz garstka

zbrojnych uciekała w panice z terenu zniszczonego grodu, by znaleźć schronienie wewnątrz murów obronnych twierdzy. W powietrzu wciąż rozbrzmiewał przenikliwy dźwięk rogów.

Również mieszkańcy osady, którzy odnawiali swoje zniszczone domostwa, usłyszeli alarm. Początkowo wpadli w panikę, widząc uzbrojonych żołnierzy bez barw herbowych nadciągających pospiesznie w szyku bojowym, ale tylko nieliczni rzucili się w stronę zamku, by szukać tam schronienia. Wieść, że to Geoffrey Martewall przewodniczy nadjeżdżającym oddziałom, obiegła wioskę, jeszcze zanim rycerz zdołał pojawić się w niej we własne osobie. Mieszkańcy w pierwszej chwili zamarli w bezruchu, potem jednak chwycili za swe narzędzia pracy i unieśli je w ekstazie nad głowę niczym wojenne trofea, by powitać radośnie powracającego do domu pana. Czekali na nieuchronną bitwę. Kobiety i dzieci odesłano na bezpieczną odległość, w stronę nieukończonych konstrukcji zewnętrznych murów.

Martewall miał na sobie swój zwyczajny czarny płaszcz turniejowy, który nałożył chwilę po tym, jak opuścili twierdzę portową w Dunchester. I on liczył na efekt, jaki znak rodu może wywołać wśród jego poddanych. Już w porcie przyłączyło się do niego wiele osób – nie tylko ci, którzy dotychczas więzieni byli w lochach. Teraz oddziały nadciągające od strony morza mogły liczyć na dodatkową pięćdziesiątkę ludzi; może nie najlepiej uzbrojonych, ale z pewnością pełnych bitewnego zapału.

Ian galopował u boku Martewalla na swoim wierzchowcu bojowym, który przypłynął wraz z oddziałami wojsk na jednym z francuskich okrętów. Młodzieniec był w pełnej zbroi – na głowie miał hełm, a w ręku tarczę i kopię, jednak na kolczugę wdział płaszcz bez żadnych kolorowych emblematów – tak jak pozostali, z wyjątkiem Martewalla.

– Powiedz swojemu Anglikowi, żeby nie przyzwyczajał się aż tak bardzo do roli naszego dowódcy. Nawet jeśli wszyscy ubraliśmy się jak na pogrzeb, to tylko dlatego, że nie chcemy, by nas rozpoznano – wymamrotał Sancerre jeszcze tego samego poranka, nim wskoczył na siodło – nieszczerze zadowolony, że musi pozbyć się swych barw heraldycznych i wyruszyć na wojnę incognito.

Ianowi również było przykro, że nie mógł nałożyć swego białobłękitnego płaszcza turniejowego ze srebrnym sokołem wyszytym na piersi, teraz jednak, w miarę jak zbliżała się godzina potyczki, kolory jego szat powoli zaczynały tracić na znaczeniu. Młodzieńca ogarniało za to coraz większe napięcie spowodowane zbliżającą się bitwą.

Wraz z rycerzami galopował poseł księcia, *monsieur* Enguerrand de Vitry, który wraz z pozostałymi oddziałami zszedł z pokładu statku w chwilę po tym, jak pierwsze promienie słońca rozświetliły horyzont na tyle, by można było bezpiecznie zacumować w dokach. I jego zbroję przykrywały szaty w neutralnych kolorach.

Ian niepokoił się zwłaszcza o sytuację na tyłach ich wojsk, tam gdzie na zbrojnych

wozach z wojennym ekwipunkiem podróżował Lisi Ogon.

Chłopiec, nie zważając na ryzyko, za wszelką cenę chciał uczestniczyć w bitwie i Ian musiał się w końcu ugiąć pod jego błaganiami, również dlatego, że Sancerre beztrąsko przychylił się do próśb malca. Ze strachu, że odmowa może wywołać odwrotny skutek i zachęcić chłopca do potajemnej wyprawy w ślad za oddziałami, Ian zdecydował się w końcu zabrać go ze sobą, powierzając go bacznej uwadze francuskich żołnierzy, którzy prowadzili wozy i pilnowali ciężkiej broni na wozach.

„Miejmy nadzieję, że w ten sposób nie wpakuje się w jeszcze większe tarapaty” – myślał Ian. Wydał żołnierzom kategoryczny rozkaz trzymania Lisiego Ogona z dala od każdego potencjalnego niebezpieczeństwa. Gdyby tylko coś poszło nie tak, mieli bezzwłocznie przetransportować go na statek.

Ponura bryła twierdzy Dunchester widniała tuż przed młodzieńcem. Ian nie mógł uwierzyć, że znów się tu znalazł – by po raz drugi w przeciągu tych kilku dni walczyć o zamek. Tym razem jednak nie występował już w roli jego obrońcy. Teraz miał się stać jego zdobywcą.

„Nie mogę już patrzeć na te przeklęte wieże” – protestował w duchu, ale ta myśl była niczym w porównaniu z wrażeniem, jakie robiły na nim coraz bardziej przybliżające się mury. Zbyt dobrze pamiętał mrozący krew w żyłach spektakl oblężenia, które kosztowało mnóstwo ludzkich żyć, by nie obawiać się, że za chwilę trafi do znajomego piekła.

Pomyślał o Danielu, który znajdował się w twierdzy.

„Wszystko pójdzie dobrze, wszystko...” – powtarzał w duchu raz po raz. Nie chciał nawet sobie wyobrazić, co mogłoby się stać z więźniami, gdyby losy bitwy potoczyły się na niekorzyść ich wybawców. Całą swą ufność pokładał w obecności lorda Salisbury, jednocześnie obawiając się Murrowa i, przede wszystkim, bezlitosnych najemników króla – bardziej doświadczonych i mniej skłonnych do bezwzględного posłuszeństwa, nawet wobec tak potężnej osoby, jaką był William de Longespée.

W tej samej chwili Martewall nakazał wszystkim się zatrzymać i odwrócić się w stronę rycerzy.

– Nadszedł moment, byśmy się rozdzielili i przygotowali do oblężenia – oznajmił, a zanim wydał ten sam rozkaz rycerzom, zczekał na zgodę swych kompanów.

Monsieur Vitry naradził się błyskawicznie z Ianem i Sancerre'em, w końcu kiwnął głową i zarządził:

– Do dzieła.

Dowódcy powtórzyli rozkazy swym podwładnym i niewielkie wojsko przeorganizowało się pospiesznie, dokonując manewru w bezpiecznej odległości od bastionów zamku. Łucznicy i kusznicy rozlokowali się, zajmując pozycje w małych oddziałach, gotowi do strzału, szeregowi zaś wyładowali z wozów wojenne maszyny przywiezione z Francji: taran i cztery katapulty umocowane na trójkołowych

drewnianych podstawach. Sprzęt był mniejszy niż ten, którym dysponował lord Salisbury podczas ataku na zamek kilka dni wcześniej, mógł jednak wystrzelić z wielką siłą dłuższe i cięższe pociski, do których nie wystarczyłaby siła ludzkich rąk.

Celem najeźdźców był barbakan i jego dopiero co naprawiony most – podniesiony do połowy i wiszący na metalowych łańcuchach.

Francuzi mieli ze sobą wozy osłonięte pancierzami, potężne barykady na kołach ze strategicznie rozmieszczonymi szczelinami. Drewniane konstrukcje osłaniały stojących za nimi łuczników i kuszników, by ci mogli precyzyjniej celować w stronę zamku, również z niewielkiej odległości. Liczne kusze najeźdźców mogły przyczynić się do zwycięstwa, śmiertelne bełty bowiem, wystrzelone z tej broni, trafiały lepiej do celu, nabierały większego impetu i mogły przemierzyć większe odległości niż strzały wystrzeliwane z łuków.

Ian, tak jak zawsze w obliczu bitwy, odczuwał narastający niepokój, zwłaszcza że w tej chwili wszyscy oczekiwali, iż to właśnie on – Srebrny Sokół – będzie potrafił świetnie się odnaleźć w roli przywódcy. Młodzieniec obawiał się jednak, że towarzysze przeceniają jego umiejętności.

Marzył o tym, by u jego boku stanął Guillaume de Ponthieu z całym swoim wojennym doświadczeniem. Decyzja Delfina była jednak zbyt kategoryczna, by można było się jej sprzeciwić – nikt z potężnych feudałów nie mógł uczestniczyć w anonimowej wyprawie, aby uniknąć ryzyka ich rozpoznania i schwytania do angielskiej niewoli. Tym samym Ponthieu musiał ograniczyć się do kilku rad i niezbędnych wyjaśnień w kwestiach uznanych przez Iana za kluczowe dla korzystnego wyniku najazdu. Książęce pozdrowienie z bezpiecznej, francuskiej ziemi, oddalonej od miejsca przyszłej potyczki, było wszystkim, na co mogli liczyć.

O wiele łatwiej byłoby usprawiedliwić obecność młodszych i wciąż niedyscyplinowanych rycerzy – w razie gdyby ktoś zdołał wziąć ich do niewoli lub gdyby zostali rozpoznani na polu bitwy, wciąż można byłoby się upierać, że Delfin nie maczał palców w zbrojnym wypadzie, i zrzucić całą odpowiedzialność na bezpośrednio zaangażowanych.

„Na dobrą sprawę, jeśli wszystko pójdzie według planu, to zasługa będzie jego, a jeśli się nam nie powiedzie – to cała wina spadnie na nas” – pomyślał lekko poirytowany Ian, mimo że nie wahał się ani przez chwilę, przystając na warunki Delfina. Wiedział, że to jedyny sposób, by spróbować ocalić Daniela.

– Możemy sobie pogratulować efektu zaskoczenia – chyba do szczeru im mowę odjęło – zauważył Sancerre z satysfakcją, nieświadomy ponurych przemyśleń zajmujących głowę Iana. Francuski rycerz zgodził się na propozycję księcia z czystej chęci wzięcia udziału w „zabawie” polegającej na ryzykowaniu własną głową i wywijaniu mieczem.

– Tak czy siak, zdążyli podnieść most – odparł Ian z powątpiewaniem.

– Bo to jedyna rzecz, którą mogli zrobić – wtrącił Martewall i Ian musiał przyznać mu rację.

Przez chwilę naprawdę miał nadzieję, że uda im się wziąć z zaskoczenia nieprzygotowanych wartowników i w ten sposób bez większych trudności przekroczyć wewnętrzny pierścień murów. Teraz jednak, gdy miał przed sobą sylwetkę zamku, szybko zdał sobie sprawę, że jego życzenie miało niewielkie szanse się ziścić. Nawet gdyby Francuzi zamiast drogi wiodącej od portu wybrali leśną ścieżkę – po to, by jak najdłużej nie dać się zauważyć – wartownicy na wieżach i konni zwiadowcy z wyprzedzeniem dostrzegliby wojsko przemierzające ciągnącą się od puszczy do zamku równinę i ogłosiliby alarm dla całej twierdzy, choćby nawet poranne, ciężkie mgły utrudniały widok.

Z całą pewnością mieszkańcy Dunchester nie mogli spodziewać się drugiego oblężenia w tak krótkim czasie ani też nie posiadali wystarczającego ekwipunku, by mu sprostać. Nie byli jednak całkiem bezbronni – w zamku wciąż przebywało sporo żołnierzy, którzy z pewnością nie zamierzali oddać twierdzy bez walki.

– Teraz musimy poczekać na krok lorda Salisbury – powiedział młodzieniec na głos, w duchu modląc się o powodzenie misji. – Brak nam sposobności i czasu, by omówić z nim szczegóły tego oblężenia, spodziewał się jednak naszego przybycia, a więc na pewno wpadł na pomysł, jak nas przyjąć, nie ujawniając przy tym swojej pozycji. Jemu również nie w smak jest kolejny rozlew krwi.

Słyszac to, Etienne de Sancerre zareagował niezrozumiałym mruknięciem, Martewall zaś milczał tajemniczo. Jedynie *monsieur Vitry*, poseł księcia, wierzył tak jak Ian, że do zamku poprowadzi ich droga dyplomacji, nie zaś podbój.

I jakby słowa Iana były magicznym zaklęciem, w odpowiedzi na murach zamku ukazały się flagi oznajmujące chęć podjęcia negocjacji. Minęło kilka minut, zanim most zwodzony opadł powoli, ukazując trzech uzbrojonych rycerzy wewnątrz barbakanu. Na szczycie kopii jednego z nich powiewała flaga herbowa.

Ian nawet przez chwilę nie musiał zastanawiać się nad tym, kim są. Natychmiast rozpoznał płaszcz Williama de Longespéego, *sir Gorvenala* i jeszcze jednego rycerza, który w dniu kapitulacji Dunchester obecny był w komnacie, w której po raz pierwszy nakreślono możliwe przymierze lorda Salisbury i Delfina Francji. Niebieski sztandar z sześcioma złotymi lwami należał do angielskiego księcia.

„Jak zawsze, otoczony przez najbardziej zaufane uszy” – pomyślał Ian. Czuł ulgę, że zdoła porozmawiać z Anglikiem, nim będą zmuszeni chwycić za broń.

Również Enguerrand de Vitry zdawał się zadowolony – w przeciwieństwie do Sancerre’a i Martewalla, którzy, choć z różnych powodów, marzyli o tym, by zrobić użytek ze swych mieczy.

– Czyżby już się nas wystraszyli? – zapytał kpiąco Sancerre. I on wiedział jednak, że za murami Dunchester mają sekretne przymierze.

– *Messieurs*, za mną – oznajmił tymczasem poseł Delfina i objął prowadzenie nad grupką rycerzy, która wyruszyła w stronę przeciwników, by podjąć pertraktacje.

Obie strony spotkały się w połowie drogi między murami Dunchester a szeregami atakujących. Obserwowały ich czujne oczy – zarówno obrońców, jak i najeźdźców. Z pewnym ociąganiem wymienili pełne szacunku pozdrowienia, ściągnając z głowy bitewne hełmy i przytrzymując je jedną ręką.

– Panowie, moje gratulacje. Wciąż nie wiem, jak tego dokonaliście, jednak zdołaliście dotrzeć tutaj nawet bez jednego potknięcia. Nie mogliśmy się was spodziewać aż do ostatniej chwili – rozpoczął lord Salisbury uroczyście. W jego głosie brzmiał szczery podziw.

– Mieliśmy dobrych strategów, którzy pomogli nam w zaplanowaniu całej wyprawy – odparł Vitry, gestem ręki zaś wskazał na Iana, sugerując, że ma na myśli rodzinę Ponthieu.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości – odparł lord Salisbury z chytrym uśmiechem.

– Milordzie, przedstawiam wam *monsieur* Enguerranda de Vitry’ego. To poseł upoważniony, by mówić w imieniu księcia Ludwika Francuskiego – powiedział Ian, chcąc zapoznać lorda Salisbury z przedstawicielem przeciwnej strony.

Longespée spoważniał w mgnieniu oka.

– Jestem zaszczycony, że mogę was poznać, *monsieur* – powiedział.

– I dla mnie to zaszczyt – odparł Vitry z lekkim skinieniem głowy.

Konwenanse zakończyły się po prezentacji Sancerre’a i drugiego rycerza towarzyszącego lordowi Salisbury – Lionela.

– Już wkrótce będziemy mieli sposobność rozpatrzyć szczegóły kwestii, która przywiodła was tutaj – podjął lord po wymianie grzeczności. – W pierwszej kolejności musimy jednak porozumieć się w sprawie szczególnej sytuacji Dunchester. Wnioskuje, że przybyliście odzyskać zamek i nie macie zamiaru przebierać w środkach. – Zamilkł na chwilę i spojrzał na Martewalla, dotychczas milczącego.

Wrogi wyraz twarzy barona nie wymagał dodatkowych wyjaśnień i lord Salisbury w rzeczy samej poczuł się zmuszony dodać:

– Przykro mi niezmiernie z powodu waszego ojca. Możecie mi wierzyć, usiłowałem uniknąć ostatecznego rozwiązania, jednak okazało się to niemożliwe.

Martewall wciąż milczał, być może po to, by nie powiedzieć za dużo w chwili, gdy wszystko zależało od dyplomacji.

– A co się stało z pozostałymi więźniami? – zapytał Ian.

– Nikomu nie stała się krzywda – odparł lord Salisbury. – Także waszemu przyjacielowi. Muszę wręcz powiedzieć, że zrobił wiele, by uchronić skazańców przed królewską sprawiedliwością, częściowo działając wbrew temu, co podpowiadał zdrowy rozsądek. W każdym razie dzięki niemu do tej pory nikt więcej nie stracił

życia – powiedział i spojrzał ponownie na Martewalla, czekając na jego reakcję.

Słowa księcia sprawiły, że z gardła Iana wyrwało się westchnienie ulgi.

– Będę musiał w takim razie okazać mu moją wdzięczność – sucho odparł tymczasem młody baron.

– Tak, w rzeczy samej, należy mu się. Wasza siostra opowie wam o szczegółach tego, co się stało, w sposób bardziej wyczerpujący, niż ja mogę to zrobić – stwierdził Longespée.

Nastąpiła chwila ciszy, po której głos zabrał Vitry.

– Lordzie Salisbury, występuję do was z oficjalną prośbą o powierzenie fortecy w ręce jej poprzedniego pana, *sir* Martewalla. Jeśli nie będziecie okazywać oporu, pozwolimy wam wszystkim opuścić zamek i będziecie mogli poddać się honorowo, zatrzymując broń.

Sir Gorvenal wymienił się porozumiewawczym spojrzeniem z Lionelem. Lord Salisbury z kolei nie wydawał się zaskoczony.

– Czyżbym miał przypuszczać, że Dunchester zostanie zajęte przez Francuzów? Ludzie na waszych rozkazach nie są prawdziwymi najemnikami, mam rację?

– Cóż, to prawda – odparł Vitry. – Jego wysokość książę Ludwik posłał osobiście tych żołnierzy pod dowództwem *monsieur* Ponthieu i *monsieur* Sancerre’a, jako namacalny dowód jego chęci do działania.

– A w zamian za to chce Dunchester?

– Wyłącznie jako bezpieczną bazę dla oddziałów, które mogłyby przybyć tutaj w przyszłości, jeśli rzeczywiście baronowie, których jesteście przedstawicielem, byliby gotowi zawrzeć sojusz z moim panem. Jego wysokość nie interesuje kontrola polityczna czy ekonomiczna lenna – to pozostanie w gestii *sir* Martewalla, tak jak nakazuje sprawiedliwość. W tej chwili jednak, jako że *sir* Martewall nie może liczyć na własne wojska, by obronić zamek i port, przypuszczam, iż nasi ludzie pozostaną tu na dłużej.

Ian zerknął pospiesznie na Martewalla, chcąc wyczuć, co myśli młody Anglik, jednak ponury wyraz twarzy barona był zupełnie nieprzenikniony.

Również lord Salisbury i Vitry uważnie lustrowali się nawzajem wzrokiem.

– Jestem pewny, że znajdziemy sposób, by nawiązać współpracę – rzekł Longespée. – Król Jan dysponuje niemałymi siłami i bez wątpienia potrzebna nam będzie każda możliwa pomoc, by je odeprzeć – nie tylko podczas bitwy o Dunchester.

– Jestem upoważniony, by wam to obiecać, o ile oczywiście wasz wkład okaże się odpowiadający wysiłkowi wojennemu i zasobom ludzkim, które mój pan gotów jest wam zapewnić.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem przez kolejnych kilka chwil – i jeden, i drugi zastanawiał się nad własnymi korzyściami wynikającymi z pertraktacji, nie zważając na ciężki i pełen oczekiwania wzrok pozostałych rycerzy.

– Wrócimy do tego – powiedział w końcu lord Salisbury. – Teraz zajmijmy się Dunchester, zanim wszyscy, którzy na nas patrzą, nabiorą podejrzeń.

– Znacie już nasze żądania, milordzie – upomniał go Vitry.

– Natychmiastowa kapitulacja to wygórowane żądanie, zwłaszcza że liczba ludzi, którzy pozostają do naszej dyspozycji wewnątrz zamku, w niewielkim tylko stopniu ustępuje waszym. Muszę zachować pozory i nie mogę poddać się bez walki, siły są zbyt wyrównane – odparł lord Salisbury. – Oczywiście, jako że posiłki są już w drodze i dotarcie tutaj zajmie im mniej niż jeden dzień, zakładając, że przybywają liczną grupą, jestem zmuszony zastanowić się uważnie nad waszą propozycją. Nie chciałbym, żeby doszło do masakry.

– Czyżbyśmy mogli wreszcie liczyć na pomoc baronów? – zapytał Ian.

– *Sir Robert Fitz-Walter* wyruszył ze swojego zamku, a wraz z nim pozostali sojusznicy. O ile mi wiadomo, przekroczyli już granicę lenna Dunchester, twierdza zaś, zważając na stan, w jakim się znajduje, nie wytrzyma oblężenia ich sił w połączeniu z waszymi – potwierdził lord Salisbury i uśmiechnął się półgębkiem. – To najdziwniejsze pertraktacje, w których kiedykolwiek brałem udział. Uprzedzam najeźdźców, że wsparcie dla ich wojsk jest niedaleko i pomagam im w przygotowaniu strategii.

Vitry powstrzymał się od komentarza. Spoglądał ponad zgromadzonych, w dal, uważnie obserwując sylwetkę zamku i szacując liczbę żołnierzy wychylających się zza blanek murów.

– A więc, milordzie, jaka jest wasza odpowiedź? – podjął Francuz.

– Nie mogę sam podjąć decyzji, muszę przynajmniej formalnie zwrócić się do przedstawicieli dwóch pozostałych sił, które teraz sprawują władzę nad Dunchester.

– Chyba nie chcecie pozwolić, by decydował *sir* Murrow czy najemnicy? – zaniepokoił się Ian.

– Murrow nie ma prawa zabierać głosu w tej kwestii. W przeciwnym razie zażądam jego głowy – warknął Martewall ze złością. – Już wbił mi jeden sztylet w plecy, nie pozwolę, by raz jeszcze decydował o losach mojego domu.

– Spróbuję przekonać obecnych najeźdźców Dunchester, aby zajęli kompromisową pozycję, jednak musicie mi pozwolić, bym się z nimi rozmówił – jeśli chcemy uniknąć niepotrzebnego wrzenia i sprzeciwu, który mogłoby zmusić nas do walki zakończonej rzezią – odparł lord Salisbury. – Udam się do nich z propozycją *monsieur* Vitry’ego i sprawię, że...

Zanim angielski książę zdołał dokończyć zdanie, z zamku za ich plecami rozległ się niski, ponury dźwięk. Zawyły rogi, najwyraźniej na alarm.

Zdezorientowany lord Salisbury odwrócił się, podobnie jak towarzyszący mu rycerze. Również żołnierze na murach oglądali się za siebie, by zrozumieć, co dzieje się w zamku. Byli wyraźnie poruszeni. Dźwięk rogu dochodził do ich uszu

z wewnętrznego okręgu murów obronnych.

Ian poczuł dreszcz na plecach, zaskoczenie zaś i podenerwowanie powoli opanowywało francuskie oddziały.

– Co się dzieje tym razem? – wyszeptał młodzieniec.

*

Rozdział 40



Kiedy Daniel wraz z Bullem i pozostałymi więźniami zostali zaprowadzeni do lochów Dunchester, ciemności zaczynające się już od progu i spowijające opadające stromo w dół schody wydały mu się dziwnie znajome.

Odruchowo odczuł nieprzemogłą chęć sprzeciwu – za nic w świecie nie miał zamiaru ponownie dać się zamknąć w katakumbach, w których rezydował nie tak znowu dawno temu. Całą siłą woli zmusił się do posłuszeństwa, gdyż wiedział, że tuż za murami stoją wojska francuskie i prowadzą pertraktacje z lordem Salisbury, nie chciał więc wpakować się w żadne tarapaty, które mogłyby tylko skomplikować sprawę.

Było mu jednak trudno uwierzyć w pomyślny obrót spraw, zwłaszcza że nie mógł uczestniczyć w nich osobiście. Miał nadzieje, że oprócz Martewalla i żołdaków również Ian dotrze do podziemi Dunchester. Nie mógł jednak być tego pewien i zupełnie nie potrafił pogodzić się z myślą, że oto zmuszony jest do powierzenia własnego życia i wolności Anglikom – Longespéemu i Martewallowi.

Najemnicy popychali przed sobą skrępowanych sznurami więźniów, jednego po drugim, i nie spuszczały z nich wzroku, w rękach zaś trzymali broń gotową do ataku. Na czele pochodu kroczył żołnierz z płonącą pochodnią w lewej ręce i oświetlał im drogę. Drugi strażnik kroczył w połowie szeregu. Bull szedł prawie jako ostatni, tuż przed Danielem.

Dwóch najemników przytrzymujących chłopaka za ramiona musiało puścić go przodem – na wąskich schodach bowiem nie zmieściłyby się nawet dwie osoby, zwłaszcza gdy jedna z nich chciała swobodnie trzymać miecz.

– Idziesz przed nami. Tylko żadnych dowcipów! – żołdacy rzucili Danielowi ostrzeżenie, wskazując strome stopnie końcówką ostrza, po czym ruszyli w krok za nim. Chłopak zaczął schodzić w ciemność.

Nie buntował się, mimo że czuł, jak z każdym stopniem prowadzącym w stronę celi narasta w nim poczucie osaczenia.

„Nie chcę wracać do tej klatki” – powtarzał mimowolnie w myślach. Szedł jednak posłusznie,

Przed sobą widział potężne plecy Thomasa Bulla. Drwał pokonywał schody z opuszczoną głową, ostrożnie stawiając stopy na wąskich stopniach.

Niespodziewanie Daniel zobaczył, że mężczyzna się chwieje, tak jakby stracił równowagę. W pierwszej chwili chłopak pomyślał, że drwał się potknął, zaraz jednak pojął, iż Bull specjalnie przeskoczył jeden schodek, rzucając się w dół – na poprzedzającą go część pochodu.

Efekt był spektakularny. Cały rząd więźniów runął w przód, w ciemność, w której okrzyki zaskoczenia żołnierzy i cywilów zmieszały się z metalicznym łoskotem broni i zbroi, objijających się o kamienne schodki.

Daniel zamarł w pół kroku, jednak natychmiast jeden z żołnierzy zza jego pleców odepchnął go na bok.

– Co wy wyprawiacie, kretyni? – wykrzyknął mężczyzna, mijając Amerykanina i rzucając się biegiem w kierunku gwałtownej kotłowniny w dole schodów. Nie zorientował się, że upadek jednego z więźniów był inscenizacją, i myślał, że zdarzenie było zwykłym wypadkiem.

– Zatrzymaj go! – Daniel usłyszał dobiegający z dołu głos Bulla.

Podsłoczył, ponieważ zrozumiał, że polecenie skierowane jest do niego. Zareagował instynktownie, nie zastanawiając się nawet przez chwilę. Usłuchał rozkazu: odepchnął najemnika z całej siły i sprawił, że ten potoczył się w dół. Następnie odwrócił się i zastąpił drogę ostatniemu z żołnierzy.

Zaskoczenie jego nieoczekiwanym ruchem sprawiło, że żołdak zareagował z kilkusekundowym opóźnieniem. Zamachnął się mieczem, Daniel jednak spodziewał się ciosu i skulił w uniku, przyklękając na kamiennym stopniu. Kiedy ostrze przeszło powietrze nad jego głową, chłopak odwinął się i całym swym ciężarem rzucił na przeciwnika. Obaj runęli gwałtownie na schody i, wciąż spleceni w uścisku, potoczyli się kilka metrów w dół.

Uderzenie o kamienną podłogę odebrało Danielowi oddech i odbiło się bolesnym echem w jego kościach. W zamieszaniu najemnikowi wypadł z ręki miecz, zdołał jednak przewrócić Amerykanina na plecy i teraz z furią wciskał go w zakurzoną ziemię. Chłopak czuł, że brakuje mu powietrza, bo żołdak usiłował go udusić. W chwilę później napastnik niespodziewanie go puścił, podniesiony do góry ogromną siłą czyichś rąk.

W gęstym półmroku Daniel usłyszał zduszony jęk bólu najemnika, po czym mężczyzna zamilkł. Kiedy chłopak, kaszląc, usiłował odzyskać oddech, zobaczył, jak wyrasta przed nim masywna sylwetka Bulla. Były żołnierz wyciągnął w jego kierunku rękę.

Drwał dyszał niespokojnie, wyraźnie wyczerpany, jednak w dłoni dzierżył zakrwawiony miecz.

– Wybaczcie, że pozwoliłem sobie wydać wam bezpośredni rozkaz – powiedział z trudem – ale traciliście zbyt wiele czasu, gapiąc się tylko i nic nie robiąc.

– Przejdźmy może na ty, co ty na to? – odparł Daniel i z jego pomocą podniósł się

na nogi. – Mam zbyt poobijane żebra, żeby jeszcze mi się chciało ciągnąć te zabawy w grzecznościowe formy... – Jego słowa przerwał jęk bólu, który mimowolnie wydarł mu się z gardła, kiedy przesunął dłonią po pokrytej siniakami klatce piersiowej.

– Taki sam prosty chłop z ciebie, jak i z twojego przyjaciela księcia, co? – skomentował Bull. – A ja żem sobie wyobrażał Francuzów jako nadętych jaśniepanów.

– Nie jestem Francuzem... – wymamrotał Daniel, rozglądając się dookoła. Jego uwagę przyciągnął odbijający się echem łoskot dochodzący z dołu.

Po stoczeniu się ze schodów chłopak wylądował prawie na ostatnim stopniu, tuż przy lochach – tam gdzie upadli pozostali więźniowie. W słabym świetle pochodni, która wraz z żołnierzem sturlała się w dół, Daniel dostrzegł teraz, że na niższym poziomie podziemi wciąż trwa bitwa.

Jeden z więźniów leżał nieruchomo na ziemi, być może stracił przytomność albo był martwy – jego bezwładne ciało skulone było na kamiennej podłodze. Trzej inni zaciekle walczyli z najemnikami, z których jeden również leżał nieruchomo na zimnych płytach. Jego miecz przechwycił któryś z więźniów i posługując się wprawnie bronią, usiłował utrzymać na dystans pozostałych przeciwników. Pozbawieni mieczy towarzysze próbowali mu jakoś pomóc, walka była jednak nierówna – mężczyźni mieli przed sobą dwóch zbrojnych, którzy wciąż utrzymywali się na nogach. Czwarty najemnik, który chwilę temu zaatakował Daniela, jęczał teraz w kącie, w wyniku obrażeń nie mogąc podnieść się z ziemi.

Z głębi lochów nadciągali tymczasem inni żołnierze, przyciągnięci rumorem kotłowaniny. Również więźniowie zamknięci w celach zaniepokoiли się i teraz nawoływali się nawzajem i wykrzykiwali ostrzeżenia w stronę buntowników, którzy walczyli ze strażnikami więziennymi.

– Musimy im pomóc, szybko! – zarządził Bull, zbiegając dalej w głąb lochów.

„Teoretycznie obiecałem Janowi bez Ziemi, że już nigdy nie wymierzę przeciwko niemu miecza” – pomyślał Daniel, jednak zupełnie nie czuł się winien złamania przysięgi. Zrobił to bez mrugnięcia okiem. W zasadzie wiedząc, że nic już nie krępuje mu rąk, czuł się wręcz podekscytowany. Zatrzymał się przy rannym najemniku, wyszarpnął zza jego pasa sztylet i dołączył do Bulla.

We dwóch zastąpili drogę nadciągającym z głębi lochów strażnikom. Było ich tylko czterech, jednak z pewnością byli dobrze przygotowani do walki i lepiej uzbrojeni. Daniel, mając przy sobie jedynie sztylet, poczuł, że właśnie wpadł w poważne tarapaty, mimo że Bull i jego towarzysze walczyli u jego boku.

Chłopak z trudem uniknął ostrza pierwszego z napastników, momentalnie odskakując, następnie musiał się przygiąć do ziemi, by nie przeszyły go miecze atakujące z obu stron naraz. W ten sposób znalazł się tuż obok porzuconej na

podłodze pochodni. Chwycił ją i – wyposażony w nowy rodzaj broni – odwrócił się, aby stawić czoło dwójce nacierających na niego nieprzyjaciół.

Musieli się cofnąć przed płonącym drzewcem, którym Amerykanin machnął im tuż przed nosem. Usiłowali zadać mu cios mieczem, jednak płomień pochodni utrudniały znacząco manewr.

Daniel zdołał zmusić ich do kilku kroków w tył i najemnicy zbyt późno się zorientowali, że znaleźli się tuż przy kratkach celi, w której zamknięci byli więźniowie. Nieoczekiwanie z tyłu za szaty chwyciły ich czyjeś ręce i przyciągnęły do żelaznych prętów. Pierwszy z dwóch najemników nie zdołał się już wyrwać. Jego plecy uderzyły gwałtownie w metalową klatkę, w której zamknięci byli między innymi *sir Kerwick*, *sir Ewen* oraz *Hektor*.

Reakcja rycerzy była błyskawiczna. *Sir Ewen* wyciągnął rękę przez kraty i chwycił przytrzymywanego przez pozostałych strażnika za gardło. Po krótkiej szamotaninie odebrał mu życie.

Drugi żołnierz z trudem wyrwał się z rąk więźniów. Nie zdołał jednak uciec przed sztyletem Daniela, który trafił go w żebra. Mężczyzna osunął się na ziemię z okrzykiem i znów znalazł się na tyle blisko celi, że zamknięci w niej rycerze dokończyli dzieła.

Daniel dyszał, bezskutecznie próbując uspokoić oddech. Rozejrzał się dookoła. *Bull* i jego ludzie dopadli ostatnich walczących żołnierzy, jednak i oni ponieśli straty – dwóch towarzyszy leżało martwych na kamiennej posadzce, a jeszcze jeden był poważnie ranny. Przy akompaniamencie tryumfalnych krzyków więźniów zza krat, zwycięzcy krótkiego starcia wyrwali strażnikom klucze i pobiegli w stronę cel, by uwolnić rycerzy i dowódców twierdzy *Duncheater*.

Daniel podszedł do *Hektora*. *Flamandczyk*, w przeciwieństwie do innych, pozostał w tyle. Jego ranny bark nie pozwalał mu na sprawną pomoc kompanom. Opierał się o kamienną ścianę, jakby próbował odzyskać siły. Chłopak wpadł do jego celi i minął pozostałych rycerzy, którzy poufale poklepywali go po ramieniu.

– Co się dzieje na zewnątrz? – zapytał *Hektor*, biorąc go na stronę. – Słyszeliśmy rogi wyjące na alarm w całym zamku.

– *Geoffrey Martewall* przybył, by odzyskać *Duncheater* – powiedział mu Daniel, podczas gdy kilka kroków dalej *Bull* i jego towarzysze relacjonowali to samo wydarzenie dopiero co uwolnionym więźniom.

Powietrze wypełniło się nowymi okrzykami radości i cała grupa natychmiast zaczęła się szykować do przypuszczenia ataku na żołnierzy znajdujących się w samym zamku, by skutecznie pomóc nadciągającym zdobywcom.

Wśród więźniów przeważali rycerze i dowódcy i Daniel mógł się bez trudu domyślić, jak bardzo pragną zemścić się na nieprzyjaciółach, którzy zadali im klęskę i zamknęli ich za kratami, którzy zamordowali ich pana i którzy także ich posłaliby

z chęcią na stryczek, gdyby tylko mieli na to czas. Ich krewkość i chęć walki mimo to zaniepokoiła chłopaka – wiedział, jakiego rodzaju negocjacje toczą się za murami.

– Prawie na pewno Martewallowi towarzyszą Francuzi, którzy przybyli incognito. Lord Salisbury wyszedł im naprzeciw. Chciał pertraktować – powiedział półgłosem do Hektora, uważając, by nikt nich nie usłyszał. – Pewnie próbują się dogadać, jak można zdobyć Dunchester bez zbyt wyczerpujących walk. Jeśli teraz pozwolimy, aby w środku wybuchła rewolta, możemy się pożegnać z dyplomacją – cokolwiek zdecydują na zewnątrz, nie dojdzie to skutku.

Hektor przez chwilę rozważał w milczeniu opinię Daniela.

– Czy naprawdę całkowicie ufacie lordowi Salisbury? Tak bardzo, że pozostawiacie w jego rękach własne życie, czekając na rezultaty jego negocjacji?

– Nie – musiał przyznać Daniel. Nie ufał przede wszystkim najemnikom Jana bez Ziemi, którzy już zdążyli wpaść na pomysł wykorzystania więźniów jako zakładników przeciwko Martewallowi i pozostałym atakującym.

– Ja też mu nie ufam – powiedział Hektor.

Nie trzeba było dodawać nic więcej. Amerykanin pomógł Flamandczykowi się podnieść i podtrzymując go, dołączył do pozostałych rycerzy, którzy przygotowywali się do wyjścia z lochów.

Rycerze twierdzy Dunchester, uzbrojeni w miecze wartowników, schodkami prowadzącymi w górę ruszyli na dziedziniec zamku. Zanim jeszcze wyszli z lochów, zamknęli pozostałych przy życiu nieprzyjaciół w swoich dawnych celach. Na górze nikt nie mógł usłyszeć ich krzyków, więc mogli liczyć na efekt zaskoczenia.

Nie dla wszystkich wystarczyło broni i z tego względu ich priorytetem było zdobycie nowych mieczy. Mieli na to kilka minut, jeszcze zanim wrogowie zdążyliby się otrząsnąć ze zdumienia i spróbowali zdławić próbę ucieczki w samym jej zarodku.

Sir Kerwick wyciągnął jeden z niewielu mieczy w stronę Daniela.

– Jesteście jednym z nas – powiedział mu uroczyście i Amerykanin zdał sobie sprawę, że rycerz i jego kompani są przekonani, że to on był głównym pomysłodawcą próby ucieczki.

– Wystarczy mi mój sztylet. Dajcie tę broń któremuś z waszych towarzyszy – odparł zakłopotany Daniel.

– Jak chcecie – rycerz wręczył miecz Hektorowi, który chwycił za rękojeść.

Przyczaili się na progu drzwi wychodzących na dziedziniec. Naprzód wysunęli się *sir Kerwick* i Hektor, wyglądając ostrożnie na zewnątrz.

Na dworze panowało poruszenie. Najemnicy i żołnierze biegali we wszystkie strony, formując grupy bojowe i przygotowując się do zbliżającej się bitwy.

Wykrzykiwali pełne złości rozkazy dla służby, posłusznie usiłującej zdobyć w pośpiechu wszelki rynsztunek, który mógłby się przydać w trakcie ataku bądź oblężenia.

Daniel nie po raz pierwszy obserwował taką scenę na dziedzińcu twierdzy, ale bitwa sprzed kilku dni zdawała mu się inna. Wtedy zamek już od dłuższego czasu był gotowy stawić czoło wrogom, odpowiednio wcześniej bowiem zgromadzono wojenny ekwipunek, obrońcy dysponowali zapasami kamieni, oleju i palnej smoły, belek i desek do wzmacniania bram i wieżyczek strażniczych. Teraz zaś Dunchester ledwo co zdążyło pozbierać się po bitwie, a jej zwycięzcy nie przewidzieli, że wkrótce sami będą musieli się bronić.

„Jest w tym spora zasługa lorda Salisbury, który zwodził ich na manowce przez ostatnich kilka dni” – pomyślał Daniel.

Niedawni najeźdźcy stanęli w obliczu niełatwego zadania. Z ogromną trudnością przychodziło im zebranie wszystkich potrzebnych materiałów, zwłaszcza że zapasy zgromadzone przed ich przybyciem wyczerpały się podczas dramatycznej próby zatrzymania ich na zewnątrz murów twierdzy.

– Musimy zniszczyć lub chociaż zablokować bramy – rzekł *sir* Ewen półgłosem, wskazując przez szparę w uchylonych drzwiach tunel z uniesioną obecnie podwójną kratą z drewna i metalu. Przejście to umożliwiałoby przemieszczanie się pomiędzy dziedzińcem a zewnętrznym dworem.

– Wrota barbakanu są i tak doszczętnie zniszczone, nieprzyjaciel zdążył jedynie naprawić most zwodzony, choć i to nie wystarczy – ciągnął rycerz. – Nasi zdołają bez najmniejszych trudności dostać się za środkowy pas murów, jedyna prawdziwa przeszkoda znajduje się tutaj.

Pozostali mężczyźni przytaknęli.

– Jak wygląda sytuacja na zewnątrz? Czy wrogowi udało się zorganizować? – zapytał jeden z nich.

Bull poczuł się w obowiązku udzielenia żołnierzom i dowódcom wyjaśnień na temat tego, co zostało zrobione w zamku od czasu ich uwięzienia. Z dokładnością żołnierza-weterana skupił się też na dokładnym opisie technicznych szczegółów ich obecnego przedsięwzięcia. W krótkim czasie plan działania zgromadzonych zaczął przybierać realne kształty, mężczyźni zaś ochoczo dzielili się na grupy.

– Ktoś musi zająć się ochroną pani Leowynn – zauważył Daniel. – Najemnicy wpadli już na pomysł użycia jej jako zakładniczki, by zatrzymać jej brata. Nie chciałbym, żeby naprawdę się do tego posunęli, jeśli zostaną przyparci do muru.

– Niech no tylko spróbują – warknął *sir* Kerwick.

Hektor klepnął go w ramię i rycerz odwrócił się w jego stronę.

– My pójdziemy – zaproponował Flamandczyk. – Z barkiem, który do niczego się nie nadaje, nie zdołam dobrze walczyć na otwartym polu. Komnaty zamku jednak to

zupełnie inna sprawa.

Daniel automatycznie został włączony w skład grupy obrońców Leowynn.

– Dalej, ruszmy się, zanim ktoś tu przyjdzie i nas nakryje – zarządził *sir* Ewen.

Uciekinierzy wydostali się z lochów. Kryjąc się w cieniu murów, zdołali zyskać jeszcze kilka sekund, nim zaatakowali z zaskoczenia. Wtedy też zostali zauważeni.

Wrogowie wydali z siebie okrzyk wściekłości, jednak rycerze Dunchester stanęli z nimi do walki bez cienia strachu i starli się z żołnierzami w bezlitosnym pojedynku. Pierwsi zbrojni, którzy stanęli na ich drodze – wciąż zaskoczeni i nieprzygotowani na niespodziewany atak – nie zdążyli zareagować wystarczająco szybko i zostali zmiażdżeni siłą ich furii i bitewnego szału. Uciekinierzy zdobyli nową broń i rzucili się do ataku na kolejnych nieprzyjaciół.

I wtedy właśnie rogi w twierdzy zawyły w desperackim ostrzeżeniu.

Dźwięk rozległ się dudniącym echem na zewnątrz, docierając do francuskich oddziałów szykujących się do bitwy. Wojenne poruszenie ogarnęło wszystkich zbrojnych. Dowódcy usiłowali uspokoić swoich żołnierzy kategorycznymi rozkazami, wkrótce jednak i oni zaczęli organizować szyk bitewny w obliczu nieuniknionego starcia.

– Co to ma znaczyć!?! – Ian zwrócił się do lorda Salisbury oskarżycielskim tonem.

Angielski książę tymczasem zdawał się nie mniej zaskoczony od niego.

– Co takiego wyprawiają ci szaleńcy tam w środku? – powiedział półgłosem, spoglądając na swoich rycerzy.

Sir Gorvenal zawrócił natychmiast konia i pognął w stronę zamku, by zorientować się w nieoczekiwanej sytuacji.

Lord Salisbury nie zdołał do niego dołączyć. Martewall przerwał chwilę konsternacji, wyciągając miecz i celując nim prosto w gardło księcia.

– Co wy robicie!?! – wrzasnął Longespée, podczas gdy Sancerre, biorąc przykład z młodego barona, błyskawicznym ruchem zablokował możliwość ruchu drugiemu z rycerzy z książęcego orszaku.

– Milordzie, zdaje się, że sytuacja wymyka się wam spod kontroli. Nie mam zamiaru już dłużej ryzykować – odparł Martewall stanowczo. – Skoro nie możemy uniknąć bitwy, rozsądnym rozwiązaniem będzie zapewnienie obu stronom zakładników, którzy mogliby okazać się kluczowym argumentem. W środku jest moja siostra, tutaj ja będę miał was. Jesteście dla mnie najlepszą gwarancją uniknięcia nieprzyjemnych niespodzianek.

– *Messieurs*, spokój! – wtrącił się Vitry, rozpaczliwie usiłując nie pogarszać sytuacji, ale przytłumiony huk dochodzący od strony zamku zagłuszył jego słowa.

Koła zębate przekreśliły się, unosząc most zwodzony. Metalowe łańcuchy jęknęły żałośnie pod ciężarem konstrukcji. *Sir Gorvenal* nie zdołał się już dostać do środka i teraz stał bezradnie przed murami zamku, wykrzykując z zewnątrz rozkazy do wartowników na murach. Most zatrzymał się na moment w połowie wysokości, wywołując popłoch i zamęt wśród żołnierzy w niebieskich i czerwonych barwach, po chwili jednak konstrukcja zaczęła się ponownie podnosić. Rozkazy *sir Gorvenala* zostały bezczelnie zignorowane – być może ktoś z wewnątrz wydawał polecenia skuteczniej albo błyskawiczne manewry wojsk pod murami sprawiły, że obrońcy wpadli w panikę.

Francuzi w istocie na widok podnoszącej się konstrukcji mostu rozpoczęli natychmiastowe przygotowania. Oddziały łuczników i kuszników były już w drodze na pozycje za barykadami, by wziąć na cel żołnierzy broniących murów. Miotacze i piechurzy zaczęli składać wyrzutnie pocisków i taran.

Ian uświadomił sobie z przerażeniem, że obie strony prowokowały w ten sposób pewnego rodzaju reakcję łańcuchową, która niechybnie prowadziła do bitwy – w odpowiedzi na ruchy przeciwników, każda ze stron przyspieszała własne działania zbrojne. Na bastionach *Dunchester* żołnierze uwijali się, przygotowując ekwipunek niezbędny do odparcia ataku maszyn oblężniczych.

Dwóch francuskich dowódców i kilku jeźdźców konnicy opuściło orszak poselski i rzuciło się galopem w stronę swych oddziałów.

– Panowie, usuńcie się stąd! Jesteście w zasięgu strzału! – krzyknął ponagłająco jeden z dowódców. Żołnierze otoczyli grupę rycerzy, przejmując lorda *Salisbury* i jego towarzysza pod swój nadzór.

Ian poczuł, jak serce zamienia mu się w lód. Spojrzał na angielskiego księcia i powiedział:

– Teraz nie mamy już innego wyboru.

Sytuacja była bez wyjścia, z każdej strony bowiem obserwowało ich zbyt wiele par oczu. Nie można już było dłużej ciągnąć pertraktacji między sekretnymi sojusznikami i wszyscy musieli zachować się tak, jak nakazywał oficjalny kodeks. W praktyce oznaczało to konieczność chwycenia za broń.

Również *Enguerrand de Vitry* wyraźnie pociemniał na twarzy, nie okazywał jednak wahania.

– Nalegam, byście zaakceptowali swój status więźnia, *monsieur Longespée* – powiedział do księcia. – Nie złamaliśmy zasad podczas pertraktacji, a więc możemy traktować was na prawach jeńca wojennego, nie chciałbym jednak być zmuszony zajmować się pościgiem za wami w trakcie bitwy. Proszę was, byście nie okazywali oporu, dla dobra nas wszystkich. Jeśli bitwa jest koniecznością, z pewnością będzie kosztowała mniej żyć, jeśli wasi ludzie dowiedzą się, że jesteście bezpieczni w naszych rękach. Być może osłabi to ich wojenny zapał, a w konsekwencji – ułatwi

nam zwycięstwo.

William de Longespée był wyraźnie wściekły, zwłaszcza w związku z tym, że ktoś wewnątrz zamku zniszczył jego dyplomatyczny plan. Mimo to książę musiał przyznać rację francuskiemu posłowi, tym bardziej że pozbawiony został jakiegokolwiek możliwości oporu – był odcięty od swoich ludzi, wśród najeźdźców, w towarzystwie zaledwie dwóch ze swych rycerzy.

– Poddaję się – powiedział wreszcie z ociąganiem. – Nie oczekujcie jednak, że zapłacę wam okup za siebie samego.

– Zadowolę się zdobyciem Dunchester – odparł Vitry.

Na rozkaz swojego pana również rycerz Lionel złożył broń, a w ślad za nim to samo uczynił Gorvenal, gdy wrócił z linii frontu do obozu francuskiego.

Skrawek terenu dzielący najeźdźców od zamku został w pośpiechu ewakuowany – była to najbardziej niebezpieczna strefa, gdyż znajdowała się w zasięgu strzału zarówno atakujących, jak i obrońców. W powietrzu rozległ się ponury śpiew rogów, któremu towarzyszyły głuche dźwięki bębnów wojennych.

Ian czuł się ogłuszony echem uderzeń, zmusił się jednak do galopu w stronę swoich oddziałów. Sancerre również udał się do powierzonych mu żołnierzy, Vitry natomiast wycofywał się z pola bitwy, towarzysząc żołnierzom sprawującym nadzór nad zakładnikami.

Martewall, z wyciągniętą kopią w dłoni, wyszedł przed wszystkich, by zająć miejsce w pierwszej linii ataku na swój własny zamek. Był gotowy.

– Gotowi do bitwy! – wrzasnął Ian do swoich ludzi, wyjeżdżając na swoim koniu przed szeregi. Odpowiedział mu wojenny okrzyk, który wydarł się jednocześnie z wielu gardeł. Żołnierze uderzali mieczami o tarcze, potrząsali kopiami i walili z całych sił łukami i kuszami w drewniane osłony. Zdawało się, że na całym polu bitwy rozpętała się okrutna burza.

Ian zatrzymał konia i obrócił się w stronę Dunchester. Podniósł kopię wysoko nad głowę. Na drugim końcu linii Sancerre odpowiedział mu takim samym gestem. Jako ostatni dołączył do nich Martewall, a ruch jego ręki był dla wszystkich ostatecznym sygnałem do boju.

Kiedy tylko jego dłoń opadła, pozostali rycerze wydali rozkaz ataku. Naprzód wysunęły się drewniane barykady, miotacze załadowali ostre pociski na konstrukcje wyrzutni. Pierwsza seria wystrzeliła w powietrze, kierując się w stronę murów i barbakanu Dunchester.

– Otworzyli ogień! Bitwa rozpoczęta! – krzyknął *sir* Kerwick, kiedy huk dochodzący z zewnętrznego dworu dotarł na dziedziniec twierdzy.

Daniel podniósł głowę i spojrzał w stronę murów otaczających przyzamkowy plac. Poczuł, jak rośnie w nim lęk. Oblężenie się zaczęło, tym razem jednak pod murami znajdował się Ian.

Chłopak z przerażeniem przypomniał sobie mrozące krew w żyłach sceny z poprzednich walk, kiedy żołnierze zrzucali na atakujących z wieżyczek strażniczych płonąca smołę i wrzący olej wraz z zapalonymi pochodniami, i w jego głowie na nowo rozbrzmiały wrzaski bólu ludzi, którzy żywcem stanęli w płomieniach. Nie wszyscy ginęli na miejscu, ale los tych, którym udało się przeżyć, był jeszcze straszniejszy niż śmierć.

„Przecież wcale nic takiego nie musi mu się stać!” – myślał gorączkowo, nic jednak nie było w stanie uspokoić jego rozdygotanej wyobraźni.

Przed samą jego twarzą śmignął grot wystrzelony z łuku obecnych najeźdźców, sprawiając, że z gardła wyrwał mu się okrzyk zaskoczenia.

– Na ziemię! – krzyknął do niego Hektor i odepchnął chłopaka na bok, ratując go przed kolejną nadlatującą strzałą, która zaświstała w powietrzu.

Daniel rozpląszczył się tuż za studnią na samym środku dziedzińca i stamtąd zerkał na toczące się walki.

Na murach było co najmniej czterech łuczników, celujących w żołnierzy walczących poniżej. Piąty stał na dziedzińcu i mierzył w kierunku studzienki. Któryś z rycerzy i jeden dowódca wojsk Dunchester stracili życie, ugodzeni strzałami nadlatującymi ze wszystkich stron. Ciała dwóch kompanów Bulla leżały nieruchomo na zimnym placu.

Drwał walczył zażarcie w pojedynku z wartownikiem w czerwonym stroju najemnika, tak jak i pozostali uciekinierzy z więziennych lochów. Dwaj z nich zdobyli kusze i strzały i teraz usiłowali powstrzymać impet wroga.

Byli więźniowie usiłovali przypuścić atak na liny bramy warownej, by zniszczyć je i zapobiec w ten sposób opuszczeniu krat, które odcięłyby drogę najeźdźcom spod murów.

Daniel, Hektor i Kerwick oddzielili się od pozostałych i skierowali w stronę twierdzy, w której znajdowały się komnaty Leowynn. Parli naprzód, odpychając każdego, kto stawał im na drodze. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy jeden z łuczników na dziedzińcu wziął ich na cel.

Kerwick zaklął soczyście, gdy kolejna strzała wbiła się w brzeg studni. Żołnierz skutecznie uniemożliwił mu wydostanie się zza niej, jak i ucieczkę w stronę komnat.

– Niech go szlag trafi! – krzyknął pod adresem wroga celującego do nich. – Czeka, aż wychylimy stąd głowy!

– Gdybym tylko miał łuk, pokazałbym temu łajdakowi, jak się strzela! – wymamrotał Daniel.

– Zaraz wam coś załatwimy – odparł Hektor, chłopak jednak nie miał pojęcia,

w jaki sposób mężczyzna zamierzał to zrobić.

Dziwny pocisk nadleciał od strony twierdzy, zatoczył łuk w powietrzu i upadł na korytarz, roztrzaskując się na kawałki. Zaskoczony łucznik krzyknął i odskoczył do tyłu. Pocisk minął go o włos.

Daniel podniósł oczy i zdał sobie sprawę, że przedmiot wycelowany w nieprzyjaciela musiał być miską albo glinianą doniczką. Dostrzegł okno, z którego ktoś go wyrzucił, i ujrzał tam charakterystyczną kobiecą postać opierającą się o parapet.

– Pani, nie! Uważajcie! – wykrzyknął oszołomiony chłopak, ale Leowynn, nie zważając na jego słowa, cisnęła następny przedmiot w stronę wciąż zaskoczonego łuczniaka. Mężczyzna zrobił kolejny krok do tyłu, jednak dokładnie w tej samej chwili wyrosła przed nim potężna postać *sir* Kerwicka, który korzystając z momentu nieuwagi nieprzyjaciela, rzucił się na niego z mieczem. Stanął do pojedynku i wkrótce rozprawił się z łuczniakiem, obalając go na ziemię, zanim jeszcze ten zdołał sięgnąć po swoją broń. Na kamiennej posadzce szybko rosła kałuża krwi.

– Proszę, łuk dla was – powiedział Hektor do Daniela.

Podbiegli do Kerwicka, który wyciągnął oręż zabrany martwemu żołnierzowi – łuk i miecz – w stronę Amerykanina. Leowynn krzyczała tryumfalnie z wysokości swojego okna, na próżno powstrzymywana przez starą Birgit, która błagała swą panią o zachowanie rozsądku.

– Uciekajcie do środka, pani! – wykrzyknął Hektor z dziedzińca.

Daniel tymczasem chwycił łuk i zebrał rozrzucone strzały, które wypadły z kołczanu. Podniósł broń, wycelował i puścił cięciwę. Dokładny strzał sięgnął nieomylnie jednego z łuczniaków na murach.

– Dobra robota! – wykrzyknął z aprobatą *sir* Kerwick.

Daniel nie odpowiedział, zakładając z furią kolejną strzałę. Był wściekły na samego siebie i na wszystko to, co widział dookoła – po raz kolejny został zmuszony, by zabijać. Nie miał jednak wyboru. Aby przeżyć, musiał walczyć. Właściwie od kiedy zdecydował się na tę przekłętą rozgrywkę, nie robił nic innego.

Kobiecey krzyk dochodzący z góry sprawił, że podskoczył i otrząsnął się z ponurych myśli.

Odwrócił się na czas, by zobaczyć, jak Leowynn znika sprzed okna, jakby ktoś siłą ją od niego odciągnął. Przeczynał, że to nieprzyjaciele dopadli ją w swoje ręce. Być może strażnicy sprzed drzwi komnaty zorientowali się o jej interwencji i postanowili ją ukarać.

Wściekły *sir* Kerwick krzyknął i pobiegł prędko w stronę wejścia wiodącego do wnętrza zamku. W ślad za nim rzucił się Hektor.

Daniel znieruchomiał na chwilę, by wypuścić z łuku ostatnią strzałę, po czym rzucił na ziemię łuk, który nie mógł mu się przydać w wąskich korytarzach budowli,

i złapał za rękojeść miecza.

Wycofał się w stronę drzwi. Zobaczył jednocześnie, że Bull i pozostali mężczyźni z Dunchester walczą teraz z większą pewnością siebie – niezagrożeni morderczymi strzałami, które nie nadlatywały już od strony murów. Teraz łucznicy nie blokowali już im dostępu do bram wejściowych w barbakanie.

Daniel szybko przesadził próg twierdzy. Kerwick i Hektor pozostawili uchylone wrota.

Chłopak znał dobrze najkrótszą drogę do komnat Leowynn – nie raz miał okazję ją przemierzyć. Teraz także, pomimo gęstego półmroku panującego w pomieszczeniu, bez trudu odnalazł schody prowadzące na wyższe poziomy zamku i wbiegł do góry po wąskich stopniach. Z korytarza na piętrze dobiegały okrzyki i łoskot toczącego się pojedynku. W mieszaniu wrzasków i szczęku mieczy Daniel rozpoznał pełen niepokoju głos należący do Leowynn.

„Łajdacy, nie zrobicie jej krzywdy!” – pomyślał chłopak, ściskając w ręku miecz i przeskakując po kilka stopni prowadzących do góry.

Niespodziewanie oślepił go nagły blask. Daniel musiał zasłonić ręką oczy, przyzwyczajone już do półmroku korytarza. Zaskoczenie sprawiło, że noga zsunęła mu się z jednego stopnia. Stracił równowagę i poleciał do przodu, klnąc soczyście z bólu i oszołomienia, ale udało mu się pozbierać i chwycić za miecz w odruchu obronnym. Wciąż nie wiedział, jakie jest źródło dziwnej poświaty.

Zamarł w bezruchu, siedząc na ziemi i przyciskając plecy do kamiennej ściany. Celował mieczem przed siebie, jakby chciał zagrozić niewidzialnemu wrogowi.

W powietrzu pulsowało powoli świecące na czerwono jabłko.

Daniel poczuł, jak zdumienie odbiera mu zdolność ruchu. Wytrzeszczył oczy i zamrugał powiekami, jabłko jednak nie zniknęło. Obracało się leniwie i bezgłośnie wokół własnej osi. Było przecięte i brakowało mu jednej ćwiartki, tak że widać było jego żółty środek, w którym wyrysowano gniazdo nasienne.

Choć ukazało się w nieznanym mu dotąd formie, Daniel rozpoznał je od razu. „Ikona *Hyperversum...!*?” – pomyślał w osłupieniu, czując, że serce przyspiesza mu tak, jakby za chwilę miało pęknąć.

Z każdym obrotem jabłko uzupełniało brakujący fragment, nabierało pełnego kształtu. Po kilku sekundach znów było kompletne, jego powierzchnię w całości pokrywała grafika czerwonej skórki.

Daniel drgnął, widząc, jak pod wiszącą w powietrzu ikoną pojawia się obrazek klepsydry z napisem:

HYPERVERSUM

Przywracanie przerwanej rozgrywki

Pasek procentowy wydłużał się błyskawicznie. Klepsydra zniknęła, kiedy na liczniku pojawiła się liczba sto, napis zgasł w chwilę później. Czerwone jabłko zmieniło się w zwykłą zieloną ikonę z poleceniem „help”. Wisiała w powietrzu nieruchomo, czekając na komendy graczy.

Daniel wciąż nie był w stanie się ruszyć i opierał się z całych sił o ścianę, by nie osunąć się z wrażenia na ziemię. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

A mimo wszystko ikona wciąż świeciła. Musiała się pojawić samoistnie – po wielu dniach bezskutecznych jej wywołania.

„Jak to możliwe?” – pytał sam siebie Daniel w ciągłym zdumieniu, jednak wkrótce w jego głowie pojawiła się zupełnie inna myśl, jeszcze bardziej niepokojąca.

„Teraz mogę stąd uciec”.

Powoli zaczęło do niego docierać, w jakiej sytuacji się znalazł. Był uratowany, mógł opuścić rozgrywkę bez jakichkolwiek przeszkód, wydostać się z Dunchester i w sekundę znaleźć się daleko od krwawego oblężenia – bez jakiegokolwiek ryzyka.

Nie miał pojęcia, dlaczego *Hyperversum* pojawiło się akurat w tej chwili, po długich i pełnych rozpaczonych dniach, w których wydawało się, że drzwi do przyszłości zamknęły się raz na zawsze. Mógł użyć ikony, by uciec z piekła wojny i wrócić wreszcie do świata, z którego przybył. Właśnie teraz, zanim gra ponownie się zawiesi.

Daniel opuścił powoli ramię, w którym wciąż trzymał wyciągnięty miecz, oparł się o kolana i ostrożnie sięgnął ręką w kierunku jabłka, obawiając się, że ikona znowu może zniknąć. Wpatrywał się w świetlisty znak jak zahipnotyzowany. Prosta grafika oznaczała dla niego wybór między ocaleniem a śmiercią.

Już prawie muskał ją palcami, gdy nagły krzyk przywrócił go gwałtownie do rzeczywistości. Oblężenie trwało.

Daniel drgnął i podniósł na nowo wzrok ku szczytowi schodów, skąd w dalszym ciągu dochodziły wzburzone ludzkie głosy i metaliczny szcęk broni. Dźwięk zmroził mu krew w żyłach – kobiecy głos pełen był przerażenia.

„Leowynn” – odgadł chłopak. „Coś się musiało stać”.

W chwilę później pomyślał o Ianie, o bitwie toczącej się pod murami, o wszystkim tym, co mogło się przydarzyć jego przyjacielowi podczas oblężenia.

„Jeśli teraz stąd odejdę, już nigdy więcej go nie zobaczę” – pomyślał Daniel, czując, jak przeszywa go silny dreszcz. „Jeśli jednak zmarnuję tę okazję i nie wydostanę się z gry, następna może się już nie nadarzyć” – przyszło mu od razu do głowy.

Zamknął na chwilę oczy. Ten wybór rozdzierał mu serce. Mimo to chłopak wiedział, co doradziły mu Ian, gdyby tylko był obok niego.

„Obiecałem mu, że ulotnię się stąd przy pierwszej możliwej okazji” – pomyślał Daniel i zagryzł usta. „Nie chciałby, żebym tu został i dalej ryzykował własną głową”.

Rozsądek podpowiadał mu, że właśnie nadeszła chwila pożegnania – póki wciąż miał taki wybór.

Daniel z sercem w gardle ostatni raz rozważył wszystkie za i przeciw.

Musiał to zrobić.

Nadeszła odpowiednia chwila.

Otworzył oczy, przeklinając samego siebie za podjętą decyzję.

– Anuluj – powiedział głośno.

Jabłko zniknęło.

Chłopak ścisnął miecz w dłoni i skoczył na równe nogi. Rzucił się biegiem w stronę szczytu schodów.

*

Rozdział 41



Kiedy Daniel pokonał już wąskie stopnie schodów, znalazł się na początku znajomo wyglądającego korytarza. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi do komnat rodzinnych – te do pokoju Leowynn były otwarte, a w progu leżały zmasakrowane zwłoki żołnierza noszącego niebieskie barwy Murrowa.

Walka wrzała w komnacie dziewczyny. Dochodziły stamtąd charakterystyczne dźwięki krzyżujących się mieczy i roztrzaskiwanych mebli.

Daniel dwoma susami dopadł drzwi i zajrzał do środka.

Pomieszczenie było doszczętnie zniszczone. Baldachim i prześcieradła okrywające łóżko wisiały w strzępach, z rozbitej skrzyni pod ścianą sterczały drzazgi. Stołki i mała drewniana toaletka rozrzucone były po odległych kątach komnaty. Podłogę pokrywały odłamki potłuczonego lustra i szklanych buteleczek z kosmetykami i perfumami pani domu.

Zapach ten nie wystarczał jednak, by zamaskować przerażającą woń krwi, w której skąpana była cała komnata.

Drugi żołnierz w błękicie leżał twarzą do ziemi obok resztek skrzyni, trzecie zwłoki spoczywały w nogach łóżka, na samym materacu zaś zastygło ciało starej służki Birgit, z nienaturalnie wykręconą głową, w której świeciła para szklistych i wytrzeszczonych oczu wpatrujących się w nicość. Jej szaty przesiąkły doszczętnie krwią w okolicy karku.

Hektor pojedynkował się z dwójką pozostałych żołnierzy, którzy coraz bardziej przypierali go do ściany. Leowynn była tuż obok okna, pochylała się nad Kerwickiem. Usiłowała podtrzymać rycerza zakrwawionymi rękoma. W jego boku ziała straszliwa, otwarta rana. Mężczyzna, choć wciąż był przytomny, nie był już w stanie walczyć.

Przybycie Daniela zmieniło układ sił. Chłopak rzucił się z wyciągniętym mieczem w stronę dwóch żołnierzy blokujących Hektora, zaszedł ich od tyłu, raniąc pierwszego, który nawinął się pod jego ostrze, po czym stanął z nim do walki. Zajmował jego uwagę na tyle, by pozwolić bardziej doświadczonemu Hektorowi odzyskać oddech i umożliwić mu odparcie ataku przeciwnika.

Żołnierz w błękicie upadł martwy na posadzkę komnaty, a kilka minut później ten sam los spotkał jego kompana.

– Dziękuję – wysapał Daniel, zwracając się do Hektora, który zakończył swój pojedynek.

– To ja wam dziękuję – odparł Flamandczyk, równie zadyszany, po czym zachwiał się i jedynie szybka reakcja Daniela uchroniła go przed upadkiem na kolana.

Młody Amerykanin przytrzymał rycerza, gdy ten usiłował odzyskać równowagę.

– Dacie radę? – zapytał zaniepokojony.

– Muszę dać radę – odpowiedział Hektor, zacisnął zęby i stanął na nogi o własnych siłach. Podszedł powoli do Leowynn i swego rannego towarzysza. – Moja pani, musimy stąd uciekać, zanim nadejdą inni żołnierze – doradził.

Oczy dziewczyny były pełne łez.

– Co się dzieje na zewnątrz? Słyszałam rogi wyjące na alarm... – zapytała ledwo słyszalnym głosem.

– Wasz brat wrócił, by odzyskać zamek. My pomagamy mu od środka – zdradził jej Flamandczyk, usiłując przejąć rannego Kerwicka z rąk dziewczyny.

Przez twarz Leowynn przemknął cień nadziei.

– Geoffrey... jest tutaj?

– Wrócił przez morze z posiłkami – powiedział Daniel i pomógł dziewczynie wstać z klęczek.

Hektor tymczasem zajmował się Kerwickiem.

Leowynn chwyciła się chłopaka, spoglądając w stronę łóżka i spoczywającego na nim nieruchomego ciała.

– Birgit... moja droga Birgit! – jęknęła. – Wychowywała mnie, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką... A teraz chciała tylko obronić mnie przed żołnierzami..!

Daniel przycisnął ją do siebie i nieudolnie próbował pocieszyć. Nie wiedział, co powiedzieć. Dziewczyna z całych sił zmuszała się, by nie wybuchnąć szlochem.

Oboje w ciszy pomogli Hektorowi postawić na nogi Kerwicka, który przyciskał ręce do krwawiącego boku.

Hektor spojrzał w dół, przez otwarte okno, by zorientować się w sytuacji na dziedzińcu.

– Przyblokowali *sir* Ewena i pozostałych – oznajmił z wściekłością. – Zjawilo się więcej przeklętych najemników i teraz trzymają ich w szachu.

Również Daniel zdołał wyrzeć na zewnątrz i zobaczył wyraźnie, że Bull i pozostali uciekinierzy znajdowali się pułapce za studnią i w innych miejscach dziedzińca, w których mogli się choć częściowo osłonić przed stale rosnącą liczbą wrogów.

– Za nic w świecie nie zdołają przedrzeć się przez wrota, jeśli im nie pomożemy – powiedział jeszcze Hektor.

– Ale jak możemy tego dokonać, skoro jesteśmy tylko my dwaj? – zaniepokoił się

Daniel.

– Jest nas trzech... – poprawił go Kerwick, jęcząc z bólu i ze złości, jednak ani Hektor, ani Daniel nie brał go pod uwagę jako potencjalnego wojownika.

– Najpierw musimy zaprowadzić pannę Leowynn w bezpieczne miejsce, później zastanowimy się nad planem działania – zdecydował Hektor.

Danielowi błysnął w głowie pewien pomysł.

– Czy zdołamy dostać się do lin bramy warownej bez przemierzania dziedzińca? Jeśli nikt inny nie może ich zniszczyć od wewnątrz, my moglibyśmy spróbować.

– Nie znam zamku na tyle dobrze – odparł Hektor. – Byłem tu wcześniej tylko raz, i to jedynie przez kilka dni, kiedy przybyłem po okup dla mego pana, który wówczas był więźniem we Francji. Nigdy nie zdołałem poznać wystarczająco twierdzy. Wydaje mi się jednak, że sam zamek nie ma połączenia z przejściem pod barbakanem.

– Nie, można stąd się dostać do bram... trzeba przejść przez most, a potem... na dach... – wtrącił Kerwick przez zaciśnięte zęby, musiał jednak zwrócić się do Leowynn z błagalnym spojrzeniem, by ta dokończyła za niego.

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę.

– Można przedostać się z wyższego piętra na drewniany mostek, który łączy twierdzę z pokojami dla służby. W jednym z tych pomieszczeń jest drabina prowadząca na dach. – Spojrzała na rannego rycerza, szukając potwierdzenia dla swoich słów.

Kerwick przytaknął powoli.

– Gołębnik... – dodał jeszcze.

– Gołębnik jest na końcu tego dachu – mówiła dalej Leowynn. – Jeśli uda się wam tam dostać, możecie zejść z drugiej strony. Jest tam komnata wartowników, ale drabina prowadzi do wrót i mechanizmu przejścia pod barbakanem.

– Komnata wartowników nie wydaje mi się szczególnie bezpiecznym miejscem do wykonania takiego zadania – zawahał się Daniel.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek wylegiwał się tam w tej chwili na pryczy – odparł zdecydowanym tonem Hektor. – Bardziej prawdopodobne, że natkniemy się na kogoś w okolicach bramy – wyznaczonego do zamknięcia przejścia w razie choćby najmniejszego niebezpieczeństwa.

– A więc musimy zająć się tym przed nim – wywnioskował Daniel.

Hałas dobiegający z zewnątrz zdawał się przybliżać. Walki przesuwały się w ich stronę.

– Pomyślimy o tym po drodze, teraz musimy się stąd wydostać – zarządził Hektor.

Przejście w kierunku pokojów służby zajęło im więcej czasu, niż planowali; spowalniał ich ranny rycerz, który nie mógł biec. Mimo to nie napotkali na swojej drodze żadnych niebezpieczeństw. Wyższych pięter twierdzy nikt nie pilnował. Wszyscy strażnicy zajęci byli walką z nieprzyjacielem na murach i na zamkowym dziedzińcu. Bitewna wrzawa odciągnęła wszystkich od warty przy strategicznie nieistotnych pomieszczeniach, takich jak te położone na najwyższym poziomie, gdzie znajdowały się w dużej mierze pokoje służby.

Niewielka grupka zbiegów bez trudu zdołała przedostać się przez lekki mostek łączący główną bryłę twierdzy z przyległym budynkiem. Tu także nie napotkali nikogo. Osłonięta dachem drewniana konstrukcja przypominała miniaturowy most zwodzony. Można było ją podnieść w przypadku niebezpieczeństwa, aby całkowicie odizolować twierdzę od pozostałych zabudowań zamkowych. Zaraz za mostkiem zaczynały się pomieszczenia, w których sypiała służba. Wejście uciekinierów wywołało atak paniki wśród ukrywającej się tam ludności – kobiet, pomywaczy i młodziutkich kuchcików, wręcz dzieci – którzy, chcąc uchronić się przed potwornościami toczącej się na zewnątrz bitwy, skryli się na wyższych piętrach twierdzy.

– Nie bójcie się! – wykrzyknęła Leowynn, podbiegając do rozdygotanych kobiet. Służki, rozpoznawszy swoją panią, uciszyły się posłusznie, mimo obecności uzbrojonych i poranionych towarzyszy dziewczyny.

Daniel rzucił okiem na pomieszczenie. Komnata była obszerna, przykrywał ją dach z ciężkich belek, wąskie okna zaś pozbawione były szyb. Zamykały je drewniane okiennice, które otwierały się pionowo.

Wzdłuż ścian całego pomieszczenia rozstawiono wysokie posłania ze słomy, przykryte prześcieradłami i gałganami. Stojące gdzieniegdzie skrzynie i kilka stołków służyły za całe umeblowanie, a przewieszane w kilku miejscach zasłony miały zapewnić minimum prywatności lokatorom pogrążonym we śnie.

Chłopak natychmiast zauważył drewnianą drabinę, której stopnie zdawały się kończyć pomiędzy deskami dachu. Powyżej musiał znajdować się właz prowadzący na zewnątrz.

– Tędy – powiedziała tymczasem Leowynn, wskazując ręką drabinę.

Daniel zrobił kilka kroków we wskazanym kierunku, jednak w tej samej chwili wciąż krwawiący *sir* Kerwick zatoczył się i osunął na ziemię z bólu i wyczerpania.

Hektor nie zdołał go podtrzymać i musiał ułożyć rannego mężczyznę na podłodze pomieszczenia.

– Pomóżcie mi go opatrzyć! – wykrzyknęła Leowynn, zwracając się do kobiet. Te podbiegły w stronę rycerza z porwanym na pasy prześcieradłem, by go obandażować i zatamować upływ krwi z rany na boku.

– My musimy iść, nie ma czasu – powiedział Hektor do Daniela, było jednak

widać, że i on jest w nienajlepszej formie, co sprawiło, że Amerykanin poważnie się zaniepokoił.

Nie znał zamku i nigdy w życiu nie widział gołębnika. Obawiał się przy tym, że ranny Hektor może wkrótce pójść w ślady Kerwicka i opuścić go w połowie wyprawy, w pojedynkę zaś mógł nie odnaleźć pomieszczenia i w tym wypadku sprawy przybrałyby naprawdę kiepski obrót.

Flamandczyk dostrzegł jego wahanie i z trudem wyprostował plecy, by dodać mu otuchy.

– Dam radę iść dalej. Nie sturlam się z dachu, możecie być tego pewni – powiedział.

„Tego by tylko brakowało!” – pomyślał Daniel, który nawet nie brał pod uwagę takiej ewentualności. W końcu skierował się wraz z Flamandczykiem w stronę drabiny.

– Ja pójdę pierwszy, przyda się silne ramię, żeby otworzyć ten właz – powiedział chłopak i zatknął miecz za pas. Postawił stopę na pierwszym szczeblu. Teraz, z bliska, mógł wyraźnie dojrzeć drewniany prostokąt zamykający wejście nad drabiną, zabezpieczony potężnymi metalowymi zamkami zasuniętymi na skobel.

Daniel pociągnął za rygiel i popchnął mocno właz, unosząc obie ręce nad głowę. Musiał włożyć w to całą swoją siłę, oplaciło się jednak – deska uniosła się nieco pod jego naciskiem.

Chłopak zerknął na Hektora, który skinął mu głową.

– Niech Bóg wam towarzyszy! – wykrzyknęła Leowynn z dołu.

Daniel wspiął się na ostatni szczebel i otworzył właz.

Podciągnął się i wyrzwał na dach. Widok z tego miejsca robił ogromne wrażenie. Przed Amerykaninem roztaczał się cały horyzont – morze, lasy i łąki oświetlone przez słabe słońce zimowego poranka. Mimo to Daniel szybko opuścił wzrok na pole bitwy, skąd w dalszym ciągu dobiegało przerażające dudnienie.

Niepokój nie opuścił go, kiedy wyszedł na dach i postawił stopę na połączonych gwoździami drewnianych klepkach. Zrobił kilka ostrożnych kroków wzdłuż rynny i podszedł do krawędzi konstrukcji, by mieć lepszy ogląd na to, co działo się poniżej.

Imponujące natarcie oddziałów w czerni skupiło się przed samym barbakanem. Żołnierze kryli się za ruchomymi osłonami z drewna. Daniel ze swojego miejsca mógł dostrzec łuczników i kuszników, którzy na sygnał dowódców wystrzelili w powietrze chmury grotów, celując w obrońców na murach. Piechota i rycerze czekali wciąż za ich szeregiem, gotowi wkroczyć do akcji, kiedy tylko nadarzy się sposobność przedarcia się przez zwodzony most, wystawiony na niesłabnący ostrzał pocisków wyrzucanych z katapult. Tych było cztery. Przypominające ogromne ramiona konstrukcje miały płonące pociski z bezpiecznej odległości uniemożliwiającej ich zniszczenie przez strzały przeciwników.

Daniel nie widział, czy ostrzał był skuteczny i czy pociski trafiały w podniesiony most, ale słup dymu unoszący się znad barbakanu sugerował, że podreperowana w ostatnich dniach drewniana warownia stała już w płomieniach. Nie mogła długo wytrzymać.

Chłopak na próżno usiłował dojrzeć biały płaszcz swego przyjaciela w kotłującym się tłumie. W końcu musiał się pogodzić z myślą, że Ian, jeśli w ogóle był pod murami, nie miał na sobie zbroi Srebrnego Sokoła.

„Pewnie dla niepoznaki musiał wtopić się w tłum ciemno odzianych wojowników” – pomyślał.

Zrobił kolejny krok w przód, ale nagle drewniane klepki i deski ustąpiły pod jego ciężarem i przełamały się. Daniel wydał z siebie zduszony okrzyk i poczuł, jak jego stopa zsuwa się z pochyłości dachu. Upadł na plecy i poleciał w dół. Złapał się najbliższych klepek, lecz i te były zbutwiałe i oderwały się od szkieletu konstrukcji, pozostając w jego zaciśniętych dłoniach. Chłopak staczał się w stronę krańca dachu.

Oczami wyobraźni widział już swój upadek.

Szczęśliwie krawędź dachu zwieńczona była blankami i uratowała go przed runięciem w dół, w przepaść. Daniel uchwycił się w ostatnim momencie kamiennej struktury. Jego stopy zawisły w powietrzu, a serce podeszło mu do gardła. Połamane klepki ześlizgnęły się z pochyłości i spadły na rozciągający się poniżej dziedziniec, na szczęście niezauważone przez nikogo w bitewnym zamieszaniu.

Kiedy dotarło do niego, że jednak cudem nie spadł, i gdy udało mu się wreszcie opanować urywany oddech, zdał sobie sprawę, że z góry woła go Hektor.

– Jesteście cali? – zapytał Flamandczyk, który uklęknął na dachu, by uniknąć kolejnych wypadków.

– Tak... tak mi się zdaje – wysapał chłopak w odpowiedzi i podciągnął się na rękach, ze stęknieniem opierając stopę na krawędzi dachu, która wydawała się w miarę bezpieczna.

Na czworakach Daniel zdołał dotrzeć aż do najwyższego punktu pochyłości. Klepki trzeszczały niebezpiecznie pod jego dłońmi i kolanami, ale żadna już nie ustąpiła. Młody Amerykanin, przeklinając w myślach średniowieczne dachy, które zamiast blachodachówką pokryte były pozbijanymi byle jak deskami, dojrzał wreszcie do Hektora i przykucnął przy nim, aby odzyskać oddech.

– Musicie bardziej uważać, deszcz i mróz sfatygowały drewno i pokryły gwoździe rdzą; a przy tych wszystkich kłopotach, z jakimi musieli sobie radzić Martewallowie, nie sądzę, żeby pamiętali jeszcze o remoncie dachu – powiedział Flamandczyk.

– Zauważyłem... – burknął Daniel, po czym rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, gdzie teraz mają się udać.

– Tutaj – wskazał mu Hektor.

Do uszu chłopaka dobiegł trzepot ptasich skrzydeł. W pewnej odległości od nich,

po drugiej stronie dachu, zobaczył kilka przycupniętych gołębi. Pozostałe ptactwo latało we wszystkie strony, znikając pomiędzy belkami dachu.

Daniel ostrożnie podpełznął w ich kierunku; trzymał się jak najniżej, by chwycić się czegokolwiek, w razie gdyby klepki znów ustąpiły.

Przeczołgał się przez cały dach i znalazł obok gołębnika. Hektor był tuż za nim. Ptaki na ich widok nie odleciały, odsunęły się tylko nieco na bok, najwyraźniej przyzwyczajone do obecności ludzi.

Daniel wyobrażał sobie gołębnik jako rodzaj specjalnej klatki dla ptactwa umocowany na płaszczyźnie dachu. Był zaskoczony, widząc rodzaj otwartego, okrągłego wgłębienia o szerokiej średnicy, z którego wydobywała się przykra woń ekskrementów. W ścianach studzienki wykuto specjalne nisze umieszczone w równych odstępach od siebie, w których gołębie wily swoje gniazda – część z nich była otwarta, a część osłonięta metalowymi siatkami. W samym środku wgłębienia, oświetlonego przez promienie słońca, wznosił się drewniany pał, do którego przyczepiono miski z paszą i z wodą.

W końcu chłopak dostrzegł drewniane drzwi. „Tędy się schodzi” – pomyślał.

Spojrzał w dół, by ocenić odległość, jaka dzieliła ich od dna studzienki. Na szczęście wystarczyło zrobić niewielki skok; zaczerpnął powietrza w płuca i rzucił się w dół. Spadł na proste nogi.

W powietrze wzbily się dziesiątki skrzydeł i ptasich piór, gdy przerażone nagłym wtargnięciem intruza gołębie próbowały uciec z gołębnika. Daniel odruchowo zasłonił sobie głowę rękoma, zamieszanie ucichło jednak tak szybko, jak się rozpoczęło. Dookoła chłopaka zapadła cisza.

Otworzył oczy i zdążył zobaczyć, jak dołącza do niego Hektor. Skok sprawił kapitanowi wyraźny ból, wyrywając mu z gardła przyduszony jęk i wykrzywiając twarz w grymasie.

Daniel pochylił się w jego stronę, ale Flamandczyk gestem odmówił pomocy.

– Drzwi... – wysapał tylko.

Daniel skinął głową, wyciągnął miecz z za pasa i wolną ręką sięgnął w kierunku wejścia. Drzwi otworzyły się bez żadnych trudności. Prowadziły do wąskiego i pogrążonego w półmroku pomieszczenia.

Panowała w nim cisza, być może nie było tam nikogo. Daniel wziął głęboki oddech i przekroczył próg jako pierwszy.

Pokoik był rzeczywiście pusty. Stanowił rodzaj przedsionka gołębnika i otwierał się z drugiej strony na większe pomieszczenie oświetlone światłem z okien podobnych do tych znajdujących się w pokojach służby. Komnata wartowników wyposażona była w kominek, ławki, stół i kilka drewnianych prycz. W ściany wbito metalowe uchwyty służące do zawieszania mieczy, łuków i innej broni. Teraz wieszaki były puste, a otwarte drzwi wychodziły na ciemny korytarz.

– Idziemy – szepnął Hektor zza jego pleców.

Przyczaiwszy się po dwóch stronach drzwi, Amerykanin i Flamandczyk wyjrzeli ostrożnie na zewnątrz, by się upewnić, że w ciemności nie czekają ich żadne niespodzianki, po czym przekroczyli próg pokoju. Z głębi korytarza dobiegały przytłumiony łoskot i mieszanka męskich głosów. Daniel nie był jednak w stanie dokładnie oszacować, ilu żołnierzy mogą się spodziewać.

„Trzech” – pokazał mu na palcach Hektor w połowie korytarza, gestem nakazując milczenie. „Czterech” – poprawił się, gdy tylko znaleźli się nieco bliżej, a dobiegające ich dźwięki stały się wyraźniejsze.

„Zbyt wielu” – pomyślał Daniel z trwogą, przestrach zaś odbił się wyraźnie na jego twarzy. Flamandczyk bez trudu dostrzegł jego niepokój.

„Damy radę” – pokazał mu na migi i objął prowadzenie w ich dwuosobowej drużynie.

Daniel szedł za nim, nie tracąc z oczu błysku obnażonego miecza kapitana. Usiłował sprawiać wrażenie pewnego siebie, lecz tak naprawdę czuł, że jego skuteczność może się okazać znikoma w porównaniu z doświadczeniem prawdziwego żołnierza.

Musiał znaleźć sposób, by pomóc Hektorowi i nie być piątym kołem u wozu. Nie wiedział tylko, jak tego dokonać.

„Najlepiej by było, gdybym nie dał się przy okazji ukatrupić” – pomyślał jeszcze i przez chwilę w głowie ukazał mu się obraz świecącej ikonki w kształcie jabłka, którą odrzucił w momencie, gdy gra sama mu ją zaproponowała. „Miejmy nadzieję, że nie popełniłem strasznego błędu” – życzył sobie całym sercem.

Korytarz zakończony był spiralą wykutych w kamieniu schodów w kształcie ślimaka. Opadały one w dół, oświetlone blaskiem dobiegającym z pięter poniżej. Akustyka klatki schodowej sprawiała, że na górze słuchać było wyraźnie głosy ludzi rozmawiających na dole.

Zeszli ostrożnie po stopniach, zatrzymując się na wąziutkim półpiętrze. Wyjście z niego prowadziło do przestronnego pomieszczenia, na które światło z dołu rzucało dziwny poblask. Schody ciągnęły się dalej w dół, jednak głosy mężczyzn dobiegały właśnie z tego miejsca – pełne napięcia, ale nie zdenerwowane. Żołnierze komentowali z niepokojem toczącą się bitwę, nie zdawali się jednak obawiać ataku wewnątrz zamku. Daniel, w ślad za Hektorem, przechylił się przez otwarte drzwi tak, że mógł swobodnie zerknąć do środka.

W pomieszczeniu przebywało czterech żołdaków w niebieskich barwach Murrowa. Spoglądali na zewnętrzny dziedziniec przez wąską, pionową szczelinę w murze, głównym jednak źródłem światła w pomieszczeniu były dwa poziome otwory w podłodze, przez które w każdej chwili można było opuścić – podwieszono obecnie na ciężkich linach – potężne metalowe kraty, odcinając w ten sposób dostęp do

przejścia. Kilka innych wykuszy w podłodze miało najwyraźniej służyć do ostrzału nieprzyjaciół z góry. Obok każdej z dziur ułożono sterty kamieni, kusze i pęki strzał, a także ustawiono gliniane kotły na paleniskach, pod którymi jednak nie płonął jeszcze ogień, zgromadzono zapasy zimnej i gorącej wody, by zapobiec ewentualnemu pożarowi lub pozbyć się intruzów, wylewając na nich wrzącą ciecz. Obok palenisk płonąła lampka oliwna, gotowa dostarczyć obrońcom ognia, gdyby najeźdźcy przedarli się na dziedziniec. Po drugiej stronie pomieszczenia, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym przyczaili się Daniel i Hektor, widniały takie same drzwi, prowadzące w nieznanym kierunku.

Daniel zobaczył, jak Flamandczyk, uczyniwszy znak krzyża, podnosi miecz.

Mężczyzna poczekał, aż żołnierz w błękicie przesunie się na tyle, by znaleźć się w zasięgu jego ostrza, po czym rzucił się do środka z dzikim okrzykiem. Przeszyty mieczem żołdak padł na ziemię. Kapitan nie dał mu nawet czasu na pomyślenie o obronie. Pozostali trzej żołnierze, zaskoczeni, podnieśli wrzask, równocześnie wyciągając miecze i rzucając się na niespodziewanych gości.

Daniel postanowił dać z siebie wszystko. Rzucił się do walki z drugim żołnierzem, szybko jednak poczuł, że wygrana nie przyjdzie mu łatwo. Całe jego ciało pokrywały bolesne siniaki. Bronił się, jak umiał. Hektor walczył z kolejnym przeciwnikiem. W pewnym momencie chłopak kątem oka spostrzegł, że ostatni ze strażników biegnie w stronę lin. W mgnieniu oka zrozumiał, że mężczyzna, z obawy, że niebezpieczeństwo już wkrótce może mu to uniemożliwić, zamierzał na wszelki wypadek opuścić kraty.

– Nie zrobisz tego, n i e! – wykrzyknął Daniel w rozpaczliwej złości i nie wiedząc nawet jak, zdołał zrobić paradę i odwinąć się w silnym pchnięciu, które raniło jego przeciwnika i rzuciło go na ziemię. Chłopak nie tracił czasu, by skończyć z żołnierzem, przeskoczył go jednym susem i rzucił się na strażnika, który właśnie zdejmował blokadę z pierwszego koła zębatego.

Potoczyli się razem po podłodze. Żołnierz usiłował sięgnąć po swój sztylet, Daniel jednak powstrzymał go jednym celnym ciosem pięścią w twarz. Uderzył raz jeszcze i jeszcze raz, aż w końcu żołnierz stracił przytomność. Chłopak odwrócił się, by ocenić sytuację.

Hektor pokonał swojego przeciwnika, ale jego bok przecinała kolejna rana. Daniel widział, jak rycerz chwieje się, nieświadomy, że ostatni żołnierz, powalony wcześniej przez Amerykanina, zdołał się podnieść.

– Uważaj! – wrzasnął chłopak i wskazał Hektorowi kierunek, z którego nadbiegał żołdak. Flamandczyk odwrócił się i z trudem zrobił unik przed ostrzem miecza nieprzyjaciela, ale gwałtowny ruch sprawił, że stracił równowagę i upadł plecami na posadzkę, wprost pod nogi przeciwnika.

Żołnierz podniósł miecz obiema rękami, by zadać śmiertelny cios, ale nim zdołał

opuścić ostrze, w jego głowę trafiła zapalona lampa, którą cisnął w niego Daniel. Mężczyzna zawył jak zwierzę, kiedy ubrania oblane gorącym olejem zajęły się ogniem. Usiłując zdławić płomień, upuścił miecz na ziemię. Hektor zakończył jego cierpienia bezlitosnym cięciem, które dosłownie go rozplątało.

Żołnierz runął twarzą w przód. Ogień wciąż płonął na jego ubraniach, rozprzestrzeniając się po pomieszczeniu – wszędzie dokoła były małe plamki oleju, które z łatwością zajmowały się ogniem.

Daniel podbiegł do Hektora i resztkami sił odciągnął rycerza od zwłok żołdaka i pełzających płomieni.

Flamandczyk krwawił i nie był w stanie stanąć na nogi o własnych siłach.

– Musimy przynajmniej... zablokować mechanizm... – wyszeptał.

Daniel skinął głową i rozejrzał się dookoła, szukając rozwiązania. Rzucił się biegiem w kierunku koła zębatego i nachylił się nad mechanizmem. Wetknęto węń drewniane kołki, by zapobiec samoistnemu uruchomieniu. Można było je wysunąć bez większych problemów, jednak aby wbić je do środka na tyle głęboko, żeby nikt nie zdołał ich wyciągnąć, potrzebny był młotek stolarski lub jakiegokolwiek inne ciężkie narzędzie. Był to jedyny sposób, by zablokować kraty. Zniszczenie mechanizmu spowodowałoby bowiem ich nieuchronne opadnięcie w dół.

– Gdzie ja tutaj znajdę młotek? – powiedział Daniel sam do siebie, po czym spojrzał na masywne kraty. Ewentualnie można było jeszcze w jakiś sposób spróbować zniszczyć same ich pręty. Chłopak dysponował jednak wyłącznie siłą własnych rąk, więc zadanie to wydało mu się niewykonalne. Z drugiej strony w dalszym ciągu istniało ryzyko, że nieprzyjaciel zjawi się, by przepiłować łańcuchy – skoro nie będzie mógł odblokować mechanizmu kół zębatach. W ten sposób kraty, tak czy siak, mogły opaść w dół.

„No to pięknie” – pomyślał Daniel z rozpaczą. „To jasne, że nie możemy zostać tutaj na straży, zwłaszcza biorąc pod uwagę nasz stan. Rozwaliliby nas bez problemu”.

Musiał znaleźć sposób, by na dobre unieruchomić te przeklęte kraty.

– Spróbuję poszukać czegoś, co mogłoby się przydać – oznajmił Hektorowi i podniósł się na nogi, po czym chwycił za miecz i skierował się do drzwi z drugiej strony pomieszczenia.

Przekroczył próg komnaty i znalazł się w miejscu, które mogło być niewielką zbrojownią. Stały tam beczki, w których zgromadzono łuki i strzały, skrzynie z kopiami, stosy równo poukładanych kamieni i dziwnie wyglądające przedmioty, których nie potrafił nawet nazwać, bez wątplenia jednak służyły za oręż wojenny. W małym pokoiku znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące do wnętrza zamku.

Daniel z nadzieją zaczął przeglądać broń i zdołał znaleźć kilka toporów. Nie były,

co prawda, tak ciężkie jak młotki stolarskie, a on sam z całą pewnością nie miałby dość siły, by zniszczyć nimi metalowe pręty krat, ale wydawały się na tyle masywne, aby wbić z ich pomocą drewniane kołki w koła zębate. Chłopak przywłaszczył sobie jeden z nich i w tej samej chwili zauważył dwa porzucone w kącie bukłaki.

Schylił się i zobaczył, że zatykające je korki są pokryte tłustą warstwą. Dotknął ich i zerknął na swoje zatłuszczone palce. W środku znajdował się olej palny, być może używany do uzupełniania lampek. Nie było go z pewnością dość, by zrzucić go z góry na ewentualnych intruzów.

Na myśl o lampce Daniel wpadł na pewien pomysł: kraty w dużej mierze zbito z ciężkiego drewna – mogły zająć się ogniem.

„Doskonale” – pomyślał chłopak. Chwycił za bukłak i zabrał go ze sobą do maszynowni. Nie wypuszczał też z rąk topora.

– Być może udało mi się rozwiązać nasz problem – oznajmił Hektorowi.

Flamandczyk zdołał obrócić się na bok i obserwował swego towarzysza zabierającego się do roboty. Skinął głową z uznaniem, kiedy Daniel złapał za topór i posługując się jego płaskim końcem, zaczął wbijać z impetem drewniane kołki.

Chłopak wyęczał mięśnie z całych sił, mimo bólu, który przeszywał go na wylot przy każdym ruchu. Kiedy skończył pracę, sprawdził jej rezultat ręką: bardziej nie dało się już wcisnąć klinów do środka.

Ocierając pot z czoła, podniósł wzrok na imponującą konstrukcję krat.

– A teraz zobaczymy, czy mój pomysł się sprawdzi – szepnął.

Hektor spojrzał na Amerykanina pytająco, gdy zobaczył, że ten podszedł do zwłok martwego żołnierza, oderwał kawałek jego tuniki i polał gałgan olejem z bukłaka. Mężczyzna zrozumiał, co Daniel zamierza zrobić, gdy ten zaczął już pocierać szmatą pierwszą z krat, wspinając się na palce, by dotrzeć jak najwyżej.

– Doskonały pomysł... – powiedział Hektor ze słabym uśmiechem, mimo bólu widocznie malującego się na jego twarzy.

Daniel zeskoczył na ziemię, by wykorzystać ogień wciąż pełzający po posadzce. Przytknął do niego rąbek umoczonego w oleju materiału, po czym zamachnął się i rzucił go na kratę, zanim płomienie zdążyły poparzyć mu dłonie.

Cała struktura w mgnieniu oka stanęła w ogniu.

– Tak! – wrzasnęli jednocześnie.

Krata była potężna i musiało minąć trochę czasu, by płomienie zdołały ją strawić. Liczyli na to, że nikt nie wkroczy wcześniej z zamiarem gaszenia ognia. Lada chwila krata miała stać się bezużyteczna. W najgorszym razie konstrukcja mogła się nadwątlić do tego stopnia, że nie stanowiłaby już poważnej przeszkody.

Pomieszczenie tymczasem wypełniało się coraz gęstszym dymem. Daniel rozkaszał się gwałtownie i zdał sobie sprawę, że musi w pośpiechu dokończyć dzieła, gdyż wkrótce mogło zabraknąć powietrza w komnacie.

Podszedł do Hektora i spróbował go podnieść. Ranny kapitan nie zdołał powstrzymać jęku bólu, zacisnął jednak zęby i stanął na nogach o własnych siłach. Chłopak zaprowadził go w stronę spiralnych schodów, tam gdzie nie docierał dym, i ułożył go na kamiennych stopniach.

– Będę się spieszył – obiecał i wrócił biegiem do pomieszczenia.

Maszynownia spowita była dymem. Czując, jak pieką go niemiłosiernie oczy i gardło, Daniel zaopatrzył się w jeszcze jeden kawałek płótna i nasączył go olejem, słysząc jednocześnie przez otwory w podłodze rozszoszczone głosy dochodzące z zewnątrz, zza dwójga drzwi i z dołu.

Dym zaczynał wydostawać się z pomieszczenia i ktoś musiał go zauważyć – zrozumiał z przerażeniem. Spojrzał w dół przez szczeliny w posadzce i zobaczył żołnierzy w czerwonych szatach biegnących podziemnym przejściem. Kierowali się w stronę schodów na dziedzińcu.

„Muszę się pospieszyć!” – pomyślał Daniel z niepokojem. Namoczył szmatę olejem i zaczął nacierać drugą kratę, głosy jednak przybliżały się w pośpiechu, mieszając się z tupotem szybkich kroków.

„Muszę ich powstrzymać, zanim ugaszą pożar” – przemknęło mu przez głowę, nie wiedział jednak, co może zrobić. Porzucił swoją pracę i pobiegł do zbrojowni, by zaryglować drugie drzwi. W kilka sekund później ktoś z zewnątrz zaczął szarpać za zasuwę i uderzył kilkakrotnie z furią w drewniane wrota.

„Długo nie wytrzyma” – pomyślał Daniel. „Muszę zatrzymać ich w jakiś inny sposób”.

Pobiegł po następny bukłak z olejem, otworzył go i rozlał zawartość dookoła siebie, celując zwłaszcza w beczki ze strzałami i skrzynie, w których zgromadzono kopie.

Wybiegł na zewnątrz, odpalił strzęp materiału i wrócił, by rzucić go wprost w palny olej.

W kilka chwil pomieszczenie zamieniło się w gorący stos.

Daniel z trudnością wymknął się językom płomieni i wrócił do pomieszczenia. Chwycił opróżniony do połowy bukłak, pozostawiając za sobą tłusty ślad, który zajmował się ogniem niczym płonący wąż. Prawie poparzył sobie ręce, czekając, aż płomienie sięgną pustego bukłaka, po czym rzucił pojemnik w stronę drugiej kraty. I ta wkrótce zaczęła płonąć żywym ogniem, wzbijając kolejne kłęby dymu w ciemne powietrze. Płonący olej prysnął również na beczki ze strzałami i drewno podłożone pod paleniska. Ogień pożerał wszystko.

Chłopak kaszlał, a z jego oczu płynęły obficie łzy. Ostatkiem sił przewrócił gliniane kotły na ziemię, wylewając wodę przez szczeliny w podłodze.

„W ten sposób będziecie musieli znaleźć sobie nowe zapasy wody, jeśli przyjdzie wam do głowy ugasić pożar” – powiedział w myślach do nadciągających

nieprzyjaciół.

Gwałtowny huk kazał mu spojrzeć w stronę zbrojowni. Najemnicy króla, wyważywszy drzwi, zaczęli krzyczeć z wściekłości na widok szalejących w pomieszczeniu płomieni. Nikt nie odważył się wejść do stojącej w ogniu komnaty. Część żołdaków usiłowała zdławić płomienie, pozostali wycofali się pospiesznie.

Daniel zrozumiał, że właśnie nadeszła chwila, w której należało dać nogę z płonącego pomieszczenia, oszołomienie nieprzyjaciół nie mogło trwać dłużej niż kilka minut. Być może, jeśli szczęście im dopisze, zdołają wydostać się przez dach i schronić się w gołębniku.

„Hektor jest ranny. Za nic w świecie nie da rady stąd uciec” – stwierdził w duchu, postanowił jednak nie zakładać najgorszej opcji i ruszył przed siebie.

Coś przytrzymało go za nogę. Potknął się i upadł.

Daniel zapomniał, że jeden ze strażników maszynowni stracił tylko przytomność. Teraz udało mu się podpełznąć w jego stronę. Twarz żołnierza była cała we krwi, lecz z jego oczu wyczierała desperacka furia.

– Wydaje ci się, że sobie stąd pójdziesz, łajdaku? – ryknął mężczyzna, wyciągając sztylet.

Daniel krzyknął z przerażenia i zdołał z trudem odwrócić głowę, by uniknąć ostrza, które zbliżało się do jego gardła. Przytrzymał rękę napastnika, żeby zablokować sztylet, po czym zwarł się z mężczyzną w morderczym uścisku. Pchnął go kolanem i odepchnął w stronę szpar w podłodze. Zmusił żołnierza, by ten poluzował uścisk. Mężczyzna wrzasnął i spadł w dół.

Daniel, całkiem wykończony, wstał na nogi, chwiejąc się. Stracił zbyt dużo czasu. Przy drzwiach wyrosło przed nim czterech uzbrojonych najemników, nadbiegli od strony schodów.

– Już jesteś martwy! – wykrzyknęli do niego mężczyźni, celując w niego miecze i kusze.

Do Daniela dotarło, że wszystko stracone. Za jego plecami rozpętało się piekło, przed nim stało czterech żołnierzy, gotowych w każdej chwili zadać mu śmierć. Nie mógł uciec, nie miał najmniejszych szans pokonać ich w walce. Płomienie wznosiły się na drewnianej konstrukcji krat i zaczynały już sięgać belek sufitu, zajmując deski pokrywające ściany. Wkrótce miały pożreć wszystko.

Najemnicy sięgnęli po bełty do kusz.

Nagle Danielowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Miał tylko jedną szansę wydostania się stąd i modlił się w duchu, aby mu się powiodło.

– Wyjście ewakuacyjne! – krzyknął, podnosząc przed siebie obie ręce.

Czerwone, fluorescencyjne jabłko błysnęło pośród dymu, zawisło w powietrzu pomiędzy chłopakiem a najemnikami. Mężczyźni wytrzeszczyli oczy i wydali z siebie okrzyk przerażenia. Jeden odskoczył krok do tyłu. Zdezorientowani kusznicy dali się

ponieść panice i wypuścili z rąk bełty.

Daniel nie dał im czasu, by zdążyli się otrząsnąć z zaskoczenia. Dotknął jabłka, mimo że nie czuł pod palcami wirtualnego owocu pulsującego w powietrzu. Tuż pod nim pojawił się świetlisty prostokąt z napisami i kursorem myszy:

Panel kontrolny rozgrywki

Nazwa użytkownika: daniel.freeland

Kod użytkownika: _

Kreska migąca powoli pod napisami.

Daniel wykrzyknął kod, litera po literze, i w miejsce kursora pojawił się rząd krzyżyków. W tym samym momencie jeden z najemników wrzasnął:

– Czarnoksiężstwo!

Mężczyźni w panice podnieśli kusze.

Fluorescencyjny prostokąt pod jabłkiem zniknął, w jego miejscu zaś pojawiła się klepsydra, a później kolejny prostokąt, pełen liter, numerów i szybko poruszających się diagramów.

Najemnicy załadowali pociski do kusz.

Daniel poczuł nagle gwałtowny zawrót głowy. Mimo to nie czuł bólu. Zdawało mu się raczej, że całkowicie stracił czucie, oderwał się od własnego ciała. Jeszcze chwilę temu stał wyprostowany, teraz zmysły dotyku, słuchu i równowagi nie pozwalały mu stwierdzić, co się z nim dzieje. Nie czuł nawet zapachu dymu i przez chwilę nie był w stanie odgadnąć, czy wciąż jest przytomny, czy może pogrążył się w czymś, co przypominało sen.

Jego bezwładne ciało najwyraźniej o coś się oparło. Cały ciężar spoczął na udach i kręgosłupie. Jego oczy, w dalszym ciągu patrząc z perspektywy osoby wyprostowanej, widziały pokój w płomieniach i przerażone twarze nieprzyjaciół, które wpatrywały się w niego, jakby był demonem.

„Zabili mnie?” – pytanie rozbrzmiewało w głowie Daniela. Czuł się jednocześnie oszołomiony i wystraszony, mgliście przypominał sobie, że tak właśnie opisuje się moment śmierci – własne ciało widziane z boku, z innej perspektywy niż ta, którą podpowiadały pozostałe zmysły.

Daniel spojrział w dół i ujrzał kilka bełtów wbitych głęboko w swoją własną pierś. Widział dokładnie rany i materiał ubrań nasiąkający szybko powiększającymi się czerwonymi plamami – nie odczuwał jednak bólu, ani nie czuł lepkiej, ciepłej wilgoci krwi.

Była to dziwna wizja, jakby do jego osoby doklejono sztuczne elementy.

Na wysokości jego oczu w powietrzu rozbłysnął kolejny napis.

GRACZ: daniel.freeland

GAME OVER

A później, niespodziewanie, zapadły ciemności.

*

Rozdział 42



Most zwodzony Dunchester rozleciał się z traskiem, doszczętnie zdruzgotany przez ostrzał zapalonymi pociskami, wyrzucanymi z katapult. Nie trzeba było używać tarana – drewniane belki przeżarte przez ogień połamały się jak zapalki, obsypując łańcuchy deszczem spopielenych drzazg. Na murach otworzyło się szerokie przejście prowadzące do serca zamku.

Najeźdźcy wznieśli okrzyk tryumfu, podczas gdy obrońcy w panice szykowali się do odwrotu. Wielu z nich zaczęło opuszczać bastiony, byli świadomi, że nic nie zdoła już zatrzymać nieprzyjaciela z dala od zewnętrznego dziedzińca na dłużej niż kilka minut. Rogi wzywające do kapitulacji wyły ze środka twierdzy, mieszając się z bojowym dźwiękiem trąb zagrzewających najeźdźców do ostatecznego ataku na zamek.

Ian poczuł, jak ściska mu się serce na widok drogi do twierdzy, która wreszcie była wolna.

„Pierwsza linia obrony upadła!” – pomyślał. Nakazał swym ludziom rozwinąć czarne sztandary ze złotym lwem Martewallów i zarządził natarcie.

– Nie mogą nas już zatrzymać! – dobiegł do niego okrzyk Sancerre’a, zwracającego się do swych oddziałów.

Rząd rycerzy uzbrojonych w kopie uformował się w kilka minut, ustawiając się na przedzie oddziałów piechoty. Kusznicy i łucznicy skryli się za osłoną drewnianych barykad, by chmarami swych morderczych strzał osłaniać ludzi na pierwszej linii frontu.

Ian w galopie dogonił Martewalla. Baron żelazną pięścią przytrzymał swego wojennego rumaka, który przebierał nerwowo kopytami. Nie tracił nawet chwili, by powiedzieć cokolwiek do Amerykanina. Ścisnął ostrogami boki zwierzęcia i rozluźnił wodze. Wierzchowiec wystrzelił jak z procy i pogalopował w stronę przejścia przy barbakanie.

Most zwodzony był już tylko wspomnieniem. Mieszkańcy nie zdążyli oczyścić rowu zapełnionego podczas ostatniego oblężenia. Przed rycerzami otwierała się wolna droga.

Ian zrównał się z rumakiem Martewalla. Sancerre dołączył do nich w chwilę później, za nim zaś pędzili konno pozostali wojownicy.

Za ich plecami biegła piechota, wydając z siebie dzikie okrzyki.

Ian czuł, jak jego serce bije w rytm uderzeń końskich kopyt. Krew szybciej krążyła w jego żyłach, a rosnąca adrenalina sprawiała, że czuł się prawie jak pijany. W tym momencie nie znał już strachu, nie wahał się dłużej. Był rycerzem i widział swój cel. Ścisnął w pięści gotową do ataku kopię. Nic nie mogło go już zatrzymać.

Na murach Dunchester łucznicy dostrzegli nadciągające oddziały i na próżno usiłowali je zatrzymać. Wypuścili z łuków strzały, ale nie poczynili wielu szkód w oddziałach wroga – to francuscy strzelcy, zbliżając się do blanek, zdejmowali ich bezlitośnie.

Ktoś usiłował zorganizować naprędce obronę przed samym wejściem. Kilku żołnierzy piechoty zajęło pozycje, opuściło kopie i oparło ich końce na ziemi, by nadać swej obronie więcej siły. Próbowali skonstruować pospiesznie barierę, która byłaby w stanie odeprzeć napór wroga, niewielu jednak miało dość odwagi, by utrzymać się na pozycjach w obliczu trzech czarnych rycerzy – strasznych i groźnych, z kopiami i wzmocnionymi tarczami – którzy nadciągali z zawrotną szybkością, prowadząc za sobą zastępy żołnierzy.

Ian widział, jak wielu obrońców bierze nogi za pas na jego widok. Docierało do nich, że rycerz nie zamierza spowolnić galopu i celuje w nich swą ostrą kopią.

– Z drogi! – ryknął z wściekłością. To wystarczyło, aby i pozostali opuścili broń i czmychnęli ze strachu.

Młodzieniec celował w dowódcę trzymającego w dłoni tarczę. W jednej sekundzie roztrzaskał drewnianą powierzchnię z taką siłą, że mężczyzna upadł jak szmaciana lalka. Przejście stanęło otworem. Jego wierzchowiec stratował kilku innych nieprzyjaciół, przeskakując zwinnie nad ciałami ofiar, po czym utorował sobie drogę na zewnętrzny dziedziniec.

Martewall i Sancerre przedarli się przez wątlą linię obrony z równie wielką furią i ruszyli za Ianem. Piesi obrońcy tracili życie pod kopytami ich koni albo przebici kopiami.

Francuzi rozlali się po zamkowym dziedzińcu niczym rwąca rzeka. Nikt nie potrafił zatrzymać ich przed murami. Obrońcy nie mieli czasu, by przygotować pociski i rzucić je z góry na atakujących. Poleciało kilka kamieni i strzał – to wszystko. Cały wysiłek żołnierzy króla Jana bez Ziemi poszedł na marne. Oddziały z murów zewnętrznych rzuciły się do ucieczki. Kiedy żołnierze bezładnie biegli w stronę ostatniego pierścienia obwarowań, wrogowie deptali im po piętach.

Ian odrzucił złamany trzonek kopii i chwycił w dłoń rękojeść miecza. Atakowano go z każdej strony, a on parował uderzenia mieczy, zgniatając w proch każdego, kto odważył się stanąć na jego drodze. Wokół niego zrobiło się pusto. Dopiero teraz, odzyskawszy oddech, mógł choć trochę uspokoić rozdygotane serce i ocenić sytuację na zewnętrznym dziedzińcu. Impet szaleńczego galopu osłabł i do młodzieńca powoli

zaczynały docierać trzeźwe myśli.

Pośród bitewnego zamętu Ian podniósł oczy na ostatni warowny bastion.

Przejście pod barbakanem było wciąż otwarte, z budynku zaś wydobywały się kłęby gęstego dymu. Z zewnątrz nie sposób było tego dojrzeć, ponieważ szara smuga mieszała się z dymem znad płonącego mostu zwodzonego. Młodzieniec krzyknął z radości, kiedy dotarło do niego, że ktoś z wewnątrz przeszkodził obrońcom Dunchester, ułatwiając zadanie najeźdźcom.

„To dlatego słyszeliśmy rogi alarmowe” – pomyślał.

– Zamek jest nasz! – wrzasnął do niego Sancerre, przekrzykując huk broni, i ręką wskazał dymiące wejście.

– Zdobędziemy go! – odpowiedział mu Ian.

„Daniel, jestem już niedaleko” – dodał w myślach.

Na zewnętrznym dziedzińcu zapanował kompletny chaos. Mężczyźni walczyli na każdym skrawku ziemi, zadając rany i ostateczne ciosy. Do czarnych oddziałów Martewalla dołączyło wielu więźniów, którzy zbuntowali się przeciwko najemnikom i żołnierzom Murrowa, kiedy tylko ustąpił most zwodzony. Walczyli, czym popadło. Rzucali kamieniami i przywłaszczali sobie miecze poległych, niektórzy cywile zaś z widłami i toporami porywali się na królewskie wojska. Oddziały lorda Salisbury nie okazywały jednak większego oporu i poddawały się, gdyż wyżsi rangą żołnierze, pozbawieni głównego dowódcy, nie czuli się szczególnie zobowiązani do walki.

Ian posuwał się do przodu, wymachując mieczem na wszystkie strony i atakując każdego, kto znalazł się w jego zasięgu. Teraz, kiedy zdołał już dotrzeć prawie do samego serca zamku, nie chciał zabijać, jeśli nie był do tego zmuszony. Nie pragnął rzezi. Wzrokiem szukał tylko usilnie dowódców obrony, wierzył bowiem, że gdy wyeliminuje najważniejszych żołdaków, pozostali poddadzą się bez walki.

W ludzkiej kotłowninie dostrzegł nareszcie kilku rycerzy na rumakach. Ich gesty sugerowały, że wydają rozkazy, osłaniając się jednocześnie tarczami przed świstającymi w powietrzu strzałami. Ian rozpoznał ich barwy. Miał przed sobą dowódcę najemników, kilku rycerzy Nigela Murrowa i w końcu – w tyle za wszystkimi pozostałymi – samego młodziutkiego barona, który już w tamtej chwili zaczął się powoli wycofywać w stronę przejścia pod barbakanem i zamkowego dworu. Jego śmiertelne przerażenie widać było z daleka.

Ian zawołał Sancerre’a.

– Etienne! Musimy ich dopaść! – wykrzyknął, wskazując na wrogich rycerzy.

Francuzowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zawrócił w miejscu swojego konia i spiął go ostrogami. Ian szukał wzrokiem Martewalla, by powtórzyć mu to samo polecenie.

Postać czarnego rycerza wychynęła z tłumu niedaleko przed nim. Martewall również zdołał dostrzec Murrowa i teraz celował w niego wyciągniętym mieczem.

– Czeka! – wrzasnął do niego Ian, przeczuwając jego mordercze zamiary. Rycerz jednak go nie usłyszał ani się nie odwrócił. Młodzieniec ruszył w jego stronę.

Murrow i pozostali rycerze dostrzegli nadjeżdżającą trójkę, straszną w bitewnym szale. Dotarło do nich, że nie mają szans pokonać ich w wąskim tunelu za obwarowanym przejściem. Zaczęli w pośpiechu organizować odwrót w stronę dziedzińca. Murrow czmychnął jako pierwszy.

Zrządzenie losu chciało, by deszcz płomieni spadający z sufitu w tunelu ułatwił obrońcom ucieczkę. Odciął on drogę nadciągającym agresorom i pogrzebał pod rozżarzonymi belkami kilku żołnierzy króla, którzy próbowali ocalić własną skórę.

Ian musiał gwałtownie zatrzymać swojego rumaka w obawie, że ktoś mógłby wylać gorący olej przez szczeliny w podłodze barbakanu, ognisty deszcz nie powtórzył się jednak i teraz tunel stał przed nimi otworem.

Martewall był tuż obok i zmusił swojego konia do pójścia naprzód. To samo zrobił Sancerre, a po chwili także i Ian.

Przedarli się przez tunel w pośpiechu i ze strachem. Amerykanin spojrzął w górę. Przez szczeliny zobaczył szalejący pożar – ogień pożerał pomieszczenie, w którym znajdowały się mechanizmy krat barbakanu.

Zrozumiał, że to, co posypało się na ziemię chwilę temu, nie zostało specjalnie zrzucone na atakujących, lecz najprawdopodobniej było resztkami płonących przedmiotów, być może stanowiło odłamki samych krat, strawionych przez ogień.

Ian wkroczył na dziedziniec. W ślad za nim nadciągali jego wojownicy – piechota i konnica.

Bitwa huczała wściekle dookoła nich, pogrążając wszystko w potwornym zamęciu.

Ian rzucił się na pierwszego wrogiego rycerza, którego napotkał na swojej drodze. Był to dowódca najemników i młodzieniec natarł na niego z furią. Najemnik wyraźnie był wyćwiczony w walce, ale Ian miał więcej siły i walczył owładnięty pragnieniem jak najszybszego zakończenia tej przeklętej bitwy.

Najemnik nie zdołał długo utrzymać pozycji. Dwaj przeciwnicy wymienili serię okrutnych ciosów, pod którymi ich wierzchowce się ugiwały – parszając i kręcąc się w kółko. W końcu Ian skorzystał z przewagi, jaką dawał mu wzrost, i uderzył z takim impetem, że tarcza jego nieprzyjaciela się pod nim wygięła. Mężczyzna stracił równowagę i poleciał w tył, Ian zaś zamachnął się mieczem i wbił mu go w górną część uda.

Najemnik krzyknął z bólu i zsunął się z siodła. Ian z wysokości końskiego grzbietu uniemożliwił mu jakikolwiek ruch, przystawiając miecz do szyi. Po chwili otoczyła ich gromada francuskich żołnierzy, by ostatecznie unieszkodliwić pokonanego dowódcę.

– Zakuć go w dyby – nakazał zdyszany Ian.

– Czy mogę się zająć tym łajdakiem osobiście, mości książę? – zapytał po

angielsku znajomy głos, dobiegający z niedaleka.

Ian odwrócił się i rozpoznał Bulla. Drwał był ranny, jego obrażenia nie wydawały się jednak poważne. Miał w ręku zakrwawiony miecz i najwyraźniej walczył już dłuższy czas, mimo to na jego spoczonej twarzy malowała się czysta satysfakcja.

– Thomas! – wykrzyknął Ian z ulgą. – Jak dobrze widzieć cię całego i zdrowego!

– A ja byłem pewny, że cię rozpoznałem, mimo hełmu i zbroi bez insygniów – odpowiedział mężczyzna. – Nie kręci się tu zbyt wielu rycerzy twojej postury. Zdaje się, żeś się wstawił w imieniu *sir* Martewalla.

Pomruk toczącej się bitwy zagłuszył odpowiedź Iana. Młodzieniec rozejrzył się dookoła.

– Zostawmy wyjaśnienia na później, w porządku? Najpierw chciałbym powstrzymać tę rzeź – powiedział.

Bull przytaknął.

– Udanej roboty! – życzył chłopakowi, nim wraz z francuskimi rycerzami zabrał się za rannego najemnika.

Ian zawrócił konia, by sprawdzić, gdzie są jego pozostali towarzysze. Ujrzał Sancerre'a, który rozprawiwszy się z jednym z rycerzy króla i pozostawiwszy go na pastwę swych żołnierzy, natychmiast zajął się walką z następnym. Amerykanin wzrokiem poszukał też Martewalla. Czarny rycerz zdołał już dorwać Murrowa, torując sobie bezlitośnie drogę wśród wszystkich tych, którzy mieli nieszczęście znaleźć się przed nim.

Ian skierował swego wierzchowca w jego stronę, lecz i on musiał walczyć o każdy skrawek terenu.

Martewall zablokował chłopaka w ślepej uliczce, z której nie miał najmniejszych szans uciec, i wyzwiał go na pojedynek, po czym natarł na niego z furją, zrzucając młodego barona z siodła. Sam zeskoczył ze swojego rumaka, by kontynuować walkę na ubitej ziemi.

Jego przeciwnik – młody, przerażony i niedoświadczony – nie miał najmniejszych szans w starciu z rycerzem.

Ian zobaczył, jak cały morderczy kunszt Martewalla koncentruje się na nastoletnim baronie: zranił go lekkim cięciem, po czym wytrącił mu miecz z ręki i złapał go w powietrzu za rękę.

– G E O F F R E Y ! – wykrzyknął Ian z daleka.

Martewall zatrzymał się w ostatniej chwili i znieruchomiał, gdy dotarł do niego głos Amerykanina. W obu dłoniach trzymał miecze i był gotowy użyć ich – niczym śmiertelnie ostrych nożyc – by jednym cięciem pozbawić głowy przeciwnika.

Ian rzucił się w jego stronę. Zatrzymał konia tuż przy rycerzu i wykrzyknął:

– To jeszcze dziecko!

Martewall nie odpowiedział. Nie opuścił mieczy, ale też nie ruszył się w stronę

Murrowa.

Nigel upadł przed nim na ziemię. Nogi trzęsły mu się tak bardzo, że stracił równowagę.

– Poddaję się – wysapał drżącym głosem.

Ian podjechał jeszcze bliżej do Martewalla.

– Wystarczy. Bitwa skończona – usiłował go przekonać.

Anglik opuścił ramiona i odrzucił z pogardą miecz swojego wroga.

– Bitwa skończona – powtórzył słowa Iana, mimo że w jego głosie wciąż brzmiała żywa wściekłość.

Okrzyki radości prawie równocześnie odbiły się dudniącym echem w każdym kącie zamku. Sancerre pokonał ostatniego z rycerzy. Obrońcy nie mieli już dowódców i poddawali się, jeden po drugim.

Duncheater zostało zdobyte.

Ian rozejrzał się dookoła, usiłując odzyskać oddech. Kilku jego ludzi zjawiło się, by pojmać Nigela Murrowa jako jeńca, pozostali rozbierali zwyciężonych i zbierali ich w pilnie strzeżone grupki, jeszcze inni zajmowali się swoimi rannymi kompanami, znosząc ich z pola bitwy. Tu i tam, na dziedzińcu i poza nim, słychać było rzadki szcęk broni – ostatnich, nielicznych pojedynków.

„To koniec” – powtarzał w duchu Ian z niedowierzaniem. Odwrócił się, by powiedzieć coś Martewallowi, ale Anglika już przy nim nie było. Rozejrzał się za nim i dostrzegł, że rycerz najwyraźniej zobaczył coś w bitewnym tłumie i teraz zmierzał w tamtą stronę. Ian zadrżał, gdy zrozumiał, że jego celem jest potężny pień na samym środku dziedzińca.

Poczuł wielki ucisk w piersi, kiedy ujrzał, że drewno wciąż jeszcze pokryte jest plamami w kolorze pociemniałej czerwieni.

Martewall dotarł do pnia i zatrzymał się tuż przed nim. Nie powiedział ani słowa, nie wydał z siebie nawet najcichszego dźwięku. Wbił miecz w ziemię i uklęknął, pochylając nisko głowę.

Ian przeżegnał się w milczeniu, myśląc o *sir* Haraldzie Martewallu.

– Mości książę!

Ktoś zawołał go z daleka. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał kilku żołnierzy biegnących w ślad za Lisim Ogonem, który pędził w jego stronę.

– Żyjecie! – wykrzyknął malec, dysząc ze zmęczenia i strachu. – Tak bardzo się o was bałem, kiedy zobaczyłem, żeście ruszyli w pierwszym szeregu na zamek!

– A ty co tutaj robisz? Nie miałeś trzymać się z dala od niebezpieczeństw? – zapytał go Ian w odpowiedzi.

– Wybaczcie, panie, ale nie zdołaliśmy go powstrzymać – wyjaśnili mu jednocześnie żołnierze, zatrzymując się obok.

Ian uśmiechnął się pod hełmem.

– Tak, w istocie jest to niemożliwe – odpowiedział mężczyznom po francusku. – Teraz ja się nim zajmę, możecie odejść. Zagrożenie minęło – dodał i odprawił żołnierzy. – A ty masz się ode mnie nie oddalać pod żadnym pretekstem – zwrócił się stanowczo do Lisiego Ogon.

– Tak, panie! – przytaknął chłopiec z zapalem.

Ian zsiadł wreszcie z konia i ściągnął ciężki hełm ze spoczonej głowy. Podał go chłopcu wraz ze swoją tarczą.

– Skoro już tu jesteś, będziesz mi pomagał jak giermek.

Oczy Lisiego Ogona rozbłysły z radości, kiedy przejmował hełm i tarczę. Trzymał je w rękach jak święte relikwie i ruszył za Ianem przez dziedziniec z wielkim nabożeństwem, krocząc w ślad za rycerzem zbierającym raporty od swoich dowódców. Nie zdołał jednak wytrzymać w ciszy dłużej niż kilka minut, milkł jedynie wtedy, gdy Ian rozmawiał z wojskowymi. Był podekscytowany i do głębi wstrząśnięty swym nowym, bitewnym doświadczeniem, mimo że walki obserwował tylko z bezpiecznej odległości.

– Widziałem, jak przekraczaliście linię wroga! Jak prawdziwy sokół! – gadał jak nakrecony. – Nigdy bym nie uwierzył, że pewnego dnia coś takiego zobaczę!

– Kiedy wreszcie przestaniesz mi schlebiać? – wymamrotał Ian.

– Wcale wam nie schlebiam, to wszystko prawda! Jesteście odważni jak lew i tak samo zresztą wasi towarzysze! Ja bym brał nogi za pas co tchu, ledwo bym zobaczył te wycelowane we mnie kopie.

„Może ja też bym tak zrobił, gdybym tylko przystanął na dwie sekundy i pomyślał, że przy takiej szybkości kopia spokojnie może oderwać ramię od ciała dorosłego mężczyzny” – przemknęło Ianowi przez głowę, zachował jednak to spostrzeżenie dla siebie, szczęśliwie uratowany przez jednego z dowódców, który zbliżył się do niego, by zdać kolejny raport z przebiegu walk.

Bitwa dogasała. Prawie wszyscy przeciwnicy, którzy zdołali pozostać przy życiu, byli ranni lub pojmani. Wszystko szło dobrze.

– A to przecież majster Bull! – krzyknął Lisi Ogon, wskazując znajomą postać pomiędzy uzbrojonymi mężczyznami zajętymi rozbieraniem pokonanych i zakuwaniem ich w kajdany. – I on uszedł z życiem!

– Pewnie – odparł Ian, czując jednocześnie rosnące zdenerwowanie. Mijały kolejne minuty, a po Danielu wciąż nie było śladu. Nawet żołnierze nie byli mu w stanie nic powiedzieć na temat jego przyjaciela.

Lisi Ogon był najwyraźniej pod wielkim wrażeniem.

– Ilu zabitych... – wymamrotał, spoglądając na zwłoki ułożone w rzędach na dziedzińcu. – Tych tutaj to znam. Mieszkali ze mną w Willingham...

Ian nie odpowiedział. Narastały w nim złe przeczucia. „Gdzie on się podział?” – zastanawiał się w duchu, myśląc o Danielu.

Trzask łamiących się belek sprawił, że podniósł oczy w kierunku płonącego przejścia pod barbakanem, z którego ogień rozprzestrzenił się na dziedziniec. Pożar objął całą ścianę budynku i teraz języki płomieni, iskry i kłęby dymu wzbijały się wysoko w niebo. Młodzieniec, w obawie, że ogień może się przenieść na zamek, natychmiast przywołał do siebie dwóch dowódców.

– Bierzcie się za gaszenie pożaru – nakazał. – I to szybko, zanim rozprzestrzeni się tak bardzo, że nie damy już rady go zatrzymać!

Dowódcy rzucili się zebrać ludzi potrzebnych do wykonania rozkazu. W kilka minut zorganizował się oddział. Jedni żołnierze nabierali wody ze studni i przekazywali sobie pełne wiadra z rąk do rąk, a inni w tym czasie biegali po schodach i próbowali ugasić ogień.

Sancerre zjawił się po chwili u boku Iana, przechylając się w jego stronę z siodła swojego konia.

– Wyjątkowo udany atak – pochwalił. – Zamek zdobyty, a zajęło nam to mniej niż jeden dzień! To przedsięwzięcie zapisze się na kartach historii.

Ian spojrział na słońce, które chyliło się już ku zachodowi.

– Wiele czynników zadziało na naszą korzyść – odparł. – Obrona zamku była już poważnie nadwątlona, obrońcy nie mieli czasu, by się dobrze zorganizować, a ich najlepszy dowódca od samego początku był w naszych rękach.

Sancerre prychnął.

– Tego akurat nie musimy wszystkim opowiadać. Możemy zwyczajnie pochwalić się misją zakończoną sukcesem, prawda? A tak właściwie, to gdzie jest *monsieur* Daniel? Toć po niego wybraliśmy się aż tutaj, a jeszcze go nie widziałem.

„Właśnie, gdzie on jest?” – Ian po raz setny zadał sobie w duchu to pytanie. „Powinien się już do tej pory gdzieś pojawić, do diabła”.

– Pójdę go poszukać – zdecydował na głos. – A ty tutaj na mnie czekaj – nakazał Lisiemu Ogonowi po angielsku.

Kiedy tylko zrobił kilka kroków w kierunku wejścia do twierdzy, na progu zamku pojawiła się kobieca postać. Była to Leowynn i wyglądała na wyraźnie wstrząśniętą. Jej ręce i suknię pokrywały plamy krwi, poruszała się jednak bez trudu.

„Nie jest ranna. To nie jej krew” – pomyślał Ian z ulgą i podbiegł w jej stronę.

– Moja pani! – zawołał.

Rozpoznała go i pospieszyła w jego kierunku, po chwili jednak dostrzegła w oddali Martewalla.

– Geoffrey! – krzyknęła z trudem, z gardłem ściśniętym przez łzy.

Angielski rycerz w gnieniu oka chwycił ją w ramiona. Ścisnął ją mocno, chwycił jej twarz w swoje dłonie, całując jej czoło i włosy.

– Dzięki Bogu, nic ci nie zrobili! – wyszeptał wzruszony.

Leowynn wtuliła się w niego z całych sił, roztrzęsiona potwornymi przeżyciami.

– Wróciłeś...! Żyjesz...! – powtarzała w kółko.

– Uspokój się, jestem tutaj – usiłował pocieszyć ją brat. – Ten koszmar się skończył.

– Nasz ojciec... wiedziałeś...?

– Tak. Posłaniec zdążył mnie powiadomić. Król Jan zapłaci za całą tę rzeź, przysięgam ci, choćby miała to być ostatnia rzecz, której dokonam.

Leowynn nie była w stanie rozluźnić uścisku. Wciąż tuliła twarz do piersi brata.

– Nasi rycerze... Ilu z nich straciło życie...

Martewall zacisnął zęby ze złością.

– Naliczyłem ich trzech pośród poległych. Innych jak dotąd nie zdołałem odszukać.

– *Sir Kerwick* został poważnie ranny, kiedy próbował mnie uratować – powiedziała Leowynn, odrywając się od brata i wskazując komnaty na piętrze zamku. – Pozostałam go pod opieką sług, nie był w stanie się ruszać. On i wielu innych zdołało wydostać się z lochów i wszczęli rewoltę na dziedzińcu. A kiedy pozostali rycerze walczyli z wrogiem, *sir Kerwick*, kapitan Hektor i cudzoziemski rycerz przybiegli we trzech, by mnie chronić...

Przerwała, spoglądając na Iana, jakby wahała się mówić dalej.

– Co się z nim stało? – zaniepokoił się młodzieniec. – Błagam was, pani, jeśli cokolwiek wiecie, powiedzcie mi!

Leowynn wskazała na zamkowe fortyfikacje stojące w płomieniach.

– Wraz z kapitanem Hektorem chcieli zablokować mechanizmy krat, by ułatwić wam dostanie się do zamku... Od tamtej pory już ich nie widziałam...

Ian poczuł, że krew w żyłach zamienia mu się w lód. Podniósł oczy na budynek spowity gęstym dymem. Zostawił rodzeństwo i pobiegł w stronę schodów.

– Jean! – zawołał za nim Sancerre, który z daleka zauważył jego poruszenie. – Co się dzieje?

– Być może Daniel jest tam, w środku! – odkrzyknął młodzieniec, nie zatrzymując się nawet na moment.

Z sercem w gardle wbiegł po schodach, wymijając ludzi, którzy podawali sobie wiadra z wodą, by opanować pożar. Dym gęstniał z każdym stopniem i zaczął wdzierać mu się do oczu i gardła.

– Panie, to niebezpieczne! – krzyczeli do niego pracujący ludzie, którzy osłaniali twarze mokrymi gałganami. Ian, nie bacząc na nikogo, biegł dalej. Wreszcie drogę zastąpili mu schodzący z góry mężczyźni, którzy nieśli ze sobą ciało.

Ian rozpoznał Hektora. Flamandczyk nie ruszał się i był pokryty krwią. Zdawało się, że jest na granicy życia i śmierci.

– Kapitan Hektor! – wykrzyknął Ian, bliski szaleństwa. – Gdzie go znaleźliście!?

– Wyżej na schodach, prawie na samym szczycie – usłyszał w odpowiedzi. – Nie widać go było w ciemności. Gdyby nas nie zawołał, tobyśmy go nie znaleźli.

– Był z nim ktoś jeszcze? – dopytywał się Ian.

– Nie, panie. Tam na górze nie ma innego wyjścia.

Ian spojrział w górę schodów, wznosząc jednocześnie prośby ku niebiosom. „To nie może być prawda!” – pomyślał w rozpacz i poczuł, jak potworne przerażenie paraliżuje mu mięśnie.

– ...milordzie... – odezwał się z trudem Hektor, usłyszawszy swoje imię.

Ian nachylił się nad nim.

– Co się stało z Danielem!?

– ...był tam... przy kratkach... nic więcej nie wiem... – wyszeptał Flamandczyk.

Ian przepchnął się przez mężczyzn i rzucił się biegiem po schodach.

Przywitała go piekielna scena. Gdy dotarł na półpiętro schodów, jego oczom ukazało się pocerniałe, doszczętnie spalone i wciąż pełne dymu pomieszczenie, w którym mężczyźni z wysiłkiem próbowali opanować ogień. Płomienie nadal pełzały po całej komnacie, pożerając resztki drewnianego sufitu i nierozpoznawalnych już przedmiotów. Z wysoka zwisały potężne, lecz bezużyteczne łańcuchy podtrzymujące już tylko drzazgi belek i pozostałości metalowej konstrukcji pokrytej popiołem. Zębatki mechanizmu zostały zniszczone, zmieniły się w płonące krążki, które dokładnie w tej chwili ustąpiły. Łańcuchy rozwinęły się i z impetem spadły na stos zgliszczy.

Chmura iskier i dymu wzniosła się pod sam sufit. Wzrok Iana padł jednak na nieruchome kształty leżące na podłodze. Zawiniątka spopielonych ubrań spowijały zwęglone ludzkie ciała.

– N i e! N i e! – wykrzyknął Ian z przerażeniem. Skoczyłby w sam środek tego piekła, gdyby tylko mężczyźni z wiadrami nie zdołali go powstrzymać.

– Panie, oszaleliście? Spłoniecie żywcem!

Ian oswobodził się z wściekłością.

– Zostawcie mnie! – wykrzyknął, jednak ktoś o potężniejszej posturze niż pozostali złapał go i siłą odciągnął od ognia.

– Jean! Uspokój się! – wrzeszczał Sancerre.

– Daniel jest tam w środku! – Ian był wstrząśnięty. – Pozwól mi...!

– Uspokój się! Już za późno!

– N I E!

– Nikt nie mógł tam przeżyć, Jean!

Ian przestał się wrywać, oszołomiony słowami Etienne'a. „To niemożliwe! To nie może być prawda!” – powtarzał w myślach raz za razem, ale nie był w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Jego oczy zasły mgłą wstrzymywanych łez, których przyczyną wcale nie był gęsty dym pożogi.

Sancerre zmusił go, by odsunął się jeszcze bardziej. Trzymał go mocno, dopóki się nie upewnił, że młodzieniec nie będzie się dłużej buntował, po czym zwolnił uścisk

i objął go ramieniem.

– Przykro mi – wymamrotał.

Ian nie miał siły mu odpowiedzieć. Stał nieruchomo i patrzył w ogień, na ludzi, którzy wciąż wyteżali wszystkie siły, wylewając wiadra z wodą na chmury pary, które wzbijały się pod sufit... i na spalone ciała, rozciągnięte na podłodze, strawione przez ogień. Nie przypominały już nawet ludzkich istot, były nieokreślonymi kształtami, czarnymi i nieruchomymi.

Gdyby Daniel był wśród nich, Ian nie byłby w stanie go rozpoznać.

„Nie, Daniela nie ma pośród martwych!” – pomyślał młodzieniec, rozpaczliwie wzbraniając się przed zaakceptowaniem potwornego stanu rzeczy.

Trudno było jednak zaprzeczyć faktom: Daniela nigdzie nie było, nikt go nie widział, od kiedy zniknął w pomieszczeniu, które teraz pożerał ogień.

Ian zamknął oczy. Nie był w stanie dłużej na to patrzeć.

– Chodźmy stąd – powiedział mu Sancerre.

Ian pozwolił poprowadzić się w stronę dziedzińca. Nie stawiał już dłużej oporu, zupełnie opadł z sił.

Wszystko na marne. To koniec.

Bitwy, oblężenie, trudne negocjacje, niebezpieczeństwa na każdym kroku... Czy to miało w ogóle jakikolwiek sens?

Daniel stracił życie w tej absurdalnej przygodzie tylko dlatego, że Ian zaciągnął go ze sobą aż tutaj i nie zdołał ocalić.

„To moja wina... to wszystko moja wina...” – wyrzucał sobie w duchu raz po raz.

Pomyślał o rodzinie Freelandów na próżno czekającej na powrót syna, który rozpląnął się w powietrzu. Wyobraził sobie rozpacz Johna i Sylvii; a także dramat Martina i Jodie, którzy jako jedyni znali prawdę o *Hyperversum*.

Nie potrafił się z nimi skontaktować, nie mógł im wyjaśnić, co się stało. Rozgrywka *Hyperversum* przerwała się wraz ze śmiercią Daniela. Nie można było już zawrócić.

A nawet gdyby mógł przekazać im wieści... jak miałyby zakomunikować taką wiadomość rodzinie, która tyle dla niego zrobiła?

„Daniel nie żyje. To ja go zabiłem”.

W tej chwili uwierzył, że można stracić zmysły z rozpacz.

Martewall, widząc go, podszedł w jego stronę.

– Hektor powiedział mi, co zaszło. Odnaleźliście *sir* Daniela?

Ian spojrzał na niego, ale nie znalazł sił, by wykrztusić odpowiedź. Potrząsnął tylko głową.

– Tam, na górze, są jedynie zwłoki poległych – wyjaśnił Sancerre po francusku, odgadując po tonie głosu, o co zapytał baron.

Martewall zamilkł, poruszony.

Stojąca tuż za nim Leowynn zakryła usta białymi dłońmi, słysząc, co się stało.

Lisi Ogon, który zobaczył z daleka ciężki krok Iana, pojawił się jak na zawołanie.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony i złapał młodzieńca za tunikę.

Martewall kazał mu się odsunąć łagodnym, lecz stanowczym ruchem. Chłopiec musiał powstrzymać ciekawość i teraz stał nieruchomo, z rosnącym strachem spoglądając to na jednego, to na drugiego rycerza.

Ian poczuł, że chciałby spędzić choć chwilę w samotności, oddalił się więc od zgromadzonych. Na dziedzińcu pełnym ludzi, czekających na jego rozkazy, niełatwo było jednak znaleźć ustronne miejsce. Udał, że słucha uważnie dowódców, którzy raportowali mu różnorakie zdarzenia związane z obroną zamku, po czym znieacka natknął się na Bulla ciągnącego za kark skrępowanego mężczyznę w czerwonym stroju najemnika.

– Co to za wymysły? – pytał gorączkowo były żołnierz. – Ten szaleniec upiera się, że widział cudzoziemskiego rycerza, który zniknął pośród płomieni! Czy on może mieć na myśli twojego przyjaciela?

Odpowiedź przyszła Ianowi z trudem. Przetarł dłonią twarz i westchnął.

– Tak – przyznał po chwili, ale nie miał najmniejszej ochoty o tym rozmawiać. – Zginął w pożarze... nie rozpoznałem jego ciała – wymamrotał i zamknął powieki, tak jakby miało mu to pomóc wymazać z pamięci tę straszliwą scenę, te czarne, bezkształtne zawiniątka.

– Nie! – jęknął najemnik, a jego głos zdradzał szczere przerażenie. – Wy nie rozumiecie! Ten człowiek... on nie jest martwy, on żyje! Zniknął, naprawdę zniknął! Rozpłynął się w powietrzu! To diabeł! Zniknął pośród płomieni, nie pozostawiając po sobie śladu!

Ian znieruchomiał.

– Co... takiego?

– Toć mówiłem, że to obłąkaniec! – powiedział rozdrażniony Bull i potrząsnął głową. – Bardzo mi przykro z powodu twego druha. Dobry chłopak, nie powinien był tak skończyć.

Ian słuchał go nieuważnie, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Mów wszystko, co wiesz.

Najemnik zwrócił się do niego, drżącym ze strachu głosem:

– To prawda, panie, przysięgam wam! – Usiłował nachylić się w stronę rycerza, ale uchwyt Bulla zatrzymał go w bezpiecznej odległości. – Widziałem to i słyszałem też, jak wypowiada diabelskie zaklęcia! Sprawiał, że w ręku pojawiło mu się ogniste jabłko i dziwne symbole. Dotknął go i zniknął w nicości!

– Jabłko? – powtórzył Ian. Powoli docierał do niego sens słów żołnierza.

Ikona *Hyperversum*.

Poczuł, że brakuje mu tchu w piersiach.

Najemnik nie mógł wiedzieć, nie mógł zrozumieć. Dla niego to, co widział, było pokazem czarnej magii.

„Nie mógł sobie wymyślić ikony *Hyperversum*! Nie mógł sobie wyobrazić akurat tego, nie potrafiłby tak dokładnie opisać szczegółów! Mówi prawdę, widział to na własne oczy!” – myślał gorączkowo Ian.

– Jabłko, to było jabłko! – powtarzał nalegająco więzień. – Czerwone jabłko węża kusiciela!

„Ikona wyjścia ewakuacyjnego” – rozumiał Ian. Jego niepokój ustąpił nagłemu, obezwładniającemu uczuciu ulgi. „Daniel żyje! Wrócił do domu!” – pomyślał, całym sercem dziękując niebiosom.

Przetarł oczy nerwowym gestem, uprzedzając łzy, które zaraz pewnie spłynęłyby mu po policzkach. Nie potrafił opanować emocji.

– Nie dawaj posłuchu takim bredniom – powiedział Bull i ścisnął mocniej więźnia, by go uciszyć. – Rozumiem, że chciałbyś usłyszeć, że twój przyjaciel wciąż jest wśród żywych, ale ten typek oszalał i wymyśla rzeczy pozbawione sensu.

Ian przytaknął. Z trudem starał się nie okazywać emocji.

– Tak, to zwykłe brednie – powiedział cicho. – Proszę cię, zabierz go stąd.

– Panie, to prawda! – rzucił błagalnym tonem najemnik.

– No, już wystarczy! – uciszył go Bull i popchnął w stronę pozostałych więźniów, których żołnierze wyprowadzali już z dziedzińca.

Ian zrobił kilka kroków przed siebie.

– Bądź twardy. Niełatwo jest pogodzić się ze stratą prawdziwego druha, wiem to najlepiej – powiedział mu Bull, błędnie odczytując jego poruszenie.

Ian spojrzał na ołowiane niebo i nie odpowiedział. Starał się opanować wzruszenie.

„Straciłem go z oczu, ale żyje” – pomyślał. „Żyje”.

*

Rozdział 43



Poczuł, że ktoś ściska go z całych sił. Minęło kilka chwil, nim Daniel zdołał rozpoznać podenerwowany głos Martina dobiegający do niego poprzez słuchawki. Wzdrygnął się gwałtownie, czując boleśnie napięte mięśnie. Pospieszenie oswobodził twarz, ściągnął z dłoni rękawiczki z włókna optycznego i skoczył na równe nogi, aż skórzane krzesło, na którym siedział, prawie przewróciło się do tyłu. Spojrzał w dół i zobaczył, że jego koszulka nie jest podziurawiona. Drżącymi dłońmi dotknął swojej klatki piersiowej i nie znalazł w niej ran. Był nietknięty, pomijając poobijane żebra i siniaki pokrywające całe jego ciało.

Stał w swojej sypialni.

Strzały najemników nie zdołały go dosięgnąć.

Hyperversum w samą porę zabrało go do domu.

– Daniel! – zawołał Martin, chwytając go za ramiona. – Bogu niech będą dzięki, wróciłeś! – Miał wytrzeszczone z przerażenia oczy, a jego głos drżał.

Daniel miał mętlik w głowie i na próżno usiłował uspokoić oddech. Spojrzał na swego piętnastoletniego brata, który już prawie był mu równy wzrostem, i upewnił się, że to nie halucynacja, po czym zerknął na ekran komputera. Widniał na nim migający napis:

HYPERVERSUM

GAME OVER

– O mój Boże! Co... co to było?! – wyjąkał Martin. – Pojawiłeś się tutaj... z niczego! Najpierw widziałem cię na ekranie... a później siedziałeś już na krześle!

Daniel nie wiedział, co odpowiedzieć. W głowie huczało mu tysiąc myśli. Jego własna sypialnia zdawała się nierealna w swojej normalności. Nie potrafił uwierzyć w pościelone łóżko, regał uginający się pod ciężarem książek, zapalone światło lampki, zasłony w oknie wychodzącym na ogród, który zdążył się już pograć w półmroku zmierzchu. Z zewnątrz dobiegał warkot przejeżdżających samochodów.

Przez zamknięte drzwi dotarł do nich zaniepokojony głos, który sprawił, że obaj podskoczyli.

– Martin? Co się dzieje tam na górze? – zapytała Sylvia Freeland, wchodząc na półpiętro.

– Nic, mam! Gram na komputerze w gry Daniela! – wrzasnął Martin w odpowiedzi.

– Ścisz trochę, bardzo cię proszę! Strasznie hałasujesz!

– Dobrze, mam!

Dwaj bracia spojrzeli po sobie, wstrzymując oddech w obawie, że usłyszą matczyne kroki na schodach. Po chwili jednak dom pogrążył się w ciszy, a drzwi do pokoju pozostały zamknięte.

– Jaki... jest dzisiaj dzień? – zapytał w końcu Daniel, odzyskawszy głos.

– Sobota wieczór – odpowiedział mu brat.

Chłopak usiłował połączyć informacje w głowie w jedną całość.

– Sobota wieczór? – powtórzył z niedowierzaniem.

Zaniepokojony Martin przerwał mu pytaniem:

– Gdzie Ian? Co się z nim stało?

Daniel podskoczył, jakby nagle poraził go prąd. Odwrócił głowę i spojrzał na fotel, na którym Ian zasiadł do gry. Był pusty. Wizjer i rękawiczki leżały tuż obok, na ziemi, wciąż podłączone do komputera.

Daniel podbiegł do biurka. Przysunął krzesło, usiadł i przyciągnął do siebie klawiaturę.

– Dalej, uruchamiaj się! – krzyknął, wklepując polecenia, by wyjść z ekranu „Game Over”. *Hyperversum* uruchomiło się ponownie, wyświetlając pełną efektów specjalnych animację z logo gry.

Martin stanął tuż za plecami brata, Daniel zaś klikał jak oszalały w kolejne plansze wyświetlane na ekranie, przeskakując animowany wstęp i docierając do menu głównego. Na ciemnym tle pojawiły się świetliste pozycje opcji:

Nowa rozgrywka

Uruchom ponownie rozgrywkę

Help

Wyjście

Daniel, z sercem w gardle, najechał kursorem na „Uruchom ponownie rozgrywkę”.

Komputer wydał z siebie wesołą melodyjkę, po czym na ekranie wyświetlił się napis:

Brak zapisanych rozgrywek

Rozpocząć nową rozgrywkę? Tak/Nie

– Nie! – wykrzyknął Daniel ze złością, waląc pięścią w klawiaturę. – Przeklęta, cholerna gra!

– Jeszcze ją zepsujesz! – jęknął Martin.

Daniel go nie słuchał. Wypróbował wszystkie polecenia, jakie znał, musiał jednak pogodzić się ze smutną prawdą: rozgrywka, którą rozpoczął wraz z Ianem, skończyła się przez „game over”. Oprócz statystyki punktowej nie pozostał po niej żaden ślad w systemie.

„Ale dlaczego?! Moja postać zginęła, ale postać Iana żyje! Dlaczego rozgrywka się zakończyła, kiedy jeden z graczy wciąż jest w grze?!” – myślał Daniel gorączkowo. „A poza tym powinienem przecież mieć trzy życia, wykorzystałem tylko jedno!”

– Dlaczego robisz zawsze to, co ci się żywnie podoba?! – krzyknął z wyrzutem w głosie, na próżno usiłując wpisywać wszystkie znane mu polecenia.

W rozpaczy spróbował rozpocząć nową rozgrywkę. W tle zagrała znajoma melodyjka i na ekranie komputera pojawiła się plansza *Hyperversum* z głównymi ustawieniami:

wybierz rok: ____

p.n.e. / n.e.

Daniel wrzasnął wściekle i chwycił się rękoma za głowę.

To był koniec, wszystko stracone. Rozgrywka została zamknięta i nie można było ponownie jej uruchomić. *Hyperversum* oferowało mu rozpoczęcie nowej gry, zupełnie od początku – jednej z tysiąca rozgrywek, w które Daniel grał od zawsze w pojedynkę bez większego sukcesu.

Oczywiście, wciąż miał płytę CD, na której Ian zapisał parametry ich rozgrywki, Daniel jednak był pewien, że nawet używając tych danych do rozpoczęcia nowej gry, nie zdołałby zrealizować swego prawdziwego zamiaru. *Hyperversum* nie zadziałało nigdy bez Iana. Nie było najmniejszej nadziei.

– Daniel, gdzie jest Ian? – zapytał Martin półgłosem.

Minęła chwila, zanim starszy brat udzielił mu odpowiedzi.

Tak bardzo się bał, że prędzej czy później będzie musiał wypowiedzieć na głos te słowa... a teraz naprawdę musiał to zrobić.

– Został po tamtej stronie. Tym razem został tam na zawsze.

Martin odsunął się w ciszy i usiadł bez słowa w fotelu przy krześle Daniela.

Przez kilka minut nie odezwali się do siebie ani słowem.

– Co ty tu robisz, skoro jest sobota wieczór? – zapytał w końcu Daniel głucho. – Czy twój mecz wyjazdowy nie miał się odbyć dzisiaj po południu? Nie mieliście tam zostać do jutrzejszego wieczora?

– Odwołali go przez brzydką pogodę, dlatego wróciliśmy wcześniej – wyjaśnił Martin. – Mama przyszła na górę, pokój był pusty. Myślała, że wyszedłeś i zostawiłeś włączony komputer, dlatego wszystko wyłączyła. Zorientowałem się jakiś kwadrans temu.

„To dlatego w pewnym momencie *Hyperversum* przestało odpowiadać” – pomyślał Daniel, wciąż kryjąc twarz w dłoniach.

– Byłem przerażony na śmierć – mówił Martin i widać było, że wciąż jest wstrząśnięty. – Myślałem, że nie dasz rady stamtąd wrócić, zakładałem, że mama, wyłączając wszystko, zamknęła przejście na zawsze – przetarł rękami zmęczoną twarz. – Myślałem, że utknąłeś tam na zawsze...

Daniel rozluźnił się i opadł na oparcie krzesła.

– Ja też się tego obawiałem, zwłaszcza kiedy *Hyperversum* się zacięło i długo nie odpowiadało na polecenia – wyznał. – Jak ci się udało uruchomić rozgrywkę ponownie?

– Włączyłem tylko komputer, a gra sama się wczytała. Chyba zadziało automatyczne odzyskiwanie. Pewnie wszystko poszło tak jak wtedy, kiedy padła elektryczność. Widziałem, że na ekranie przez kilka sekund trwała rozgrywka, a później ty wszystko wyłączyłeś.

– Ja...? Wyłączyłem? – powtórzył Daniel z niedowierzaniem, po czym przypomniał sobie, jak anulował otwarte połączenie, które przypadkiem pojawiło się po wielu dniach bezskutecznych próśb.

– Tak, wydaje mi się, że to właśnie ty wszystko wyłączyłeś – ciągnął Martin. – Scenę było widać z subiektywnej perspektywy, oczami grającej postaci. Widziałem kamienne schody prowadzące w górę, wyglądało to na jakąś wieżę, postać siedziała na schodkach i trzymała w ręku miecz, później podniosła drugą dłoń i gra się zatrzymała.

– To byłem ja – przyznał Daniel.

– Co ci się stało? – zapytał Martin z troską. – Cały jesteś w siniakach.

Daniel spojrzał na swoje odsłonięte przedramiona i z przerażeniem zobaczył, że skórę ma całkowicie pokrytą śladami okrutnych razów. Jego nadgarstki znaczyły ciemne pręgi. Opuszki palców miał doszczętnie poparzone.

– Muszę je jakoś ukryć, zanim matka i ojciec to zobaczą.

– Musimy przede wszystkim coś wymyślić w związku z twoim powrotem do domu, tak żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Oni myślą, że wyszedłeś, nie możesz się nagle pojawić w swoim pokoju. Czarów nie ma.

– Jedliście już kolacje?

– Nie, tata mówił, że może zamówimy pizzę.

– Wobec tego namów ich, proszę, na kolację na mieście. Zatrzymaj ich tam na chwilę, ja będę udawał, że właśnie wróciłem.

– Zgoda.

Daniel odetchnął głęboko.

– A później? Co się stało? Gra uruchomiła się ponownie po tym, jak ją zatrzymałem?

– Tak. Ja niczego nie ruszałem – przytaknął Martin. W jego oczach wciąż malował się strach. – To ty włączyłeś opcje, prawda? Na ekranie pojawiła się nowa scena. Wszędzie był ogień i widziałem kilku kuszników gotowych do strzału. Później... nie wiem, co się stało. Słyszałem jakiś hałas na schodach, bałem się, że to matka i ojciec, wyszedłem zerknąć... Kiedy wróciłem, ty byłeś już tutaj. A gra się skończyła.

Daniel nadal wpatrywał się w ekran komputera, który wciąż migał w oczekiwaniu na wybór polecenia.

– Ta cała historia nie mieści mi się w głowie – wymamrotał.

Martin zamilkł na chwilę. A kiedy odezwał się ponownie, jego głos drżał od powstrzymanego płaczu.

– Ian naprawdę już nigdy nie wróci? – spytał.

Daniel poczuł, jak wszystko niemiłosiernie ściska mu się w środku.

– Teraz jest w domu. Tak musiało być.

Młodszy brat pokręcił głową i podniósł się z fotela.

– Idę namówić rodziców, żeby zabrali mnie na pizzę – powiedział, po czym powlókł się w kierunku drzwi. – Jak wrócę, opowiesz mi wszystko dokładnie? Czy wolisz zostać sam?

– Będę na ciebie czekał – powiedział Daniel, poklepując Martina po ramieniu. – No dalej, koniec z tymi smutnymi minami – dodał cicho. – Wiedzieliśmy, że tak się stanie. Powinniśmy być na to przygotowani.

Martin nie powiedział ani słowa. Wyszedł, zamykając za sobą dokładnie drzwi.

Daniel siedział nieruchomo przez kilka chwil, gapiąc się w logo *Hyperversum*. „Nie myśl sobie, że udało ci się nas przechytrzyć” – pomyślał, zły na grę. „Tak łatwo się nie poddam, choćbym miał grać, aż mi wypali oczy!”

Mimo to w dalszym ciągu z komputera dobiegała brzęcząca wesoła melodyjka, tak jakby *Hyperversum* chciało go wyszydzić, i chłopak ponownie poczuł się bezsilny. „Ale na co ja liczę? Próbowałem już tysiące razy i nigdy nie zadziało” – pomyślał z goryczą.

Zrezygnowany wstał z krzesła i wyłączył ekran, by emanujący z niego blask nie zdradził jego obecności. W pokoju zrobiło się całkowicie ciemno. Słabe światło ulicznych lamp ledwo przenikało przez zaciągnięte zasłony.

Daniel usiadł na łóżku. Zastanawiał się. Całkiem opadł z sił, w środku czuł ogromną i wciąż rosnącą pustkę.

„Nie zdołałem się nawet z nim pożegnać” – powtarzał raz po raz. Pogrążył się we wspomnieniach o dopiero co zakończonej przygodzie.

Ryzykował życiem, walczył i cierpiał, czuł strach, zabijał...

Raz na zawsze stracił przyjaciela...

Morze uczuć i emocji zalało go gwałtowną falą. Czuł się oszołomiony.

Napięcie rozpychało go od środka. Czuł się tak, jakby lada chwila miał wybuchnąć. Chciał krzyczeć do utraty tchu, by uwolnić się od nieznośnego ciężaru.

Całą siłą woli usiłował opanować rozdygotane nerwy. Emocje musiały jednak znaleźć ujście i po chwili do jego oczu napłynęły gorące łzy bezsilności.

Jego ręka automatycznie sięgnęła po telefon leżący na komodzie. Chwycił go i włączył. Szybko wybrał klawisz połączenia, nie spoglądając nawet na ekran – wszystko rozmazywało mu się przed oczami jak we mgle i nie mógł dojrzeć świecących klawiszy.

Telefon wydał z siebie kilka pisków, po czym chłopak usłyszał wreszcie zaniepokojony głos Jodie:

– Daniel?

Dźwięk jej głosu uspokoił go, bardziej nawet niż obecność Martina.

Daniel poczuł, jak łzy spływają mu po policzkach. Nie był w stanie ich zatrzymać.

Była w domu. Jodie była tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Już wkrótce miał ją chwycić w ramiona.

– Muszę się z tobą zobaczyć – wyszeptał do słuchawki.

*

Rozdział 44



Gdy tylko ucichł bitewny zgiełk, Enguerrand de Vitry wkroczył do Dunchester, prowadząc ze sobą kilku żołnierzy wraz z Williamem de Longespéem i jego rycerzami w charakterze jeńców wojennych. Angielski książę został rozbrojeny i wyglądał na niezbyt szczęśliwego z tego powodu. Z ponurym wyrazem twarzy przekraczał na swoim rumaku granice grodu, z przygnębieniem i troską spoglądając na skutki bitwy – poległych, rannych, a zwłaszcza na swoich ludzi, którym odebrano miecze i związane jako więźniów Francji.

Ian udał się pieszo na spotkanie nadjeżdżającej grupy. Towarzyszyli mu Martewall i Sancerre.

Vitry gestem nakazał swym żołnierzom, by odprowadzili *sir* Gorvenala i jego druha Lionela, pod swą osobistą opieką pozostawiając jedynie lorda Salisbury.

– *Messieurs*, wyrazy mojego uznania za tak piękne zwycięstwo – powiedział uroczyście francuski poseł do Iana i dwóch pozostałych rycerzy, kiedy żołnierze oddalili się już z więźniami. – Jego Wysokość Delfin z pewnością będzie wam wdzięczny i znajdzie sposób, by nagrodzić was tak, jak na to zasługujecie.

– Jesteście dla nas zbyt uprzejmi, panie – odparł Ian zmęczonym tonem.

– Ponieśliśmy jednakowoż spore straty, miejmy nadzieję, że było warto – dodał Sancerre. I on miał bardzo posępną minę, niecodzienną dla jego serdecznej zazwyczaj twarzy.

Martewall nic nie odpowiedział. W ciszy wbił wzrok w ziemię.

Lord Salisbury zauważył zmartwienie obu towarzyszących Ianowi rycerzy i ich spojrzenia pełne współczucia.

– Czy coś przytrafiło się waszemu towarzyszowi broni? – odgadł, zaniepokojony.

Ian skinął głową.

– Zginął w pożarze, który strawił warowne przejście pod barbakanem – odparł i mimo że słowa te miały dla niego inne znaczenie niż dla pozostałych, poczuł dotkliwy ból w głębi serca.

Daniel znajdował się po drugiej stronie nieprzekraczalnej granicy. Ian czuł, jakby jego przyjaciel zniknął naprawdę. Rozdzielili się raz na zawsze i już nigdy nie mieli ujrzeć się ponownie.

„Nie było mi dane nawet się z nim pożegnać” – pomyślał młody rycerz, jednak

świadomość, że jego przyjaciel jest bezpieczny, osłabiła poczucie rozpacz.

Lord Salisbury wyraźnie zbladł.

– Ale... jak to możliwe? – zapytał wzburzony. – Pozostawiłem go w bezpiecznym miejscu wraz z resztą rycerzy! Mieli siedzieć w lochach, tam nikt nie mógł zrobić im nic złego!

– Zorganizowali ucieczkę z więzienia – wyjaśnił Ian. – Wciąż nie zdołałem poznać szczegółów, wiem jednak, że Daniel był z nimi. Zaatakowali zamek od środka, by ułatwić nam wejście i maksymalnie ograniczyć straty w ludziach.

Lord Salisbury zamilkł, domyślając się dalszego ciągu opowieści.

– Składam wyrazy mojego współczucia. Był prawym człowiekiem – powiedział, a w jego głosie nie było fałszu.

– Tak, to prawda – odparł Ian. – Dla mnie był zaś jak brat.

– Pomściliśmy go, podbijając zamek – usiłował pocieszyć go Sancerre. – Tego właśnie by chciał. To za to oddał życie.

– Ryzykował dla mnie wszystko, tylko po to, żeby mi pomóc – poprawił go Ian. – Nigdy nie zdołałem okazać mu wdzięczności za dar jego przyjaźni.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Rycerze pograżyli się w myślach. Vitry jako pierwszy zabrał głos.

– *Sir* Geoffreju Martewallu, teraz zamek ponownie jest w waszych rękach, mam nadzieję, że zaszczyt nas swą obecnością podczas porozumień z baronami i pozwolicie naszym statkom dobić do waszego portu bez przeszkód.

Młody baron z dumą uniósł głowę.

– Wasz książę udzielił mi pomocy, bym mógł odbić mój dom z rąk morderców mego ojca. Teraz ja będę wspierał jego, jak tylko mogę, tak jak przyrzekałem.

– A więc jeden garnizon naszych ludzi pozostanie ze mną tutaj przez najbliższe dni. Moi żołnierze będą do waszej dyspozycji, byście bez trudu zdołali przywrócić porządek na waszych ziemiach i skutecznie mogli ich bronić. Ja sam proszę o waszą gościnę, dopóki nie przedyskutuję z lordem Salisbury wszystkich kluczowych kwestii, którymi zainteresowany jest mój książę. Kiedy zaś negocjacje zostaną zakończone, wyruszę niezwłocznie do Francji.

– Gościć was będzie dla mnie zaszczytem, panie.

– Będziecie musieli pomyśleć również o ugoszczeniu mnie, choć nie liczę na nic więcej niż zimna prycza w lochach zamku – przerwał lord Salisbury. – Jestem teraz waszym zakładnikiem, nie możecie pozwolić mi odejść bez splacenia okupu. Mam jednak nadzieję, że zwrócicie wolność moim ludziom. Oprócz *sir* Gorvenala i *sir* Lionela nikt nie wie o naszym tajnym porozumieniu, uważam zatem, że nie powinni znosić niewoli, zwłaszcza że ich dowódca jest sojusznikiem wroga.

– Jeśli *sir* Martewall zgodzi się na moją propozycję, sugerowałbym pozostawienie tutaj wyłącznie dwóch waszych zaufanych rycerzy i zażądanie okupu u waszego

króla – rzekł Vitry. – Dunchester i tak nie dysponuje zapasami, które pozwoliłyby na wyżywienie większej liczby więźniów, nie wzbudzimy więc niczyich podejrzeń, gdy wypuścimy wolno prostych żołnierzy. Należałoby zatrzymać jedynie dowódców i ludzi potrzebnych do prac przy odbudowie zamku. Możemy zażądać okupu za rycerzy, wyższych rangą wojskowych, którzy dostali się do niewoli, a zwłaszcza za dowódcę najemników. Minie sporo czasu, zanim zdołamy doprowadzić do końca pertraktacje; w ten sposób będziemy mogli spokojnie przedyskutować również pozostałe kwestie. Wy zaś zdążycie wymyślić sobie wiarygodne usprawiedliwienie dla króla, kiedy już stąd odejdziecie. Później pożegnamy się tak, jakbyśmy się nigdy nie spotkali. Pieniądze z okupów może choć w części starczą na pokrycie szkód, jakie poniosło Dunchester.

– Biorąc pod uwagę rozmiar katastrofy, która dotknęła zamek, będziecie musieli poprosić o wielkie sumy – skomentował Sancerre.

– Nie obawiacie się, że żądanie okupu za lorda Salisbury sprowokuje Jana bez Ziemi do wznowienia prześladowań Dunchester? – zaniepokoił się Ian.

– Myślę, że już wkrótce będzie miał zbyt wiele innych zmartwień na głowie – uspokoił go Vitry. – Kiedy bitwa jeszcze trwała, dotarli do nas posłańcy *sir* Roberta Fitz-Waltera, pana na Woodham, by oznajmić, że ich feudał jest niedaleko stąd. Powinien dotrzeć do nas o zmierzchu. Prowadzi ze sobą wielu ludzi, przede wszystkim innych ważnych lenników. Przybywają, by przedyskutować szczegóły strategii przeciwko królowi.

„I wkrótce zaatakują, wiedząc, że wspierają ich potężni, zamorscy sojusznicy” – dodał Ian w myślach. „Rewolta już się zaczęła i wkrótce książę Ludwik odbierze koronę Janowi bez Ziemi” – odetchnął głęboko, ze świadomością, że po raz kolejny jest świadkiem ważnego momentu w historii, na którą nie zdołałaby wpłynąć nawet najważniejsza rozgrywka *Hyperversum*.

– Wreszcie postanowili się ruszyć. – Martewall skomentował tymczasem wieści o przybyciu pozostałych baronów.

– Postarajcie się lepiej, by wojna nie wybuchła, zanim wasz król nie zapłaci okupów. W przeciwnym razie nigdy nie zobaczycie tych pieniędzy – dodał Sancerre sarkastycznie.

– Sprawię, że Nigel Murrow zapłaci mi za to, co zrobił – odparł Martewall twardo i podniósł oczy na Longespéego. – Milordzie, zamierzam skorzystać z należnych mi wojennych praw i wymierzyć sprawiedliwość wobec *sir* Murrowa i jego lenna Glenhaven. Mój sąsiad przyczynił się do rzezi w progach mego domu, teraz żądam, by zapłacił za świadomie wyrządzone zło.

– Co chcecie z nim zrobić? – zapytał lord Salisbury, marszcząc brwi.

– Zatrzymam go tutaj jako więźnia, nie zrobię mu krzywdy – odparł Martewall i spojrzął z ukosa na Iana. – Ktoś pomógł mi zrozumieć, że to wciąż jeszcze dziecko.

Z tego względu nie zemszczę się na nim osobiście, tak, jakby na to zasługiwał. Zobaczymy, jak wysoki okup jest mi w stanie zapłacić, choćby miały to być ziemie jego lenna, jeśli nie wystarczy mu pieniędzy.

Lord Salisbury przytaknął.

– Na takie rozwiązanie jestem w stanie przystać.

– *Messieurs*, zdaje się, że nadszedł moment, by odrzucić miecze i nareszcie odpocząć – oznajmił Vitry. – Jesteśmy wszyscy zmęczeni i mamy za sobą wyjątkowo ciężki dzień. Będziemy w stanie lepiej ocenić całą sytuację, siedząc przy kieliszeczku czegoś do picia.

– Z całą pewnością – pospieszył z zapewnieniem Sancerre i również Ian zdał sobie nagłą sprawę, że gardło piecze go z pragnienia. Tak, coś do picia byłoby darem niebios.

– Z ogromną chęcią zaoferuję wam wszystko, czym dysponujemy – powiedział Martewall. – Za mną, pójdziemy do wielkiej sali. Przejmuję honory pana domu.

Vitry i lord Salisbury ruszyli przodem na swych wierzchowcach, kierując się w stronę centralnej części dziedzińca, by pozostawić tam konie pod opieką żołnierzy.

Ian, Martewall i Sancerre piechotą udali się w ślad za nimi, ramię w ramię.

Bitewny tumult na dziedzińcu nareszcie ucichł. Wielu więźniów zaprowadzono już do lochów i baraków poza murami. Opatrywano rannych, donoszono im napoje i bandażowano prowizorycznie rany w oczekiwaniu, aż ktoś bardziej doświadczony udzieli im fachowej pomocy. Ian z daleka dostrzegł Leowynn, która dwoiła się i troiła wśród tłumu mieszkańców. Znalazła sobie troje pomocników, wśród których był i Lisi Ogon, i wraz z nimi dostarczała wodę i opatrunki najbardziej potrzebującym.

Ian podniósł oczy ku zamkowym wieżom i ujrzał, że ludzie Martewalla błyskawicznie ściągali wrogie sztandary, zastępując je czarnymi flagami ze złotym lwem. Na murach nastąpiła zmiana warty i nowi strażnicy strzegli teraz całego terenu. Już wkrótce grupy zwiadowców miały przeczesać ziemie całego lenna w poszukiwaniu ukrywających się wrogów. Osłabiony zamek, pozbawiony umocnień, był teraz łatwym celem i potrzebował wydajnej ochrony. Należało również ulokować nowych ludzi w porcie, nie wspominając o patrolach na nowych ziemiach, które już niedługo miały się stać częścią lenna Dunchester.

– Przyda się więcej ludzi – zauważył Ian, zwracając się do Martewalla. – Poza tymi, którzy zajmą miejsca poległych, potrzebujesz nowych żołnierzy, by sprawować nadzór nad większym terytorium.

Baron przytaknął.

– Tak, muszę zwerbować rekrutów, jednak przede wszystkim dowódców. Ponieśliśmy wielkie straty i bardzo potrzebuję zaufanych ludzi, przynajmniej w strategicznie ważnych miejscach – w porcie i na zamku. Ciężko będzie znaleźć odpowiednie osoby w tak krótkim czasie.

Ian spojrział w dal, gdzie pośród tłumu wyróżniała się potężna, znajoma sylwetka.

– Jeśli potrzebowałbyś dobrego dowódcy straży, myślę, że mógłbym zaproponować ci doskonałego kandydata – powiedział.

Thomas Bull, nieświadomy toczącej się dyskusji, dostrzegł Iana i pozdrowił go z daleka.

Po długim dniu nad Dunchester wreszcie zapadł wyczekiwany zmierzch, na horyzoncie zaś raz jeszcze zamajaczyły szeregi zbrojnych.

Tym razem jednak na murach i wieżach zamku nie rozległ się dźwięk alarmu – wszyscy spodziewali się przybycia wojsk, które niosły sztandary z herbem ze złotym polem, dwoma trójkątami i czerwonym pasem – insygnia *sir* Roberta Fitz-Waltera.

Sojusznicy wreszcie dotarli do Dunchester.

Było ich wielu, około tysiąca, i robili ogromne wrażenie nie tylko liczbą, lecz także podziałem na różnokolorowe grupy; na ich czele szli seniorzy, niosąc swe sztandary.

Ian nie kojarzył ich odznaczeń, nie mówiły mu nic również nazwiska baronów wymieniane szeptem za murami Dunchester. Nie był ekspertem w kwestii angielskiej rewolty, wiedział o wiele więcej na temat bitwy pod Bouvines, pogłębił zresztą swoją wiedzę przy okazji studiów doktoranckich. Szczery podziw Williama de Longespéego, który obwieszczał Vitry’emu, jakie rody przybywają do zamku, kiedy tylko sztandary były na tyle blisko, że można je było rozpoznać, sprawił, iż Amerykanin zorientował się, że wśród przyszłych buntowników znajduje się śmietanka angielskiej szlachty.

Wojsko Fitz-Waltera spowolniło swój marsz w niedalekiej odległości od Dunchester – w obliczu zakończonego już oblężenia i na widok czarnych flag znów dumnie powiewających na wieżach.

„Teraz muszą jeszcze dogadać się z Francuzami” – pomyślał Ian, wiedząc, że Delfin byłby szczęśliwy, mogąc rozciągnąć swą protekcję na rewoltę baronów, jeszcze zanim ta miała się rozpocząć.

Młodzieniec odłączył się od rycerzy zajętych dyskusją na temat możliwych rozwiązań dotyczących zamku i udał się na poszukiwania Martewalla. Baron opuścił grupę już jakiś czas temu, by ocenić straty poniesione przez Dunchester.

Ian zastał Anglika obok szerniałego budynku barbakanu.

Pożar został opanowany. Pracujący przy zgliszczach ludzie usiłowali uporządkować nagromadzony popiół i szczątki desek. Martewall w milczeniu patrzył na szkody spowodowane pożogą.

– Fitz-Walter jest już blisko – oznajmił Ian, podchodząc bliżej.

– Wiem, widziałem jego oddziały z murów – odparł Martewall, nie ruszał się

jednak z miejsca.

Ian stanął obok niego, spoglądając przez kilka minut na smętne resztki warownego przejścia.

– Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Nie chciałem, żeby to wszystko tak się skończyło – powiedział wreszcie Anglik, patrząc na słup dymu, który wciąż unosił się w niebo z okien pomieszczenia, w którym Daniel podłożył ogień.

– Ja też nie – odpowiedział cicho Ian i znów poczuł w sercu silny ból, zmieszany z uczuciem pustki i straty.

– Może udało mu się uciec. Może w jakiś sposób ocalał – rzucił niespodziewanie Martewall, widząc pełne strapienia oblicze drugiego rycerza. – Spalonych ciał nie sposób było zidentyfikować i trudno uwierzyć w niedorzeczności, jakie opowiada najemnik. Kto wie, co mogło mu się przywidzieć pośród dymu i płomieni. Każę rozpocząć poszukiwania *sir* Daniela. Być może jest gdzieś pośród rannych.

– Bardzo bym chciał, żeby tak było, ale nie mogę się łudzić – odparł Ian. – Nie ujrzę go już nigdy więcej.

Martewall był zmuszony przytaknąć.

– Cóż, jest to niestety bardzo prawdopodobne. Będę się za niego modlił.

– Dziękuję ci.

Znowu zapadła cisza.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Ian w końcu.

Martewall pokazał ręką kierunek, z którego nadciągały sojusznicze wojska.

– Dalej będę walczył. Tego oczekiwałby mój ojciec – odparł. – To dopiero początek drogi. Niedługo wybuchnie wojna, w której ja będę po stronie rebeliantów, przeciwko królowi Janowi. Zapłacę każdą cenę, chcę jednak być pewny, że postąpię tak, jak na moim miejscu postąpiłby mój ojciec.

– Zwycięzycie, jestem tego pewien – odparł Ian. – Wasza determinacja i wsparcie księcia Ludwika sprawią, że zdołacie osiągnąć rzeczy, których nawet sobie teraz nie wyobrażacie.

– Taką mam nadzieję, ale przystanę na wszystko, co przyniesie przyszłość – odparł prostolinijnie Martewall.

„Pewnie, przyszłość” – pomyślał Ian. „I tak jest w stanie cię zaskoczyć, choćbyś myślał, że ją znasz”.

– A ty kiedy planujesz stąd wyjechać? – zapytał go Anglik.

– Kiedy tylko będę mógł. Najchętniej już jutro – odpowiedział Ian. – To nie jest moja wojna i od bardzo dawna nie było mnie w domu – ściszył głos, pod wpływem silnych emocji, i dodał: – Chcę zobaczyć narodziny mojego syna.

Martewall przytaknął.

– Kiedy wszystko to się skończy, jeśli wciąż będę żywy, być może znowu się zobaczymy.

Ian spojrział na niego niepewnie.

– Mam nadzieję, że nie będziesz chciał na nowo równać rachunków.

– Rachunków? Nie. Nie mam już z tobą żadnych rachunków do wyrównania – głos rycerza był szczery, a w jego jasnym spojrzeniu nie przemknął nawet najmniejszy cień złośliwości. – Jerome nie żyje, a ja zrobiłem wszystko, co mogłem, by oddać cześć naszej przyjaźni. W pewnym momencie posunąłem się za daleko, straciłem zdrowy rozsądek. Teraz muszę przestać żyć tą obsesją i zacząć myśleć o moich ludziach.

Ian poczuł niezmierną ulgę i Martewall być może zauważył jego poruszenie, bo dodał:

– Tak czy siak, wciąż nie jestem przekonany, że naprawdę jesteś Jeanem Markiem de Ponthieu. Obserwowałem cię uważnie i dostrzegłem wiele podejrzanych szczegółów, choćby w twojej relacji z bratem. Muszę powiedzieć, że insynuacje Jerome’a wcale nie odbiegały tak bardzo od prawdy – jeśli ktokolwiek byłby w stanie spreparować komedię na taką skalę, to tylko wy dwaj, i jestem tego bardziej niż pewny.

Zamilkł na chwilę, spoglądając wyzywająco w oczy młodzieńca, po czym rzekł:

– To w każdym razie nie ma już znaczenia. Jeśli o mnie chodzi, zdołałem poznać prawdziwego Srebrnego Sokoła, rycerza, prawego i odważnego człowieka, i to jemu należy się moja wdzięczność i moja lojalność. Nie ma znaczenia, czy to imię, które otrzymał podczas chrztu, czy nie.

Ian poczuł się zaskoczony tak poważnymi i niespodziewanymi słowami, po chwili jednak oszołomienie ustąpiło miejsca głębokiej satysfakcji.

– Ja również przekonałem się, kim jest Lew z Dunchester – rycerz i szlachetny mąż. Cokolwiek szykowałyby dla nas przyszłość, możesz liczyć na mój szacunek i mam nadzieję, że pewnego dnia zgodzisz się przyjąć również moją przyjaźń.

– Przyjaźń... – powtórzył Martewall w zamyśleniu. – Któżby mógł się tego spodziewać jeszcze dwa tygodnie temu?

– Nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem – przypomniał Ian.

– Zdaje się, że taka jest prawda – stwierdził Martewall.

*

Rozdział 45



Podróż powrotna Iana trwała sześć dni i prowadziła przez port w Dunkierce. Przepłynawszy po raz kolejny kanał La Manche, Ian musiał jeszcze przekazać księciu Ponthieu wieści o misji zakończonej sukcesem. Nie marnując ani chwili, zorganizował na nowo swój wyjazd. Po czterech dniach wędrówki pośród lasów i pól ujrzał wreszcie na horyzoncie białe wieże Châtel-Argent, na których szczycie powiewały wstęgi sztandarów.

Flagi były niebiesko-białe, tak jak kolory herbowe Srebrnego Sokoła, i trzepotały radośnie w powietrzu na powitanie przybywających podróżnych. Cała okolica – lasy i łąki – odcinała się na tle zimowego nieba i przypominała pastelowy pejzaż na

plótnie.

Widok ten sprawił, że całe zmęczenie Iana związane z podróżą minęło jak ręką odjął. Nie czuł dłużej zimna, które przez całą drogę przenikało go do szpiku kości nawet poprzez wełniany płaszcz. Wyprostował plecy, rozluźnił się i ścisnął mocniej wodze swojego wierzchowca. Gdyby mógł, wycisnąłby ze swego wyczerpanego rumaka ostatni galop.

– A dokąd to? – przyhamował jego zapędy Ponthieu. – Trochę cierpliwości, zachowuj się, jak należy. To nie przystoi: pan domu, który biegnie do drzwi jak chłopaczek spóźniony na kolację.

„Co mnie to obchodzi? Isabeau tam na mnie czeka!” – pomyślał Ian odruchowo, zatrzymał to jednak dla siebie, nie chcąc niepotrzebnie złościć księcia. Dopiero kilka chwil później zauważył złośliwy uśmiezek zastygły na wargach Ponthieu.

– Specjalnie to robisz, dobrze się bawisz, widząc, jak odchodzę od zmysłów – burknął urażony Ian.

Księżę wzruszył ramionami. Patrzył przed siebie i pewną ręką kierował swym rumakiem.

– To i tak niewiele w porównaniu z tym, na co zasługujesz za wszystkie zmartwienia, których nam przysporzyłeś. Teraz będziesz się pocił ze zniecierpliwienia aż do ostatniego kroku dzielącego cię od domu.

Ian otworzył usta w niemym sprzeciwie, Ponthieu jednak mówił dalej:

– A poza tym musisz czynić honory pana domu i zaprowadzić swoich gości aż do samych drzwi. Nie możesz zostawić ich w połowie drogi i puścić się przodem

w pojedynkę.

Drugi argument zdołał bardziej przekonać Iana i młodzieniec musiał się zadowolić tempem pochodu, który włókł się leniwie za nim. Grupka nie była zbyt liczna, składała się z nie więcej niż kilkunastu osób – dziesięciu rycerzy dla bezpieczeństwa, giermka Ponthieu i dwóch sług prowadzących wóz, na którym złożono bagaże, i jedną krytą furmankę. To ta ostatnia spowalniała wędrówkę, Ian nie mógł jednak poprosić woźnicy, by przyspieszył. Na wozie podróżowała bowiem Brianna, której rana wciąż jeszcze się nie zagoiła.

Odwracając się za siebie, Ian mógł zobaczyć Lisiego Ogonia siedzącego na furmance u boku sługi. Zwolnił jeszcze bardziej kroku, by tamci zdołali się z nim zrównać. Chłopiec otworzył szeroko usta w absolutnym niedowierzaniu i podziwieniu.

– Czy to jest wasz dom? – zapytał wreszcie, kiedy tylko rycerz znalazł się w zasięgu jego wzroku. – Jaki przepiękny zamek! Wcale niepodobny do Dunchester.

– Dlatego że ten wznosi się na wzgórzu pośród równiny, a nie na brzegu morza. To dlatego okalają go koncentryczne mury, na samym środku zaś wznosi się baszta. – Ian zdecydował się nie wymądrzać dłużej na temat architektonicznych detali, nie chciał przechwalać się pięknem własnego zamku. Châtel-Argent po tak długim czasie zdawało mu się jednak jeszcze piękniejsze, niż kiedy widział je w snach.

Brianna tymczasem wychyliła się z wozu, by zerknąć na twierdzę z oddali.

– Jest naprawdę przepiękny. Bardzo się cieszę, że przez chwilę będę mogła w nim mieszkać.

– Zostaniecie tak długo, jak tylko będziecie chcieli – powiedział jej Ian.

– Jesteście dla nas wielce łaskawi, a ja nigdy nie zdołam odwdziżyć się wam za to, coście dla nas zrobili – odparła młoda kobieta. – Okazujecie ogrom szczodrości wobec dwójki bezdomnych włóczędzów, takich jak my.

– W mojej rodzinie nie brakło przykładu takiego postępowania – odpowiedział Ian i spojrzał z wdzięcznością na Ponthieu; gdyby nie jego szczodrość, kiedy Ian i jego przyjaciele byli nikim więcej jak tylko zagubionymi w średniowieczu rozbitkami, sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót, i z pewnością wszystko skończyłoby się źle.

Ponthieu usłyszał słowa młodzieńca, jednak z książęcą dumą nie dał tego po sobie poznać.

Ian odwrócił się do Lisiego Ogonia.

– No więc, co ty na to? Myślisz, że mógłbyś zostać na chwilę we Francji?

Chłopiec skinął głową.

– Przez chwilę to bym mógł! Chcę się nauczyć waszego języka. Myślicie, że mi się uda?

– Bez żadnych wątpliwości – uśmiechnął się Ian. – Znajdziemy ci dobrego nauczyciela, zobaczysz, pójdzie jak z płatka. Najważniejsze, byś został tutaj

przynajmniej przez kilka miesięcy.

„Na tyle długo, by wojna się zakończyła – żeby mogli wrócić do Anglii, kiedy cała sytuacja się uspokoi” – dodał w myślach i spojrzał znacząco na Briannę.

Rozmawiali już o tym w Dunkierce, jeszcze zanim wyruszyli do Châtel-Argent zdołali dojść do porozumienia. Chcieli zrobić wszystko, by zapewnić bezpieczne miejsce im obojgu, dopóki baronowie nie osiągną swych celów i nie złożą broni.

„Ponad rok” – pomyślał Ian. Wiedział, jak długo potrwa ta wojna. Jego myśli powędrowały ku Martewallowi – młody baron oznajmił gotowość przyjęcia Brianny i Lisiego Ogon, gdyby zdecydowali się wrócić.

– Z wielką chęcią znajdę dla nich dom – powiedział rycerz. – Mam dług wdzięczności wobec obojga.

„Zarówno tutaj, jak i po drugiej stronie kanału La Manche znajdzie się dla nich bezpieczne schronienie” – dodał w myślach Ian. Był bardzo zadowolony.

– Myślicie, że będę mógł również nauczyć się posługiwać mieczem? – zapytał jeszcze Lisi Ogon.

– *Sir* Geoffrey powiedział, że masz talent. Jeśli dołożymy do tego twoje chęci, myślę, że mógłbyś wziąć parę lekcji u żołnierzy w Châtel-Argent – stwierdził Ian. – Może ich zdolności nie dorównują fachowi twojego pierwszego nauczyciela, ale będziesz miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby podszkolić się u niego, jeśli wrócisz do Dunchester.

– Na pewno tam wrócę! Anglia to mój dom – powiedział Lisi Ogon z przekonaniem. – Wrócę tam, żeby stać się prawdziwym rycerzem. Tak jak mój ojciec.

– A więc mogę wreszcie mówić do ciebie Beau – odparł Ian i się uśmiechnął.

Brianna wyciągnęła rękę w stronę swojego synka i przyglądała mu rozwichrzoną czuprynę.

W całym zamku zapanowała radość z powodu powrotu jego prawowitego władcy.

Przestrzeń małego dworu – ściśniętego pomiędzy zewnętrznym i wewnętrznym pierścieniem murów – zabudowana przez domy mieszkalne i warsztaty podgrodzia wypełniła się powitalnymi okrzykami mieszkańców, którzy rozstąpili się, by zrobić miejsce niewielkiemu orszakowi. Dzieci wykrzykiwały słowa pozdrowienia, dorośli chylili głowy przed braćmi Ponthieu i machali im z daleka.

Na dziedzińcu znajdującym się wyżej, tuż przy zamku, dowódcy podnieśli broń wysoko w górę na znak szacunku, skandując nazwisko Ponthieu. Naczelnym dowódcą zamku wraz z rycerzami złożył hołd przyjezdnym.

Ian powitał wszystkich, nie był jednak w stanie skupić się na ich słowach. Czuł

przyspieszone bicie serca, nie mógł oderwać myśli od bramy prowadzącej z dziedzińca do stóp najwyższej, wielokątnej wieży.

Był w domu. Jeszcze kilka minut i będzie mógł porwać w ramiona swą ukochaną Isabeau.

Przejechali przez podgrodzie i przekroczyli próg dziedzińca. Na widok zarządcy zamku, Huguesa, który wraz ze sługami pospiesznie wybiegł im na spotkanie, by godnie przyjąć powracających do domu seniorów, Ponthieu kazał zatrzymać orszak.

– Ty idź dalej – poradził Ianowi, posyłając mu porozumiewawczy uśmiech. – Zajmę się wszystkim, a później cię znajdę. Idź do niej. Już i tak zbyt długo na ciebie czeka.

– Dziękuję – powiedział Ian wdzięczny z całego serca, że może uniknąć kolejnych konwenansów, które przez jeszcze jakiś czas mogłyby go trzymać z dala od jego prawdziwego celu. Zeskoczył z siodła, pozdrowił w pośpiechu Huguesa, nie zatrzymując się przy nim nawet na chwilę. Przeskakując po trzy stopnie na raz, pędził w górę schodów na szczyt wewnętrznych murów. Stamtąd, wciąż biegiem, udał się w stronę zwodzonego mostu, by nareszcie dostać się do wieży.

Gdyby mógł, wzbilby się w powietrze. Przemknął przez krużganek, nie zwracając uwagi na służbę, która wychylała się ciekawsko z każdych mijanych przez niego drzwi.

– Ian! – zawołała za nim Donna z pierwszego półpiętra.

Młodzieniec zatrzymał się raptownie i spojrzał w górę.

Donna wybiegła mu naprzeciw i rzuciła się przyjacielowi na szyję.

– Ian, wróóóciłeś! – wykrzyknęła, wzruszona. – Tak strasznie się baliśmy! Wiedzieliśmy o wszystkim, co się wydarzyło, ksiązę przekazał nam informacje! Obawialiśmy się, że mogło przydarzyć ci się coś złego!

Ian wysunął się z jej objęć, by móc spojrzeć dziewczynie w oczy. Tym razem to Donna się zmieniła – w końcu minęły miesiące, od kiedy widzieli się w Saint Michel. Miała o wiele dłuższe włosy, które zaplotła w delikatne warkocze nad skrońmi, odsłaniając zaróżowione policzki. Ubrana była w piękną, misternie wyszywaną suknię, odpowiednią dla dwórki pani na zamku.

– Świetne wyglądasz – powiedział jej Ian. – Teraz i ja mam się lepiej. Nareszcie jestem w domu.

Donna zerknęła pospiesznie ponad ramię przyjaciela, jakby spodziewała się ujrzeć kogoś jeszcze.

– Daniel? – zapytała.

– On też jest w domu – odparł Ian cicho. W jego głosie słychać było wzruszenie. – Dzięki Bogu jest bezpieczny, mimo że wszyscy są przekonani, że zginął. Opowiem ci. Będzie to nasz sekret.

Donna w zamyśleniu kiwnęła głową.

– Jak się ma Isabeau? – zapytał Ian. Nie potrafił ukryć emocji.

Donna uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu.

– Mimo wszystko ma się dobrze. Cięża przebiega bez żadnych komplikacji. Jak dotąd wszystko było w porządku. – Wskazała na schody za plecami. – Jest w waszej komnacie i czeka na ciebie. Widziała cię już z okna.

Ian westchnął z ulgą na myśl, że Isabeau cieszy się dobrym zdrowiem, po czym podniósł oczy w kierunku szczytu schodów. Na widok dwóch identycznych skrzydeł drzwi poczuł, jak bardzo łomocze mu serce, jakby za chwilę miało wyrwać się z piersi. Odetchnął głęboko i zaczął wchodzić na górę.

Donna ścisnęła go jednak za ramię i przyciągnęła do siebie. Jeszcze bardziej ściszyła głos, upewniając się, że nikt inny nie zdoła ich usłyszeć, mimo że i tak mówiła po angielsku.

– Ian, ona o wszystkim wie.

Młodzieniec nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Wszystkim... co takiego?

– Wie o wszystkim – powtórzyła Donna, a jej spojrzenie przybrało niezwykle poważny wyraz. – Nikt więcej nie wie, ale ona miała do tego prawo. Trzymała cię w ramionach, kiedy umierałeś, słyszała, jak mówiłam o szpitalach i karetkach, o powrocie do domu, który miał trwać chwilę – bez statków czy jakichkolwiek środków transportu. Wiedziała, że zabójcy nie zabrali cię ze sobą, nie jest głupia. Nie byłam w stanie nic wymyślić, żeby to wszystko usprawiedliwić, dlatego postanowiłam powiedzieć jej prawdę.

– Zrozumiała? – zapytał Ian z niepokojem, obawiając się odpowiedzi.

– Zrozumiała tyle, ile była w stanie zrozumieć. Nie umiałam jej wytłumaczyć, czym naprawdę są gry wideo i komputer – ciężko jej było to sobie wyobrazić. Nie potrafiłam jej wyjaśnić także tego, jak działa przejście poprzez *Hyperversum*...

– A kto byłby w stanie to wyjaśnić? Przecież nawet my tego nie wiemy – wymamrotał Ian.

– Opowiedziałam jej jednak o naszym świecie i o tym, że nie można się do niego dostać przez zwykłą podróż, ale wyłącznie poprzez „skok”...

Ian przetarł dłonią twarz. Był wystraszony.

– A ona? Jak zareagowała? Jestem sobie w stanie wyobrazić, co musiało się dzieć w jej głowie...

Aż za dobrze pamiętał przerażoną twarz jeńca – najemnika w Dunchester, który widział w Danielu diabła rozplywającego się w powietrzu i oskarżał go o czarnoksiężstwo. Na samą myśl o tym, że Isabeau mogła pomyśleć tak samo, czuł napływającą falę paniki.

Donna odgadła jego myśli i chwyciła go za drugie ramię.

– Twoja żona jest wyjątkową osobą, powinieneś zaufać jej i miłości, która

doprowadziła cię aż tutaj. Tak samo jak nas wszystkich, wystraszyła ją ta tajemnica, ale mimo strachu, który usiłowała ukryć, pomogła mi przygotować twój powrót, nie dając się ani przez chwilę zwieść wątpliwościom. A teraz idź i zapewnij ją, że wszystko jest w porządku, tylko to możesz zrobić.

Ian przytaknął, usiłując pogrzebać swój niepokój na samym dnie serca. Postawił stopę na pierwszym schodku, po czym odwrócił się po raz ostatni.

– Wybacz mi, ale ze mnie niewdzięcznik. Nie podziękowałem ci nawet za wszystko to, co dla mnie zrobiłaś. A w dodatku miałem powiedzieć ci jeszcze, że i Etienne ma się dobrze – powiedział Donnie. – Niedługo wróci z Anglii, kiedy tylko francuski poseł zdecyduje się opuścić Dunchester.

Donna uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. Nie martw się, już wszystko wiem. Etienne nie zapomniał mnie poinformować... Jest w tej kwestii niezwykle zapobiegliwy, mimo wątpliwe działających środków komunikacji.

– Bardzo jestem szczęśliwy z waszego powodu, życzę wam wszystkiego, co najlepsze – powiedział jej Ian ze szczerym zaangażowaniem, po czym rzucił się biegiem w górę schodów.

Wkroczył do wielkiej komnaty sypialnej, czując strach zmieszany z dziką radością. Tkany gobelin przedzielał pomieszczenie na dwie części i zasłaniał wielkie łoże z baldachimem, uwagę Iana przyciągnęła jednak drobna, nieruchoma postać stojąca przy otwartym oknie.

Młodzieniec przekroczył próg i zatrzymał się w miejscu, niezdolny do uczynienia kolejnego kroku – wzruszenie było tak wielkie, że czuł, jak trzęsą mu się nogi.

– Isabeau... – były to jedyne słowa, które zdołał wykrztusić przez ściśnięte gardło.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła na niego z daleka wielkimi i szeroko otwartymi oczyma. Była piękna, mimo bladości pokrywającej jej twarz, a promienie słońca z zewnątrz podświetlały jej włosy, które wyglądały teraz, jakby były zrobione ze złota, spadającego kaskadami na plecy. Miała na sobie ciemnozieloną suknię o prostym kroju, ozdobioną nielicznymi haftami. Nie nosiła biżuterii. Spojrzenie Iana skupiło się jednak natychmiast na zaokrąglonym i wystającym brzuchu, nieomylnym znaku stanu błogosławionego, który już wkrótce miał się dopełnić.

„Nasz syn” – pomyślał Ian i uśmiechnął się tylko po to, by zatrzymać łyzy wzruszenia.

– Isabeau – powtórzył, zmuszając nieposłuszne nogi do kolejnego kroku w jej stronę.

Cofnęła się w milczeniu. Na jej twarzy malowało się napięcie, z przerażenia

i zdenerwowania zaciskała usta. Nie powiedziała nic, jakby nagle zabrakło jej słów.

Uśmiech Iana błyskawicznie zniknął. Młodzieniec zatrzymał się ponownie. Jej spojrzenie zamieniło go w kamień – w oczach dziewczyny malowały się tysiące uczuć, jednak z pewnością nie było w nich radości. Ian zdał sobie sprawę, że Isabeau nigdy nie patrzyła na niego w ten sposób. Zamarł, czując, jak pomiędzy nimi wyrasta niewidzialny mur.

Strach przygasił nieoczekiwanie jego radość. W jego głowie rozpanoszyły się oszalałe z niepokoju myśli, jedna gorsza od drugiej. Przede wszystkim jednak obawiał się, że coś zmieniło się nieodwracalnie pomiędzy nim a jego żoną.

– Proszę cię... – zwrócił się do niej błagalnym tonem, wyciągając w jej kierunku rękę.

Isabeau nie cofnęła się tym razem i widać było, że z całych sił próbuje się opanować. Oparła się dłonią o parapet, tak jakby dotyk kamiennej powierzchni miał pomóc jej utrzymać się na nogach.

– Wróciłeś – powiedziała, ale mimo ogromnego wysiłku nie zdołała ukryć drżenia głosu.

– Wróciłem do ciebie – odpowiedział cicho Ian.

Milczała.

– Nie wiesz, ile razy modliłem się, by dożyć tej chwili – mówił dalej Ian, na próżno wyczekując jej odpowiedzi.

Pomyślał o dwóch latach i sześciu miesiącach bez cienia nadziei, zanim zdołał odkryć iluminowaną kronikę, i uderzyła go nagła fala wspomnień pełnych rozpaczy, nieprzespanych nocy i głębokiego niepokoju, który towarzyszył mu o każdej porze dnia.

– Bałem się, że już nigdy cię nie ujrzę. Myślałem, że stracę zmysły – powiedział z bólem.

Isabeau nie dawała za wygraną. Stała tylko o kilka kroków od swojego męża, ale i ta odległość wydawała się Ianowi nieprzekraczalna. Młodzieniec przygryzł wargi, czując, jak niechęć dziewczyny napełnia go rozpaczą. Nie wiedział, co robić, i opuścił nisko głowę.

– Wybacz mi, jeśli przysporzyłem ci cierpień – zdołał wykrztusić.

Cisza ciążyła jak głąz.

– Donna wszystko mi powiedziała – podjęła Isabeau i Ian podniósł na nią oczy, próbując wytrzymać jej surowe spojrzenie.

Dziewczyna zaciskała dłonie na kamiennym parapecie.

– Próbowałam zrozumieć, ale nie zdołałam – mówiła dalej Isabeau, z trudem dobierając słowa, które oddałyby stan jej ducha. – Czasem wydawało mi się, że rozumiem, czasem wszystko przekraczało moje wyobrażenie... Próbowałam to zaakceptować, ale nie było łatwo... To wszystko takie... nieprawdziwe.

Jej każde słowo było dla Iana jak kolejna rana. Mógł sobie wyobrazić, jakie niepokoje i wątpliwości kotłowały się w głowie dziewczyny, wychowanej w średniowiecznym świecie, ale słowo „nieprawdziwe” zastępowało inne określenie, o wiele bardziej przerażające.

– Boję się tego wszystkiego – wyznała w końcu Isabeau.

– Mnie też to przeraża – odparł Ian szczerze. – Mnie też nie jest łatwo pogodzić się ze wszystkim tym, co się stało. Chciałbym znaleźć dla tego logiczne wytłumaczenie i odpowiedzi na twoje pytania, ale prawda jest taka, że nie jestem w stanie. Ja też niewiele rozumiem, wiem tylko, że dzięki temu, co się stało, mogłem cię spotkać.

Patrzyła na niego w dalszym ciągu, zastanawiając się nad każdym słowem, wychwytyjąc każdą zmianę tonu w jego głosie. Chciała zadać jakieś pytanie i nie potrafiła się odważyć. Po chwili zdecydowała się i wyszeptwała ledwo słyszalnie:

– Nie ma w tym żadnych złych mocy, prawda?

Ian poczuł, jak serce ściska mu się w piersi.

– Nie ma, przysięgam ci. Proszę cię, Isabeau, nie wierz w podobne głupstwa, nie myśl o tym – odparł, zrozpaczony. – Nie potrafię wyjaśnić ci tego, co się stało, ale dla mnie z całą pewnością był to prawdziwy cud. Wyrwano mnie z mojego domu i z mego dotychczasowego życia, trafiłem tutaj, nie wiedząc dlaczego, i bardzo się bałem, ale nasze drogi skrzyżowały się i nic piękniejszego nie mogło mi się przydarzyć. Jak może być jakakolwiek zła moc w tym, co się nam przytrafiło? W tym, co mnie z powrotem przyprowadziło do ciebie, aż tutaj, kiedy myślałem, że utraciłem cię na zawsze?

Isabeau zamilkła. Nic nie mówiła, w ciszy rozważając jego pełne wzburzenia słowa.

Ian odważył się zrobić jeszcze jeden krok w przód.

– Taki był los albo wola Opatrzności i ja w to wierzę. Modliłem się za to długo i myślę, że zostałem wysłuchany. Jestem tutaj znowu i tym razem zostaję na zawsze. Zrezygnowałem ze świata, do którego należałem, i kierowało mną jedno jedyne pragnienie: być z tobą przez całą resztę mego życia.

Zebrał całą swą odwagę i wreszcie wypowiedział słowa ostatniej prośby.

– Nie bój się mnie. Kocham cię i chcę cię chronić przed całym złem tego świata. Zaklinam cię, na wszystkie świętości, przyjmij mnie z powrotem.

Isabeau wpatrywała się w niego intensywnie, być może zastanawiając się nad odpowiedzią. Nagle zachwiała się i oparła się plecami o ramę okna, by nie stracić równowagi.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Ian.

Dziewczyna zaczerpnęła głęboko powietrza, kładąc obie dłonie na wystającym brzuchu.

– Twój potomek bardzo energicznie się rusza – odparła, kiedy tylko była w stanie

coś z siebie wykrztusić. Odetchnęła raz jeszcze i powiedziała: – Podejź tu, poznać się.

Ian poczuł dreszcz, który przeszył go do głębi. Podeszedł powoli ku niej, ostrożnie stawiając każdy krok. Isabeau już się przed nim nie cofała. Złapała go za rękę i położyła ją sobie na wypukłości rysującej się na wyszywanej sukience.

Pod palcami po raz pierwszy wyczuł obecność swojego dziecka.

Upadł na kolana, przytłoczony silnymi emocjami. Jego oczy napełniły się łzami. „Mój syn...” – pomyślał, dygocząc.

– Nasz syn – poprawił się na głos, ale ucisk w gardle zdławił kolejne jego słowa. Poczował, jak łzy spływają mu po twarzy.

Nieoczekiwanie dłoń Isabeau pogładziła go po policzku. Ian podniósł oczy i zobaczył, że dziewczyna również płacze.

– I ja ciebie kocham... Niech Bóg mi przebaczy, kochałabym cię, nawet jeśli byłbyś szatańskim owocem złych mocy – szepnęła.

Chwyliła twarz męża w obie ręce, by spojrzeć w jego błękitne oczy.

– Tak bardzo się modliłam... czasem o to, by móc cię znowu zobaczyć, czasem, by cię zapomnieć – mówiła dalej, cała we łzach. – Donna powtarzała mi, że wkrótce przybędziesz z tego waszego odległego świata, a ja się bałam i ciebie, i jej, lecz kiedy zostawałam sama, szalałam z rozpaczy, że już nigdy tu nie wrócisz. Wciąż o tobie myślałam, w każdej chwili. W nocy śniła mi się twoja twarz, krwawiłeś, a ja budziłam się z płaczem i próbowałam dodać sobie otuchy, wiedząc, że noszę w sobie część ciebie, nasze dziecko...

Ian chwycił jej dłonie, ścisnął je mocno i ucałował, tuląc z całych sił.

– Teraz jestem tutaj. Już nie będą nam się śniły koszmary, obiecuję.

Przyciągnęła go lekko do siebie, a gdy wstał, łzy na jej twarzy mieszały się już z uśmiechem. Zdawała się tak bardzo delikatna, niczym figurka z porcelany.

Ian nie mógł się dłużej powstrzymać – chwycił ją za ramiona, jednak nie ścisnął jej w obawie, że mógłby zrobić jej krzywdę. Nachylił się nad jej drobną postacią i złożył na jej ustach pocałunek. Jej słodki zapach przywodzący na myśl płatki róż i wanilię sprawił, że ciężki węzeł w jego gardle zniknął bez śladu.

– Kocham cię – wyszeptał młodzieniec. Jego usta muskały wargi jego żony i nic nie miało większego znaczenia niż te dwa słowa.

– Kocham cię.

Tamtego wieczoru o zmierzchu Ian wspiął się na najwyższą wieżę Châtel-Argent. Nie miał w tym żadnego szczególnego celu, chciał zwyczajnie odwiedzić wszystkie kąty swojego zamku – jak ktoś, kto wraca do domu po długiej nieobecności i chce

odnaleźć każde najmniejsze wspomnienie w komnatach, których od tak dawna nie widział.

Isabeau odpoczywała w sypialni przed kolacją. Potrzebował przez chwilę побыć sam, by uporządkować myśli przed spotkaniem ze wszystkimi podczas posiłku.

Przywitał go wieczorny wiatr, szepczący słowa powitania świszczące między kamiennymi blankami. Ian podszedł do krawędzi muru i usiadł, spoglądając w dół. Nigdy nie miał lęku wysokości – usadowił się wygodnie pomiędzy dwoma zębami blank, podkulił nogi i oparł się plecami o murek.

Długo spoglądał na panoramę, która powoli przybierała fioletowo-różowy odcień zachodzącego słońca. Wokół zamku rozciągały się lasy, pola i sady ludności zamieszkującej gród, wśród tego wszystkiego wiała się płaska wstęga rzeki, której wody zasilały zamkową fosę, po czym niknęły wśród gęstych drzew. Ciszę przerywały jedynie głosy ptaków szukających schronienia przed nocą.

I właśnie tam, w tej doskonałej ciszy, Ian pomyślał o Danielu, o tym, przez co razem przeszli, o ich ścieżkach życiowych, które teraz miały pójść w różnych kierunkach, jedna oddalona od drugiej o osiemset lat historii.

Był świadom tego, że jego wybór był drastyczny i ostateczny. Myślał nad nim długo i niejednokrotnie się go obawiał. Teraz jednak czuł, że odnalazł swoje miejsce w tym trudnym i wrogim świecie, i nie żałował swojej decyzji. Nie wyobrażał sobie życia daleko stąd, z dala od zamku, w którym zdołał zapaść już korzenie i stać się tym, kim był – Jeanem Markiem de Ponthieu, Srebrnym Sokołem.

„Życzę szczęścia tobie i wszystkim, których tam zostawiłem” – zwrócił się w myślach do Daniela, dalekiego, nieosiągalnego. „Obyś znalazł je u boku Jodie, Martina i twoich rodziców. Ja pozostanę tutaj, przy mojej Isabeau”.

Podmuchy wiatru targały mu włosy, rozwiewały połę płaszcz – jakby w czulej pieśczoce. Ian zeskoczył z gzymsu, czując, że robi się coraz zimniej, i skierował swe kroki w stronę sali, w której miała zostać podana kolacja. Nie mógł jednak oprzeć się pokusie i rozpostarł szeroko ramiona, by podmuchy wiatru raz jeszcze otuliły go całego.

Po raz pierwszy od ponad dwóch lat poczuł się naprawdę dobrze. Niepokoje ustąpiły, dni ciemności i strachu miał wreszcie za sobą. Odnalazł upragniony spokój.

„Dziękuję” – pomyślał, nie wiedząc nawet, do kogo się zwraca, czy do *Hyperversum*, czy do losu, czy bożej Opatrzności – która, być może, stała za tym wszystkim.

Otrząsnął się dopiero, gdy usłyszał głosy dobiegające z dołu. Brzmiały jak radosne, wojskowe pokrzykiwania. Spojrzał w ich kierunku i dostrzegł stojących poniżej na murach strażników wymachujących w jego kierunku mieczami. Wpatrywali się w niego. Do Iana dotarły skandowane przez nich słowa:

– *Le Faucon! Le Faucon!*²²

Ian opuścił natychmiast ramiona, zdając sobie sprawę, że żołnierze dojrżeli w nim ptaka, od którego wziął się jego przydomek. Sokół z rozpostartymi skrzydłami, przycupnięty na najwyższej wieży na tle bezkresu nieba.

Na myśl o tym poczuł, jak przepelniają go duma i wzruszenie. Pozdrowił z wysoka swoich ludzi, odpowiadając na ich hołd. Ponad jego głową, zamocowany na wysokim palu, trzepotał na wietrze sztandar ze srebrnym herbem.

Tak, Sokół nareszcie wrócił do swojego gniazda.

*

-
- [1](#) (franc.) Panowie, gdzie jesteście?
 - [2](#) (franc.) Odezwijcie się, na miłość boską!
 - [3](#) (franc.) Panie, odpowiedzcie! Jesteście w niebezpieczeństwie!
 - [4](#) (franc.) Niech Bóg będzie z wami.
 - [5](#) (franc.) I z duchem twoim.
 - [6](#) Mierzyła mniej więcej trzydzieści metrów na dziesięć.
 - [7](#) Karol Wielki mierzył 1,93 m.
 - [8](#) (franc.) Był taki piękny!
 - [9](#) (franc.) Królewski Sokół.
 - [10](#) (franc.) To zaszczyt spotkać was twarzą w twarz, księżę.
 - [11](#) Delfin Francji – tytuł hrabiego Delfinatu, drugiego po królu feudała Francji [przyp. tłum.].
 - [12](#) Królowa Eleonora Akwitańska.
 - [13](#) Księżniczka Blanka Kastylijska, późniejsza królowa Francji.
 - [14](#) (franc.) Mości księżę.
 - [15](#) Potajnik – poterna, przejście podziemne ułatwiające bezpieczną komunikację wewnątrz twierdzy lub fortu pomiędzy poszczególnymi stanowiskami bojowymi [przyp. red.].
 - [16](#) Średniowieczne kroniki donoszą, że w 1204 roku, podczas wojny między Janem bez Ziemi a Filipem Augustem, Francuzi z zaskoczenia zdobyli zamek Château-Gaillard dzięki jednemu z żołnierzy, który dostał się do środka przez kanał latryny prowadzący do samego serca twierdzy.
 - [17](#) (franc.) ... wydostali się z zamku...
 - [18](#) (franc.) Dziękuję za wasze poświęcenie.
 - [19](#) (franc.) A więc z pochodzenia jesteście Francuzem.
 - [20](#) (franc.) Wybaczcie, że wam tego nie powiedziałem.
 - [21](#) (franc.) Czyż nie, Jean?
 - [22](#) (franc.) Sokół! Sokół!